Polon. 158 i/1

PISMO ZBIOROWE

WYDANE PRZEZ

JOZAFATA OHRYZKO.

TOM I.

PETERSBURG.

W DRUKARNI JOZAFATA OHRYZKI.

—

1859.

Polon. 158 i-1

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Petersburg, dnia 15 Grudnia 1859.

Cenzorowie: P. Dubrowski, K. Obert, S. Pałauzow.

Bayerische Staatsbibliothek München

4°/93 | 50050

SYNOWIE CHROBREGO.

USTĘP Z DZIEJÓW POLSKI

PRZEZ

AUGUSTA BIELOWSKIEGO.

§. 1. Założyciel potęgi polskiéj Bolesław Wielki czyli Chrobry, smutne miał chwile ostatnie. Trapiły go przeczucia, że ta potęga, nad któréj utwierdzeniem całe życie pracował, po jego się śmierci rozchwieje. Krótko więc jakoś przed swoim zgonem, książąt i przyjaciół do siebie wezwawszy, wynurzył im swoje obawy, i tajemne im dawał polecenia. [1]) Zostawiał on trzech synów: najstarszy z Judyty, siostry Stefana węgierskiego urodzony, był Otto czyli Bezbraim. Charakter tego księcia do okrucieństw skłonny, i sprzyjanie potężnemu sąsiadowi [2]) mogły słusznie nabawiać ojca niepokojem; dano mu więc udział w Słowaczyznie, mianowicie w téj części Polski, która graniczyła z Węgrami, gdzie z jednéj strony wuj jego Stefan, sprzymierzeniec Polski, z drugiéj strony bracia mogli mieć baczne nań oko. Prócz niego byli dwaj synowie z Kunildy urodzeni, z których

[1]) Principibus et amicis undique congregatis, de regni gubernatione et statu *secretius* ordinavit (Boleslaus) eisque multa post se mala futura nuntiavit p. 77.

[2]) Regis (Conradi) partibus favebat. Wippo ap. Pertz 264.

starszy dziada, młodszy ojca swojego miał imię. [3]) Mesko ożeniony z krewną cesarza Ryksą, a w ważnych dla kraju posługach jeszcze za życia ojca doświadczony, posiadał zupełne jego zaufanie, i tron téż po nim dziedziczył; młodszy, Bolesław, po smutnych jakichś w swojém dziedzictwie przygodach do klasztoru oddany, [4]) wdział kapicę za radą świętego Romualda, i kamedułą przez lat kilka zostając, osiągnął już był stopień diakona. [5]) Nie zapomniał i o nim ojciec, i mamy ślad, że jeszcze przed zejściem jego był od ślubów zakonnych uwolniony, [6]) i powołany do spółudziału w rządach—jak się zdaje— do pomocy bratu Meskowi przeciw możliwym zamachom Ottona.

MESKO II.

§. 2. Umarł Bolesław. Pamiętny na przestrogi ojca Mesko kazał uroczyście włożyć sobie na głowę koronę, a poszedł głos po Niemczech, że jest „dumny i równy ojcu buntownik.“ [7]) Pierwsze panowania swego lata poświęcił staraniom około religii, [8]) kończąc i upiększając zaczęte przez ojca swego świątynie, lub całkiem nowe zakłada-

[3]) Peperit hoc duos filios, Miseconem et alium, quem dilecti senioris sui nomine, patris, vocavit. Thietm. IV. 37. ed Wagn. p. 99. W rękopismie drezdeńskim, który w części uchodzi za autograf, napisany jest wyraz *patris* przez skrócenie; ztąd czytano go niekiedy mylnie *pater*. W rękopismie zaś brukselskim Thietmara, quem dilecti senioris sui nomine (Cunildis) vocavit; i tak mają wszystkie dawniejsze wydania.

[4]) Do tego to Bolesława odnosi się owe drugie podanie, które Wincenty o Kazimierzu jakoby mnichu zasłyszał. Ob. Vinc. Res. gest. I. 107.

[5]) Invenerunt eum in *diaconum* ordinatum. Somersb. II. 26.

[6]) Czas, w którym książe polski (nazwany wyraźnie Bolesławem nie Kazimierzem, w Kronice Kluniackiéj) od ślubów zakonnych uwolniony był, daje się oznaczyć z dwóch okoliczności. Pamiętano to dobrze, że go uwalniał papież Benedykt VIII. (Mabillon. Ann. Ord. S. Bened. IV. 366) który roku 1024 żyć przestał. I zgodnie z tém wiedziano o tém na Szlązku, że na uwolnienie owe przyzwolił Henryk II cesarz, zmarły także w roku 1024. (Chron. Pol. ap. Stenz. I. 10.) Przed tym tedy rokiem powołany był Bolesław II. przez ojca do polski.

[7]) Filius Boleslai Misico similiter rebellis. Wippo ap. Pertz XI. 264. Haud dissimili superbia tumens. Pertz III. 90.

[8]) Ipsi divinitati, regni tui primitias, devoto pectore consecrasti. Dethier Ep. Math. 4.

jąc. [9]) Był za jego czasów w Polsce obrządek rzymsko-słowiański, i tēn za narodowy nasz uważano. Przychodził on niegdyś do nas od strony Moraw; zagnieździł się więc głównie w południowéj części kraju, któréj stolicą był Kraków. Obok niego kwitnął obrządek łaciński, udzielany nam od zachodu przez niemców, i równie przez Meska jak niegdyś przez Bolesława Wielkiego pielęgnowany, a z szczególnych stosunków króla, którego żona Ryksa była wnuczką cesarzowéj Teofanii greczynki, widziano tu także księży greckich, odprawujących nabożeństwo w swoim języku. [10]) W obrządku znowu łacińskim dawały się dostrzedz dwie frakcyje: jedna część duchowieństwa z samych prawie niemców złożona stała pod władzą arcybiskupa moguckiego i podwładnych jemu niemieckich biskupów; od nich więc natchnienia swoje odbierała; — druga bądź z krajowców, bądź z włochów i tym podobnych cudzoziemców składająca się, podlegała hierarchii krajowéj, urządzonéj przez Bolesława Wielkiego. Różność ta obrządków i dążności, oraz wynikające z niéj starcia się wpływały niekorzystnie na lud, niedość jeszcze w zasadach nauki Chrystusowéj utwierdzony, który potrącony jedném lub drugiém stronnictwem, chwytał chętnie daną sobie sposobność, aby się uwolnić od nienawistnych sobie danin kościelnych, lub bogacić cudzą grabieżą.

§. 3. Miał Mesko kraje rozległe, które mu bądź pośrednio, bądź bezpośrednio podlegały. Broniąc ich przed obcemi przywłaszczeniami okazał, że mu nie brakło ni męztwa ni roztropności, jakich już za ojca rządów złożył dowody. Puscizną po Bolesławie padło mu zwierzchnictwo nad czechami, i w ciągu upartych wojen z cesarzem widzimy czeskiego Udalryka ciągle po stronie Meska. Pielęgnował też przyjaźń z Stefanem węgierskim, z którym prócz związku

[9]) Tantas erexit ecclesias. Deth. Ep. Math. p. 4. Cujaviensem ecclesiam cathedralem filius ejus (Boleslai) Meszko nomine, fundavit. Somersb. II. 25.

[10]) Quis in laudem Dei totidem coadenavit linguas? cum in propria et in latina Deum digne venerari posses, in hoc tibi (Meschoni) non satis, graecam superaddere maluisti. Dethier Ep. Math. ibid.

krwi, łączyły go stałe umowy. Krainy nadelbiańskie nabawiały go najwięcéj kłopotu, w nich też rozwinął najpierw swoją czynność. Stanowiły one niegdyś część wschodniego, i północnego margrabstwa. Bolesław Wielki w porozumieniu z Ottonem III zajął je w roku 995, i do królestwa przyłączył; [11]) a chociaż po śmierci tego cesarza własność nabytków tych Bolesławowi częściowo lub całkowicie zaprzeczano, od pokoju jednak budyszyńskiego ustały wszelkie obce do nich pretensyje, i Polska była w spokojném i zupełném ich posiadaniu. Po wstąpieniu na tron Meska II potomkowie dawnych margrabiów nie bez tajnego z cesarzem porozumienia zaczęli się odzywać ze swemi do tych krajów roszczeniami: za pomocą niemiecko-łacińskiego duchowieństwa robili sobie stronników, i starostów w zamkach pogranicznych do przeniewierstwa nakłaniali. Zrobił Mesko w r. 1028 walną wyprawę do wschodnich części Saksonii, ukarał podżegaczy, spustoszył ich kraj ogniem i mieczem, a część jakąś ludności, mianowicie gmin żeński z sobą uprowadził. [12]) Wystawiano po Niemczech krok ów jakoby niesłychaną jakąś zuchwałość i okrucieństwo; cisnęły się skargi do cesarza, który już z powodu koronacyi Meska, jakoby prawom swoim uwłaczającéj, był mu niechętny. Nie były mu wszakże tajne umowy, jakie istniały między Polską a Węgrami, którzy napaści różnych od pogranicznych bawarów doznając, wzajemnemi im najazdami docierali. Chcąc więc Konrad ukarać Meska, przedsięwziął dwie wyprawy z których żadna się nie powiodła. Kiedy z końcem roku 1028 znajdował się na synodzie w Paliti, ukazali się na dwo-

[11]) Boleslaus rex christianissimus cum Ottone III confoederatus omnem vi Slavoniam subjecit. Schol. Ad. Brem. ap. Pertz VI 318. Helmod. Chron. Slav. I. 15. Boleslaus anno regnorum ejus quarto (995) subditos sibi fecit Saxones. Mart. Schordach Act. not. dign. in ms Regiom N. 18. f. 2.

[12]) Misako, qui jam per aliquot annos regnum Slavorum tyranice sibi contra imperialem usurpabat majestatem, orientales partes Saxoniae cum valido suorum exercitu violenter invasit, et incendiis ac depraedationibus peractis, viros quosque trucidavit, mulieres plurimas captivavit, paroulorum innumerabilem prorsus multitudinem miserabili inauditaque mortificatione cruentavit, et per semetipsum suosque imo diaboli satellites nimiam crudelitatis saevitiam in Christianorum finibus, deo inspiciente, exercuit. Pertz. III 97.

rze jego jacyś niby posłowie lutyków, którzy mu oznajmili, iż chętnie uznaliby władzę jego nad sobą, gdyby ich od Meska uwolnił. [13]) Obłuda ukrywała się w tych słowach; cesarz wziął je za dobry pieniądz i tém czynniéj zajął się wyprawami. Puściwszy się z pierwszą wiosną do Węgier, natrafił na niesłychane trudności: na samém pograniczu rozlewy wód były wielkie, a drogi w lasach zasieczone. Nie mogąc je przebyć, wywarł gniew swój na ubogie osady po nad rzeką Fiską znajdujące się. Zrabowano je i zniszczono, lecz wyprawa sama spełzła na niczém. [14]) Nie ostudziło to jednak rycerskiéj Konrada gorliwości, i w połowie lata roku 1029 wszystko już do wyprawy na Polskę przygotowane czekało jego skinienia. [15]) Zebrane na pograniczu liczne wojska zajmowały głównym obozem wieś Liszkę. Stanął na ich czele Konrad, i przyspieszonym pochodem pomykano się w głąb Polski. Towarzysząca mężowi aż do granicy cesarzowa, nie mogąc być widzem walk, zapragnęła wiedziéć przynajmniéj o nich najwcześniéj. Nie opodal więc od granicy do Merseburga z orszakiem swoim nawróciwszy, wyglądała tamże wieści pomyślnych, ale daremnie. Cesarz gdzieindziéj szedł, a gdzieindziéj zaszedł, i wojsko do upadłego utrudził. Zamiast okolicy zaludnionéj, znalazł się śród lesistego bezdroża, gdzie zpoza trzęsawisk i puszcz dawały się dostrzegać jakoweś niebezpieczeństwa. Wstyd mu było wracać do domu nic nie zrobiwszy; idąc więc za radą niektórych, rzucił się w bok i obległ Budyszyn. Było tu wszystko przygotowane do dzielnego odporu. Utraciwszy więc mnóstwo walecznych, i przekonawszy

[13]) Legati Luitizorum Palathi ad imperatorem venientes, ejus juvamen contra Misatconem tirannum petierunt, seque ei fideliter servituros promiserunt. Et mentita est iniquitas sibi. Pertz III. 79.

[14]) Anno 1029 imperator Conradus Stephanum Pannoniae regem cum exercitu petit, difficili et laborioso itinere terram ipsius invadens. Pertz VI. 677. c. III. 97. Imperator tam munitum regnum fluviis et silvis intrare non valens, multis tamen praedationibus, incendiis circa terminos regni injuriam suam satis ulciscens, reversus est, volens tempore oportuniori coepta sua peragere. Pertz XI. Imperator vero ungariam invasit, eamque citima ex parte circa Fiscam fluvium devastavit. Pertz I. 83.

[15]) Hoc ipso anno (1029) imperator ducere exercitum in Poloniam decrevit. Pertz VI. 677.

się że przeciwnikowi nie podała, odłożył wojnę na rok następny, i do Saksonii powrócił. [16])

§ 4. Odparłszy szczęśliwie napad, pomyślał Mesko o odwecie. Wyśmienitą ku temu sposobność podała mu właśniejakoś w te czasy przypadła śmierć Tietmara, głównego — jak się zdaje — podżegacza sporów o kraje nadelbiańskie. Mesko z wypadku tego korzystając, chciał zniszczyć dalsze spory w samym zarodzie, lub przynajmniéj nieprzyjaciołom swoim odebrać na czas długi możność szkodzenia. Ze wszystkiemi więc, jakiemi rozrządzać mógł siłami, pomknął się cichaczem w końcu 1029 roku ku Saksonii, gdzie po śmierci Tietmara przychodził do władzy syn jego Hudo II. Walka ta, o niepodległość kraju podjęta, nie mogła niedotknąć niemiecko-łacińskiego duchowieństwa, bo ono było ogniwem główném, o które wszelkie do nas pretensyje obcych zahaczały. Do większego rozjątrzenia w téj mierze przyczyniły się okoliczności przypadkowe. W wojsku Meska byli lutykowie, znani z upornego swego przy pogaństwie obstawania, a nienawiści ku tym, którzy ich nawracali. Stanął na ich czele Siegfried, „z mnicha żołnierz, a z chrześcijanina zaprzaniec.“ Ojciec jego Hudo I. oddał go był do zakonu w Niemburgu, gdzie rad nie rad przez czas długi zostawał. Po śmierci ojca rzucił habit, a — jak kronikarze niemieccy upewniają — i wiarę, i pokrzywdzonym się przez cesarza w prawach swych do margrabstwa mniemając, połączył chętnie oręż swój z orężem Meska. Z końcem Stycznia 1030 roku byli już między Elbą i Salą. Kilka nadgranicznych zamków zdobyto i obsadzono załogami, a więcéj niż sto wsi z dymem puszczono; nie oszczędzano duchownych, i zakonnice w nie-

[16]) Statuto tempore ultra Albim, in loco qui Liezche vocatur multitudinem exercitus congregavit imperator, et iter quod coeperat properavit. Imperatrix autem reversa in Mersburh expectabat eventum rei. Delusus namque imperator, cum exercitu silvis, deviis palustribus desertisque locis ac periculosis admodum fatigatus nec quo voluit pervenit, sed quorumdam consilio tantum Budasin, urbem sui quondam regni obsedit. Circa quam multi, ex utraque parte vulnerati interierunt. Videns ergo imperator adversarios superari non posse, in proximum annum distulit, seque Saxoniae partibus recepit. Pertz VI. 677.

wolę zabierano. Biskup brandeburski Liwizo, do którego dyecezyi należeli właśnie lutykowie, zchwytany był do niewoli i jak prosty jeniec traktowany. A że stawiono opór ze strony niemców, i hrabia Teodoryk z wojskiem nadciągał, nie obeszło się więc bez znacznego rozlewu krwi; mnóstwo ofiar padło od oręża, a 9 do 10 tysięcy jeńców między temi 65 osób znakomitych do Polski uprowadzono [17]).

§ 5. Zwycięzca w wojnie otwartéj Mesko pokonany był knowaniami tajemnemi. W téj mierze czynność przeciwników jego okazała się niezmordowaną. Siedział na Słowaczyznie starszy brat jego Otto, równie jemu, jak i węgrom niechętny, a z niemcami od dawnych czasów zażyły, i otwarcie im sprzyjający. [18]) Podobno wszczął już był jakieś przeciw bratu niepokoje, i ten przegnał go między Teplę a Tysę, gdzie była dzielnica Emeryka stefanowego syna, zwanego książęciem Ruzyi. [19]) Powiadają, jakoby Otto zaniósł skargę do cesarza na swoje od brata pokrzywdzenie, a ten doradził mu wojnę, w któréj sam przyrzekł

[17]) Anno dominice incarnationis 1030 Imperator nativitatem Domini Padebrunnem celebravit peractisque diebus festis ultra Rhenum ire proposuit. Res miseranda cunctisque Christi fidelibus stupenda 17 kalendas februarii accidit, Miseco dux Polonorum, qui contra Romanum imperium regale sibi nomen usurpavit, conperto obitu Thietmari marchionis *clam* assumptis satellitibus diaboli, Sigefrido aliisque sceleratis, exercitum paganorum in sanctam duxit ecclesiam. Iste est Sigefridus avunculus Esici, comitis de Ballenstide filius Odonis, inclyti marchionis, qui sub tertio Ottone defunctus et in Nienburch sepultus fuerat. In quo monasterio iste Sigefridus diu inter monachos in eodem habitu conversatus est, sed post obitum patris habitum cum religione proiciens, apostata factus est. Igitur Miseco inter Albiam et Salam plus quam centum villas incendiis cædibusque vastavit, Christianorum 9 millia et 65 viros ac mulieres miserabiliter captivavit, reverentissimum Brandeburgensem Episcopum Liuzonem, ut vile mancipium cepit nec sacris altaribus pepercit; sed omnia homicidiis sanguinequa polluit, matronas religiosas ac nobiles armata manu sibi vindicavit. Hoc namque solum tantorum fuit levamen malorum, scilicet praetiosa et exoptata mors. Honestas etiam mulieres et gravidas violenta paganorum manus quasdam gladiis trucidavit, quasdam lanciis perforavit. Omnes ergo quibus grandaeva senectus vel tenera aetas, vel aritudinis infirmitas vires negaverat, armis interire præcepit. Interea Theodoricus comes superveniens cum militibus, plures ex iis occidit, cæteros effugavit. Pertz VI. 678, of Leibn Acces hist. p. 241.

[18]) Thietm. VIII. 1. cf. Wippo ap. Pertz. XI. 264 quoniam regis (Conradi) partibus favebat.

[19]) In Ruzziam provinciam pepulit. Wippo ap. Pertz. XI, 264.

wziąść udział.[20]) Bądź co bądź, zdaje się jednak pewna, że nieprzyjazna Meskowi polityka obrała głównćm swojém narzędziem Ottona, a zbieg okoliczności sprawił, że mu na pomocnikach nie brakło. Udalryk czeski był niezachwiany w uległości swojéj dla Meska [21]), ale syn jego Brzetysław w Morawii pod bokiem Ottona dzielnicę swoją mający, łatwo został wciągniony w jego widoki. Właśnie w tym jakoś czasie porwał był przemocą księżniczkę Judytę z klasztoru szwejnfurckiego, i gotów był zrobić wszystko, czémby przejednać mógł oburzonego na się Konrada. Chociaż więc wyprawa Meska ku Saksonii odbywała się w cichości, wyśledził ją jednak czyhający na zgubę jego Otto, a spikniony z nim Brzetysław spada niespodzianie na polskie i węgierskie załogi w Słowaczyznie: jedne z nich przeciąga na swoją stronę zdradą, drugie rozgramia i ściga, pustosząc kraj aż do Granu. [22]) Jakby w porozumieniu z nimi zostający Jarosław, wielki książe kijowski, zbliżył się takoż niebawem z wojskiem swojém

[20]) Imperator decrevit ut ipse cum copiis ex una parte ex altera frater Otto Misiconem aggrederentur. Pertz. XI, 269.

[21]) Conradus Polanos et regem eorum Misungum magna virtute perdomuit, et auxiliatores eorum *Bohemos* cæterosque Slavorum populos sub tributum misit. Adam. Brem. ap. Pertz. VII, 325.

[22]) Anno 1030 dux Bracislaus magna cæde prostravit Ungaros et terram eorum usque ad urbem Strigoniam devastavit. Cosmas ap. Pertz. IX, 64. Ann. Saxo. ib. VI, 678. W wypisach z kroniki biblioteki wiedeńskiej, drukowanych u Dobnera (Mon. III, 30) wymieniona jest ta wojna pod rokiem 1029. Że tam jednak myłka jest co do roku, i że tenże według Kozmy i Annalisty Saxona sprostowany być powinien, o tem przekonać się można ztąd, iż wypisywacz ów dodaje tamże: *Eodem anno Izo episcopus obiit*, a wiadomo jest, iż biskup ten umarł w roku 1030 (ob. Palack. Gesch. Böhm. I, 271) Myli się Boczek (Cod. Dipl. str. 111 i nast.) a za nim Palacki (Gesch. Böhm. I, 271) odnosząc wojnę tę do roku 1026 lub 1028. Bezchronologiczne ułamki Monsego, na których oni twierdzenia swoje opierają, otrzymują właśnie pojaśnienie swe co do czasu przez świadectwo Kozmy i Annalisty Saxona. A że owe targnięcie się Brzetysława na Polskę i sprzymierzone z nią Węgry stało się z podburzenia Ottonowego, mamy tego ślad w samymże owym dokumencie, przez Monsego wynalezionym (Boczek Cod. Dipl. I, 127) w którym powiedziano że działo się to w przytomności księcia polskiego: præsente duce de Polonia. Księciem tym jest oczywiscie Otto. Ostrożniejszy też od obu pomienionych pisarzy Roepel słusznie powiada: Die Urkunde auf welche Palacky die Meinung stützt, das der Böhmenzug bereits 1028 stattgefunden habe, ist nicht beweisend. (Geschichte Polens I. 166.) Sam atoli kładzie takoż zawcześnie jeszcze—jak mi się zdaje—czeską wyprawę.

do granic Polski, i opanował Bełz. [23]) Te klęski spotkały Meska po powrocie jego z wyprawy saskiéj, i naprawą ich zajmował się przez resztę roku 1030. Wjaki atoli sposob i z jakim skutkiem to czynił, tego nam spółczesni nie podali. [24])

§ 6. Po daniu sprawie swojéj tak korzystnego obrotu, wystąpił Konrad otwarcie przeciw Meskowi w roku następnym. Szło mu atoli pierwéj o zabezpieczenie się od węgrów, aż dotąd w porozumieniu z Polską zostających. Główne ku temu przeszkody właśnie już były usunione. Odwrót haniebny cesarza w roku 1029 od granic węgierskich najmocniéj dał się czuć bawarom, tem smielszemi odtąd najazdami węgrów trapionym. Bawił między nimi syn cesarski Henryk. Młokos pod nadzorem Egilberta biskupa frejsingeńskiego do rządów się zaprawiając, chwytał ochoczo rady, których mu panowie przyboczni nieszczędzili. W jego to przyboczu wyrabiały się pierwsze plany do kołatania węgrów i Polski wojnami domowemi. Po klęsce zadanéj węgrom przez Brzetysława słał do Henryka posłów swoich Stefan węgierski, przekładając swe krzywdy, i gotowość swoją do pokoju słuszńego oznajmując. Przyklasnęła temu rada Henryka, i ten bez wiedzy ojca zawarł z Stefanem już wtedy rodzaj umowy [25]), która teraz po ochłonieniu Konrada z pierwszych przeciw węgrom niechęci, i w obec wojny z Polską zamierzonéj łatwo zatwierdzenie jego pozyskała. W roku więc 1031 przymierze z węgrami zostało uroczyście z obu stron zaprzysiężone, [26]) a pod jesień tegoż roku wkroczył cesarz z wojskiem swojém do Polski. W smutném położeniu

[23]) W leto 1030 Jarosław Bietz. wział. Nest. Polń. Sobr. I, 64.

[24]) Długosz powiada, że Mieczysław mszcząc tę klęskę, wpadł do Moraw i takowe spustoszył, mnóstwo ludu i zdobyczy różnej ztamtąd do Polski uprowadzając. Hist. II, 184.

[25]) Rex Heinricus, adhuc puerulus, Egilberto Frisingensi episcopo creditus, legatione Stephani regis pacem rogantis accepta, unico consilio principum regni patre nesciente, gratiam reconciliationis annuit. Pertz. XI. 268.

[26]) Eodem anno (1031) imperatoris filius Heinricus rex et ipse dux Bojoariæ et Stephanus rex Ungaricus cum juramento invicem firmaverunt pacem. Pertz. III, 98.

znalazł się teraz Mesko: opuszczony od głównego swego sprzymierzeńca, a z drugiéj strony napadnięty od książąt ruskich Jarosława i Mścisława, którzy właśnie już grody czerwieńskie zdobyli, i licznych jeńcow do krajów swoich uprowadzili [27]), pospieszył zawrzéć pokój z Konradem. Zrzekł się Łużyc — jak się zdaje — na korzyść ciotecznego brata swego Teodoryka; cesarzowi zaś zwrócił zamki w Saksonii roku zeszłego zdobyte, wraz z zabranemi tamże łupami. [28]) Nieokupił jednak pokoju i tą ofiarą. Ledwie bowiem upłynął miesiąc od zawartéj ugody, spada nań niespodzianie Otto, i straszną rzeź w Polsce wyrządza. Mesko spieszy po pomoc do czeskiego Udalryka, a Ryksa z dzieckiem małém [29]) do Niemiec. Zaburzenie to jedno z najokropniejszych, jakie na ziemi polskiéj widziano, nie znane nam jest dokładnie w swoich szczegółach. Według tych wieści, które w Kijowie zapisywano, głównym czynnikiem w tém zaburzeniu była walka obrządków. Prawdopodobnie rzecz tak się miała.

OTTO.

§ 7. Jeszcze za życia Bolesława Wielkiego klasztory niektóre bazylianów, których pełno podówczas było w Polsce, dopuściły się jakichś wykroczeń. Bolesław widział

[27]) W leto 6539 (1031) Jarosław i Mstisław sobrasta woj mnog, idosta na Lachy i zajasta grady Czerwenskija opiat' i powojewasta Ladskoju zemlu i mnogi Lachi priwedosta i razdielista ja; i posadi Jarosław swoja po Rsi, i sut do sego dnie. Nest. Poln. Sobr. I, 64.

[28]) Jmperator cum parvo Saxonum exercitu Sclavos autumali tempore invasit, et Mysachonem diu sibi resistentem regionem Lusizi cum aliquot urbibus, et præda quæ prioribus annis in Saxonia facta est, restituere, pacemque firmare coegit. Pertz. III, 98,

[29]) Ryksa prócz syna Kazimierza miała jeszcze i córkę Ryksę.

Spomina o niej wyraźnie Sofijski wremennik w te słowa: Sejże Kazimir dast sestru swoju za Jziasława syna Jarosławla (roku 1043) Poln. Sobr. V, 138. To zgadza się z napomknieniem niemieckich kronikarzy, którzy wiedzą że Ryksa z dzieckiem małém do Niemiec uciekała, a wiadomo jest z Galla, iż w czasie jej ucieczki Kazimierz w Polsce pozostał. Sama też Ryksa mówi w mnogiej liczbie o potomstwie swém w zapisie, zrobionym dla katedry kolońskiej. Ob. Mirei Opp. dipl. II, 1131. Długosz (Hist. II, 169) powiada, że w roku 1019 wydała Ryksa na świat drugiego jeszcze syna imieniem Bolesława, który wkrótce po narodzeniu umarł.

się zmuszonym wygnać z nich mnichów, i zastąpić ich duchowieństwem łacińskiém. [30]) Wygnani—jakto zwykle w takim wypadku bywa—rozeszli się po klasztorach sąsiednich, mianowicie ku Słowaczyznie i owéj Ruzyi, gdzie było główne tego obrządku siedlisko. Tam też była dzielnica Ottona. Zamierzając ten książe strącenie z tronu Meska II, użył jak się zdaje wygnanych, a wpływ przeważny między ludem mających mnichów do swego celu, a to tem silniéj, ile że go na wystawienie dostatecznego przeciw bratu wojska nie stawało. Żywione więc tajnemi porozumieniami między ludem zarzewie, wybuchło z całą swą grozą za pokazaniem się w Polsce Ottona. [31]) Słudzy rzucali się na panów swoich, wyzwoleńcy na szlachtę i srodze ich zabijali, otrzymując w nagrodę mienie ich, żony i dostojeństwa. Pastwiono się szczególniéj nad duchowieństwem łacińskiém: zabijano biskupów i księży, i jedni z nich od miecza ginęli, innych dla większéj zniewagi kamionowano. [32]) Takiemi środkami tron osiągną-

[30]) Bolesław wozdwiże gonenije welije na czernoriżcy i izgna wsiech do obłasti swojeja. Paterik. Kijew 1678 f. 192 Wygnanie to nastąpiło około roku 1022; mówi bowiem Polikarp, że Bolesław Chrobry w Kijowie będąc, (roku 1019) wziął jeńcem wraz z księżniczką Predysławą niejakiego Mojżesza węgrzyna obrządku greckiego, i że tenże bazylianem w Polsce zostawszy, dopiero po latach pięciu (zatem około r. 1022) z Polski do Kijowa powrócił. Kossowa Paterikon str. 116 Pater. wyd. Kijow. 1678. f. 193. Zgodnie też z tem powiada Kozma pragski: Anno 1022 in Polonia facta est persecutio christianorum SS. I, 84. Całkowite świadectwo Polikarpa i Nestora, do tych wypadków odnoszące się, opiewa tak: „Sijeże wpisano jest w zitii swiatago otca naszago Teodosija. Jegda izgnan byśt swiaty otec Antonije kniazem Jziasławom Warlaama radi i Jefrema, kniagini że jego Lachowica suszczi (córka Meska II i Ryksy a siostra Kazimierza, jakeśmy to z Sofijskiego wremiennika widzieli, na imię Ryksa) wozbrani jemu, glagoluszczi: ni myśli ni stwori sego, siiebo sotworisia niekogda w zemli naszej (w Polsce) niekojeja radi winy izgnani bysza czernoriżcy ot prediel zemli naszeja, i weliko zło sodiejasia w Lasiech.“ Polikarp w Pateryku rkp. bibl. uniw. lw. str. 384. A bieże głagolia jemu (Jzasławowi) żena jego: posłuszaj gospodne mene, i ne gniwajsia, jako także byśt wo stranie naszej, otbiezawszim nikojeja radi winy czernorizcem, i mnogo zła sotworisia ich radi w zemli toj. Nestor żywot Teodoz. tamże str. 97.

[31]) Że właśnie Otto był sprawcą głównym rzezi, na to naprowadzają słowa rocznikarzy niemieckich, którzy mimo to że czynności księcia tego przyjazne były ich polityce, powiadają iż Otto zabity został „ob immanissimam tiranidis suæ sævitiam“ Ann. Hildesh. op. Pertz. III, 98. Ann. Saxo ib. VI, 679.

[32]) Jn dominos servi, contra nobiles liberati se ipsos in dominium extulerunt, aliis in servitio versa vice detentis aliis peremptis uxores eorum incestuose honoresque sceleratissime rapuerunt. Jnsuper etiam a fide catholica deviantes, quod sine

wszy Otto, odesłał niezwłocznie cesarzowi koronę z oznajmieniem, iż chce zostawać w wiernéj mu uległośći. [33]) Niedługo wszakże cieszył się władzą nabytą: gdy bowiem bezpiecznym się już sądząc, z całą srogością przeciw zwolennikom dawnego rządu postępuje, jakiś poufalec przebija go. Zginął pod koniec roku 1032, a rozpowiadano po Niemczech, że się to stało nie bez tajnego z braćmi jego porozumienia. [34])

§ 8. Tymczasem Mesko miasto pomocy spodziewanéj znalazł niemały zawód na dworze Udalryka. Powiadają, jakoby książe czeski aż dotąd Meskowi wierny, i wraz z nim na gniewy cesarza narażający się, tak był wypadkami temi w Polsce wstrząśniony, że o własnym już tylko ratunku myśląc, oświadczył się z gotowością wydania gościa swojego w ręce cesarza, byle przebaczenie dla się uzyskać. Konrad miał mu odpowiedziéć z godnością, że niechce nieprzyjaciela swego kupować od nieprzyjaciela. [35]) Natenczas Udalryk miał przypomniéć sobie dawną jakąś

voce lacrimabili dicere non valemus, adversus episcopos et sacerdotes Dei seditionem inceperunt, eorumque quosdam gladio quasi dignius peremerunt, quosdam vero quasi morte dignos viliori, lapidibus obruerunt. Gal. I, 19.

Czas, w którym przypadło główne zaburzenie w Polsce, daje się dość ścisle oznaczyć z pisarzów kijowskich. Nestor spomniał o niém po zdobyciu Bełza przez Jarosława, które roku 1030 nastąpiło; mówi on: Była rzeź w ziemi polskiej, powstawszy lud zabijał biskupów, księży i panów swoich i było zaburzenie. Połn. Sobr. I, 64. Co do zabijania biskupów, o którém tak Gall jak i Nestor powiada, zauważymy tu nawiasowo, iż stary rocznik Wawelski ma właśnie pod rokiem 1030 zaciągnioną smierć dwóch naraz biskupów: Romana i Lamberta, a nikt zgoła nie wie, coby to byli za biskupi. Słowa nakoniec Galla, że zabójcom dostojeństwa po zabitych dostawały się, *honores peremptis rapuerunt* wskazują dość wyraźnie na przywłaszczyciela (Ottona), który okrucieństwami tronu dopiąwszy, wynagradzał tym sposobem swoich siepaczy.

[33]) Wippo mówi o tym wypadku: „Otto restitutus patriæ et dux factus a Cæsare“ (ap. Pertz. XI, 270.) Jdem Bezbrimo (Otto) imperatori coronam cum aliis regalibus, quæ sibi frater ejus injuste usurpaverat, transmisit ac semet humili mandamine per legatos suos imperatori subditurum promisit. Ann. Hildesh. ap. Pertz. III, 98.

[34]) Non sine fratrum suorum machinatione interfectus est. Ann. Hildesh. ap. Pertz. III, 98. Interfectus est machinatione fratrum suorum, sicut populi sermo est. Ann. Saxo ibid. VI, 679.

[35]) Misico fugit in Boemiam ad Udalrikum ducem, cui tunc temporis rex iratus fuerat. Sed ille ut sic placaret imperatorem voluit sibi reddere Misiconem; quod paetum sceleratum renuit Cæsar, dicens, se nolle inimicum emere ab inimico. Wippo ap. Pertz. XI, 270.

zniewagę, przez Bolesława Wielkiego wujowi swemu wyrządzoną, i wet za wet oddając, Meska o kalectwo przyprawić. [36])

Jakkolwiek niewiele można dać wiary tym wieściom, pewna jednak, że pobyt teraźniéjszy w Czechach króla polskiego, był dla obojéj strony nieprzyjemny, i tem chętniéj pospieszył on do Polski na pierwszą wieść o śmierci Ottona. Za przybyciem swojém do ojczyzny wyprawił niezwłocznie poselstwo do cesarza, oznajmując gotowość swoją do odnowienia przymierza, i o czas i miejsce osobistego z nim widzenia się umawiając. Do prędszego w téj mierze porozumienia przyczyniła się nie mało Ryksa. Pani ta, której spółczesni znajomości rządzenia państwem nie odmawiają, uprzedzając nieprzyjacielskie przeciw Meskowi zamysły Ottona, oddała sama swoją i męża swego koronę cesarzowi, [37]) względom jego siebie i rodzinę swą polecając. Poselstwo tedy polskie miłe było cesarzowi, a sam Mesko dnia 7-go Czerwca do Merseburga przybyły znalazł przyjęcie nadspodzianie uprzejme. Stanęła więc umowa, że Łużyce zostać mają przy Teodoryku, reszta zaś Polski została wprawdzie pod zwierzchnictwem Meska, ale otrzymali w niéj swoje dzielnice z jednéj strony brat jego Bolesław, z drugiéj syn zabitego Ottona Roman, zwany książęciem Rusi. [38])

[36]) Dicitur etiam a Bohemicis in colloquis per traditionem captus et genitalia, ne gignere posset, corrigiis astrictus, quia rex Boleslaus, pater ejus, similem eis injuriam fecerat, quum eorum ducem, suumque avunculum excecaverat. Gal. I, 17.

[37]) Pro modo femineo regnum honorofice gubernabat (Rixa) Gal. I, 18. Accepit namque ab ipsa (imperator Conradus) duarum, ipsius regisque sui conjugis coronarum insignia. Monach. Bruno. ap. Leibn. SS. rer. Br. I, 320. Korona, którą Otto przesłał Konradowi, musiała być koroną Chrobrego, bo prawdopodobnie więcej niż dwie korony znajdowały się wówczas w skarbcu królewskim.

[38]) Miseco legatos suos ad imperatorem destinavit, tempusque semet praesentandi, condigneque satisfaciendi postulavit. Et postmodum imperatore consentiente Merseburg venit, et semet Nonas Julii in imperatoriam potestatem, coronæ scilicet ac totius regalis ornamenti oblitus, humiliter dedit. Quem imperator clementius quam ipse opinaretur suscepit, eique et ejus patrueli cuidam Thiedrico, regnum quod ipse solus ante possederat divisit; quod ipse tamen postea solus iterum sibi usurpavit. Ann. Hildesh, ap. Pertz. S. S. III, 98. Ann. Saxo ibid. VI, 679. Wippo u Pertza XI, 270 powiada: Cæsar misericordia motus dedit sibi (Misiconi)

Tylu przeciwnościami skołatany Mesko nie upadł bynajmniéj na duchu, ale dołożył wszelkich starań do naprawienia złego, które w kraju tak wojny zewnętrzne jako i wewnętrzne zamieszania zrządziły. Jakoż dokazał tego na przekorę swoim nieprzyjaciołom, że osłabione i na cztery części rozdzielone królestwo wkrótce znowu w jedną potęgę się zrosło.

Pamiątka hojności jego dla kościołów i duchowieństwa pozostała w licznych tak krajowych jak i zagranicznych spominkach. [39]) Wyznają też nawet niechętni królowi temu kronikarze niemieccy, że religia chrześcijańska, któréj dobre początki w Polsce dał Chrobry, wzięła staraniem Meska niemały wzrost. [40]) Umarł przedwczesną śmiercią dnia 17-go Maja [41]), roku 1034.

RYKSA.

§ 9. Syn Mieczysława Kazimierz kończył właśnie rok ośmnasty, gdy go ojciec odumarł. [42]) Nie brakowało przy-

veniam et divisa provincia Bolanorum in tres partes, Misiconem fecit *tetrarcham*, reliquas duas duobus aliis comendavit.

Wbrew tedy powyższym świadectwom podzielił cesarz według niego Polskę nie na dwie lecz na trzy części. Sprzeczność ta daje się pogodzić w ten sposób, że rocznikarz Hildeshajmski mówi o całém królestwie, które Mesko dawniéj posiadał (regnum quod ipse solus ante possederat) zatem i o krainie zaodrzańskiéj, podczas kiedy Wippo o saméj tylko Polsce (provincia Polonorum) powiada. Gdy zaś Meska zowie on tetrarchą, to jest władcą na czwartéj części, więc zdaje się wypływać samo z siebie, że kraj podzielon został na dwie główne części, z których jedna Teodorykowi, druga Meskowi przypadła: w téj zaś ostatniéj, stanowiącéj Polskę właściwą, wyznaczone były dzielnice Bolesławowi bratu Meska i Romanowi synowi drugiego brata, Ottona. Mesko więc był istotnie tetrarchą czyli rządcą czwartéj części kraju.

[39]) Dethier Ep. Math. str. 4. Boguph. ap. Somersb. II, 25. Mesico dux Polonorum, frater noster. Hic dedit nobis pallium et sex cappas puerorum, et plurimum pecuniæ, unde facta sunt viginti quatuor statuæ quæ circa chorum sunt locatæ. Necro. Bamb. ap. Schann. Vindem. lit. II, 52.

[40]) Christianitas a se (Misachone) melius roborata (fuit) Pertz. III, 99.

[41]) Dzień smierci podaje Necrologium bamberskie (Schannat Vind. lit. II, 52), tudzież kalendarz merseburski (u Höfera str. 128). Wnim nazwany on dwojgiem imion: Lampertem i Mieszkiem. Jakoż Lampertem nazwany on jest i w kalendarzu wawelskim, rkp. str. 10.

[42]) Rok urodzenia Kazimierza podaje z wielką dokładnością rocznik wawelski: Anno 1016. Kazimirus dux natus est 8 kalendas Augusti, luna. Rkp. str. 9.

kładów, iż w takim wieku książąt do tronu powoływano. Matce jednak wydało się rzeczą niebezpieczną poruczać berło młodemu Kazimierzowi. Zarządziwszy więc wszystko, co do starannego wychowania jego należało, wstąpiła sama na tron, i w imieniu syna rządzić poczęła. [43]) Nie była ona bez znajomości w sprawach społecznych. Rządy jéj jako niewiasty mogły mieć swoją zaletę. [44]) Duchowieństwo niemieckie, któremu się wyśmienita teraz sposobność do wzięcia góry nad innymi podała, podnosiło ją w myślach do asyryjskiéj Semiramidy. [45]) Wszakże przymiotom, jakie królowę tę rzeczywiście zdobiły, zbywało na jednym, bez którego wszystkie inne bezowocnemi się stały. Ryksa nie miała do narodu przywiązania, nie miała nawet téj roztropności rządzących, która dla własnych swoich korzyści i niedostatki swoich poddanych z oględnością i pobłażaniem pewném traktować nakazuje. Roztropność taka była w owym wieku nadewszystko potrzebna. Niesłychana to bowiem podówczas była w Polsce: rządy kobiety, a stosownie do wyobrażeń wieku wyznawali to i najumiarkowańsi, że niezgadza się z dobremi obyczajami, aby wyborowi narodu niewiasta rozkazowała. [46]) Na to wszystko nie dano baczności ze strony władczyni. Ryksa rządziła namiętnie [47]), nie taiła wstrętu

[43]) Filio adhuc imaturo regnum credere non ausa, regni suscepit gubernacula. Dopełniacz Mierzwy u Winc. I. 106.

[44]) Quæ cum libere filium educaret, et pro modo femineo regnum honorifice gubernaret. Gal. I. 18. Chronica princ. Poloniæ (u Stenzla I. str. 57) podaje dość ciekawy szczegół o rządach Ryksy: Ipsa cernens adhuc populum gentilitati deditum, et nullis obsequiis regi subjectum, astute populum in solemnitatibus sanctorum faciebat a diversis provinciis convenire, convivia instruere, plaudere, canere, ac letari, atque regem a magnatibus invitari suadebat. Quæ res in consuetudinem serviciorum sunt tractæ, itd.

[45]) Nullus miretur si mulier Polonis imperavit. Nam Assyriorum regina Semiramis, imaturo filio regum credere non audens se filium simulat. Modernis autem nostra tempestate tempusculis, apud modernos Polonos, in quos fines sæculorum devenerunt. Miersw u Winc. I. 27. Porównaj I. 106. Rixa filio adhuc imaturo regnum credere non ausa.

[46]) Bonis moribus videtur dissonum feminam principibus imperare. Mirswa tamże I. 27.

[47]) Aequo violentior visa est. Mirswa I. 107.

jaki w niéj obyczaje polskie wzbudzały [48]), otoczyła się samemi cudzoziemcami, i lada włóczęga zagraniczny zyskiwał nad zasłużonym krajowcem pierwszeństwo. [49]) W krótce więc oburzyła przeciw sobie naród do tego stopnia, że niepozostało jéj nic innego, jak poruczyć syna opiece życzliwych, a saméj wynieść się cichaczem z kraju do Niemiec. Co też i uczyniła.

BOLESŁAW II.

§ 10. Po ustąpieniu Ryksy objął rządy w Polsce Bolesław, syn najmłodszy Chrobrego. Od czasu jak ojciec jego po daremnych w Rzymie staraniach i długoletnich walkach z cesarstwem kazał sam w Gnieznie włożyć sobie na głowę koronę, koronacyja stała się prawem dla jego dzieci. Podobnie więc jak Mieczysław kazał się koronować i Bolesław zaraz przy objęciu tronu. [50]) W ciągu kilkoletniego panowania swego zachował się z wielką sprawiedliwością względem swoich poddanych, [51]) a nieprzyjaciołom ojczyzny walecznie się zastawiał. [52]) Właśnie wtedy, kiedy Mesko już dogorywał, zaszło w Czechach dość pomyślne dla Polski zdarzenie: Udalryk, który w roku 1033 uwięziony był przez cesarza, otrzymał wolność dnia 14 Kwietnia 1034 pod warunkiem, iżby podzielił władzę swoją w Czechach z bratem swym Jaromirem. Rządził ten Jaromir w Czechach przez czas niewoli Udalrykowéj wraz z synem jego Brzetysławem. Obiecywał powolność rozkazom cesarskim biedny więzień, lecz niebawem po powrocie swym do ojczyzny porozumiał się z Bolesławem pol-

[48]) Barbaros Slavorum pertæsa ritus. Monach. Brunvil. ap. Leibnitz S. S. I. 320.

[49]) Patriæ nobilibus quantumque libet primis quoslibet suorum Teutonorum lixas præponere coepit. Mirswa u Winc. I. 107.

[50]) Priusquam in regem coronatus fuisset. Boguph. u Somersb II. 25. Diademate regio insignitus. Boguf. w rkp. lubińskim str. 359.

[51]) Boleslavinus ad regnum Poloniæ assumptns rexit subditos cum magna probitate vitæ. Rkp. Bibl. Oss. nr 1102 str. 181 ex Cron. s. Bened. lit. 5. Cf. Pruszcz For. Monarch rozdz. 4.

[52]) „Rex strennuus“ Tab. Reg. rkp. str. 15.

skim, i pomoc jego sobie zapewniwszy schwytał i oślepił Jaromira, a Brzetysława z kraju wypędził. [53]) Stanęły więc Czechy w takim samym stosunku do Polski, jak za pierwszych lat Mieczysława. Cesarz zajęty był pod ten czas wojną burgundzką; syn jego Henryk, co to tak zręcznie wciągnął w politykę niemiecką Ottona i Brzetysława, skoro postrzegł tego ostatniego książęcia wygnańcem na swoim dworze, wyprawił się niezwłocznie z wojskiem do Czech, i wracającemu z Burgundyi ojcu chwalił się, że w dwóch spotkaniach odniósł zwycięztwo nad Udalrykiem i licznemi jego pomocnikami. [54]) Niewiemy, ile było prawdy w téj jego pochwałce. To pewna, że z synem swoim pojednał się wkrótce Udalryk; wszakże uczynił to — jak się zdaje — nie z przymusu, lecz raczéj z roztropności i skłonności wrodzonéj dla syna, który też do udziału swego na Morawii wróciwszy, był odtąd ojcu aż do jego śmierci powolny.

§ 11. Dalsza wojna toczyła się na pograniczu lutyków, których kraj stanowił wówczas część Polski. [55]) Napadali ich sasi z miasta pogranicznego Werben na lewym brzegu Elby. Zrobili odwet lutykowie, i niemało sasów pod témże miastem ubili, a więcéj poranili. Zażartość była z obu stron wielka. Ciągnął z wojskiem cesarz na lutyków poskromienie; zdaje się, że zastał ich w bardzo przeważającéj sile, bo z poskromiciela przybrał nagle rolę rozjemcy. Stanąwszy z wojskiem na granicy pytał, która strona dała pierwsza zaczepkę do zerwania pokoju? Powiedzieli lutykowie że sasi, i poje-

[53]) Oudalrichus Boemicus dux post reversionem, fratre cæcato filio fugato, item sacramenta refringens infidelitati institit. Pertz III. 99.

[54]) Filius suus (imperatoris) Heinricus rex licet in puerilibus annis, non segnius Reipublicæ consuluit in Bohemia et in cæteris regionibus Sclavorum: ubi et Udalricum ducem Bohemiæ, et reliquos quam plures cæsari adversantes strenue subjugavit, et redeunti patri occurens, de duplici victoria duplex gaudium populis effecerat. Wippo ap. Pertz XI. 271.

[55]) Swiadczy rocznikarz Hildeshejmski (Pertz III. 98) i Annalista Saxo (Pertz VI. 379) że Mieczysław II kraje od królestwa oderwane, znowu połączył. Ponieważ o oderwaniu ich późniéj od Polski żaden niemiecki pisarz ani też nikt inny nie powiada, oczywista więc, że w ich posiadaniu był następca Mieczysława II Bolesław II.

dynkiem tego dowieść byli gotowi. Zaprzeczali temu sasi, a chociaż czuli po swéj stronie niesłuszność, na pojedynek jednak przyzwalali. Zasiągnął cesarz rady panów w téj mierze, i zgodzono się na to, iżby pojedynek o prawdziwości zeznań rozstrzygnął. Wysunęli się naprzód dwaj zapaśnicy zgodnie od swoich wybrani. Ufny w chrześcijańską swą wyższość sas, wzgardził tak zwanym półpoganinem, i śmiało skoczył do boju. Słowianin, słusznością sprawy swéj przenikniony, dzielnie odpierał przeciwnika, a wnet cios mu potężny zadawszy, u nóg go swoich rozpostarł. Teraz zmiarkował cesarz, że się wdał w grę niebezpieczną: lutycy bowiem krnąbrném a niesprawiedliwém postępowaniem przeciwników swoich do żywego dotknięci, na widok padającego sasa rzucili się do broni, i wprost lecieli na obóz. Cesarz całéj swojéj powagi używszy, ledwie ich zdołał powstrzymać. Tem zakończył on swoją wyprawę tegoroczną, a przekonawszy się naocznie o potędze nieprzyjaciela i grożącém z téj strony niebezpieczeństwie, rozkazał wznieść w Werben mocną twierdzę, obsadził ją liczną załogą, nad którą Deda margrabiego przełożył; wezwał prócz tego saskich książąt, polecając im i przysięgą ich zobowiązując, iżby zgodnie wszystkiemi siłami nieprzyjacielowi temu opór stawili. Po tych rozporządzeniach odciągnął ku domowi.

§ 12. Ledwie zaczynała się wiosna roku 1035, gdy słowianie uderzyli na twierdzę Werben, zdobyli ją i całą załogę podchwyciwszy część jedną wycięli, resztę w niewolę uprowadzili. Poruszyło to mocno cesarza, i robił wielkie przygotowania do wyprawy, którą też latem uskutecznił. Nadciągnął z wojskiem do rzeki Elby; tu zaszli mu drogę lutykowie i przeprawy bronili. Powiodło mu się rzucić cichaczem część jedną wojska w bok, które straż słowian wyminąwszy, przeprawiło się samo przez rzekę, i całemu obozowi przeprawę ułatwiło. Zamknęli się teraz słowianie w miejscach obronnych, i odpornie się trzymali. Nie łatwo było je zdobyć. Sam cesarz dla wzniecenia zapału w wojsku brnął niekiedy po pas w wodę, słowem i przykładem do zwy-

ciężania przeszkód zachęcając. Wszystko to było daremne. Żadnego warownego miejsca nie zdobył, tylko okolice bezbronne mieczem i ogniem spustoszywszy, odszedł ku domowi. 56) Szczęśliwiéj atoli powiodło mu się w wyprawie, którą zrobił latem roku 1036. O bitwie żadnéj wtedy niesłychać; powiada tylko rocznikarz niemiecki, iż „za łaską bożą wszystko według myśli cesarzowi poszło: otrzymał zakładników i niezliczone pieniądze, i w pokoju do domu powrócił.“ 57)

Zdaje się, że za dobrowolném z obu stron porozumieniem stanął wtedy istotny pokój, i nie znachodzimy już żadnéj wzmianki o wojnach za czasów Bolesława II, któreby Polskę pośrednio lub bezpośrednio dotykały. Śmierć tego króla przypadła w roku 1038, dnia—ile się zdaje—17 miesiąca Czerwca. 58)

56) Sequenti vero anno idem castrum (Wibina) a paganis dolo captum est, et plures nostrorum qui in eo erant ab eis occisi sunt. Hinc commotus imperator iterum cum Copus usque Albim fluvium venit. Sed cum pagani transitum prohiberant, imperator per aliud vadum fluvii partem exercitus latenter transmisit, et ita fugatis hostibus ipse per ripam, liberam regionem ingrediens, immensis devastationibus et incendiis ubique, nisi in locis inexpugnalibus sic humiliavit eos, ut censum ab antiquis imperatoribus prepositum et jam auctum Chuonrado imperatoris postea persolverat. (Co do tego punktu myli się Wippo; pomieszał on wyprawę roku 1035 robioną z wyprawą w roku 1036, o któréj nic nie spomina. Spółczesny zaś rocznikarz Hildeshejmski zasługuje tu na większą wiarę, a ten ma o wyprawie roku 1035 te tylko słowa: *Imperator cum validissimo exercitu regionem Luitizionum intravit, quam longe lataque incendiis et populationibus devastabit.* Pertz III. 100. Natomiast o pomyślnościach cesarskich mówi rocznikarz Hildeshejmski dopiero pod rokiem 1036.) Daléj mówi Wippo: Multum enim laboravit Chuonradus imperator prius et tum in gente Sclavorum, unde quidam de nostris quoddam breviarum versifice fecit, quod postea imperatori præsentavit. Ibi legitur qualiter imperator interdum in paludibus usque femora stabat, pugnans ipse et exhortans milites ut pugnarent i t. d. Pertz XI. 271.

57) Aestivo etiam tempore (anno 1036) imperator regionem Luteziorum cum exercitu intravit. Sed Dei gratia omnibus pro suo velle dispositis, acceptis obsidibus et innumerabili pecunia in pace remeavit. Ann. Hildesh. ap. Pertz III. 100.

58) Dzień śmierci Bolesława Chrobrego zaciągniony jest w nekrologium wawelskiém temi słowami: Tertia Aprilis Bolezlaus rex Polonie, qui constituit episcopatus per Poloniam, obiit. Ani wątpić, że tu mowa o Chrobrym, bo on to w porozumieniu z Ottonem III zakładał polskie biskupstwa. Pod tym też dniem podaje śmierć Chrobrego i Dlugosz. Tymczasem w Czechach znalazł się inny o śmierci Bolesława zapisek. Kozma pragski, który naszego Chrobrego nie zna z imienia, i tak przy odzyskaniu Krakowa od Czechów, jako też i przy opanowaniu Pragi, nie Bolesławem, ale Meskiem go zowie,—wpadł przy pisaniu pierwszéj swéj księgi

DODATEK

O BOLESŁAWIE II.

Bolesław II Chrobrego syn jest najciemniejszą osobą w naszéj historyi. Do zatracenia pamiątki o nim połączyło się wszystko: interes stronnictw, przypadek i mylne rozumowania. Chcę tu w krótkości zebrać skazówki i resztki świadectw, na których się z tém, co o nim powiedziałem opieram a zatém okazać w jaki sposób pogodzić się dają niektóre w nich sprzeczności.

Chrobry miał synów trzech; donieśli nam o tém spółczesni miano-

na jakieś nekrologium, i podawszy najprzód dzień śmierci cesarza Henryka, mówi daléj: Anno dominicæ incarnationis 1025, 15 kalendas Julii obiit Boleslaus rex, który to ostatni wyraz w jednym rękopismie jest wyskrobany, a w drugim na *dux* poprawiony. Roczniki które — jak wiadomo — pierwotnie na cyklach czyli tablicach wielkonocnych powstawały, pilnowały zwykle biegu samychże lat, w bliższe oznaczenia czasu nie wdając się. Dzień śmierci należał właściwie do nekrologów: w nich zapisywano imię jak najkrócéj, częstokroć nawet godności osoby zmarłéj należycie nie wymieniano, bo przeznaczeniem ich była sama tylko spominka imienia przy nabożeństwie. Zapisek tedy Kozmy dokładnie dzień śmierci, a godność Bolesława pobieżnie wymieniając każe się domyślać, że wyjęty był z nekrologium. W takowych nekrologijach, gdy się już imion namnożyło, dokłada niekiedy ręka późniejsza i lata śmierci, albo też godność, dla samego tych osób rozróżnienia. Ciekawy obraz tego przedstawia pomienione przez nas nekrologium wawelskie: w niém obok imion ręką z XIII wieku wpisywanych, podokładano lata i godności osób w wieku XV. Gdy nie podobna jest przypuścić, iżby w Krakowie, gdzie za duszę Bolesława Chrobrego, jako jednego z głównych tamecznych dobrodziejów, nabożeństwo w kościołach odprawiano, dzień śmierci jego mylnie był zapisany; można więc mniemać, że zapisek czeski, przechowany dziś tylko u Kozmy, ściągał się pierwotnie nie do Chrobrego, ale do syna jego Bolesława, który tylko trzynastą laty przeżył swojego ojca. Zostawał on w związkach i dobrém porozumieniu z Czechami, jako ich sprzymierzeniec i zwierzchnik, i jako taki mógł słusznie znaleźć miejsce w ich nekrologijach. Do daty więc prawdziwéj, oznaczającéj dzień śmierci jego, dodano jak mniemam, znacznie późniéj rok mylny, mieszając syna z ojcem, bo tego czyny były głośniejsze.

wicie Tietmar (Chron. IV. 37); a chociaż Wippo w żywocie Konrada (Pertz. XI 269) mówi, że Chrobry dwóch tylko synów zostawił, wszelako mylka jego jest widoczna, i daje się zprostować nie tylko z dawniejszego Tietmara, ale i ze spółczesnych hildesheimskich i kwedlinburskich roczników (Pertz III. 90. i 98). Co do liczby więc synów mamy wiadomość dość pewną. Trudniejsza jest dowiedziéć się, jak się właściwie synowie ci nazywali. Najważniejsze źródło Tietmar tłómaczy się o tém niejasno, a niezgodne rękopisma jego trudność wykładu powiększają. Powiada on w powołaném miejscu, że Bolesław z żoną węgierką miał syna Besprima, z żoną zaś Kunildą słowianką, córką Dobremira — synów dwóch. Słowa jego według rękopisu brukselskiego tak opiewają: „Conildis, edita a venerabili seniore Dobremiro, peperit duos filios, Miseconem et alium, quem dilecti senioris sui nomine vocavit.“

Wyraz *senior* miewał rozmaite znaczenia; atoli dwa tylko z nich dadzą się tu zastosować; mianowicie znaczenie *pana* czyli władcy w stosunku do podwładnego, i znaczenie męża czyli małżonka.

Proste więc i naturalne tłómaczenie słów powyższych Tietmara jest następujące: Kunilda córka czcigodnego władcy Dobremira urodziła dwóch synów: Meska i drugiego, którego imieniem ukochanego męża swojego nazwała. Według tego więc nie podpadałoby wątpliwości, że drugi syn Chrobrego z Kunildy urodzony nazywał się Bolesławem. Ale tu nasunął niemałą trudność rękopis Tietmara drezdeński; w nim bowiem powyższe o Kunildzie słowa czytają wydawcy najnowsi tak: „peperit duos filios: Miseconem et alium, quem dilecti senioris sui nomine pater vocavit“ (Pertz III. 784) Ojciec dziecka więc miałby nazwać je imieniem *pana swego* (senioris sui) Dobremira. W wykładzie tym razi to, że Chrobry niebył nigdy w stosunku podwładnym do Dobremira; nie była w nim nawet i Kunilda córka od chwili, jak została żoną króla polskiego. Jéj panem i mężem był sam Chrobry, i do niego też słowa „dilecti senioris sui“ najwłaściwiéj przypadają. Mówi Tietmar nieco wyżéj o Dobrowce: peperit bona mater filium, quem fratris sui nomine Bolizlavi appellavit. Tak samo też i tu odnosił on zapewne wyraz vocavit do matki, która syna imieniem dilecti senioris sui t. j. imieniem ukochanego męża i pana swego nazwała. Trudność jednak takiemu wykładowi zadaje wyraz *pater*, który wydawca najnowszy Tietmara w rękopismie drezdeńskim dostrzegać mniema.

W dwóch tylko pomienionych rękopismach, mianowicie brukselskim i drezdeńskim przechowała się Tietmara kronika, a stosunek ich do siebie jest następujący: drezdeński zdaniem uczonych niemieckich jest w znacznéj części autografem, albo przynajmniéj ma poprawki niektóre, ręką autora zrobione. Mimo to nie jest on bez błędów, które w niejedném miejscu prostują samiż wydawcy najnowsi za pomocą rękopismu

brukselskiego. Nierównie młodszy od drezdeńskiego jest rękopism brukselski, wszelako nie jest on odpisem z niego, ale wypłynął z jakiejś innéj recenzyi, która—jak sam Pertz przyznaje—za życia autora była sporządzona. Możnaby więc—na brukselskim rękopiśmie opierając się—uważać wyraz *pater* rękopismu drezdeńskiego za jeden z tych błędów, które uszły baczności autora. Atoli nie koniecznie potrzebujemy obwiniać tu pisarza o błąd; znachodzi się bowiem inny sposób usunienia tych trudności.

Gdym w roku 1856 przejeżdżał przez Drezno, zatrzymałem się tamże umyślnie czas jakiś, aby obejrzéć tak inne osobliwości tamtejsze, jak i mniemany Tietmara autograf.

Pismo jego jest pełne skróceń, i sam ów wyraz, o który nam tu głównie chodzi, napisany jest trzema tylko początkowemi głoskami *pat* ze znakiem skrócenia nad ostatnią z nich. To więc, co wydawca najnowszy pater czyta, czytać się może i patris, i tak też nie inaczéj czytał już poprzedni i wzorowy wydawca Tietmara Wagner, a w tym to ostatnim razie znaczenie tych słów jest takie same jak i w rękopismie brukselskim. Autor bowiem mówi: „peperit duos filios Miseconem et alium, quem dilecti senioris sui nomine patris vocavit.“ Wyraz patris jest tu apozycyją, a cały okres wykłada się tak: urodziła dwóch synów: Meska i drugiego, którego imieniem ukochanego męża swojego, (a) ojca (dziecka) nazwała.

W taki więc sposób usunąć się daje trudność co do imienia syna najmłodszego.

Nie są też bez wątpliwości imiona innych synów Chrobrego. I tak Tietmar, który w rozebraném tu przez nas miejscu trzech tylko synów mianowicie: Bespriema, Meska i Bolesława wymienił, mówi na początku księgi ósméj o jakimś Chrobrego synu, który się zwał Otto. A gdy widzimy, że jedne i te same czyny rocznikarz hildeshejmski (Pertz III 98) o Bezbriemie, a Wippo (Pertz XI. 269) o Ottonie rozpowiada, wniosek więc oczywisty, że ten Chrobrego syn miał dwa imiona: jedno Bezbriem, a drugie Otto. Dwa też imiona miał—jak się zdaje—i średni króla tego syn, a ślady tego mamy następujące: rocznikarz krakowski (Rkp. perg. wawelski str. 4) zapisał bezpośrednio po śmierci Chrobrego wstąpienie na tron Meska: „Anno 1025 Boleslaus magnus obiit, cui Mesko filius ejus successit in regnum.“ I to samo mówią wszyscy kronikarze. Drugi zaś rocznikarz krakowski w tymże samym kodeksie przechowany, mówi na str. 10. „Anno 1025 Primus Boleslaus rex magnus obiit; Lambertus filius ejus succedit.“ Ta dwuimienność naszego Mieczysława II okazuje się nietylko przy jego wstąpieniu na tron, ale i przy jego śmierci. I tak czytamy w kalendarzu merseburskim (u Hofera str. 128) „Lambertus sive Miscio, dux polonorum decessit V Idus Mai.“ Pod tymże samym dniem t. j. 11 Maja zapisana jest śmierć

jego w nekrologium klasztoru ś. Michała w Bambergu (u Schannata Vindem. II. 52), gdzie go nazwano jedném tylko imieniem, „Misico.“ Gdy tedy dwaj starsi synowie Otto i Mesko mają po dwojgu imion, nicby nie było w tém dziwnego, jeśliby nam się coś podobnego przy śledzeniu dalszych losów najmłodszego z nich nawijało. Jakoż obaczy poźniéj czytelnik, że tegoż Bolesława nazywano też i Kazimierzem.

Nadzwyczaj ważne świadectwo o Bolesławie tym podaje pisarz z pierwszéj połowy jedynastego wieku Piotr Damiani w żywocie św. Romualda. Mówi on o Romualdzie: „Habebat autem equum satis egregium, quem sibi Buselaus Sclavonici regis filius dederat, factus ab eo monachus. (Pertz IV 850). Surius, który pomieniony żywot Romualda najpierwéj, bo jeszcze w wieku szesnastym wydał z rękopisow, podaje powyższe słowa z tą rożnicą, że w nich nazwany jest po imieniu synek Chrobrego. „Habebat autem equum satis egregium, quem sibi Boleslavinus Sclavonici regis filius dederat, factus ab eo monachus.“ „Miał też Romuald wcale dzielnego konia, którego darował mu Bolesławek, słowiańskiego króla syn, przyjęty przez niego na zakonnika.“ W rękopismach, które mieli pod ręką wydawcy najnowsi, imię Bolesława Chrobrego raz poraz przekręcane jest na Busklawa; nie jest więc do odrzucenia czytanie Suryusza, w którém imię to bez przekręcenia znalazło się. Choćby atoli Damiani nie wymienił tu wcale imienia syna Chrobrego, nie można jednakże wątpić, iż ta wiadomość odnosi się do syna jego najmłodszego, bo obaj starsi znani są bliżéj w historyi, i nie ma o nich najmniejszéj wzmianki, iżby byli mnichami.

Mamy więc wiadomość ze spółczesnych i wiarogodnych pisarzów wydobytą, że Chrobry miał trzech synów, że najmłodszy z nich Bolesław był w bliskich stosunkach ze św. Romualdem, zmarłym r. 1027 i przez niego do zakonu był przyjęty.

Według tych tedy niewątpliwych świadectw należy sprostować to, co o tych wypadkach pisarze późniejsi bajecznego rozpowiadają. Zdarzenia te przyczepione są u nich do dwóch imion: Bolesława i Kazimierza, i w tém jeszcze najmniéj jest bajeczności. Widzieliśmy bowiem, że najstarszy Chrobrego syn zwał się Bezbraim i Otto, że średni miał także dwa imiona: Lamperta i Mieczysława; mógł więc i najmłodszy z nich obok imienia Bolesława, którego prawdziwość z Tietmara, a w części z Damianina wykazałem, mieć także i drugie imię Kazimierz. *) Grubo atoli błądzą nasi kronikarze, gdy idzie o wy-

*) Imię Kazimierz bardzo wcześnie znane jest u słowian naddunajskich. Tego imienia książe Chorwacyi i Slawonii został męczennikiem za wiarę świętą, jakoś w pierwszych jeszcze wiekach po Chrystusie. Wzmianka o tém znajduje się w kronice węgiersko-polskiéj, gdzie anioł Attyli ukazawszy się powiada: „Praecepit tibi dominus deus Jesus Christus, ut cum ferocitate tua civitatem sanctam, Romam,

kazanie czyim on był synem. A błąd ten u nich musiał powstać koniecznie, bo żaden z nich nie wie, że Chrobry miał trzech synów, lecz wszyscy powiadają tylko o Mieczysławie jakoby jedynaku. Nie dziw więc że Bolesława, który po wygnaniu Ryksy panował, robią synem tejże Ryksy i Mieczysława. Jeden tylko Zbigniew Oleśnicki czytał—jak powiada— w dawnych kronikach, że ów książe polski, co to z mnicha królem został, był synem a nie wnukiem Bolesława Chrobrego. Nazywa go jednakże Meskiem 1) (Lites T. II str. 224). Odsuwając tedy na bok mylność rodowodu, jaki księciu temu dają nasi kronikarze, obaczmy azali się z nich o bliższych szczegółach życia jego nie dowiemy.

Ciekawą o nim wiadomość ma dopełniacz Mierzwy. Zna on dwie różne o Kazimierzu powieści. (De Kizimiro series historiae texitur modo diverso). Pierwsza z nich tyczy się niewątpliwie syna Ryksy; druga którą on nie wie gdzie ma odnieść, bo jest z tamtą nie zgodna a nawet przeciwna jéj, tyczy się syna Kunildy Bolesławka, zwanego prawdopodobnie drugim imieniem Kazimierz. Powiada on o nim: Ajunt enim hujus matrem parvuli in ipso partu expirasse; ipsum vero inter crepundia, alterum Herculem, novercales expertum delicias. Mesko (zamiast Boleslaus) vero, uxore mortua, nunc parvuli exosculans oscillum, nunc tenerum demulcens pectusculum, crebris anhelat flammis tacitis scinditur suspiriis, lacrimosis effluit imbribus, mortuae licet uxoris cineres vivo gestat in pectore: vultus enim filii speculum est matris suae. Quod noverca advertens industria versutia dolos versat, instruit insidias, puero necem intentat, ne pellex in se mortua, in prole videatur superstes, ne non sua soboles regni tandem successione potiatur. Secrete igitur quendam a secreto lenocitativis circumscribit sponsionum circumvenit blanditiis, aureis persuadet donativis ut puerum morti expo-

ubi apostolorum meorum corpora requiescunt ne introeas nec attemptare audeas; sed revertere et meum electum regem Casimirum, qui in Sclavoniae et Chorvaciae partibus toto cordis ac mentis affectu fideliter in seculo servivit, in eis qui ipsum tradendo turpiter occiderunt, ulciscere" i t. d. (Codd. mss. et ed. Kown. p. 14). Jakkolwiek rzecz się ma z tém objawieniem, pewna jednak, że w wieku dziesiątym i jedynastym znane było imię Kazimierz benedyktynom, jako imię chrześcijańskie, i prawdopodobnie dano je młodemu synowi Chrobrego Bolesławowi wtedy, gdy z namowy ś. Romualda habit benedyktyński przywdziewał.

1) Tu jest miejsce spomnieć jeszcze o jednêm podaniu, odnoszącém się do czasów panowania najmłodszego syna Chrobrego. Zapisał je w XIV wieku Dalemił w swojéj rymowanéj kronice. Mówi on o Brzetysławie czeskim:

Knež chte sweho dedi mstiti
i pocze do Polan jiti,
Mezka proti nemu wynde
A w tom boji Mezka sende.

Dal. Chron. Praga 853 str. 92. W boju tedy z czeskim Brzetysławem miał według téj wieści poledz książe polski Mesko roku 1038 czy 1039.

nat. Vir tamen tam Deo quam scientia plenus, ut puerum a morte redimat verbotenus consentit. Quem sub occisionis simulatione tollens, cuidam coenobio committit alendam. (Vinc. Kadl. ed. ged. str. 13. Ed. vars. I. 107).

Mamy tu dość szczegółowo podane okoliczności, które oddaniu do klasztoru królewicza polskiego towarzyszyły. Są one zupełnie wiarogodne. Dwóch tylko synów—jak mówi Tietmar—wydała na świat Kunilda; przy drugim umarła. Wstępował raz po raz w nowe śluby Bolesław Chrobry; zdarzyło się więc, że następczyni Kunildy wyłącznie dla się miłość małżonka, a dla potomstwa swego tron zabespieczyć pragnąc, na zgubę młodego Bolesławka czyhała. Wywiózł go z Polski poczciwy jakiś benedyktyn, i oddał ś. Romualdowi. Nie same duchowne sprawy zajmowały młodego królewicza, bo miał tam z sobą konika. Świadomy zapewne niebezpieczeństw, jakie jego wychowańcowi na dworze ojca groziły, skłonił go ś. Romuald, że z konikiem rozstawszy się, przywdział kapicę. Tymczasem minęły niebezpieczeństwa. Co się stało z ową macochą zazdrosną,—niewiadomo; dość, że około roku 1018 wstępował jeszcze raz w nowe śluby Bolesław, i może też około tego czasu o wydobyciu z klasztoru ukochanego syna swego pomyślał, bo się właśnie pojednał był wtedy z cesarzem Henrykiem, od którego potrzebne było takoż pozwolenie do uwolnienia Bolesławka od ślubów zakonnych. Opisują obszernie nasi kronikarze, jak Kazimierz (niby syn Ryksy) z klasztoru benedyktyńskiego w Kluniacu został uwolniony. Wiedzą nawet i tę drobną a charakterystyczną okoliczność, że gdy posłowie polscy wchodzili do fórty kluniackiego klasztoru, Karol albo Kazimierz zamiatający korytarz postrzegłszy ich, porzucił miotłę i skrył się. (Ex manuscripto incerti alicujus Poloni, rękopism bibl. Ossol. N. 1183 str. 158).

Powieść ich w ogólności okazuje widocznie, że mają w myśli syna Kunildy, chociaż o Ryksy synu gadają. I tak opowiada Długosz (Hist. II 199) że Kazimierz niby to syn Ryksy „ad beatum Romualdum, qui pro ea tempestate magna sanctitatis ut erat vir habebatur, in Italiam ex Gallis descendit, donatoque ei pulcherrimo, quem ex Polonia habuerat, caballo, et quisnam, cujusve nationis, generis, regni et fortunae esset; quove teneretur desiderio innotescens, confirmationem ab eo petit et indumentum monachale recipiens, in Gallias rediit, atque in monasterium, quod Cluniacense vocatur, frequentissimo monachorum numero celebre in ordine s. Benedicti, matre sua regina Rikscha desiderio favente suo, se recipi et tonsurari, suppressa generis sui et conditionis excellentia obtinuit, habitumque monachicum assumens illic perpetuo delitescere...... decrevit. Tak samo Pruszcz w Fortecy Monarchów (Kraków 1662 rozd. 4.) powiada że „królewic polski wnuk (zamiast syn) Bolesława Chrobrego konia ś. Romualdowi darował, i zakonni-

kiem został w rządzie ś. Benedykta.„ Różni się on od Długosza tém tylko, że królewica tego Bolesławinem nie Kazimierzem nazywa.

Ten tedy króla polskiego syn uwolniony był od zakonnych ślubów i powołany do tronu, jak się na to wszyscy kronikarze polscy zgadzają. Czas, w którym się to stało, daje się oznaczyć z następujących szczegółów:

Powiada Jan kronikarz w tak zwanéj „Chronica Polonorum" że panowie polscy prośby swoje za tym mnichem królewicem do Henryka II cesarza zanosili. Proceres Poloniae monachum sibi ab Henrico II imperatore restitui postulant (Stenzel S. S. Rer. Siles I 10). Było to więc za życia jeszcze Chrobrego, bo Henryk II w roku 1024 już nie żył. Takąż samą skazówkę na czas mamy w kronice kluniackiéj, przytoczonéj u Mabillona (Acta Sanctor IV, 366.); nazywa ona zakonnika tego Bolesławem i mówi, że od ślubów zakonnych uwalniał go Benedykt VIII papież, zmarły jak wiadomo roku 1024. Wiemy nakoniec z Galla, że przeczuwający bliską śmierć swoją Chrobry wszystkich książąt swoich z różnych stron około siebie zgromadził, tajemnie się z nimi nad zabezpieczeniem rządów kraju naradzając: omnibus suis ad se principibus et amicis undique congregatis de regni gubernatione et statu secretius ordinavit. Gal I. 16. Musiał więc tam już być i syn jego najmłodszy. Tym sposobem daje się oznaczyć czas, w którym książe ten z klasztoru wystąpił. Teraz zbierzemy świadectwa o jego panowaniu. Najważniejsze z nich podaje Bogufał, myląc się w tem tylko, że robi go jakoby starszym synem Ryksy a bratem Kazimierza, a przyczynę tego błędu jużeśmy wyżéj podali. Słowa jego są: Mesko de sorore Ottonis imperatoris genuit duos filios videlicet Boleslaum et Kazimirum. Quo (Meskone) anno domini 1033 mortuo, Boleslaus filius ejus primogenitus eidem successit, qui prius quam in regem coronatus fuisset matri suae multa opprobria inferebat. A daléj nieco: Boleslaus vero propter saevitiam et inhumanitatem scelerum quam exercebat, diademate regio insignitus, vitam male terminavit, nec in numero regum et principum Poloniae propter suam nequitiam reperitur. (Bogufała rkp. lubiński str. 359).

Z oburzeniem mówi tu nasz autor o niegodziwościach Bolesława. Jakoż niegodziwość to wielka lżyć i znieważać matkę rodzoną do tego stopnia, że przez niego aż na wygnanie poszła. Ależ to wina urojona, i trudno w tém dać wiarę Bogufałowi, bo Ryksa nie była matką Bolesława. A choćby się on w czemkolwiek do wygnania bratowéj swojéj przyczynił, powodem tego mógł być sam skład stosunków ówczesnych. Nie zdaje się nawet, iżby Ryksie był wielce nieżyczliwy, gdy syna jéj chował na dworze swoim aż do swéj śmierci (Gal. I. 18). Drugim zarzutem robionym głównie Bolesławowi jest ów od niemie-

ckich kronikarzy podany szczegół, jakoby się do zabicia Ottona przyczynił; ale to była tylko wieść niepewna. Jak tedy wielkiéj wagi jest dla nas w Bogufale przechowana wiadomość, że Bolesław wstąpił na tron po Mieczysławie i był koronowany,—tak co do sposobu panowania musimy z powodów powyższych zdanie jego odrzucić, a pójść za tém, co o nim ze źródeł benedyktyńskich i innych napomknięto. Znalazł Bogufał ten fakt, że króla koronowanego z rzędu panujących wykreślono: a to samo już nieświadomego stronnictw, jakie się podówczas w kraju ścierały, na podejrzenie o niegodziwości czynów jego naprowadzało. Zrobił go synem Ryksy, i widział że ona uciekła, gdy on na tron wstępował; zawiązał więc naturalnie, że syn był niegodziwiec.

W rękopismie Sędziwoja z Czechła znajduje się na stronicy 944 niedrukowana dotąd kroniczka polska, zawierająca poczet naszych książąt od Mieczysława I. Urywa się na Kazimierzu Wielkim, za którego była układana. Autor jéj nazywa Łokietka wyraźnie „pater *moderni* domini nostri", a o czynach głównych króciuchno napomyka. O Mieczysławie II powiada: „qui duos habuit filios, Boleslaum et Kazimirum. Qui Boleslaus male moritur, et Kazimirus frater suus monachus de ordine S. Benedicti in monasteris Cluniacensi, in regno Francorum efficitur, qui post multas strages in Polonia de anno domini 1037 ex licentia domini Benedicti papae IX eductus e monasterio et regnum Poloniae suscepit. Porównaj z tém wiadomość Długoszową. (Hist. II. 169).

Nakoniec powiada o tym Bolesławie, nie wymieniając jego nazwiska, autor Tablicy królów polskich: Tabula regum Poloniae, roku 1386 pisanéj, a znajdującéj się u mnie w rękopismie: In hac prodicta tabula regum Poloniae unus rex strennus (tak czytam ten wyraz po bliższém rozpatrzeniu się w pismie) non describitur, quia actus ejus fuerunt pessimi quos in cronicis Polonie invenire non valui. Et forte malitiam considerantes ejusdem regis scriptores, omnia de tali rege tacuerunt. (Rkp. str. 15). Zalecial—jak widzim—do wiadomości autora tego ten tylko fakt, że jeden waleczny król wymazany został z rzędu panujących. Domyślał się on, iż stało się to w skutek złych jego uczynków, ale ich nigdzie znaleźć nie mógł. Rządy przecież króla tego nie musiały być tak złe, kiedy przez cały ich ciąg o żadnéj klęsce kraju nie słyszymy; owszem walki na pograniczu staczane nie są bez chluby dla oręża polskiego, a hasło do napaści daje dopiéro nieprzyjaciołom Polski jego śmierć, jak to wnet obaczymy. Tu zastanowim się nad dwoma jeszcze ważnemi skazówkami, świadczącemi o króla tego panowaniu.

Z niewydanych dotąd pomników dziejowych Polski zasługuje w tym względzie na uwagę tak zwane „Collecta abbreviata de regibus Poloniae ex Cronica polonorum." Mam je z dwóch rękopisów: Puławskiego, czyli tak zwanego Sandka, zkąd je sobie sam odpisałem, i z rę-

kopismu koprzywnickiego niegdyś, a potém uniwersyteckiego warszawskiego, z którego odpis dawniéj udzielił mi czcigodny Joachim Lelewel, a swieżo w czasie bytności mojéj w Petersburgu wynalazłem tamże sam oryginał, i raz jeszcze z całą dokładnością go sobie przepisałem. Niewiadomo, jakiéj to kroniki skróceniem są te Collekta. Skróciciel żył za Jagiełły, i zdaje się zgoła już nie znać Władysława Warneńczyka. Swój wyciąg ograniczył on tylko do tych królów, którzy byli istotnie koronowani. Naliczył ich włącznie do Jagiełły ośmiu. Pierwszy z nich Chrobry. O nim powiada: Hic Boleslaus coepit regnare, seu regnum in Polonia creatum est sub anno domini 1002. Drugim królem jest Mesko secundus. Po nim następuje: Kazimirus tercius rex Polonie, to jest trzeci z kolei koronowany król polski. O nim powiada autor: „fuit filius Meskonis, et pater sequentis.“ Czwartym królem był znowu Kazimierz, poprzedniczego Kazimierza syn: Kazimirus quartus, diaconus, monachus ordinis s. Benedicti, per dispensacionem pape ducens uxorem; factus rex Polonie genuit Boleslaum interfectorem sancti Stanislai. Następuje daléj Bolesław Śmiały, który jest piątym koronowanym królem; szóstym Łokietek, siódmym Kazimierz wielki, a ósmym Jagiełło, na którym rzecz zakończona.

Jakkolwiek bałamutne w sobie są te „Collecta“, wykrywają nam jednak ciekawy szczegół z czasów przeddługoszowych, kiedy jeszcze źródła naszych dziejów reformie systematycznéj nie uległy, ale zachowały ile tyle cechy swéj pierwotności. Wówczas tedy wiedziano, że za Mieczysławem II następowało kolejno po sobie na tron polski dwóch Kazimierzów, a Bolesław Śmiały był synem tego drugiego.

Spomniałem już, że syn najmłodszy Chrobrego, Bolesław miał prawdopodobnie drugie imię, Kazimierz. Wniosek ten opieram głównie na datach następujących.

1) Rocznik Traski tak w pergaminowym warszawskim, jak i w Puławskim kodeksie ma zapisaną pod rokiem 1038 śmierć Kazimierza: „Kazimirus obiit, qui fuit monachus.“ Wiadomo, że samo pismo kodeksu warszawskiego z wieku czternastego pochodzi, a tekst sięga zapewnie czasów nierównie wyższych. Niema też powodu podejrzywać pisarza o błąd, gdy oba rocznika tego egzemplarze zgodne są z sobą. Późna jakaś z XV wieku ręka podskrobała nawet samo imię Kazimirus, i zapisała pod rokiem 1058 Kazimirus rex obiit, gdzie było dawniéj miejsce próżne. Ale można jeszcze dostatecznie rozpoznać imię podskrobane, a reszta pozostała pisma o sto lat starszego, niż ów przy roku 1058 zrobiony dodatek, nie zoztawia wątpliwości, iż tak pierwotnie było tu zapisano. Toż samo świadectwo możemy jeszcze oprzéć na pomnikach nierównie starszych.

W roczniku pergaminowym krakowskim czytamy na stronicy 4, pod rokiem 1025 Boleslaus obiit, Cui Mesko filius ejus successit. Cui

(Meskoni) Kazimirus filius ejus successit. A niebawem pod rokiem 1038 zapisano: Kazimirus obiit.

Tu mamy najwyraźniejszy ślad, że jakiś Kazimierz po śmierci Meska II na tron wstąpiwszy, panował od roku 1038, i w tymże roku umarł. Krakowski ten rocznik pisany jest ręką z wieku trzynastego, zatém o stó lat starszy od Traski kodeksu warszawskiego. Ale łatwo przekonać się możemy, że nawet i przed wiekiem trzynastym wiadomość ta już była w rocznikach zapisana. Pisarz bowiem, około połowy dwunastego wieku żyjący, tak zwany Saxo annalista, donosi pod rokiem 1039 o śmierci naszego Kazimierza i dodaje że na odgłos o téj śmierci księcia polskiego wpadł do Polski czeski Brzetysław. (Pertz VI. 683). Nakoniec podaje nam śmierć Kazimierza w roku 1039 przypadłą Kozma pragski, który na początku dwunastego wieku pisząc, przeżył sam pięćdziesiąt i kilka lat w wieku jedynastym, a roczniki które mu służyły za źródło były zapewne spółczesne. Podania więc tak stare o księciu, który się zwał Kazimierz, wstąpił na tron po śmierci Meska, a przed wtargnięciem do Polski Brzetysława czeskiego umarł, uważane w związku z tém co Bogufał i inni o panującym podówczas w Polsce Bolesławie powiadają i co wiemy z dawniejszego Tietmara i Damaniego, zniewalają do wniosków, że najmłodszy Chrobrego syn miał dwa imiona: Bolesława i Kazimierza.

Długosz pod rokiem 1016 urodziny Kazimierza syna Ryksy z wielką dokładnością, tak jak je ma rocznik krakowski, opowiedziawszy, podaje w trzy lata później tę wiadomość. Rikscha ducissa consors Miecislai filii Boleslai Poloniae regis iterum foecundata, infantem parturit, cui nomen avitum Boleslaus datum est, qui tandem, pauco tempore vivens, imatura morte diem obiit. Jeśli ta wiadomość opiera się na tak pewném podaniu, jak poprzednia (o czém jednak dziś przekonać się nie możemy), mielibyśmy w tém pojaśnienie, jakim sposobem zatarła się do szczętu pamięć o panowaniu najmłodszego syna Chrobrego.

Miał on dwa imiona, które nosili także dwaj synowie Ryksy; ztąd plątano najprzód jéj synów z synem młodszym dwuimiennym Kunildy; odróżniano jeszcze przez jakiś czas dwóch Kazimierzów, z których obaj byli koronowanymi królami; zbito ich później w kupę przy dalszéj kronik naszych reformie; a gdy tym sposobem zrobiła się siedmioletnia przerwa w dziejach, zaczęto więc rozpowiadać jakoby przez siedm lat w Polsce bezkrólewie trwało.

Ten tedy Crobrego syn był właściwie Bolesławem *drugim*, a Śmiały czyli Szczodry, syn Kazimierza, Bolesławem *trzecim*, i tak go też zowie w XV jeszcze wieku Staniśław Streczaka: *Tertius* vero Boleslaus subintravit et metas Polonie reformavit et dicebatur *largus*, qui ob ge stum superbie i t. d. (Rękopis Tyniecki karta 14).

SŁOWIANIE W ANDALUZYI

PRZEZ

Karola Szajnochę.

1. Starodawne związki Słowian z Hiszpanią.

Napróżno pytalibyśmy Słowian dzisiejszych o pamięć przedchrześcijańskich stosunków z Andaluzyą. Nawet właściwe znaczenie nazwy *Andaluzya* potrzebuje dziś wyjaśnienia. Nazywała się tak w wiekach średnich, mianowicie w pierwszéj onych połowie, cała przez Arabów opanowana Hiszpania. W tych to czasach i stosunki Słowian z władającymi w Andaluzyi Arabami dobrze były wiadome. Osobliwie z wieku X zostało kilka jednogłośnych a nadzwyczajnie ciekawych świadectw w téj mierze.

Między latami 943 a 948 pisał uczony arab Massudy swoje historyczne dzieło *Łąki złota i Kopalnie klejnotów*, w którem znajdujemy dwukrotną wzmiankę o Słowianach w Hiszpanii. Raz opowiada Massudy: „Najliczniejszy naród Słowian nazywa się Luzane. Prowadzi on handel aż do Andaluzyi, Konstantynopola i Kazarów.“ W drugiem miejscu czytamy o chowie bobrów w okolicach Kijowa, zkąd futra bobrowe idą w handel do Andaluzyi. 1)

Najsławniejszym ze wszystkich arabskich królów Hiszpanii czyli kalifów Kordowy był Abdelrachman III 2), u którego pomiędzy dostojnikami dworu urzędował także mądry izraelita Chasdaj. Ten około roku 959 pisząc do króla Kazarów w Azyi, donosi między innemi, iż u kalifa

Abdelrachmana bywają posłowie od cesarza greckiego, od króla Niemców i od króla narodu Gebalim, „którzy są Słowianami *(al-Sekalab)*.“ W dalszym zaś ciągu wspomina list Chasdaja o nadeszłych właśnie posłach od tegoż króla Słowian, z którymi przybyło także do Kordowy dwóch żydów. [3])

O tymże samym kalifie Abdelrachmanie III dowiadujemy się od pisarzów arabskich, iż przyjmował również poselstwa od jakiegoś króla Słowian imieniem Ducu. Wracającemu posłowi książęcia słowiańskiego został przez Abdelrachmana przydany wzajemnie poseł z Kordowy, jakiś (mozarabski zapewne) biskup Hugo Rabia, który dopiero po dwóch latach powrócił z téj słowianskiéj wędrówki. [4])

Najwymowniejsza atoli wzmianka o stosunkach Słowian z Arabami w Hiszpanii pochodzi z roku 976, od arabskiego imama Ebn-Haukala, który w swojéj *Księdze podróży* opowiada: „Kraj Słowian jest tak wielkim, że na wschód dostarcza niewolników Korassanowi, na zachód zaś Andaluzyi. Andaluzyanie zakupują ich w Galicyi, we Francyi, w Lombardyi i Kalabryi, aby ich uczynić eunuchami, poczém wywożą ich do Egiptu i Afryki. Wszyscy eunuchowie słowiańscy, którzy gdziekolwiek są w świecie, pochodzą z Andaluzyi. [5])

Jakkolwiek dziwną wydaje się ta wiadomość, nie jest ona przeto mniéj wiary godną. Nie brak bowiem doniesień innych, utwierdzających ją w wysokim stopniu. Ebn-Haukal opowiada, iż Arabowie otrzymywali niewolników słowiańskich z Galicyi, Francyi, Lombardyi i Kalabryi, a wszystkie te kraje prowadziły wówczas istotnie bardzo skrzętny handel niewolnikami w strony arabskie.

Co do Lombardyi i Kalabryi, to jest co do Włoch całych (pod Lombardyą rozumiano wówczas wszystek kraj włoski od Alpów aż do Rzymu) — tam zwłaszcza Wenecyanie trudnili się zakupowaniem i wywozem niewolników do Andaluzyi. Sama stolica Rzymska służyła im za targowisko takiego handlu. Odbywały się nad Tybrem głośne jarmarki

niewolników, o których np. pod rokiem 747 dowiadujemy się w żywocie św. Zacharyasza, iż dostarczyły Wenecyanom wiele ludności niewolniczéj, mającéj być wywiezioną przez nich do krajów Saraceńskich. [6]) Kiedy ustawy papiezkie i cesarskie zabroniły Wenecyanom parać się ludokupstwem po głównych miastach włoskich, powetowali oni tę stratę sposobem innym i weszli w porozumienie z liczną zgrają korsarzów na morzach Adryatyckiem i Środziemnem. Ci łupem i taniem kupnem brali niewolników po wszystkich brzegach sąsiednich, a Wenecyanie wieźli ich w handel do Afryki i Andaluzyi. [7]) Nie było zaś brzegów obfitszych w łup i towar ludzki nad wybrzeża po słowiańskiéj stronie morza Adryatyckiego, gdzie jeszcze w wieku XV kwitnęły tak bogate targi na niewolników, jak np. Raguza. [8]) To też największa zapewne część tłumów niewolnych, sprzedawanych ludom muzułmańskim w owym handlu rzymskim, weneckim i korsarskim, składała się ze Słowian, którzy nawet od tego otrzymać mieli w tych stronach swoją nazwę Serwów, t. j. z łacińska *niewolników*, iż byli ofiarą ciężkiéj niewoli. [9])

Co do Francyi tam walnemi stacyami handlu arabsko-niewolniczego słynęły wówczas miasta Verdun i Lyon. O Werduńczykach donosi około roku 948 biskup Liutprand, iż nietylko dostawiali niewolników Saracenom w Hiszpanii, ale dla większego zysku zamieniali ich sami w eunuchów. [10]) W Lyonie trudnili się tym handlem najwięcéj Żydzi, oskarżani o to wielokrotnie przed władzą cesarską i królewską, mianowicie przez arcybiskupa Lyońskiego Agobarda (umarł roku 840). Pozostał jeszcze list jego *O niegodziwości żydowskiéj,* w którym wyczytujemy jak wiele cierpiał od Żydów i „przyjaciół żydowskich,“ ponieważ upominał ludzi w kazaniach, aby niedopuszczali Żydom kupować i wywozić niewolników do Arabów w Hiszpanii. [11]) Droga z Hiszpanii na Lyon i Verdun prowadziła ku brzegom Renu i niższéj Elby, t. j. w strony słowiańskie, będące właśnie teatrem najsroższego kupczenia ludźmi. „Kiedy Czesi“—mówi o tém nawiasowo pisarz dzisiejszy—[12]) „jeńców i brańców

polskich sprzedawali, kiedy koło 1160 Pomorzanie zbiegłych i schronienia u nich szukających Obodritów Polakom, Sorabom i Czechom sprzedawali—była to prawdziwa synów i córek w Słowiańszczyźnie sprzedaż.... Matka Bolesława Krzywoustego, królowa Judith (zmarła 1085) wielką liczbę chrześcijan z niewoli żydowskiéj wedle możności wykupywała“—bo „Żydzi w Polsce póki mogli, korzystali z tego i ludźmi handlowali.“ Jeśli zaś znany kronikarz niemiecki Thietmar, żyjący za czasów Ebn-Haukala, wyraża się przysłowiowo o mieszkańcach zniszczonej wojną osady: „poszli w rozsypkę jak rodzina słowiańska, która w różne strony idzie na sprzedaż w niewolę“ — tedy słuszna przyjąć za pewne, iż jedną z tych *różnych stron* była droga na Verdun i Lyon do Hiszpanii. Przypominają się tu mianowicie owi dwaj Żydzi Chasdaja, towarzyszący poselstwu słowiańskiego króla Gebalimów do Abdelrachmana III, a bogdaj czy nie tym samym obładowani towarem, którym kupczyli owi Żydzi polskiéj królowéj Judyty i owi żydowscy ludokupcy Lyonu.

Otrzymywali wreszcie Arabowie niewolników naszych z Galicyi, t. j. od brzegów morskich w zachodnio-północnym kącie Hiszpanii. Lądowały tam oddowna handlowe statki pewnego ludu, który nie tylko sąsiadował ze Słowianami, ale nawet wzdłuż brzegów Baltyku panował długo nad nimi, t. j. Normanów. Już od roku 827 grasowali ci korsarze wojennie po brzegach Galicyjskich i Portugalskich, a wiadomo iż przed rozpoczęciem wojennych wypraw normańskich na pewne kraje, bywały one pierwéj odwiedzane od handlowych łodzi Normanów, które za powrotem na północ przywoziły pierwszą wiadomość o bogactwach zwiedzonéj ziemi, i dawały pierwszą zachętę do zbrojnego na nią najazdu. Wziąwszy zaś na uwagę, iż głównym artykułem handlowych wypraw normańskich bywali niewolnicy, tudzież przypomniawszy sobie owe tłumne jarmarki na niewolników, które według świadectwa Helmolda odbywały się do późna u słowiańskich brzegów Baltyku, prze-

staniemy się dziwić, jakim sposobem Andaluzyanie spotykać mogli Słowian w Galicyi.

Spotykano się z nimi w istocie po tych wszystkich krajach i drogach, któremi Ebn-Haukal tak tłumnie sprowadza ich do Hiszpanii. Widząc niewolników słowiańskich przybywających jedną stroną od wschodu z Lombardyi i Kalabryi, drugą stroną od zachodu i północy z Galicyi, miał Haukal zaiste słuszność dziwić się wielkości kraju, który tak różnym krańcom świata dostarczyć mógł brańców swoich. Ze względu na takąż wszechstronność tamtoczesnéj niewoli słowiańskiéj nazywa Benjamin z Tudeli jeszcze w wieku XII całą Słowiańszczyznę krajem Kanaan, „z powodu że jéj mieszkańcy sprzedają swych synów i swe córki wszystkim narodom,“ [13]) a jeśli czyjem, tedy właśnie Benjaminowem świadectwem o niewoli słowiańskiéj po wszystkich krajach słuszna sprawdzić świadectwo Ebn-Haukala o tłumnéj niewoli Słowian w Hiszpanii, gdyż Benjamin był z zamieszkania Hiszpanem, z urodzenia zaś Żydem, a tem samem spółwyznawcą głównych handlarzy ludźmi.

Nie brak więc różnostronnych skazówek, pojaśniających wiadomość Ebn-Haukala. Co więcéj, nie brak nawet szczegółowych doniesień o losach, jakich ci do arabskiéj Hiszpanii wywożeni Słowianie doznawali tam w ciągu wieków. Były to losy zrazu powszednie, późniéj coraz pomyślniejsze, w końcu niezwyczajnie świetne i wielkie. Donoszą o nich pisarze arabscy, opowiadający współcześnie lub blizkocześnie dzieje Maurów w Hiszpanii, podziśdzień w rękopisie, do niedawna po największéj części nieznani. Zajmowali się nimi wprawdzie od zeszłego wieku uczeni europejscy, mianowicie bibliotekarz madrycki Casiri i Anglik Murphy. Tamten roku 1760 wydał w Madrycie dzieło pod tytułem *Bibliotheca Arabico-Hispana Escurialensis*, ten w Londynie roku 1816 ogłosił swoją Historyję panowania Mahometanów w Hiszpanii, *History of the mahometan empire in Spain*, głównie ze źródeł Kasirego czerpaną. Obydwie te prace mieszczą wiadomości i wyjątki z arabskich dziejopisów Hiszpanii, zawierające niemało wzmianek o Słowia-

nach w tym kraju, ale o ogólnem bogactwie historycznéj literatury arabskiéj dają bardzo niedokładne wyobrażenia. Dopiero w roku 1820 wyszło w Madrycie zupełniejsze w téj mierze dzieło napisane przez J. A. Conde pod tytułem Historya panowania Arabów w Hiszpanii, *Historia de la dominacion de los Arabes en Espana, sacada de varios manuscritos y memorias arabigas*, po niemiecku w przekładzie Rutschmana w Karlsruhe 1825. Przedstawiając po raz pierwszy w obszerniejszych zarysach i prawie całkowicie słowami historyków arabskich dzieje i urządzenia Maurów w Hiszpanii, nagromadził Konde zarazem najobfitszy zapas wiadomości o naszych Słowianach w Andaluzyi. Z zawartych w jego dziele opowiadań arabskich, tudzież z dawniejszych wyjątków Kasirego [14]) podajemy co następuje.

2. Straż słowiańska w Kordowie.

Najdawniejsza wzmianka o pobycie Słowian w Hiszpanii pochodzi z czasów emira czyli króla Hakema I, panującego Arabom hiszpańskim od roku po Chr. 796 do 822. Czytamy o nim w dziele Kondego: [15]) „Król Hakem zaprowadził u dworu straż przyboczną złożoną z pięciu tysięcy zbrojnych, w liczbie których było 3,000 Mozarabów a 2,000 Słowian. Utrzymywał także król Hakem wielu eunuchów wewnątrz pałacu.“

Działo się to w sto lat po zawojowaniu Hiszpanii przez Arabów, a w lat pięćdziesiąt po nastąpieniu tam sławnéj dynastyi Omejów, władających pierwéj wielkim kalifatem wschodu w Bagdacie. Hakem I czyli całkowitem imieniem Alhakem ben Hiszem Abulasi był trzecim królem arabskim w Hiszpanii z dynastyi Omejadów, a słynie jako jeden z najsamodzielniejszych monarchów swojego rodu. Starając się o nadanie nowemu państwu jak największéj potęgi i świetności, odznaczył się Hakem osobliwie uzupełnieniem brakujących mu porządków dworskości oryentalnéj. W zastosowaniu do niéj należało otoczyć się jak najliczniejszemi tłumami niewolników, przeznaczonych do usługi i

obrony monarchy. Jakoż dwór Alhakema ben Hiszem napełnił się w istocie tak wielkim tłumem służby niewolnéj, jakiego według wyraźnych upewnień dziejopisów arabskich „nie utrzymywał przedtem ani dziad jego ani ojciec.“ Nastała liczniejsza straż przyboczna, nastała zgraja eunuchów. Straż nadworna pobierała żołd i składała się z dwóch oddziałów: jeden był konny, stał załogą w przyległych alkazarowi czyli dworowi królewskiemu koszarach i liczył 3,000 tak zwanych Mozarabów, t. j. dawnych chrześcijan andaluzyjskich, wynarodowionych pod panowaniem arabskiem, najczęściéj renegatów. Oddział drugi służył pieszo, zamieszkiwał wnętrza alkazaru i składał się z 2,000 niewolników, zakupionych z krajów odległych, i pełniących także służbę pałacową przy osobie królewskiéj.

Ci ostatni byli to nasi Słowianie. Złożony z nich oddział nazywają dziejopisowie arabscy stale i wyraźnie „strażą słowiańską,“ Słowianami czyli zwyczajnem brzmieniem arabskiem Seklabami lub Saklabami. W wyjątkach arabskich u Kasirego ma ta nazwa jeszcze formę Skalab, Skalabi, w zakończeniu łacińskiem *Scalabaeus*, *Scalabitae.* Przyczynę tego wskazuje sam wydawca, żaląc się w przedmowie do swego dzieła, iż badanym przez niego rękopisom arabskim brakuje nierzadko samogłosek [16]), przezco zmuszony umieszczać je dowolnie, a nie mając jeszcze utorowanéj zwyczajem drogi, trzymał się Kasiri powszechnéj w średnich wiekach łacińskiéj formy *Sclavi* lub *Sclabi*, i zamiast dzisiejszego czytania *Saklab* czytał zwykle *Skalab.* Wiedział zresztą uczony bibliotekarz madrycki, kto byli nazwani tak cudzoziemcy, gdyż na stronie 206 tomu II dodaje sam objaśnienie: „Skalabi są to Illyrowie, zwani pospolicie Słowianami, którzy pod owe czasy służyli zbrojno w Hiszpanii.“ [17]) Żadnemu też z późniejszych pisarzów nieprzyszło na myśl mieć naszych Skalabów za co innego, a nowsi tłumacze dziejopisów arabskich Murphy i Konde, jako też inni korzystający z nich pisarze jak Aschbach w swojéj Historyi Ommajadów i Hammer-Purgstall w Galeryi żywotów najznakomitszych monarchów muzułmań-

skich zarzucają nawet zupełnie formę arabską, i piszą zwyczajnym sposobem Słowianie, *Sclavonians*, *Slaves*, *Slaven*, *Slavonier*.

Oprócz obowiązków w straży przybocznéj pełnili Słowianie w Kordowie jeszcze ową służbę eunuchów, do któréj w tak wielkiéj liczbie przeznacza Ebn-Haukal niewolników słowiańskich w Andaluzyi, t. j. w ogólności służbę pokojowców królewskich. W przytoczonym powyżéj ustępie z opowiadań arabskich u Kondego, wzmianka o dwóch tysiącach Słowian w przybocznéj straży króla Hakema łączy się bezpośrednio ze wzmianką o wielu eunuchach wewnątrz pałacu królewskiego, a owa wiadomość Ebn-Haukala o niezmiernéj ilości eunuchów słowiańskich w Hiszpanii daje nam wszelką pewność, że i ci eunuchowie Kondego byli to w znacznéj części Słowianie. Owszem według dalszych świadectw arabskich w Kasirim przeważała liczba Słowian tak dalece w tłumie eunuchów królewskich, iż nazwa Słowianin a eunuch stała się zupełnie równoznaczną. Ztąd np. zamiast „jeden z eunuchów zabił króla Alego“ mówiono „jeden ze Słowian zabił Alego“ [18]) — zamiast „wielu Słowian poniosło za to karę śmierci na krzyżu“ piszą kronikarze arabscy „wielu eunuchów poniosło karę śmierci [19])“ — zamiast „Wadha, dozorca pokojowców słowiańskich“ czytamy „Wadha, dozorca eunuchów“ [20]) i t. d. Nakoniec słusznie czy niesłusznie przeszła nazwa eunuchów na całą straż słowiańską, oznaczaną tem oryentalnem mianem równie u dawniejszych pisarzów arabskich jak i dzisiejszych chrześcijańskich. W skutek tego zamiast powiedzieć za Kondem, iż w przybocznéj straży króla Hakema służyło 2,000 Słowian, liczy w niéj oryentalista Herbelot 2,000 eunuchów, [21]) głośna zaś późniéj wojna domowa między przyboczną strażą słowiańską a afrykańską nazywa się w arabskim kronikarzu Alhomaidim wojną eunuchów z Berberami. [22]) Z czem nareszcie zgadzają się dzisiejsi przerabiacze wiadomości arabskich, pisząc jak Aschbach „słowiańscy eunuchowie w straży przybocznéj,“ [23]) albo jak

Hammer-Purgstall „przez naczelnika słowiańskiéj straży eunuchów.“ [24])

I tem łatwiéj zapewne rozciągniono jedną ogólną nazwę na Słowian w straży i Słowian pokojowców, [25]) ile że ci i tamci byli zarówno niewolnikami, zakupionymi wraz z owym tłumem innych niewolników słowiańskich, których według Ebn-Haukala rozsyłano z Andaluzyi daléj po różnych krajach. Pewien pisarz arabski opowiada, iż ponieważ nasi Słowianie w Kordowie nie rozumieli języka Muzułmanów, przeto dawano im nazwę Niemych, po arabsku *al-charas.* [26]) Znany zaś oryentalista niemiecki Hammer-Purgstall mniema to słusznym odwetem za nazywanie Teutonów przez Słowian podobnież Niemymi czyli Niemcami. [27]) Inny pisarz arabski ma naszych Słowian andaluzyjskich za „cudzoziemców od wschodu,“ [28]) co ze względu na geograficzne położenie krain słowiańskich nad niższym Dunajem albo Wisłą i Dnieprem wobec półwyspu Pirenejskiego okazuje się rzeczą całkiem właściwą.

Nie zbywa nawet na poszlakach do oznaczenia poszczególniéj ojczyzny niektórych Słowian w Hiszpanii. O jednym z najgłośniejszych naczelników słowiańskich, o którym przyjdzie nadmienić więcéj osobno, pozostała wiadomość, iż był rodem z Dalmacyi. [29]) Wielu Słowian w straży poźniejszego kalifa Abdelrachmana III wyprowadza jeden z nowszych pisarzy [30]) z krajów słowiańskich pod panowaniem węgierskiem, będących istotnie nieposledniem roiskiem ludokupstwa pod owe czasy. Prowadziły ztamtąd mianowicie dwa różnostronne trakty handlowe, któremi niewolnicy wielkomorawscy dostać się mogli nakoniec do Hiszpanii. Jeden szedł w stronę zachodnią, ku Francyi, owem pograniczem bawarskiem, kędy przepisy niemieckiego króla Ludwika z roku 906 uwalniały handel niewolnikami morawskiemi od wszelkiéj opłaty celnéj; [31]) drugi wiódł na południe, ku Wenecyi, z którą Węgrzy od najpierwszych czasów swego wtargnięcia do Wielkiéj Morawii ciągłe utrzymywali stosunki. Z Francyi zaś i Wenecyi otwierała się biednym „Kanaanitom“ morawskim daleko łatwiejsza droga

do Arabów w Kordowie, niż nazad do ojczyzny. Na Galicyjskie wreszcie targi przybywał niewolnik słowiański najprawdopobniéj z okolic nadelbiańskich, zkąd dowoził go Arabom w Hiszpanii bądźto Niemiec ową drogą na Werdun, bądź kupiec normański morzem wzdłuż brzegów Francyi.

Pododnież i pora najpierwszego pojawienia się Słowian w Hiszpanii licuje z wiadomemi zkądinąd zdarzeniami, które mogły wpłynąć na to zjawisko. Zaprowadzenie straży słowiańskiéj i eunuchów przez króla Alhakema I nastąpiło między latami 796 i 822, a też właśnie czasy dały początek najsroższéj pladze podbojów i ludokupstwa w ziemiach słowiańskich. Po owym albowiam roku 747, kiedy na targach w Rzymie kupowano publicznie niewolników do wywozu w strony arabskie, wzmógł się najbardziéj korsarsko-wenecki handel ludźmi wzdłuż słowiańskich wybrzeży Adryatyku. Od roku 789 uderzyły w Słowiańszczyznę nadelbiańską pierwsze wojenne szturmy Franków i Niemców, łączone każdym razem z uprowadzeniem tłumów słowiańskiego ludu w niewolę. W tymże samym nakoniec czasie zaczęły u zachodnich brzegów Hiszpanii pokazywać się łodzie normańskich handlarzy ludźmi, niemylne zwiastunki blizkich napadów zbrojnych.

Od czasów Alhakema I nie słychać przez dłuższe lata o Słowianach w Kordowie, lecz że się znajdowali u dworu, tego dowodzi następująca wzmianka z czasów króla Abdalli między rokiem 888 a 912, dająca nam obraz ich uzbrojenia i pochlebne świadectwo wziętości, na jaką sobie zasłużyli u ludu.

„Gdy Abu Otman usunął się od urzędu wezyra“ — opiewa dosłownie opowiadanie arabskie [32]) — „przełożył go król Abdalla nad swoją strażą słowiańską, złożoną z samych cudzoziemców od wschodu. Byli oni w wielkiem poszanowaniu, i odznaczali się osobliwszą powagą w postawie i obyczajach, wypróbowanem męztwem, wiernością i przychylnością. Słowianie pełnili służbę wewnątrz pałacu,

a każden był uzbrojony mieczem do uderzania oburącz, tarczą i berdyszem."

Po Abdalli nastąpił ów Abdelrachman III czyli całkowitem imieniem Abdelrachman ben Mohamed ben Abdalla Anazir Ledinalla, który przyjmował poselstwa od króla słowiańskich Gebalimów i od słowiańskiego książęcia Ducu— najsławniejszy z arabskich władzców Hiszpanii. On to pierwszy z emirów czyli królów swojéj dynastyi przybrał tytuł kalifa, który kronikarze łacińscy tłumaczą wyrazem „cesarz." Licznie od różnych monarchów tamtoczesnych nadsyłane do jego tronu poselstwa, stojące potąd ruiny wznoszonych przezeń gmachów, przechowane dotąd rękopisy wspieranéj przezeń literatury arabskiéj, świadczą podziśdzień o niezwykłym blasku jego korony. Panując z bezprzykładną okazałością przez lat pięćdziesiąt (od roku 912 do 961), rozszerzył i uświetnił Abdelrachman wszystkie po przodkach odziedziczone porządki swojego państwa. Doznała tego i założona przez Alhakema I straż królewska, mianowicie słowiańska. Cała gwardya przyboczna składała się teraz z 12,000 ludzi w trzech różnonarodowych oddziałach, t. j. ze Słowian, z Mozarabów andaluzyjskich i Maurów afrykańskich czyli Zenetów. Jak te dwa ostatnie oddziały tak i oddział słowiański urósł pod Abdelrachmanem do liczby 4,000 zbrojnych. [33]) Według innych doniesień utrzymywał ten kalif u swego dworu razem 6,087 Słowian [34]). Być może iż wskazana powyżéj liczba czterech tysięcy oznaczała tylko hufiec Słowian służących w straży przybocznéj, reszta zaś 2,087 pełniła służbę pokojową przy osobie kalifa. Na wszelki wypadek tak ci pokojowcy słowiańscy, jak i zbrojni Słowianie w straży przybocznéj, zapełniającéj wnętrza alkazaru, otaczali ciągle monarchę i mieli przeto daleko bliższy przystęp do jego powiernictwa i względów niż obadwa inne oddziały, konni Mozarabowie i Afrykanie.

W takim to bezpośredniem pobliżu tronu widzimy straż słowiańską za Abdelrachmana III, około roku 949, przy uroczystem przyjęciu poselstwa cesarza Bizantyńskiego,

jako też nazajutrz po śmierci tego kalifa w roku 961, przy intronizacyi jego następcy Alhakema II. Mianowicie ta ostatnia scena — opowiadają źródła arabskie [35]) — odbyła się bardzo wspaniale. „Siedzącego na tronie monarchę otaczali jego bracia, stryjowie i naczelnicy straży przybocznych, tak słowiańskiéj jak andaluzyjskiéj i afrykańskiéj. Naprzeciw tronu stał hadżib wraz z wezyrami. Straż słowiańska, uszykowana w dwa rzędy, trzymając w jednéj ręce miecze nagie, w drugiéj tarcze ogromne, zajmowała w półkolu całą objętość sali. Za nią ustawieni byli również w dwóch rzędach niewolnicy murzyńscy w białym stroju, z toporami na ramionach. Na dziedzińcu przed pałacem stały inne oddziały straży, t. j. straż andaluzyjska i afrykańska, w przepysznym stroju i świetnéj zbroi. Resztę placu zapełniali biali niewolnicy, z nagiemi mieczami w ręku.“

Ale nie tylko do popisów przy uroczystościach podobnych doprowadziła Słowian pałacowa służba w Kordowie. Wsparci łaską kalifów i zbiegiem pomyślnych okoliczności wznieśli się niektórzy za następców Alhakema II, w początkach wieku XI, na stopień najznakomitszego urzędu dworu, t. j. urzędu hadżibów, w Kordowie tyle co pierwsi ministrowie w rzeczach pokoju i wojny. Inni sięgnęli jeszcze wyżéj, i korzystając ze srogiéj wojny domowéj, która podówczas w drobne okruchy roztrzęsła państwo Omejów, potrafili zostać całkiem niezawisłymi władzcami w kilku takich odłamkach. Najpierwéj wspomnimy o hadżibach.

3. Hadżibowie czyli wielkorządzcy słowiańscy.

Było takich wielkorządzców słowiańskich pod różnymi królami pięciu: Wadha, Hajran, Naja, Razykala i Sekan. Nim w dalszym ciągu opiszemy poszczególniéj ich losy, wypada najpierwéj rzucić kilka uwag ogólnych.

Widzieliśmy w przytoczonym powyżéj przykładzie Abu Otmana, iż dowództwo słowiańskiéj straży w Kordowie dostawało się niekiedy rodowitym Arabom. Wymienieni tu wszakże naczelnicy słowiańscy nie należą do tego rzędu.

O tych źródła arabskie mówią zawsze z wyraźnem oznaczeniem *Alsaklab*, u Kasirego powszechnie *Scalabaeus*, Słowianin, jak np. Wadha Słowianin, Hajran Słowianin, Naja Słowianin i t. p. Jakoż właśnie obce ich pochodzenie ułatwiało im najbardziéj odegranie téj roli, w jakiéj zna ich historya andaluzyjska. Będąc albowiem cudzoziemcami „Niemymi,“ bez osobistych kolligacyj i stosunków, wzbudzali oni najwięcéj zaufania w kalifach, i użyci do ważnych a hojnie wynagradzanych posług, mieli powód odpłacać im wzajemnie wiernością i poświęceniem. Jakoż wszyscy hadżibowie słowiańscy odznaczyli się osobliwszem przywiązaniem do dynastyi Omejów, i dopiero po ich całkowitym upadku śmieli przywłaszczyć sobie pojedyńcze udziały ich spuścizny.

Chcąc sobie zrobić bliższe wyobrażenie o tak udostojnionych naczelnikach straży słowiańskiéj, należy przypomnieć inne tego rodzaju przyboczne straże oryentu, podobnież z zakupowanych albo przemocą branych ludzi złożone, a z czasem tak wszechwładne u dworu swoich panów, jak np. Mamelukowie w Egipcie, Janiczary w Stambule. Jedni i drudzy rekrutowali się ciągłym napływem niewolnéj młodzieży czerkieskiéj i chrześcijańskiéj, któréj przy zaciągu w szeregi straży narzucano religię mahometańską i nowe imię. W taki też sposób zasilali się i Słowianie w Kordowie ciągłem przykupnem już to pogańskiéj, już zapewne i chrześcijańskiéj młodzieży z różnych krajów słowiańskich. Nowozaciężni żołnierze straży i pokojowcy alkazaru przyjmowali bądź to przymusem, bądź z własnéj woli wiarę Islamu, przywdziewali strój muzułmański, przyswajali sobie zwyczaje nowéj ojczyzny. Dawne imie rodzinne ustępowało nowemu, mahometańskiemu, albo zostało dziwacznie wykrzywione w ustach i rękopisach arabskich. I nie dziw przeto, jeśli imiona naszych hadżibów słowiańskich nie celują brzmieniem czysto słowiańskiem, jak i oni sami pod swoim turbanem oryentalnym, przy odznakach oryentalnéj godności swojéj, wydawali się na pozór raczéj rodowitymi Muzułmanami niż Słowiany.

Nie z samych zresztą szeregów straży mogli wychodzić słowiańscy namiestnicy kalifów. Początkiem ich fortuny bywał niekiedy prosty stopień posługującego w sypialni królewskiéj niewolnika. Gdyby nawet któryś z poźniejszych wielkorządzców słowiańskich zaczął był od owéj służby eunuszéj, w jakiéj według Ebn-Haukala i innych wiadomości zostawało tylu Słowian w Kordowie, nie należałoby poczytać tego za rzecz niezwykłą. Wielu bowiem z najsławniejszych bohaterów mahometańskiego oryentu było pierwotnie eunuchami. Owszem, w samem chrześcijańskiem państwie Byzanckiem zdołali eunuchowie zatrząść niekiedy tronem cesarskim, a Eutropiusz za cesarza Arkadjusza, Chryzafi za Teodozego i jego siostry Pulcheryi, Narzes za Justyniana, posiedli równie głośne imię w historyi greckiéj jak hadżibowie słowiańscy u dziejopisów arabskich. Czy atoli który z takich uwielmożnionych spółplemienników naszych wyszedł pierwotnie z rzędu eunuchów pałacowych czy z szeregów straży przybocznéj, w każdym razie opierał on się w planach swojéj ambicyi na zbrojnym hufcu swego plemienia, miewał odeń pomoc gotową i uchodził nakoniec zawsze za dowódzcę straży słowiańskiéj.

Trzymając się zaś ściśle pomiędzy sobą, umieli Słowianie wzmocnić się jeszcze przymierzem z pewnem potężnem stronnictwem kraju. Było niem tak zwane stronnictwo Alamerydów, złożone z członków i przyjaciół rodziny przemożnego hadżiba Almanzora. Poczynający się temi czasy upadek dynastyi Omejadów tem się głównie objawił, że nowy od roku 976 kalif Kordowy Hiszem II, naprzód przez dłuższy czas małoletni, poźniéj jedynie rozkosznéj samotności w ogrodach swego alkazaru oddany, nie zajmował się zgoła rządami państwa, lecz zostawiał je całkowicie hadżibowi Almanzorowi. Nie czyniło to wprawdzie uszczerbku sprawom publicznym, gdyż hadżib Muhamed ben Abi Abdalla ben Abi Amer Almanzor liczył się do najzasłużeńszych mężów Hiszpanii muzułmańskiéj, i bądźto swojemi pięćdziesięciu zwycięzkiemi bitwami przeciwko Chrześcijanom, badźto osobliwszą dbałością o pod-

niesienie nauk, mianowicie założeniem sławnéj akademii umiejętności i sztuk nadobnych w Kordowie, uświetnił w wysokim stopniu długie panowanie Hiszema. Otaczała go też wielka liczba czcicieli, stronników, krewnych, których od pięknych ogrodów Alamerya, darowanych Almanzorowi przez kalifa Hiszema, a będących zwyczajnem miejscem rodzinnych, uczonych i dyplomatycznych u niego zebrań, nazywano powszechnie Alamerydami. 36) Jako przyjaciele wiernego Omejadom hadżiba odznaczali się Alamerydzi przychylnością dla téj dynastyi i pociągnęli tem ku sobie również wiernych Omejom Słowian.

Zdarzają się owszem mniemania, jakoby jeszcze ściślejszy związek zachodził między Almanzorem a Słowianami. Znajdujemy bowiem u niektórych pisarzów nowszych, nie wskazujących przecież źródła podania swego, iż Almanzor pierwszy zaprowadził straż słowiańską w Kordowie. 37) Nazwa zaś stronnictwa Alamerydów, którą odtąd rozciągano także na Słowian, miała pochodzić od imienia rodziny Almanzorowéj Aamer, z arabska Alaamer. Wiedząc atoli z pewnością, iż Słowianie od przeszło stu pięćdziesięciu lat wcześniéj służyli u dworu królów andaluzyjskich, nie możemy sobie zaprowadzenia straży słowiańskiéj przez Almanzora wytłumaczyć inaczéj, jak tylko że Almanzor o wiele ją powiększył. Bądź jak bądź, stanowili już Słowianie znaczną potęgę u dworu królewskiego w Kordowie, a zespoliwszy się ze stronnictwem Almanzorowem, podzielali zwyczajnie jego nazwę. Ztąd „Alamerydzi i Słowianie“— „Słowianie i Alamerydzi“ powtarza się na każdéj karcie opowiadań arabskich; prawie wszyscy Słowianie miewają przydomek Alamerczyk, *el Alameri*, spotykamy się nawet z wyrażeniem „Słowianie alamerydzcy.“

Na mocy zasług wszechwładnego hadżiba Almanzora nastąpił po nim w dostojeństwie ojcowskiem jego syn Abdelmelik (roku 1002), który tak świetnie utrzymał powagę domu, iż po rychłym jego zgonie (roku 1008) przeszło wielkorządztwo jakoby dziedzictwem na drugiego syna Almanzora imieniem Abdelrachman. Ale ten ukazał się czło-

wiekiem nieudolnym i lekkomyślnym, a król Hiszem nie umiał zastąpić go kim innym ani własną ręką sterować państwa. Przyszło więc do publicznych niechęci i zamieszek, na których czele stanął Muhamed Abdeldżiabar, daleki krewniak Omejów. Wybuchło powstanie pod Muhamedem, Abdelrachman zginął na krzyżu w opanowanéj przez powstańców Kordowie, Muhamed został hadżibem (r. 1009). Dalsze jego zamysły wyprowadziły na scenę pierwszego z hadżibów słowiańskich Wadhę, po którym wystąpili z kolei Hajran, Naja i inni. Wmieszanie się Słowian pod ich naczelnictwem w wewnętrzne zamieszki kraju przybrało odtąd tak wielką wagę, iż jeden z nowszych badaczy dziejów andaluzyjskich, opowiadając w osobnym rozdziale należące tu zajścia, daje mu nadpis „Stronnictwa andaluzyjskie, alamerydzkie, *słowiańskie* i afrykańskie.“ [38]) Osobliwie zaś historya hadżiba Wadhy przedstawia rolę Słowian pomiędzy różnemi stronnictwami w świetle wcale przyjaznem, gdyż jeszcze w wysokim stopniu bezinteresowną, jedynie dla dobra ulubionéj dynastyi Omejadów podjętą, pełną ludzkości i poświęcenia.

4. Hadżib Wadha. [39])

Wdarcie się Muhameda Abdeldżiabar na dostojność hadżiba wywołało długi szereg wojen domowych, które w znacznéj mierze były tylko walką pomiędzy różnemi oddziałami straży nadwornéj. Oddział słowiański trzymał z przygnębionym teraz domem Almanzora; Muhamed protegował i miał na swoje rozkazy oddział andaluzyjski; Afrykanów zaczął nowy hadżib upokarzać wszelkiemi sposoby i prześladować. Nie inny los czekał samego króla Hiszema. Muhamed postanowił odebrać mu tron i życie, i zmyślił najprzód pogłoskę o ciężkiéj chorobie króla. Widząc zaś jak mało lud Kordowy troszczy się o życie swego kalifa, przystąpił niezwłocznie do morderczego zamachu. Miano już zabić Hiszema kiedy dowiedział się o tem Słowianin Wadha, nazywany jeszcze inaczéj Wadheh albo Wazihu, [40]) przy-

domkiem *El Alameri* albo *Alsaklab.* [41]) Był to podkomorzy czyli nadzorca słowiańskich pokojowców króla Hiszema, [42]) nadzwyczajnie przywiązany do swego pana. Ulitowawszy się losu kalifa, udał się do hadżiba Muhameda z przedstawieniem, jak niepotrzebnem byłoby zamordowanie Hiszema. „Po cóż broczyć się krwią nieszczęsnego“ — rzekł do Muhameda — „jeśli i bez niéj możesz dopiąć swoich zamiarów? Dość będzie ukryć Hiszema na całe życie w więzieniu. Ja sam wskażę najłatwiejsze do tego środki.“

Muhamed Abdeldżiabar usłuchał rady przywiązanego Słowianina [43]). Porwano nocą jakiegoś ubogiego człowieka, według chrześcijańskich kronikarzy chrześcijanina [44]), bardzo podobnego z postaci i rysów twarzy do króla, i uduszonego wsunięto w pościel królewską. Hiszem tymczasem został potajemnie uwieziony z pałacu i pod srogiem zamknięciem ukryty w domu pewnego poufnego wezyra. Jednocześnie rozpuszczono fałszywą wiadomość o coraz większem niebezpieczeństwie chorego króla, potem o mianowaniu przezeń Muhameda następcą, nareszcie o śmierci kalifa. Mniemany Hiszem został włożony w trumnę i z nadzwyczajnym przepychem pogrzebany. Muhamed Abdeldżiabar wstąpił na tron Omejów przybrawszy jako nowy kalif przydomek *el Mohdi Bila* t. j. Uśmierzyciel (r. 1009).

Pierwszym krokiem jego rządów był rozkaz wydalenia z miasta powszechnie nielubionéj straży afrykańskiéj. Stawiony przez nią opór przywiódł do krwawéj walki, w któréj oddział andaluzyjski wraz z ludem miejskim wyrzucił Afrykanów z Kordowy. Wszakże za murami miasta skupili się zwyciężeni i obrali sobie wodzem niejakiego Sulejmana, który zaprowadził rozbitków ku granicom chrześcijańskim, gdzie im przybyły posiłki od hrabi czyli z arabska „króla Kastylijskiego Sankcyusza. Kalif Muhamed el Mohdi na czele straży andaluzyjskiéj musiał wyruszyć w pole przeciw sprzymierzonym nieprzyjaciołom i poniósł niebawem stanowczą klęskę. Sulejman ze swymi Afrykanami i posiłkowym oddziałem chrześcijańskim stanął u bram opuszczonéj stolicy (roku 1008).

Tam przewodził teraz Słowianin Wadha. Ze wszystkich oddziałów straży przybocznj największą wziętość u ludu posiadali jak się zdaje Słowianie. Po wyparciu Afrykanów a oddaleniu się straży andaluzyjskiéj z kalifem Muhamedem objęli oni główne przewódzwo miasta. Nie mając jednak dość siły, nie chcieli Słowianie opierać się zwycięzkim sprzymierzeńcom. Sam Wadha nakłonił mieszczan, aby ulegli chwilowemu naciskowi okoliczności. Zawiązały się układy pomiędzy Sulejmanem a Wadhą, na mocy których mieszkańcy zobowiązali się otworzyć bramy miasta, a Sulejman przyrzekł okazać nawzajem niektóre względy ludowi. Po niedługim czasie weszli Afrykanie z posiłkami chrześcijańskiemi do stolicy. Sulejman kazał obwołać się kalifem i przyjął przydomek *al Mostain Bila* t. j. Wzywający Boga o pomoc.

Panowanie nowego władzcy było według przewidzenia Wadhy bardzo nietrwałe. Wiele różnych przyczyn współdziałało ku jego upadkowi. Dawna niechęć przeciwko Afrykanom wzmogła się teraz religijną odrazą, jaką wzbudzały ich chrześcijańskie posiłki. Przychylni Omejadom Słowianie pragnęli dawnego porządku rzeczy i różnemi środkami próbowali osłabić Sulejmana. Naprzód chciała nakłonić go straż słowiańska, aby dla ujęcia mieszkańców wymordować kazał sprowadzonych ze sobą chrześcijan. Nie przystał na to Sulejman, lecz zapobiegając rozruchom, wyprawił swoich sprzymierzeńców z Kordowy, czem znacznie uszczuplił swoje siły. Następnie zgłosił się do niego Wadha i rzekł: „Kalif Hiszem nie umarł jak rozgłoszono, lecz żyje w bezpiecznem ukryciu. Jedyną drogą do uspokojenia państwa jest przedstawić go narodowi i wrócić mu tron jego przodków. Uczyń tak a zjednasz sobie serca wszystkich mieszkańców.“—Sulejman odpowiedział: „Postąpiłbym chętnie według zdania twojego, lecz obecny stan rzeczy stoi na przeszkodzie. Nie godzi się powierzać państwa tak słabym rękom. Uspokoj się przecież Wadha, prędzéj czy późniéj przyjdzie czas na Hiszema.

Największych jednak przeciwności doznał Sulejman od

swojego wygnanego rywala. Muhamed el-Mohdi poszedł za jego przykładem i pozyskał także posiłki chrześcijańskie. Z temi uderzył co rychléj ku stolicy, zkąd musiał wyruszyć przeciw niemu Sulejman. Przy pierwszem spotkaniu nieprzyjaciół zaniosło się na krwawą bitwę, która wypadła nieszczęśliwie dla Sulejmana. Muhamed z sprzymierzeńczym oddziałem chrześcijańskim opanował Kordowę i ujrzał się znowu u steru rządu (zawsze roku 1009).

Taka zmienność losów ustaliła znaczenie Wadhy w Kordowie. Dla zjednania sobie jego wpływu mianował go Muhamed swoim hadżibem czyli pierwszym ministrem. Dalsze wypadki jeszcze wyżéj podniosły Wadhę i Słowian. Już bowiem nazajutrz po swojéj klęsce pokrzepił się Sulejman i odnowił wojnę domową. Stawiący mu czoło Muhamed wrócił pobity do stolicy, którą opasało wojsko Sulejmanowe. Oblężeni mieszkańcy nie sprzyjali połączonemu z chrześcijanami Muhamedowi ani Sulejmanowi i jego Afrykanom. Temci bliżéj skojarzył się Muhamed ze Słowianami, których fortuna rosła coraz świetniéj z dniem każdym. „Hadżib Muhameda, Słowianin Wadha"—opowiadają dziejopisowie arabscy—„posiadał całe zaufanie swojego pana, i z nieograniczoną władzą wydawał rozkazy we wszystkich sprawach. Wszystkie urzędy przeszły z ramienia Wadhy w dzierżenie Słowian i Alameridów, którego żądaniom nie śmiał sprzeciwiać się Muhamed. Wreszcie najrozsądniejszym obywatelom Kordowy sprzykrzyła się taka przewaga Słowian, czemu oni nie tylko nie starali się zaradzić, lecz owszem jeszcze bardziéj wzbudzali niechęć przeciwko sobie, dając radę Muhamedowi, aby kilku najmożniejszych szejków i wezyrów skazał na wygnanie z Kordowy, pod pozorem, jakoby miotali krzywdzące słowa na niego i ściągali tem podejrzenie na siebie."

Właściwym atoli przedmiotem życzliwości Słowian był nie Muhamed, lecz dom Omejów i nieszczęśliwy Hiszem. O jego to przywróceniu myśleli oni teraz za Muhameda, jak nie dawno za Sulejmana. Wspomniona tu rada wygnania podejrzanych o spiski obywatelów, mająca podać Mu-

hameda w coraz większą niechęć u ludu, mogła ułatwić powrót królowi Hiszemowi. W téjże myśli uwiadomili Słowianie potajemnie naczelnika chrześcijańskich posiłków imieniem Armengudi, jakoby Muhamed zamierzył wymordować swych sprzymierzeńców, co tak dalece przejęło trwogą chrześcijan, że mimo najusilniejsze zapewnienia Muhameda nie chcieli pozostać dłużéj w Kordowie, i wyjściem swojém sprawili mu znaczny ubytek w ludziach. Tymczasem wojsko Sulejmana coraz natarczywiéj szturmowało do miasta. Ściśniony zewsząd Muhamed stracił wszelką nadzieję utrzymania się przy koronie. Wtedy według życzeń Wadhy i Słowian a przepowiedni Sulejmana, „przyszedł czas na Hiszema.“ Opowiadają o tém dziejopisowie arabscy u Kondego:

„Słowianin Wadha el Alameri korzystał z pogodnéj chwili, aby przedstawić Muhamedowi niebezpieczeństwa, które go ze wszystkich stron otaczają. Dla powiększenia jego obawy odkrył mu knowane przeciw niemu zamachy, opisał niepewną wierność straży przybocznéj i niezgodę pomiędzy różnemi jéj oddziałami. Będąc zresztą samowładnym panem Kordowy, doprowadził Wadha do tego, iż nie czekając wyraźnych rozkazów Muhameda, wydobyto z ukrycia króla Hiszema, i pokazano go ludowi w wielkiéj moszei. Stało się to w niedzielę miesiąca Dylhadżia w roku od ucieczki Proroka 400 (po narodzeniu Chr. 1010 w Lipcu). Całe miasto było w radosnem poruszeniu, gdy się rozeszła pogłoska, że kalif Hiszem żyje, a gdy go obaczono, zdało się ludziom jakby snem wszystko, co się działo przed ich oczyma. Niezliczone tłumy mieszkańców zgromadziły się przed moszeją, gdzie im Słowianin Wadha przedstawił ich monarchę, którego z oznakami najżywszéj radości obwołano na nowo królem i śród okrzyków powszechnego uniesienia zaprowadzono do alkazaru.“

Ukryty tam Muhamed został przez Słowianina Anbaro przystawiony do stopni tronu, a przez Hiszema na śmierć skazany. Głowę straconego posłano jego współzawodnikowi Sulejmanowi. Sprawca tego wszystkiego, Wadha, otrzymał

od Hiszema w nagrodę dostojeństwo hadżiba. Nie przestał na tem wierny sługa Omejów, lecz wraz z współplemiennikami swoimi jął się zupełnego uspokojenia państwa.

Pozostawało jeszcze wiele pracy do podjęcia w téj mierze. Z jednéj strony Sulejman ciągle jeszcze groził stolicy, z drugiéj powstał gubernator prowincyi Toledo Obejdalla, syn zamordowanego kalifa Muhameda al Mohdi, chciwy pomszczenia śmierci ojcowskiéj. Sulejman zawezwał go do wspólnéj wojny przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi Hiszemowi II, do czego skłonił się Obejdalla. Wypadło rozerwać czemprędzéj tak niebezpieczne przymierze, zwalczać pojedyńczo obudwóch nieprzyjaciół. Gwoli temu były pokojowiec królewski został na razie wojownikiem, i jak się okazało, bardzo szczęśliwym. Dowództwo nad Słowianami objęli z rozkazu Wadhy Słowianie Zahor [45]) i Anbaro, a sam Wadha na czele jazdy wyruszył ku Toledo (r. 1010). Nie zastawszy tam Obejdalli, śpieszącego tymczasem połączyć się z Sulejmanem, potrafił naczelnik słowiański zawiązać tajemne porozumienia z mieszkańcami, które niebawem uczyniły go panem miasta Toledo. Jednocześnie powiodło mu się zawrzeć układy o pomoc z chrześcijańskim „królem“ Kastylii, który niezwłocznie nadesłał mu znaczne posiłki. Dla większego pośpiechu nie zażądał Wadha upoważnienia króla Hiszema do tego kroku, co następnie poczytano mu za wielką winę. W połączeniu z rycerstwem chrześcijańskiem podążyła armia Wadhy za Obejdallą, który na wiadomość o upadku miasta Toledo powracał na pole walki. Rychło spotkali się nieprzyjaciele w morderczéj bitwie, pierwszéj i ostatniéj dla Obejdalli. Rozbity z wojskiem swojém od Wadhy, został wzięty w niewolę i odesłany do Kordowy, gdzie z wyroku króla Hiszema zginął pod mieczem kata. Sulejman stracił możnego sprzymierzeńca, i w domiar nieszczęścia poniósł ciężką porażkę od Słowian Zahora i Anbara, którzy szczęśliwewi wycieczkami odparli Afrykanów od bram stolicy.

Te zwycięztwa dopełniły miary zasług i znaczenia Słowian w Kordowie. „Słowianin Wadha“—czytamy w opo-

wiadaniach arabskich u Kondego—„wrócił do stolicy pełen radości ze swoich czynów, odprawił posiłki chrześcijańskie z wielkiemi darami i jeszcze większe obietnice dał im na drogę. Król Hiszem przyjął go z największemi oznakami uszanowania. Zostającym pod jego rozkazami Słowianom i Alamerydom wydzielono urzędy alkaidów i wieczyste namiestnictwa w południowych stronach Hiszpanii, mianowicie w Tadmir, Kartagena, Lekant, Almerya, Denia, Xativa i t. d. Podobnież innych Słowian, którzy już od dawniejszego czasu posiadali takie urzędy, potwierdził król nadal w onych dzierżeniu.“ Jeden z dzisiejszych pisarzy zawiera to w krótkich, ale nie mniéj treściwych słowach: „Od téj chwili hadżib Wadha za pomocą swoich Słowian rządził samowładnie Kordową. Najwyższe dostojeństwa posiedli jego stronnicy; wielkorządztwa najznakomitszych miast dostały się Słowianom.“ [46]) Jeszcze wymowniéj prawi o tém znany oryentalista i dziejopis: „Teraz panami Andaluzyi byli Słowianie. Prawie wszystkie prowincye przeszły pod rządy Słowian.“ [47])

Była to nowość, która nie mogła zadowalniać powszechnie. Nie zupełnie jeszcze pokonany Sulejman umiał korzystać z okoliczności. Ogłoszona przezeń odezwa powołała gubernatorów wschodniej Hiszpanii do oparcia się przewadze Słowian, „tyranizujących Kordowę i inne miasta.“ O czém dowiedziawszy się Wadha, nakłonił króla Hiszema, aby ze swojej strony rozesłał pisma do innych gubernatorów, w szczególności do zarządzających Aldżezyrą i Ceutą Beni Hamudów, przyrzekając im świetne korzyści a nawet następstwo tronu po swojéj śmierci, w razie pomocy ku dalszéj wojnie ze Sulejmanem. Hiszem wydał listy żądane, lecz Wadha zostawił je u siebie niewyprawione. Natomiast przybyły od Sulejmana tajne pisma do niektórych mieszkańców stolicy i zawiązały porozumienie z obywatelstwem względem poddania miasta. O samym Wadzie doszła pogłoska do uszu króla, iż znosił się potajemnie z nieprzyjacielem. Niektóre z poprzednich kroków hadżiba, mianowicie zawarcie przymierza z chrześcijanami bez upoważnie-

nia z Kordowy, uprzedziły Hiszema nieprzyjaźnie przeciwko zbawcy swojemu. Przedsięwzięte w jego mieszkaniu śledztwo wykryło owe listy niewyprawione. Nie potrzeba było większych dowodów. Przykład osobliwszéj fortuny, jakiéj na wschodzie dostępują nieraz najpośledniejsi ze służby dworskiéj, stał się teraz przykładem tragicznej katastrofy, jaką zwyczajnie kończą się takie fortuny oryentalne. Z rozkazu króla Hiszema ucięto głowę Wadzie (r. 1011). Dostojeństwo hadżiba nadał Hiszem w roku następnym innemu Słowianinowi, Hajranowi.

5. Hadżib Hajran. [48])

Nowy hadżib słowiański był poprzednio gubernatorem Almeryi, a objąwszy naczelne rządy państwa, odegrał nie mniej ważną i tragiczną rolę jak Wadha. Pod pewnym względem upamiętnił on się jeszcze bardziéj w historyi i literaturze andaluzyjskiej, gdyż pozostać miały o nim długie poematy pochwalne, ułożone w języku arabskim przez sławną poetkę Algasenię i poetę Abu Amera. Pierwszy z tych wierszów ofiarowany mu był w Kordowie niebawem po mianowaniu hadżibem, za drugi wynagrodził Hajran poetę znaczną summą złota w Aldżezyrze. W ogólności tak swoją wziętością u najwykwintniejszych umysłów andaluzyjskich, jako też samem imieniem swojém, przedstawia się następca Wadhy jako Słowianin wysoce już na wzór ogłady i dworskości arabskiéj przekształcony. Cośmy bowiem nadmienili powyżéj, iż pełniący przy kalifach straż i służbę pokojową Słowianie przyjmowali oddawna religię swoich panów, a z nią nowe miana i obyczaje, potwierdza się osobliwie teraz za czasów Hajranowych. Przy różnych okolicznościach spotykamy Słowian całkiem już poturczonych z imienia, jak np. „Słowianina Muhameda ben Abi Siar,“ „Słowianina Muhameda ben Zejad“ [49]) t. j. Muhamedów synów Abi Siara i Zejada; straż słowiańska obchodzi swawolą i zbytkami po mieście święta mahometańskie, a w historyi Wadhy widzieliśmy, jak Słowianie żądali od Sulej-

mana, aby wymordować kazał swoich sprzymierzeńców chrześcijańskich. Wszystko to świadczy o znacznem aklimatyzowaniu się naszych pobratymców w Hiszpanii, dalekich już zapewne owemu stanowi rzeczy, kiedy ich pogardliwie nazywano „Niemymi.“

Najpowszedniejszą zaś drogą do zakorzenienia się takich z arabska ucywilizowanych Słowian w nowem społeczeństwie muzułmańskiem było otrzymanie jednéj z owych posiadłości ziemskich, któremi kalifowie obdarzali zwyczajnie swoich ulubieńców i naczelników straży. Na takim majątku wiejskim pod imieniem i strojem mahometańskim, w rodzinnych i towarzyskich związkach z ludnością muzułmańską, przybierali dawni niewolnicy słowiańscy coraz bardziéj wejrzenie oryentalne, spłynęli się w dalszych wiekach z różnoplemienną masą narodu, lecz w obecnym początku stulecia XI, zasilani ciągłym jeszcze napływem niewolników z praojczyzny słowiańskiéj, zachowali pamięć swego dawnego pochodzenia i mają u dziejopisów arabskich przy każdéj sposobności wyraźne odznaczenie „Słowian.“ Takim też z arabska ucywilizowanym dworakiem wyobrażamy sobie Hajrana, w którego imieniu brak zwyczajnéj zgłoski *ben* t. j. syn, naprowadza na domysł, iż równie jak Wadha, pierwszy w swoim rodzie przyjął religię mahometańską i świetniejszéj doszedł fortuny. Zresztą celował Hajran tąż samą zacnością charakteru, dobrocią serca, a osobliwie przywiązaniem do dynastyi Omejów, jakie poznaliśmy już w Wadzie. „Był to wojownik wielkiego męztwa i niezwyczajnego rozsądku“—mówią o nim pisarze andaluzyjscy—„który sam jeden byłby ocalić zdołał Hiszema, gdyby szczęście jego nie doszło było do kresu.... Znamionowała Hajrana wielka pobłażliwość i szlachetność umysłu; jemu to winien był kraj powstrzymanie wielu srogich rozkazów króla Hiszema, który wszystkich zamożniejszych obywatelów miał w podejrzeniu, zabraniał wszelkich zgromadzeń oprócz w moszei i w najniewinniejszéj schadzce mieszkańców upatrywał jakieś knowanie spisków.“

Urosły ztąd niechęci i zamieszki publiczne, które ośmie-

liły Sulejmana do tém usilniejszego wznowienia wojny. Afrykanie jego coraz gwałtowniéj szturmowali do miasta, a mieszkańcy Kordowy leniwie stawali do obrony, niekiedy nawet wyraźnie przeszkadzali własnym obrońcom. Napróżno walczył Hajran jednocześnie z wdzierającymi się w bramy nieprzyjaciołmi i z rokoszującem z tyłu pospólstwem. Miasto zostało zdobyte (r. 1013). Hajran u stóp alkazaru raniony, schronił się z trudnością pod jakiś dach ubogi i znalazł tam ukrycie. Nieszczęśliwszy od niego Hiszem znikł podczas szturmu, nie zostawiwszy najmniejszego śladu swojéj śmierci albo ucieczki. Zwycięzcy Afrykanie w niesłychanie okropny sposób splądrowali stolicę, Sulejman po raz drugi osiadł na tronie.

Nieznający losu Hiszemowego Słowianie upadli mu do nóg z prośbą, aby darował życiem dawnego króla. Gdy im odpowiedziano, iż nie wiadomo co się stało z Hiszemem, utwierdziło się pomiędzy ludem mniemanie o jego powtórnem utajeniu i nowem kiedyś przyjściu. Tymczasem dobra Alamerydów poszły w podział między zwycięzców. Wodzowie afrykańscy otrzymali znaczne posiadłości ziemskie w prowincyach. W rządzonéj niegdyś przez Hajrana Almeryi zawładnął nowy gubernator z ramienia Sulejmana. Wszystko zdało się ustalonem, gdy nowe wystąpienie Hajrana pomieszało szyki zwycięzcom.

Uleczywszy się w swojem ukryciu z ran odniesionych, opuścił były hadżib słowiański stolicę Sulejmana i udał się potajemnie do Aurioli. Tam związki z możnymi przyjaciołmi i stronnikami pozwoliły mu zebrać niemałą siłę zbrojną, z którą wyruszył ku Almeryi. Po dwudziestodniowym oporze ulegli stronnicy Sulejmanowi, zdobyte miasto wróciło pod panowanie Hajrana (r. 1013).

Uważając to jedynie za początek nierównie ważniejszych czynów, zakrzątnął się Hajran około zebrania groźniejszéj potęgi przeciw Sulejmanowi, i popłynął w tym celu do sąsiednich brzegów Afryki (r. 1014). Panował natenczas w tamecznych zamkach Ceuta i Tanger daleki krewniak nieszczęśliwego Hiszema, Ali ben Hamud, star-

szy brat Alkazema ben Hamud, władającego po téj stronie cieśniny Gibraltarskiéj, w Aldżezyrze, tuż naprzeciw braterskiéj Ceuty. Do tych to obudwu Hamudów napisał był Hiszem niegdyś za poradą Wadhy owe niewyprawione listy z obietnicą następstwa tronu po swojéj śmierci, gdyby go zasłonili od Sulejmana. Do tego też Alego w Ceucie pośpieszył teraz Hajran ze Słowianami, i dawszy mu wiadomość o przyrzeczonéj przez Hiszema koronie, zawezwał go do boju z Sulejmanem. Ponieważ nie wiedziano jeszcze z pewnością, czy Hiszem żyje lub zginął, należało podnieść wojnę w jego imieniu, a dopiero przekonawszy się o istotnym stanie rzeczy rozstrzygnąć sprawę następstwa. Ali przystąpił do przedsięwzięcia i pociągnął za sobą młodszego brata Alkazema w Aldżezyrze, dokąd udał się Hajran niezwłocznie. W krótkim czasie przeprawiło się wojsko Alego z Ceuty do Andaluzyi, dostawił swoich posiłków Alkazem z Aldżezyry, uzbroili się za sprawą Hajrana Alamerydzi i Słowianie w okolicach Almeryi. Starszy Hamud rozpoczął kroki nieprzyjacielskie opanowaniem Malagi, i został obwołany naczelnikiem przymierza. W pół drogi między Malagą a Almeryą nastąpiło połączenie wojsk sprzymierzonych, prowadzonych z Almeryi przez Hajrana, z Malagi i Aldżezyry przez obudwu Hamudów. Dla pozyskania tém powszechniejszéj sympatyi kraju złożyli sprzymierzeni uroczystą przysięgę, iż jedynie w celu osadzenia Hiszema na wydartym mu tronie, lub pomszczenia krwi jego, rozpoczęli i toczyć będą zaciętą walkę (r. 1015).

Cały opowiedziany tu szereg wypadków od podróży Hajrana do Afryki aż do pochodu sprzymierzonych przeciw Sulejmanowi w Kordowie nazywają niektórzy dziejopisarze arabscy wojną Berberów z eunuchami, rozumiejąc pod pierwszą nazwą Afrykanów Sulejmanowych, pod drugą Słowian. Kiedy więc według źródeł arabskich u Kondego Słowianie wzywają Alego z Ceuty na tron Kordowy, Słowianom daje Ali pismo do brata w Aldżezyrze, Słowianie pod Hajranem łączą się z wojskiem Alego—inny historyk arabski, Alhomaidi, przypisuje to wszystko eunuchom. [50])

Nazwa „eunuch,“ głównie w znaczeniu pokojowca, sługi pałacowego, zrosła się w Andaluzyi tak nierozłącznie z nazwą Słowianin, jak gdzieindziéj przylgnęło do téj ostatniéj poblizkie pojęcie „niewolnika.“

Zaprzysiężona przez sprzymierzeńców walka trwała przez kilkanaście miesięcy śród zmiennych kolei losu, aż nareszcie coraz większa niechęć przeciw Sulejmanowi, coraz tłumniejsze odstępstwo w jego stronnictwie, do tego stopnia przerzedziło szeregi afrykańskie, iż tylko mała garstka pozostała pod bronią. Z tak uszczuploną siłą do stanowczéj zmuszony bitwy, chciał Sulejman po niepomyślnem spróbowaniu szczęścia ocalić się wczesnym odwrotem, gdy część własnego wojska obróciła się przeciw niemu i do ostatniéj przywiodła go rozsypki. Okryty ranami, dostał się wraz z bratem swoim Abdelrachmanem w ręce zwycięzców, którzy niepowstrzymanym pędem opanowali twierdze przyległe, a w końcu samą stolicę (r. 1016).

„Po wnijściu sprzymierzonych do Kordowy“ — opowiadają dziejopisowie arabscy—„kazał Ali przyprowadzić przed siebie rannego Sulejmana z bratem Abdelrachmanem, tudzież z ojcem Alhakemem, sprawującym pod niebytność synów rządy stolicy, i spytał ojca: Powiedz starcze, gdzie podzieliście króla Hiszema? Alhakem odpowiedział, iż nie wie co się z nim stało, na co Ali: Zamordowaliście go? Starzec powtórzył: Nie zamordowaliśmy go i nie wiemy co się z nim dzieje. Na co nie zważając, obnażył Ali oręż i rzekł: Te trzy głowy poświęcam zemście króla Hiszema i dopełniam jego rozkazu. Natenczas podniósł oczy ranny Sulejman i zawołał: We mnie samego gódź swoim mieczem, gdyż ci dwaj niewinni są niczego. Ali jednakże nie usłuchał słów Sulejmana i silnemi ciosami ściął głowy ojcu i synom. Śmierć Sulejmana, jego brata i ojca, zdarzyła się w niedzielę, dnia ósmego w miesiącu Muharram roku od ucieczki Proroka 407 (po Chr. 1016). Ali wydał rozkaz, aby z największą starannością szukano wszędzie króla Hiszema; i nie było we wszystkich alkazarach żadnéj komnaty, żadnéj kryjówki, żadnego podziemia, którychby

nie przetrząśniono jak najdokładniéj. Ale wszelkie poszukiwania okazały się bezskutecznemi, gdyż król Hiszem nigdy się już nie pojawił. Ogłoszono tedy publicznie śmierć jego, czém dano powód nowym pogłoskom i baśniom pomiędzy ludem."

Za poradą Hajrana został Ali pod imieniem Motuakil Bila obwołany kalifem. Takim sposobem wszystko, czego dostąpił niedawny rządca Ceuty, było dziełem Hajrana. Mimo to nie doczekał się on zasłużonéj nagrody. W rychle po swojéj intronizacyi obraził się Ali zbytniemi jak mniemał uroszczeniami Hajrana i kazał mu oddalić się ze dworu, na dawne gubernatorstwo Almeryi. Zaledwie przybył tam Hajran (r. 1017), otoczyła go liczna drużyna przyjaciół i stronników, gotowych dać mu zbrojną pomoc przeciw niewdzięcznemu sprzymierzeńcowi. Za hasło ułożonego powstania posłużyło imię ulubionych Słowianom i Alamerydom Omejów, których zobowiązano się osadzić znowu na tronie. Dla siebie samych umówili spiskowi wieczyste gubernatorstwa pod nowym rządem, z prawem dziedzicznego spadku na dzieci. Wybuchła wojna, rokoszanie znaleźli się niebawem pod wodzą Hajrana u bram stolicy. Śmiała wycieczka Alego zadała wprawdzie ciężką klęskę nieprzyjaciołom, lecz nie stłumiła powstania. Rozsrożony Hajran postanowił obejść się bez Kordowy, i w innem mieście państwa założyć innemu kalifowi stolicę.

Cofnął się tedy do Jaen i obwołał tam kalifem Abdelrachmana IV Almortadi, prawnuka po sławnym Abdelrachmanie III (r. 1017). Nowointronizowany Omej odwdzięczył mu się mianowaniem go swoim hadżibem. Pod sztandarem Abdelrachmana IV przedłużył Hajran wojnę, i został po raz drugi rozbity przez Alego. Tylko jakaś niedostępna kryjówka ocaliła życie rannemu. Taką atoli wiarę pokładano w jego przemyśle i środkach niewyczerpanych, iż skoro do Abdelrachmana doszła wiadomość o miejscu jego ukrycia, posłano po niego świetny orszak rycerstwa i sprowadzono go jakby w tryumfie do Jaen. Zaczem odnowiła się wojna i zaczęła przybierać coraz groźniejszą

postać dla kalifa w Kordowie, aż nareszcie trzecia niepomyślność oręża dokonała zguby Hajrana. Wytężywszy wszelkie siły odporu, wyprawił Ali jedno wojsko przeciw Abdelrachmanowi ku Jaen, a z drugiem podążył do Almeryi. Oblężony tam hadżib bronił się do upadłego, i dopiero śmiertelnie dzidami skłuty, za nieżywego już poczytany, uległ przemocy. Miasto złożyło oręż, przywleczonemu przed siebie Hajranowi Ali własną ręką ściął głowę (r. 1017). Dziejopisowie arabscy wspominają z żalem o jego śmierci.

Jeszcze większego żalu nabawiła ona jego współplemienników, pełniących ciągle służbę pokojowców w Kordowie. Zdarzył się owszem po niedługim czasie wypadek, w którymby można upatrywać zemstę Słowian na Alim za śmierć Hajrana. Wróciwszy bowiem z Almeryi do Kordowy i przygotowując tam ostatnią walną wyprawę przeciw Abdelrachmanowi w Jaen, został Ali przez swoich pokojowców słowiańskich uduszony tajemnie w łaźni (r. 1018). Tych zabójców Alego nazywają inni pisarze zwyczajnym w Kordowie sposobem eunuchami [51]). Brat i następca Alego w Kordowie Alkazem domyślił się sprawców zamachu, i uwięzionych pokojowców kazał wziąć na tortury, chcąc wymódz na nich wyjawienie dalszych spółwinowajców. Śród okropnych katuszy przyznali się Słowianie do zamordowania Alego, lecz nie wymienili osobiście żadnych spólników czynu. I ci na męki wzięci a potem na pal wbici Słowianie nazywają się gdzieindziéj eunuchami.

Przeciw Alkazemowi przybył niebawem z Afryki syn Alego Jahija (Dżohija) i opanował po niejakim czasie Kordowę (r. 1021), a gdy nowa zmiana fortuny zmusiła go ustąpić z niéj przed Alkazemem, ten po raz drugi kazał badać Słowian na mękach, jako podejrzanych o porozumienie z Jahiją. I zdało się to rzeczą tem bardziéj prawdopodobną, ile że na afrykańskim dworze Jahiji w Ceuta służyło od dawniejszego czasu niemało Słowian, z pomiędzy których odznaczył się osobliwie zuchwały Naja.

6. Hadżibowie: Naja, Razykala i Sekan. [51]

Na południowe brzegi morza Śródziemnego dostawali się Słowianie bez trudności z Hiszpanii. Już Ebn-Haukal opowiada, jak Arabowie Hiszpańscy wyprawiali niewolników słowiańskich do Afryki i Egiptu. W historyi hadżiba Hajrana mieliśmy przykład dobrowolnych podróży Słowian do Ceuty i Tangeru. O dwóch towarzyszach pobytu i rządów Naji w Afryce, Słowianach Razykali i Sekanie, podają źródła arabskie, iż pochodzili z Albarken, t. j. zapewne z miasta lub kraju Barka, z arabska Albarka, leżącego na wschód od Trypolis, między Egiptem a pustynią Saharą. Nie mając więcéj śladów w téj mierze, przechodzimy do dziejów Naji.

Wystąpienie Jachiji przeciw stryjowi Alkazemowi przypadło w porę najgwałtowniejszego rozgorzenia wojen domowych o tron Kordowy. W niedługim lat dziewięciu przeciągu (od r. 1017 do 1026) panowali na stolicy Omejadów z kolei Ali ben Hamud z Ceuty, brat jego Alkazem, synowiec Alkazema Jachija, Alkazem po raz drugi, Abdelrachman prawnuk wielkiego Abdelrachmana III, Abdelrachmanów stryj Muhamed, nareszcie Jachija po raz drugi. Przetrwawszy tylu współzawodników, doczekawszy się podobnież śmierci owego przez Hajrana w Jaen obwołanego Kalifa Abdelrachmana Almortadi, połączył Jachija znaczną część Hiszpanii maurytańskiéj pod swojém berłem, i miał zaprowadzić w niéj nowy porządek rzeczy, gdy nagle śmierć w nieszczęśliwéj wojnie z wielkorządcą Sewilli zniweczyła wszelkie nadzieje. Po zgonie Jachiji podniesiony został w Kordowie przez mieszkańcow ostatni potomek Omejów Hiszem III (r. 1026), a dziedziczne posiadłości rodziny Jachiji czyli domu Hamudów, także domem Edryzydów zwanego, tj. Ceuta i Tanger w Afryce, tudzież Malaga w Hiszpanii, stały się łupem długoletnich sporów wojennnych. [53])

Wyprawiając się do Hiszpanii po koronę zabitego ojca Alego, zostawił był Jachija w swojéj afrykańskiéj stolicy Ceuta dwóch małoletnich synów Edryza i Hacena, pod

opieką dwóch zaufanych wezyrów, Słowianina Naji i Araba Aben Bokiny. Żył tam jeszcze brat Jachiji imieniem Edryz, władający osobnym udziałem kraju. Gdy Jachija po osiągnieniu Kalifatu zginął w Hiszpanii, chcieli mieszkańcy Malagi pozostać nadal pod panowaniem Hamudów i posłali do Ceuty po nowego władzcę z ich rodu. Z przyczyny małoletności obudwóch pozostałych synów Jachiji udał się do Malagi stryj Edryz, wziąwszy z sobą ku pomocy w rządach Ceutańskiego wezyra Aben Bokinę (r. 1027). Przy jego mądrem wsparciu wsławił się Edryz I, przydomkiem Almutajad, jako jeden z najcnotliwszych emirów swojéj epoki, a w Ceucie rządził tymczasem Naja, opiekując się ciągle małoletnimi potomkami Jachiji, Edryzem i Hacenem. Po latach jedenastu umarł albo zginął zamordowany Edryz I Almutajad w Maladze, która za staraniem wiernego Aben Bokiny przeszła w posiadanie starszego piastunka Naji, Edryza syna Jachiji (r. 1039).

Zaledwie atoli powiodło się Edryzowi II przydomkiem Hajan osiąść na tronie Malagi, wystąpił przeciw niemu były opiekun Naja, żądając całéj spóścizny ojcowskiéj dla młodszego syna Hacena. Gdy zaś Aben Bokina i mieszkańcy Malagi sprzeciwili się temu, wyprawił się Naja z Hacenem na czele śpiesznie zebranych wojsk do Malagi, aby ją opanować mocą oręża. Naprzeciw lądującym nieprzyjaciołom wyszedł zbrojno Aben Bokina i stoczył z nimi walkę szczęśliwą. Odparte wojsko Naji musiało schronić się do jednego z zamków przyległych i zostało tam oblężone. Mimo waleczność rycerstwa Ceutańskiego nie znalazła się inna droga ratunku jak układy z Bokiną. Dzięki przebiegłości Naji wypadły one dość pomyślnie dla oblężonych. Edryz II zachował swoją Malagę, Hacen zobowiązał się poprzestać na Ceucie i Tangerze. Oprócz tego powiodło się Naji wyjednać, iż jeden z najmożniejszych kupców Malagi, imieniem Aszetaifa, ścisły jego przyjaciel i powiernik, otrzymał u Edryza II urząd wezyra. Poczem odpłynął Naja ze swoim wychowankiem do Ceuty i rządził tam spokojnie aż do jego pełnoletności.

Nareszcie jednak wypadło złożyć opiekę. Po dwóch latach objął młody Hacen własną ręką ster państwa i ożenił się z piękną Azafią, córką swego zmarłego stryja Edryza I. Naja wrócił do podrzędnego stanowiska hadżiba, ktore tam mniéj zaspokajało jego ambicyę, ile że okrom żądzy panowania dręczyła go jeszcze miłość do Azafii. W nieszczęsnéj chwili postanowił wydrzeć Hacenowi tron i małżonkę, i dokonał zamachu. Hacen zginął (1012) wraz z małym synkiem, o ktorym to ostatnim sumienni pisarze muzułmańscy dodają, iż Bogu tylko wiadomo czy zamordowany został przez Naję, czy też umarł z choroby. Państwo Ceuta i Tanger przeszło w ręce zabójcy poślubionego z Azafią.

Dalsza kolej wypadków uniosła Naję do czynów jeszcze zuchwałszych. Na pierwszą bowiem pogłoskę o zamordowaniu Hacena w Ceucie, jął brat jego Edryz II w Maladze uzbrajać wielką wyprawę do Afryki, w celu ukarania zamachu, czemu wypadło zapobiedz ze strony Naji. Uprzedzając tedy napad Edryza na Ceutę, wyprawił się Naja pierwszy z licznie zaciągnionemi wojskami do Malagi, gdzie niespodziewanem pojawieniem się przeważył szalę wojny na swoją stronę. Obadwa zamki Malagi dostały się w moc najezdźców, za tajnem porozumieniem z Aszetaifą ubieżono także Alkazar, Edryz II ujrzał się uwięzionym w własnym pałacu. Już nie tylko nad Ceutą i Tangerem, lecz i nad kwitnącem państwem Malagi rozpostarło się berło Naji, gdy wystąpienie trzeciego przeciwnika obaliło całą budowę.

W sąsiedniem państwie Aldżezyry władał krewniak Edryza Muhamed, syn byłego Kalifa Kordowy Alkazema. Ten na wiadomość o napadzie Naji na Malagę pośpieszył z licznem rycerstwem ku pomocy królowi Edryzowi. Naja wyruszył coprędzéj naprzeciw niemu, ale nim przyszło do spotkania, doradzili mu fałszywi przyjaciele z Malagi, aby uniknął bitwy, i wróciwszy do miasta czekał na liczniejsze zaciągi. Uczynił tak Naja, nie wiadomo z jakiej właściwie przyczyny, i w towarzystwie niewielu Słowian powracał do Malagi. Wtém u najcieśniejszego zakrętu drogi

zaskoczył go tłum rycerstwa andaluzyjskiego, któremu nie zdołał oprzeć się z garstką dworzan słowiańskich. Wszyscy Słowianie wraz z swoim wodzem zostali zamordowani (r. 1053). Dwóch z rycerstwa pognało z wieścią o tém do miasta, gdzie natychmiast obwołano dawny porządek rzeczy, uwolniono króla Edryza i wzięto krwawy odwet na zdrajczym Aszetaifie jakoteż na spólnikach Naji, Słowianach. Zaledwie starania króla Edryza zdołały uskromić zawziętość mściwego ludu. Wojsko Naji rozproszyło się; Ceuta wróciła pod panowanie Hamudów.

Po Naji wystąpiło w dziejach Maurytanii jeszcze dwóch Słowian, podobnież namiestników w Ceuta i Tanger, Razykala i Sekan. Rządzili oni tym krajem, kiedy w skutek nowych zamieszek wojennych opanował go król Malagi Edryz II. Lud Ceuty jakoś nie sprzyjał nowemu władzcy, z czego umyślili korzystać Razykala i Sekan, i lubo sami znienawidzeni dla swego okrucieństwa i zdzierstwa, zaczęli podburzać tajemnie krajowców przeciwko Edryzowi. „Ale mieszkańcy“ — opowiadają pisarze andaluzyjscy — udali się do Edryza i rzekli: królu, ci Słowianie, którzy cię otaczają, są zdrajcami i służą ci sercem podstępnem, przemyśliwając o twojéj zgubie i knując spiski przeciwko tobie. Pozwól, abyśmy postąpili z nimi, jak zasługuje na to ich przeniewierstwo. A król Edryz nie był w stanie uwolnić ich z rąk rozżartego pospólstwa, które porwało obudwóch z przed oblicza Edryza i natychmiast zarąbało szablami.„

Taka nieprzyjazń ludu na wybrzeżach Afryki wynagrodziła się Słowianom tem głośniejszą wziętością kilku dalszych naczelników pod niebem Andaluzyi. Cośmy bowiem opowiedzieli dotąd o przygodach pobratymców naszych w Hiszpanii, nie wyczerpywa bynajmniéj miary ich fortuny w tych stronach. Bywszy niekiedy wielkorządzcami i obrońcami królów, bywali oni czasem sami królami. Słuszna wspomnieć o tém zosobna.

7. Królowie słowiańscy w Almeryi, Denii, Murcyi, Walencyi.

Ze wspomnionym w poprzednim ustępie kalifem Hiszemem III wygasła całkowicie dynastya Omejadów. Jeżeli już za ostatnich Omejów rozprzęgła się jedność państwa śród ciągłych wojen domowych, tedy po ostatnim Omeju wzmogło się to rozprzężenie do stanu prawdziwie chaotycznéj rozsypki. Skołatany kilkuletnią burzą kalifat rozpadł się w tysiąc niezawisłych od siebie szczątków. Nastąpiło tyle osobnych całości, osobnych państw i państewek, ile dawniéj było prowincyj, powiatów, miast. Naczelnicy takich większych i mniejszych udziałów miewali różne tytuły, najczęściéj (jak w opowiadaniach arabskich wyczytujemy) dawano im nazwę królów. Ztąd przed skreśleniem dziejów społeczności arabskiéj w Hiszpanii pod tę porę, umieszczony jest w dziele Kondego osobny spis takich królów, według rządzonych przez nich królestw. Znachodzimy tam z kolei królów Kordowy, Malagi, Sewilli, Toledu, Saragosy, Granady, Badajozu, Azahili, Almeryi i Denii, Huelby i Libli, Tadmiru i Murcyi, Walencyi, wreszcie Segury. Na czele zaś królów Almeryi i Denii wyczytujemy: „Kajran Słowianin, Zoair podobnież“— a nieco niżéj na czele królów Walencyi: „Mudafas Słowianin, Mubarik podobnież, Lebib podobnież.“

Po rozważeniu wszystkich wypadków i okoliczności, o których mowa była powyżéj, nie zdziwi nas królewskość tych pięciu królów słowiańskich. Przypominając sobie z historyi hadżiba Wadhy, jak wiele gubernatorstw i miast rozdano za Hiszema II w zarząd Słowianom, uwierzymy z łatwością, iż w czasie następnych wojen domowych jeden i drugi z takich wielkorządzców słowiańskich potrafił ustalić sobie byt niezawisły w swojéj dzierżawie, i podług owego wyrażenia arabskiego „nazywany był królem.“ Wszakże im niewątpliwszą okazuje się królewska godność takich władzców chwilowych, tém trudniejszą jest rzeczą wyróżnić ich poszczególną historyę z chaosu najzawilszych wia-

domości o tysiącu królach i królestwach ówczesnych. Oprócz niedokładności i zamętu doniesień o wypadkach owéj epoki przeszkadza temu osobliwie coraz zupełniejsze zacieranie się słowiańskiego charakteru naszych bohaterów słowiańskich. Dopóki Słowianie byli jeszcze niedawnymi przybyszami w Hiszpanii, dopóty towarzyszył im u dziejopisów arabskich nieodstępny przydomek „Słowianin", po którym łatwo rozeznać ich w tłumie dziejów. Z coraz dłuższym atoli pobytem w kraju, z coraz dokładniejszém zastosowaniem się do zwyczajów i powierzchowności mieszkańców, tracą pojedyńczy naczelnicy słowiańscy ten odznaczający przydomek i stają się coraz bardziéj Muzułmanami w wierze, imionach i znaczeniu. Snadno też będzie zrozumieć, iż właśnie ci słowiańscy królowie niektórych okolic andaluzyjskich musieli starać się o to, aby jak najmniéj trącić cudzoziemczyzną, aby jak najzupełniéj dorównać mieszkańcom powagą obyczajów krajowych. Ztąd zaś coraz większa trudność w dochodzeniu słowiańskiéj narodowości zmuzułmanionych przybyszów znad Wisły lub Dunaju. Z tego też powodu nie możemy opowiedzieć tyle o naszych pięciu królach słowiańskich, co o hadżibach. Ile się przecież znalazło, podajemy w krótkości.

Pierwszy z dwóch słowiańskich królów Almeryi, nazwany tu Kairanem, jestto tensam hadżib Hiszema II i Alego Hamuda Hajran, o którym pisaliśmy obszerniéj. Głoski *K*, *Kh* i *H* bywają według objaśnień Kasirego równoznaczne w arabskiém. [54]) Z dostojeństwa hadżiba w Kordowie wracał Hajran podwakroć do niezawisłych rządów Almeryi, i bywa przeto umieszczany w poczcie jéj królów. Pozostała o nim jeszcze wiadomość, iż głównie za jego pomocą panował w Saragosie Almondar ben Hud z rodziny Atedżibiów [55]).

Następcę po Hajranie w Almeryi, Zoaira lub Zohaira, nazywają pisarze arabscy jego krewnym. Podawca niektórych wiadomości o nim Kasiri mieni go z urodzenia Dalmatą [56]). Musiał wszakże Zohair zmienić w Hiszpanii swoje imię i wejrzenie słowiańskie, gdyż nie łatwo przypuścić

emira arabskiego, niepobratanego wiarą, strojem i zwyczajami z poddaną sobie ludnością muzułmańską, a imię pod którém nasz Dalmatyniec słynie w rzędzie królów Almeryi, jest właściwie arabskiém i przypomina się np. w imieniu poety arabskiego z czasów przed Mahometem [57]). Za czasów Hajrana rządził Zohair Denią. Po śmierci swego bratanka uderzył na Almeryę i opanował ją szturmem (r. 1018). Podobnież Tadmir i Murcya zostawały pod jego władzą. Za główną stolicę służyła mu Almerya, w Denii i Tadmirze osadził on podległych sobie gubernatorów [58]). Tożsamo stało się z Murcyą, gdzie z ramienia jego dzierżył wielkorządztwo niejaki Abdelrachman z rodziny Thaher, inaczéj Muhamed Ben Althaher [59]). Od tych kilku prowincyj nazywano Zohaira bądźto panem Almeryi i Murcyi, bądź samćj Murcyi, lecz w każdym razie towarzyszyło imieniowi niezbędne odznaczenie „Słowianin Zohair król Almeryi i Murcyi“ — albo stało samo „Słowianin, *Alsaklab*, *Saclabaeus*, król Murcyi“ [60]). U jednego z nowszych dziejopisarzów Hiszpanii pod panowaniem Maurów czytamy o nim: „Po niedługim czasie zawładnął Słowianin Zohair całém pomorzem od Murcyi po Almeryę, tudzież wyspami Balearskiemi. Jako jego hołdownicy rządzili w Denii Ali ben Mudżahed, na wyspach Balearskich Abul Dżeisz i Ahmed ben Raszik, a w Murcyi Abubekr Ahmed. W krainie Walencyi panował ścisły sprzymierzeniec Zohaira Abdelaziz Abul Hazan, wnuk Almanzora, prawdopodobnie od r. 1022. Gdy zaś Zohair po dość długich rządach w Almeryi umarł albo zamordowanym został, przeszła Almerya z woli Zohaira spuścizną na Abdelazego, przydomkiem Almanzora, przed r. 1051“ [61]).

O pierwszym słowiańskim królu Walencyi Mudafasie nie doszukaliśmy się żadnych szczegółów. Mudafas znaczy tu zapewne tyle co Mudafar, a ze zwyczajnym przydatkiem arabskim *al* powtarza się imię Almudafar dość często w dziejach andaluzyjskich. Nigdzie zaś nie znaleźliśmy przy żadnym z Almudafarów ani przydomka Słowianin, ani czegokolwiek takiego coby go cechowało królem Walencyi.

Dwaj dalsi królowie słowiańscy w kraju Walencyi Mubarik i Lebib, inaczéj Mubarik i Lebun, byli właściwie panami miast i powiatów Murbiter czyli Murwiedro i Xatiwa, a zostawali w niejakiéj zawisłości od króla Walencyi Abdelazego, z którym był sprzymierzony także Zohair. Więcéj o nich nie wiemy. W latach nieco poźniejszych występują tylko synowie jakiegoś Lebuna, mianowicie Abu Wahib ben Lebun w Walencyi około r. 1065, Isa ben Lebun w Murwiedro, Ibraim Abul Asbag ben Lebun około tegoż czasu w Walencyi, Amir ben Lebun w Ubedzie [62]). Sążto synowie naszego słowiańskiego króla Walencyi, żadną już odznaką nieprzypominający swojéj cudzoziemskiéj narodowości? W takim razie mielibyśmy w nich najwidoczniejszy przykład zlewania się słowiańskiéj krwi w trudną do wyróżnienia jedność z całą resztą muzułmańskiéj ludności kraju.

Za ich też czasów giną w istocie ostatnie ślady Słowian w Hiszpanii. Z upadkiem dynastyi Omejów zgasła świetność panowania Arabów w Andaluzyi. Przeszło półwiekowe pasmo wojen domowych zubożyło kraj cały, przywiodło do niedostatku kalifów, zatamowało handel i wszelkie stosunki zagraniczne. Podupadli następcy wielkiego Abdelrachmana nie mieli już tych skarbów, ani tych związków z ludami cudzoziemskimi, aby sprowadzać sobie roje niewolników „od wschodu“, aby się nimi otaczać w swoich pałacach i ogrodach czarownych. Pierwszy np. kalif po ostatnim Omeju Hiszemie III imieniem Dżewar, wiódł życie całkiem chudopacholskie, nie chciał nawet sprowadzić się do pałacu dawnych kalifów, nie mając już owych tłumów służby, pokojowców, straży przybocznych, niewolnic i niewolników wszelakiego kraju, które niegdyś zapełniały alkazary Abdelrachmanów. W drugiéj połowie wieku XI (r. 1086) wtargnęli wprawdzie do Hiszpanii nowi najezdnicy z Afryki, tak zwani Almorawidowie, i przywróciwszy przewagę oręża muzułmańskiego, zaprowadzili nowy porządek rzeczy, ale lubo jeszcze około czterech stuleci trwało panowanie Maurów w Hiszpanii, nie wróciły wieki dawnéj świetności.

Tymczasem zaś poczęło się wyjaśniać za Pirenejami, u chrześcjańskich ludów Europy. Sfolgowało znacznie kupczenie towarem ludzkim, ustał wywóz niewolników do Hiszpanii. Zdarzały się wprawdzie jeszcze pojedyńcze transporty, ale tak ryczałtowego handlu jak za czasów Ebn-Haukala nie było. Niewolnik słowiański szedł teraz gęściéj do Krymu, do Azyi, do Stambułu niż do Kordowy.

Główna tedy pora goszczenia Słowian w Hiszpani trwa mniéj więcéj od czasów Hakema I do końca wojen domowych po upadku Omejów czyli do opanowania Hiszpanii przez nowoprzybyłych z Afryki Almorawidów. t.j. od r. 796 do 1086. Była to najświetniejsza epoka panowania Arabów w Andaluzyi, słynącego w historyi z niezwyczajnéj pomyślności światowéj, z blasku bogactw, uprawy nauk, ogłady obyczajów. Za staraniem światłych Omejów rozwinęły się w Hiszpanii arabskiéj do najwyższego stopnia umiejętności, kunszty, przemysł, rzemiosła; Andaluzya stała się niezaprzeczenie najmożniejszym i najrządniejszym krajem swojego czasu. Wpłynęło to wszystko osobliwszym sposobem na bawiących w Hiszpanii Słowian, którzy mając odegrać przeważną rolę w społeczeństwie arabskiém, musieli niezbędnie dorównać mu oświatą. Z tego względu poznanie tamtoczesnéj cywilizacyi arabskiéj w Andaluzyi jest w pewnéj mierze poznaniem ukształcenia Słowian tamecznych. Jakoż wcale niedostateczną mniemalibyśmy niniejszą wiadomość o naszych pobratymcach u dworu kalifów andaluzyjskich, gdybyśmy bogdaj w kilku dorywczo zebranych rysach nie okazali, jak Hiszpania arabska wyglądała za czasów Słowian.

8. Andaluzya za czasów Słowian.

Lata obudwóch pierwszych hadżibów słowiańskich Wadhy i Hajrana— czyli lata rządów Abdelrachmana III, jego syna Hakema, tudzież jego wnuka Hiszema, uchodzą zwyczajnie za chwilę najpromienistszego rozblasku arabskiéj cywilizacyi w Hiszpanii. Mianowicie w czasach kilkunastoletniego pokoju za Alhakema II. wzmogła się Andaluzya w zamożność i uprawę, jakiéj ani przedtém ani poźniéj ni-

gdy już nie znała. Przestrzeń ziemi na południe od rzeki Duero, mieszcząca dziś zaledwie 9 milionów mieszkańca, żywiła wówczas prawie trójnasób tyle, bo 25 milionów ludności. „Kalif Alhakem“—czytamy w opowiedaniach arabskich u Kondego [63]), „kazał zliczyć i spisać wszystkie osady swojego państwa. Według tego rachunku znajdowało się natenczas w Hiszpanii 6 wielkich stolic i okręgów wojskowych, 80 miast pierwszego rzędu a 300 mniejszych. Liczba miasteczek, siół, zamków i folwarków, nie miała granic. Sama okolica Gwadalkwiwiru zawierała 12000. Niektórzy utrzymują, jakoby główna stolica Omejadów Kordowa (rozciągająca się wówczas na pięciumilowéj przestrzeni wzdłuż brzegów Gwadalkwiwiru) liczyła 200000 domów, 600 świątyń, 50 szpitalów, 80 zakładów naukowych, 900 łaźni, 21 przedmieść kamieniem brukowanych, nocą lampami oświecanych....“

Teżsame źródła opowiadają daléj: „W czasach długiego pokoju, który panował za Króla Alhakema, zakwitnęło rolnictwo we wszystkich prowincyach państwa. Na równinach Granady, Murcyi, Walencyi i Arragonii, pozakładano wodociągi do nawodniania pól; w innych miejscach były kopane w tym celu wielkie sadzawki; a wszędzie wznoszono plantacye najrozmaitszego rodzaju, stosownie do gleby i klimatu każdéj prowincyi. Jedném słowem, ten mądry kalif kazał miecze i kopie przekuć na rydle i lemiesze, a swoich wojennych, niespokojnych muzułmanów przeistoczył w rolników i pasterzy. Najznakomitsi rycerze upatrywali chlubę w uprawianiu własną ręką ogrodów swoich, a poważni sędziowie i lekarze używali wczasu w zacieniach szpalerów ogrodowych. Panował powszechny zwyczaj opuszczać o pewnym czasie miasto i zamieszkiwać ustronia wiejskie. Jedni czynili to na wiosnę, kiedy cała natura znajdowała się w kwiecie; inni jesienią, w porze zbioru owoców....“

Gdy zaś niezamożny miłośnik życia wiejskiego przestawał na samych wdziękach przyrody — bogacze folgowali swoim zamiłowaniom sielskim w willach z niezmiernym wytworem urządzonych, a Kalif Abdelrachman Anazir założył

w tym celu jedyny w swoim rodzaju przybytek roskoszy i przepychu, mogący bliższym opisem dać nam jakie takie wyobrażenie o siedzibach emirów andaluzyjskich.

„Ten pałac czyli to miasto najpiękniejszych ogrodów, sięgających aż do przedmieść Kordowy, nazwał Abdelrachman po imieniu ulubionéj niewolnicy Azahrą, tj. kwiatem czyli pięknością. Budową zajmowali się najzawołańsi mistrzowie, sprowadzeni umyślnie z Konstantynopola, Bagdadu, Fostat i Kairwanu, a wykonanie ozdób pojedyńczych poruczono najzdolniejszym rzeźbiarzom i snycerzom owego czasu. Opowiadając według wiarogodnych doniesień pisarzów andaluzyjskich wszelkie dziwy i osobliwości Azahry, można popaść w podejrzenie o łatwowierność, czerpiącą podania swoje z bajek Tysiąca i jednéj nocy. Najwspanialszym ze wszystkich pałaców, które razem tworzyły rezydencyę Abdelrachmana, był tak zwany pałac kalifów. Dziejopisowie arabscy, mający upodobanie w orzeczeniach liczbowych, zapisali w swoich regestrach, iż przy budowie jego pracowało codziennie 10000 ludzi. Półtora tysiąca mułów i 400 wielbłądów dowoziło materyały mularskie. Oprócz niezmiernéj ilości surowego kamienia zpotrzebowywano codziennie 6000 głazów ciosanych. Cały spoczywał na 4312 marmurowych kolumnach, sprowadzonych po większéj części z Grecyi, Włoch, Francyi i Afryki. Nie tylko wewnątr zpałacu roztoczono jak największy przepych, bogactwo i misterność w wykończeniu wszystkich szczegółów, ale i zewnątrz ujmowała dziwna nadobność i okazałość. Nawet pokrycie dachu, równie jak i posadzki, było wyłożone mozaikową robotą, koloru złocistego i błękitnego. Do belek, słupów, podwoi, użyto drzewa cedrowego z ozdobnemi rzeźbami. Najkosztowniejsza i najwspanialsza część pałacu zwała się salą kalifa; ściany i posadzkę miała z marmuru. U stropu i po bokach świeciły ozdoby ze złota, pereł, płaskorzeźb i arabesków. Ale największe podziwienie wzbudzała bijąca w pośrodku sali fontana, z jaspisu wyżłobiona. Otaczała ją grupa dwunastu zwierząt z litego złota, połyskujących drogiemi kamieniami w różnych kolorach.... W pośród téj grupy

unosił się złoty łabędź cudnéj roboty, dzieło najsławniejszych kunstmistrzów carogrodzkich. Nad łabędziem zwisała ze strony bardzo kosztowna perła, upominek cesarza byzanckiego Leona.... Oprócz alkazaru czyli głównego pałacu wznosiło się w Azahrze wiele innych budynków okazałych, jakoto wielka moszeja, mennica, mieszkania dla straży pieszéj i konnéj.... Niemniéj wspaniałemi od gmachów i pałaców były także połączone z niemi ogrody, w których rozkiełzana wyobraźnia oryentalna zdawała się urzeczywistniać najroskoszniejsze marzenia swoje. Sztuka i natura ubiegały się tu o pierwszeństwo. Gaje drzew owocowych, myrty, laury, oliwy, tworzyły zielone grupy dziwnéj rozmaitości odcieniów, kąpiąc gałęzie swoje w czystych jak błękit nieba jeziorach. W osobnych przestrzeniach ogrodowych snuły się najrozmaitsze rodzaje zwierząt. Boje pstrobarwnych i melodyjnych ptaków ulatywały po właściwych sobie częściach ogrodu, zamkniętych zewsząd przezroczystą siatką drucianą. Łąki najpiękniejszych i największych kwiatów schlebiały oku i powonieniu. Było także w ogrodach Azahry mnóstwo łaźni i łazienek z marmurowemi baseniami, dziwnéj ozdobności i wygody. W pośrodku tych ogrodów czarownych na wzgórzu, z którego otwierał się widok uroczy— wznosił się pawilon kalifa, gdzie Abdelrachman zwykł był wypoczywać, wracając z łowów. Nadobną tę budowę dźwigały białe kolumny marmurowe z złotemi nagłówkami. Strop i ściany wewnątrz były nadzwyczajnie bogato przyozdobione złotem i kamieniami drogiemi. W pośrodku znajdowała się olbrzymia koncha z porfiru, pełna żywego srebra, urządzona w ten sposób, iż srebro przypływało i odpływało. Na wszystkie strony prowadziły drzwi z hebanu i kości słoniowéj, za których otworzeniem zalewała się cała sala tak jaskrawemi strumieniami światła, iż nie można było otworzyć oczu. Chcąc niekiedy zadziwić albo przestraszyć swoich gości, nieobeznanych jeszcze z dziwami Azahry, dawał Abdelrachman skinienie służbie, aby wprawiła w ruch żywe srebro. Rażący blask słońca, odbity od zwierciadła żywego srebra, zamieniał się natenczas w jedną przeciągłą

błyskawicę, w której cały pawilon drzał i kołysał się w morzu światłości, na podobieństwo miotanego burzą okrętu. [64])

Gdy piękna niewolnica Azahra weszła po raz pierwszy do ogrodów jéj imieniem nazwanych, uderzył ją nieprzyjemnie widok przeciwległéj góry, czarnym lasem porosłéj. „Jakże możesz zezwolić panie“ — rzekła do kalifa Abdelrachmana — „aby piękność jak Azahra spoczywała w objęciach tak szpetnego murzyna?“ — Abdelrachman kazał wyciąć las czarny, a zasadzić natomiast najpiękniejsze gaje figowe i migdałowe. Jego praszczur Abdelrachman I, pierwotnie wygnaniec z ojczyzny i wydartego sobie tronu w Bagdacie, następnie założyciel dynastyi Omejadów w Hiszpanii, zaszczepił w ogrodach Kordowy pierwszą palmę w Hiszpanii, z któréj rozrodziły się wszystkie palmy w tym kraju. Siadując wieczorami na krużganku jednéj z wieżyc ogrodu lubił starzec przypatrywać się wzrostowi młodego drzewka, przypominającego mu oddaloną ojczyznę. Dumania jego wylały się nawet w pełnym rzewnéj tęsknoty wierszu, porównywającym dolę osiadłego w cudzéj stronie wygnańca i zaszczepionéj pod andaluzyjskiem niebem drzewiny. A tożsamo usposobienie uczuciowe, tensam dar poetyczny, które cechowały wielkiego wojownika Abdelrachmana, towarzyszyły także jego następcom, w ogólności każdemu Arabowi ukształconemu. Prawie wszyscy w szkicu niniejszym wymienieni książęta andaluzyjscy, mianowicie Abdala, Abdelrachman III, Alhakem II, Hiszem, Sulejman, i t. d. odznaczali się talentem poetycznym i zostawili po sobie ułamki mową wiązaną. Podania do monarchy bywały stylizowane wierszem, wodzowie na polu bitwy wierszem o odniesionem donosili zwycięztwie, przechadzający się po ogrodzie kalif na liściu platanowym wydawał rozkazy wierszem.

Obok powszechnego zamiłowania w poezyi nie brakło także popędów do umiejętnego szukania prawdy. Znana jest dbałość kalifów o rozszerzenie nauk, nawet osobista żądza oświecania się. Celował tém osobliwie syn i następca Abdelrachmana III. „Król Alhakem“ — czytamy u Kon-

dego [65]) —„był od młodości tak wielkim miłośnikiem nauk i sztuk nadobnych, iż z prawdziwą namiętnością zbierał najkosztowniejsze księgi o kunsztach i umiejętnościach, najcelniejsze pisma o poezyi i krasomówstwie, jako też wszelkiego rodzaju dzieła i pamiętniki w zawodzie historyi i geografii, nie szczędząc ani trudu, ani pieniędzy. Ze wszystkich stron zwożono mu co było najznamienitszego w tych przedmiotach, a we wszystkich znaczniejszych miastach Afryki, Egiptu, Syryi, Iraku i Persyi utrzymywał kalif umyślnych posłów, którzy mieli obowiązek wyszukiwać i kupować dla niego książki najlepsze. Cały pałac kalifów zapełnił się tak dalece zbiorami naukowemi, iż można było mniemać, jakoby nie zawierał nic innego prócz książek. I nie przypominano sobie żadnego z emirów muzułmańskich, którzyby z tak wielką chciwością zgromadzał wszelkiego rodzaju książki jak Hakem. Dwór jego stał otworem dla wszystkich ludzi rozumnych i uczonych, których wyprawiał często w podróże, aby mu zewsząd dostarczali nowych materyałów do jego zbiorów. W Egipcie utrzymywał król Hakem w tym celu Abu Izaka Muhameda ben Alkazem el Szejbani, w Syryi Abu Omara i kilku innych, w Bagdacie Muhameda ben Tarhan. Do szybkiego odpisywania rzadkich ciekawych dzieł służyli we wszystkich miastach biegli i hojnie opłacani pisarze. Biblioteka Alhakema ułożona była według podziału nauk i kunsztów. We wszystkich salach, na wszystkich szafach znajdowały się ozdobne napisy, zawierające tytuły ustawionych na półkach książek, z wyszczególnieniem nauk o których traktowały. W głównych katalogach zapisane były dzieła, nazwiska autorów, ich pochodzenie i ojczyzna, rok urodzenia i śmierci, wszystko z najściślejszą dokładnością. Historyk Aben Hajan donosi, iż katalogi biblioteki meruańskiéj, nazwanéj tak od pałacu Meruan, składały się z 44 tomów, każdy tom o kartach 50, na których znajdowały się jedynie nazwiska autorów i kollekcyi ich pism. Według innego zaś pisarza miał główny kata-

log ukończonym być dopiero za panowania Hakemowego syna Hiszema."

Sławny hadżib Almanzor, któremu niekiedy przypisują zaprowadzenie straży słowiańskiéj, założył w istocie akademię umiejętności i sztuk nadobnych. Należeli do niéj sami ludzie zasłużeni oświacie, którzy już napisali jakieś dzieło uczone, bądźto prozą bądź wierszem. Inni protektorowie i miłośnicy nauk lubili otaczać się towarzystwém uczoném, wyprawiali biesiady literackie, zwyczajnie w dzień czwartkowy. Na posiedzeniach akademii, przy obiadach uczonych, tudzież z innych okoliczności, odbywały się dysputy umiejętne, improwizowano na zadane tematy, walczono z sobą o palmę. Całe pożycie towarzyskie przejmowało się uszanowaniem dla uczoności, wyrażającem się w dziwnych nieraz zjawiskach. Nawet poniżona w społeczeństwie oryentalnem niewiasta odzyskiwała zaletami umysłu utraconą powagę, stawała na równi z mężczyznami. Dziejopisowie andaluzyjscy opowiadają bardzo często o uczonych Arabkach, poetkach, sekretarkach królewskich, podobnież jak Słowianie często ze stanu niewoli podniesionych. Nawet sama srogość wojenna łagodniała pod wpływem światła, zmuszona zastosować się do przepisów wytwornéj obyczajności. Prawy rycerz arabski winien był posiadać dziesięć cnót kardynalnych, mianowicie: rzetelność, męztwo, zręczne jeżdżenie na koniu, ugrzecznienie, poetyczność, krasomówstwo, siłę fizyczną, wprawność w ciskaniu dzirytem, w strzelaniu z łuku i w robieniu orężem. Przez rycerzów chrześcijańskich, bawiących wielokrotnie na dworach emirów andaluzyjskich, miały przepisy téj wytworności rycerskiéj upowszechnić się pomiędzy rycerstwem hiszpańskiém i francuzkiém i przyczynić się nie mało do rozwoju szwaleryi europeyskiéj. Z większą jeszcze pewnością da się to powiedzieć o wpływie nauk arabskich na średniowiekową uczoność europejską. Toć wiadomo, w ilu różnych gałęziach owi w bibliotekach Alhakema przechowywani pisarze arabscy stali się nauczycielami oświaty nowoczesnéj. Nie darmo też nakazy-

wali papieże rzymscy w wieku XIII zakładać osobne katedry języków oryentalnych przy uniwersytetach niektórych.

U takich to nauczycieli kształcili się nasi pobratymcy w Hiszpanii. Na takiemto tle społeczeńskiém rozwijały się losy niewolników słowiańskich, mające z czasem tak wysokiego dostąpić kresu. Pałac i ogrody Azahry służyły im za codzienny przybytek, poetki i poeci arabscy śpiewali chwałę naszych hadżibów, słowiańscy królowie Murcyi, Denii, Almeryi, posiadali własne pałace i ogrody na podobieństwo Azahry. Cała historya tego na odległe brzegi wyrzuconego roju Słowiaństwa wygląda raczéj jak jedna z czarodziejskich powiastek oryentalnych, niż jak zwyczajny wypadek rzeczywistości. Wywieziony z pod nadwiślańskiéj lub naddunajskiéj strzechy niewolnik widzi się stróżem osoby cesarza maurytańskiego, dochodzi u niego łask i zaszczytów, zasiada z nim do współrządu, sam nareszcie zostaje królem — nie istneż to marzenie historyczne? Zaprzedany w niewolę Kanaanejczyk z nad Wisły lub Dunaju wzniósł się wyżéj nad brzegami Gwadalkwiwiru, niż Kanaanejczyk Józef w swoim Egipcie, ale czyż wraz z Józefem pamiętał o dalekiéj ojczyźnie? Zdaje się nie pamiętał, gdy i ona go zapomniała — zapomniała syna najdziwniejszych losów pomiędzy wszystkimi utraconymi synami Słowiańszczyzny. I byłaby zgasła wszelka o nim wiadomość, gdyby nie pisarze narodu, któremu służył, a który zato odpłacił mu słowem pamięci.

A gdy się raz rozwarło źródło takich wspomnień arabskich, gdy dzięki badaczom jak Casiri, Conde, Fraehn, D'Ohsson, powzięliśmy od Arabów tyle ciekawych wieści o naszych przodkach, dla czegożby niewolno było spodziewać się jeszcze więcéj darów tego rodzaju? Toć wszystko cośmy już otrzymali w téj mierze, upoważnia do nadziei podobnéj. Uczeni jak Casiri i Conde patrzyli obojętném okiem na wzmianki o Słowianach w dziejopisach arabskich i wypisywali je bez osobliwszéj pilności, a przeszło dwuwiekowy pobyt i ważna rola Słowian w Hiszpanii dawały

im sposobność upamiętnić się z wielu różnych względów w dziejach krajowych. Możnaby tedy wnosić, iż rękopisy arabskie, przechowywane po tylu bibliotekach europejskich, zawierają nieco więcéj szczegołów o Słowianach, niż znajdujemy w Kasirim albo Kondem. Mniemanie nasze utwierdza się jeszcze okolicznością, iż każden z nowych tłumaczów kronik arabskich, jak np. Murphy po Kasirim, Conde po Murphym, znachodzi jeszcze coś nowego do powiedzenia o Słowianach hiszpańskich — nie zdaje się przeto żeby i Conde wyczerpał wszystko. Mamy zresztą ciekawy przykład, o ile dotychczasowe wyjątki z pewnego pisarza arabskiego są tylko próbką nierównie ważniejszych wiadomości o Słowiańszczyznie, jakie tenże sam pisarz umieścił w innych pismach, jeszcze nieogłoszonych. Przykładem takim jest znany pisarz Massudy, który w wydanym przez D'Ohssona wyjątku wzmiankuje o wielkiéj rzeszy słowiańskiéj, rozerwanéj wojną domową, poczém dodaje: „Jestto przedmiot za obszerny, abym go mógł tu wyłożyć, mówiłem o nim w całéj rozciągłości w dziełach moich *Achbar-uz-Zemani* i (*Ketab*) *ul-Ausatti*“ [66]). Do tych nieodszukanych jeszcze dzieł Massudego, jako też do owych rękopisów andaluzyjskich, nie znajdzież drogi który z oryentalistów słowiańskich? Przetrząśniono już w celu poznania starożytnych Słowian źródła łacińskie, przejrzano bizantyńskie, czekają jeszcze arabskie.

OBJAŚNIENIA.

[1]) D'Ohsson *Des peuples du Caucase* 86, 89.

[2]) Abdelrahman, Abdelraman, Abdorrhaman, właściwie Abd-el-Rachman tyle co Sługa Miłosiernego. Arabski wyraz *rachman*, miłosierny, łagodny, dał początek staropolskim wyrazom rochmanny, rochmanność, urochmanić, tyle co łagodny, łagodność, ułaskawić (ob. Słownik Lindego). Słuszna tu nadmienić także o niejednostajnej pisowni innych imion arabskich. Pochodzi ona z wiadomego zaniedbywania samogłosek w rękopisach tego języka, zkąd często wątpliwe onych brzmienie. I tak np. czytamy Omejadów, Ommajadów i Ommijadów; Elhakam i Alhakem; Hiszem, Hiszam i Heszam; Muhamed, Mohamed, Muhamad i Mahomet; Sulejman, Solejman i Soliman; Edris i Idris; Ebn i Ibn, i t. p.

[3]) A. Bielowski Pomniki dziejowe Polski (w druku) I. 62, 65. Z trafnych postrzeżeń Bielowskiego na str. 81 przekonujemy się, iż król Gebalimów słowiańskich u Chasdaja jest to wspomniany przez Konstantyna Porfyrogenetę książe Chrobatów na północno-zachodniej stronie gór Karpackich, w sąsiedztwie Niemców. Z temże zgadza się Chasdajowa nazwa Gebalim, pochodząca najprawdopodobniej od tego samego pierwiastku *góra*, po arabsku *gibal* lub *gebal*, którego dostrzegł w niej już Bielowski na str. 81, a który zwyczajnie upatrywany bywa także w nazwie *Chrobacya*. Arabski wyraz *gebal* powtarza się także w języku hebrajskim, w którym pisany jest list Chasdaja, a równie u Arabów jak i u Żydów służył do nazw miejscowych. Śladem tego prowincya Gebalene, górzysta, w Palestynie; powiat Gebel (Dżebel), górzysty, na Libanie; kraj Gebal w Kondego Historyi panowania Arabów w Hiszpanii tom II rozdz. 11, tamże częste nazwy jak Gebal-Tarik, Gebal-Quintos i t. p. Takim sposobem Chasdajowa nazwa Gebalim byłaby tylko tłumaczeniem nazwy Chrobatów, a obie razem znaczyłyby według zwyczajnego przypuszczenia tyle co mieszkańcy gór, *Horiti* króla Alfreda.

[4]) Ustęp z Murphy'ego *History of the mahometan empire in Spain* w Aschbacha *Geschichte der Ommaijaden in Spanien* II. 98 brzmi całkowicie: *Other ambassies arrived at Annasirs court; namely, one from the king of the Slavonians, called Ducu; one from the king of France behind the Pyrenees, named Ukad; and one from the sovereign of the France on the east side of the country, called Calda. These envoys were likewise received by Annasir with great pomp and state: and he sent back, with the ambassador of the Slavonians to their Sovereign Hugo Rabia, the bishop, who returned after an absence of two years.* O używaniu przez Abdelrachmana III duchownych mozarabskich do poselstw, nawet do usług w kancelaryi arabskiej wspomina kilkokrotnie *Vita Joannis abbatis Gorziensis* w Pertza *Monum. Germ. Script.* IV. 369—377.

[5]) D'Ohsson *Des peuples du Caucase* 86.

[6]) *Multitudinem mancipiorum viribis scilicet et feminei sexus emere visi sunt, quos et in Africam ad paganam gentem nitebantur deducere.* Fischer *Geschichte des teutschen Handels* I. 36.

[7]) Dandul. in *Chron.* ad a. 878 pag. 186. Fischer I. 36.

[8]) Lechicki początek Polski 340. Schwandtner *Scriptores rerum Hungaricarum* III. 452.

[9]) Bogufał w Sommersberga *Scriptores rerum Silesiacarum* II. 19.

[10]) Muratori *Scriptores rerum Italicarum* II. 470 *quos* (eunuchów) *Verdunenses ob immensum lucrum facere solent, et in Hispaniam ducere.* Z tej przyczyny uchodzili Werduńczykowie za najlepszych znawców drogi do Arabów w Hiszpanii, i sługiwali często za przewodników. *Vita Joannis abbatis Gorziensis* Pertz IV. 370 *praedictumque Virdunensem socium ob locorum regionumque notitiam facit.* Nie dziw zaś, iż na dworze kalifów andaluzyjskich pożądani bywali eunuchowie, jeżeli o znanym cesarzu bizantyńskim Konstantynie Porfyrogenecie opowiada biskup Liutprand w swojej Historyi (Muratori II. 470), iż ze wszystkich darów złożonych cesarzowi przez Liutpranda w imieniu włoskiego króla Berengara, najmilszym upominkiem było mu czterech małych eunuchów, *quatuor carsamatia, imperatori nominatis omnibus (donis) preciosiora. Carsamatium autem Graeci vocant eunuchum....*

[11]) Fischer *Geschichte des teutschen Handels* I. 35 *praedicavimus Christianis, ut mancipia eis (Judaeis) christiana non venderent, ut ipsos Judaeos Christianos vendere ad Hispanos non permitterent.* Mowa tu jedynie o handlu niewolnikami chrześcijańskimi. Nieochrzczonych jeszcze Słowian nikt zapewne nie bronił sprzedawać Żydom.

[12]) Lelewel Polska wieków średnich 1856. II. 328, 418.

[13]) Lelewel Polska wieków średnich 1847. II. 352.

[14]) Z arabskich źródeł czerpał także Roderyk, arcybiskup Toledu, piszący jeszcze w wieku XIII. Jego *Historia Arabum* znajduje się w drugim tomie Schotta *Hispaniae illustratae scriptores.* W jedynym wszakże egzemplarzu dzieła tego we Lwowie brakuje właśnie tomu drugiego. Podobnież nie znalazłą się ani w bibliotekach ani w handlu księgarskim, Murphy'ego Historya panowania Maurów w Hiszpanii, o której zresztą Conde w przedmowie do dzieła swego powiada, iż polega głównie na znanych wyjątkach Casiri'ego.

[15]) Tom I część II rozdz. 36.

[16]) Casiri *Bibliotheca* I. przedm. str. VI. Jak różnie np. czytali też same słowiańskie nazwy Massudego Des Guignes w rozprawie o Massudym (*Notices et extraits de manuscrits de la bibliothèque du roi* I. 27) i D'Ohsson w swojem dziele *Des peuples du Caucase* str. 36—38.

[17]) Casiri *Bibliotheca* II. 206. *Scalabitae sunt Illyrii, vulgo Esclavones, qui per ea tempora in Hispania stipendia merebant.*

[18]) Casiri *Bibliotheca* II. 205.

[19]) Casiri *Bibliotheca* II. 108.

[20]) Casiri *Bibliotheca* II. 104 *a Vadheh Alscalabaeo Eunuchorum rectore.*

[21]) Herbelot *Bibliothèque orientale* 382.

[22]) Casiri *Bibliotheca* II. 205.

[23]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 286 *der slavonischen Eunuchen.*

[24]) Hammer-Purgstall *Gemaeldesaal des Lebensbeschreibungen grosser moslimischer Herrscher* III. 152 *Capitaen der slavischen Eunuchen-Leibwache.*

[25]) *Vita Joannis abbatis Gorziensis* (Pertz IV. 371) w opisie poselstwa do Kordowy mówi o kalifie Abdelrachmanie III: „przystęp do niego rzadki, i prawie żaden. Wszystko załatwiane bywa listownie przez *sklawów* pokojowców, *tantum litteris per sclavos cubicularios omnia perferuntur.*“ Jest wszelkie podobieństwo do prawdy, że ci *sclavi cubicularii* są to pokojowcy słowiańscy, *Slavi cubicularii.* Żywot opata Jana pisany był przed rokiem 984, a wtedy wyraz *Slavi* lub *Sclavi*, nieznany jeszcze w znaczeniu niewolnika, znaczył jedynie Słowianina. Jakoż we

wszystkich dziesięciu tomach Monumentów *Germaniae* Pertza, w których źródła dziejów niemieckich doprowadzone są aż poza wiek XI, a z których każdy opatrzony jest starannym indexem średniowiecznej łaciny, znajdujemy wyraz *sclavi* tylko raz jeden, i to właśnie w przytoczonym tu ustępie o pokojowcach w Kordowie. Godzi się przeto wnosić, że i w tym razie jedynym użyty jest wyraz *Sclavi* w właściwém znaczeniu narodowości, nie zaś w poźniejszém znaczeniu niewolnika. Posłujący opat Gorcyeński Jan, prowadzony do Kordowy przez jednego z owych mieszkańców miasta Werdunu, którzy tylu eunuchów z niedalekich sobie okolic (słowiańskich) wyprawili w handel do Andaluzyi, z daleko mniejszém zapewne zdziwieniem spotkał pokojowców słowiańskich u dworu Abdelrachmana III, niż my spotykamy ich w opisie jego poselstwa.

[26]) Lembke *Geschichte Spaniens* I. 373. Aschbach *Geschichte* der Ommaijaden I. 229.

[27]) Hammer-Purgstal *Gemaeldesaal* III. 65.

[28]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 66.

[29]) Casiri *Bibliotheca* II. 214 *gente Dalmata.*

[30]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 111. Mailath *Geschichte der Magyaren* I. 15.

[31]) Boczek *Codex diplomaticus* Moraviae I. 72.

[32]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 66. *Vita Joannis Gorziensis* (Pertz IV. 375) opowiada, iż udając się do pałacu Abdelrachmana spotykał poseł różne hufce wojskowe, między któremi *pedites hastis humo stantes defixis, longe inde hastilia quaedam et missilia vibrantes manuque crispantes, ictusque mutuos simulantes....*

[33]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 79.

[34]) Murphy w Aschbacha *Geschichte der Ommaijaden* II. 111. *It is said the Sclavonians amounted to six thousand and eigthy seven.*

[35]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 88.

[36]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 99.

[37]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 266.

[38]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* księga VII rozdz. 1.

[39]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 104—108.

[40]) Casiri *Bibliotheca* II. 204. Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 264. Imię Wadha przypominałoby polskie *Wada.* Wszakże brzmienie to powtarza się we wszystkich prawie językach. W samej Historyi Kondego wyczytujemy w czasach nieco dawniejszych (część II rozdz. 101) wojownika imieniem *Wadha el Fehti.* Inny *Wadda* sługiwał kalifom wschodnim w Bagdacie. W pieśni podróżnika anglo-saskiego jakiś *Wada* panuje nad Helsyngami i t. p.

[41]) Casiri *Bibliotheca* II. 51 *duce Vadheho Alscalabaeo* (Alsaclabaeo).

[42]) Casiri II. 204 *a Vadheh Alscalabaeo Eunuchorum rectore.*

[43]) O dwadzieścia kilka lat wcześniej inny Słowianin w tychże południowych stronach Europy innemu cesarzowi ocalił życie. Był to cesarz rzymski Otto II, wojujący w południowej Italii z Grekami i Arabami, i rozgromiony od nich w bitwie pod Bassentellą nad morzem r. 982. Ścigany od nieprzyjaciół cesarz nie widział innego sposobu ocalenia jak skoczyć z koniem w morze i dopłynąć krążącego opodal statku, gdzie w istocie przyjęli go żeglarze. — „Na nieszczęście byli to Grecy, z wyjątkiem jednego Słowianina, który znał dawniéj cesarza. Ten ubrał go w suknie swoje i dał mu do zrozumienia, aby nie zdradzał, kto jest. Żeglarzom zaś oznajmił, że to jeden z urzędników Ottona, mający pod swoją strażą skarby cesarskie, które znajdują się w Rosanno. Gdyby żeglarze chcieli zawieźć go do tego miasta i puścić go tam na wolność, dałby im za to większą połowę skarbów. Nad to wszystko ofiarował się Słowianin w zakład za dotrzymanie umowy, co tak ujęło Greków, że popłynęli natychmiast do Rosanno. Po zbliżeniu się do brzegu

udał się Słowianin do miasta, rzekomo aby przystawić skarby, w rzeczy zaś aby biskupa Teodoryka uwiadomić o niewoli i przybyciu cesarza.“ Biskup sprowadził co prędzej ludzi cesarskich, pod których zasłoną wyskoczył Otto II na ląd, i pognał cwałem do miasta. Giesebrecht *Kaiser Otto II* w Raumera, *Jahrbücher des deutschen Reiches* II. 79.

[44]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* 254.

[45]) U kronikarza Roderyka Toletańskiego obaj Słowianie nazywają się Zabor i Hanbar. Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 264. Anbaro zdarza się także jako imię mahometańskie.

[46]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 265 *regierte der Hadschib Wadha durch seine Slavonier fast unumschraenkt.*

[47]) Hammer-Purgstall *Gemäeldesaal* III. 153. *Nun herrschten die Slaven in Andalus.*

[48]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 108—111.

[49]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 108.

[50]) Casiri *Bibliotheca* II. 205—206.

[51]) Casiri *Bibliotheca* II. 108.

[52]) Conde *Historia* tom II rozdz. 1—3.

[53]) „Dzieje rodziny Edryzydów“—uskarza się Aschbach w swojej Historyi Almorawidów i Almohadów I. 28—„pełne są najdziwniejszych sprzeczności, które żadną miarą nie dadzą się pogodzić według podań kronikarzów arabskich. Nawet kolej następstwa i lata panowania ulegają nie rzadko wątpliwości.“

[54]) Casiri *Bibliotheca* przedm. str. VI.

[55]) Conde *Historia* tom II rozdz. 1.

[56]) Tamże w indexie do tomu II.

[58]) Conde *Historia* tom II rozdz. 1.

[59]) Casiri *Bibliotheca* II. 42, 215.

[60]) Tamże *apud Scalabaeum Almeriae et Murciae regem... adnitente Zohairo Almeriae et Murciae rege.*

[61]) Aschbach *Geschichte der Almoraviden und Almohaden* I. 43.

[62]) Conde *Historia* tom II rozdz. 11—19.

[63]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 94. Hammer-Purgstall *Gemaeldesaal* III. 119.

[64]) Aschbach *Geschichte der Ommaijaden* II. 106.

[65]) Conde *Historia* tom I część II rozdz. 88.

[66]) Bielowski Wstęp krytyczny do dziejów Polski 186. D'Ohsson *Des peuples du Caucase* 88,

WYCIECZKA

DO

KRAKOWA

W MAJU (2—14) 1858 ROKU

KAZIMIERZA WŁADYSŁAWA WOJCICKIEGO.

I.

Droga do granicy. — Krzeszowice. — Dawne wspomnienia. — Grenadiery krakowscy. — Jerzy Samuel Bandtkie. — Konstanty Majeranowski. — Kraków. — Kościół Panny Maryi. — Rynek. — Ambroży Grabowski, jego zbiory. — Wspomnienie Kazimierza Brodzińskiego i Jacka Przybylskiego. — Starożytności. — Ślady pożaru 1850 r. — Wieliczka. — Saliny. — Kościół Ś. Anny. — Grób Ś. Jana Kantego, Jacka Przybylskiego, Juliusze Słowackiego. — Mogiła Tadeusza Kościuszki. — Ulica Kościuszki. — Nabożeństwo wieczorne w kościele Panny Maryi. — Wawel. — Zamek. — Katedra. — Podanie Górali. — Skarbiec Katedry. — Dzwon Zygmuntowski. — X. biskup Łętowski. — Ślub wiejski w kościele Panny Maryi. — Album kostiumów ludu polskiego. — Biblioteka Jagiellońska. — Sala Jagiellońska. — Posąg Swiatowida. — Józef Muczkowski. — Kościół na Skałce. — Grób Jana Długosza. — Kasztelan Franciszek Wężyk, jego dramata. — Towarzystwo Naukowe Krakowskie. — Dom dla tegoż Towarzystwa.

Nie będę wam opisywał drogi odbytéj z Warszawy do Krakowa koleją żelazną. Zpowszedniały już pierwsze wrażenia od czasu, kiedy ta droga przestała być nowością; dziś każdy krzyżem świętym się żegna siadając, aby szczęśliwie w tym szybkim przelocie, cało do celu podróży dosiągł i wrócił zdrowo do domowego ogniska.

Pod wieczór ujrzeliśmy wzniosłe wieże *Jasnéj-Góry*. Wszyscy obecni, jakby jedną myślą natchnieni, odkryli i pochylili głowy na powitanie świętego grodu, który na kartach dziejów naszych tylą wspomnieniami zasłynął.

Na granicy zanocowaliśmy: krótki był spoczynek, bo zbudzeni o trzeciéj godzinie rano, o w pół do piątéj ruszyliśmy daléj. Krótka to droga; na austryjackiéj stacyi zapowiedziano nam, że pięć godzin czekać musimy, aż pociągi z Prus nadejdą, bo tu zbiegają razem koleje: pruska, krakowska i polska.

Uzbroiwszy się w cierpliwość, po podpisaniu paszportów i grzecznéj rewizyi naszych pakunków, doczekaliśmy się przecie owéj wyglądanéj i utęsknionéj chwili, aby wsiąść do wagonów i ujrzéć mury Krakowa.

Koléj biegnie malowniczą okolicą: podniosłe wzgórza, pola rodzajne, lasy i gaje ożywiają krajobraz. Droga idzie środkiem gór wapiennych, przez znane *Krzeszowice*, słynne źródłami siarczanemi i żelaznemi, a ozdobne kościołem i pałacem wśród wspaniałego ogrodu.

Zbliżając się do Krakowa, pamięć przywiodła mi wspomnienie jak przed 28 laty w wieku pierwszéj młodości, pierwszy raz z bijącém sercem od radości ujrzałem wieże Krakowa, na tle wzniosłém Karpat. A wówczas, gdy z głębi Podlasia, tydzień z górą odbywając podróż powolną końmi, stawałem u kresu podróży, zachwycenia mego żadne pióro nie opisze.

Kraków wówczas był wolném miastem. Wybiegłem na rynek właśnie w chwili, gdy kompaniia grenadjerów Rp. krakowskiéj zaciągała na główny odwach. Ubiór ich, — bermyce niedźwiedzie — przypomniały mi dzielne zastępy nasze z czasów Księstwa Warszawskiego; oddział ten poprzedzała muzyka pułkowa, przygrywając na nutę tak rzewną a pełną wspomnień, że spłakany jak dziecko stałem długo na rynku.

Oznajomiwszy się z położeniem miasta, pospieszyłem złożyć moje uszanowanie sędziwemu w latach i zasługach J. S. Bandtkiemu. Zaniosłem mu pierwszą moją pracę: „*Przysłowia narodowe*“ w darze. Starzec niski, przygarbiony, przyjął mnie z początku dosyć obojętnie, ale przejrzawszy ofiarowane dziełko, spojrzał na mnie badawczém okiem i zapytał:

— To pan pisał?

— Tak, panie.

— Wiele pan ma lat?

— Dwadzieścia dwa.

— Pan polak?

— Tak, panie.

— Pan polak, tak młody a napisałeś trzy tomy rzeczy użytecznéj dla języka, to ja muszę pana kochać.

I po tych słowach uściskał mię serdecznie; przedstawił swéj małżonce, oprowadził szczegółowo po Bibliotece Jagiellońskiéj i zaprosił codziennie na szachy. Przy zwiedzaniu tego księgozbioru był ze mną mój dawny szkolny towarzysz J. M.; ten ciągle Bandtkiego i ustawnie tytułował *pan dobrodziej;* snać to uczonemu nie smakowało, bo zmierzywszy go raz i drugi wzrokiem i poznawszy w nim młodzika dość roztrzepanego, pokazując podpisy zwiedzających w wielkiéj księdze, po wyliczeniu znakomitych historycznych postaci, których są własnoręczne podpisy, zatrzymał się przy nazwisku jakiémś mniéj znaném, a wskazując nań palcem, rzekł do J. M.:

— To także ten pan zwiedzał bibliotekę: był taki wysoki jak pan, ale wcale nie głupi człowiek.

Mój towarzysz, kręcąc się ciągle po sali, nie zrozumiał przymówki; pojął ją dopiero, jakeśmy opuścili gmach biblioteki, gdym mu wytłómaczył słowa J. S. Bandtkiego.

Zaproszony, codziennie niemal po obiedzie przychodziłem do niego na szachy, przy których na stoliczku oddzielnym stała butelka wina. Trzy partye przegrawszy, biorąc ciągle prawie maty z uciechą zawsze Bandtkiego, pozyskałem takie względy, że sam się ofiarował za przewodnika w zwiedzaniu katedry krakowskiéj i grobów królów polskich.

Właśnie był miesiąc Maj jak teraz; z powodu uroczystości uderzył dzwon zygmuntowski; kiedy ujrzał wrażenie moje na ten głos dziwnego a tak wspaniałego brzmienia, rzekł do mnie wskazując ręką na wieżę:

— To Zygmunt! wiele on wieków dzwoni i na płacz i na radość Polski!

Oblicze jego sposępniało, stanął i kilka razy zażył tabaki, a hojnie jéj używał, niemal co chwila: dla tego cały był nią zasypany; przy krześle, gdzie siedział, można ją było zgarniać.

Po obejrzeniu zamku królów i katedry szczegółowo, zchodząc z Wawelu, dostrzegłem że Bandtkie chwilę stanął jakby zmęczony. Podałem mu rękę, ażeby się wsparł na mnie.

— To nic! to chwilowy zawrót głowy, przejdzie, dziękuję ci. A wracając się do mnie z uśmiechem, dodał:

— Całe moje życie nie oglądałem się na obcą pomoc, zawsze własnym więcéj ufałem siłom, i dobrze mi z tém było.

Wszystkie te szczegóły wiernie przywiodła mi pamięć, gdym ujrzał wspaniały Wawel z katedrą i zamkiem.

Z pisarzy głośniejszego imienia oprócz Bandtkiego był tylko wówczas Ambroży Grabowski dziejopis Krakowa i księgarz i *Konstanty Majeranowski*, redaktor *Pszczółki Krakowskiéj* i wielu innych pisemek, autor dramatyczny obfity, który swemi utworami treści zawsze narodowéj podtrzymywał—rzec można—głównie scenę krakowską.

Wysokiego wzrostu, atletycznéj budowy przypominał kirasyerów napoleońskich; w téj téż broni służył, jak mi sam mówił. Niepospolitych zdolności był to człowiek na owe czasy: dobry redaktor, zręczny feljetonista, pisarz dramatyczny utalentowany: znał scenę i jéj potrzeby, to téż umiał wydobywać dramatyczne efekta. Dramat jego historyczny pod napisem: *Urszula Mejerin* z czasów Zygmunta III, w rękopismie dotąd będący, miał wielkie powodzenie na scenie krakowskiéj; mieliśmy sposobność go czytać. Chociaż co do strony historycznéj wiele mogłaby mu krytyka zarzucić, w układzie artystycznym całości i przeprowadzeniu scen efektowych mało może z nim iść w porównanie. *Kazimierz Wielki i Brózda, Kościuszko nad Sekwaną, Rej z Nagłowic,* i wiele innych sztuk wierszem

pisanych, wspierały dzielnie scenę krakowską. Zebrane Majeranowskiego razem prace dramatyczne kilka złożyłyby sporych tomów. Żałować potrzeba, że żaden księgarz krakowski nie pomyślał o tém wydawnictwie. Majeranowskiemu zawdzięcza Kraków wznowienie pięknego obrzędu *Konika Zwierzynieckiego;* on bowiem widząc ten obchód przechowywany w kółku tylko *Włóczków*, na przedmieściu *Zwierzynieckiém*, dał mu rozgłos po całym kraju opisem ciekawym w Pszczółce Krakowskiéj i ryciną M. Stachowicza. To zwróciło uwagę, i obrzęd podaniem odnoszony do czasów Bolesława Wstydliwego, do znaczenia publicznego obrzędu przywrócił.

Długo oczekiwany, przecież wychylił swoje mury i wieżyce gród Krakusa. Najprzód ujrzeliśmy mogiłę Kościuszki, wieże kościoła Panny Maryi i innych świątyń, a zarazem na starym Wawelu katedrę z grobami królów polskich i baszty zamkowe. Mniéj malowniczo z téj strony wygląda Kraków: rozpoczęte fortyfikacye nie dodają mu powabu , a mogiła Kościuszki otoczona grubemi murami, straciła dawny urok, gdy swobodnie z wyniosłego wzgórza, podnosiła swoje czoło. Jakaś ciemna, ołowiana chmura zawisła nad całym grodem, cięższa zdawała się tu atmosfera. Z dworca kolei żelaznéj prędko dostaliśmy się do hotelu Pollera, bo żadnéj nie ma pakunków rewizyi.

Odetchnąwszy nieco, poszliśmy na rynek, a widząc drzwi otwarte w kościele Panny Maryi, pospieszyliśmy odmówić modlitwę dziękczynną za szczęśliwie przebytą drogę.

Żaden z kościołów krakowskich po katedrze tak silnego wrażenia nie wyciśnie na przybyłym pierwszy raz do tego grodu jak wspaniały kościół Panny Maryi, zabytek z początków XIII wieku. [1]) Sklepienia gotyckie, wspaniały ołtarz wielki dłuta *Wita Stwosza*, równie jak poboczne; całość wreszcie wnętrza majestatyczna usposabia duszę do rzewnéj a gorącéj modlitwy. Nie było ścisku w kościele:

[1]) Założony w r. 1226 przez Iwona Odrowąża, biskupa krakowskiego.

kilkudziesięciu flisów, co wrócili wraz z nami, w rozdzielonych drużynach przy każdym niemal ołtarzu wieńcem klęcząc, odmawiało szczere swoje modły. Szept ich cichy, z westchnieniem połączony, słabém echem przerywał chwilami poważne milczenie.

Wyszliśmy napowrót w rynek i obeszli w około; po dwudziestu ośmiu latach niewidzenia, w niczém swéj fizyjonomii nie zmienił. Straszliwy pożar uszanował tę część Krakowa. Z powodu jarmarku zacieśniły rynek drewniane budy. Wspaniała budowa Kazimierza Wielkiego *Sukiennice*, trzyma się jeszcze krzepko, równie jak mały kościołek św. Wojciecha i wieża ratuszowa.

Grodzka ulica, którą pamiętny pożar w r. 1850 w gruzy zamienił, rozszerzona, śladu klęski już nie ma: przypomina go jeszcze wspaniały kościół księży Dominikanów zwaliskami swemi, obok w całości zachowanych kaplic.

Pierwsze odwiedziny w dniu przybycia do Krakowa zwróciłem do dawnego znajomego, czcigodnego historyka tego grodu i Nestora naszych archeologów, sędziwego Ambrożego Grabowskiego. Nie będę wam opisywał powitania naszego po przeszło ćwierć wieku niewidzenia. Witałem go w całéj czerstwości sił męzkich, w wiośnie dni życia mego; dziś szronem okrytą głowę skłoniłem ze czcią przed sędziwym starcem, który po dawnemu jak ojciec przycisnął mnie do serca i ze łzą radości pozdrowił.

Po stracie małżonki, z najmłodszym synem, mieszka na przedmieściu Piaski, obok najstarszéj córki zamężnéj.

Mieszkanie jego przepełnione jest rozmaitemi pamiątkami i osobliwościami. Pomijamy zbiory zasobne z działu historyi naturalnéj, a głównie wspomnimy o drogocennych pamiątkach dla dziejów i literatury naszéj. Żaden ze zbieraczy nie może się pochlubić tylą rysunkami, akwarelami i olejnemi robotami Michała Stachowicza, jakie zgromadził P. Grabowski. Ktokolwiek chciałby badać dawne ubiory, szczególnie wojskowe, zajrzéć musi tu do tych nieocenionych ksiąg, które ogromne pod tym względem zawierają materyały. Ale w tym ogromie musimy zacho-

wać pewien porządek: dla tego zaczniemy od tych, któreśmy najpierwéj przeglądali. Winniśmy jeszcze objaśnić, że każda z tych ksiąg jest własnoręcznym po większéj części rękopismem sędziwego badacza, przeplatiiném to drukami, to listami obcych osób, to wreszcie rycinami.

Pierwszą z przejrzanych ksiąg był pamiętnik p. Grabowskiego, w którym skreślił cały swój bieg życia, jako pamiątkę dla dzieci i wnuków swoich. W nim przechodzi różne koleje od lat dziecinnych aż do dni najbliższych.

W oddzielnéj książce są zebrane materyały do życiorysów Kazimierza Brodzińskiego i Jacka Przybylskiego. Kiedy Brodziński w r. 1809 przybył do Krakowa, i zaciągnął się do kompanii Reklewskiego, znanego poety z pełnych prostoty *Pieni wiejskich*, wraz ze swym starszym bratem Andrzejem pierwszym tłómaczem *Dziewicy Orleańskiéj* Szyllera,—Grabowski wówczas subjekt w Gröblewskiéj księgarni, żył z nimi w ścisłych stosunkach przyjaźni. Z tych tak odległych lat pozostała szczególna pamiątka. Jestto komoda olszowa, własność oddawna naszego badacza. Kazimierz Brodziński mieszkał razem z Grabowskim, a wiele już wtedy czytając i pisząc, na téj komodzie pracownię swoją literacką założył. Wróciwszy wieczorem, przez nieostrożność wylał na nią cały kałamarz, atrament kilką strugami polał się na niéj z dwóch stron: rozgniewany takim nieporządkiem właściciel komody, ostre dał napomnienie młodemu podoficerowi.

Atrament wżarł się dobrze w drzewo, albowiem pomimo starannego oczyszczenia i nowéj politury strugi ciemnawe widoczne pozostały. Kiedy Kazimierz Brodziński w ostatniéj swojéj podróży już do ojczyzny nie wrócił, odwiedził Ambrożego Grabowskiego; po kilkudziesięciu latach ujrzał ze zmienioną już barwą komodę, poznał ją i z uśmiechem zapytał gospodarza.

— Wszak to ta sama komoda, za którą dostałem taki ostry pater noster.

— Ta sama! ta sama! odrzekł pytany.

Nasz poeta z rzewném uczuciem oglądał komodę, któ-

ra mu młode lata, pełne marzeń świetnych i nadziei obudziła.

P. Grabowski, czcząc pamięć Kazimierza Brodzińskiego, całe to zdarzenie skreślił i kartę z tym opisem wewnątrz szuflady umieścił.

W książce, o któréj wspomniałem, jest kilka własnoręcznych listów Brodzińskiego, wierszyków z owego czasu i z lat poźniejszych, a nadto dodane przez p. Grabowskiego szczegóły do życiorysu poety. Jeden przywiodę, nieznany dotąd.

Kiedy w pamiętnéj wyprawie 1812 r. Brodziński był obecny pożarowi jednego z miast większych, stanął w opuszczonym domu. Kanonier wpada doń zadyszany i mówi: „Panie poruczniku, znalazłem tu dla pana to, co pan lubi; niech pan porucznik pójdzie.“

Brodziński poszedł za nim, domu do którego weszli dach już płonął, ujrzał tam wielką bibliotekę i w szufladzie otwartéj zbiór numizmatów. Wybrał sobie kilka książek, i z rumieńcem wstydu—jak sam wyznawał—wziął kilka medali miedzianych, aby je Grabowskiemu ofiarować. Zdobycz ta była w furgonie, który w pamiętnéj rejteradzie wraz z tysiącami innych zaginął.

Do tych pamiątek po Autorze Wiesława brakuje podobnego wizerunku jego; dodamy tu nawiasem, że znany i zasłużony artysta J. Piwarski, wydawca *Kramu malowniczego* i *Galeryi Królów Polskich Bacciarellego,* ma portret najpodobniejszy ze wszystkich Brodzińskiego własnéj roboty; żałować przychodzi, że nam go dotąd nie wydał, wszystkie bowiem jakie mamy, nie przypominają nam tego oblicza poety, na którém prostota, wiara, szczerość, miłość i dobroć połączone, wycisnęły swoje piętno.

W tejże saméj książce, stanowiące część jéj drugą, są materyały do życiorysu Jacka Przybylskiego, znanego tłómacza Homera, Wirgiliusza, Luzyady i t. p. arcydzieł literatury europejskiéj. Na czele mieści się popiersie sztychowane Przybylskiego z życiorysem drukowanym, daléj własnoręczne jego pisma i wiersze pisane do p. Grabo-

wskiego, z którym żył w ścisłych stosunkach przyjaźni. Zacny to był człowiek i szlachetny, żelaznéj pracy, a w nagrodę swego poświęcenia otrzymał tylko w darze szyderstwo koryfeuszów ówczesnéj literatury warszawskiéj. Ośmieszono jego imie, drwiąc z jego wierszy i tłómaczeń. Doczekali się sami późniéj nie z jego ręki, ale z Mickiewicza odwetu, który w rozprawie swojéj „O krytykach i recenzentach warszawskich“ pomścił znieważoną pamięć Przybylskiego.

Wielka księga w kroju arkuszowym obejmuje bogate zasoby do nowego wydania opisu miasta Krakowa, którego pierwsze wydanie A. Grabowski ogłosił w r. 1822 ze stalorytami z rysunków M. Stachowicza. Kilka ksiąg zawiera drogocenne materyały do konfederacyi barskiéj i późniejszych zdarzeń krajowych.

Do historyi sztuki, rytownictwa i malarstwa, jak do życia domowego pod rozmaitemi względami, znalazłem wielkie zasoby wraz z bogatym zbiorem autografów. Najogromniejszą ze wszystkich jest księga, w którą wpisują się wszyscy odwiedzający naszego sędziwego badacza; będzie to kiedyś ciekawy i zajmujący zabytek.

Ze starożytności, któreśmy otrzymali w darze do naszego zbioru, jest ciekawy zbiór ostróg, od r. 1587—1655, zapinek i łańcuszków do spinania burek czy płaszczy, z tegoż okresu wykopane w Krakowie i okolicach bliższych: pierścionki, groty od strzał, klucz starożytny, oraz żeleziec szczególnego kształtu, znaleziony w *Smoczéj jamie*, przy jéj oczyszczaniu w r. 1843. Zwraca także uwagę z miedzi kuty obrazek święty z napisami słowiańskiemi, prawie trzy cale w kwadrat mający, do noszenia na piersiach, wykopany pod *Łubnicami* w górze zwanéj *Szwedzką*, w powiecie *Stobnickim* 1838 r. Czarka mała wykopana pod Krakowem metalowa. Kula armatnia (kartacz), znaleziona w spróchniałéj belce pod dachem na kościele Panny Maryi w Krakowie w czasie reparacyi 1857 r. Szczątek z trumny Leszka Czarnego, oraz z grobów królewskich familii Jagiellońskiéj. Oddzielny zbiór stanowią smutne pamiątki

pożaru 18 Lipca 1850 r. po spalonych kościołach krakowskich i pałacu biskupów krakowskich, który już okryty dachem, zamieszkanym dotąd nie jest; ulubione niegdyś siedlisko kapłana wieszcza naszego Jana Woronicza; ściany jego zdobiły malowidła Stachowicza, wszystkie treści narodowéj, — w jednéj niemal chwili stało się pastwą straszliwego pożaru, którego ślady widoczne dotąd jeszcze Kraków nosi i zapewnie na długo je zatrzyma. Wiele lat upłynie zanim się dźwignie z upadku kościół ks. Dominikanów, w którym oglądałem grobowiec Iwona Odrowąża od pożaru potrzaskany; wspaniały pomnik Kallimacha ocalał szczęśliwie.

Na drugi dzień po przybyciu do Krakowa, w zebraném gronie pośpieszyliśmy zwiedzić saliny Wieliczki. Przybywszy na miejsce i otrzymawszy prędko upoważnienie od zarządu, przystrojeni w białe płaszcze, ruszyliśmy schodami z przewodnikami w podziemia Wieliczki. Pierwszy raz tą drogą zchodziłem do salin, poprzednio bowiem spuszczaliśmy się na linach. Po czterystu kilkudziesięciu stopniach zeszliśmy na pierwsze piętro. Nie będę wam opisywał ani kaplicy wykutéj z soli, ani salonu illuminowanego z posągami wykutemi z soli, ani tych ogromnych przestworów, któreśmy przechodzili zstępując na coraz niższe piętra, bo trudny tam dokładny opis, gdzie cuda natury obudzają ciągły podziw. Powiększany jeszcze mieliśmy urok poetyczny tych podziemi, gdy w kilku miejscach zapalono ognie bengalskie. Jasna światłość to czerwona, to biała na przemiany, rozpędzając w jednéj chwili ciemnie tych ogromnych podziemnych pieczar, słabo dotąd rozwidnianych kagańcami przewodników, wywoływała zawsze okrzyk zachwytu wszystkich zwiedzających. Wsiedliśmy wreszcie na statek, aby przebyć jezioro na trzeciém piętrze będące. Dziwne a silne wrażenie odbiera każdy, chwiejąc się na tych wątłych deskach, przepływając tunel i nagle słysząc wystrzał z moździerza. Huk straszliwy zdaje się wstrząsać całemi kopalniami, a echo silnie przemocą sklepień i ścian solnych przytłumiane, przedziera się we wszystkie

zakąty salin i nie cichnie w oddaleniu, ale odrazu jakby zduszone umilka. Huk ten potężny a głuchy, przypomniał mi strzały dział na morzu Baltyckiém, wśród straszliwéj burzy, gdy z metalowych gardzieli wołały ratunku i pomocy. Tam huragan i spiętrzone bałwany zdławiły ich echo, tu — błyszczące ściany solne.

Strzał drugi usłyszeliśmy w ogromnym przestworze kopalni, tworzącéj salon wielkich rozmiarów i kilko-piętrowy; tu echo dłużéj brzmiało, i jak w każdéj jaskini cichło w oddaleniu i konało coraz słabszym odzewem. Wchodząc na wyższe piętra z powrotem, wybiegłem z przewodnikiem naprzód i spójrzałem z góry na towarzystwo nasze złożone z kilkunastu osób, które zwolna wstępowało na schody środkiem niemal téj ogromnéj sali wiodących. Dziwny to był za prawdę widok! Wszyscy okryci białemi płaszczami z pochyloną głową postępowali zwolna w ślady przewodników, co rozświecali ciemnicę kagańcami. Patrząc na orszak długo się ciągnący, przychodzi ci na myśl jakiś korowód widmów, idący poważnym krokiem dla spełnienia smutnego obrzędu. Znika ci wszelka myśl o ziemi, bo niewytłumaczony przejmuje cię podziw i zachwycenie. Przewodnik nasz główny, wymowny i doświadczony górnik, polak rodowity, który od dwudziestu kilku lat pracuje w salinach, mówił nam, że przed dziesięciu laty w pokładach soli znaleziono sosnę, mającą średnicy dziewięć cali z dobrze zachowanemi szyszkami. Drzewo to miało barwę czarną.

Zapytałem go o ogromną salę zwaną *Kloska*, która od r. 1829 gdym pierwszy raz zwiedzał saliny Wieliczki najsilniejszy urok zostawiła w wspomnieniach moich.

— Ta sala—odrzekł mi—już od lat wielu zasypana, po wybraniu z niéj soli.

Żałowałem jéj, bo chciałem wspomnienie dawne w niéj odżywić; z widzianych teraz żadna mi ogromu *Kloski* nie przedstawiała.

Zboczyliśmy do robotników, którzy do pasa nadzy, rozbijali oskardami i klinami żelaznemi kawały prostokątne

soli na mniejsze. W naszéj obecności po założeniu klinów, po kilkunastu silnych uderzeniach w nie młotami, pękła bryła solna w naznaczonym jéj kierunku.

Podziemia te w uroczystości pewne bywają tysiącami lamp, kagańców i pochodni illuminowane, cała kaplica jaśnieje w ogniu, wody jeziora rozjaśnione jakby światłem dziennem odbijają blask jaskrawy. Tłumy ciekawych przepełniają te ogromne jaskiniowe salony. Jeżeli nie małe czyni zdumienie taka w Wieliczce uroczystość, to właściwy urok tych salin znika. Bo gwar ten tłumu, te lampy, kagańce, pochodnie, te bengalskie ognie z trzaskiem gorejące, wszystko sprawia silny—nie przeczę—ale teatralny widok. Inne wrażenie zupełnie daje codzienny zwyczajny stan kopalni, gdy małe grono poprzedzone przewodnikami, którzy zaledwie rozświecają mgłemi kagańcami drogę w podziemiach, w milczeniu przechodzi, podziwiając cuda boże tak hojną ręką zbogacające drogą ziemię naszą. Nic wtedy nie odwraca uwagi, poważna myśl i podziw towarzyszą ci ciągle.

Strudzone długą przechadzką nasze towarzystwo podzieliło się na dwie strony: jedni wracali napowrót schodami, ja z kilku innymi wsiedliśmy w wygodne sznurowe siedzenia i wyciągnięci zostaliśmy w górę.

Miłym był widok światła dziennego i téj ziemi umajonéj. Każdy odetchnął swobodnie, jakby chwytał chciwie świeże powietrze, którego mu wszakże i w salinach nie brakowało. Pod silném wrażeniem nikt z nas nie mógł sobie zdać sprawy z widzianego cudu natury, a jednak wypiętnował się w umyśle każdego ten wspaniały obraz, niezatartémi nigdy i niczém rysami.

O drugiéj godzinie z południa wróciliśmy do Krakowa.

Używając miłéj, po plantacyjach, otaczających w okół Kraków przechadzki, usłyszawszy śpiew nabożny w poblizkim kościele *Świętéj Anny*, weszliśmy do téj wspaniałéj świątyni. W ołtarzu wielkim jest obraz św. Anny pędzla Jerzego Elelltera z przydomkiem *Semiganowski*, malarza Jana III, niepospolitéj wartości; w bocznych są obrazy Szymona

Czechowicza. Najokazalszym jest ołtarz po prawéj stronie a raczéj grobowiec św. Jana Kantego, akademika krakowskiego. Są tu liczne nagrobki profesorów akademii jagielońskiéj, między temi Jacka Przybylskiego, zmarłego 1819 r. Po lewéj stronie wielkiego ołtarza oglądaliśmy wspaniały pomnik grobowy na cześć Mikołaja Kopernika, który był—jak wyraża napis: „Ojczyzny, miasta, akademii—ozdoba, zaszczyt i chwała.“ Pomnik ten wystawił w roku 1823 ks. Sebastyan Sierakowski, b. rektor akademii krakowskiéj. Obok na czarnéj marmurowéj tablicy wyczytałem następny napis:

„Pamięci Juliusza Słowackiego syna Euzebiusza, urodzonego w Krzemieńcu, zmarłego w Paryżu, który walkę poezyi ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości po chrześcijańsku w d. 3 Kwietnia 1849 r. zakończył,—w żalu nieutulonym matka poświęca.“

Smutek ogarnął serce moje, gdym wspomniał, jakem go poznał w kwiecie wieku, w samym początku zawodu literackiego, gdy pierwsze utwory swoje jak *Boga-Rodzica* i *Kulig* ogłosił, a które zwróciły nań uwagę, bo nosiły na sobie owe cechy wybitne a niewątpliwe wyższości talentu i prawdziwego natchnienia poetycznego. Z dziecinnego niemal wieku wychodził dopiéro: pełen czerstwości młodzieńczéj, najpiękniejszych nadziei zgasł na obcéj ziemi, w saméj sile wieku, kiedy jeszcze nie stanął na szczycie powołania swego. W plejadzie poetów naszych, któréj przewodniczył Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki był jedną z gwiazd świetniejszych, co promieniła długo a niedaremnie po nad ziemią naszą.

Wracając plantacyami ujrzeliśmy mogiłę Kościuszki, opasaną grubemi murami w około. Mogiła ta stanowi obecnie oddzielną fortyfikacyę. Dawny w pobliżu stojący kościołek św. Bronisławy zniesiono; w miejsce téj kaplicy wymurowano wewnątrz fortyfikacyi mogiły nową pod témże wezwaniem. Z wierzchołka téj mogiły najpię-

kniejszy otwiera się widok tak na okolice, jako też i na cały Kraków. Rząd austryjacki w tych dniach ulicę idącą z plantacyi do mogiły nazwał *ulicą Kościuszki*.

Wieczór był, gdy wchodząc na rynek usłyszeliśmy śpiew pobożny; gromada ludu z kobiet, mężczyzn i dziatwy złożona, klęcząc pod illuminowanym rzęsisto wizerunkiem Boga-Rodzicy przy kościele Panny Maryi, wznosiła pienie nabożne, obchodząc nabożeństwo majowe. Pomiędzy tą gromadą na klęczkach ukorzoną z pochylonėm czołem, ujrzałem niewiasty i dziewice z wyższych warstw towarzystwa, podobnie jak u nas w Warszawie, pomieszane z pobożnym ludem i jakby jego pociągnione przykładem, łączące głos swój nieraz wyuczony, melodyjny, z prostą, lecz serdeczną nutą starodawnéj pieśni, na cześć téj Boga-Rodzicy, któréj ojcowie nasi wzywali imienia niedaremnie przed zaczęciem krwawego boju, a po otrzymaném zwycięztwie składali w hołdzie zdobyte na nieprzyjaciołach sztandary.

Wawel z wzniesionym na nim zamkiem królow polskich i katedrą, miejscem wiecznego ich spoczynku, stracił starożytny, poważny swój charakter. Katedra pozostała wprawdzie nietknięta, pozostały i mury zamkowe z basztami, ale nowe przeznaczenie tych gmachów na groźną miastu cytadellę, starło z nich barwę i urok. Zamek, choć mury jego omszone poniszczone były dawniéj, zachowywał ślady swéj wspaniałości; dziś nowe wzniesiono budowle, kształt starożytny zatarty, wśród nich zmalała sławna katedra, a grube mury ze strzelnicami, z warownemi bramami ścisnęły w okół tę siedzibę wspaniałą królów naszych, z któréj władał Rzeczpospolitą przez tyle wieków ród Piastów i Jagiellonów i spoczął w wspaniałych grobach téj saméj świątyni, w któréj składał modły za pomyślność kraju, dziękował za zwycięztwa i zdobił jéj ściany w piękne trofea.

Górale co z wysokich hal swoich odwiedzali często Kraków, uderzeni wspaniałością zamku, w podaniu odwiecznėm zachowali, że w głębokościach góry Wawelu jest dru-

gi taki sam zamek, tylko nie taki cichy, smutny, nie taki głuchy i grobowy, na który ludzkie oczy patrzą, jeno piękny, jasny, wspaniały, od złota błyszczący, z koralowym dachem, oświetlony zawsze jasném słonkiem; a tak miło nań patrzéć, jak dawniéj ludzie patrzali na stojący na Wawelu zamek,dziś opustoszały.

W tym podziemnym gmachu jest ogromna sala, jakoby kościół jaki, po ścianach wisi wiele zbroi: to tarcze, szable i chorągwie. Na środku stoi stół, a w około siedzą wszyscy królowie polscy w szatach koronacyjnych. Raz w rok słyszą ludzie huk i rżenie koni, odgłos trąb i wrzawę wojenną: wtedy powstaje od stołu król Bolesław Chrobry; miecz co dostał od anioła świeci mu dziwną jasnością na ramieniu, wychodzi z podziemnego grodu o saméj północy, wolnym krokiem przebywa zamkowe podwórza, a chrzęszczy i brzęczy żelazna na nim zbroja. Jeżeli kto z ludzi śmiertelnych z nim się spotka, a jestto *dobry* człowiek, to zobaczy króla w całéj wspaniałéj postaci i zrobi się w sercu lekko, radośno; lecz gdy jaki *zły*, — nie ujrzy go wcale, ale uczuje trwogę, żal straszny, zakręci mu w mózgu i bezprzytomny upadnie.

Wnijście do tego podziemnego zamku wyobraźnia górali wskazywała przez *smoczą jamę*, znajdującą się u stóp Wawelu. Wnijście to ciemne, tajemnicze długo było osnute poetycznym urokiem; teraz niemiecka ręka przerabiając zamek królewski na cytadellę, przejrzała te pieczary ręką natury w skale wykute i starła z nich urok starożytny.

Lud krakowski dotąd utrzymuje, że gdy jakie wielkie nieszczęście ma kraj cały dotknąć, słychać w podziemiach zamku i katedry jakby nabożne pienia, pełne rzewności, a człowiek który je usłyszy, od płaczu nie może się wstrzymać. [2])

Nie będę wam opisywać ani zamku, ani grobów i po-

[2]) Dobrze że lud ten zacny przywiązał podanie swoje do podziemiów zamkowych, bo w samém mieszkaniu królów polskich wszystko przygłuchło pod niemiecką mową i krzykliwą komendą żołnierzy austryackich.

mników zdobiących katedrę krakowską; macie dokładne a zajmujące wiadomości w pismach czcigodnego Ambrożego Grabowskiego i Józefa Mączyńskiego, równie jak skarbu katedralnego, w którym oprócz świętych relikwij, bogatych monstrancij, infuł i ornatów, ze starożytności nie możemy pominąć włóczni żelaznéj ś. Maurycego męczennika, którą Otto cesarz miał darować przy koronacyi Bolesławowi Chrobremu, kielicha szklannego świętéj Jadwigi z podstawą srebrną, którego używać miała do napajania chorych i biédnych. Buńczuk i strzały tureckie złożone po zwycięztwie pod Wiedniem przez Jana Sobieskiego. Było tu dawniéj więcéj podobnych trofeów, ale teraz już ich nie ma. Zdziwiło nas, że ciekawa pamiątka, płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta wisi w nie dobrze nawet zamkniętéj szafie, niezabezpieczonéj od kurzawy i mólów. Dla starożytności krajowych nieobojętnym jest miecz w pochwie z drutu srebrnego z ostrzem na poły złamaném, po pogrzebie Zygmunta Augusta z pod trumny jego wydobyty; krzesło dawnéj rzeźby, pamiątka po Piotrze Gębickim biskupie krakowskim, jak również miednica i nalewka starożytnéj wybijanéj roboty, jeden z licznych darów dla katedry Franciszka Podkańskiego, sufragana krakowskiego. Smutne wzbudzają wspomnienie ordery i pałasz Józefa Poniatowskiego, ofiarowany mu przez wojsko polskie; te pamiątki zdjęto ze zwłok tego wojownika, gdy je wydobyto z Elster.

Nic nie da się porównać z potężném wrażeniem, jakie uczuwasz wszedłszy pod wzniosłe sklepienie téj wspaniałéj katedry, gdy staniesz w pośród tylu wspomnień i grobów królów polskich. Zwiedzałem je w chwili, gdy żadnego nie było nabożeństwa, pustą była i milczącą świątynia, a tę grobową ciszę chwilową przerywał śpiéw powolny psalmu, który zdawał się jakby głosem wybiegającym z podziemia. Pieśń ta Dawidowa brzmi ciągle w katedrze na pamiątkę, że kościół Chrystusowy nigdy nie milknie i jest zawsze czuwający. Nie masz na całym obszarze dawnéj Rzeczypospolitéj ani miejsca, ani świątyni, któreby tyle dro-

gich wspomnień zebrały razem i tak rzewném uczuciem napełniały serca nasze. Tu przeszłość Polski kilku wieków zbiegła się pod te sklepienie; tu potężni królowie, równie jak bohaterowie nasi i wielkich zasług mężowie spoczęli w grobach lub zyskali trwałe sarkofagi: ród Piastów, Jagiełłów, Wazów, położył się do snu wiecznego, a od roku 1520 sławny dzwon na całą polskę, zwany *Zygmuntowskim,* w dniach uroczystych przydzwania im przeszłości jękiem.[3])

Dziwny, szczególny bo téż jest odgłos tego dzwonu: w pośród tyluset dzwonów kościołów krakowskich rozpoznasz go od razu gdy raz tylko zasłyszałeś, — taki dźwięk ma wspaniały, majestatyczny. Kiedy Kraków w XVI wieku jako stolica Rzeczypospolitéj potężnéj dziwił mnogością kościołów swoich samych włochów, którzy go z tego powodu w swojém rozsławili przysłowiu: *„gdyby Rzymu nie było, Kraków byłby drugim Rzymem,“* i setki dzwonów, głusząc wszystko w mieście na mil kilka w około, brzmiały odzewem uroczystości kościelnych,—i wtedy nawet górował nad nimi poważny *Zygmunt.*

Katedrę jak zamek i cały Wawel otaczają w około nowe mury ze strzelnicami. Jestto cytadella groźna dla Krakowa i bezbronnych mieszkańców, ale nie mająca znaczenia pod względem strategicznym; z małemi ofiarami łatwo zdobytą być może.

Schodząc z Wawelu pokazano mi domy i kościoły, skazane przez austryaków na zburzenie, aby rozszerzyć plac do ostrzeliwania i zabezpieczyć fortyfikacye.

Będzie to nową klęską dla nieszczęśliwego Krakowa.[4]) Czcigodny biskup Jopejski, dziekan katedry krakow-

[3]) Dzwon ten od dołu ma 12 łokci obwodu, dar Zygmunta I, odlany w Krakowie przez Jana Beham, ludwisarza sprowadzonego z Norymbergi.

[4]) Posuwanie robót fortyfikacyjnych w téj chwili gdy piszę wstrzymaném zostało. W warowni od strony Królestwa zapadły się sklepienia; kosztowały one 300,000 złotych reńskich (1,200,000 złotych polskich). Ostatnie wiadomości donoszą, że mury okalające grobowiec Kościuszki, zaczęły się rysować. Lud krakowski zaraz powiedział, że Kościuszko jak się ruszył w swéj mogile, tak niemieckie mury popękały.

Bayerische Staatsbibliothek München

skiéj ks. Łętowski, pragnąc zachować pomniki katedry, zajął się dokładnym jéj opisem. Dzieło w obszernych rozmiarach przyozdobione zostanie rycinami, zdjętemi z całą ścisłością to wnętrza kaplic, to grobów królów polskich i znakomitych mężów narodu. Sprowadzony artysta belgijski p. Stroobant zajmie się ich przerysowaniem, odbicie litograficzne pod zarządem M. Fajansa wykonane zostanie w zakładzie Czasu. Będzie to księga, która w każdéj polskiéj rodzinie powinna być starannie przechowywaną.

W dzień świąteczny wstąpiliśmy na mszę świętą z Lucjanem Siemieńskim do kościoła Panny Maryi. Przed wielkim ołtarzem już się rozpoczęło nabożeństwo, przy jednym zaś z bocznych kapłan dawał ślub wiejskiéj z okolic Krakowa parze. Orszak weselny liczny stanowiły wieśniaczki i chłopi z okręgu dawnego wolnego miasta. Postacie ich rosłe, dorodne, swobodne w ruchach i obejściu, uderzały na pierwsze spójrzenie; rozmaitość zaś ubiorów w jednéj drużynie zdziwiła mię wielce. Strojne czepki mężatek starodawnego kroju, ich suknie, chustki, równie jak sukmany, kamizele mężczyzn, odmienne barwą, krojem nawet, dowodnie tę rozmaitość wskazywały. Już ją oddawna nie tylko tu, ale na rynku, na przedmieściach Krakowa i w okolicach miasta widziałem; to mi podało myśl, jakby zajmującém było *album*, któreby wszystkie odcienia kostiumów ludu naszego zachowało, nie tylko krakowskiego, ale wszystkich okolic kraju. Ale tu jak we wszystkiém musi być główną zasadą wierność i prawda. Wierność szczegółów ubioru, prawda w obliczu i postaci każdéj, bo nie tylko strój z natury zrysować ze ścisłością sumienną należy, ale portretować każdego wieśniaka czy wieśniaczkę. Tekst dodany, objaśniający rysunki, które muszą być dokładnie koloryzowane, bo barwa ich wpływa przeważnie na ich znaczenie i urozmaicenie, powinien obejmować w sobie zwyczaje i obrzędy każdéj okolicy, a nadto szczegółową charakterystykę. Kraków przy zakładzie litograficznym mógłby urzeczywistnić tę myśl co do wieśniaków dawnego okręgu wolnego miasta, Galicyi, Zatora i Sie-

wierza, Karpat, oraz Szlązka austryackiego; za tym przykładem nie wątpimy, że poszłyby Warszawa, Poznań i Wilno, a zczasem uzupełniłaby się całość pożądana.

Dziwna rzecz, że na wystawach starożytności naszych tak w Warszawie jak w Krakowie, nikt nie pomyślał, aby obok zbroi starożytnych i innych zabytków, zebrano kostiumy ludu naszego. Żupany ich, kamizele, czapki, chodaki, równie jak kije, choć dziś w powszechném użyciu, są równie starożytne krojem, barwą i przystrojem, jak pancerze, łuki, hełmy i szable.

Rzucamy tę myśl naszą pewni poparcia; bo gniew i żal bierze patrząc na kostiumy ludu polskiego litografowane w Paryżu, gdzie zamiast postaci naszych kmieci poważnych, dziarskich parobków, czerstwych niewiast i hożych dziewoi dają nam baletników teatralnych, wymuskanych i ufryzowanych z całą wykwintnością. Pierwszy dopiero *Oskar Kolberg* przy zbiorze pieśni ludowych z melodyami przedstawił wieśniaków i wieśniaczki z okolic Warszawy i Szkalmierza z najsumienniejszą dokładnością tak co do ubiorów jak i postaci. Wydanie to dla innych powinno być wzorem.

Pomiędzy pierwszemi odwiedzinami biblioteka jagiellońska pominiętą nie była. Zaszczycamy się oddawna przyjacielską znajomością zacnego i uczonego bibliotekarza Józefa Muczkowskiego, któregośmy poznali jeszcze w r. 1826 w Poznaniu, gdzie wówczas stale zamieszkiwał. Wtedy na korzyść Adama Mickiewicza wydanym został w pięciu tomikach zbiór jego pism. Joachim Lelewel upoważnił mnie do przewiezienia mu należności, które zebrał p. Muczkowski dla wręczenia następnie autorowi. Dopełniłem to zlecenie i pierwszą zawiązałem znajomość. Następnie już po śmierci J. S. Bandtkiego bliżéj poznaliśmy się za bytnością jego niejednokrotną w Warszawie.

Za wnijściem do tego gmachu uderzony zostałem wielkiemi zmianami, jakie ujrzałem w wewnętrznym dziedzińcu. Zmiany te przecież umiejętną prowadzone ręką nie starły w niczem barwy staréj, odwiecznéj budowy. Słupy i skle-

7*

pienia grożące upadkiem wzmocnione zostały, schody boczne zniesiono; płaskorzeźby z innych gmachów przyozdobiły zewnętrzne ściany. Jeżeli zmiany te zwróciły uwagę moją, to większe jeszcze znalazlem w urządzeniu i rozkładzie wewnętrznym saméj biblioteki. Dawny układ J. S. Bandtkiego podług formatu bez względu na treść nie mógł się utrzymać; przybyły nowe sale, nowe szafy, słowem cała biblioteka przybrała się w godowe szaty. Ostateczne jéj uporządkowanie ukończy się w ciągu lat kilku; pracę tę bowiem zacny bibliotekarz uważa za zadanie swego życia. Nie mogę tu opisywać ani zasobów, ani rzadkości i bogactw literackich tego księgozbioru; potrzeba na to oddzielnego dzieła, a przynajmniéj obszernéj rozprawy. To tylko dodam, że Kraków przeszedłszy pod panowanie austryackie, jak w wielu rzeczach stracił swobodę w działaniach swoich dla dobra nauki, tak i biblioteka jagiellońska znalazła niespodziewane zawady we wzroście i rozwoju swoim. Szczupły fundusz na kupno dzieł nowowychodzących, przeznaczony cały niemal został na książki niemieckie. Sądzimy, że powinnością odtąd będzie każdego piszącego rodaka i nakładców przychodzić w pomoc téj skarbnicy narodowéj przesyłaniem każdego dzieła nowowydanego na zapomogę jagiellońskiéj bibliotece.

Sala jagiellońska słynna malowaniami na ścianach M. Stachowicza, dotyczącemi akademii krakowskiéj, treści historycznéj, wcieloną została do biblioteki i zastawioną szafami. Z żalem patrzyliśmy na niknącą pracę Stachowicza, na któréj podtrzymanie i odnowienie nie ma dostatecznych funduszów.

Po obejrzeniu jéj szczegółwoém, oraz małego zbioru starożytnych zabytków, ukazał nam p. Muczkowski w sklepionéj na dole komnacie zbiór archeologicznego wydziału Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Oprócz starożytnéj skrzyni, części kilku zbroi, najważniejszym można rzec, na całym obszarze słowiańskiego świata jest posąg kamienny *Światowida*, odkryty w mule rzeki Zbrucz i tu przewieziony. Już są obszerne jego opisy i sprawozdania; między temi dość wspo-

mnieć Joachima Lelewela. Ktokolwiek wątpi o autentyczności jego, niech zbliska go starannie obejrzy, a przyzna, że żadnéj pod tym względem wątpliwości być nie może. Sam Muczkowski krytyk sumienny i ostróżny w ocenieniu wszelkich tego rodzajů zabytków ani się na chwilę nie wahał przyznać, po obejrzeniu szczegółowém posągu, jego autentyczności.

Długo wpatrywałem się w ten zabytek jedyny, niezaprzeczonego pochodzenia z czasów przedchrześcijańskich jaki pierwszy raz oglądałem. Lelewel po długiém badaniu wyrzekł o nim: „pierwszy to odkryty, prawdziwy, niepomiernéj wielkości bałwan.“ [5])

Posąg ten w kształcie czworobocznego słupa z jednego kamienia wyciosany, cztery i ćwierć łokcia wysoki, u dołu i u góry stopę kwadratową mający. Pod jednym kapeluszem kształtu góralskiego prawie, mieszczą się cztery głowy czterech postaci, plecyma połączonych z sobą. Każda z nich ma jedną rękę złożoną na piersiach, drugą nieco opuszczoną. Dwie z nich trzymają na piersiach to kółko, to róg obfitości; ta wykrój piersi ma najwydatniejszy; pod jedną poniżéj pasa jest w grubéj rzeźbie wyraźny koń, a nad nim szabla w pochwie zawieszona. Pod nogami ich są cztery postacie z rozłożonemi rękoma w płaskorzeźbie, a pod temi trzy inne wąsate, przyklęknięte, z rękoma wzniesionemi jakby podtrzymujące ciężar cały posągu; czwarta zatartą snać została, leżąc tyle wieków w rzece. Posąg ten zawdzięczamy staraniom Mieczysława Potockiego, który w r. 1848 wydobył go z zatopieliska i przeniósł do Krakowa. Teofil *Żebrawski* obszerną o nim wiadomość ogłosił w Krakowie 1851 r., z któréj pracy korzystał Lelewel w swoim opisie tego posągu.

W wizerunkach polskich M. Fajansa jest portret Józefa Muczkowskiego, odznaczający się szczególném podobieństwem. Oblicze poważne, czoło wydatne, na którym znać prace myśli, spójrzenie pełne życia. Średniego wzrostu, krę-

[5]) J. Lelewel. Narody na ziemiach słowiańskich str. 778. Poznań 1853 r.

py, zawsze wyprostowany, żywy, w ruchach swobodny, zachował w sobie—pomimo że od lat kilkudziesięciu oddany ciężkiéj pracy badacza—niezatarty niczém typ wojownika Napoleona I, służąc pod chorągwią wojsk księztwa warszawskiego. Otrzymał medal ś. Heleny, który rozdał Napoleon III towarzyszom broni swego stryja. Zachował go jako pamiątkę dla rodziny, gdyż jak wiadomo rząd austryacki zabronił go nosić.

Jakkolwiek od ostatniego widzenia znalazłem Muczkowskiego nie mało zmienionego, zachował dawną jeszcze rzeźkość i wielką pamięć nie tylko co do treści dzieł, życiorysów pisarzy, ale nawet co do dat szczegółowych ważniejszych faktów i wydań dzieł rzadszych i znakomitszych.

Jak wszyscy starzy wojacy nasi, zachował Muczkowski szczerość i otwartość staropolską, równie jak serdeczną gościnność w domu swoim. Sumienny w badaniach, złożył nie mały już plon prac wysokiéj wartości na ołtarzu literatury ojczystéj. [6])

Korzystając z pięknéj pogody zwiedziliśmy kościół ś. Michała na Skałce gdzie, według miejscowego podania, padł ś. Stanisław biskup, rozsiekany od Bolesława Śmiałego i jego drużyny dnia 8 Maja 1079 roku. Morderstwo to popełnioném zostało przed ołtarzem po prawéj ręce, w którym teraz jest obraz tego męczennika. W tym ołtarzu nad mensą przechowany jest pień spruchniały, na którym miało być rozsiekane przed kościołem ciało biskupa, a obok ołtarza na ścianie pokazują miejsce, na które padła krew jego. Z innych pamiątek nic ten kościół nie zawiera godnego uwagi: zniszczał grób Jana Długosza, historyka; popioły jego przechowane w katakumbach pod tymże kościołem spoczywają z tym tylko na murze napisem:

[6]) Nie przeczuwałem wtedy, że ostatni raz ściskałem rękę tego zacnego męża: w dwa miesiące, w kaplicy jagiellońskiéj przepisując napis grobowy Władysława Jagiełły, którego postać była mu z całych dziejów naszych najbardziéj ulubioną, padł tknięty apopleksyą i u stóp tego grobowca skonał dnia 31 Lipca r. z. Pogrzeb jego, który zwabił niepamiętny tłum w Krakowie, był najlepszym dowodem czci i szacunku, jakie sobie ś. p. Muczkowski zjednał. Żył lat 63. (ur. d. 17 Marca 1795 roku w województwie lubelskiém).

„Hic jacet ossa illustrissimi Długossi Canonici Cracoviensis Chronologi Polonici.“ [7])

Z przedsienia wyniosłego kościoła piękny się widok rozwija na mogiłę Krakusa i okolicę zawiślańską.

Otrzymawszy wiadomość o czasie w którym można zastać dostojnego prezesa Towarzystwa Naukowego Krakowskiego *Franciszka Wężyka*, pospieszyłem w oznaczonéj godzinie złożyć mu hołd i uszanowanie należne. Znałem go od lat dziecięcych; jego trajedye były jednym z pierwszych pokarmów duchowych, co jak dobrze pomnę wstrząsały duszą i łzy wyciskały. Pamiętam, jaki to bywał tłok w teatrze narodowym na przedstawieniach jego *Barbary*, *Glińskiego* i *Bolesława Śmiałego*, jaki zapał ogarniał obecnych w scenach żywszych, jakie wzruszenie i łzy pięknych oczu w scenach rzewnych. Artyści ówcześni: Szymanowski, Kudlicz, Bogusławski, Ledochowska, Werowski, wymownymi byli tłómaczami myśli autora.

Wówczas to imie Franciszka Wężyka głośném i popularném było w całym narodzie. Czcili go i wielbili rówieśnicy jego, z cześcią i uwielbieniem wskazywało go sobie młode pokolenie. Wojownicy nasi z zapałem powtarzali owe *ody*, pełne uczucia i zapału szlachetnego i prawdziwie poetycznego. Wzniosłemu talentowi odpowiadała godność osobista i cnoty obywatelskie, bo wtedy nie umiano rozdzielać zawodu autora od tych zalet. W życiu spędzoném bez skazy, poczciwie w usługach krajowych, nie mała zasługa spoczywa czcigodnego starca; imie też jego nie tylko trwale zapisało się na kartach dziejów literatury polskiéj; jest jeszcze okres mało znany a wielki w dziejach, okres bytu księztwa warszawskiego, w którym z gorącym zapałem oddał się cały na usługi spraw krajowych.

[7]) Włodzimierz hr. Plater wielki miłośnik dziejów narodowych i pamiątek przeszłości ofiarował rubli srebrem tysiąc, jako początek na składkę w celu wystawienia pomnika, odpowiedniego zasługom tego historyka, a zarazem wydania krytycznego jego dziejów w tekscie oryginalnym wraz z przekładem polskim.

Myśl ta piękna i szlachetna, bodajby jak najrychléj znalazła między nami poparcie należne.

Poemat jego *Okolice Krakowa*, pierwszy obudził uwagę na ten gród święty w młodém pokoleniu, bo starsze znało go więcéj, przechodząc jego rynek wspaniały i ulice z bronią na ramieniu. Poemat ten obudzał tęsknotę w sercach poznania Krakowa i cudnych jego okolic. Pomnę sam jaki po przeczytaniu tego utworu uczułem niepokój ujrzenia tak starożytnego grodu jak jego okolic. W lat kilka, ziściłem po dwakroć najgorętsze życzenia serca, ale w murach Krakowa nie mieszkał wówczas kasztelan Wężyk.

W wizerunkach polskich M. Fajansa mamy trafne popiersie tego pisarza, lubo w rozmiarach nieco uchybienia znajduję. Spójrzawszy bowiem na ten wizerunek zdaje się mąż rosłego wzrostu, a to nizki, wątłéj budowy, choć czerstwy starzec.

Wiele lat upłynęło od owéj pory, kiedym go raz ostatni w sile wieku dojrzałości widział. Doznałem przyjęcia serdecznego. Kasztelan przypomniał mi czasy, kiedy mnie znał uczniem szkół pijarskich z teką pod pachą. Zapragnąłem poznać jego ostatnie dramata; oznaczył mi godzinę nazajutrz, aby nam nikt nie przeszkodził. Stanąwszy w naznaczonym czasie, kasztelan zdjął okulary i bez pomocy szkła odczytał mi z trajedyi *Jadwiga* obszerne ustępy z każdego aktu. Trzeba widzieć tego starca pełnego powagi i spokoju, jak męzkim, pełnym głosem odczytując swój piękny utwór w wielu miejscach uniesiony treścią wpada w zapał, który się w jego spójrzeniu, głosie i ruchach objawia.

Dramat ten w rękopismie dotąd, równie jak *Bezkrólewie*, z którego mały tylko znamy wyjątek z Przeglądu Poznańskiego, zachowuje szanowny autor do wydania nowego wszystkich utworów swoich dramatycznych. Zbiór ten składać mają dwa spore tomy i objąć z dawniejszych trajedye: 1) Barbarę Radziwiłównę, 2) Bolesława Śmiałego, 3) Glińskiego, 4) Wandę, 5) Przekład Edypa Sofoklesa, wykonany w r. 1804; z nowych trzy dramata, między temi Jadwiga i dwa Bezkrólewia. Dochód z tego wydania prze-

znacza do funduszu budującego się domu dla Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Przedmiot ten najżywiéj zajmuje sędziwego kasztelana, o nim rad mówi; ukończenie tego gmachu zrobił zadaniem główném swego zawodu. Jak z jednéj strony z rozrzewnieniem wspominał na pierwszą myśl objawioną budowy domu, szlachetną gotowość i ofiarę Ż. A. Helcla, jak również składki ubogich mieszkańców Krakowa i chłopków szlązkich, z drugiéj znajdując niechętnych, boleści swojéj utaić nie zdołał.

Towarzystwo Naukowe Krakowskie było oddawna połączone z uniwersytetem jagiellońskim. Rektor z urzędu był jego prezesem a wszyscy profesorowie członkami. Tak błędna zasada wpłynęła przeważnie, że to towarzystwo, urzędowo zorganizowane, nie mogło się rozwijać i do celu pewnego podążać. Pojedyńczy członkowie podtrzymywali jego znaczenie, będąc zarazem profesorami uniwersytetu.

Z naciskiem niemczyzny, przy braku rektora téj najwyższéj szkoły, a ten co wybranym zostanie może nie umieć po polsku, po oddaleniu z niéj profesorów takich jak Wincenty Pol, ZygmuntHelcel, A. Małecki, a osadzeniem wielu katedr niemcami, — mało bowiem pozostało rodaków — wypadało przeto Towarzystwo Naukowe od uniwersytetu oddzielić, i tak się stało w r. 1856. [8]) Wybrano na pre-

[8]) W tymże roku otrzymało Towarzystwo Statuta potwierdzone przez ministra A. Bacha, i nazwę „Cesarsko-Królewskiego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.“ Statuta te ogłoszone zostały drukiem p. n. „Statut Cesarsko-Królewskiego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego“ w 8-ce str. 20. Kraków w drukarni uniwersyteckiéj 1856 roku; tekst polski i niemiecki. Co do rozwiązania się Towarzystwa nie rząd, ale samo Towarzystwo wyrzeka. Tak brzmią tego statutu artykuły 55 i 56:

„Towarzystwo uważać się będzie za rozwiązane, gdy liczba członków potrzebna do kompletu posiedzenia pełnego (§ 43 wyrażono: 21 wraz z prezesem i sekretarzem) z powodu braku członków czynnych miejscowych zgromadzić się nie da, gdy niemożność ta przez $^2/_3$ wszystkich członków komitetu uznaną zostanie. W takim razie, za uchwałą komitetu, prezes lub jego zastępca doniosą o tem rządowi krajowemu. Wrazie rozwiązania Towarzystwa, pozostała przypadkiem gotowizna użyta będzie na wsparcie dla uczniów uniwersytetu krakowskiego, we-

zesa sędziwego kasztelana Franciszka Wężyka; przez ten podział jakkolwiek konieczny, Towarzystwo utraciło wspólność lokalu, biblioteki, muzeów, drukarni i służby.

Pokazały się zaraz naglące potrzeby przy zupełnie niedostatecznych funduszach, bo Towarzystwo Naukowe Krakowskie licząc dobrowolne składki profesorów i szczupłe wsparcie rządowe, nie ma nawet rocznie 4000 złotych polskich. Fundusz ten obrócony na druk Roczników i pism innych oraz opłatę służby, nie ma zasobu na najem lokalu, któryby przy podrożeniu obecném najmu, mógł wystarczyć.

Ma już Towarzystwo Naukowe zbiór książek niemały, ma zabytki starożytności, monet, medali i t. p. pomników. To wszystko tuła się po różnych kątach, a wypraszać musi ciągle o miejsce do posiedzeń swoich.

W takim stanie rzeczy kasztelan Wężyk stanąwszy na czele nowo uorganizowanego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego pojął dobrze najpierwszą potrzebę, aby przedewszystkiém nieprzerywając w niczem rozwoju Naukowego Towarzystwa zająć się budową domu, aby w nim tak bibliotekę jak wszelkie zbiory pomieścić i wygodne dla posiedzeń Towarzystwa zapewnić miejsce.

Ufając w pomoc Opatrzności, co zawsze wspiera szlachetne i zacne zamiary, wezwał pomocy rodaków; głos jego nie przebrzmiał daremnie. Z dniem 1 grudnia 1857 r. składki te wynosiły sumę zł. reń. 18,627 kr. 46 (około 75,000 złotych polskich) złożoną; w zapisach blizkich uiszczenia do 14,000 złp., pomiędzy temi najhojniejszy dar złożył pierwszy, popierając myśl prezesa, Z. A. Helcel 5,000 złp. Początek tak szczęśliwy znalazł zaraz niechętnych, nie tylko w samym Krakowie, ale za odgłosem z tego grodu w Warszawie i w kraju.

Co nam po domu — mówili — nielepiéj dary te obrócić na drukowanie dzieł użytecznych i wyznaczanie konkursowych rozpraw? Dom zbudują, niemcy potem zabiorą.

dług szczegółowéj uchwały komitetu. Archiwum, biblioteka i muzeum starożytności przejdzie na rzecz biblioteki uniwersyteckiéj.“

Taki odgłos, z murów starożytnego Krakowa puszczony, znalazł licznych popleczników i trafił do serca i do głowy tych wszystkich, co radzi szukają pozoru, aby zamknąć kieszeń dostatnią na jakąkolwiek ofiarę dla kraju. Nierozważne słowa, rzucone przez ludzi nauki i powagi wstrzymały dalsze składki, w chwili gdy prezes rozpoczął—zakupiwszy miejsce po temu—budowę domu.

Z radością wyczytaliśmy imiona dwóch wydawców *Wzorów sztuki średniowiecznéj* w Polsce, składkę rodziny Wężyków obok ofiary szlachetnéj obywateli włościańskich ze Szlązka austryackiego.

Na zarzuty uczynione, a tak skuteczne w nieszlachetném powstrzymywaniu składek na dom Towarzystwa Naukowego winniśmy odpowiedzieć, że dość jest być w Krakowie i przyjrzéć się miejscowości, aby nabrać przekonania o koniecznéj takiego schronienia potrzebie. Zbiór książek, rozrzucony w kilku miejscach, zostaje w zachowaniu prywatném członków; zbiory starożytności mieszczą się w suterenach biblioteki jagiellońskiéj; zbiór monet i medali w inném zachowaniu. Stałego siedliska nie ma Towarzystwo, gdzieby się zbierać i swobodnie obradować, lub publiczne posiedzenia odbywać.

Godzimy się, że potrzebnym byłby fundusz dostatni na wydawanie dzieł użytecznych i ogłaszanie konkursów; wszakże Towarzystwo Naukowe w połączeniu z uniwersytetem Jagiellońskim lat tyle będące, mając stały lokal na zebrania i zbiory, fundusze na opędzenie kosztów niezbędnych, nie poruszało téj myśli, aż się znalazła wtedy, gdy przy nowéj organizacyi Towarzystwa Naukowego kasztelan Wężyk koniecznością zmuszony, podniósł głos kwestarza o składki na budowę domu. Odgłos przeciwny usiłowaniom jego dopiął celu, bo wstrzymał chęć składek, ale nie obudził ani jednego u nas w Królestwie, któryby na konkursowe rozprawy lub na druk dzieł użytecznych złożył choć najlichszą ofiarę. Postrach rzucony o zaborze domu po jego zbudowaniu, jest prożnym wymysłem; dosyć wymowną odpowiedzią jest istniejący Zakład Naukowy imienia

Ossolińskich we Lwowie, sam Uniwersytet Krakowski i Biblioteka Jagiellońska. Wreszcie kwesta ogłoszona przez kasztelana Wężyka w niczem nie tamuje gorliwości tych, którzyby się znaleźli (a rzadcy u nas jak rarodzy!) i gotowi byli do ofiar na wydawnictwo dzieł użytecznych i zachęcania do wypracowania rozpraw konkursowych.

Przychodzi mi tu na pamięć ustęp piękny listu Eustachego hr. Tyszkiewicza, który na zarzuty nietrwałości naszych instytucyi naukowych i zbiorów odpowiedział stosownėm porównaniem: że powinniśmy postępować jak mieszkańcy okolic Wezuwiusza, którzy na zgliszczach dawnych zburzonych osad nowe budują na użytek młodego pokolenia. Tą myślą szlachetną wiedziony złożył swoje zbiory przez całe życie zgromadzane, i założył *Muzeum Wileńskie.*

Pobyt w Warszawie dostojnego prezesa, przyjęcie serdeczne jakiego doznał, głos jego wymowny obudził współczucie na nowo dla jego myśli: hojna składka którą zebrał, mamy nadzieję, że będzie bodźcem dla wielu, ażeby pospieszyli z ofiarą na cel tak szlachetny i dopomogli do skończenia budowy domu dla Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

II.

Bielany. — Tyniec. — Karpaty. — Ambroży Grabowski. — Stan dzisiejszy miasta Krakowa. — Opodatkowanie. — Szkoły. — Towarzystwo Naukowe Krakowskie. — Roczniki. — Księgarnie. — Walery Wielogłowski. — Redakcya Czasu. — Towarzystwo Sztuk Pięknych. — Józef Mączyński. — Jenerał Chłopicki.

Bawiąc krótko w Krakowie, mając czas ściśle ograniczony, zapragnąłem dawne a urocze wrażenia i wspomnienia odżywić. Z czcigodnym więc moim gospodarzem Ambrożym Grabowskim, u którego mieszkałem na *Piasku*, w towarzystwie najmłodszego jego syna i Władysława Anczyca, autora znanych obrazków dramatycznych jak *Łobzowian*, *Chłopów arystokratów* i w. i. najętym fiakrem pojechaliśmy

przez Zwierzyniec drogą bitą na Bielany. Po niedawno spadłym śniegu i deszczu było błoto i ślizko; pozostawiwszy więc u spodu góry Bielańskiéj fiakra, ruszyliśmy pieszo. Rozpogodziło się jasno niebo, ze szczytu więc Bielańskiéj góry cudny roztworzył się nam widok!

Krajobraz cały zamykały Karpaty, śniegiem niedawno spadłym ubielone, a wśród ich podniosłych garbów wznosiła dumny wierzchołek *Babia-góra*, białym czepcem przystrojona. Pomiędzy tym jakby ogromnym śnieżnym rańtuchem, pokrywającym Karpaty, gęste czernieją punkciki; to lasy świerkowe całe góry obrastają. Poniżéj na wyniosłém wybrzeżu Wisły wznosi szczyty murów swoich ów sławny *Tyniec*, którego nazwa i byt poprzedza historyczne wieki Polski. Do tych już ruin wiąże się owa z przedchrześcijańskich czasów powieść o Walgierzu, Helgundzie i Wisławie z Wiślicy, którą kronikarz *Baszko* zachował. Kiedym w r. 1829 pierwszy raz ujrzał Tyniec, mury jego nie tak były zniszczone jak teraz i więcéj przypominały wspaniałym ogromem starożytność odległą.

Nasyciwszy oczy tak cudnym widokiem, zachwyciwszy w pierś spragnioną swobodnego powiewu naszych Karpat, zeszliśmy z góry i wracali do miasta. P. Ambroży Grabowski wstąpił na chwilę do przydrożnego folwarku: ruszyliśmy więc naprzód pieszo; niedługo doścignął nas, a gdyśmy napowrót rozsiedli się w dorożce, rozweselony starzec rzekł niespodzianie do nas:

— Chcecie, to wam ładną piosneczkę zaśpiewam.

Na powtórzone nasze życzenia zaczął śpiewać śliczną piosnkę, melodyi tak wdzięcznéj a pełnéj prostoty, żeśmy z Anczycem chciwie jéj nutę chwytali. Głos siedmdziesięcioletniego starca był czysty i pełen młodości, żadna nuta nie zadrżała, żaden ton nie zdradził, że wybiega z piersi tak sędziwéj. Z podziwieniem i rozrzewnieniem wysłuchawszy piosnki, serdecznie podziękowałem mu za chwilę tak miłą, która w pamięci silnie się wyryła. Nigdym nie widział Ambrożego Grabowskiego w tak wesołém i miłém

a pełném prostoty dziecięcéj usposobieniu. Przypomniał mi on te czcigodne, sędziwych starców naszych postacie, które tak żywo z lat moich pacholęcych pamiętam. I oni w chwilach, gdy ich ogarnęły wrażenia młodości ubiegłéj, wracając do prostoty dziecięcéj w opowieści zdarzeń tak odległych z zachwytem przypominali pieśni, a w śpiewie ich znikało drżenie głosu, który nabierał niespodzianie dźwięku i brzmienia młodości. Taka to orzeźwiająca potęga wspomnień, wiosny lat życia, co umaić umie jeszcze siły wątlejące starców polskich, stojących nad grobem.

Wracamy do miasta.

Dawniéj ludność niewielką ożywiał byt dobry, swoboda, dziś większą i bardziéj ruchliwą przyciska bieda i zasępienie. Ślady pożaru straszliwego z r. 1850 zniknęły prawie, i Kraków stary odział się w czystszą sukienkę, ale drożyzna wszelakich potrzeb, drożyzna pracy i materyałów budowy, a nadewszystko podatki, ciążą na klasach mniéj zamożnych i wszystko smutkiem powleka. Zniknęła wolność handlowa, a handlujących przybywa. Nie było dotąd akcyzy i wszystkie płody rolnicze wolnego używały odbytu. Dziś już podwójna opłata dotyka wszystko, co tylko opodatkowanem być może. Przygotowują nowy projekt podatku od drzwi i okien, chociaż właściciele domów są tak przeciążeni, że połowę prawie dochodu obracać muszą na opłatę podatków. Ceny mieszkań do niesłychanéj wysokości dochodzą. Sam kwaterunek dodatkowy do już istniejącego podatku kosztuje miasto 67,000 reńskich rok rocznie. Nakłada podatki rząd, nakłada magistrat krakowski na pokrycie nadzwyczajnych wydatków. Nikt nie wie naprzód, ile się od niego należéć będzie, aż egzekucya dopiero objaśni dokładnie.

Co jednakże jest najdziwniejszém i niesłychaném w żadnéj administracyi kraju, to podatek po krajcarze srebrem od każdego reńskiego z opłacanego komornego przez lokatorów właścicielom domów. Ten sposób opodatkowania, ażeby od wydatków płacić rządowi tak lichwiarski pro-

cent, wart rzeczywiście zapisania na karcie dziejowéj. [9])

Liche oświecenie gazem oczywiście pociągnęło nowy podatek; ale tego oświecenia nie mają dotąd przedmieścia najbliższe. Latarnie gazowe kończą się równo z plantacyami, okalającemi właściwe miasto.

Kto zapamięta jak ja dawny ruch i życie Krakowa, ten dziś z osłupieniem pogląda w około, niepewny czy jest rzeczywiście w grodzie Krakusa? Na rynku, który jest sercem miasta, rzadko usłyszysz polską mowę; za to głośno rozmawiają niemcy, jakby chcieli dać poznać wszystkim, że są górą nad mieszkańcami. Żołnierzy austryackich, oficerów z cygarami w zębach pełno się po wszystkich ulicach przewija, równie jak urzędników i wystrojone ich żony, córki i krewniaczki. Głównym jednakże punktem zboru jest tak zwana *Kawiarnia Wiedeńska* w dawnym pałacu margrabiów Wielopolskich. Potomek ich sprzedał starą w stolicy dawnéj siedzibę swych przodków za marną kwotę, i zaraz przemysłowiec niemiecki w nim swój zakład rozgnieździł. Kilka sal obszernych od rana do północy przepełnia rój niemców to wojskowych, to cywilnych; sześć bilardów ciągle jest zajętych, po salach chmury dymu smrodliwego z fajek i cygar. Nie usłyszysz tu ani słówka polskiego: zebrana gawiedź zaraz pozna polaka i pogardliwém spoziera nań okiem. Jeżeli gdzie to w Krakowie widocznym jest przedział ludności polskiéj, osiadłéj od wieków, z tą nalecia łką przybyszów niemieckich. W żadném towarzystwie polskiém nie spotkasz ani urzędnika, ani oficera austryackiego. Klątwa ta dotyka nawet tych rodaków,

[9]) Oprócz powyższych tak uciążliwych podatków od 1 Maja r. z. przybył nowy od psów, i właśnie rząd miejscowy rozesłał po Krakowie *kartki do meldowania psów* (Anmeldungs-Blanquett) z odpowiedniemi rubrykami i poleceniem, aby do dnia 10 t. m. złożone zostały właściwéj władzy. Opłata od psa wynosi dwa złote reńskie (8 złotych polskich) rocznie. Uwolnione od opłaty: 1) psy niemające dni dziesięciu; 2) psy do obcych osób, to jest niestale mieszkających w Krakowie, należące. Rzeźnikom na własną rękę rzemiosło prowadzącym, dozwoloném jest od opłaty wolne utrzymywanie jednego psa.

Nakoniec dodano „że wzwyż wymienionym domu nie masz więcéj psów nad wyszczególnione w téj kartce meldunkowéj, sumiennie niniejszém poświadczam.

Podpis właściciela domu lub jego zastępcy.

co zmuszeni, czy dobrowolnie przyoblekli się w mundur austryacki. Od lat kilku dozwolone jarmarki szkodę niemałą wyrządzają osiadłym kupcom i rzemieślnikom. Z początku cieszyli się obywatele z taniości pozornéj towaru, aż drogo zapłacili swoją ufność w sumienność niemiecką, poznawszy lichotę wyrobu.

Na dane hasło jarmarkowe z Prus i Austryi jak krucy na żér pewny zlecieli się kupcy do Krakowa i na rynku obok Sukiennic rozłożyli swoje kramy. Zastałem właśnie kończący się jarmark: w parę dni, dzięki Bogu, rynek wrócił do właściwego swego stanu, gdy uprzątniono budy drewniane. Kupcy i rzemieślnicy krakowscy odurzeni z początku tą nawałą zagraniczną, nie umieli sobie poradzić; ale odzyskawszy przytomność zaradzili złemu. Wielu z nich bowiem ponajmowało sklepy i kramy na rynku, złożyli w nich swój towar i wyroby tylko pod obcą firmą, a kupujących nie brakło, którzy się cisnęli z tém przekonaniem, że taniéj i lepszy wyrób nabywają.

Mało rzemieślników polskich ujrzysz w Krakowie: kilku rymarzy dawno osiadłych nie zatraciło tradycyi wyrobu ślicznych chomąt prawdziwie krakowskich i pasów krakowskich. Co to za wyroby staranne, jaka sumienność w wykonaniu, jaki gust piękny a oryginalny! Kto nie widział tu w Krakowie tego rodzaju wyrobów, z warszawskich nie może mieć wyobrażenia.

Zapytacie mnie o ruch umysłowy w Krakowie? Niełatwa na to odpowiedź. Sądząc po zakładach naukowych, po niemałéj liczbie prawdziwie uczonych mężów nauki, po pismach nawet wydawanych ruch ten widoczny, ale w tém wszystkiem jest brak trudny do określenia życia, każdy czuje ciężką w oddechu atmosferę, pracuje w zakątku domowym, rad unika drugich, oddany własnym myślom i marzeniom, i chyba szczególne zdarzenie łączy tych towarzyszów literackiéj chorągwi w jedno grono.

— Jak przyjedzie który z Królestwa — mówił mi niejeden z braci literatów — to my ogrzewamy się słowem waszém, waszém życiem i swobodą; rzeźwiejemy w otrę-

twieniu, a ta rzeźwość nie prędko nas opuszcza. Gdy jesteśmy sami, znów upadamy na duchu.

Szkoły tak zwane *trywialne* i *gimnazya*, co do nauki języków starożytnych są dobrze urządzone. Jest odwieczny uniwersytet Jagielloński, w nim wykład nauk niemiecki, jest szkoła realna instytut techniczny, gimnazium Ś. Anny czyli Nowodworskie, towarzystwo naukowe krakówskie, rolnicze, i sztuk pięknych. Pierwsze przy nowéj organizacyi zdaje się zapowiadać większy niż dawniéj rozwój i korzyść dla literatury; drugie stara się podług możności powołaniu swemu odpowiadać. Organizacya wszelako jego, potrzebowałaby zmian pewnych, aby pole działania rozszerzyć mogła. Myśl założenia szkoły rolniczéj jeżeli ziszczoną zostanie, prawdziwą korzyść przyniesie. Składki na ten cel mają iść pomyślnie. Oby Bóg wsparł poczciwe dzieło! Organem tego Towarzystwa jest *Tygodnik Rolniczo-Przemysłowy*, wychodzący raz na tydzień w kroju naszéj Gazety Rolniczéj. Redaktorem odpowiedzialnym jest Marcelli Jawornicki. Towarzystwa rolnicze są upragnione w kraju takim jak nasz, w którym rola jest jedynym skarbem i warsztatem najstosowniejszym, danym przez Opatrzność plemieniowi naszemu.

Towarzystwo naukowe krakowskie odbija bardzo szczupłą liczbę egzemplarzy swoich Roczników; powodem tego jest brak zupełny handlu księgarskiego w Krakowie i nieznajomość dyrygujących w rozszerzaniu tego pisma. Po wydrukowaniu bowiem, zamiast—przy urządzeniu stosunków z księgarzami warszawskimi i wileńskimi — rozsyłać natychmiast wydane tomy, egzemplarze są hermetycznie zamknięte, i chyba ktoś gwałtownie potrzebujący jakiéj rozprawy, o jaki się tom dopomni. My w Warszawie nie wiemy kiedy Rocznik który wychodzi, co zawiera; jest to niedbałość wielka wydawców i obojętność niesłychana.

Skarżą się potem członkowie na brak pokupu, a sami niezręcznością swoją stawiają silne przeszkody. Nakład cały ma wynosić tylko 150 egzemplarzy: rzecz niesłychana w obecnym stanie handlu księgarskiego, bo najlichszego

dzieła rozchodzi się zawsze najmniéj 300 do 500 egzemplarzy. Towarzystwo rozdaje egzemplarze członkom swoim za połowę ceny, obce towarzystwa biorą na zamian na swe pisma; o pozostałych świat już nie wié, bo nikt się nie postara, aby ich udzielić i pokazać w Warszawie, w Wilnie, Poznaniu.

Księgarń jest kilka, a przy braku ruchu handlu i nakładów dziwna rzecz, że się utrzymać mogą. Najstarszą jest T. Czecha, po niéj najzamożniejsza Friedlejna, ale ten sprowadzaniem dzieł niemieckich utrzymuje się. Najczynniejszym księgarzem i wydawcą jest *Walery Wielogłowski*, który ma księgarnię w rynku, w pobliżu kościoła Panny Maryi, pod napisem *księgarni katolickiéj*. Katalog téj księgarni wykazuje jéj gorliwą czynność w wydawnictwie głównie dzieł religijnie moralnych. Właściciel jéj zyskał w kraju powszechny rozgłos, jako autor *obrazków z Obyczajów ludu wiejskiego*, oraz obyczajowych powieści, z których *Dom mojéj babki* wysokiéj jest wartości.

W saméj sile wieku p. Walery Wielogłowski przedwcześnie osiwiały, jak niemal wszyscy rowieśnicy jego co do wieku i wspólnéj doli, średniego wzrostu, krępéj budowy, twarzy pociągłéj, zwraca uwagę wyrazistém obliczem a szczególniéj czarnemi, pełnemi życia i ognia oczyma. Towarzysz wielu lat Adama Mickiewicza i jego przyjaciel wiele szczegółow ważnych z życia tego poety zachował, które ze szczególnym wdziękiem opowiadać umié. Mało bowiem znam ludzi równie wymównych tak płynnie, jasno i dobitnie tłómaczących myśli swoje, jak autor *obrazków ludowych*. W miłém jego towarzystwie upływają ci godziny niepostrzeżenie pod urokiem opowieści. Pragnąć należy, ażeby p. Wielogłowski zajął się spisaniem pamiętników swoich, które rzuciłyby wielkie swiatło na ludzi i wypadki ostatnich czasów, sciśle połączonych z dziejami naszemi. Pamiętniki takie byłyby rzeczywistym skarbem dla potomków naszych, bo roznieciłyby nie tylko wiele ciemnych zdarzeń, ale w blasku prawdy postawiłyby nie mało postaci wydatnych narodu naszego.

W narożnym wielkim domu na rynku mieści się zakład dziennika *Czas*. Cały ten gmach prawie zajmują— drukarnia, redakcya i nowo założona litografija. Żadna drukarnia warszawska nie może iść w porównanie z zakładem typograficznym Czasu; oprócz kilkudziesięciu zecerów, kilkunastu pras ręcznych, są trzy prasy pospieszne, wszystko to ciągle zajęte. Zakład cały jest obecnie własnością bankiera krakowskiego p. Kirchmajera, człowieka wysoko wykształconego i rozumiejącego dobrze zadanie i stanowisko swoje. Zakład litograficzny znalazłem dopiero w pierwszym rozwoju; oczekiwano na prasy i inne przybory. Nasz litograf Maksymilian Fajans w nim objął główną dyrekcyę. Tu mają się odbijać chromolitografije do wspaniałego dzieła ks. biskupa Łętowskiego: Opisu katedry krakowskiéj i jéj pomników. Żałuję, że osobiście nie mogłem poznać tego czcigodnego kapłana i męża nauki, ale dwa razy będąc w domu jego, nie mogłem go zastać.

Trafiłem właśnie na wystawę powszechną towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie i następnie losowanie. Nie jest to żadne towarzystwo naukowe, jakby mógł kto mniemać, ale po prostu stowarzyszenie akcyonaryuszów pod zarządem zebranego komitetu, który czuwa nad wzrostem i rozwojem téj jednéj z najpiękniejszych instytucyi krakowskiéj. Składka roczna wynosi tylko złotych polskich 20 czyli 5 z. r., i to nadaje prawo do wygrania przez losy wysokiéj wartości obrazów olejnych, akwarellowych, i pysznych litografij. Jeżeli którego z akcyjonaryuszów chybi los szczęśliwy, że nie wygra obrazu olejnego lub innego, zawsze w odpowiedniéj cenie wartości składki otrzyma każdy litografije. W roku bieżącym na takie rozdanie pomiędzy członków tego towarzystwa wybrany został olejny obraz Leopolda Löfflera z Galicyi, przedstawiający powrót rycerza polskiego z wyprawy wiedeńskiéj 1683 r. Litografija z niego wkrótce ma być akcyonaryuszom rozdana.

Wyborna administracya wybranego komitetu zjednała współczucie ogółu i umiała zachęcić do pokupu akcyj.

Jakoż obecnie liczy około 3,000 członków. Zebrany fundusz wystarcza nie tylko do zakupywania kilkudziesięciu obrazów i prócz tego litografij, które losowaniem przechodzą na własność akcyjonaryuszów, ale nadto składa na zapas fundusz, który z czasem zamierza obrócić na wzniesienie pomnika narodowego. Wygrywający rok rocznie wysokiéj wartości dzieła sztuki, zdobiąc niemi swe mieszkania, dają ciągle przychylny rozgłos téj młodéj instytucyi, która świetnie wzrasta.

Towarzystwo sztuk pięknych tutejsze może stać wzorem dla innych krajowych; pragnąć należy, ażeby idąc w jego ślady znaleść mogły zarząd równie staranny, sumienny i umiejący obudzić zajęcie w rodzinach obywatelskich. Zdziwiony byłem nie mało, słysząc obok wielu niemców i węgrów mnóstwo nazwisk obywateli galicyjskich jako akcyonaryuszów. Podziwienie moje łatwo wytłómaczy sobie czytelnik, gdy powiem, że poprzednio, z ust najpoważniejszych i godnych zupełnie wiary, miałem podaną następną statystykę handlu księgarskiego. Najlepszego dzieła, wydanego w Krakowie nigdy więcéj nie rozchodzi się nad egzemplarzy dziesięć w Galicyi, w dawnym okręgu krakowskim od 20 do 30, w wielkiém księztwie poznańskiém od 40 do 70; razem biorąc, na ludność z górą pięć milionów, rozchodzi się egzemplarzy sto. Jest to najwyższa praktykowana liczba. Możeż tam literatura ojczysta mieć jakikolwiek wzrost i rozwój? Zarząd główny tego towarzystwa bez żadnego wynagrodzenia spełnia swe obowiązki, a spełnia rozumnie; jest to prawdziwa ofiara obywatelska. Wystawa ta połączona jest z Galeryą Dąbskich, przeznaczoną na użytek publiczny.

Wracając do redakcyi gazety *Czas* wymienić musimy skład tejże. Odpowiedzialnym redaktorem jest Antoni Kłobukowski; rzeczywistymi: *Lucyan Siemieński* (głównie zajmujący się *Dodatkiem*), *Szukiewicz*, *Mann* znany z *Podróży na wschód* i wielu prac w Dodatku *Czasu* ogłaszanych, oraz *Chrzanowski*. Zalety tego dziennika są powszechnie uznane. Redakcya wspierana pomocą licznych korespondentów

ze wszystkich niemal stolic większych i mniejszych Europy, ze wszystkich stron kraju, przy swobodzie prasy, może odpowiadać zadaniu swemu. Wszyscy członkowie redakcyi w lokalu swoim zbierają się codziennie i układają numer gazety, wyjąwszy niedzieli, w któréj drukarnia i współpracownicy spoczywają. Przykład ten piękny szanowania dnia, poświęconego wytchnieniu po pracy i modlitwie, powinny i nasze dzienniki naśladować. Drukarze warszawcy już nieraz podawali w téj mysli prośby, ale były daremne; pewne widoczki spekulacyjne stanęły na przeszkodzie i zgody wszystkich redakcyj warszawskich zjednać niepotrafiły. Drukarze nie wymogli dnia jednego nawet, aby go Bogu i rodzinie swojéj poswięcić mogli.

W dawnéj księgarni Józefa Czecha, poznałem zasłużonego pisarza Józefa Mączyńskiego. Znaném jest powszechnie dzieło jego *Pamiątka z Krakowa w 3 tomach*, które dotąd po opisie Krakowa Ambrożego Grabowskiego służy za najlepszego przewodnika zwiedzającym ten gród historyczny. P. Mączyński nie poprzestał na téj pracy: od czasu do czasu wydaje z bogatego zbioru swego podania, wspomnienia przywiązane do Krakowa. Serdecznie mu wdzięczni jesteśmy za to apostolstwo ciągłe drogich przypominków przeszłości. Przyjaciel i nieodstępny do ostatniéj chwili towarzysz jenerała Chłopickiego, wiele ma po nim pamiątek i własnoręcznych notat. Wiele w pamięci zachował o nim szczegółów, wydatnych w tym charakterze prawdziwego wojaka napoleońskich czasów. [10])

[10]) Józef Chłopicki urodził się dnia 24 Marca 1771 roku, żył więc lat 83. Szczegółowy życiorys jego, znajdzie czytelnik w dziele mojém: Cmentarz Powązkowski pod Warszawą. Tom trzeci.

P. Mączyński ogłosił wielce zajmujący życiorys tego wojownika w dodatku do *Czasu* z r. b.

III.

Ksiądz Rektor Jakubowski Pijar. — Dr. Józef Majer. — Lucyan Siemieński. — Wspomnienie Sawy. — Posąg Kordeckiego. — Józef Kremer. — Karol Mecherzyński. — Józef Jerzmanowski. — Wincenty Pol. — Literatura galicyjska, Bielowski, bracia Borkowscy, Magnuszewski, Dzierzkowski. — Seweryn Goszczyński. — Teatr Krakowski, Dyrektor Pfejfer i jego trupa. — Świetność dawnéj sceny krakowskiéj. — Wyjazd z Krakowa. — Dr. Bierkowski.

Z serdeczną radością powitałem ks. rektora Jakubowskiego pijara a mego dawnego i ukochanego profesora. Czas uszanował go więcéj nad innych: w obliczu, w postaci, w żywości nic się nie zmienił, ten sam dawny zapał ogrzewa szlachetne jego serce i podsyca wymowne usta. Wzrostu wyniosłego wiek nie przygarbił, ani prędkiego chodu nie zmniejszył. Widok jego obudził drogą pamięć ubiegłych lat młodości; słuchając jego opowieści wracałem myślą do owych czasów, gdym słuchał wykładu jego z katedry tak zajmującego i w młodéj piętnującego się pamięci. Z tego czcigodnego grona pijarskiego nauczycieli, już tylko w Warszawie pozostał ks. Szelewski, główny redaktor Pamiętnika Religijno-moralnego, którego zachęcie i pomocy wiele zawdzięczam. Po kilkoletniéj niebytności w kraju, wróciwszy, tylko groby drogich mi professorów znalazłem! To też spotkanie w murach Krakowa ks. rektora Jakubowskiego było uciechą wielką i nieopisaną.

Pospieszyłem złożyć uszanowanie czcigodnemu Józefowi Majerowi b. rektorowi Akademii Jagiellońskiéj, którego w Warszawie dawniéj poznałem. Mąż to znany z wysokiéj swojéj nauki i prac literackich. Wyobraźnia często zwodzi: ja wystawiałem sobie p. Majera wzrostu wysokiego i okazałego, a ujrzałem postać niską i drobną. Imie jego znane jest w całym kraju każdemu, co się poświęca literaturze

ojczystéj. Oprócz wielu prac ostatnie dwie: *Fizjologia nerwów* i *Fizjologia zmysłów* dowiodły, że w téj nauce jedynym jest w całym kraju reprezentantem. On ustalił terminologiję tego przedmiotu. Rząd austryacki nawet uszanował jego naukę, bo wyjątkowo dozwolił mu fizjologiję w uniwersytecie Jagiellońskim w języku polskim wykładać. Krakowiak rodem, urodził się na przedmieściu Piaski, gdziem właśnie mieszkał. Wracając z wieczornego zebrania raczył mnie z bratem swoim odprowadzić i w téj przechadzce dowiedziałem się o tém, równie, że pierwsze nauki w szkółce przy kościele OO. Karmelitów pobierał. Z rozrzewnieniem wskazywał mi mąż uczony i rodzinne gniazdo i miejsca, które wydeptywał w dziecinnych latach. Orzeźwiał wspominkiem chwil niepowrotnéj młodości. Jako vice-prezes towarzystwa naukowego krakowskiego, któremu wiele lat z chlubą przewodniczył w chwilach najnieprzychylniejszych téj instytucyi, gdy byt swobodny okręgu Krakowa chwiał się i wreszcie zniszczonym został, — nie ustaje i teraz w pracach literackich i czynności, ażeby téj instytucyi rozwój większy nadać. Pokazywał mi zebrane szczegóły do życiorysów lekarzy krakowskich. Są to wiadomości tém ważniejsze i ciekawsze, że poczerpywane z rękopisów nieznanych wyłącznie i akt dawnych. Rozprawę tę przeznaczył do pamiętnika czy album, mającego być ogłoszonym na korzyść budującego się domu tegoż towarzystwa. Znaczny już zasób materyałów zebrano, wszyscy pisarze polscy tę myśl piękną poparli, idzie tylko o trafną propagandę w rozprzedaży tego dzieła, aby i koszta wydania wrócić się mogły, i zyskać przychód na cel zamierzony. My innéj lepszéj i praktyczniejszéj drogi nie znamy, jak rozszerzenie przedewszystkiém prenumeraty pomiędzy zacnymi ziemianami naszymi, którzy każdy szlachetny zamiar sercem i kieszenią chętnie popierają. P. Majer oddany żelaznéj pracy, to wykładom nauki z katedry, to pisaniu dzieł i rozpraw, ma te zalety jeszcze, że pojmuje obowiązki obywatela swéj ziemi i stosunki obecne w jakich się gniazdo jego rodzinne znajduje. W towarzystwie uczonego męża czas ci mile

uchodzi, tak zajmującą jest jego rozmowa. Uprzejmy w obejściu, wymowny w wysłowieniu, zostawia wdzięczne każdéj z nim chwili spędzonéj wspomnienie. Surowe jego na pozór oblicze, czoło zrysowane pracowitym pługiem myśli, w rozmowie rozjaśniają się; przy zdarzonéj chwili rad się udziela wesołym wzruszeniom i serdecznemu śmiechowi. W jego domu poznałem uczonego doktora *Skobla* przyjaciela p. Majera od lat dawnych, i głośnego imienia doktora Diethla.

Z Lucjanem Siemieńskim odnowiliśmy dawną od ćwierć wieku znajomość. Czas więcéj go oszczędził jak innych, a lubo nie mało się zmienił, na pierwszy rzut oka poznałem go od razu. Mieszkając we Lwowie 1833—1834 poznałem w kwiecie wieku Siemieńskiego; czytał mi wówczas w rękopismie tylko co skończony przekład rękopismu *królodworskiego* a nie długo potém przyniósł mi swój rapsód: *Trąby w Dnieprze.* Utwór ten wysokiéj wartości, należycie dotąd ocenionym nie został, lubo według mego zdania uważam go za małe arcydzieło szczęśliwego natchnienia, obok którego postawić tylko można Augusta Bielowskiego *Pieśń o Henryku Pobożnym.* Nic już równie pięknego nie napisał Siemieński. Coż to za szczęśliwe pochwycenie kolorytu Bolesławowskich czasów, co za prawda w myślach i dosadnych wyrażeniach, co za język, co za mistrzostwo w powtórzeniu odzewu przeddziesięciowiekowego, w którym słyszysz wyraźne echo, i mowy tych silnych a krzepkich wojowników, i chrzęst ich żelaznéj zbroicy. My łatwo sobie wytłómaczymy szczęśliwe i jedyne — rzec można — natchnienie Siemieńskiego w utworze tak ściśle historycznym. Pod wpływem rękopisu królodworskiego, studiując z zapałem pieśni ludowe, wsłuchany w wyborny przekład Bielowskiego *wyprawy Igora*, wpadł na szczęśliwą myśl w poetyczném słowie odtworzenia pamięci wielkiego króla. Barw nie brakło jak i talentu, przeniósł się więc łatwo myślą w zapadłą przeszłość, która jakby na potężne zaklęcie stanęła w całéj prawdzie. I wpatrzył się dokładnie w jéj oblicze, postać; pochwycił uchem tę

wyrazistą i silną mowę mężów tamtego czasu, i oddał po mistrzowsku. Dwa te arcydzieła: *Trąby w Dnieprze* i *Pieśń o Henryku Pobożnym*, jak wyborne przekłady *wyprawy Igora* i rękopisu *Królodworskiego* zawdzięczamy szczęśliwemu zwrotowi do pieśni ludowych i zabytków słowiańskich w galicyjskich pisarzach. Na czele ich stali wówczas Bielowski i Siemieński z całym młodzieńczym zapałem. Wacław Zaleski, wtedy małego znaczenia urzędnik, a w r. 1848 namiestnik Królestwa Galicyi i Lodomeryi, wydał zbiór pieśni ludowych Galicyjskich z muzyką Karola Lipińskiego. Bielowski i Siemieński nie przestawali pracować w tym kierunku i wydali dumy i dumki, przekłady i naśladowania ludowych pieśni. Kiedy smutne okoliczności rozpędziły następnie nasze grono, Siemieński opuściwszy Lwów i Galicyę, rzucił się w odmęt prac różnorodnych, przez co utracił z oczu i myśli on świat czarowny, w którym tak szczęśliwie oddychał całą piersią i nauczył się go nam malować z takim urokiem poetycznego słowa. Rzucony w świat inny, pomiędzy obcych ludzi, innych wyobrażeń, musiał zatracić w sobie poczucie i władzę odtwarzania tak odległéj przeszłości. Jeżeli kiedy to do Siemieńskiego mogę zastosować ową powieść ludową o cudownym kwiecie paproci, kwitnącym tylko w wigiliję ś. Jana. Powieść mówi, że chłopkowi naszemu w chodaki wpadł przypadkiem on kwiatek, i zaraz rozjaśniło mu się w głowie, zobaczył wszystkie zakopane w ziemi skarby i czytał w przyszłości; ale jak się rozzuł wieczorem i kwiat uronił, znów świat cudowny ciemnym i niezbadanym został. Siemieński miał także on cudowny kwiat, przy którym patrzał w przeszłość jak w tęczę, mimo wiedzy go uronił, i dla tego już nic równego *Trąbom w Dnieprze* nie napisze.

To co mówimy nie może przynieść żadnéj ujmy takiemu jak Siemieński pisarzowi, z którym wiążą nas stosunki szczeréj i dawnéj przyjaźni. Objaśniamy tylko wypowiedziane nasze zdanie i zwracamy uwagę na utwór prawdziwie wielkiéj ceny, mało znany i upowszechniony. Wiele późniéj pisał, drukował już oryginalnych utworów, już prze-

kładów. Z pomiędzy licznych prac jego wyliczymy ważniejsze: *Zbiór poezyi*, *Muzamerit* (powieść), *Opowiadania pod lipą* (dzieje polski), *Historya literatury powszechnéj*, tom pierwszy. *Wieczornice*, 3 tomy.

Osiadłszy stale w Krakowie, za pomocą małych akcyj założył dziennik Czas, który następnie odstąpił na własność bankierowi krakowskiemu Kirchmajerowi, zatrzymując stanowisko sobie głównego redaktora. W r. 1856 objął redakcyję dodatku miesięcznego, w którym dział krytyczny p. n. *przegląd pismiennictwa* sam opracowywa. W pierwszych zaraz zeszytach tego pisma ogłosił przekład swój z Odyssei pieśni XII „*Rzeź Grachów*“ który wszystkich znawców uwagę zwrócił i jednozgodne zdanie wywołał, że tylko jeden Siemieński może dać przekład arcydzieł Homera. I w tym wybornem tłómaczeniu przyszły mu w pomoc młodzieńczych lat studia, i teraz spłynęło nań natchnienie owéj prostoty poetycznéj, w któréj szatach pojętym jedynie może być Homer, a którą poczerpywał Siemieński w zgłębieniu pieśni ludowych i zabytków starowiecznych słowiańskich. Żałować nam szczerze przychodzi, że wątpić musimy o dalszym przekładzie Odyssei.

— Chcąc tego dokonać (mówił mi Siemieński), trzeba być albo zupełnie niezależnym, w dosdatku, albo też mieć byt zapewniony, ażeby oddać się téj pracy wyłącznie i jedynie. Wiesz jak trudno otoczyć się atmosferą pogańskich czasów, chwytać woń i barwę homerycznych poematów, pojąć myśl każdego wiersza i nie tłómaczzć go niewolniczo, ale przepolszczyć, utrzymując nietknięty duch, prostotę i tchnienie poetyczne greckiego pieśniarza. Gdzież mnie teraz o tém myśléć? A żałuję, bo czuję, że mam w sobie zdolność wiernego tłómacza Homera. Dałem próbkę, jak przekład wykonywać trzeba i nie wątpię, że znajdzie się może nie długo odpowiedni talent.

Uznać musimy całą szczerość i prawdę w objaśnieniu Siemieńskiego dla czego podjąć nie może tłómaczenia Odyssei i Iliady.

Opowiadania pod lipą doczekały się kilku wydań i

ostatniego S. Orgelbranda nakładem p. n. *Wieczory w Ojcowie*, r. b.; w przeciągu niespełna pół roku z górą tysiąc egzemplarzy rozkupiono.

„Przegląd dziejów literatury powszechnéj“ wydał tylko tom pierwszy, przypisany Augustowi Bielowskiemu „przyjacielowi i towarzyszowi miłych, smutnych i pracowitych chwil życia“ [11]). Wielce się zdziwiłem, znalazłszy Siemieńskiego zniechęconego do wydania dalszych tomów tego dzieła, tak potrzebnego i użytecznego dla młodego pokolenia, dla którego tradycya nawet zginęła literatury starożytnéj, a główny żywioł naszego wychowania. W tomie tym zacząwszy od pierwotnéj literatury wschodniéj, przechodzi starożytność klasyczną, Grecyję i Rzym i kończy na Liwiuszu i Tacycie. Zniechęcenie to autora powinno ustąpić przed obowiązkiem obywatelstwa, który rozumie dobrze, a my bez pochlebstwa powiemy w oczy i za oczy, że ze znanych nam dzisiejszych pisarzy żaden równie przystępnie i z takim wdziękiem nie opowie i nie nauczy dziejów literatury powszechnéj jak Siemieński. Spodziewamy się, że sam poczuje niedługo potrzebę wykończenia tak szczęśliwie rozpoczętego dzieła.

Rzadki a bardzo trafny wizerunek Siemieńskiego przez Boratyńskiego litografowany w r. 1857 pochwycił szczęśliwie charakter jego oblicza poważny i surowy. W całéj postaci zachował w sobie coś wojskowego, czego w Kremerze nie widać, lubo nasz filozof służył w artyleryi polskiéj. Siemieński średniego wzrostu, szczupły, twarzy okrągłéj, z faworytami, sutym wąsem i nizką strzyżoną czupryną, przypomina nieco postacie dawnych napoleonistów. W obliczu jego dostrzeżesz chociaż małego rysu szyderstwa; jestto zabytek zapewnie tylu doznanych goryczy i zawodów nadziei w życiu; a przecież to uczucie obce jest jego sercu, myśli i pióru. W rozmowie skory jest do uśmiechu, nieraz do radosnego wybuchu. W sądach swych o utworach literackich wielce wyrozumiały, ma tę sumienność i odwagę,

[11]) Kraków — w drukarni Czasu. 1855, w 8-ce. Str. 364.

iż przekonany o wartości dzieła, śmiało je podnosi w obec obojętności i zapomnienia. Dosyć mi namienić *Kwiaty i Kolce* Felicyana Faleńskiego i *Felicytę* A. E. Odyńca. Gdy znajdzie utwór godny skarcenia i pogardy, nie waha się go zdeptać i oddać pod pręgierz klątwy publicznéj.

Pokazywał mi szczątek rękopisu, pozostałego z zamożnéj a spalonéj biblioteki w Baranowie. Jest to wypis z rękopisu Jana Potockiego, krajczyca koronnego, zachowywanego w domu hr. Krasickich, krewnych jego, w Baranowie, obejmujący opis podróży krajczyca po Polsce w roku 1788.

Z Płocka pisze: „Sawa sławny dowódca konfederatów barskich, ciężko w stoczonéj bitwie ranny, ukrywał się w leśnéj chacie. Nieprzyjaciel pilnie go śledził; schwytał nawet kilku chłopów, którzy wiedzieli o jego schronieniu, ale ci wytrzymali męki i skonali pod kijami, a nie wydali. Odkryty w ostatku, wzbudził w szlachetnym półkowniku wojsk nieprzyjacielskich współczucie i litość; sam opatrywał Sawy rany i przewijał, gdy bohater ten leżał bez pamięci. Lecz gdy przyszedł do przytomności, gdy ujrzał się brańcem, butelkę z lekarstwem rozbił o głowę opatrującego, zerwał bandaże z ran swoich i skonał. Matka jego wyzwała na śmiertelny pojedynek owego półkownika, który gdy oczywiście odrzucił walkę z kobietą, ta w upatrzonéj chwili strzeliła do niego, chybiła i uszła szczęśliwie. Był on synem (pisze Jan Potocki) sławnego Sawy, co dowodził kozakami kasztelana krakowskiego Józefa Potockiego, mego krewnego, który zabity przez zaporożców został we wsi należącéj do mego brata Seweryna Potockiego.“

U Siemieńskiego widziałem przerysy posągów Thorwaldsena. W r. 1831 wyszło dzieło w kroju arkuszowym, obejmujące w rycinach przez Franciszka Gaszoli wykonanych wszystkie dzieła Thorwaldsena p. n. „Intera collezione di tutte le opere inventate e scolpite dal Cav. Alberto Thorwaldsen. Roma 1831.“ W drugim tomie pod liczbą 79 przedstawiona jest statua św. Filipa, jedna z dwu-

nastu apostołów, znajdujących się w Kopenhadze. Młody rzeźbiarz Statler, wezwany o zrobienie posągu dla ks. Augustyna Kordeckiego obrońcy Częstochowy, nie chcąc się wiele nad nim mozolić, przerysował posąg św. Filipa i wystawił go za Kordeckiego. Nikt się nie domyślił ze strony artysty tak zręcznego obrotu, różnica cała w zadarciu zbyteczném głowy, w małych szczegółach habitu i w dodanym różańcu u pasa, nie mówiąc nic o wielkiéj różnicy co do talentu i wykonania.

Józefa Kremera, jakkolwiek od dawna pisywaliśmy do siebie, pierwszy raz osobiście poznałem. Zachował jeszcze rysy i podobieństwo do portretu w *Wizerunkach* M. Fajansa, tylko starszy w latach i nie tak szczupły. Więcéj ma w obliczu swojém życia i wyrazu, szczególniéj kiedy mówi o ulubionych sobie przedmiotach. Dobrego wzrostu, lubo pracą pochylony nieco. Mieszka w pobliżu rynku we własnym domu, na prost niemal budującego się domu Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Miły to i przyjemny człowiek w rozmowie, zajmujący zawsze a szczególniéj kiedy na swój przedmiot wpadnie. Zapał wtedy upromienia jego oczy, ożywia oblicze i całą postać. Pracuje obecnie nad podróżą do Włoch w pięciu obszernych tomach, w któréj historyę sztuk pięknych rozwija w obszernych ramach. Dwa tomy już swemu nakładcy Adamowi Zawadzkiemu do Wilna odesłał, trzeci wykończał, do dwóch ostatnich przygotował obfite materyały. Dzieło to wyjdzie illustrowane; pokazywał mi wiele rysunków na drzewie już gotowych, które miał wysłać za granicę do zakładu drzeworytniczego. Oddany pracy z zapałem, o niéj rad mówi, a miło słuchać uczonego męża w przedmiotach tyle zajmujących i podnoszących duchowo. Lubo wiele czasu poświęca przy stoliku swoim, nie unika towarzystwa, rad mu się udziela, orzeźwia się w jego gronie, a w swoim domu przyjęciem szczerém, otwartém i serdecznėm, przypomina staropolską gościnność.

Znając wiele prac Karola Mecherzyńskiego, pragnąłem go poznać osobiście, tém bardziéj, żem go nigdzie spotkać

nie mógł na zebraniach literackich, jak u pp. Muczkowskiego, Majera, Józefa Kremera, Siemieńskiego i innych. Dowiedziałem się, że pisarz ten oddany badaniom mozolnym, zamknięty w domu, nie udziela się nigdzie. Przewodnikiem moim był Władysław Anczyc. Przybywszy do mieszkania naszego pisarza, na odgłos dzwonka otworzył nam drzwi człowiek nizki, wątłéj budowy, skromnie ubrany. Po powitaniu Anczyca poznałem, że to sam Mecherzyński. Przyjął mnie otwarcie i wprowadził do bawialnego pokoju. Szczupłą twarz odznaczają czarne oczy i wąsy niewielkie. W ułożeniu całém jak i w rozmowie znać wielką skromność jak i pewien rodzaj obawy, niepewności; zwykła to cecha sumiennych pracowników na niwie literatury. O pismach swoich nie rad mówi i naznacza im bardzo nizkie znaczenie. Nie masz w tém żadnéj obłudy, bo widoczna jest prawda i pełna prostoty szczerość w wyrażeniach jego; przecież wydane dotąd jego pisma stawiają go w rzędzie zasłużonych badaczy.

W r. 1833 wydał *Historyę języka łacińskiego w Polsce.* [12]) W roku 1845 *O Magistratach miast.* W roku 1851 *Przegląd literatury ludów wschodnich*, poezyi greckiéj, średniowiecznéj, polskiéj XVI i XIX wieku. (Kraków w 8-ce str. 291.) Są to odczyty publiczne, jakie miał w uniwersytecie jagiellońskim.

W r. 1856 ogłosił wielkiego dzieła „*Historya Wymowy w Polsce*“ tom I, i w r. z. tom II. Owoc to pracy sumiennéj i długich badań. W rękopismie całe dzieło złożone ze IV części ma gotowe. Trzeci tom wkrótce zacznie drukować; ostatni oddzielnie wyjdzie z innym tytułem, chociaż łączność z całością ścisłą mieć będzie. Obejmuje z ostatnich czasów dzieje i zabytki wymowy polskiéj, które się jednoczą ogniwem nieprzerwaném z dziejami narodu.

Tegoż dnia poznałem *Józefa Jerzmanowskiego,* sekretarza towarzystwa rolniczo - przemysłowego krakowskiego,

[12]) Historyja języka łacińskiego w Polsce przez Karola Mecherzyńskiego F. D. Kraków. W drukarni uniwersytetu 1833 r. w 8-ce str. 169.

i w domu jego, w towarzystwie jego małżonki i kilku przyjaciół, mile i przyjemnie wieczór przepędziłem. Znaném jest to imie w pismiennictwie naszém. Biblioteka Warszawska ogłosiła podróż archeologiczną po Galicyi, którą razem z Józefem Łepkowskim odbywali. W r. z. w dodatku *Czasu* ogłósił ważny, zupełnie nowéj treści przyczynek dla dziejów p. n. *Roczniki do dziejów Podtatrza i Spiża* z lat 1680—1748 spisane przez ks. ks. Jana i Stanisława Owsińskich, proboszczów Jazowska. Jestto zajmująca kronika, spisywana przez dwóch kapłanów; obejmuje przeciąg lat 68, ogranicza się na podaniu zdarzeń zaszłych w Podtatrzu i pogranicznym Spiżu. Roczniki te wyszły w oddzielném odbiciu. [13])

Wyniosłym wzrostem, krzepką budową, słowem całą postawą przypomniał mi p. Jerzmanowski rodowitych galicyanów, z którymi żyłem lat kilka, między Prutem a Dniestrem mieszkając. Tam wzrost nie tylko nizki i mały, ale nawet średni był rzadkością. Z okolicy niedalekiéj Nadprucia można było zebrać kompaniję rosłych grenadjerów, coby podziw wzrostem swoim obudzali.

A. Z. Helcla nie zastałem w Krakowie. Józef Łepkowski znany archeolog, którego pragnąłem osobiście poznać, wyjechał do Paryża; Wincenty Pol bawił w głębi Galicyi.

A z naszym poetą ćwierć wieku minęło jakem się nie widział. Kiedy mieszkałem we Lwowie (1833 — 1834) Pol rozpoczynał dopiero swój zawód literacki. Przyniósł mi wtedy pieśni Janusza w rękopismie, ażebym odczytał i dał o nich zdanie. Pamiętam, z jakiém uczuciem czytałem te utwory, z jaką radością poznając w ich autorze prawdziwego wieszcza narodu. [14]) Miłe to wspomnienie owych lat spędzonych w Galicyi i we Lwowie.

[13]) Roczniki do dziejów Podtatrza i Spiża z lat 1680—1748 spisane przez ks. ks. Jana i Stanisława Owsińskich, proboszczów Jazowska, wydał Józef Jerzmanowski. Osobne odbicie z „Dodatku Czasu" na miesiąc Styczeń. Kraków. Czcionkami Czasu 1858 w 8-ce str. 79.

[14]) W Lipcu r. z. przybył Wincenty Pol do Warszawy, i tu przypomnieliśmy się sobie po 24 latach rozłąki. Z podziwieniem patrzałem na niego, jak się przez przeciąg lat tylu i przebycia tylu trosk życia mało zmienił. Portret w wizerun-

Miasto to równocześnie mieściło niemałe grono młodych pisarzy. August Bielowski czytywał mi w rękopismie ukończony wyborny przekład: Wyprawy Igora na Połowców; Lucjan Siemieński tłumaczenie rękopisu Królodworskiego i ów cudny rapsod Trąby w Dnieprze; Józef Borkowski, to oryginalne poezye, to przekłady pieśni greckich, to rozprawę o języku łowieckim; Leszek brat jego, poemat: *Orły Herburtów* i wyjątki z innych poetycznych utworów; Dominik Magnuszewski, dramata swoje i drobniejsze utwory; Józef Dzierzkowski, pierwsze swoje powiastki, do których pisania usilnie go zachęcałem. Wszyscy jakby w kółku rodzinném zbierali się u mnie; tu ułożyliśmy z Bielowskim wydanie Noworocznika *Ziewonia*, który wyszedł w r. 1834. Chowam jako drogocenną relikwiję egzemplarz Ziewonii z własnoręcznym przypisem Bielowskiego. Tu oprócz poezyi Aleksandra i Józefa Bielowskiego, czytelnik znajdzie Dominika Magnuszewskiego fragment historyczny *Wołoszczyzna*, wyjątek z poematu dramatycznego *Młodzieniec* i powieść prozą: *Guy-du-Faur* czyli *Pacta Conventa.* Tu jakby krótki kres życia przeczuwał, czytamy na końcu Ziewonii:

„Pamiątek! jak do wiosny wołanie o kwiaty:
Ale wiosna ma pączki, może dać bławaty,
Ona ma róże, lilje, majowe niebiosa,
Jéj słońce złotem błyszczy, perłą bije rosa.
Oto wiosny pamiątki moje, powieść stara;
Wdowi grosz, broń bez kolby, drzewce bez sztandara;
Życie! gasnąca lampa, jak duch w słabém ciele,
Przyszłość! bluszcz w przepaści i iskra w popiele.
A może spytasz, czemu serce nie oniemi?
I czemu widny uśmiech na licach przybysza?
Słuchaj! ileż to wrzasku na wierzchu téj ziemi,
A głębiéj, o dwa łokcie, jakże głucha cisza!“

Lucjan Siemieński dał do Ziewonii wyjątki mniejszych

kach Fajansa jeszcze wielce podobny, chociaż już brody hiszpańskiéj nie nosi i mniejsze ma wąsy. Ale téż spojrzenie i wyraz młodości w obliczu zachował. Przyjęcie serdeczne jakiego doznał, poczuł głęboko; na obiedzie w resursie kupieckiéj dziękując za nie, sam wyznał, że potrzebował téj zachęty do dalszego wytrwania na drodze, po któréj stale idzie. Bawił krócéj jak zamierzył, i to spowodowało, że nie mógł się zająć wydaniem nowych a nieznanych poematów swoich.

pieśni z przekładu rękopisu Królodworskiego, oraz powieść prozą „Cień Królowéj Barbary“. Ludwik Jabłonowski dumę: „Hetman Zmija“ a Seweryn Goszczyński, po świéżéj wędrówce w Karpatach, „Wyjątki z dziennika podróży po zachodniéj części Galicyi“ i piérwszy raz poznała publiczność jeden z największych jego utworów po Zamku Kaniowskim „*Sobótkę*“ w któréj naszych odmalował górali. Tum go ostatni raz uściskał i pożegnał, a pracował właśnie nad przekładem Ossyana.

Wszyscyśmy wówczas w kwiecie wieku, odetchnąwszy po burzy, marzyli jeszcze po młodemu, a szczęście łudne pokazywało każdemu radosne swoje oblicze. Z tego grona Józef Borkowski i Dominik Magnuszewski spoczęli już w grobie, reszta przeszedłszy cierniową drogę życia szronem siwizny pokryta, złamana nie tyle latami jak troską i pracą, stanęła u kresu marzeń i nadziei zwodnych ze łzą w oku i smutném westchnieniem.

Gdzież te krainy urocze, które wypatrywała myśl młoda w pośród chmur ciemnych i grożących burzą? Gdzież owe kwiaty życia wabiące wonią i barwą? Gdzież wreszcie owoce prac owych, które z nas każdy miał wykonać i złożyć na ołtarzu literatury ojczystéj?. Rozproszeni, nie długo, każdy w innéj stronie dźwigając krzyż życia, nie porzucił swego sztandaru, pod który się jak wierny towarzysz zaciągnął, ale nie w jedném już gronie, oddzielnie, pojedyńczo szedł w obranym zawodzie. A rada, pomoc braterska jak dawniéj byłyby potrzebne i użyteczne. Już nigdy nie potrafiliśmy się zebrać w tę przyjacielską drużynę, nie podamy sobie dłoni, groby nawet nasze szerokie przestrzenie rozdzielą. Smutna to myśl i bolesna!

Kazimierza Turowskiego redaktora wielce użytecznéj publikacyi „Biblioteki Polskiéj“, zajmującéj się przedrukiem dzieł dawnéj literatury naszéj rzadkich a ważnych,—nie zastałem w Krakowie. Pracował on już na niwie literackiéj w owéj porze, gdym mieszkał we Lwowie.

Teatr krakowski urządzeniem swojém, wygodnemi lożami i obszernością przewyższa nasz teatr rozmaitości. Tra-

fiłem właśnie już na ostatnie przedstawienia, bo dyrektor Juljusz Pfejfer wybierał się wraz ze swoją trupą do Poznania, a następnie do miast większych Królestwa Polskiego, aby z zimową porą wrócić do Krakowa. Od wielu lat znam tego zasłużonego dyrektora, pełnego poświęcenia dla sztuki, który gorliwością swoją i—rzec mogę—ofiarą osobistą podtrzymuje scenę narodową w Krakowie. Rzecz dziwna i nie do uwierzenia a jednak prawdziwa, że publiczność tutejsza zbiera się tylko na większe dramata i komedję; drobniejszych jednoaktowych nie cierpi, a na tamte pójdzie dwa razy na tydzień, na trzeciéj reprezentacyi już doskonałe pustki. Takie usposobienie publiczności w szczególnie wyjątkowém położeniu stawia dyrektora i artystów; bo gdy ten zbogacać musi ciągle nowemi sztukami swój repertoar, artyści znowu zmuszonymi są do bezustannéj pracy w wyuczaniu się ról coraz nowych i nie mają czasu dostatecznego ani na próby, ani dobrego zbadania i oddania ról swoich. Ten stan wyjątkowy powinni uwzględniać krytycy sceny krakowskiéj, znając ją dobrze jako miejscowi a nie znaleźliśmy tego wyrozumienia bynajmniéj.

Dwie tylko sztuki widzieliśmy J. Korzeniowskiego: Dziewczyna i Dama, i Starego męża. Pierwszą znaliśmy już z przedstawienia na warszawskim teatrze, i mniéj nas dla tego zajęła, drugą widzieliśmy raz pierwszy na scenie z wielkiém upodobaniem. Pani Krajewska w roli *Panny Jagnieszki*, pan Wisłocki w roli *Marcina*, starego służącego sędziego,—na każdéj scenie pożądanymi byliby artystami. Sam dyrektor Pfejfer w roli Mateusza szeregowca, pamiętając dobrze starych wiarusów polskich, był wyborny.

W Dziewczynie i Damie główną rolę odegrała z pojęciem charakteru pani Majeska. W rolach innych mało znać studiów, ale nie dziwić się temu znając wymagania tutejszéj publiczności. Reżyserem teatru krakowskiego jest pan Karol Królikowski, brat naszego znakomitego artysty Jana. Pracy mozolnéj i trudów mu nie braknie w przedstawieniu prawie co tydzień dwóch sztuk nowych. Pozna-

wszy bliżéj stan sceny krakowskiéj, wydziwić się nie mogłem wytrwałości artystów w téj ciągłéj pracy nauki coraz ról nowych i to—dodajmy—sztuk kilkoaktowych. Dla tego z wielkiém współczuciem dla nich, a szacunkiem dla dyrektora wspominam o scenie krakowskiéj, która tak małemi środkami podtrzymuje istnienie swoje. I tu walka pierwiastku polskiego z niemieckim trwa: piérwszy poświęceniem, wytrwałością nie powiem, przychylną pomocą rodaków utrzymuje się; drugi wsparty datkiem rządowym, ledwie znaki życia pokazuje.

Dodać tu muszę, że tak jak pisma perjodyczne ostęplowano i afisze teatralne podciągniono pod ten podatek. Każdy afisz ma stępel jednokrajcarowy.

Przeszły już świetne czasy bezpowrotnie teatru krakowskiego, kiedy scena ta stała bez porównania wyżéj nad warszawską. Wówczas to pod dyrekcyą Hilarego Meciszewskiego w pierwszéj młodości wspierali ją znakomici artyści Jan Królikowski, Rychter, Chomiński (starszy), następnie brat młodszy w komicznych rolach, Ładnowski i w. i.; z artystek Teressa Palczewska i Radzyńska. Teatr krakowski łączył się ściśle z literaturą, z życiem miasta i jego wolnego okręgu. Najpoważniejsze pióra zajmowały się jego stanem, rozwojem; krytyka rozumna oceniała grę artystów z całą ścisłością naukową i znawstwem. Scena ta świetna, o któréj mieszkańcy grodu Krakusa wspominają z zapałem dotąd, zespolona z życiem praktycznèm téj cząstki Polski, musiała upaść, skoro mały kraik utracił byt i znaczenie i przeszedł pod panowanie austryackie. Wspominamy o tém nie dla sponiewierania dzisiejszéj sceny polskiéj w Krakowie, ale raczéj dla oddania należnéj pochwały zasłudze dyrektora Pfejfra, który pamięta świetność dawną sceny rodzinnego miasta, sam należał do grona ówczesnego artystów, rozumie powody jéj upadku, a dźwiga ją wszelkiemi ludzkiemi siłami. Tym szlachetnym usiłowaniom wszyscy, co ocenić umieją ważność teatru polskiego w Krakowie, powinni z obowiązku obywatelskiego dopomagać, pomnąc że to jedyne obok kazalnicy pole, na któ-

rém jeszcze ojczysty język może się odzywać i serdeczna nuta z polską zabrzmieć pieśnią.

Dzieje chociaż krótkie ale zajmujące świetnego rozwoju sceny krakowskiéj, o któréj wspominamy, wymownym są dowodem téj prawdy, że sztuka dramatyczna tam tylko stać może wysoko, gdzie przy swobodzie społecznéj życie narodu przechodzi bez pochmurnego nieba, bez burzy bijącéj gromami. Czego doznała krakowska scena, toż samo mamy w literaturze dramatycznéj; ta nieumiejąc a głównie nie mogąc odźwierciadlać narodowego życia, wznieść się nie może i rozwinąć; żyje za prawdę, ale w stanie chorobliwym; nieznany jéj szczery uśmiech rodowy, szczery wybuch radosny, ani łza, ni wspomnienie dawnych ognisk domowych, ani rozumne rozpamiętywanie przeszłości, stawiając jéj obraz przed oczy w najdoskonalszém świetle, w ramach utworu dramatycznego. Bądźmyż wyrozumiali i miłością szlachetne podpierajmy usiłowania.

Czas do opuszczenia Krakowa nadszedł, smutek mię ogarnął; czy cię kiedy święty grodzie ujrzę raz w życiu, i uścisnę dłoń waszą po bratersku mi podaną zacni pracownicy na jednéj niwie i w jednych celach. Odczytywałem właśnie ułamek naśladowany z Glosy św. Teressy; ma to być ostatni utwór wielkiego naszego poety Zygmunta Krasińskiego, i trafiam w końcu na to stosowne porównanie:

„. My sami
Tak blizcy siebie, a tak rozdzieleni.“

Mój Boże! Po dwudziestu ośmiu latach niewidzenia zaledwie zdołałem wpatrzéć się w to miasto pamiątek, spojrzeniem tylko objąć cudne jego okolice, odetchnąć z całą pełnością serca w uściskach przyjacielskich tych szlachetnych strażników ołtarza literatury ojczystéj; godzina rozdziału uderza, rozdziału może wieczystego na téj ziemi. Odżyłem tu wielu wspomnieniami lat dziecięcych i wesołéj młodości; pierwsze przypomnieli mi dostojny kasztelan Wężyk i mój zacny profesor Jakubowski, drugie sędziwa patryarchalna postać osiwiałego Ambrożego Grabowskiego,

i to miasto już niestety nie pełnością życia i swobody, ale milczącemi murami i pamiątkami. Różnicę lat wielu wskazywały gruzy kościołów wspaniałych, puste mury pałacu biskupów krakowskich, — zdarta powaga z czoła katedry i zamku królów polskich, zamienione w cytadelle,—fortyfikacye do koła Krakowa rozpoczęte, i ta ciężka ołowiana atmosfera, co ci z serca wszelką radość wypędzi, z oblicza gotowy uśmiech zetrze, w ustach wykrzyk podziwu i zapału zdławi. Stajesz się milczącym, jak te pomniki na które poglądasz, a na ich uczczenie masz tylko łzę i ciche westchnienie.

Sędziwy Ambroży Grabowski z ojcowską dobrocią i troskliwością od rana krzątał się po pokoju, który mi dał na mieszkanie, ażebym czego nie zapomniał. Gdy przyszła godzina wyjazdu i czas siadać do fiakra, rozrzewnił się starzec, w milczeniu mnie uściskał i krzyżykiem błogosławieństwa opatrzył na szczęśliwą drogę. Pożegnałem zarazem zięcia p. Kopfa b. senatora W. M. K., współpracownika Kwartalnika Naukowego i jego zacną małżonkę, a córkę Nestora naszych archeologów, w których domu doznałem nie raz staropolskiéj gościnności.

Na dworcu kolei żelaznéj oczekiwali z pożegnaniem pp. Józef Muczkowski z najstarszym synem, ks. rektor Jakubowski i Władysław Anczyc. Tu poznałem głośnego imienia Dra. Bierkowskiego. Wkrótce przybył i Stanisław Moniuszko, który dni kilka bawił w Krakowie, zwiedził Wieliczkę, Bielany i Łobzów, gdzie pole działania główne nowéj opery jego *Rokiczana*, do któréj libretto pisze Józef Korzeniowski. Byliśmy razem na kilku zebraniach literackich; spieszył on w drogę do Paryża, gdzie zamierzał napisać operę jednoaktową *Flis*, słowa Stanisława Bogusławskiego znanego komediopisarza.

Chwila rozdziału nadeszła, pożegnaliśmy tęsknem uściskiem tych, co raczyli nam towarzyszyć dotąd, a spojrzeniem łzawém mury Krakowa.

Z Moniuszko rozdzieliliśmy się niedługo; on ruszył koleją pruską, my z powrotem do Warszawy. W tymże sa-

mym wagonie siedział z nami doktór Bierkowski. wezwany na pomoc do jednego z obywateli Królestwa, który złamał nogę. Dr. Bierkowski opowiadał nam, że na przedstawienie jego, potrzeby nauki chirurgicznéj między służbą kolei żelaznéj, aby ta w nieszczęśliwym wypadku mogła sama nieść pierwszą pomoc zanim doktór przybyć zdoła i umiała opatrzéć rannych, — rząd austryacki przyjął myśl wielce użyteczną i w czyn wprowadził. Dr. Bierkowski wykłada więc służbie kolei żelaznéj krakowskiéj pierwsze początki chirurgii zastosowanéj do praktyki we wszelkich stłuczeniach i złamaniach kości. Bez jego świadectwa żaden z należących do ruchu téj drogi przyjętym być nie może. Ofiarowanéj sobie rocznéj płacy od rządu za wykład ten nie przyjął, zastrzegłszy tylko wszelkie przejazdy kolejami żelaznemi bezpłatnie tak w Państwie Austryackiém, jak w Prusach i w Królestwie Polskiém, czego dotąd z całą swobodą używa. Towarzyski to człowiek, daleki od pedanteryi, umie zajmującą rozmową i zabawić i pobudzić do śmiechu opowiadaniem różnych zdarzeń i wypadków pełnych humoru i dowcipu.

Ulewa a następnie śnieg okrył pola i lasy wsród nieustannych grzmotów, łyskawic i piorunów co chwila.

Gromy trzaskające blizko i w około dały powód do rozmowy, czy był wypadek, ażeby piorun uderzył w lokomotywę, w wagony lub w same szyny? Na to zapytanie odpowiedział dr. Bierkowski, że o podobnym wypadku nie słyszał i powątpiewa. Mijamy klasztor Jasno-Górski, dojeżdżamy do pierwszéj stacyi za Częstochową, nagle blask jakiś szczególny uderza, a nie długo łuna jaskrawa oświeca wszystkich twarze. Przed chwilą naszego przybybycia piorun uderzył na téj stacyi w małą szopkę, stojącą może o parę sążni od saméj kolei i w mgnieniu oka objął całą płomieniem. Dziwne zdarzenie, odpowiadające tak prędko na nasze zapytanie. Dr. Bierkowski stawiał ten wypadek za nowy dowód, że w koléj nie biją pioruny, ani w cugi biegnące; my wszyscy nie życzyliśmy sobie

przejeżdzać tak blizko owéj szopy, gdy w nią piorun uderzył; poczulibyśmy grom ten z szkodą własną.

W przelocie szybkim koleją, nic podróżny rozważać nie może, chyba rzutem oka obejmować przebieżone okolice i badać towarzyszów siedzących w jednym wagonie. Spostrzeżenia te nie mają zazwyczaj żadnéj wartości, bo oryginały zniknęły, humoryści rzadcy jak rarogi, a pijany wędrownik jeżeli się częściéj znajdzie, to spi jak zabity.

Milszą i rozmaitszą jest podróż statkiem parowym lubo nie tak szybka. Żegluga parowa ożywiła osamotnione dotąd wybrzeża nadwiślańskie i spowodowała na nich ruch nieznany. Nie można odmówić téj usługi i naszéj kolei żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj; pragnąć tylko należy, ażeby kraj nasz mógł prędzéj korzystać z sieci kolei zatwierdzonych, jakiemi są boczne ramiona, łączyć mające naszą koléj z kolejami pruskiemi, przez co podróżny na stratę czasu na kolejach austryackich narażonym nie będzie. Projekt ten jeżeli z jednéj strony dla jadących jest wygodnym, dla Krakowa nieprzychylny, bo dziś prawie każdy z rodaków ochotnie zatrzyma się wtym grodzie dni kilka, i wypocznie na dalszą podróż w Europę; gdy zaś krótsza droga otwartą zostanie, ominie go z równą ochotą. Z powrotem do kraju straciwszy czas i pieniądze za granicą, w pospiechu do domu, już nie myśli uderzyć czołem przed swiętościami przeszłosci narodu swego. Na to patrzymy co dzień. Może Bóg dobry obudzi w sercach powinność obywatelską i tęsknotę do pielgrzymki dla uczczenia jedynie i wyłącznie tylko grobów katedry na Wawelu i mogił krakowskich.

JÓZEF SOSNOWSKI

WOJEWODA SMOLEŃSKI, HETMAN POLNY LITEWSKI, WOJEWODA POŁOCKI.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Sosnowski należąc do stronnictwa reformy w Rplitéj za ostatnich czasów, urósł pod opieką Czartoryjskich na jedną ze znakomitszych postaci historycznych.

Początki jego były małe jak wielu późniejszych senatorów. Rodzina chociaż niesławna, ale starożytna, ruska, wcześnie spolszczała. Za Zygmunta starego był jeden z tych Sosnowskich, zacięty bardzo rusin, władyką chełmskim; miał też wiele zmartwienia z najbliższą rodziną swoją, która lgnęła do wszystkiego co było polskie i katolickie: brat władyki został xiędzem łacińskim i kanonikiem a wnuk siostry znakomity późniéj ksiądz Wereszczyński, rycerz w infule jak go nazywamy, urosł nawet na biskupa łacińskiego. Wereszczyński ten opowiada dość obszernie w jedném z dzieł swoich, których tyle napisał, nieszczęścia i zmartwienia owego władyki, dziada swojego po kądzieli.

Ale ojciec Józefa Sosnowskiego, wcale nie bogaty szlachcic ziemi chełmskiéj, był tylko rotmistrzem przedniéj straży w wojsku litewskiém. Miał bardzo piękną żonę z domu Kuczewską. Los tyle mu posłużył, że znalazł względy u jednego z dalekich swoich krewnych, to jest u Sosnowskiego także, jenerała-lejtnanta wojsk litewskich. Czy nie będzie to

czasem ów Paweł, syn Oktawiana, jenerał wojska cudzoziemskiego litewskiego, o którym wspomina Niesiecki? Oktawian, ojciec Pawła, miecznik bracławski był pułkownikiem pancernéj chorągwi za Jana Kazimierza. Żona jego Katarzyna z Zamiechowskich, (stawiała w Sosnowicy kościołek drewniany w XVII wieku. [1]) Zatém komput lat bardzo wystarcza. Dosyć że ten daleki krewny rotmistrza przedniéj straży, człowiek dosyć zamożny a bezdzietny, dziedzic Sosnowicy w ziemi chełmskiéj, [2]) która gniazdem rodzinnem była tych wszystkich Nałęczów Sosnowskich, nie miał komu zostawić majątku; zawziął tedy dobre serce dla obojga rotmistrzostwa od młodości aż do późnych lat, i chcąc Sosnowice utrzymać w nazwisku, pominął może wielu blizkich krewnych po kądzieli i rotmistrzostwu dobra swoje zapisał. I jenerał nie żałował, bo późniéj miłość z rodziców zlał na syna Józefa, którego bystrość i przytomność umysłu, oraz i inne talenta podobały mu się a nawet piękność rysów twarzy, zgrabność, powab miły dziecinny. Oczywiście dziedzica tego staréj rodziny dóbr i nazwiska jenerał już pokierował sam, a naprzód zalecił go hetmanowi Pol. Lit. *Denhoffowi*. Hetman wziął młodego do swojéj kancellaryi i używał jako manualisty (tak wtenczas mówiono) do przepisywania różnych papierów. Potém stary już ojciec złożył na rzecz syna swoje rotmistrzostwo przedniéj straży, które że było w pułku buławy W. L. młody Sosnowski wszedł w znajomosć i blizkie stosunki z drugim hetmanem Pociejem. Grzeczny, hoży, nie tak już ubogi a młody, podobał się wszyskim i zarobił sobie na względy u starszych. Tak bo to wtenczas rośli ludzie stosunkami i znaczeniem, jakie przez te stosunki zjednać potrafili.

Ledwie szkoły skończył a już i żołnierz, pierwsze miał pole w bezkrólewiu po Auguście II. Uniesiony zapałem ogólnym, który podówczas unosił szlachtę, stanął Sosnowski pod znamionami silnego stronnictwa, które Leszczyńskiego na

[1]) Gazeta Codzienna 1858 n-r 206.

[2]) Dziś w Królestwie Kongresowem pomiędzy Parczewem a Włodawą.

tron powoływało. Wiązały się konfederacye w téj myśli po ziemiach i województwach przed samym sejmem konwokacyjnym. Sosnowski należał do konfederacyi zawiązanéj w Chełmie i zaraz od niéj wyprawiony był w poselstwie do księcia prymasa (w Lutym 1733). Poselstwo takie znaczyło, że szlachta z góry już zatwierdza zabiegi księcia prymasa w osadzeniu na tronie kandydata, który był u wszyskich na myśli, a którego jednak nazwiska nie wymieniano przed czasem. [3]) Kiedy się już późniéj wojna domowa zawiązała pomiędzy dwoma stronnictwami w narodzie, Sosnowski od króla Stanisława mianowany pułkownikiem milicyi litewskiéj po strażniku polnym Paszkowskim podniósł razem z innymi tron i odznaczył się kilka razy w boju. Regimentarzem jeneralnym litewskim był w tém bezkrólewiu *Antoni Pociéj* synowiec hetmański: z nim tedy i z wielu innymi pułkownikami i rotmistrzami włóczył się Sosnowski po różnych miejscach na Litwie, szukając nieprzyjaciela. Raz na Żmudzi w Nowem Mieście napadł na jakiegoś kniazia, dowodzcę wojsk posiłkujących elektora saskiego; mało było tam żołnierza, więc bitwa pomyślna; kniaź zginął a jego wszystkie skarby i sprzęt cały przypadły w zdobyczy na zwyciężce.

Innym razem rozbity był ale nie przez własną winę. Fałszywą przysłał wieść do konfederatów podskarbi Sołłohub z Królewca, że król Stanisław ma zamiar wejść do Polski i że tylko oczekuje na wojsko; z pod Słonima więc zaraz gdzie go ta wieść doszła, wybrał się regimentarz z wyborem wojska swego i ruszył prosto ku granicy pruskiéj na miasteczko mazowieckie Kolno, zdawszy komendę nad piechotą, hussaryą i przednią strażą podczaszemu litewskiemu Aleksandrowi Pociejowi, który trybów niewiadomy żołnierskich, a nawet podobno zdradę chowając w sercu, ruszył za rozkazem regimentarskim ze Słonima do Brześcia. Pod jego komendą znajdował się Sosnowski. Doszedł już Pociej pod Prużanę, kiedy od Nowego Dworu z traktu Wołkowyskiego przybiega niespodziewanie do niego Sosnowski i donosi, że

[3]) Kuryer Polski 1733 n-r 170 Supplement.

na jego oddział napadł ze znaczną siłą pułkownik Wilczewski i że dla tego odstrzeliwając się musi wolno maszerować, a rychło pędzi i drugi goniec, że to z całą potęgą następuje na konfederatów sam książe kanclerz *Wiśniowiecki*, prowadząc za sobą i posiłkowe wojska. Zmięszał się nie pomału Pociej, bo nie wiele posiadał koni a co lepsi poszli do Pruss, téż piechota była bez broni. Cofał się ku Sielcom, potém opuścił wojsko, ale nieprzyjaciel prędko się zawinął i za chwile nie było już ani śladu konfederatów. Okropności się działy; szlachta ze szczętem poginęła tam na fortunie. Rozbitki sieleckie pobiegły do starostwa Bielskiego na Podlasie, w którem stał jeszcze regimentarz Pociéj. Znalazł się tutaj obok nich i Sosnowski. [4])

W późniejszéj wyprawie strażnika *Paszkowskiego* na Wilno miał także udział Sosnowski. Tutaj się rzecz nie udała przez tchórzostwo referendarza Wołłowicza, który z drugiéj strony miasta téj wyprawie podciągał w pomoc z kilku chorągwiami i regimentami. Z referendarzem nadeszło ze dwieście ludzi z przedniéj straży pod dowództwem Sosnowskiego. Wołłowicz odebrał jeneralną komendę Paszkowskiemu i stracił piękne zwycięztwo, cofnąwszy się daleko bez ładu i bez spotkania się z nieprzyjacielem. Zostało się na placu kilka chorągwi i szwadronów oraz przednia straż Sosnowskiego. Ci stoczyli szczęśliwą bitwę i spędzili nieprzyjaciela, który myślał korzystać z ucieczki Wołłowicza ale się srodze pomylił. Zwycięzcy udali się potém do obozu pod Miedniki gdzie bankietowali i weselili się przez kilka długich tygodni, czasem się tylko bawiąc podjazdami pod Wilno. Widząc jednak, że tam w obozie nie wystoją, officerowie złożyli radę w Sokołowcach. Postanowiono wysłać kogo na Białą Ruś dla wybierania hyberny, czopowego i szelężnego oraz innych podatków za assygnacyami marszałka i regimentarza jeneralnych konfederacyi. Wyprawiono tedy Tadeusza *Ogińskiego*, starostę przewalskiego, człowieka młodego ale rezolutnego,

[4]) Pamiętnik Tadeusza Ogińskiego i notaty Marcina Matuszewicza, jedno i drugie w rękopismie.

właśnie syna marszałka konfederacyi jeneralnéj. Dano mu trzy chorągwie petychorskie słuszne, jak mówi sam Ogiński, bo liczyły po pietnaście towarzystwa, daléj „drugie trzy z pałkami i doboszem, bo tylo namiestnik i po kilku było towarzystwa,“ nadto sześć chorągwi wyprawnych powiatu orszańskiego i przedniéj straży sześć chorągwi z pułkownikiem buławy polnéj Józefem Sosnowskim. Było tedy wszystkiego ośmnaście chorągwi, do których przydano jeszcze dragonii pod dowództwem kapitana Kościuszki, dwadzieścia chorągwi dla przybocznéj straży samego wodza wyprawy. Na pozór to dosyć okazałe było wojsko, bo liczyło trzydzieści ośm chorągwi, ale ludzi niemal tylko kilka razy tyle co chorągwi, gdy jak widzimy, i pałki i dobosza w ten kompót zbierał już starosta przewalski. Wyruszyli w pochód prosto z Wierek (w Styczniu 1735.)

Spacerował młody *Ogiński* swobodniéj w Białéj Rusi i wszędzie więzić musiał to kommisarzy, to gubernatorów, którzy nie słuchając konfederacyi, podatków nie chcieli dawać. Zwiedził tak powiat orszański, daléj województwo mścisławskie, krążył około Krzyczewa i Mohilewa, sądził i wieszał chłopstwo, które nawodziło nieprzyjaciela na konfederatów. Z nim wszędzie nieodstępny *Sosnowski* „nieospały w awantażach,“ jak o nim powszechna wieść była, tak pragnął téj wyprawy, że wyprosił ją sam podobna u regimentarza w dworze wieredzkim i sam się oczywiście w niéj pomieścił, bo próżnować się nie chciało a nęciły do szukania przygód tysiączne takiéj wojny podjazdowéj korzyści. Więc i *Sosnowski* na swoją rękę wyciskał z Białéj Rusi kontrybucye, odnosił awantaże i zdzierał bogatszych rusinów.

Po długich krążeniach zbliżył się *Ogiński* pod Orszę i uderzył na miasto, chcąc je zdobyć bez wypraw powiatowych orszańskich, które zagubił gdzieś w drodze. Na trzy części tutaj rozdzielił swoją dywizyę, z tych jedną, to jest pachołków przedniéj straży dał *Sosnowskiemu*. Ale wszystkie natarcia odparł nieprzyjaciel i nie pomogły nic wyprawy, które w ciągu bitwy nadeszły. Nie długi już był spacer po

Białéj Rusi, bo wyprawę zewsząd tak ścisnęły nieprzyjacielskie podjazdy, że była jako „owca przeznaczona na zabicie.“ W ogromnych był opałach w Głębokiem, w Dokszycach a jednak nie upadał na sercu. Kończyło się już wtenczas ze sprawą *Leszczyńskiego* na Litwie; inni regimentarze i pułkownicy już wojska swoje porozpuszczali, drudzy do Pruss i do Królewca poszli i tylko ten jeden *Ogiński* się trzymał a dosyć ostro. Ale pod Dokszycami w skutku bitwy nastąpił i ostateczny rozproch téj wyprawy. Z garstką ludzi wymknął się kommendant na całą noc, uciekał li tylko z ochotnikiem, bo trzy części wojska rozbiegło się. Bóg strzegł że nie pędzili go „boby nas niechybnie jak grzyby pobrali“ mówił sam *Ogiński.* Mimo to zwijał jednak się zgrabnie, chociaż co chwila wojsko jego kapiało i tabory już wszystkie stracił. Chciał się gdzie przerżnąć do wojska koronnego, lub dostać się do Pruss, ale długo opak stawała mu się fortuna. Dywizyjka już nie dywizya trzymała się jako tako, ale wojsko całe w przedniéj straży było uciekające a więc tylko jeden *Sosnowski* wiernie dotrzymywał towarzystwa *Ogińskiemu*, sam jeden, wyraźnie powiadamy, bo już bez wojska. Po klęskach około Słucka i Petrykowa, gdzie się źle znalazła przednia straż, nie było najmniejszego posłuszeństwa w wojsku a wielu głośno wołało, żeby się poddać. Przeszedłszy Berezynę w Lubiniczach o trzy mile od Bobrujska, rozpuścił wreszcie wojska swoje *Ogiński* do domów. Wybrał następnie tylko 70 ludzi poświęconych i z *Sosnowskim* pod ich zasłoną do Pruss się przedzierał. W Swisłoczy raniuteczko ocknął się, patrzy, aż już żadnego nie masz z tych koni siedmdziesiąt, pozostał tylko z Sosnowskim i z kilką towarzyszów. Dwaj ci nieodstępni ciągle przyjaciele i daléj wspólne trudy i obawy dzielili. Ścigano ich wszędzie, tropiono ślad za śladem. A ci chronili się po puszczach, po folwarczkach, unikając wzroku ludzkiego, przebierając się lasami. Za Dźwiną już u nader poczciwego człowieka, jakiegoś *Beneta,* o mil sześć od Drui spoczęli cały tydzień w zupełnem bezpieczeństwie. *Ogiński* miał swego sługę *Komara*, *Sosnowski* też swego *Komarnickiego* i dwóch masztalerzy, otóż i cała ich kompania jaka

była u *Beneta*. Byli im wszelako oboje staruszkowie radzi i wygodę im dawali jakby rodzice.

Wyspowiadawszy się w dzień św. Jana wyruszyli nasi podróżni daléj w drogę; nocą tylko uciekali, bo w dzień upały były niezmierne i niebezpieczeństwo wielkie, więc się wbiwszy gdzie do chałupy chłopskiéj, lub w las gęsty, czekali wieczora i chłodu. *Benet* hojnie opatrzył wędrowców na drogę, wędzonym łososiem, węgorzami, śledziami i różnemi przysmakami tak, że aż do Królewca wszystkiego im wystarczyło. Błogosławili go też za to serdecznie. Obok Wilna przemykali się w czasie processyi, która szła do Trok na Nawiedzenie N. Panny. Z Rumszyszek mimo Pożajścia wpadli w puszczę zieloną i jednego dnia, upaliwszy mil aż dwadzieścia i cztery, przez rzekę Szeszupę dostali się wreszcie na ziemię pruską.

Ale i w Prusiech smutne wieści; *Leszczyński* zrzekł się korony, stąd wszyscy jego stronnicy tracili, co kto miał do tracenia, bo się za zbyt skompromitowali przed królem Sasem. Padło nieszczęście i na *Sosnowskiego*. Pułkownikostwa oczywiście już mu nie przyznawano w wojsku, gdyż pułkownikiem był mianowany przez *Leszczyńskiego*, ale tu co gorsza odebrano mu rotmistrzostwo przedniéj straży. Nie dosyć na tém zajechano mu i wieś *Rokitno*, jako ekonomię królewską; wieś zaś była dobra. Przestraszony *Sosnowski* pobiegł skarżyć się i przepraszać aż do Drezna, i tam wreszcie po wielu prośbach i staraniach, zaręczywszy że najwierniejszym będzie królowi, chociaż wieś odebrał bez rotmistrzostwa. Dano mu jednak inną rangę wojskową, to jest chorąztwo petyhorskie w pułku najstarszego królewicza.

Wracając z Drezna spotyka się *Sosnowski* w Orli, miasteczku podlaskiém, z Marcinem *Matuszewiczem*, starościcem stokliskim, dobrym znajomym i spółziemianinem. Matuszewicz bawił się jeszcze w legitymizm polski i dla tego był na drodze do Lunewilu. Dwaj młodzi szlachta wdali się w gawędę jak to nie nowina. Obadwaj pod jedną chorągwią służyli, obadwaj się zawiedli w swoich widokach. *Sosnowski*, który już rzeczy tego świata nauczył się więcéj ce-

nić rozumem, odradzał *Matuszewiczowi* podróż do Lunewilu, trzeba się było albowiem z losem pogodzić i nowemu kłaniać się słońcu, kiedy już dawne nie grzało. *Sosnowski* myślał również o postanowieniu swojém i o przyszłości; chciał zabiegłością odzyskać to, co stracił. Wpadła mu już dawno w oko siostra Marcina panna Maryanna, oświadczył się tedy na prędce bratu o nią i prosił, żeby pomógł co u ojca. Nie trudna to wprawdzie była sprawa z ojcem, ale najtrudniejsza z matką, haec mulier albowiem była zła, kapryśna, a trzęsła mężem i całym domem jak rzeszotem. Dzieci jéj słuchać i bać się musiały jak ognia. Matce tedy zechciało się wydać córkę za mąż za *Lechnickiego* patrona z Lublina. Co w nim tak dobrego upatrzyła to była tajemnica, prócz matki zaś postanowienie to przyszłe córki wszystkich gniewało; i nie mogli dosyć nadziwić się téj dumnéj niewieście, zkąd jéj, dla któréj więksi byli za mało, swatać córkę za patrona, o którego szlachectwie nawet wątpiono. Marcinowi podobała się propozycya *Sosnowskiego*, juścić w każdym razie lepsza to była partya dla siostry od wielu innych, tém bardziéj od *Lechnickiego;* zawrócił tedy i miał naradę z ojcem. Ojciec tak samo myślał jak i syn, a kiedy i do panny doniosła się wieść o tych swatach, i panna oświadczyła się za Sosnowskim. Ale matka widząc ten spisek na około siebie, rozgniewana że w jéj prawa śmieją wchodzić, wydała formalną wojnę kawalerowi. Napróżno przyjechał do Rasny, gdzie starzy Matuszewiczowie mieszkali i podbił sobie tam nowych stronników, matka o nim ani słyczeć nie chciała. Kiedy więc wyjechał bez nadziei, pani Matuszewiczowa zaraz przywołała do Rasny *Lechnickiego* i kazała z nim córce brać ślub na zapusty (1738 r.) Prawda, że we dwa tygodnie potém, państwo młodzi szli, z powodu przymusu, do rozwodu, a ojciec na siebie przed konsystorzem brał winę. Sosnowski już więcéj nie wrócił, zły długo zapomnieć nie mógł całej rodzinie *Matuszewiczów* takiéj odprawy. Rozwódka zaś kilka lat jeszcze poczekała i poszła powtórnie za mąż za Wańkowicza starostę ruszeńskiego.

Sosnowski pierwszy raz zdaje się posłował z grodzieńskie-

go na sejmie w r. 1740, na którym był wyznaczony deputatem do skarbu litewskiego. Sejm wtedy zajmowała głównie sprawa powiększenia wojska. Litwa na sesyach prowincyonalnych radząc nie bywała w izbie, ale przez usta Sosnowskiego oświadczała że nie tamuje obrad mających na celu zapewnienie większego bezpieczeństwa Rzpltéj (31 Paźd.) Potém jako wojskowy przymawiał się do projektu, żeby przy regulacyi taryf na wojsko, krom ministrów, zasiadali i hetmani i w ogólności gorąco dosyć popierał projekt wojskowy. Ale gawędami tak czas wycieńczono, że dla ostatnich chwil najważniejsze zostały roboty, a mianowicie projekt litewski cały, więc naturalnie niczego dokończyć nie było można. Sosnowski ostro przymawiał téj swawoli (12 List.); doczytał się w dawnych dyaryuszach, że pierwszy raz za króla Jana Kazimierza poseł litewski sejm zerwał i że odtąd coraz tego było częściéj, a jest to excessus crimine immanior omni, jest to, powiadał, występek od wszelkiej zbrodni okrutniejszy. Przecież nie wzruszając popiołów zmarłych i omijając tę okoliczność, z któréj prowincyi był ów poseł, Sosnowski nie mógł się dosyć nadziwić taktyce na obecnym sejmie praktykowanéj: posłowie go nie rwą, ale dla tego wojska powiększyć już nie pozwalają że czasu już nie ma. Trafiać się zwykło, powiadał daléj, że przy nadchodzącéj śmierci którego dziedzica, łakomstwo cudze, na oddalenie następców, zmyślony podrzuca testament i do podpisu onego oziębłą już prowadzi rękę; tak i na sejmie teraźniejszym w téj krótkości i zamięszaniu czasu, podrzucają fałszywe konstytucye i t. d. Był to właśnie ostatni dzień sejmu, więc nie mógł darować Sosnowski i jeszcze raz ubolewał, że sejm rozejść się musi na projekcie litewskim. [5])

Filozofia życia i większe doświadczenie wskazały Sosnowskiemu drogę do znaczenia i przyszłości na dworach panów. Chodziło mu wiele o karyerę, więc pochlebiał, a potem już się gładko wszystkiego co było potrzeba w tym względzie wyuczył. Wtenczas cała moralność publiczna i patryotyzm szla-

[5]) O *Sosnowskim* na tym Sejmie czytać Tekę Podoskiego Tom IV str. 587, 633, 634, 661, 701, 704, 706, 708. Kuryer Polski N. 795.

chty nie z pierwszego rzędu zamykały się w tem, żeby ślepo lecieć na rozkazy panów, zagłuszywszy nawet w sobie głos sumienia. Każda wyżéj znaczeniem stojąca rodzina miała swoją własną politykę względem kraju, tudzież swoje sojusze i widoki, środki zaś mieli wszyscy jedne i też same, to jest zuchwalstwo targania się na rzeczy najświętsze, aby tylko postawić na swojém. Każdy szlachcic, który los chciał zrobić, musiał sobie najprzód wybrać jaki potężny dom pański i oddać mu się na usługi z duszą i z sercem, musiał się dobrowolnie zrobić narzędziem cudzej dumy i swawoli; taki wiek wyrobił się sam z siebie, więc ludzie słabsi nie czuli poniżenia, nie domyślali się, że zabijają przyszłość Rplitej. Służyli nie ojczyźnie ale prywacie, sądzili jednak że takim sposobem najlepiéj się właśnie zasługują ojczyźnie.

Z samego początku zdaje się zabiegał o łaski wyłączne Sapiehów. Właśnie wbrew swoim mowom sejmowym postępował, kiedy odważał się publicznie na takie roboty, jakie prowadził podczas dwóch trybunałów litewskich (1740 r.). Po bracie rodzonym, kasztelanie trockim, Kazimierzu Sapieże, który umarł bezdzietnie, zgłaszała się o spadek pani Nowosielska starościna luboszańska; tymczasem dwóch braci rodzonych Sapiehów, łowczy lit. i ksiądz koadjutor wileński pokazują testament, że kasztelan im właśnie cały swój majątek zapisał. Otóż była owa oziębła ręka, którą do podpisu prowadzili dwaj bracia. Ztąd proces, bo pani Nowosielska zarzuciła fałsz testamentowi i uciekła się pod opiekę Radziwiłłów; Sapiehowie zaś wezwali pomocy Czartoryjskich. Za pierwszym aktoratem rzucono kondemnatę na Nowosielskiego, który był rzeczywiście chory i zaraz umarł (1741 r.); więc usadzili się Sapiehowie jeszcze na drugi aktorat żeby do szczętu zgubić wdowę. Że im nie wypadało osobiście się koło tego krzątać, wyprawili tedy do Nowogródka Sosnowskiego i Matuszewicza. Szachrowali obadwaj, zabiegali, ale marszałek Judycki wywiódł ich obydwóch w pole i zgrabnie się znalazł; bo chociaż inaczej obiecywał, jednak sprawy nie dopuścił tak samo w ostatniéj już chwili trybunału jak posłowie na sejmie nie puścili projektu litewskiego.

Sosnowski ożenił się potem z panną bardzo bogatą a do tego zupełnie sierotą, z Teklą Zenowiczówną starościanką Śnitawską, najpewniéj córką Franciszka Zenowicza marszałka trybunału lit. z r. 1722. Ślub odbył się w Daukszach (4 Czerwca 1741.); dawał go za indultem biskupa wileń. ksiądz przeor karmelitów w Głębokiem. Była to siostra cioteczno-rodzona Aleksandrowicza chorążego lidzkiego, który późniéj ożenił się z Teklą, drugą siostrą Marcina Matuszewicza i pani Lechnickiéj. Z posagiem przybyło wiele pychy panu Sosnowskiemu. [6])

Sapiehowie widząc w nim zdolności, płynną wymowę, mądre zdania, widząc jak go z kilku województw szlachta szanuje i z kolei do różnych spraw zaprasza, deputackich i sejmowych, widząc, że pan Sosnowski wsławia się powoli, że nie jest nieczuły na umizgi fortuny, starali się go zjednać stanowczo dla siebie. Raz tedy kiedy bawił się Sosnowski u pana podskarbiego nadwornego Józefa Sapiehy w Boćkach na Podlasiu, gdzie się wtenczas znalazł jakby umyślnie i ów łowczy Sapieha, co to pani Nowosielskiéj majątek odbierał, (było to na *Boże Narodzenie* w r. pańskim 1742.), podskarbi dał mu porucznikowstwo w petyhorskiéj swojéj chorągwi, które właśnie zawakowało po Kołłątaju chorążym Wołkowyskim. Sosnowski zamienił się na chorągwie, rzucił znak królewicza, żeby wziąść znak podskarbiego litewskiego. Jednakże kto darmo chce stracić? Porucznikowstwo królewicza odstąpił wtenczas zaraz bratu rodzonemu Janowi.

Nie dosyć na tem; Sapiehowie domagali się od Sosnowskiego, żeby dla ich spraw został deputatem trybunalskim z Kowna zaraz na rok przyszły następujący. Obiecali go poprzeć u szlachty. Sosnowski nibyto się wzbraniał, ale wreszcie przystał na cztery oczy. Spotkawszy się zaś z Matuszewiczem w Boćkach, pojechał z nim razem do Rasny w nadziei, że mu dopomoże Marcin w drugiéj już sprawie u ojca, to jest w kredycie pieniężnym. Wiedział naturalnie Sosnowski, że Marcin jest współzawodnikiem jego do deputacyi, nie dla siebie wprawdzie ale dla brata młodszego Józefa, wszakże

[6]) O ślubie w Kuryerze polskim w r. 1741 Nr. 237.

o to prosił w Bóckach; Sapiehowie mu odmówili. Dla tego trzymał się głębokiéj tajemnicy. W drodze pyta się go Matuszewicz poufale, czy jest na prawdę wyznaczony deputatem? Długo to nie chce przez modestyę, jak mówiono podówczas, zdradzić się Sosnowski, ale wreszcie wyznaje, że go Sapiehowie wprawdzie do deputacyi namawiali, tylko że on sam widział wielkie emulacye domów, zatem wolał po prostu odmówić. Spokojniéjszy o to Matuszewicz pochwalił się przed Kanclerzem lit. Sapiehą, że Sosnowski nie chce, i dał do zrozumienia temu panu, że droga dla drugiego otwarta. Kanclerzowi podobało się to niezmiernie, pochwalił za to Sosnowskiego. Czy zaś pieniędzy w Rasny Sosnowski pożyczył, trudno to powiedzieć ale prędzej nie, aniżeli tak, bo stary był zawsze bardzo oszczędny, a sama pani starościna stokliska głowę by urwała mężowi za taki niepotrzebny ekspens. Dąsała się niezmiernie wiele na fundacyę Maryanów, która tedy właśnie stanęła w Rasny i już do męża zajrzeć nie chciała. Zresztą pieniądze staremu były potrzebne, gdyż córce z Wańkowiczem właśnie tych zapust sprawiał wesele.

Zaufał zbyt fałszywemu przyjacielowi Matuszewicz, bo wcale nadspodziewanie zaraz po nowym roku (1743.) zjechał do Kodnia Sosnowski, żeby się starać o deputacyę z brzeskiego na trybunał. Tak snadź stanęło w Bóckach. W Kodniu mieszkał ów uczony Fryderyk Sapieha kanclerz litewski, głowa całej rodziny. Był zwyczaj, że przyszli deputaci u niego układali następujące gromniczne sejmiki, na których mieli być obrani. Jeszcze wtedy Czartoryjscy mało znaczyli, a Brzeskiem trząsał samowładnie pan kanclerz. Nie w smak był Sosnowski kodeńskiemu Sapieże. Przywiązany do Radziwiłłów pan ten coraz więcej tracił serca dla innych członków swojego domu, którzy już i z podkanclerzym lit. księciem Czartoryjskim mieli wspólne tajemnice i odbywali jakieś narady. Starego to gniewało, że młodzi Sapiehowie nie około niego się kręcą, jakby im to wypadało, ale około młodszych, zatem uwłaczają jego powadze. Wiedząc zaś od Matuszewicza, że Sosnowskiego w Bóckach na deputata wysadzano, ani chciał o tem słyszeć przez prostą przekorę. Zatem nieprzyjaźni się nowe

wiązały. Sosnowski nie bez powodu domyslał się, że Matuszewicz zdradził go z sekretu i uprzedził w łasce kanclerza, więc się straszliwie na niego zawziął jak na człowieka, który co innego mówił a co innego myślał. A właśnie tak nie było. Matuszewicz powtórzył przed kanclerzem to jedynie, że Sosnowski deputacyi nie przyjął. Sam się więc złapał na fałszywem swojem stanowisku.

Mimo to wszystko, Matuszewicz obrany marszałkiem sejmiku gospodarskiego w Brześciu nie naraził się Sosnowskiemu ale prędzéj kanclerzowi Sapieże. Suzin podkomorzy brzeski pierwszy głos dał za Sosnowskim i tak ostro go utrzymywał, że wreszcie został jednomyślnością obrany na deputata. Józef Matuszewicz zaś przepadł w Kownie. Z Brześcia marszałek sejmikowy prosto pobiegł do Kodnia, żeby się wytłómaczyć przed kanclerzem z téj niespodzianki, jaką mu sprawił. Sapieha dąsał się z takiéj elekcyi, z tego jeszcze więcéj że się pod laską Matuszewicza odbyła; ale gdy marszałek, umiejący się gracko wywijać z biedy, wytłómaczył rzecz całą i rozpowiedział gdzie co i jak było? kanclerz, pan dobry, przestał się gniewać; nie tak to było temu, kto późniéj Czartoryjskiego obraził! Książe tłómaczenia żadnego nie słuchał a karał i mścił się nie tylko za złą wolę ale i za nieumiejętność. U niego było zawsze prawo doraźne, wojenne, czysty stan oblężenia dla sług i dla niezręcznych przyjaciół.

Nie tutaj jednakże koniec kłopotów Sosnowskiego około deputacyi. Jakoż nie długo po sejmiku oberstlejtnant czyli podpułkownik Kulesza, kommisarz księżnéj kanclerzyny Radziwiłłowéj wdowy i Zygmunt Chrzanowski jéj pokojowiec, manifestowali się w grodzie mielnickim przeciwko obiorowi Sosnowskiego. Matuszewicz na roczkach marcowych w Brześciu, które zaraz następowały, stara się położyć tamę zgorszeniu. Wciąga tedy wszystkich, co podpisali ów manifest do Brześcia i tam wspólnie układa z nimi kredens dla Sosnowskiego, który wszyscy z kolei podpisują. Podpisał go nawet Wisłouch, późniejszy miecznik brzeski, chociaż miał osobistą pretensyę do Sosnowskiego a raczéj do jego dóbr Zwodów w nadziei, że te wszystkie zajścia uspokoją się oczywiście ze wspól-

ną korzyścią; podpisał nawet i Kojszewski mający pretensyc do dóbr kroszyńskich.

Nie poparło i to energiczne znalezienie się, sprawy. Sosnowski padł ofiarą kombinacyi, już na trybunale. Książe Wiśniowiecki albowiém, hetman W. L. nie wielki przyjaciel tych Sapiehów co trzymali z Czartoryjskimi miał ochotę ogłosić sejmik brzeski za niedoszły a tem samém elekcyę skasować. Matuszewicz i w to potrafił; zebrał u siebie wszystkich Brześcian i uczęstowawszy przekonał ich, że tutaj chodzi o sławę województwa, że chcą unieważniać ich sejmik, który się odbył tak porządnie itd. Brześcianie tedy wszyscy jak byli, jadą do księcia hetmana i skarżąc się na jego niełaskę dowodzą, że sejmik wcale mieli porządny i że doszedł. Było ich wszystkich tak wielu, że to zaimponowało cokolwiek księciu. Ale Brześcianie na tém nie przestali i objeżdżając koléj trafili nawet do innych panów, krzycząc na niesprawiedliwość, która im się dzieje. Tymczasem książe hetman chciał się na osobności porozumieć z samym Matuszewiczem; otoż kazawszy mu, żeby raniutko się stawił w pałacu, bardzo grzecznie przemówił do niego i nie namawiał ale prosił, żeby się Brzeskie zrzekło elekcyi Sosnowskiego. Na to ex-marszałek sejmikowy dyplomatycznie wcale odrzekł, że o dwie tutaj rzeczy chodzi, o sejmik i o Sosnowskiego; co się tyczy sejmiku, tego Brześcianie zrzec się nie mogą, bo był całkowicie prawny; co się zaś tyczy Sosnowskiego, nie są za nim, ale niechaj sobie sam Sosnowski zarabia na względy pańskie. Było więc ni to, ni owo. Ale Wiśniowiecki zaciął się jednak i sejmik brzeski przy rugach w istocie był ogłoszony za niedoszły.

Sosnowski nie wiedział, jak sobie ma radzić. Brześcianie za sprawą Matuszewicza ostro jego stronę trzymali, ależ to nie dosyć; nie miał łaski u książąt i to go wielce martwiło. Dwie drogi mu do wyboru zostawały. Mógł sam zrzec się praw swoich i oświadczyć, że nie przymuje deputacyi; temby swój honor przynajmniéj ocalił, usuwając się dobrowolnie nie zaś dla przymusu. Mógł powtóre zaczekać, aż książęta z Wilna wyjadą i wtedy postarać się, żeby dekret trybunalski przy-

wrócił go do funkcyi. Niepewny jak sobie ma postąpić radzi się Matuszewicza: „Jeżeli złożysz z siebie deputacyę, mówił wtedy do niego wielki w tém wszystkiém praktyk i statysta Matuszewicz, książęta nie będą ci wdzięczni, bo zobaczą, że swojéj własnéj mocy przypisywać chcesz to, co cię od nich przymusem spotkało, a z drugiéj strony Sapiehów swoich przyjaciół obrazisz. Wtedy będziesz od wszystkich zapomniany i niczego się nie dorobisz. Trzeba zatém koniecznie utrzymać się na deputacyi. Zobowiążesz przez to naturalnie bezpośrednio Sapiehów a pośrednio Czartoryjskich; co się zaś tyczy Wiśniowieckiego i Radziwiłłow na to jest rada i sposób. Zjednasz sobie łatwo ich łaskę, jeżeli w sprawach, które będą mieli, dasz im swoją kreskę.“ Otóż widzimy, jakie było położenie rzeczy w Polsce za złotych czasów saskich. Szlachcic obawiał się każdego kroku, bo jednemu lub drugiemu łatwo się mógł narazić, ale jednak był na to sposób, przez który dogadzało się wszystkim z kolei; można było nawet i nie posłuchać panów, aby im tylko pochlebiać, aby tylko iść za ich głosem wbrew świętéj sprawiedliwości: cierpiała trzecia osoba, ale cóż to szkodziło aktorom? Tę lekcyę doskonale teraz Sosnowski zrozumiał.

Posłuchał tedy Matuszewicza i po wyjeździe książąt upomniał się o swoje prawo przed trybunałem, a wszyscy Brześcianie głośno za nim się odezwali. Przyjęty został natychmiast i tém samém otworzył drogę także dla deputatów oszmiańskich wyłączonych z koła przez rugi. Trzeba też wiedzieć, że marszałkiem owego trybunału był łowczy litewski Sapieha, dla którego już Sosnowski położył pewne zasługi. To objaśniało wielce położenie rzeczy jako i tę okoliczność, że Sapieha oczywiście pan wielki dla honoru tylko biorący laskę trybunalską i nie lubiący dosiadywać pilnie sądów, jego właśnie wybrał na wice-marszałka, bo mógł się już zupełnie spuścić na gorliwość takiego deputata [7]). Świetny to był bardzo trybunał, bo marszałek nie żałował szkatuły; nie sam, to Sosnowski za niego częstował lub pyszne sprawiał fajer-

[7]) O téj deputacyi wspomina i Kuryer Polski 1743 N. 324, 349, i 364.

werki. Nie było Sapiehy na żegnaniu pierwszéj kadencyi trybunalskiéj w Wilnie, wezwano go albowiem podówczas do dworu i pojechał do Warszawy; Sosnowski więc w zastępstwie pożegnał deputatów *gloriosissime* wybornemi słowami, chwaląc dom Sapieżyński i laskę teraźniejszą (14 Września 1743). Zabawiwszy jeszcze w Wilnie trzy dni dla podpisywania aktów, wyjechał następnie do dóbr swoich w nowogródzkie; potém i w Mińsku na drugiéj kadencyi marszałkował (w Styczniu 1744).

Przez Sapiehów łatwo się dostał Sosnowski do Czartoryjskich; ale że dumny książe Fryderyk nigdy nie robił pierwszego kroku zwłaszcza do niższych od siebie, ztąd pan Sosnowski musiał sam pamiętać o sobie. Okoliczność stosowna potemu nie długo się nadarzyła. Zaczyna się w koronie sławny proces Tarłów z Poniatowskimi o zabójstwo w pojedynku wojewody lubelskiego, czemu romansowa przygoda dała początek. Zna pewnie każdy tę sprawę chociaż z Kitowicza. Książe podkan. litew. wybierał się z tego powodu z Litwy do Korony i wzywał z sobą Matuszewicza; chciał go zażyć do praktyk trybunalskich w Lublinie, ile że deputatem był podówczas sędzia ziemski dobrzyński Rutkowski cioteczno-rodzony brat Matuszewicza. Wymówił się księciu zręcznie z téj podróży pan Marcin jakiemś śledztwem, które w Wilnie prowadził z woli trybunału litewskiego; więc pan Sosnowski, który już na to oddawna czychał a chciał się zasłużyć familii, sam się podkanclerzemu nastręczył do takiéj posługi i w istocie pojechał z nim razem (1745). Co tam zrobił, Bóg to święty raczy wiedzieć. Ale to pewna, że podróż lubelska nie przeszkodziła w jesieni Sosnowskiemu znajdować się na pogrzebie w Wiśniowcu hetmana wojewody wileńskiego i ostatniego z książąt Wiśniowieckich, tego samego co to nie dawno deputacyi pragnął go pozbawić. Pułkownik Sosnowski na tym smutnym obrzędzie reprezentował wojsko litewskie i miał od niego mowę (6 Października 1745). Nie szedł za zwyczajem wieku, który kazał niezmiernie długie prawić perory nad ciałem każdego szlachcica a cóż dopiéro hetmana i ostatniego potomka wielkiego rodu; ale w tém poszedł za zwyczajem

wieku, że z grobu poruszył wszystkich wodzów i bohaterów starożytnego świata: Scypiona, Cezara, Emiliusza, Aleksandra wielkiego, Hefestiona i t. d., że nie mówim już nic o Jagiellonach, Ziemowitach, Korybutach, Ostrogskich książętach i t. d. Warta do zachowania z téj mowy jedna wiadomość. W stosach panegiryków kryją się często ciekawe szczegóły historyczne. Tak i z powodu niewoli moskiewskiéj, jaką książe hetman ponosił za czasów wojen szwedzkich, Sosnowski zacytował słowa mądrego podkanclerzego Szczuki. Radzili senatorowie a przyjaciele księcia o sposobach, jak go wydobyć z niewoli; Szczuka miał na to powiedzieć, że takich ludzi albo nigdy nie biorą, albo nigdy nie wracają. Zawsze to szczegół historyczny ciekawy chociaż bardzo pachnie panegirykiem, który wtenczas wszechwładnie rozpościerając swoje panowanie, mógł nareście i poważnego Szczukę skłonić do prostego komplementu.[8])

Ale Sosnowski nie zaspał nigdzie gruszek w popiele, że użyjem tutaj prostego ale dosadnego przysłowia i porównania. Wszędzie gdzie tylko zwietrzył jakąś nadzieję dla siebie, łowił ją okiem i uchem. U Czartoryjskich starał się o urzędy i protekcyę, u Radziwiłłów chciał napychać kieszenie, chociaż mu i tak dobrze starczały.

Nastręczył się znowu księciu krajczemu litewskiemu ze swojemi usługami. Książe ów, dziwak koronny, narobił moc długów i pragnął się z nich oczyścić. Sosnowski trafił do niego przez żyda Szymona faktora, wielkiego książęcego ulubieńca. Podmówiony a niespełna mający rozumu krajczy wypuścił Sosnowskiemn w dzierżawę swoje księztwo kleckie i dobra Ciemkowicze na Litwie, z warunkiem żeby rat dzierżawnych nie opłacał, ale tylko wszelkie długi z nich zaspakajał. Krajczy więc nie tylko sam nic nie brał ale jeszcze dodał Sosnowskiemu na początek gotówką 10 tysięcy złotych polskich. Nie na to wziął nasz pułkownik dzierżawę, żeby pracował darmo; wszakże mu nie tak o księcia jak głównie o siebie chodziło. Zdobył się tedy na sposób prawdziwie do-

[8]) Mowa ta jest w Swodzie kondolencyjnej Danejkowicza str. 95 — 97.

wcipny, żeby i Radziwiłła oszukać i pamiętać o swoich interesach. Oto nie płacąc żadnych długów, obligi stare odbierał od wierzycieli a w zamian tego wydawał im nowe. Księciu nic o tém niewiedzącemu co się dzieje, niezmiernie podobał się ten obrót i gdy mu Sosnowski ciągle obligi stare pokazywał, sądził, że już bardzo wiele długów się pozbył. Powoli książe przywykł do téj myśli, że już nikomu nic nie winien albo że bardzo mało co winien. Wszelkie rachunki były jak należy, więc czegoż tu wątpić! a tym czasem pan Sosnowski wiedząc, że się sztuka prędko odkryje, dobrze się spieszył i gromadził wszelkie oszczędności do swojéj kieszeni. W istocie wydało się to, bo wierzyciele zaczęli znowu oblegać księcia i dopominać się swoich należności. Krajczy rozgniewany wypędził Sosnowskiego z Klecka, ale co zacny gospodarz wziął to wziął, co nabrał to już przepadło na wieczne nieoddanie. Książe odsyłał wierzycieli do niego, Sosnowski zaś umywał ręce mówiąc; że nie on przecie winien ale książe. Wyrosła z tego oczywiście sprawa; — wierzyciele kondemnowali księcia, Sosnowski go nie bronił. Za pośrednika użyty w téj sprawie Matuszewicz, który obstawał za sprawiedliwością, co naturalnie Sosnowskiego wściekało, bo nie na toż pracował w Klecku, żeby go potém obdzierano ze skóry. Był to nowy powód do rozlania kwasów pomiędzy dwoma znajomymi. Sosnowski już kilka razy w życiu spotkał się oko w oko z Matuszewiczem; ta zawsze od niego zależność, w jakiéj się znajdował, raziła wielce pychę dumnego panka, który już głowę nieco w górę zadzierał. Tutaj Matuszewicz prawdą go uraził ale nie słowem, to wszystko jedno; prawda więcej w oczy kole. Kombinacya zatem do skutku nie doszła chociaż Sosnowski chciał jakiegoś porozumienia się z księciem; rozgniewany wyjechał z Czarnawczyc, plac boju zostawiwszy Matuszewiczowi. Tysiące takich było spraw za owych sławionych czasów saskich, kiedy to chleba było po pas, kiedy się tylko jadło i piło w głębokiéj niby spokojności. A Bogiem i prawdą powiedziawszy, spokojności tam nikt nie miał, od najstarszego do najmłodszego, od najsilniejszego do najsłabszego.

Tak się też potém Sosnowski zasłużył Flemmingowi, ko-

sztem trzeciéj osoby. Sprawa była taka. Antoni Pociej, ów niefortunny regimentarz, sprzedał Flemmingowi starostwo żdzitoskie, na którém Rusiecki szlachcic dobrze osiadły i familiant w Brzeskiém miał sto tysięcy. Gdy przyszło do kombinowania summ pomiędzy stronami, pośrednicy Rusieckiemu przyznali tylko piędziesiąt tysięcy i obiecali wakans, jaki się zdarzy w chorągwi u Czartoryjskich. Wlokło to się czas jakiś, a kiedy Rusiecki ani pieniędzy ani wakansu nie dostał, docierał raz na roczkach styczniowych w Brześciu (1747). Sosnowski nastręcza się znowu na pośrednika. Urwał Rusieckiemu jeszcze dziesięć tysięcy i na tém się skończyło. Jak sam zrobił fortunę, tak chciał, w nadziejach protekcyi przyszłéj, i drugim silniejszym od siebie przysparzać fortunę; cóż mu szkodziło, że słabsi płakali na swoją krzywdę?

W kilka chwil potém już Sosnowski na prawdę wiele znaczył w łasce księcia Czartoryjskiego. Wielu ubiegł i został się sam jeden ministrem wołczyńskim. Pod tą zasłoną mógł się odważyć na nowe swawole, mógł obrabiać szlachtę nie tylko dla księcia ale i dla siebie. Przejął wszystkie narowy potężnego opiekuna. Wola żelazna, żeby postawić na swojém, i celu dopiąć jakimkolwiek środkiem, stanowiła tajemnice polityki wołczyńskiéj. Jak księcia wszystko ślepo słuchało, co się tylko poddawało dobrowolnie pod wpływ jego, tak ministrowie wołczyńscy po swoich podwładnych, mniejszych jeszcze narzędziach, wymagali ślepego posłuszeństwa i nie przebierali w środkach. Charakter Sosnowskiego brzydki, szorstki, samolubny i zuchwały, doskonale przypadał do upodobań i wymagań książęcych. W każdą rzecz lubił się wtrącić, innych ogadywać a choćby i zgubić, samemu zaś coraz więcéj się wynosić, choćby kosztem wszystkich; o tém jedynie myślał. Słowa nie dotrzymać, zwodzić kiedy to pożyteczne a potém się z ludzi natrząsać, to dobrze potrafił. Mścić się i synowi jeszcze pamiętać już nie obrazę otrzymaną od ojca, ale samo oparcie się zuchwalstwu, mścić się aż do ostatniego pokolenia, tego Sosnowski nigdy nie zapomniał. Dla niego osobistą obrazą było ze strony szlachcica, jeżeli się bronił. Łakomy na pieniądze w niesłychany sposób, jak widzimy, robił

majątek najmniéj uczciwym sposobem ale za to bezczelnie narzucał się temu i owemu i gwałtem zdobywał fortunę. Tutaj nie miał już żadnéj zgoła bezinteresowności. Jak zuchwały dla niższych, tak malutkim był względem wyższych. Pochlebiał, łasił się, że aż brzydko, bez żadnego poczucia własnéj godności, bo jéj też rzeczywiście nie miał. Nic dla niego świętem w życiu nie było tylko jedna łaska pańska: i tutaj zapominał się nawet, jakby wcale nie miał bezinteresowności. Przed księciem swym panem i władcą grał rolę świętoszka; wszystko co robił i myślał, wszystko to było dla niego, wszystko aby dla księcia. Nikczemnie natrząsał się z jego wrogów, nie mając nic do nich osobiście, znęcał się, ile mógł i kiedy mógł nad nimi. Stronnictwo familii mówiło o Sosnowskim, że to porządny człek i do tego rządny i wielkie w nim pokładało nadzieje, a to był jednak tylko człowiek zuchwały i ambitny, ślępą i pochlebną niesprawiedliwością przywiązany do księcia podkaclerzego.

Jeszcze albowiem za życia samego kanclerza Sapiehy, Sosnowski posiadł całkiem zaufanie swego księcia. Czartoryjski wysyłał go w tryumfalnym pochodzie na sejmiki. Tak wyprawił go raz do Brześcia na gromnice (1756.) Umiał doskonale pan minister przywłaszczyć sobie zasługę innych przed księciem. Tutaj np. w Brzeskiém grunt dla Czartoryjskich przez długie lata uprawiał Matuszewicz, a teraz z jego zabiegów umiał Sosnowski korzystać. Książe chciał aby mu pułkownik wyrabiał sejmiki, to jest by na nich w dyktatorski sposób przewodził, by wybierał deputatów, jakich mu książe naznaczył. Dawał mu dla tego swoją kuchnię i piwnicę, nawet marszałka dworu swego Szeluttę. Matuszewicz latał i zabiegał, godził stronnictwa brzeskie, Sosnowskiemu wyrobił laskę sejmikową i oczywista rzecz, deputaci stanęli tacy, jakich chciał książe.

Wr. 1756 Sosnowski posłem był na sejm z województwa połockiego.

Po jednem zwycięztwie nastąpiło i drugie. Sosnowski z polecenia księcia zaczął się starać o poselstwo z Brzeskiego. Były wielkie forsy; wojewoda brzeski Sapieha popierał

synowca, to jest młodego wojewodzica mścisławskiego; był z nim ojciec kandydata i podskarbi wielki lit. Sołłohub. Drugim kandydatem był Sosnowski. Matuszewicz co mógł, robił dla księcia i dla pułkownika. Tego ostatniego nie chcieli głównie Wisłouchowie zawasnieni serdecznie o te jeszcze zadawniałe pretensye do Zwodów, dla których go przed dziesięcią już laty niedopuszczali do deputacyi.

Gdy Sosnowski obiecywał im złote góry niegdyś, a nic nie zrobił, teraz jeneralnie wszyscy Wisłouchowie protestowali. Daléj jednym murem obok Wisłouchów staje szlachta sielecka i czesławska od Rokitnicy, wszystko sąsiedzi pułkownika. Zli na Sosnowskiego, że wlewki ich własne szlacheckie nabywał, że ich samych z fortun wyganiał, ani słyszeć nie chcieli o takim pośle. Był jeszcze trzeci powód, dla którego najwięcéj krzyczała szlachta, popisując się z veto. Oto Kościuszko, szlachcic zawadiacki, przez interes rodzinny sprzeciwiał się téj nominacyi, bo spodziewał się, że Sosnowski raz obrany zechce być marszałkiem sejmowym, a na tę laskę miał także niezmyśloną ochotę pan Massalski późniéjszy podskarbi nadw. lit. Szlachcic protestował gorąco, bo trzeba wiedzieć, że Kościuszko ten rodził się z Massalskiéj. Ale powoli ułagodziły się te wszystkie niebezpieczne protestacye. Wisłouchowie pogodzili się z Sosnowskim, gdy im obiecał, że 1400 złt. p. długu ze Zwodów im wypłaci; że zaś sparzywszy się już raz na zimne dmuchali, wymogli to na Matuszewiczu, że im w cztery tygodnie po sejmiku należytość ze swoiéj kieszeni zapłaci a sam się o nią upomni u Sosnowskiego; był to ogromny dowód nieufności zabiegać o taką bagatelę, ale dowód bardzo charakterystyczny, pokazujący z kim Wisłouchowie mieli do czynienia. Daléj szlachta sąsiedzka też za pośrednictwem Matuszewicza zgadza się na posła pod jakiemiś warunkami. Nareszcie co do Kościuszki, temu dać musiał na piśmie Sosnowski zaręczenie, że nie będzie się wcale ubiegał o laskę sejmową. Inne trudności na wezwanie Flemminga, który obok z Terespola czuwał nad biegiem sejmików brzeskich, ułatwił Mutuszewicz. Otóż marszałkiem po uspokojeniu się szlachty, stanął tam wojewoda mścisławski i obadwaj

kandydaci utrzymali się. Sosnowski, nie czekając instrukcyi, zaraz poleciał do Wołczyna pochwalić się przed księciem i poskarżyć się na Matuszewicza, że niby udawał mu przyjaźń a szlachtę pretensorów nań podburzał. Skończywszy robotę sejmikową i Matuszewicz zajrzał do Wołczyna; książe tedy w wymówki do niego, ale kiedy oskarżony prawdę całą powiedział, Sosnowski został zkonfudowany i niedługo potem oberwał porządnie po uszach od pana. Rzuć groch na ścianę. Niedługo wali się do Wołczyna sielecka i czesławska szlachta. Sosnowski nie chce im słowa dotrzymać; jak zwykle ucieka się do wybiegów. Wreszcie rozum trafia do tego zatwardziałego serca. Wykryje się znowu wszystko, Matuszewicz opowie przed księciem najdrobniéjsze szczegóły i będzie nowa konfuzya. Rad nie rad tedy pogodził się Sosnowski ze szlachtą i uczynił jéj zadość, ale natura wilka ciągnie do lasu, zwadził się za to porządnie z Matuszewiczem; gdy nadchodzi termin wypłaty Wisłouchom, nowe wybiegi. Pojąć trudno, jak mało wstydu w oczach miał ten Sosnowski. Widząc, że go tutaj nie przeprze łatwo, Matuszewicz wziął się na figiel. Udaje się prosto do Blumenthala sekretarza ekspedycyi cudzoziemskich i Kaspra księcia i opowiedziawszy mu rzecz, robi układ tajemny. „Jak będę, mówił, przy tobie prosił Sosnowskiego, żeby mi dał 1400 złp. na uspokojenie Wisłoucha, a Sosnowski będzie się kręcił, że nie ma lub że pózniéj, odezwij się wtenczas, że mu pożyczysz i zaraz summę wypłacisz; ja będę miał gotową kartę od Sosnowskiego do skarbu księcia, jako dowód na pożyczkę; pióro się jakoś znajdzie i kałamarz, i rad nie rad Sosnowski wtedy kwit podpisze.“ Jakoż w istocie tak się stało. Wszyscy trzéj zeszli się przed pokojem księcia; Matuszewicz zaczął, Blumenthal złoto wysypał, Sosnowski musiał podpisać. Pieniądze natychmiast odesłano Wisłouchom, którzy kwit zaraz zeznali w magdeburgii brzeskiéj.

Szukając z tego na Matuszewiczu zemsty, Sosnowski szkodził mu potem u księcia i to w najboleśniejszy sposób. Spółzawodnik ten jego docierał wtedy trudnéj sprawy z Opalińskim chorążym liwskim, z którego córką chciał się żenić. Małżeństwo to niegdyś silnie popierał książe, ale gdy się zmie-

niały okoliczności, gdy ojciec panny zwyczajem swoim marudził a Matuszewicz do łaski i wsparcia księcia uciekał się listownie z Warszawy, nic te wszystkie prośby nie znaczyły u kanclerza, owszem Sosnowski co jeszcze mógł, na Matuszewicza wymyślał.

Towarzyszył w tymże czasie pułkownik, Aleksandrowi Michałowi Sapieże podskarbiemu nad. lit. w podróży na Białą Ruś. Podskarbi starał się u braci szlachty o wybór na województwo połockie, które od lat kilkudziesiąt już wakowało. Miał tam jakieś znaczenie Sosnowski, kiedy był posłem sejmowym z połockiego. Po elekcyi, która się szczęśliwie odbyła, nowo obrany wojewoda w towarzystwie pułkownika wyjechał do stryja swego, który mieszkał zwykle w Bychowie, to jest do owego niegdyś łowczego Sapiehy a teraz już po Czartoryjskim podkanclerzego Litewskiego. [9])

W czasie następnego sejmu pan Sosnowski znajdował się w Warszawie; czy szczerze czy obłudnie oświadczył się z tém przed Matuszewiczem że chce przejść na stronę dworu. Wtenczas już ci dwaj udani przyjaciele pod przeciwnemi stali chorągwiami; Sosnowski trzymał się familii, Matuszewicz musiał ją rzucić dla okropnych prześladawań, a że był człowiek zręczny i zdolny, przyciągnęło go ku sobie stronnictwo dworskie. Sosnowski widząc, że stolnik brzeski ma jakieś zachowanie u marszałka Mniszcha, prosił go, żeby parę słów z marszałkiem mówił w téj mierze. Mniszech zagadniony tedy przez stolnika zapytał się go, czy mógłby z pewnością polegać na Sosnowskim? Stolnik na to, że potrzeba wprzód wyegzaminować pułkownika, żeby dojść, czy jego nawrócenie się jest szczere. Sosnowskiemu chciało się godności, a trafić do nich nie mógł przez Czartoryjskich, którzy z dworem kłócili się na ostro; nie wytrzymawszy tedy dłużéj niepewności, jako był człowiek bardzo niecierpliwy a sądząc, że Matuszewicz nie jest z nim szczery, nie czekał Sosnowski nawet na skutek konferencyi przyjaciela z Mniszchem, nie widział się z nim i prosto sam pojechał do marszałka ofiarować mu powolne służby.

9) Wyjechali z Połocka 11 Stycz. 1753 do Bychowa. (*Kuryer polski.*)

Stolnik tymczasem biegł do niego z dobrą nowiną, a nie znalazłszy w domu, szukał wszędzie po mieście, wreszcie zajrzał i do marszałka. Trafił tam na koniec rozmowy. Rzuciwszy okiem po obydwóch, poznał zaraz, co tu się święci; widział, że marszałek nie bardzo chciał wierzyć téj nagłéj przyjaźni Sosnowskiego, bo ten ostatni łzy miał w oczach; widocznie zaklinał się i tłumaczył. Marszałek był gdzieś na wyjezdnem i i wsiadał do karety, Matuszewicz więc nie mógł z nim mówić na osobności. Mniszech odjechał a stolnik został się ze strapionym Sosnowskim. Co szkodzi się pochwalić ze swojemi wpływami? Ludzie tém rosną w mniemaniu drugich. Otóż i stolnik teraz ubolewając nad przyjacielem, opowiadał mu jako wszędzie przed chwilą go szukał, jako gdyby go wprzód widział i porozumiał się bliżéj a potém od siebie słówko szepnął marszałkowi, byłoby inaczéj, zupełnie inaczéj. Sosnowski tak się rozczulił, że sam wystąpił z propozycyami, które miały chociaż chwilowo zaradzić jego nieszczęściu. „Jestem porucznikiem petychorskim u podkanclerzego litewskiego, mówił, postaram się u Sapiehy, żeby ustąpił tego znaku królewiczowi Karolowi; zrób mi to, żebym został pułkownikiem u królewicza i żebym dostał kapitulacyę.“ (Kapitulacyą nazywano podówczas pensyę, żołd wojskowy; byli zaś oficerowi jedni z kapitulacyą, inni bez niéj). Szło o to widocznie teraz Sosnowskiemu, żeby wszedł w jakie stosunki ze dworem, a najlepiéj podobno mierzył, gdy sobie wybierał na protektora królewicza. Była tutaj jednak inna trudność; jak mógł minister zostać bez chorągwi? Gdyby Sapieha znaku swego odstąpił, byłby właśnie bez chorągwi a jakoś nie wypadało tak. Daleko mniéj byli znaczący panowie, a każdy przecie miał chorągiew, godności senatorskiego stanu to przystawało. Pan Sosnowski co łatwo plany swoje rozwijał cudzym kosztem, obmyslił na to sposób, żeby hetman W. K. Branicki ustąpił Sapieże swojéj chorągwi petychorskiéj, jaką ma w wojsku litewskiém po kanclerzu Sapieże. Zdawało się Sosnowskiemu, że to najłatwiejsza rzecz w świecie, ile że Branicki był blizkim krewnym podkanclerzego i że hetmanowi koronnemu nie tak właściwa być w wojsku litewskiém pod-

komendnym. Ale się przerachował, zbyt jeszcze mało znał ludzi. Pan całą gębą miał ustąpić szlachcicowi? hetman pułkownikowi? i dla czego? czyż tak bardzo hetman koronny potrzebował Sosnowskiego? czy Sosnowski mógł się wznieść aż do buławy i z nią układać się jak równy z równym? Jednakże Matuszewicz zrobił swoje i napomknął o téj zamianie chorągwi Starzyńskiemu, staroście Brańskiemu, pełnomocnikowi i ministrowi hetmana koronnego. Starzeński nie w ciemie bity wiedząc, że taką propozycją pana rozgniewa: „mów ty sam" powiada stolnikowi; była i w tém sztuczka, bo Starzeński zaraz ostrzegł hetmana o zabiegach Sosnowskiego, a że nie lubił tego panka, zaraz przeciw niemu nastroił hetmana. Nic o tém nie wiedząc Matuszewicz idzie do Branickiego i ledwie zaczął mówić, aż hetman wpadł w straszny gniew, więc zmyty powrócił do siebie i powiedział Sosnowskiemu, że hetman nie chce słyszeć o żadnéj zamianie chorągwi a zwłaszcza o ukontentowaniu jego.

Sosnowski myślał, że tu jakaś nowa sztuka Matuszewiczowska. Więc się spiknął z księciem kanclerzem formalnie na zgubę stolnika brzeskiego i całéj jego rodziny. Zle się wypłacił za wszystko dobre swoim przyjaciołom. Dojrzewała w nim niechęć oddawna powzięta. Podmawiał na Matuszewiczów babę, która nibyto ich rodzona ciotka chłopskiego pochodzenia, zarzucała stolnikowi i braciom jego nieszlachectwo. Miał podobno ochotę powyzuwać wszystkich Matuszewiczów z honoru, żeby potém zagrabić ich majątki. Książe pozwalał na ten projekt i w nagrodę obiecywał wszystkie kaduki po Matuszewiczach. A właśnie wtenczas umarł ich ojciec starosta stokliski! Strapieni synowie nie wiedząc o tych nikczemnościach i podstępach Sosnowskiego, zaprosili go na pogrzeb (w Marcu 1755); przyjechał—i kiedy na kazaniu pogrzebowem zwyczajem wieku ksiądz rozszerzał się nad splendorami zmarłego, z wielkiem zmartwieniem swojem i gniewem dowiedział się pan Sosnowski, że Matuszewicze poszli z Gedrojców i że mogą być książętami, jeżeli zechcą. Kiedy w Wołczynie słodkiemi myślami Sosnowski się upajał, że przecie zmoże raz nieprzyjaciół, którzy mu kością

w gardle stawali, kiedy tam wspólnie z innymi księcia kanclerza ministry spisywał wszelkie z baby wywody z pilnością, tutaj w Rasny spotykał upokorzenie i musiał wstyd połykać w milczeniu. Po obiedzie Sosnowski odjeżdżał do Wołczyna z Rasny: stolnik brzeski głośno, żeby wszyscy słyszeli, szarpał honor kanclerza i nie puszczał Sosnowskiego, zastępując mu drogę od karety i było tego certowania się z kwadrans. Wreszcie milcząc odjechał Sosnowski z regentem litewskim Piórą.

Kręcił się wtenczas pułkownik najwięcéj około podskarbiego Flemminga. Chciał od niego wydurzyć starostwo grodowe województwa brzeskiego; dopierożby wtenczas przewodził sejmikom i łamał Matuszewiczów. Ale właśnie tego sobie nie życzył hetman książe Radziwiłł Rybeńko. Bojąc się, żeby nie nadrobił czego Sosnowski z Flemmingiem podczas rady senatu, którą król zgromadził do Wschowy, podług zwyczaju słał tam na straż Matuszewicza. „Subjectum nocivum et asperum, jest to stworzenie szkodliwe a złe“ mowił książe o Sosnowskim i polecił swojemu pełnomocnikowi, żeby wszystkich używał sprężyn a nominacyi nie dopuszczał pod żadnym pozorem. W istocie stolnik brzeski zabiegał, ile mógł we Wschowie przeciwko takiéj niespodziance dla brześcian; obiecywali mu to wprawdzie; ale nie bardzo jakoś wierzył stolnik, zwłaszcza gdy brał na uwagę, że Bryl był zawsze przyjacielem Flemminga i że biorąc pieniądze wszystko też robił dla niego. Obawy jednak tym razem były próżne.

Czartoryjscy myśleli o podniesieniu konfederacyi. Dla tego obierali pomiędzy swymi marszałka. Z początku dawali głos na jednego z kasztelaniców wileńskich Massalskich, ale potém się lepiéj zastanowiwszy, woleli do laski przeznaczyć Sosnowskiego (w Styczniu 1756). Wywoływali tylko Litwę. Tak chcieli mieć Flemminga deputatem z Kowna do przyszłego trybunału i postawili na swojém. Daléj, pchali zięcia swego do laski marszałkowskiéj na tym trybunale i znowu po najogromniejszych forsach dopięli tego. Wreszcie, wyostrzyli groty na trybunale przeciwko osobistym swoim nieprzyjaciołom i ci jak grad spadali z urzędów, odsądzani przez de-

putatów od czci i od wiary. Sosnowski niesłychanie był czynny przy tém wszystkiém; Flemminga ani na krok nie odstępował. Był mentorem jego na sejmiku w Kownie i uśpił tam grzecznym słówkiem nawet podstolego Paca, kandydata Radziwiłłowskiego, gdyż Flemming przy powitaniu tego panicza rzekł z namowy Sosnowskiego, że będzie miał honor zasiadać razem z Pacem a może i pod jego laską na trybunale. Téj zręczności winien był po części podskarbi swój wybór w Kownie. Na trybunale zaś było bardzo gorąco, konfederacya dojrzewała i gdyby Flemming upadł, podniosłaby niezawodnie hasło. Dwie strony zasiadły pod bronią do układów, od których zależała spokojność naprzód Litwy a potém Rplitéj. Wyznaczyły pośredników, zupełnie tak samo jak traktujące z sobą na równéj stopie mocarstwa. Sosnowski będąc od Czartoryjskich pośrednikiem, biegał od obozu do obozu z warunkami ugody. Radziwiłłowie wreszcie musieli ustąpić. Sosnowski spisał traktat i aż do ostatniéj chwili pilnował wszelkich poleceń księcia kanclerza ażeby się spełniły. Konfederacya skutkiem tego odroczyła się do terminu nieoznaczonego.

Ale tu hetman W. L. postanowił ukarać niesfornego pułkownika. Żeby go naprzód przestraszyć i powoli nieszkodliwym uczynić, zapozwał go na sądy hetmańskie w Nieświeżu pod pozorem, że w wojsku związek jakiś tajny bez wiedzy hetmana fomentuje. Było tam coś, ale ująć tego nikt nie mógł, jak nikt nie mógł namacać konfederacyi, która wszelakoż na pewne się kleiła. Pod władzą hetmańską był Sosnowski jako porucznik petyhorski. Oskarżycielem jego stawił się Szłaboszewicz, szlachcic, towarzysz także petyhorski wojewody brzeskiego pod poruczeństwem Abramowicza pisarza ziemsk. wileńskiego. Całą tę intrygę uknuł Bohusz główny doradca Radziwiłłowski, który chciał się pomścić za Nieśwież. Właśnie i jego i Abramowicza, trybunał Flemminga odsądził od urzędów. Teraz wet za wet: wychodziło jakoś na to, że hetman obali Sosnowskiego z dowództwa.

Z początku jednakże nie szło tutaj o rzeczywistą jaką obrazę lub zemstę; była to po prostu komedya dyploma-

tyczna i nic więcéj. Żadna strona nie mogła dawać drugiéj nad sobą w niczém pierwszeństwa; gdy panowie się kłócili, ich przyjaciele nawzajem musieli także gryść się i cierpieć. Że zaś solidarność była jeneralna panow i klientów w jednėm stronnictwie; ztąd wypadało, że cierpienie mogło być tylko chwilowe, to jest przez czas wojny aż do układów o pokój. Prędzéj późniéj nastąpiłaby kombinacya, ustępstwa by się zrównoważyły i zgodaby powróciła na jeden i na drugi miesiąc. Otóż Radziwiłłowscy wyrachowali, że przy kombinacyi, kanclerz litewski odstąpiłby od sądzenia Abramowicza i Bohusza, w zamian za nich hetman podarowałby kanclerzowi Sosnowskiego; jak tamci dwaj byli niewinni zupełnie a przepadli, tak i na Sosnowskiego nie było żadnych dowodów. To tylko o nim powiadano, że na samym początku trybunału w Wilnie opasywał się paskami od szabli, jak dawniejsza była moda. Przypominano sobie zaraz z tego powodu niedawno zmarłego pana Michała Potockiego, wojewodę wołyńskiego, zaciętego konfederata, który całe życie drżał do wojenki. Tak samo zupełnie opasywał się jak teraz Sosnowski, mianowicie w bezkrólewiu i w konfederacyach po śmierci Augusta II. Pytano się i Sosnowskiego w Wilnie, dla czego tak robi? ten nie wiele myśląc, miał odpowiedzieć, że opasuje się jak należy, to jest po konfederacku. Otóż i dowód, na którym opierano oskarżenie o występek i o wykroczenie przeciw niekarności wojskowéj. Biedne położenie społeczeństwa, które się aż do takich środków uciekać musi! Żyje się tu z dnia na dzień aby daléj, a rozumy się silą nad dowcipnemi wybiegami.

Bądź co bądź, chociaż i to opasywanie się i ta odpowiedź konfederacka niczego w cale nie dowodziły i dowodzić nie mogły, jednakże rozmyśliwszy się lepiéj Sosnowski postanowił nawet i tego, i tamtego się zapierać, bo przyznając, dawałby może powód do nowych nieprzyjaznych kombinacyi. Zapierał się tedy w końcu i opasywania się, i odpowiedzi danéj w Wilnie, chociaż, z początku sam o tém rozpowiadał.

Jednakże trzeba było się bronić. Na przysłany zapozew

przez instygatora, Sosnowski uznał za stosowne listownie odnieść się do księcia hetmana. Odpisał tedy, że nie może stawać przed sądem, bo skołatane zdrowie tego mu nie pozwala, ale prosił księcia o łaskę, żeby przyjął jego usprawiedliwienie się na piśmie, które przesyła przez swojego zastępcę pełnomocnego. Że nie jest winnym żadnego kryminału, dowód w samym liście, który pisze. Punkta zaś swojéj obrony trzy znalazł. Sosnowski urósł już wtedy na dygnitarza, to jest był pisarzem W. Lit. za łaską Czartoryjskich, pierwszy punkt do tego właśnie się odnosił. Powództwo sprawy powinno być zmazane, rozumował, że nie dołożono w niém zapozwanemu tytułu pisarza wielkiego; było to razem i nieuszanowanie stopnia i omyłka, bo Sosnowski pułkownik nie była to, nie mogła to być jedna osoba, co Sosnowski pułkownik i pisarz wielki. Drugi punkt był, że nie przyznawał się zapozwany do żadnego ekscessu publicznego, i dla tego, myślał, nie mógł być sądzony na prosty pozew instygatora z urzędu; gdyby wiedział, kto mu jakie kryminały zarzuca, poszedłby zaraz przeciwko niemu „de poena talionis“ o karę odwetu. Nareszcie trzeci punkt, że nie ma co odpowiedzieć na te zarzuty, bo nic tam „directe et positive“ nic stanowczego i pewnego nie ma w pozwie ale same ogólniki. Spodziewał się tedy Sosnowski, że znajdzie łatwo protekcyę u samego księcia hetmana który już nieraz publiczne dał o nim świadectwo, że do komendy całego wojska jest zdolny jako subaltern. Wszakże monarchowie słali mu do domu patenta jeneralskie, obiecywali pensye, wojska swoje oddawali zaraz pod jego komendę, a że honor swój piastował poczciwie, że stawał odważnie przeciwko wrogom, przeto i wodzom swoim nie ubliżał. Uznaje godnym kary każdego, który na hetmana w jakikolwiek bądź sposób targnął się ale nie zna się do tego, nawet gotów przysiądz, że nie tylko uczynkiem ale nawet myślą i słowy przeciw wodzowi nie wykroczył. Jeżeli godzi domyślać się, sądzi, że są tutaj inne powody sprawy; wszakże z wielkiemi księcia sentymentami nie raz się zgadzał nawet w materyi cywilnéj, wolno mu przecież myśleć inaczéj, i jak się spodoba, zwłaszcza że jest w wol-

nym narodzie, gdzie każdy myśli co chce i mówi co chce. Jeżeli tu kto winny, to nie on osobiście, ale wolność.

Jednocześnie pisał Sosnowski do hetmana polnego Massalskiego, żeby go bronił od prześladowań księcia: przesłał mu kopię listu do Radziwiłła. Jak się zaszczycał zawsze łaską hetmańską, tak jéj chce zażyć i teraz. Przyczém wynurzeń było tysiące. Zły był, bo nie wiedział, o co i na czyje udanie miał stawać przed sądem. Dla tego tłómaczył się, że z nim tak postępują sobie jak ze złoczyńcą jakim: najechali dom, związali i zabili. Ciężko to było bardzo panu Sosnowskiemu, bo cierpiał, jak sądził, niewinnie, do tego tchórzem był; jakoś widać oparcie się o familię nie dawało mu wiele otuchy, ale nie wchodził w położenie ludzi, których tak samo nieraz naruszał spokojność.

Posłał daléj do Nieświeża z listem porucznika swego petyhorskiego Suzina, tego samego który to potém został sędzią grodzkim brzeskim. Ten mniéj uważny, za przywołaniem sprawy zaczął zbyt żwawo i nieostróżnie mówić, aż wreszcie do téj przyprowadził księcia hetmana niecierpliwości, że wielkie dziwy! książe pan dobry, najłagodniejszy baranek, kazał go aresztować. Nie było to żadne poświęcenie się, ani rezolucya Suzina, tylko proste jego szaleństwo; wszyscy go dla tego głupim nazywali, bo gdyby chciał korzystać z okoliczności książe i na zdrowie jego za to nastąpił i sądzić chciał, byłby Suzin przepadł z kretesem, a jeszcze w owych czasach. Dla każdego sędziego ma być rewerencya, a tutaj Suzin niezachowawszy jéj wcale, puścił się jeszcze na uszczypliwe żarty i słowa. Któżby się jednak spodziewał, żeby ta płochość petyhorca stała się mu potém powodem do szczęścia? A jednak tak było. Ocalił Sosnowskiego i sobie wdzięczność uzyskał. Po kilku godzinach książe hetman kazał go uwolnić z pod straży i wyrok względem Sosnowskiego pozostał w zawieszeniu.

Pan pisarz litewski przesiedział cały Sierpień tego roku w Przybysławcach, starostwie lubelskiem księcia kanclerza. Tutaj go doszły listy Matuszewiczów zabiegających o zgodę. Sosnowski pokazał się najprzód dla nich obojętnym, wresz-

cie sądząc, że sam na tém cóś zyska z powodu sprawy w sądach hetmańskich, zaczął odpisywać na projekt do zgody, a raczéj poprawiał go, mazał, i objaśniał. Taki jego oryginał przywiózł Ignacy Paszkowski do Rasny a kopię rozrzucił w różne strony. Ostro tam pisał się Sosnowski naprzeciw księciu hetmanowi za on sąd; uniewinniał się naprzód a potém ciskał pioruny na wodza, że liberum veto nie lubi, że podnosi absolutismum, to jest dowolność, że hetmani nie mają żadnéj mocy sądzenia wojennego w sprawach cywilnych (jak tutaj np. o poduszczenie spisku), że mogą używać swojéj władzy jedynie w sprawach na gorącym uczynku dokonanych (in causis facti) i że to prawo służy im tylko w obozie, w czasie wojny, a tém bardziéj nie powinni używać pozorów złośliwych na pognębienie ludzi niewinnych. Wyszło z téj obrony przedziwne oskarżenie księcia hetmana, że nibyto na wolność nastaje, że niszczy szlachtę i t. d. Matuszewicz, można powiedzieć, w rękach miał teraz los Sosnowskiego. Gdy Paszkowski był tak nieostróżny, że z tém pismem publicznie się przechwalał, mógł stolnik pod pozorem przepisania wziąść oryginał od niego i odesłać go księciu hetmanowi. Terazby sąd miał już i dowody czarne na białem złéj woli pisarza; miałby hetman dowody jasne niekarności i zuchwalstwa, byłby zresztą obrażony osobiście, a pan polski obrażony osobiście przez niższego od siebie, był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Ale nie chciał na sztych stolnik wystawiać Sosnowskiego i miał słuszne do tego powody; sobie by tém nie pomógł, a powiększyłby zaciętość księcia kanclerza litewskiego już i tak ogromną. Oddał na powrót na cztery oczy Paszkowskiemu owe złośliwe Sosnowskiego pismo i prosił, by nie rozpowiadał o tém przed nikim, że jemu dawał do czytania; niechciał, żeby nawet echo o tém co wiedziało, bo mógł np. książe hetman posłyszeć coś o piśmie i mieć do Matuszewicza pretensyę, że się utaił, mógł się nawet o to rozgniewać.

Żeby jednak poradzić co Sosnowskiemu, książe kanclerz lit. urządziwszy zjazd panów koronnych w Kańskich u Małachowskiego swego przyjaciela, kanclerza koronnego, pojechał tam z Przybysławic razem z Sosnowskim. Nie o sądy hetmań-

skie tu wyłącznie chodziło, ale o ważniejsze rzeczy. Rada była o tém, jak ma sobie postępować w Polsce ze szlachtą nowy poseł rossyjski Wejmarn, którego książęta tylko co wyprosili u cesarzowéj Elżbiety. Ostatnie zajście na trybunale i kollizye domów zdradzały dojrzewającą w łonie Rplitéj rewolucyę, gwałty były za gwałtami, skazania obustronne jedne po drugich. Wejmarn był także w Końskich: niezmiernie między innemi temu się zdziwił, jak może hetman zapozywać kogoś o strój i opasywanie się; dla tego łacno uwierzył Czartoryjskim, którzy mu gadali, że Radziwiłłowie spiskują przeciwko Rplitéj. Doradzali mu tedy książęta, żeby nie oddawał listu cesarzowéj hetmanowi, ale żeby do niego ostro sam napisał i wyrzucał mu zapozew przeciw Sosnowskiemu jako środek obudzający niepokoje na Litwie. Sądzili książęta, że Radziwiłł zaraz przelęknie się i porzuci sprawę. Ale straszliwie się zawiedli, bo hetman odpisał Wejmarnowi natychmiast żwawo i z godnością, odgrażając, że list jego odeśle do Petersburga do cesarzowéj, a wiedziano, że miał u niéj względy.

Nieodstępny od księcia kanclerza Sosnowski pojechał z nim na sejm do Warszawy, na który posłował z inflanckiego (1756). Ale gdy król nieprzyjechał na czas, sejm się rozszedł na niczem. Czartoryjscy na ten sejm obrali z brzeskiego posłem Suzine, wynagradzając mu znalezienie się zuchwałe przed sądem wojennym.

Sosnowski nie wyjechał z Warszawy aż do Stycznia; bawił ciagle u księcia kanclerza, jakby pod jego tarczą. Hetman litewski zaś nie przyjechał wcale na sejm.

Wtedy to Matuszewicz wziąwszy z sobą dwóch podkomorzych stryjów bratowéj swojéj Kuczyńskiego bielskiego i Brzezińskiego nurskiego, uciekł się do łaski pana pisarza, jak pisarz niedawno do jego protekcyi przed Mniszchem. Chciał się pogodzić z księciem kanclerzem. Ale było za późno, Sosnowski za hardo już się trzymał względem szlachty, ztąd kiedy przyszło pomiędzy nimi od słowa do słowa, o mało się obadwaj do siebie nie porwali. Sosnowski jeszcze wtedy myślał o kaduku po Matuszewiczach.

W Styczniu 1757 r. pokazał się w Nieświeżu nowy Sosnowskiego protektor. Był to podkanclerzy Sapieha zięć Czartoryjskiego. Przyjechał w ostatecznym terminie. Już albowiem miała na pisarza wyjść trąba, to jest chciał hetman ogłosić go publicznie za człowieka bez czci i wiary, czyli infamisa, gdy na sądy nie stawał i zaocznie był tylko sądzony. Chcąc ująć pokorą a razem przeprosić hetmana, przyjechał i Sosnowski, żeby pewniejszym być skutku; widać, że tak stanęło po wzajemnem porozumieniu się panów. Dla bezpieczeństwa jednak stanął u Bernardynów w klasztorze: a może też hetman sądzić jeszcze go zechce, więc schronienie w świętem miejscu będzie mu obroną. Dał się zacny hetman przeprosić. Kiedy już zgoda stanęła, nadszedł Sosnowski, ale hardy panek nie bardzo pokornie się kłaniał przed wodzem, gdy przed kanclerzem bił niziuchne pokłony. A hetman rad jednak, że tak się skończyło i że nie ucierpiała nic na tém jego powaga, sądy skasował, i dał jeszcze Sosnowskiemu znaczny podarunek, z czego ten pewnie się uśmiał na osobności.

Kanclerz uwolniwszy przyjaciela od grożącéj mu klęski, chcąc obalić niebezpieczne dla siebie stronnictwo Matuszewiczów w brzeskiem, zwala na nich Sosnowskiego, w nadziei że już ani mrugną. Ale prawdomówny Nietyxa, skarbnik parnawski powiedział wręcz księciu, że to się nie uda, że Sosnowski może trzymać stronnika w szachu ale go nigdy nie zjé w kaszy. Przyjechał na sejmiki gromniczne pisarz wielki z całą kliką zakupionych przez siebie urzędników brzeskich, żeby zaimponować przeciwnikom. Wojewoda brzeski chciał zerwać sejmik, ale za to wojewoda mścisławski, Sosnowski i Matuszewicz chcieli go utrzymać; dał tedy każdy po 50 dukatów Antoniemu Towiańskiemu, który wstrzymał się to niby od protestacyi, ale wreszcie na znak dany mu przez wojewodę brzeskiego zerwał narady. Sosnowski wziął się na koncept odwiedzić Matuszewiczów stojących w klasztorze Dominikańskim. Radzi mu byli; częstowali serdecznie, więc i pan Sosnowski prosi ich do siebie na kollacyę; wychodzą razem ale wstępują na różne po drodze wizyty, zawsze ra-

zem i całą kupą. W każdym miejscu cóś szlachty zostawało. Kiedy goście do izby Sosnowskiego przybyli, już ich była nieduża garstka. A wtém Kurowicki wójt łomazki odezwie się do Starowolskiego, towarzysza Józefa Matuszewicza, brata Marcina:

— „Dusiłem cię na sejmiku przed trzema laty“ było to w roku 1755. I obracając się do Matuszewicza dodał.

— „Radziśmy z was, ale pan Starowolski nie powinien się mieścić w naszéj kompanii.

Stolnik ujął się za Starowolskim, a Sosnowski za Kurowickim. Sosnowski wreszcie rzekł:

— „U mnie pan Starowolski cyfra.“

— „U mnie zaś pan Kurowicki nic, odparł stolnik z ferworem.“

Wszczął się tumult. Sosnowski do szabli, Józef Matuszewicz go łagodzi, ale tymczasem stolnik chwyta za szablę. Było to w dworku Wieszczyckiego podstarościego brzeskiego. Ciasno, nie ma miejsca, więc szlachta żądna boju śpieszy na przeciwną stronę, gdzie wolniejsze były izby. Aż przybiegli pułkownik Paszkowski i Borzęcki, ujmują się za Starowolskim jako krewnym swoim. Sosnowski tedy widząc, że przeciw niemu szlachty więcéj, zaczyna ściskać Starowolskiego i każe podawać wina, sam zdrowie pije tego, na kogo przed chwilą nastawał, i z nim pije zdrowie Starowolskiego cała kompanja.

Oczywiście było to wszystko zawczasu przygotowane; i ta ni ztąd, ni zowąd grzeczność uprzedzająca Sosnowskiego, i te jego umizgi, i ta prawie napaść bez przyczyny na Starowolskiego, były to wszystko wstępy, żeby lepiéj zwieść brześcian, były to pierwsze akta prawdziwego zamachu stanu, istnéj trajedyi krwawéj wieczerzy, którą się chciał Sosnowski przypodobać kanclerzowi. Bóg uratował brześcian od morderstwa, spisek haniebny poszedł w płaz. Rzecz prawie pewna, że książe kanclerz pragnął uwolnić się od Matuszewiczów choćby zabójstwem i że całą zemstę właśnie wylał na ten sejmik. Stolnik brzeski urażony wielce, dziękując Sosnowskiemu za gościnność przemyślał o zemście, chciał odwetu, i byłby się może wyrwał z czém nieroztropnem, gdyby nie Borzęcki, który mu

to odradził. Poczém szlachta wyszła szturmem z izby i został się na wieczerzy u pana pisarza litewsk. jeden tylko jenerał-adjutant Paszkowski, któremu Sosnowski wielkie pokazywał grzeczności.

Bądź co bądź nie śmiał się już na przyszłych sejmikach poselskich w brzeskiém pokazywać Sosnowski i lubo dawniéj myślał ztąd być posłem, kiedy termin sejmików nadszedł, pojechał do Mielnika i tam był obrany.

Nie przyjechał też na sejmik gromniczny, na którym obierano deputatów ani on, ani Flemming. Nie miłe to zajście ze szlachtą brzeską przyśpieszyło niezawodnie drugą katastrofę dla województwa, to jest objęcie przez Sosnowskiego starostwa grodzkiego w Brześciu. Pisarz litew. musiał się ostro postawić w tém województwie, bo inaczéj sprawa Czartoryjskich byłaby w niém zgubiona. Flemming zaś jéj nie popierał, bo jako niemiec mało posiadał miru u szlachty, jako gorączka obraził ich wszystkich na siebie. Książęta musieli miéć jednak kogoś na jego miejscu w brzeskiém i wybrali na to Sosnowskiego; tak sprawa o cessyę starostwa dojrzewała. Napróżno hetman Radziwiłł zarzekał się, napróżno król nie pozwolił na cessyę, Sosnowski wydarł ją sam Flemmingowi i nie czekając wiele, wydał zaraz obwieszczenia, czyli jak wtedy nazywano innotescencye względem uroczystego wjazdu do Brześcia.(1759) Sam rozpisał własnoręczne listy a bardzo grzeczne do dystyngwowańszych urzędników i szlachty z zaprosinami. Przez umyślnego towarzysza z chorągwi zaprosił i Marcina Matuszewicza. Nikt nie śmiał mu odmowić, szlachta zjechała się tłumnie. Nastąpiło ufundowanie grodu; podstarościm został jak dawniéj Wieszczycki; nie chciał go wprawdzie nowy starosta, za to że nie mięszał się wcale do sejmików, ale wreszcie po mocnéj instancyi, gdy Wieszczycki musiał się starać i zabiegać, zostawił go przy urzędzie, wziąwszy jednakże wprzódy rewersał od niego, że ustąpi na pierwsze zażądanie, i że wtedy starosta będzie mógł oddać urząd komu innemu. Sęstwo oddał owemu porucznikowi petychorskiemu Ludwikowi Suzinowi, który go bronił w Nieświeżu. Jakim zaś zgra-

bnym sposobem pozbył się z sęstwa Kropińskiego, o tém już wspominaliśmy w inném miejscu. [10])

Wjazd ten odbył się w początkach Listopada (1759). Flemming był na nim w wesołym bardzo humorze, gdy już żałował, że ustąpił starostwa. Uświetnił uroczystość bytnością swoją i sam książe kanclerz. Wybrał się troszkę zawcześnie; ztąd kiedy zajechał do folwarku swego Kurnicy należącego do wójtostwa brzeskiego, w komnatach zastał wielki nieporządek, i zimno, i dymno, więc nie mógł tutaj zostać i nad wolę swą prędzéj pojechał w sobotę na noc do Terespola do zięcia p. Flemminga a przed sobą wysłał dworzanina z ostrzeżeniem, że jedzie. Flemming nie miał także pokojów wypalonych dla księcia i był zupełnie do téj wizyty nieprzygotowany; wpadł więc w cholerę, woła marszałka swego Maliszewskiego i hałasuje, co się zmieści. Marszałek widząc, że to nie przelewki, zmyka oknem a za nim wypada Flemming i natrafia na babę, co rękę wyciągała po jałmużnę; Flemming za marszałka porządnie okłada kijem babę na ulicy. Na tę właśnie scenę natrafia książe kanclerz rozzłoszczony, rad także na kim się zemścić za Kurnicę. Flemming i księcia nie widział i bił a bił, aż ledwie się upamiętał.

W tęże samą sobotę do Motykał, do brata swego Józefa, nadjechał stolnik brzeski: wjazd odbyć się miał w następny poniedziałek. Józef odradzał Marcinowi: „nie jedź, będą nas tam attakować!“ Ale stolnik tłumaczy bratu, że to nic nie szkodzi, że w brzeskiém będzie moc ich przyjaciół, że będzie i sam książe kanclerz, który pozna jaką wziętość Matuszewicze posiadają u swoich. Nic nie pomogło. Stolnik sam chce jechać, ale pani Józefowa nie puszcza go; żonie chodzi o męża, żeby się czasem nie pokusił albo żeby, jeżeli nie pojedzie, Sosnowczyki nie powiedzili, że się uląkł. Markotno to było stolnikowi, ale dał się wreszcie uprosić i został w Motykałach. We wtorek, nazajutrz po wjeździe, prawie gwałtem wyrwał się bratowéj i pojechał do Brześcia ile, że miał pani Borzęckiej wdowie, szczepowego i szelążnego zapłacić 4,000 złp.

[10]) Teka Wileńska, zabytki artykuł o Kropińskich.

Pan Sosnowski zobaczywszy stolnika bardzo go mile przyjął i na obiad zaprosił; miał jednakże przytém sposobność widzieć, ile to stolnik posiadał przyjaciół w brzeskiem. Po obiedzie wrócił Matuszewicz do siebie, to jest na stancyę, którą miał u Augustjanów. Sosnowski zaraz go tam odwiedził, czego nigdy dotąd nie robił. Częstowali się, popili, wreszcie dobrze rozjechali się, prawie pogodzeni.

Na następnym tedy sejmiku obadwaj wspólnie działali. Sosnowski złożył roczki w Lutym przed samym sejmikiem (1760). Chociaż poparty całą potegą Flemminga i kanclerza, starosta mniéj przecież znaczył od stolnika silniejszego massą przyjaciół. Prawda, że za to na przeciwnéj stronie był rozum. Z tego powodu, gdy zrównoważyły się siły, sejmiki wypadły mieszane: miał Sosnowski swoich deputatów, mieli jego przeciwnicy swoich. Długie były narady w Terespolu, robili albowiem ten honor brześcianie Flemmingowi, że to niby zawsze się u niego i z nim wspólnie układali o sejmiki. Sosnowski przed księciem sobie z tego względu całą zasługę przypisywał, ale w Terespolu udawał doskonale jako wielki polityk, ile że wiedział o potędze pieniędzy, a pieniędzy za też wszystkie roboty szlachetnie dostarczał mu Flemming; jego zatém była zręczność Flemminga rzeczą, bez któréj nicby nie zrobił. Sonowski przez skarbnika Nietyxę dał znać Matuszewiczowi, że chce być marszałkiem sejmiku, a słowem ręczył, że zobowiązań wszelkich dotrzyma. „Czemu nie? mówił do nich stolnik brzeski; człek godny i starosta nasz.“ Obrany marszałkiem nic nie mógł zrobić, protestacye wysuwały się po protestacyach, więc stolnik chciał od niego, by żegnał sejmik dla pozoru, a w istocie żeby go wstrzymywał; i wziąwszy się zgrabnie do rzeczy postawili na swojém; sejmik doszedł; deputaci obrani. Ale teraz wykryły się intrygi familii, Fleming z Sosnowskim nalegają u szlachty, by wyprawiła osobnych posłów do króla ze skargami na inwestyturę kurlandzką. Książe Karol nieprawnie ją dostał, bez sejmu. Daléjże attakować o to stolnika, ale Matuszewicz odparł mu krótko, że brześcianie posłów nie obiorą. Więc nowe żądania. Niech posłowie brzescy pojadą do króla i upominają się u niego o

prawa. Stolnik odparł, że i to być nie może, bo takie poselstwo znaczyłoby, że król praw nie zachowuje, takie przypuszczenie nawet ubliżałoby majestatowi. Odstąpiła tedy familia.

Czartoryjscy chcieli ukarać młodego Radziwiłła i ścieli Wołodkowicza na trybunale. Sosnowski gardłował za nimi pomiędzy szlachtą, rozpowiadał szczegóły, wykręcając rzecz samą a potém każdego pytał się, czy myślą, że książe kanclerz w tém co winien? nie głupi był kto powiedzieć, że winien, a tak się zacierało powoli wrażenie, jakie straszny a bolesny wypadek powszechnie wywołał.

Kompromis stronnictw trwał ciągle, więc sejmiki zawsze były mięszane. Kanclerz na posłów następującego sejmu z Brześcia wyznaczył Sosnowskiego i Matuszewicza; stanęły im na przeszkodzie inne widoki. Hetman Radziwiłł żądał, aby brześcianie podziękowali królowi za inwestyturę kurlandzką i stanowczo się oświadczyli za jego władzę hetmańską w sławnéj sprawie Kazimierza Massalskiego, powołanego jak niegdyś Sosnowski przed sądy wojskowe. Tego warunku Sosnowski żadną miarą na siebie przyjąć nie mógł i żądał zwłoki od tych, co przeciw jego elekcyi protestowali; obiecał, że napisze ktoś wielki w téj sprawie do hetmana, że decyzya rychło nastąpi insza i t. d. Ale Matuszewicz poradził Sosnowskiemu pożegnać sejmik, przeczuwając, że hetman na ich poselstwo nie zezwoli. Starosta zwłóczył, ale nareszcie zrobił, jak mu poradzono. Sejmik zatém jak dawniéj utrzymywany był, tak teraz zerwany przez kompromis. Znalazł się inny na to sposób. Dał Matuszewicz znać Tołoczce; Tołoczko, jako krewny Sosnowskiemu, i zjechało się kilku szlachty i panów na radę u hetmana polnego Sapiehy w Wysokiem Litewskiem, następnie z Wysokiego Sosnowski zajrzał do Rasny. Stanęło na tém, że można zgromadzić powtórny sejmik za nowym uniwersałem. Sosnowski zaraz jechał do Wołczyna, tam miał do niego pisać stolnik; Sosnowski nibyto teraz się dowie o wszystkiem i list księciu pokaże, potém nastąpi porozumienie się z marszałkiem Mniszchem i będzie sejmik, i będą posły, jakich chce książe, ale kanclerz tym razem projekt ten odrzu-

cił i na sejmie posłów brzeskich nie było. Jednakże Sosnowski pojechał w swoim czasie do stolicy, żeby przynajmniéj obecnym być czynnościom sejmowym. Pierwszy to był sejm od dawnego już czasu, na który nie stanął posłem. Gdyby nie upor księcia, mógłby nim zostać. Gdyby nie późno było, mógłby się postarać o poselstwo z innego województwa; ze zgryzoty, że go taka nieprzyjemna konfuzya spotkała a może i z innych jakich powodów, zachorował tak niebezpiecznie w Warszawie, że wątpiono o jego życiu.

Tak samo mieli obydwaj razem, starosta ze stolnikiem, zostać deputatami w r. 1767. Flemming ich wybrał. Matuszewicz nie zupełnie ufał staroście i miał go w podejrzeniu, że myśli o koleżeństwie z księciem Adamem Czartoryjskim jenerałem ziem podolskich. Szpiegował go tedy z Paszkowskimi, ale obawy były nie potrzebne. Radziwiłłowscy nie gniewali się na Sosnowskiego, zdawało się, że dojdą sejmiki. Po kombinacyi inaczéj wypadło, to jest żeby się obadwaj zrzekli pretensyi. I zrzekli się. Ale gdy jadą na sejmik, wrzask, hałas, rewolucya w mieście, oblega ich chmara żydowstwa z żalami i z płaczem. Co tego za powód? Oto był cech w Brześciu bijących się w palcaty czyli w kije; cech ów wybierał sobie marszałka, któremu żydzi dobrze opłacać się musieli. Bywały takie cechy i po innych miastach Rplity, zwłaszcza po trybunalskich. Biedni żydzi z Brześcia postanowili płacić sześć dukatów rocznie staroście, aby tylko zasłonił ich przed chciwością i zdzierstwami miejscowego cechu. Sosnowski zapobiegł temu zawczasu, więc teraz na sejmiku cech się zebrał i upomniał się od żydów podatku; ci z tego względu spokojnie oparli się, a wtedy marszałek z podwładnymi swoimi ruszył do kramów, rabować sklepy i odbijać szkoły. Narzekając na to nieszczęście chmara żydostwa ciśnie się do jadącego starosty i orszaku, który mu towarzyszył. Sosnowski ruszył konno prosto do szkoły, za nim wszyscy. Już tam się dobrze w mieście kotłowało. Niespodziewana dla żydów odsiecz przebijać się musi, rozpychać tłumy, tamować. Nie gawiedź miejska tam była, ale szlachecka i z tą oczywiście trudniejsza sprawa. Starosta był im tak nie na rękę, żeby się na niego rzucili, gdyby

nie ten orszak, który go otaczał a pracował podwójnie. Nie było innego sposobu, tylko Sosnowski obiecał te sześć dukatów rozdzielić na szlachtę i dopiero wtedy stało się uciszenie wielkie. Sosnowski zły, wrzeszczy, gniewa się, że władza jego tak mało znaczy, przymawia Matuszewiczowi, że ich stronnictwo takie niespokojności wznieca, ale w tym zarzucie nie znajdowało się ani cienia prawdy. Jednakże i to gratka była dla Sosnowskiego; gienialny człowiek wszystko na swoją korzyść obróci. Na roczkach, które w ślad za sejmikami nastąpiły a które Sosnowski powitał i zaraz pożegnał, kazał wręczyć pozwy wszystkim Radzwiłłowczykom o tumult przy żydowskiéj szkole. Nie spodziewał się ztąd wielkiego zaspokojenia miłości własnéj, ale myślał, że całą partyę przeciwną potrafi trzymać pod grozą przez postrach i kondemnaty.

Jednakże nie wskórał nic a szlachtę obraził. Marszałek Mniszech teraz dopiero poznał co to za sztuczka; dla tego nawet przy kombinacyach wszelkich zawsze Sosnowskiego wyłączał. Teraz na sejm nadzwyczajny marszałek z brzeskiego Matuszewicza chciał mieć posłem, ale bez starosty — Stolnik aż do Warszawy musiał jechać, by wytłómaczył marszałkowi, że to niepodobna, że jest kompromis; — ztąd albo mięszani mogą być posłowie, albo wcale żadnych. Więc marszałek zacięty dwóch innych posłów wybrał dla brzeskiego, Matuszewiczowi zaś kazał starać się o poselstwo w Kownie. Kiedy czas sejmików nadszedł, Sosnowski szle do stolnika pytać się, czy może być posłem z brzeskiego. Ten odparł po przyjacielsku: „szukaj innego sejmiku, bo nie będziesz dopuszczony na naszym.“ Sosnowski pojął to i był obrany w Mielniku na Podlasiu. Oto na czem smutnie się skończyło jego przewodzenie w Brześciu.

Chociaż pisarz W. Lit. dał się dobrze we znaki dworowi i jego zausznikom, król wtenczas mianował go kawalerem orła białego (3 Sierpnia 1762 r.). Było to już po śmierci księcia hetmana Radziwiłła, więc i z brzeskiego w tym roku Sosnowski na sejmie posłował. Pożegnawszy króla, któremu po-

dziękował za order, prosto pojechał do Brześcia i tam obrany.[11])

Następuje epoka w któréj Sosnowski miał zbierać owoce zasług swoich dla familii. Dotąd był wielką figurą w stronnictwie, miał teraz zostać wielką w Rplitéj.

Przed samą śmiercią królewską stanowczo zanosiło się na konfederacyę Czartoryjskich. Miało się zacząć od trybunału, zupełnie tak samo jak przed laty, gdy Czartoryjscy wynosili do laski Flemminga, ale wtenczas spaliło na panewce, dzisiaj zaś już zbliżyło się otwarcie przesilenie i walka była nieunikniona. Przed laty Czartoryjscy postawili na swojém, teraz zaś postawił na swojem młody książe Radziwiłł panie kochanku, bo ufundował trybunał (w kwietniu 1763 r.). Familija nie przygotowała się do stanowczego natychmiast wystąpienia. W jéj widokach był zawsze marszałkiem przyszłéj konfederacyi Sosnowski. Ale przewaga Radziwiłłowska tak była znakomitą podówczas w Wilnie, że wstrzymali się cokolwiek i lepiéj zrobili, boby pewnie poszli na jatki. Juścić trudno było co poradzić, gdy Radzwiłłowscy takie np. dokazywali sztuki. Jadąc raz około mieszkania Sosnowskiego, stanęli kołem i wszystkie okna mu powystrzeląli przy okrzykach. „wiwat Sosnowski kiep! marszałek konfederacki!“ Łajali przytem ogromnie. Czartoryscy spadli z fantazyi i wcale nie pokazywali się na mieście.

Ale król umarł i przyszła chwila odwetu.

Z początku książe wojewoda wileński ani chciał słyszeć o tém, żeby Sosnowski był posłem na konwokacyę; ale tę jego niechęć wynagradzało naszemu pankowi uznanie, jakie miał od swojéj partyi. Hetman wielki litewski Massalski, następca Rybeńki Radziwiłła wydał uniwersały, żeby wszyscy wojskowi stawali na koniec Stycznia przy swoich chorągwiach; oczywiście dla Czartoryjszczyków służył wyjątek, rozdawano im tak nazwane exempta. — Nieprzyjaciół więc swoich ściągała od razu familia pod twardą energiczną władzę hetmańską; Massalski daléj poszedł i postanowił trzech regimentarzów dla trzech oddzielnych partyi swego wojska,

[11]) W Sierpniu 1752 Kuryer polski N. 68.

które utworzył, to jest: litewskiéj, ruskiéj i żmudzkiéj; regimentarzami mianował trzech ptaszków, Brostowskiego koniuszego, Przeździeckiego referendarza i Sosnowskiego. Sosnowski został regimentarzem żmudzkim. Pan Przeździecki całą swoją edukacyę polityczną winien był staroście brzeskiemu, który lat kilka nad nim szczerze pracował i wreście tak go doskonale wyćwiczył w intrygach, że późniéj uczeń przeszedł mistrza swojego. Teraz to właśnie obadwaj pokazywać zaczęli, co umieją.

Daléj skutkiem układów u hetmana książe wojewoda wileński rad nie rad, spuścił z tonu i zaprosił na poselstwo Sosnowskiego z Brześcia, co gorsza Matuszewicza, którego chciał książe chociaż obok niego drugim posłem postawić, wykreślono. Żeby i zkąd inąd być swego pewnym, Sosnowski pobiegł do Karola Sapiehy wojewody brzeskiego. Okłamał go na potęgę a pochlebiając oświadczył, że chciałby posłować razem z wojewodzicem mścisławskim Ksawerym Sapiehą, porucznikiem petyhorskim. Matuszewicz spóźnił się, więc go też i wojewoda wyłączył. Widząc to Sosnowski kuł żelazo póki gorące, nagadał przed tym panem, że stolnik jest mu wrogiem, że strzedz się potrzeba stolnika, że stolnik myśli już o tém, jakby i Ksawerego odsunąć od poselstwa. Zdurzony wojewoda uwierzył we wszystko, na każde skinienie ręki był posłuszny Sosnowskiemu. Toż i przyszły drugi poseł, brzeski wojewodzic, który całą nadzieję mając w potężnym ministrze familii, dał mu nawet zaręczenie na piśmie, że jak zostanie posłem, będzie słuchał we wszystkiem starszego kollegi i pójdzie wszędzie za jego zdaniem. Oszukiwał Sosnowski tak wojewodę jak wszystkich swoich przeciwników, bo nie o wojewodzicu myślał wtedy, ale o Wisłouchu; tego narzędzia był pewniejszy.

Radziwiłłowscy Brześcianie, podpisali się wojewodzie swemu, że będzie marszałkiem sejmiku.

Byłoby dobrze pewno, gdyby wojewoda tak nie skrupulizował. Ale chcąc Sosnowskiemu dać dowód swego w nim zaufania, na sejmiku, który zagaja, nie bierze laski, tylko udaje, że jéj odstąpi chorążemu brzeskiemu, aż nagle podaje i do laski

i do poselstwa Sosnowskiego. Zewsząd się rozlegają już przygotowane okrzyki wiwat! wiwat! Wereszczaka i przyjaciele Sapieżyńscy krzyczą: wiwat! Aż wtém wyskakuje i druga kandydatura nie wojewodzica ale Wisłoucha. Sosnowski zaklina się, wziąwszy laskę, przed wojewodą, że Wisłouch dla niego to zrobi i ustąpi młodemu Sapieże, ale że na to potrzeba zwłoki. To mówiąc zasolwował sessyę do jutra dla pogodzenia niby pretensyi. Wojewoda ślepo mu wierzy i nic nie robi. Tymczasem starosta przez zauszników psuje szlachtę radziwiłłowską, rozsypuje pomiędzy nimi pieniądze, wreszcie chce na nich uderzyć. Ale tak zwani republikanie, mają rozum i nie próżno im stolnik brzeski przywodzi. Stolnik idzie do wojewody i ostrzego go, że odwołanie sessyi na jutro ma swój cel, że zwłoka ugruntuje powagę Sosnowskiego przy lasce, że pan pisarz zawiąże konfederacyę i że tę laskę sejmikową, chwilową, kilkodzienną, zamieni na dyktatorską, na konfederacką. Pokazywał, że takie zamachy pojawiają się po całéj Litwie i że Sosnowski jutro najdaléj zostanie bez zawodu marszałkiem województwa brzeskiego. Dzisiaj trzeba się bronić, bo jutro zapóźno już będzie. Ale gdzie tam? Wojewoda zaślepiony ani słuchać nie chciał. Odrzucił nawet drugą bardzo praktyczną radę stolnika, żeby na wszelki przypadek przygotował manifest przeciw grożącéj konfederacyi: nic to przecież złego, nie będzie nic to nie będzie; ale co szkodzi mieć obronę na zawołanie.

Nazajutrz tedy żwawszy sejmik. Wszyscy jak jeden szlachta krzyczą za Wisłouchem, Sosnowski daje im głos. Wisłouch rzucił się do erudycyi i chce kreskować się zwyczajem Rzymian, o którym świeżo wyczytał w książce: „o skutecznym rad sposobie“ Konarskiego. Ale pomylił się i co miał mówić o głosowaniu „per discessionem in partes“ rzekł: „per secessum“ i ruszył się zaraz z całą partyą Flemmingowską przed wielki ołtarz. Ztąd szlą pełnomocników na układy do Radziwiłłowskich ale stolnik temu sprzeciwiając się utrzymuje, że discessio nie jest u nas prawém, że to jedynie przykład podany w książce, który może być odmówiony lub przyjęty. Gdy zaś Flemingowscy podpisują się na Wisłoucha,

Sosnowski kręci się około wojewody i narzekając na nieporozumienia jakieś, obiecuje, że to wszystko Flemming przerobi, a Sapieha jeszcze mu wierzy. Oplątał wojewodę zupełnie sieciami intryg. Jeszcze dawniéj podawał mu wniosek, żeby trzech razem obrać posłów tj. siebie, Wisłoucha i wojewodzica, a że dwóch tylko być mogło z brzeskiego, miał do rozporządzenia dla trzeciego poselstwo z Inflant, które obiecywał albo sam wziąść albo je dla Wisłoucha przeznaczyć, aby tylko wojewodzica utrzymać w brzeskiém. Obiecywał, że wyda kredens z trzema okienkami, wyższe dla siebie, niższe dla Wisłoucha, średnie dla Sapiehy ale zarazem zastrzegał, że nie poda do akt tego kredensu wprzód, aż otrzyma z Warszawy rezolucyę od księcia kanclerza, dla kogo przeznacza poselstwo z Inflant? Wojewoda radził się stolnika brzeskiego, czy to się uda? Matuszewicz go zapewnił, że wszystko się uda Sosnowskiemu, kiedy ma laskę, aby chciał szczerze. Na tém wojewoda poprzestał. Następuje druga solwa. Ale trzeba było raz skończyć tę komedyę; Sosnowski chce postawić na swojem a tymczasem nie zrywać z wojewodą. Więc winę swoją składa na innych, sam to niby pracuje dla wojewodzica, ale upornéj szlachty przekonać nie może. A wtem Wisłoch według instrukcyi przypada do nóg wojewody, prosi i zaklina, aby dla niego poselstwa ustąpił. Sapieha wymawia sobie, żeby synowiec jego był za to posłem na sejm koronacyjny. Obiecują. Więc kiedy zgoda, fundują się w Brześciu Kaptury; wybierają się posłowie do księcia prymasa. Wereszczaka chorąży i Szujski strażnik brzescy. Następnie pisze się instrukcya na sejm konwokacyjny a w niéj, żeby Piast był królem, żeby posłów pruskich liczbę ograniczyć, biskupstwo wileńskie podnieść na arcybiskupstwo, elekcyę wyznaczyć jak najprędzéj i zwołać na nią całą szlachtę (viritim) lub przez posłów, sól z Gdańska ma iść do województwa brzeskiego, starostw i urzędów w Litwie nie rozdawać Koroniaszom. Trybunały nie mają być gwałtowne i opisać je trzeba; liberum veto ma iść precz. Toż samo i jura communicativa, dyssidentom prawa przywrócić, wojska mieć więcéj itp. Był to, widzimy, formularny program przyszłéj polityki familii.

Na sejmie konwokacyjnym jeszcze jedną stronę polityki téj odkrył Sosnowski, kiedy wziął się raz rozprawiać o władzy królewskiéj (18 Czerwca). Jabłko tronu polskiego jest podobne do jabłka rajskiego mówił, (przytaczamy treść, duch téj mowy jego, nie zaś wyrażenia) jabłko zaś rajskie oznacza wiadomość dobrego i złego, w zacnym szczycie tego owocu mieszczą się przykazania. Daléj rozbierał prerogatywy w ogóle władzy królewskiéj, to jest dziedziczność, moc prawodawczą, prawo wydawania wojny, stanowienia podatków, zwoływania wszelkich zjazdów, prawo do rozdawania wakansów. U nas te wszystkie prawa są nie przy królu, ale przy stanach, szlachta ma udział we władzy a nawet po części w blaskach tronu. Boi się tylko jednak władzy rozdawniczéj, rozrucającéj urzędy. Tu przysięgał Sosnowski, że szczerze i z przekonania mówi. Król nas tedy może łatwo kupić; rycerstwo temu winno nie król, bez szlachty pan nie kupi szlachty. Katolicy jesteśmy a przysięgom królewskim nie wierzym, kiedy boim się króla, to już lepiéj go nie mieć, znieśmy urzędy, sądy itd., boć przecie i urzędnicy wszelkiego rodzaju mogą być źli dla wolności. Bojąc się przypadków sprowadzamy anarchię. Po co opisywać królów? wszakże nie prawo pisane ale zachowanie prawa jest szczęściem narodu. Daléj wdawał się mówca w pochwały przyszłego króla. Udoskonalony to pan, złych udobrzy, dobrych ulepszy. Miał przeczucie Sosnowski, że Bóg da takiego pana Rzeczypospolitéj. Wié, kto nim będzie, ale go nie chce teraz ukazywać, nim rozbrzask nastąpi (ante diluculum monstrare).

Z Matuszewiczem był wtedy Sosnowski tak dobrze jak nigdy i wiedział dla czego; teraz po okropnéj zemście na Radziwiłłach, stolnik musiał się mu nizko kłaniać i pewnie już nie myślał o dawnych zajściach ale o własnem bezpieczeństwie. Z drugiéj strony stolnik mógł być mu wielce pożytecznym w przyszłości jako człowiek zręczny, zdolny i z pewną nauką. Za opiekę, którą by się go osłoniło, można było mieć na zawołanie piękne zdolności. Więc teraz Sosnowski staje się orędownikiem pana stolnika u kanclerza. Książe podstoli koronny wpływa znowu na Sosnowskiego. Był to

czas, w którym i książe bogacz ukraiński serdecznie się pisarzowi pochlebiał i słuchał go we wszystkiem, bo się bał i pojechał z nim do Warszawy i zabiegał o łaskę Czartoryjskich. Był to spokojny maniak, późniéj zachciało się mu nawet korony i kandydaturę swoją podał prymasowi, ale to dowód razem jak był upadły na umyśle. Otóż Sosnowski, na którego jeszcze nie działały tutaj wpływy, przedstawił księciu kanclerzowi Matuszęwicza i zgoda pół na pół wróciła. Odtąd Sosnowski wszędzie a serdecznie ujmuje się za stolnikiem, stolnik za to mu wiernie służy, koni mu swoich daje aż do Dębego, kiedy jechał na sejmik elekcyjny; wszędzie mu staje na rozkaz. Protekcya Sosnowskiego szczerego przyjaciela familii i przedtém i potém, człowieka, który wzrastał do ogromnych w Rzeczypospolitéj rozmiarów, protekcya jego nie była i nie mogła być próżną.

W istocie na sejmiku przedelekcyjnym obrany marszałkiem konfederacyi województwa brzeskiego a więc przywódcą szlachty, czyli jak wtedy mówiono duktorem na pole elekcyjne, został razem posłem i za jego łaską został nim także Matuszewicz i czterech innych ze szlachty. Instrukcya wyraźnie Poniatowskiego zalecała do tronu. Zabrał głos stolnik brzeski i wysławiał pod niebiosa Sosnowskiego oraz przyszłego króla. Za to pan marszałek konfederacyi ocalił go od sądów konfederackich, na które jednego po drugim nieprzyjaciół księcia kanclerza powoływano, tych mianowicie co sądzili sprawę jego ze stolnikiem na trybunale. Z Brześcia wyjechał Sosnowski do Grodna, gdzie właśnie odbywały się te sądy konfederacyi jeneralnéj. Ztamtąd zajrzał do obozu partyi wileńskiéj, którą zlustrował i różne z nią ćwiczenia odbywał wojskowe.

Na elekcyę stanął Sosnowski marszałkiem. Był to trzeci marszałek litewski na sejmie elekcyjnym; pierwszym był w r. 1648 Obuchowicz, drugim w r. 1674 Benedykt Sapieha.[12])

Najserdeczniejszy dla stolnika brzeskiego prosi go, by

[12]) Gazeta Waszawska z r. 1784, Nr 5.

z nim razem stał w pałacu Rudzińskiego wojewody mazowieck. wszędzie go z sobą brał, po elekcyi swéj wysłał go do izby senatorskiéj z uwiadomieniem iż kanclerz łaskawszém okiém na Matuszewicza spogląda. Stolnik za to układa dla marszałka odpowiedź po łacinie na mowę nuncyusza, toż odpowiedzi dla posłów rossyjskiego, pruskiego i kurlandzkiego. Sosnowski tego współpracownictwa bynajmniéj się nie zapierał i wydrukował to nawet w dyaryuszu sejmowym. Pewno i drugie mowy Sosnowskiego Matuszewicz pisał. Jedną miał w okopach już po nominacyi króla (7 Września), drugą po zagajeniu sessyi przy przeniesieniu się z szopy na wały, kiedy się pytał szlachtę ostatni raz, czy zgoda na króla (8 Września). Poczém elekcyę podpisał razem z województwem brzeskiém; do spisania paktów, do oznajmienia wyboru królowi, wyznaczył znowu Sosnowski stolnika; miał z téj okoliczności trzecią mowę w kościele św. Jana. Poczém królowi wręczył dyplom elekcyi. Przemówił nawet za nim słówko do księcia kanclerza o kasztelanię brzeską, za nim mówił też Przeździecki, ale nic nie pomogło, wszechwładny minister przyjął tę pretensyę z oburzeniem. To nic nie szkodzi, obadwaj ci panowie zaraz go królowi zalecili z Sosnowskim; potém wyjechał stolnik do Konstantynowa w brzeskie.

Król dał na pamiątkę marszałkowi elekcyjnemu pierścień wielki z brylantami i dyamentami bardzo piękny, taki sam i księciu prymasowi. Obiecał téż mu pisarstwo polne, które zawakować miało po Michale Ogińskim. Sosnowski delegowanym był do króla; prosi go, żeby przystąpił do konfederacyi jeneralnych, które się tam połączyły razem w Warszawie, to jest koronna i litewska.

Przewodnicząc na sejmiku brzeskim przedkoronacyjnym obalił kandydaturę poselską Leparskiego, zięcia Fijmanowéj ulubienicy Flemminga, a że ten pan za punkt swój honoru miał Leparskiego wyforytować; więc wychodzi na to, że Sosnowski złamał teraz potęgę Flemmingowską. Już nie potrzebował wsparcia takich ludzi, bo teraz sam dawał im wsparcie. Daléj co większa? zgłosił się do niego stary hetman Branicki, który powrócił tymczasem z Węgier do Białego

Stoku i prosił o pośrednictwo do familii, z którą chciał się pogodzić. Właśnie w Konstantynowie był Sosnowski, gdzie konferował z Przeździeckim, kiedy Matuszewicz poddał im pod rozwagę sprawę hetmańską. Sosnowski zapalił się, bo protegować takiego senatora, była rzecz wielka i chlubna dla niego; już go i hetman zapraszał do Białego Stoku i byłby się Sosnowski wdał niezawodnie w rokowania, gdyby nie kanclerz litewski, który się o tém dowiedział z jego własnego listu i surowo mu tego zakazał, chcąc upokorzyć dumę hetmańską.

Sejm koronacyjny zagajał Sosnowski (3 Grudnia). Otrzymał na nim obiecane pisarstwo polne litewskie i obietnice najpierwszych wakansów w starostwach. Posadzono go także w kommisyi wojskowéj litewskiéj. Do pisarstwa polnego była przeznaczona pensya, król mu ją powiększył z własnego skarbu. Oprócz tego przez osobną konstytucyę w nagrodę za laskę elekcyjną przyznano mu ze skarbu litewskiego summę 60 tysięcy złotych polskich [13]). Na tym sejmie był Sosnowski kommisarzem z Litwy do konstytucyi.

Sprzedał mu wtenczas Adam Poniński starostwo ryczywolskie. Król kazał wydać Sosnowskiemu przywiléj dla niego i dla żony (19. Stycznia 1765); tak więc spełniał bardzo prędko przyrzeczenie. Pomieścił też go w pierwszéj nominacyi kawalerów stanisławowskich (8 Maja 1765). [14]) Jak całe panowanie tak i pan Sosnowski nie wiele miał miru u szlachty za te ostatnie swoje roboty. Pokazały to bardzo jawnie sprawa dyssydentów a potém konfederacya barska. [15])

Po upadku radomskich spraw wyznaczony był Sosnowski przez stronę królewską posłem z chełmskiego na sejm nadzwyczajny w r. 1767. Ale szlachta na sejmie zgromadzona nie chciała myśleć o jego kandydaturze. Pozorem jéj

[13]) Vol Leg. VII. 339.

[14]) Syggielaty księga 31 itd.

[15]) Był Sosnowski raz tylko w Warszawie w przeciągu dwóch lat, to jest w Lipcu 1766 dni kilka, poczém 17 wyjechał do Litwy. Zdaje się na sejmie Czaplica był posłem. Wiadomości Warszawskie. W r. 1767, był dwa razy w stolicy w Marcu i w Czerwcu.

służyła pewność, że Sosnowski nie postał w związku patriotycznym, który stawał w obronie praw dawnych i liberum veto. Niesłuszna uraza, bo nie o veto należało się gniewać na Sosnowskiego ale na intrygi, któremi się odznaczył, któremi wielu gubił a naród podawał w niewolę. Szlachta posłami chciała obrać marszałka swojéj konfederacyi i jednego z konsyliarzów. Ale sposób znalazł się: oficer z oddziałem wojska, opasał kościół i miasto, warty rozstawił po wszystkich mieszkaniach szlachty. Tak było przez trzy dni. Nikogo za miasto nie puszczano, zabroniło wojsko do miasta dowozu i trzymało tak w oblężeniu sejmik. Więc gdy pierwszy spękał się na niczém, przez patryotyzm musieli chełmianie złożyć drugi i na tym Sosnowski posłem obrany. Ustąpił mu marszałek Węgliński, podstolic chełmski, Rzewuski zaś starosta drohobycki został. Instrukcje oczywiście przyjęte takie, jakie nadesłano z góry [16]).

Na sejmie po katastrofie z Sołtykiem, pisarz pol. lit. wyznaczony został delegatem do układów z posłem rossyjskim Repninem (16 Października). Sejm władzę swoją prawodawczą zdał na delegacyę, która dla Rzeczypospolitéj twarde napisała prawa! i dała jéj gwarancyę. Delegacya ta zażyła Sosnowskiego do osobnych zupełnie traktatów z posłem pruskim.

Za konfederacyi barskiéj Sosnowski przez lat kilka ciągle gardłuje przy królu, intryguje za królem. Ciągle mu się po głowie uwijało jeszcze owe marszałkowstwo jeneralne po nad całą Rzpltą, dwa razy nie doszłe. Teraz nowe okoliczności ożywiały stare nadzieje. Żeby zepsuć wrażenie konfederacyi barskiéj, zbałamucić naród, stronnictwo królewskie ciągle się zabierało do konfederacyi. Sosnowski miał być znowu marszałkiem. W różnéj bardzo formie przedstawiała się po kilka razy ta alternatywa. Krzątali się inni, krzątał się i Sosnowski chcąc co prędzéj zostać dyktatorem. To wiele robił sobie kłopotu, ożywiał wielkich i małych, żeby co prędzéj szli w konfederacyę przy królu na wzór barski. Miało

16) Trzy oświadczenia konfederacyi barskiéj str. 71.

więc to drugie być wydanie staréj książki (w Czerwcu 1769). To znowu gdy Turcya wydała wojnę Rossyi i Stanisławowi Augustowi, miała to być konfederacya przeciw Turkom a przy królu. Sosnowski w tym celu przyjechał do Warszawy i sam się nazywał marszałkiem [17]). Czasami szala przeznaczeń nie na jego stronę się chyliła. Szukano popularniejszego, szlachetniejszego nazwiska, wtedy to na placu byli ex-kanclerz Zamojski lub łowczy Czaplic. Za poselstwa Wołkońskiego myśl silnie odżyła i głoszono po całéj Polsce już nie o konfederacyi, ale o rekonfederacyi. Walka była tylko, kto ma podnieść laskę, czy jawny a stary przyjaciel króla, czy milszy jaki szlachcic marszałek? Jeżeli przyjaciel królewski, to Sosnowski, nie kto inny, lubo Poniński miał także ochotę, ale przepadł od razu, bo większe nadzieje dla pisarza polnego litewskiego wiązały się. Nareszcie rzecz większéj nabrała wagi w r. 1771, kiedy już nawet wskazywano Brześć Litewski jako miejsce, w którem się miała zawiązać niby za własnym popędem konfederacya Sosnowskiego (w r. 1771.) Oczywiście w Brześciu było mu najwłaściwiéj. [18])

Ależ konfederaci barscy mieli pilne oko na Sosnowskiego. Szpiegowali go i raz nawet Sawie udało się złapać przyszłego dyktatora Rzpltéj (w Marcu 1771). Jechał pan pisarz w eskorcie 50 tylko ułanów i wiózł z sobą 24,000 dukatów. Sosnowski ledwie uciekł a byłby znakomitą gratką; orszak jego rozproszony, dukaty zabrane [19]).

Konfederacyą przy królu łatwo byłoby Sosnowskiego postawić na nogi, gdy od kommissyi wojskowéj miał komendę nad wojskiem litewskiem. Tak unieważniał wpływ hetmana Ogińskiego. Wreszcie zbierając się do roboty, Sosnowski złożył to dowództwo w ręce hetmana w nadziei, że i Ogiński sprzyja widokom królewskim. Hetman miał podnieść ją w wojsku za sprawą biskupa wileńsk. podskarbiego litewsk. i pana Sosnowskiego. Potém już zapewne Sosnowski działałby na własną rękę ze szlachtą. Takie wieści przynajmniéj krą-

[17]) O tych krętaninach listy ajenta saskiego w Skarbcu, Tom II, str. 344.
[18]) Kraszewski o starościnie bełzkiéj.
[19]) Listy Dzierżanowskiego z dnia 28 Marca 1771. Rękopism.

żyły wśród jeneralności w Przeszowie[20]). Przerachował się tym razem Sosnowski, bo hetman powstawszy z orężem w ręku przeciw królowi, zabił nadługo i jego nadzieje zawiązania konfederacyi jeneralnéj w Brześciu.

Do owych to czasów odnoszą się także stosunki Sosnowskiego z Kościuszką. Syn jednego z urzędników województwa brzeskiego, u wielkiego potentata swoich okolic szukał opieki i za jego staraniem przez Czartoryjskich dostał się do korpusu kadetów w Warszawie. Wzorowy młodzieniec skończywszy nauki, nie miał co robić na tym Bożym świecie, w wojsku nie było wakansu, zresztą wtenczas popłacały tylko stosunki, za stopnie officerskie płacono. Więc wziął go znowu Sosnowski do swego domu, żeby w nim bawił, póki się gdzie nie umieści. Dwie córki miał wtenczas pan pisarz, Katarzynę i Ludwikę, syna żadnego. Żeby chleba darmo nie jadł, uczył te panny Kościuszko rysunków, początków matematyki, historyi powszechnéj. Panny go za to śmiejąc się i żartując, uczyły po francuzku. Niedługo wkradło się i serdeczne przywiązanie, młodsza Ludwika pokochała się w Kościuszce, Kościuszko w niéj. Nic dziwnego, co dzień po kilka godzin z sobą przestając, musieli się pokochać. Lekcyom tym zawsze towarzyszyła stara podobno panna Karolina Zenowiczówna, jakaś ciotka panien; był to argus niebezpieczny. Młodzi wzięli się aż do podstępu. Kościuszko udawał zakochanego w Karolinie i wszystko co do niéj mówił miało się odnosić do Ludwiki. Trudno to jakoś temu wierzyć? bo nie sądzim, żeby ciotka chciała odbierać grzeczne słówka przy siostrzenicach. Dosyć, że tak powiadają; młodzi się porozumieli a ciotka milczała.

Pan Tadeusz stał się nietylko domownikiem ale koniecznością, opatrznym człowiekiem Sosnowicy, uposażał ją w piękności natury. Miejsce to dosyć puste, nie piękne, więc powiadają, że w okół dawnego dworu rozsiał rozkochany młodzian świerki w kwadraty i trójkąty sadzone i ta ciemnia drzew ponurych urozmaiciła wielce smutny krajobraz, na

[20]) Dzierżanowskiego list z dnia 3. Sierpnia 1771.

tle którego rysowała się Kościuszce ukochana piękność. Park uroczysty lip zasadził. Wjeżdżało się do dworu przez most, po prawéj i lewéj stronie stały murowane oficyny, po lewéj znajdowały się pokoje pisarzówien. Tutaj odbywały się lekcye.

Taki stan rzeczy trwał niedługo, nie mógł nawet trwać długo. Młodzi postanowili się pobrać, bo aż tak daleko zaszło, ale oboje mieli ten rozum, że przeczuwali przeszkody. Kościuszko ufał w króla, który go znał osobiście jako celującego kadeta. Wybiegł to niby za interesem do Warszawy i zwierzył się panu ze swoich miłośnych udręczeń, o łaskę i wsparcia prosząc. Król dobry perswadował, przekonywał i nic nie pomogło. Więc czasu wiele przemarnowawszy w Warszawie, wracając do Sosnowicy, postanowił uwieść pannę. Król się o tém przypadkiem dowiedział i gdy inne perswazye nie pomogły, przestrzegł o tém Sosnowskiego, którego zawsze bardzo poważał. Podobno ojca podówczas nie było w domu a tylko matka. Król jéj poradził, że jak przyjedzie Kościuszko, żeby najmniéj robiła z tém wszystkiem zachodu i po prostu kazała wyjechać mu z Sosnowicy. Ale ta pani nie zdobyła się na tyle powagi i dla tego kiedy Kościuszko przyjechał, nie chciała go przyjąć i nibyto się gdzieś wybierała. Młodzieniec domyślił się, o co rzecz idzie i nibyto szczędząc kochankę, że sprawa ta mogła się rozgłosić, pobiegł do ciotki i oświadczając się, że dla niéj tylko powrócił, namawiał ją, by z nim wyjechała. Tak jedni mówią. Drudzy zaś powiadają, że stary lokaj podsłuchał rozmowy dwojga kochanków, jak się razem zmawiali uciekać i że ojciec temu przeszkodził. Jest i trzecia powieść, że już młodzi oboje uciekali, ale że ojciec, który miał baczne oko, dogonił ich i córkę odebrał a Kościuszkę podobno znieważył. Po cóż było dopuszczać ucieczki?

Są jeszcze inne powiastki, a ktoby ich wszystkie zliczył? Opowiadają, jako nasz bohatyr będąc już kapitanem artylleryi w Warszawie, na uroczystości imienin królewskich poznał ukochaną, jako potém był wysłany z pułkiem na stanowisko w brzeskie województwo, jako tam mieszkał w dwo-

rze Sosnowskiego, jak tam panna się rozpaliła do niego egzaltowaną miłością, upatrując w kochanku bohatyra, jako zwierzyła się matce i do nóg padała ojcu, jako dumny Sosnowski nie oddalił nawet Kościuszki, ale pogardliwie zakazał mu nawet rozmawiać z córką, jako exeltowana panna chciała iść z kochankiem na wygnanie i nędzę z pałaców do chatki, uciekać za granicę z ubogim officerem i t. d. Podług téj powieści Kościuszko był ranny skutkiem pogoni. Ci co te szczegóły podają, całą tę rzecz odnoszą do czasów troszkę późniejszych, kiedy już Sosnowski był wojewodą i większym jeszcze panem. Miał powiedzieć wtedy Kościuszce: „synogarlice nie dla wróbli a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków." A sam na pana urósł ze szlachetki. Bądź co bądź, wszystko to rzeczy w szczegółach niepewne, a prawdy dowiedzielibyśmy się chyba z zeznań aktorów téj sceny. To niezawodna, że dumny panek Kościuszce córki nie dał, że go z domu usunął w sposób wcale niegrzeczny i że Kościuszko pobiegł wtedy walczyć za wolność na drugą półkulę świata. [21])

Panny Sosnowskie potém rzeczywiście dostały mężów arystokratycznych. Ale wprzódy musimy rozpowiedzieć nową historyę.

Sam Sosnowski pomimo nie pierwszéj młodości był bardzo przystojnym człowiekiem. Wiek był po temu, że krzyżowały się na wsze strony miłość, intrygi i że ludzie nic nie robili podówczas ze świętości sakramentu. Miał Sosnowski brata, który żadnéj nie wyznawał religii, a co najmniéj był katolikiem, przecież przeważna siła pchała go do biskupstwa dyecezyalnego i senatorstwa; chociaż nie postawiła na swojém, przecież wyrobiła mu biskupstwo in partibus. Ludzie nie wiele sobie z tego robili, że dbali wyłącznie tylko o siebie i drugich przez to może gubili. Wyrwać, złapać, użyć itd. był

[21]) Piszą o téj sprawie 1) Kitowicz pamiętniki Tom 6. str. 256 itd. Powtóre Rogowski, którego resztki pamiętników wydał Konstanty Gaszyński w Paryżu str. 79 itd. Po trzecie Fankelstein w życiu Kościuszki. Po czwarte w Gazecie Codziennéj z r. 1858 N. 206. jest artykuł: wspomnienia przejażdżki nad Wisłą z Sosnowicy do Janowca i tu niektóre nowe są szczegóły. Jedném słowem co źródło, to insze o tém szczegóły. Że Kościuszko w końcu roku 1776 wyjechał do Ameryki z Tulonu o tém wspomina Rogowski.

cały rozum ówczesnéj chwili. Otóż Sosnowski korzystał wiele ze stosunków swoich z owym księciem podstolim koronnym, którego to, jak powiedzieliśmy, w bezkrólewiu pogodził z familią. Kronika skandaliczna powiada jeszcze, że księżna podstolina nie była obojętną na Sosnowskiego. Pisarz wielki nie kontentował się wzajemnością ale postanowił sobie robić z tego fortunę; była niczego ale i większa nie zawadzi. Namówił tedy panią już wtedy wejewodzinę bracławską, aby męża, który zajączki miał w głowie wywiozła z Warszawy, a będzie nim rządziła, jak zechce, nie zaś familia i kommisarze wyznaczeni przez króla, który opiekę prawną rozciągnął nad obłąkanym. Podał jéj na to Sosnowski sposoby, jak to zrobić. Księżna posłuchała, zbuntowała męża i wywiozła na kontrakty do Lwowa (1768.) We Lwowie znalazł się i Sosnowski, który zaraz w targi z wojewodą, kupił od niego Szarogrodczyznę na Podolu. Nie miał jednak w terminie i tysiąc dukatów zapłacić. Otoż w tranzakcyi sprzedaży stało wyraźnie, że Sosnowski zapłacił całą umówioną summę, a nie było tak, tylko dla pewności dał księciu pismo, że mu winien tyle a tyle. Pismo to późniéj wykradła żona wojewodzie i oddała je Sosnowskiemu z przywiązania.

Z tego powodu urosnął potém proces który aż sejm rozbiorowy rozstrzygnął w r. 1775.); już nie książe sam ale synowie jego proces ten prowadzili; mieli po sobie słuszność, gdyż milionowa ogromna ich fortuna przez taki zły rząd i marnotrawstwo coraz więcéj niszczała. Sosnowski się bronił a nie był to wcale człowiek do pokonania nawet sądem sejmowym. Więc poszła rzecz na kombinacye. Mając dwie córki, jedną z nich przeznaczył Sosnowski w zamęście któremu z książąt wojewodziców. Zgłosił się o rękę panny, Józef Lubomirski starosta romanowski; za nią to połowa majątku wróciła w posagu do domu, z którego wyszła, to jest połowa Starogrodczyzny. Drugą połowę tych dóbr oraz Daszów i Horynkę na Podolu wziął za drugą córką Józef Wincenty Plater pisarz polny koronny. Starsza Katarzyna poszła za Platera, młodsza zaś Ludwika, niedoszła Kościuszkowa za Lubomirskiego.

Uposażył zięciów nietylko w dobra prywatne, ale i w królewszczyzny. Starostwo grodowe brzeskie oddał Platerowi, ale ten utracyusz razem z żoną wesoło trawiąc majątek, niedługo popasali w Brześciu. Pamiętny był raz szczególnie dzień S. Stanisława; odbywał się wtedy zjazd tam na roczki majowe (8 Maja 1776), na które zjechał starosta, zięć Sosnowskiego z żoną; w farze nabożeństwo miał biskup sufragan inflandzki. Poczem hetman (był już wtedy hetmanem dawny pisarz polny) zaprosił obywateli ziemian i sztab officerów rossyjskich z Brześcia do Terespola na obiad i kolacyę. [22]) W następnym już roku na sejmie konstytucya litewska nakazała Platerowi ustąpić z tego starostwa [23]), które wziął potém Ignacy Morikoni. Temu Platerowi oddał także Sosnowski bogate starostwo ratneńskie na Rusi chełmskiéj, które dostał po śmierci Aleksandra Lubomirskiego, niemca, jenerała lejtnanta wojsk saskich (24 List. 1772 r.). Posiadał je zaledwie dwa lata zakładem; jeszcze na miesiąc przed ustąpieniem wystarał się Sosnowski u króla o pozwolenie, na mocy którego mógł wyrabiać towary w puszczach i lasach onego starostwa, to jest wycinać drzewo na potaż (14 Lutego 1775); w tymże samym przywileju król mu pozwolił w Ratnie zaprowadzić jarmarki i targi. A w miesiąc potém miał już w ręku pozwolenie na ustąpienie z Ratna zięciowi Platerowi. Oboje rodzice posiadali prawo do starostwa, to się znaczy po śmierci męża mogła w niem żona gospodarować dożywocie; takie też prawo przeleli na oboje Platerów (18 Marca 1775 r.). Jest na to jeszcze oddzielna konstytucya oprócz konsensu królewskiego, która Platerom zapewniając dzierżawę amfiteutyczną Ratna, przyłącza jeszcze do dóbr tych dzierżawę wsi Weteł (Wetły). [24])

Trzeba tutaj dodać jeszcze o tych córkach Sosnowskiego, że obiedwie znane są w literaturze polskiéj. Z owego czasu przetłumaczyły wspólnie z francuzkiego dziełko rolnicze pod tytułem: „Sokrates wieśniak, albo opisanie życia gospodar-

[22]) Gazeta Warszawska 1776 Nr. 40.

[23]) Volumina Legum, VIII, 943.

[24]) Sygiellaty księga 37, 32, 33, i Volumina Legum Tom 8. 227.

skiego," wydały je w Warszawie r. 1770 w drukarni jezuickiej. Grell je sprzedawał [25]).

Sosnowskiego samego dzieje pod koniec życia mniéj są wydatne.

W czasie jeszcze konfederacyi barskiej wziął województwo smoleńskie po Piotrze Sapieże (w r. 1770). Wtenczas zajął wyższe miejsce w komisyi wojskowéj litewskiéj, które od zarządu senatorskiego zależało (w r. 1772). Od r. 1764 ciągle przez te lat ośm i dziewięć zasiadał Sosnowski w komisyi wojskowéj. Może dla województwa oddał starostwo brzeskie zięciowi, zwłaszcza gdy w Smoleńsku miał także osobny gród starościński. Na sejmie rozbiorowym nie był delegatem, chociaż miał na nim swoje, jak widzieliśmy, sprawy, i chociaż sejm używał jego posługi obywatelskiéj do wielu spraw prywatnych. Obrany tamże członkiem najpierwszéj rady nieustającéj, zamienił tylko miejsce nie zatrudnienie, przeniósł się albowiem z komisyi do rady. W tymże roku 1775 wziął buławę polną litewską po drugim Sapieże, który dostał pieczęć. Złożył z tego powodu wojwództwo smoleńskie i odtąd go zwą pisma publiczne po prostu tylko hetmanem polnym; nie rozumiemy jednak powodu, dla czego potém Sosnowski zabiega o niższe od smoleńskiego krzesło, t. j. o województwo połockie. Zdaje się, że jakby nawet nie przysięgał na województwo smoleńskie, chociaż na to miał czasu dosyć, lat ze cztery przynajmniéj. A jednak nie wiemy znowu, dla czego starostą smoleńskim, który to urząd z województwem zawsze chodził, był ciągle i późniéj przez lat kilka. Wojewodą i być przestał, czemuż nie starostą? Tłumaczy się łatwo okoliczność, że był tylko samym hetmanem bez żadnego innego krzesła, bo zostały wtenczas buławy przez się senatorstwami, więc nie potrzebował hetman województwa, żeby zasiadać mógł w senacie. Dla miłości buławy porzucił województwo, czemuż po kilku latach rzuca buławę? Czy spocząć chciał od pracy? czy buława mu ciężyła?

[25]) Bętkowski T. 2. str. 429. Książeczka w ósemce str. 206 spomina o tém i Sowiński „o uczonych Polkach str. 75."

czy też znowu może dla miłości szlachty poświęcał się? dosyć że już w r. 1776 posłowie połoccy mieli posłuchanie u króla, upraszając go, aby wydał uniwersał na elekcyę wojewody (23 Czerwca). Było to w rok może po wzięciu przez Sosnowskiego buławy [26]). Szlachta obierała sobie w połockiém wojewodę, a jéj głosy padły potem na hetmana polnego. Były tu niezawodnie w grze jakieś układy i sprzedaże, kto wie, czy sam król nie nastawał na Sosnowskiego, żeby ustąpił buławy dla Tyszkiewicza, a wiadomo jak król kochał wszystkich Tyszkiewiczów. Dość że na téj zamianie stracił późniéj Sosnowski władzę nad wojskiem a wziął zamiast tego krzesło od smoleńskiego niższe o dwa stopnie między wojewodami.

Na sejmie zasiadał Sosnowski jako hetman polny litew. 1776 r. Przysiągł bez odwłoki na konfederacyę. Radził tam projekt organizacyi sądów sejmowych odesłać najprzód do sessyi prowincyonalnych (2 Września). Potem wbrew Rzewuskiemu Sewerynowi dowodził, że Rada nieustająca powinnaby mieć władzę tłumaczenia wątpliwości i obojętności w prawach oraz zawieszania nieposłusznych urzędników, dowodząc potrzeby téj surowości, przytaczał przykłady z dziejów rzymskich (6 Września). Nazajutrz uroczystą miał mowę, winszując królowi w dzień doroczny, dwunasty od elekcyi; ta mowa tchnąca serdecznością cała się mieści w dyaryuszu sejmowym (8 Września). Mianowany był następnie komisarzem likwidacyjnym (10 Września). Na onej burzliwéj sessyi, na któréj stanowczy bój wrzał o władzę hetmańską (23 Września), wszyscy trzéj starsi hetmanowie byli przeciwko prawu za swoją władzą i jeden tylko Sosnowski pisał się za prawem, stosując się do wyroków konfederacyi sejmowéj. Największa mowa, jaką miał hetman litew. na tym sejmie, była już pod koniec obrad (23 Października). Spowodowała ją myśl niektórych, żeby odebrać pensyę hetmanom lub ją zmniejszyć; pensye te są małe, mówił, i nie wystarczą, ale król je wynagradzał starostwami. Teraz na ze-

[26]) Gazeta Warszawska 1776 N. 51.

szłym sejmie i rozdawanie starostw odjęto królowi, czego Sosnowski nie chciał, więc i nagroda większa dla hetmanów przepadła. Piędziesiąt lat ma już służby narodowéj Sosnowski bez żadnego przestanku. Brał krzesła i narészcie dostał starostwo ratneńskie, dostał pensyę osobną ze skarbu królewskiego za pisarstwo polne. Gotów zrzec się dziś buławy, pewien, że mu król wynagrodzi dalsze prace dla ojczyzny. Ale nagroda jest potrzebna „jako pochodnia cnocie przyświecająca nieci i zapala ochotę w obywatelu, cnota na przewagę ośmiela, nagroda cnotę uwieńcza.“ Co do siebie osobiście nie potrzebował nagrody, służył z miłości ojczyznie, gotów zrzec się pensyi hetmańskiéj, skończy po rzymsku w mierności.

Na elekcyach członków nowéj Rady nieustającéj Sosnowski utrzymał się większością głosów stodziesięć jako minister. Od niego tylko kanclerz Młodziejowski i biskup wileński Massalski mieli więcéj głosów. Wyznaczony był do departamentu wojskowego na prezesa; kadencye te skończył w r. 1778. Był Sosnowski w r. 1777 komisarzem szpitalnym na Litwie, pewnie od sejmu rozbiorowego. Starostą smoleńskim był jeszcze także w r. 1778.

W drugiéj połowie Października 1780 z zięciem Platerem pojechał na sejm do Warszawy, a w Grudniu tegoż roku złożył buławę polną. Wtedy odbyła się elekcya jego szlachecka na wojewodę połockiego. Na to krzesło przysiągł Sosnowski w Warszawie przed królem 11 Marca 1781. A ponieważ u nas raz się składała przysięga na urząd senatorski, Sosnowski zaś wtenczas od lat dziesięciu był senatorem, wnieśliśmy, że na województwo smoleńskie wcale nie przysięgał.[27])

W r. 1781 był w Wiśniowcu, w czasie wjazdu tam królewskiego i gościny (w Październiku).[28])

Umarł 31 Grudnia 1783 w Ratnie. Obiedwie córki znajdowały się przy jego śmierci.[29])

[27]) Gazeta Warszawska 1780, Nr. 86, suplement i Nr. 101, oraz z roku 1781, Nr. 22, suplement.

[28]) Gazeta Warszawka 1781, Nr. 86.

[29]) Gazeta Warszawska 1784, Nr. 5.

Sosnowski ojczyźnie wcale nie zawinił, a przynajmniéj nie wiele. Należał do ludzi, którzy w reformach widzieli przyszłość Rzplitéj, jakoż tam i była w istocie, tylko do reform powinni się byli wziąść ludzie sumienniejsi i większego serca. Ze szkoły Czartoryjskich wyszedłszy, musiał być zimnym na wszelkie szlachetniejsze poczucia, musiał się zaprzeć sam w sobie i naraził się narodowi szlacheckiemu. Ale byli wszelako ludzie tysiąc razy od niego winniejsi. Brudne tylko w nim było owo skupianie majątku we wszelki możebny sposób, ale ten brak wstydu mieli podówczas wszyscy prawie; nieskazitelnych, ze świecą we dnie było szukać. Prywatnym tedy ludziom dał się we znaki, bo był synem swojego czasu, czasu brudnego, skalanego występkami.

Córka jego Platerowa miała dzieci, Lubomirska była bezdzietną; w téj ostatniéj odezwała się platoniczna miłość do Kościuszki, kiedy został wielkim mężem narodu. Pisywali do siebie. Potém do Szwajcaryi chciała jechać do niego i tam pielęgnować dni bohatyra, myślała oddać mu swoją rękę na starość, ale Kościuszko podobno nie przyjął ofiary. Obadwaj zięciowie Sosnowskiego skompromitowali się przed narodem w Targowicy.

Przeżyła ich wszystkich staruszka matka, żona Sosnowskiego. W r. 1797 postawiła nowy kościół murowany w Sosnowicy, święcił go biskup lubelski Skarszewski 1804. Kosztów nie żałowała, bo świątynia piękna jest a jéj ozdoby pełne smaku. W ołtarzach trzy niepośledniéj wartości obrazy Smuglewicza, szczególniéj w wielkim obraz św. Trójcy, ma być przecudowny. Takich ozdób i po innych nie łatwo znaleść kościołach. W kościele umieściła portret męża. Niemcewicz w późniejszych podróżach swoich po kraju wspomina o téj pani jeszcze pod r. 1816; mieszkała w Ratnie; widać to starostwo zabrał wojewoda Platerom i czemś innem ich wynagrodził, sam albowiem umarł w Ratnie; żona potém długo tam mieszkała. We dwa lata późniéj odwiedził jeszcze starą wojewodzinę Niemcewicz w temże samem Ratnie. Położenie owego miejsca było prawdziwie polskie! sosny piaski i błota. „Jednak w tém niezdrowém położeniu, mówi daléj Niemcewicz,

mieszkają dwie osoby może najstarsze w Polsce. Naprzód sama pani wojewodzina Sosnowska licząca sobie 95 lat, mówią jednak, że ich ma 103.“ Podług tego wypadłoby, że rodziła się 1715 lub 1723 roku i byłaby jeżeli nie starszą, to przynajmniéj rówiennicą męża. Oślepła już wtenczas i pamiętając rzeczy stare, o nowych zupełnie zapominała. Sypiała do jedenastéj, piła kawę w łóżku, do trzeciéj spoczywała w pościeli, wstawała potém i szła do pokoju, gdzie zasiadała do robienia węzełków. Rozmowa przytomnych, granie w bilard, każdy hałas, bawiły ją jak dziecko. Mało co jadała obiadu ale wieczerzę z największym apetytem. Wtenczas bawiła przy niéj córka jéj Lubomirska, która z przykładną pilnością czuwała nad biedną osieroconą matką. Drugim starym posągiem w Ratnie był włościanin, co pamiętał dobrze Augusta II. [30])

[30]) Podróże historyczne str. 218, i 292.

28 Września 1858 r.

BITWA

POD RASZYNEM*)

PRZEZ

Fryderyka hr. Skarbka.

Na początku roku 1809 nikt nie wątpił o blizkiéj wojnie z Austryą; wszystkie środki ostróżności i zabezpieczenia ze strony Napoleona już były dopełnione; wszystkie państwa, któreby mogły krzyżować jego widoki, były albo ujarzmione albo sparaliżowane, tak iż Austrya na własnych tylko siłach polegać i niemi przemagającéj potędze francuzkiéj opierać się musiała. Pomimo to, pierwsze wypowiedzenie wojny nastąpiło ze strony austryackiéj; 6 Kwietnia wydał arcyksiąże Karol do wojsk swoich, a 9 tegoż miesiąca uwiadomili jenerałowie austryaccy dowodzców wojsk francuzkich i sprzymierzonych o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, w skutku czego wszedł jenerał Chasteller do Tyrolu, arcyksiąże Jan do Włoch, 6 korpusów głównéj armii pod wodzą arcyksięcia Karola wkroczyło do Bawaryi, a arcyksiąże Ferdynand z 7 korpusem przez Galicyę udał się ku Księztwu Warszawskiemu.

Nie do nas należy opisywać wypadki całéj téj wojny, jeden tylko jéj oddział, któremu nasza ziemia za pobojowisko

*) Ustęp z dzieła Fryderyka hr. Skarbka p. t. „*Dzieje Księztwa Warszawskiego;*“ dzieło to wkrótce wydane zostanie w Poznaniu.

(*Przyp. wydawcy.*)

służyła, mocno nas obchodzi; tego szczegóły i zdarzenia opiszemy, pomni przytém na to, iż wszystko co się w téj wojnie na naszéj ziemi działo, było tylko podrzędnem działaniem zawisłem od głównych wypadków wojny nad brzegami Dunaju toczonéj.

Tymczasem panowawała w księztwie spokojność zupełna, większa część mieszkańców ledwo dosłyszała o rozpoczętéj wojnie między Francyą a Austryą, a nikt nie przypuszczał nawet téj myśli, aby nieprzyjacielskie wojska do kraju naszego wkroczyć miały i każdy mniemał się być najbezpieczniejszym w domu, dowiadując się obojętnie o wyprawach wojennych w Niemczach, w przekonaniu, że one się wkrótce pomyślnie dla Napoleona, a bez żadnego szkodliwego wpływu na Księztwo skończą.

Ta spokojność zaufania, czyli raczéj zaślepienie było tak wielkie, iż mimo zebrania się korpusu 40000 wojska austryackiego w zachodniéj Galicyi, ledwo o mil kilka od Warszawy, nie przewidywano tego, że to wojsko do Księztwa wkroczyć może. 12 Kwietnia wydał arcyksiąże Ferdynand w Ryczywole proklamacyę do Polaków w któréj im zapowiadał, że nie wchodzi do kraju jako nieprzyjaciel, lecz tylko w zamiarze oswobodzenia go od przemocy francuzkiéj i nie czyniąc żadnych obietnic względem losu Polski, nakłania Polaków do odstąpienia od sprawy francuzkiéj, a temsamem i swojéj własnéj, w zamiarze przyczynienia się przez to do przywrócenia porządku i spokojności w Europie. „Zapewniając naszą własną niepodległość i istnienie" są to dwuznaczne wyrazy téj proklamacyi „chcemy takowe tym wszystkim zapewnić, którzy one utracili i przywracając każdego do praw, które utracił, przywrócić porządek w Europie i obdarzyć ją tyle pożądaną spokojnością." Że ta odezwa żadnego nie uczyniła wrażenia i nikogo do zawierzania raczéj Austryi jak Francyi nie nakłaniała, o tém wzmiankować nawet nie potrzeba. We dwa dni po jéj wydaniu t.j. 14 Kwietnia przeszły wojska austryackie granice Księztwa pod Nowem Miastem, przesławszy z głównéj kwatery swojéj krótkie uwia-

domienie księciu Józefowi, że w 12 godzinach wkroczy do Księztwa Warszawskiego i wszelki opór siłą pokonywać będzie. Do 18 Kwietnia nie było w naszych pismach żadnéj wzmianki o tém rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, tego dnia dopiero umieszczono w gazetach obwieszczenie Rady Stanu z powodu proklamacyi arcyksięcia Ferdynanda, w którem odwołując się do wierności Polaków dla króla swego, donosi o wyjściu wojsk polskich naprzeciw wkraczającemu wojsku austryackiemu, aby wstrzymać dalszy postęp jego. Obwieszczenie to datowane 15 Kwietnia, we trzy dni późniéj dopiero ogłoszone, doszło do wiadomości mieszkańców kraju tak późno, iż nie uprzedziło ich o nadciąganiu nieprzyjaciela i że wielu bardzo spokojnych mieszkańców wsi od samych Austryaków ich wioski zajmujących o tem się dowiedzieli, że wojna na ich ziemię przeniesioną została.

Potém pierwszem obwieszczeniu nastąpiło nazajutrz drugie, w którem Rada Stanu oznajmia o postanowieniu Rządu i narodu bronienia się od napaści i zachęca mieszkańców do téj obrony. Trzecia odezwa z téj saméj daty zawiera organizacyę powstania narodowego, mianowania naczelników powstania i dodanych im wyższych oficerów z wojska regularnego na organizatorów i kommendantów. Każdy szlachcic miał siadać na koń lub dostawić tylu szeregowych zbrojnych, ile miał folwarków i wsi czynszowych. W miastach wszyscy mężczyzni od lat 16 do 50 mieli należeć do gwardyi narodowéj. Z wiejskich mieszkańców miały być formowane kompanie kosynierów. W każdym departamencie miano zebrać służących dworskich i myśliwych i ukształcić z nich pólk strzelców. Nietylko nie przepisano żadnych mundurów, lecz wyrzeczono w téj odezwie, iż ich wcale nie potrzeba. Całe to urządzenie było tylko dowodem do akt rządowych złożonym, jako rząd miał chęć zadosyć uczynić obowiązkom swoim i nie mogło mieć żadnego skutku, zwłaszcza na lewym brzegu Wisły, pierwéj przez nieprzyjaciela zajętym, nim obwieszczenie o powstaniu do wiadomości mieszkańców doszło. Osobne jeszcze wyszło urządzenie gwardyi narodowéj w Warszawie, które także nie mogło być wykonane dla nagłego zajęcia sto-

licy przez nieprzyjaciela. Wojsko polskie, które na odsiecz stolicy naprzeciw nieprzyjaciela wysłać można było, nie dochodziło do 13000 ludzi i to jeszcze powiększéj części młodego żołnierza przed miesiącem ledwo do szeregów zaciągnionego.

W téj liczbie mieścił się mały oddział Sasów z trzech niekompletnych batalionów piechoty, ze 159 huzarów i 18 armat złożony, razem 1200 ludzi wynoszący, który miał właśnie rozkaz wrócenia do Saksonii i przez księcia Poniatowskiego na własną jego odpowiedzialność w kraju zatrzymany został.

Nierozmyślnym przeto i zbyt śmiałym zdawać się mogło postępkiem owo wyprawienie tak małéj liczby wojska, nieprzysposobionego nawet należycie do boju, naprzeciw nieprzyjacielowi przeszło w trójnasób liczniejszemu. Lecz zgromadzone w Warszawie zapasy wojenne, których bez chwilowego przynajmniéj wstrzymania wojsk austryackich nie możnaby było uprzątnąć, i bytność wszystkich władz krajowych, którym trzeba było dać czas oddalenia się ze stolicy, aby mogły pozostać w związku z królem i zawiadywać krajem przez nieprzyjaciół niezajętym; te dwie okoliczności skłoniły Rząd ówczesny do uchwalenia wyprawy kilkunastu tysięcy wojska w Warszawie obecnego na spotkanie ku téj stolicy postępujących przeszło 40000 Austryaków.

Było to po raz pierwszy od przywrócenia szeregów narodowych, że Polacy sami sobie zostawieni i pod dowództwem własnych wodzów z nieprzyjacielem potykać się mieli; był to poniekąd krwawy popis, w którym okazać mieli Europie i Napoleonowi, jak dalece potrafili korzystać z nauk sobie na polach bitwy przez Francuzów danych; a raczéj była to chwila pamiętna, w któréj okazali, czego dokonać może waleczność i zapał wojenny, nie nadzieją łupu, nagrody lub żołdu, lecz zrozumieniem sprawy narodowéj wzbudzony.

Od 15 Kwietnia posuwał się książę Ferdynand wolnym i ostróżnym pochodem ku stolicy. Przeszedłszy w kilku punktach granicę księztwa i przeprawiwszy główny swój korpus

przez Pilicę pod Nowem Miastem, mógł był napaść niespodziewanie na Warszawę, aby nieprzygotowanym do obrony wszelką drogę ocalenia odebrać, zwłaszcza że wiedział, jak słabe siły wojenne odpór mu stawić mogły. Byłby to mógł uczynić w kraju nieprzychylnym Francuzom, z którymi główna toczyła się walka; lecz nie mógł się odważyć na taką wyprawę tam, gdzie wiedział, że wszystko pałało nienawiścią ku Niemcom, gdzie łączenie się z nimi krajowców tylko powrót do dawnéj niewoli zapewniało, i gdzie rozpaczający odpór był jedynym środkiem ocalenia pierwszych związków wojska narodowego i polegającéj na niém nadziei bytu. Dla tego nie pokwapił się wódz austryacki na niebezpieczną zdobycz, lecz wydawszy odezwę do Polaków, któréj bezskuteczności powinien się był domyślać, zdawał się oczekiwać z ich strony podania sobie środka dokonania niebezpiecznéj przeprawy, z najmniejszem ile być może poświęceniem z swéj strony.

Lecz zamiast tego napotkał już pod samem Nowem Miastem, gdzie był przeszedł granice, przednie straże polskie pod dowództwem jenerała Rożnieckiego na przeciw niemu wysłane, które wprawdzie nie mogły wstrzymać postępu wojska nieprzyjacielskiego i stosownie do danego sobie rozkazu, odstrzelały się tylko i po małych utarczkach w okolicach Nadarzyna w dniu 7 i 18 Kwietnia cofały się do głównego stanowiska wojska polskiego pod Raszynem.

Widok kilkutysięcznego korpusu odważającego się w otwartem polu na nierówną walkę z kilkudziesiąt tysięczną armią, pożądańszym był dla arcyksięcia od odwrotu onegoż pod okopy Warszawy z zamiarem bronienia się w nich i w ulicach nieprzyjaźnego miasta, którego mieszkańcy w trójnasób liczbę walczących pomnożyć mogli. Urągali się Austryacy z owéj garstki walecznych, która się odważyła stawić im czoło na polach raszyńskich i przed bitwą rozumieli, że po łatwem zwycięztwie, niedobitki pójdą w niewolę lub w rozsypkę i że wzięcie stolicy cały kraj przemocy austryackiéj podda.

Polacy zajmowali wieś i nieco wzniosłe stanowisko za Raszynem. Strumień i błotniste niziny za wsią, tudzież kościół i kilka budynków w saméj wsi, które na naszych zdobyć trzeba było, mogły nieco utrudnić postęp nieprzyjaciela. Od rana w dniu 19 Kwietnia ucierało się kilka batalionów piechoty na drodze ku Nadarzynowi z oddziałami austryackiemi za ukazaniem się ich z lasu trakt ten przerzynającego. Jenerał Sokolnicki dowodził tą przednią strażą i zwolna tylko pod przemocą liczby nacierających ustępował przed nieprzyjacielem, który nie chciał rozpocząć walki, aż całe siły swoje z lasu na równinę wyprowadzić i rozwinąć zdoła. Długo trzymali się nasi we wsi Falenty za Raszynem położonéj: lecz gdy korpus nieprzyjacielski z lasu na równinę wyszedł i w bojowym szyku rozwijać się zaczął, ustąpić musiała przed nim garstka walczących i cofnąć się do stanowiska wojska polskiego w samym Raszynie.

Wczwórnasób większe siły nieprzyjacielskie uszykowały się po za Raszynem na przeciw Polaków stanowiska; silny ogień działowy raził roty nasze i palił zabudowania Raszyna. Zagrożoną była grobla główna, po któréj wzięciu mógł był przejść nieprzyjaciel w massie, aby naszych okrążyć, wziąść im tyły i odwrót do Warszawy odciąć.

Niebezpieczeństwo było wielkie i oczywiste; nadzieja odwrócenia go słaba; możność pokonania nieprzyjaciela żadna. Jeszcze był czas wstrzymać bój krwawy, żądać zawieszenia broni lub ustąpić z placu i cofnąć się pod wały Warszawy. Lecz ten krok rozwagi mógł być poczytany za ucieczkę, cofanie się wojska polskiego byłoby dodało ochoty i odwagi Austryakom a żołnierz polski pragnął namiętnie bitwy, chciał okazać różnicę walczenia najezdnika od rozpaczającego męztwa tego, co własnéj ziemi i siedzib przodków broni. Nie wahał się i nie mógł się wahać w wyborze wódz polski i sam na czele silnego oddziału ruszył naprzód około 3-éj z południa bronić owéj grobli, od któréj zachowania los bitwy i może wojska jego zależał. Po kilkokrotném zdobyciu i oddaniu wsi i lasku pod Falentami, wstrzymawszy czas niejaki

przeprawę nieprzyjaciela w tym ważnym punkcie, ustąpił książe przed nacieraniem gromiącéj go massy wojska i złączywszy się w palącym się zewsząd Raszynie z zastępami swemi, do ogólnéj bitwy uszykowanemi, rozpoczął bój krwawy, bój morderczy, do późnéj nocy toczony, w którym każda śmierć polska okupioną została potrójnym zgonem niemieckim, i każda stopa ustąpionéj ziemi przesiąknąć musiała krwią nacierających i broniących; a gdy pogodne przez cały dzień słońce, po zachodzie swoim pole bitwy i życie tylu walecznych jedną pokryło pomroką, pozostali na pobojowisku ocaleni z tego boju wojownicy polscy i noc całą z odniesionemi ranami i z chwałą swoją na niém przebyli.

Szósta część walczącego w téj pamiętnéj bitwie wojska polskiego pozostała na pobojowisku, bo przeszło 2000 naszych padło śmiercią walecznych. Gdzie z takiem poświęceniem i z taką zawziętością przeciw przemagającym siłom walczono, gdzie pomimo to placu boju nieprzyjacielowi nie odstąpiono, tam musieli wszyscy nadzwyczajnego męztwa dawać dowody, wszyscy więcéj jak na wawrzyny, bo na niewygasłą pamięć i uwielbienie narodu zasłużyć. A jednak między tymi wszystkimi bohaterami na pierwszem miejscu pozostaje w pamięci narodu męztwo pułku 8 piechoty i Godebskiego, który nim dowodził, na jego czele zginął, i który nastręczył przedmiot tkliwych podań krajowych, które lud pieśnią narodową uwiecznia. Polacy osiągnęli przez bitwę raszyńską cel główny usiłowań i poświęceń swoich, bo nie mogąc zmusić do odwrotu tyle silniejszego nieprzyjaciela, szło im o to, aby się nie dać rozbić ani rozproszyć, aby zapewnić sobie powrót chlubny do stolicy, przejście na drugi brzeg Wisły i aby módz się trzymać po za tą główną ziemi naszéj warownią, póki pomoc od pogromcy Niemców nie nadejdzie. Jedno i drugie było wypadkiem bitwy raszyńskiéj.

Lecz przy tém dziwnem było to, iż i Austryacy dopięli celu swego przez bitwę raszyńską. Bo mniéj im szło o pokonanie i rozproszenie garstki wojska, którego następnych działań i powodzeń przewidzieć nie mogli, jak o to, ażeby

z najmniejszem ile być może poświęceniem, stać się panami Warszawy i z jéj murów ogłosić Europie, że Księztwo Warszawskie Napoleonowi przez nich wydarte zostało. Po bitwie prawie pod samemi murami stolicy stoczonéj, nie było już ani miejsca, ani siły do potykania się w otwartem polu, trzeba było albo bronić się w nieoszańcowanem mieście i całą ludność jego wraz z wojskiem w gruzach zakopać, albo też wpuścić wojska austryackie do stolicy, aby ją samą i wojsko narodowe dla pomyślniejszych czasów i wypraw ocalić. Zapamiętała zawziętość i rozpacz mogły podać pierwszy, rozsądek i dobro narodu, drugi środek obrać radziły; tego się chwycił wódz polski książe Poniatowski i dokonał go z taką wytrwałością i rozwagą, iz kapitulacya Warszawy do najchlubniejszych czynów tego księcia należy.

I w saméj rzeczy nie można było godniéj i piękniéj dla sławy broni polskiéj postąpić. Ufność w powodzeniu oręża francuzkiego w Niemczech usprawiedliwiała to mniemanie, że pobyt Austryaków w Księztwie, będzie tylko chwilowym i upadkiem nam nie zagrozi. Można było na pierwszą wiadomość o wkroczeniu w trójnasób silniejszego nieprzyjaciela przeprawić polskie pułki za Wisłę bez żadnego boju z Austryakami, lecz chlubniéj było powitać go dzielną bronią przed murami stolicy i nie uległszy jego przemagającéj sile, grożąc mu jeszcze obroną wśród murów rodzinnych, żądać od niego przyjęcia warunków, pod któremi czasowe zajęcie stolicy dozwolone mu zostanie.

Dziwićby się można słabości lub brakowi męztwa wodza i wojska austryackiego, że zamiast wstępnego boju i wkroczenia zbrojną ręką do Warszawy, przyjął podane sobie warunki kapitulacyi i że przepuścił na prawy brzeg Wisły wojsko, które mu trudnéj przeprawy przez tę rzekę wzbraniać miało.

Lecz kto pomni na to, że arcyksiąże Ferdynand nie mógł się już spodziewać żadnych posiłków dla swego korpusu, z którym się w nader znacznéj odległości od głównych wojsk swego narodu, w kraju zupełnie nieprzyjaciel-

skim, znajdował; że poleganie na posiłkach ze strony Pruss jakkolwiek oczekiwanych, w tym tylko razie pomyślny mogło wziąść skutek, gdy pan Europy straszny dla Pruss, zwalczonym będzie; że przy tych okolicznościach żywe nacieranie na bitne wojsko, które się w otwartem polu pokonać nie dało, mogłoby bardzo przerzedzić szeregi wojska austryackiego, zwłaszcza gdyby było przyszło do morderczego boju w ulicach miasta, tak dalece, iżby ten przez taką walkę osłabiony korpus mógł nie być już dość silnym, ażeby powstanie w reszcie księztwa wstrzymać i oprzeć się partyzanckiéj wojnie ztąd wyniknąć mogącéj; kto, mówię, wszystkie te okoliczności zważy, ten przyzna że arcyksiąże Ferdynand rozsądnie sobie postąpił, przyjmując warunki kapitulacyi warszawskiéj, skoro mu się nie było udało rozbić i rozproszyć wojska polskiego pod Raszynem.

Przebywszy noc z d. 19 na 20 Kwietnia na pobojowisku raszyńskiem, cofnęło się wojsko polskie przed świtem pod okopy Warszawy, i równo ze dniem okazało nieprzyjacielowi gotowość i chęć bronienia téj pozycyi. Dzień następny zeszedł spokojnie, po upływie 24 godzin, w których wódz austryacki napróżno oczekiwał pierwszego kroku ze strony wodza polskiego, przesłał mu od siebie propozycyę zawieszenia broni, którą przyjęto i wkrótce potém zawarły obie strony konwencyę następującéj osnowy. Rozejm miał trwać 48 godzin, w którym to czasie wojsko polskie i sprzymierzone miało wolność wyjścia z Warszawy z bronią i wszelkiemi amunicyami i bagażami; — pięć dni zaś czasu zostawiono do oddalenia się z Warszawy urzędników Księztwa i wojskowych nienależących do walczących szeregów. Miasto miało być wolne od wszelkiéj kontrybucyi; zabezpieczono całość osób i majątków mieszkańców jego. Chorym i rannym z wojska polskiego i saskiego, dozwolono po wyleczeniu powrócić do właściwych sobie oddziałów wojskowych. Dla rezydenta francuzkiego nawet wyjednano pozwolenie odjazdu, zostawując mu wolność zabrania z sobą wszystkich oficerów i urzędników francuzkich, podówczas obecnych w Warszawie. Konwencya ta zawartą została 21 Kwietnia

a gdy jéj warunki co do ustąpienia wojsk polskich dopełniano, udała się deputacya obywateli warszawskich w dniu 23 Kwietnia do głównéj kwatery arcyksięcia Ferdynanda do Rakowca i otrzymawszy od niego powtórzenie zapewnień w proklamacyi jego zawartych, powróciła do rogatek Jerozolimskich, tam na niego czekała, aby mu oddać klucze miasta, które on jéj zostawił, poczem wszedł na czele swego wojska i udał się do zamku, gdzie go książe Jabłonowski, przez radę Księztwa kommissarzem rządowym mianowany, przyjmował.

Nieprzezorny wódz austryacki przepomniał przy kapitulacyi Warszawy, że i 12 cyrkuł tegoż miasta, to jest Praga, do niego należeć miała, a zapóźno spostrzegłszy, iż Polacy nie uważają tego ważnego stanowiska za objęte tąż kapitulacyą, kazał zatoczyć armaty na wyższy brzeg Wisły pod Warszawą, grożąc spaleniem Pragi. Na to odpowiedział książe Józef: iż strzelać będzie do Warszawy tak jak do obcego miasta i że zacznie od spalenia własnego pałacu pod blachą, licząc na to, że taki odwet podburzy i do zbrojnéj rozpaczy lud warszawski przywiedzie. Austryacy zaś zbyt byli przejęci obawą powstania ludu warszawskiego, aby się nie mieli dać odstręczyć temi groźbami od dalszego zamachu na Pragę, dla tego ogłosił arcyksiąże w gazetach: iż lubo zna korzystne położenie swoje i prawa zdobywcy, chce tylko samego głosu ludzkości słuchać i zezwala na zawarcie ugody z kommendantem Pragi, w skutku któréj obie strony nawzajem do siebie strzelać nie miały; ugoda, która w dniu 24 Kwietnia zawarta i ze strony polskiéj przez majora Hornowskiego podpisana została.

O

EKONOMII POLITYCZNEJ

WE WŁOSZECH

PRZEZ

LUDWIKA WOŁOWSKIEGO,

CZŁONKA INSTYTUTU, PROFESSORA PRAWA PRZEMYSŁOWEGO W SZKOLE CENTRALNÉJ SZTUK I RZEMIOSŁ W PARYŻU. *)

Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy nie przyznawali cośmy winni Włochom: od nichto wzięliśmy nauki, które późniéj tak bujnie rozkrzewiły się po Europie. (ENCYKLOPEDYA. — PRZEMOWA.)

Jeden z pisarzy, hrabia Pecchio, który pod tytułem *Historyi Ekonomii politycznéj we Włoszech*, podał szybki ale wierny przegląd prac ekonomistów włoskich, miał prawo rzec z dumą: „W tym pięknym kraju człowiek nigdy nie był mniéj produkcyjnym jak ziemia.“ Rzeczywiście, jeżeli dawny kronikarz, olśniony widokiem ciągle walących się na świat tłumów zdobywczych, mógł nieco przesadnie nazwać Północ *kuźnią narodów*, słuszniéjby było upatrywać we Włoszech *kuźnię myśli*. Nie mówiąc o starożytności, bo tu już wszelkie porównanie stałoby się niepodobném, czegoż może zazdrościć innym szczęśliwa kraina,

*) Jestto tłómaczenie wstępu do dzieła uczonego autora pod tytułem: „Ekonomia polityczna średnich wieków, przez *Cibrario*, dawnego ministra oświecenia i spraw zagranicznych.“ Dzieło to przed 6 miesiącami wyszło po francuzku. Sądzimy, że przedmiot tego ustępu obudzi ciekawość i zajmie uwagę ziomków dzisiaj, kiedy coraz rozleglejsze krainy wchodząc na drogę zadań ekonomicznych, potrzebują korzystać z doświadczeń cywilizacyi staréj. *(Przyp. wydawcy.)*

gdzie jaśnieją Dante i Machiavelli, Krzysztof Kolumb i Galileusz, Rafael i Michał-Anioł, Vico i Volta? Wdzięczna ludzkość nie przestanie wielbić téj drugiéj Nioby, chlubnéj z dostojnych dzieci, zawsze pięknéj, bardziéj jeszcze uroczéj pod swą zasłoną żałobną:

Salve, magna parens frugum, Saturnia tellus,
Magna virum. [1])

Za czémkolwiek puścimy się w dziedzinę umysłową, za sztuką czy umiejętnoscią, za historyą czy polityką, za filozofią czy prawnictwem, zawsze przyjdzie obrócić się w tę samą stronę:

Italiam, Italiam....
Italiam lato socii clamore salutant. [2])

Wszechstronnie promieniejący geniusz włoski nie pominął i ekonomii politycznéj. Półwysep nie tylko był kolebką literatur, nauk i sztuk Europy dzisiejszéj; tam również wszczęły się pierwsze prace, poświęcone teoryi tworzenia się, biegu i rozdzielania się bogactw; tam najważniejsze zadania ekonomii politycznéj, jeżeli nie rozstrzygnięte, to przynajmniéj najpierwéj poruszone były, a i teraz jeszcze te zawiązki nauki nie dla saméj ciekawości godne są podjęcia, bo samodzielny i przenikliwy umysł pisarzy włoskich odkrywał postrzeżenia przydatne na zawsze. Dzieła zostawione nam przez nich, pełne są pożywności, mają właściwą sobie cechę, okazującą się najbardziéj w sposobie zapatrywania się na dziedzinę ekonomii politycznéj. Nie samo w sobie zamknięte i odrębnie uważane bogactwo, ale ogólnie dobry byt ludzi ciągle ich zajmuje; interes polityczny i moralny powoduje nimi przedewszystkiém: nie mniéj mogą uchodzić za publicystów, jak za ekonomistów. Dalecy od tego, aby oddzielając naukę produkcyi i rozchodzenia się płodów, zrobić z niéj osobną umiejętność bogactw, skłonni są raczéj do widzenia w niéj jakiéjś umiejętności powszechnéj. „Charakterem znamionującym

[1]) *Georgiki*, II, 173.
[2]) *Eneida*, III, 523.

szkołę ekonomiczną Włochów — słusznie powiedział Blanqui — jest głównie ich rozległy i niejednostronny sposób oglądania zadań. Zastanawiają się oni nad bogactwem nie pod względem oderwanym i absolutnym, ale pod względem dobra ogólnego. Żeby jaki środek ekonomiczny zdał się im być ważnym, niedość przywiązanéj do niego kwestyi pieniężnéj, trzeba moralnego albo politycznego interesu. Społeczeństwa nie są w ich oczach domami bankowemi, ani robotnicy machinami. Człowiek jest wiecznym przedmiotem ich nauki i troskliwości. To też czcigodny Droz zebrał niejako w treść naczelne pojęcie ekonomistów włoskich, kreśląc te piękne słowa: „Wyroby są dla ludzi, nie ludzie dla wyrobów.“

Et mihi res, non me rebus submittere conor.

Bezwątpienia, tryb scientificznego postępowania przyjęty we Włoszech, wprowadza w pewien zamęt. Nie dozwolił on naprzód wydzielić czysto i stanowczo samego pierwiastku bogactw, *pracy ludzkiéj*, upładniającéj materyę działaniem ducha; nie dozwolił także wznieść prostéj i wspaniałéj budowy systemu, pojętego mocno i wyprowadzonego zwięźle, jak ów naprzykład, co pod piórem Adama Smitha oznaczył męzki wiek nauki. Ale ten wielki filozof mądrze unikał szkopułów; jeżeli zakreślił karby nauce o bogactwach, to znowuż strzegł się tak ją osamotnić, jak to niektórzy z jego uczniów chcieli uczynić. Nie zapuszczając się w jakiś rodzaj arytmetyki socyalnéj, ani usiłując podstawić równania algebraiczne na miejscu surowych nauk, wypadających z rozwagi faktów i dziejów, potrafił on sformułować doktrynę bez obrazy prawd doświadczenia. Nigdzie nie przebija się w nim ten suchy i nielitościwy dogmatyzm, co nie mając względu na przyrodę ludzką, radby wszędzie widzieć tylko cyfry liczbowe, gdzie są przecież żywe jestestwa, zdolne czuć, myśléć i cierpiéć. Ekonomistom włoskim możnaby chyba zarzucić uniesienie się w przeciwną stronę. Słusznie zajęci nadewszystko widokami moralnemi, pilnie dbający o to żeby nigdy nie rozdzielać idei związanych samemi dwoma wyrazami na-

zwiska *ekonomii politycznéj,* puścili się zanadto w rozbiór fenomenów socyalnych, a ztąd brak jedności odbiera im niekiedy siłę. Jednakże czytając ich prace pełne życia i bystro schwyconych faktów, czerpiąc w tém obfitém źródle nauki męzkie, wszczepiające przeświadczenie o potędze sił wewnętrznych i cześć dla wolności, ledwieby nie chciało się zawołać: *Felix culpa!* bo żal odrzucić ten nadmiar owoców płodności błogiéj.

Dzieła szkoły włoskiéj szczególniéj są zajmujące z tego względu, że widać w nich początek i rozwój doktryn.

Naukę o tworzeniu się i rozdzielaniu się bogactw, chciano uznać za nabytek nowoczesny; wielu pisarzy nie odnosi ekonomii politycznéj daléj, jak do uwielbianych prac Adama Smitha. Mniemanie to wydawało się nam zawsze równie błędném jak niebezpieczném; wynika z niego pomięszanie dwóch szeregów pojęć zupełnie różnych i poświęcenie względów na zasady, prostym względom na metodę. Próbowaliśmy już gdzieindziéj [3]) okazać, że ekonomia polityczna zgoła nie jest nauką nową, tylko niedawno stała się nauką *odrębną* od filozofii, polityki, moralności, prawa i historyi. Zapomniéć o tém byłoby bardzo niebezpiecznie, bo łatwo możnaby przez to odciąć tę szlachetną naukę od żywiołów, z któremi powinna zostawać w powinowactwie ścisłém, wtrącić ją w czczość abstrakcyi, pozbawić powagi doświadczenia, pewności wniosków i wpływu na praktykę.

Ekonomia stanowi jedną stronę życia narodowego; historya nie może być dla niéj tylko umiejętnością posiłkową. Prawa rozwoju ekonomicznego wyrabiają się w tyglu czasu; wychodzą z niego mocne i giętkie razem, niemające ani kruchéj sztywności rachunku, ani absolutyzmu teoryi czysto spekulacyjnych, zbyt pochopnych do brania jednéj epoki za nieskończoną przestrzeń wieczności. Systema tworzone niby niezalegle od wszelkich względów na przeszłość

[3]) *De l'application de la methode historique à l'étude de l'économie politique* (Préface à la traduction des *Principes d'économie politique* de Rocher.)

i oparte jedynie na pojęciach rozumowych, noszą przecież na sobie widoczne piętno miejsca i czasu swego nastania. Trzymać się jedynie hipotez spekulacyjnych, jest to budować na piasku; przekonaliśmy się już aż zanadto o niebezpieczeństwie budowli idealnych. *Historia materia prima philosophiae*, powiedział Bacon; zdanie również stosowne i do ekonomii politycznéj. Fakta oderwane od rodzimego ich środka tracą znaczenie, i dla tegoż pilne zgłębianie historyi powinno chronić ekonomistę od wielu błędów. Zapewne, jakkolwiek rozległe pozostaje pole do zbierania postrzeżeń, nie idzie zatém, iżby należało podać w wątpliwość prawdy już zdobyte, które opierając się na faktach nieuległych zaprzeczeniu, stanowią prawa przyrodzone; ale historya może bardzo dopomódz do ich rozeznania, bo to jest głównym ich charakterem, że się wszędzie i zawsze powtarzają.

Nieraz przeciwstawiano życie ekonomiczne i życie polityczne narodów, jakby życie ciała i życie ducha; chciano w polityce widziéć niby psychologię, a w ekonomii fizyologię narodową. Jestto zapominać, że w każdéj czynności produkcyjnéj tak pojedyńczego człowieka, jak całych ludów czuć zawsze tchnienie ich życia wewnętrznego, *mens agitat molem*. Nie wszystko dzieje się tu skutkiem samych sił świata materyalnego, które dają się podciągnąć pod formuły matematyczne, gdyż rozróżniają się tylko ilością; zlać w jedno z niemi człowieka, byłoby wpaść w dziwną sprzeczność. Skończyłoby się na tém, że już nie zajmowalibyśmy się człowiekiem prawdziwym, ani nawet człowiekiem *średnim* statystyki, lub *powszechnym* Hegla, ale po prostu tylko siłą przyrodzenia pod postacią ludzką, narzędziem uosobioném, *czynnikiem* produkcyi bogactwa. Ten, którego Bóg stworzył na swoje podobieństwo, aby prowadził daléj dzieło tworzenia, ten którego obdarzył duszą nieśmiertelną, zostałby machiną działającą zawsze z jednakiém natężeniem, nadającą popęd rzeczom świata zawsze w jednakim kierunku.

Nie takiéj metody, jakeśmy to już powiedzieli, trzy-

mają się ekonomiści włoscy: nie odosobnili oni nauki produkcyi od wyobrażeń moralnych i uczucia sprawiedliwości, dobry byt ludności tyle ich zajmuje co i potęga państwa. Nie przywiązując się wyłącznie do obranego widoku, usiłują zawsze objąć całość problematów swego przedmiotu; to czyni zadanie zawilszém, ale téż rozwiązanie jego lepiéj może oświecić umysł i skutecznie być zastosowaném.

Nie masz nauki chciwszéj danych wszelkiego rodzaju, jak ekonomia polityczna: ciągnie ona bezustanku korzyść z administracyi i polityki, z historyi i jeografii, ze statystyki i prawoznawstwa; jest to—jak się wyrażają Anglicy—filozofia w materyi faktów, *matter of fact.* To ją strzeże od utopii, i możnaby mniemać, że jeżeli praktyczny geniusz Włochów, oparł się fatalnemu napadowi doktryn socyalistowskich, pochodziło to w części ztąd, że ekonomia polityczna u nich zachowała swój charakter *nauki socyalnéj,* woląc raczéj przekroczyć ścisły obręb, w jakimby wedle systematyczniejszego pojęcia swojéj dziedziny trzymać się powinna, aniżeli zapomniéć, że społeczeństwa nie żyją samym tylko interesem materyalnym i bogactwa zgoła nie są główną siłą cywilizacyi.

Wzniosły polot geniuszu włoskiego żywym blaskiem przebił do dna i rozproszył ostatki ciemności średniowiecznych. Znakomity uczony, hrabia Sclopis, w swoich *Badaniach historycznych i krytycznych ducha praw,* przypomina wspaniałe słowa, któremi Dante na początku wieku czternastego zapowiadając rozwój sił ludzkości, mianuje już to *właściwém imieniem,* co my dzisiaj, mniemając używać nowego wyrazu, nazywamy *cywilizacyą.* „Jeżeli cywilizacya rodu ludzkiego [4]) — powiada on — ma miéć koniec użyteczny, ten koniec posłuży za początek dowodzenia tego, co nam pozostaje dowieść. Niedorzecznie byłoby myśléć, że ten koniec może być dla każdego rodzaju cywilizacyi osobnym, nie zaś dla wszystkich wspólnym. Obaczmyż te-

[4]) *De Monarchia*, lib. I. „Illud igitur, si quid est quod est finis utilis civilitatis humani generis, etc.“

raz, jaki to jest koniec całéj cywilizacyi ludzkiéj. Robota rodu ludzkiego uważana zbiorowie zależy na tém, żeby poruszywszy wszystkie siły, któremi umysł człowieczy władać może, za pomocą ich naprzód poznać, potém działać.“ Zdaje się, że słyszymy Kartezyusza, mówiącego nam o człowieku, zagarniającym siły przyrodzenia pod rząd swojéj woli!

Ale pamiętajmy przytém, kiedy to i gdzie zabłysła myśl Dantego, jaka wtedy była moralna wielkość Włoch, pierwsze źródło ich potężnego na świat wpływu. Kraina ta gorzała namiętném zamiłowaniem niepodległości, a sława jéj z męztwa, sztuk, literatury, smaku nie znała nigdzie współzawodniczki. Wolność nie była tam tylko teoryą: historyk średniowiecznych rzeczypospolitych włoskich, Sismondi, wykazał jéj skutki i do dziś dnia jeszcze trwające ślady. Przejęty szlachetnym zapałem naród, rozsypał koło siebie skarby inteligencyi, gustu, przemysłu i dostatków niezmiernych; łącząc moc charakteru z delikatnością uczucia, czynność zabiegliwą z płodnością wyobraźni, na wszystkich drogach cywilizacyi dosięgnął zadziwiających szczebli postępu. Siła twórcza wtedy go opuściła, kiedy stracił wolność, kiedy mu zabrakło téj potęgi promienia na zewnątrz, jaką rodzi niepodległość.

.

.

.

.

.

.

.

. , ...

.

Uczucie osobistéj godności i niepodległości podnosi duszę, porusza myśli, obudza emulacyę; jestto najpotężniejsza sprężyna w mechanizmie społeczeństw ludzkich, nic jéj nie dorówna i nic jéj nie zastąpi.

Niesłychana pomyślność rzeczypospolitych włoskich po-

chodziła nie zkądinąd, była ona dziełem wolności; nią zasilane drobne te kraiki, wyprzedziły praktyką w wielu gałęziach gospodarstwa publicznego wskazania nauki. Zresztą, praktyka umiejętności poprzedza zawsze samą umiejętność; rozbiór zjawisk zachodzących w społeczeństwie prowadzi do wyciągnienia zasady im wspólnéj, podobnie jak dla odkrycia praw świata materyalnego trzeba — wedle rad Galileusza — badać naturę pod wszelakim względem, *provando et riprovando*. Skoro wszczyna się ruch interesów nowych, troskliwość o ich powodzenie zmusza już do zastanawiania się nad ich biegiem; złe zwyczaje poczynają mieszać im szyki, następuje potrącanie się, przychodzi do walki tam, gdzie powinna była panować zgoda, a popełnione błędy stają się tém dotkliwsze, im bardziéj rośnie zakres rozwijających się stosunków. Wtedy nauka przystępuje do dzieła.

Ekonomia polityczna w czynie jest rzeczą jak świat starą; jest życiem osobistém ludu, objawem materyalnem duszy narodu. Człowiek naprzód działa, potém zestawia, rozważa wypadki tego działania; *sztuka* wiecznie poprzedza *naukę*, *fakt* stoi przed *spekulacyą*, i co nieraz brano za twór pomysłu, to prawie zawsze było mniéj-więcéj wiernym wizerunkiem rzeczywistości. Dziedzina nawet wyobraźni i fantazyi nie uchodzi z pod tego prawidła: arcydzieła poezyi starożytnéj pierwéj zachwycały umysły, nim się wzięto do sformułowania przepisów sztuki rymotwórczéj. Doświadczenie nabyte, przykłady dane prowadzą władzę pojmowania od faktów pojedyńczych do zasad ogólnych. Tak się też działo i z ekonomią polityczną; nauka ta musiała zrodzić się we Włoszech, bo ziemie włoskie były najludniejsze, najbogatsze, najprzemyślniejsze i najwolniejsze. Nastręczało się tam przeto ludziom myślącym najwięcéj zagadnień, które wywoływały twierdzenia naukowe.

W dziesiątym jeszcze wieku kwitnęło Amalfi; handel jego sięgał do Jeruzalem pierwéj, nim pomyślano o wyprawach krzyżowych. Przemysł wzbogacił to miasteczko szczycące się wynalezieniem igły magnesowéj i napisaniem

kodeksu morskiego. Morze Śródziemne było wielkim gościńcem podróży handlowych; wencyanie i genueńczycy przyszli do wysokiego stopnia świetności i potęgi, służąc jak później holendrzy, za przewoźników. Cały handel Wschodu i Afryki był w ich ręku, a produkcya ożywiona łatwością odbytu, wzrastała nagle. Potrzebaż wspomnieć o cudach Florencyi? Potężna przez swe rękodzieła i kapitały, obsadziła—rzec można—Europę swemi bankami i kantorami. Niektórzy jéj obywatele mieli zamożność królewską; dwaj z pomiędzy jéj bankierów Bardi i Peruzzi pożyczyli (około 1370) Edwardowi III, królowi angielskiemu milion florenów złotych, co znaczy 75 milionów franków; ośmdziesiąt domów finansowych prowadziło operacye po wszystkich krajach Europy. Na początku wieku czternastego dochód rzeczypospolitéj wynosił 300,000 florenów złotych (15 milionów franków), czego nie miał ani król Neapolu, ani król Aragonii, ani nawet — jak Macaulay świadczy — skarb Anglii z Irlandyą pod berłem Elżbiety. Florencya liczyła sto siedmdziesiąt tysięcy mieszkańców, dwieście sukiennic, trzydzieści tysięcy rzemieślników zajętych wyrobami z wełny; samego sukna przedawała corocznie za 60 milionów franków. Tkactwo wełniane tak tam było rozwinięte, że podatek tylko po dwa soldy od postawu sukna pobierany, wystarczył na zbudowanie wspaniałego kościoła Najświętszéj Panny Kwietnéj, ogromem i przepychém dorównywającego niemal stołecznéj świata chrześciańskiego świątyni, bazylice ś-go Piotra w Rzymie!

Obok Wenecyi, Genui, Florencyi, chociaż na stopniu nieco niższym, wrzało gorączkową czynnością mnóstwo państw małych, między któremi odznaczały się Bononia i Medyolan, najpiękniejsze z rzeczypospolitych lombardzkich.

Średniowieczna historya Włoch musi więc bardzo być nauczającą dla ekonomii publicznéj. Walki wewnętrzne, zawiści miejscowe, pożądania zazdrośne, wszystko to podżegało razem i współubieganie się i wojnę; pomyślność handlu i rękodzieł, rozwijanie się kredytu, mnogość sto-

sunków i swoboda ruchu otwierały szerokie pole pomysłom i instytucyom nowym.

W Wenecyi powstał pierwszy bank depozytowy i urodziła się straszliwa potęga pożyczek publicznych. Medyolan, Genua, Florencya rozmnożyły zakłady kredytowe. W roku 1421 doża Tomasz Mocenigo miał na wielkiéj Radzie mowę, przytoczoną przez p. Daru w jego historyi Wenecyi, [5]) z której można widzieć jakie były zasoby finansowe i jak daleko sięgał handel rzeczypospolitéj. „Wam jednym — mówił on — ziemie i morza stoją otworem. Wy jesteście kanałem wszystkich bogactw i zaopatrujecie wszystkie kraje. Cały świat składa się na wasze mienie, całego świata złoto spływa do was...... Starałem się ciągle przedsiębrać środki, aby procenta od pożyczek i wszelkie należności publiczne były regularnie co sześć miesięcy wypłacane; usiłowaniom moim powiodło się szczęśliwie.“ Mocno przekonany, że handel jest przyjacielem pokoju i niejako odgadując *teoryę dróg odbytu*, jedną z najpiękniejszych zdobyczy nowoczesnéj nauki ekonomicznéj, stary doża pragnął dać poznać, że narody są związane solidarnością złéj czy dobréj doli: „Strzeżcie się jak ognia, powiadał, naruszania cudzego dobra i wojny niesprawiedliwéj: kara boska dotknęłaby was za to..... Cóż będziecie sprzedawali medyolanczykom, skoro ich zrujnujecie? Czemże będą mieli wam płacić za wasze wyroby? A i z samemi wyrobami cóż się stanie, kiedy potrzeby wojenne odbiorą im podstawę kapitałów?“

W Medyolanie 1260 przystąpiono do opisu gruntów, i sto mennic zaledwo zdołało dostarczyć gotówki, jakiéj zapotrzebował wynikły ztąd ruch interesów. Florentczycy pierwsi ustanowili w wieku czternastym budżet przychodu i rozchodu (*bilancio*). Gonfalonier Piotr Soderini, wyprzedzając o trzy wieki sławne *Sprawozdanie* Neckera, przedstawił Radzie obraz wpływów i wydatków z ciągu lat ośmiu. Przemysł i handel miały potęgę i poważanie.

[5]) T. II, str. 295 i następne.

Szlachta jedwabna i *szlachta wełniana* podnosiła pracę z jéj dawnego upadku. Ziemia włoska pokrywała się mnóstwem pomników i pałaców, budziła geniusz artystów, poetów i myślicieli, zapalała pochodnię nauki, a obok sztuk najwznioślejszych odbywała obroty finansowe najwyrachowańsze; musiało przyjść prędko do sformułowania zasad.

Zarysy ich poczynają odznaczać się w pismach, które będąc poświęcone polityce ogólnéj, nie mogły pominąć najważniejszych interesów życia społecznego. Bystra przenikliwość Machiavellego musiała zabłysnąć i pod tym względem. Zapewne, autor *Principe* nie zajmował się wyrobieniem doktryny ekonomicznéj; ale dosyć mu było dotknąć tych zagadnień, żeby na nie żywe światło rzucić. „Bezpieczeństwo publiczne i opieka—pawiada on—są nerwem rolnictwa i handlu; przetoż panujący powinien zachęcać poddanych do spokojnego zajmowania się handlem, rolnictwem i wszelkiemi gałęziami przemysłu, a to tak czyniąc, aby nie zaniedbywali ulepszać swoich posiadłości z obawy, że mogą być im zabrane, i rozwijać zatrudnień handlowych ze strachu, że mogą być dowolnie podatkami obarczone.... Pod rządem łagodnym i umiarkowanym, ludność zawsze jest większa, bo małżeństwa kojarzą się chętniéj i swobodniéj; każdy życzy sobie mieć tyle dzieci, ile wyżywić może, kiedy nie lęka się, żeby mu wydarto majątek, wie że jego potomkowie rodzą się wolnymi nie zaś niewolnikami, i widzi otwarte przed nimi pole do wznoszenia się przez zasługę.“ [6])

Geniusz wielkiego florentczyka mocno jest napiętnowany żywiołem miejscowości. Cuda, jakich dokazała dzielność osobista pojedynczych ludzi, zasłaniają mu przed oczyma widok praw moralnych i zamiarów Opatrzności. Człowiek u niego samowładnym panem, rozum, zręczność, przemoc i podstęp rządzą światem; *indywiduum* jest potęgą obracającą wszystkiém, i téj potędze racyonalny umysł Machiavellego poświęca wszystko. Widać tu na samém czele czło-

[6]) Principe, 10.

wieka praktycznego, *uomo di pratica.* Jeżeli metoda postrzegania przypomina w nim Arystotelesa, to znowuż gorący patryotyzm podaje mu maksymy wzniosłe, rzeczywiście godne ludu wolnego, i zupełnie odpowiednie najpłodniejszym interesom ekonomii społecznéj. Co do przypisywanéj jemu doktryny i zarzucanéj czci religijnéj dla powodzenia, powiedziano już słusznie, ze Machiavelli odmalował *machiavelizm,* ale go nie wymyślił. Przyjmując metodę historyczną i eksperymentalną, uczynił ją zaraz niezupełną, skoro odłączył politykę od moralności i prawa. [7]) Ale wtedy nawet, gdy kreślił przerażający obraz rzeczywistości, uczucie wzniosłe kierowało jego piórem, i dodawało sił jego myśli; uczuciem tém była miłość ojczyzny włoskiéj i pragnienie jéj niepodległości. Monarchowie chcieli widzieć w *Panującym* tylko jakiś brewiarz samowładztwa. Henryk III możeby nie nosił się z tą książką, [8]) gdyby lepiéj był pojął jéj dążność prawdziwą.

W rozwagach nad Tytusem Liwiuszem, w swoich *Ritratti di Francia et dell' Almagna,* jak również w *Panującym,* Machiavelli często rzucał ważne myśli i subtelne postrzeżenia w rzeczach ekonomii. Z toku wypadków oglądanych wielostronnie wynika, że te rzeczy obejmuje prąd ogólny życia narodowego; nie szło bowiem o to, żeby je wyłączyć i zbudować z nich doktrynę, ale żeby zrozumiéć i uwydatnić. Przenikliwy umysł Machiavellego nie mógł pominąć tego szeregu pojęć, ani nie wyciągnąć zeń uwag znakomitych. Jeden młody uczony, któremu szkoła historyczna niemiecka winna wiele prac ważnych, profesor uniwersytetu w Friburgu-Brisgowskim, Knies, zrobił zajmujące studium nad *Machiavellim* jako *ekonomistą.* [9]) Odkrywa on w dziełach tego wielkiego pisarza mnóstwo widoków, godnych zastanowienia.

[7]) Mancini, *Machiavelli e la sua doctrina politica.* Torino 1852.

[8]) „Machiavellum, qui perpetuus ei in sacculo atque manibus est." Boucher, *De justa Henrici tertii abdicatione.*

[9]) *Nicolo Machiavelli als volkswirthschaftliger Schriftsteller (Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft.* 1852).— Robert Mohl, w wielkiém swojem dziele: *Die*

Rzeczypospolite włoskie przygotowały postawienie doktryn, oddając się wielkiemu doświadczeniu, które po raz pierwszy, stosunki handlu i przemysłu, tudzież działalność pracy wyniosły do wysokości praktyki rządowéj. Jak potęgę swoją były one winny bogactwu, tak też musiały zastanawiać się nad przyczynami, od których bogactwo zależy. Żywe uczucie wolności natężało wszystkie ich usiłowania, częstokroć przerywane i mięszane przez wojny polityczne albo handlowe; przebiegła jednak czynność umysłów i mocne wzięcie się do rzeczy, wypływające z energii osobistéj, umiały zawsze przełamując zawady, nadawać szybki popęd rękodziełom, hadlowi i kredytowi. We Włoszech należy szukać zawiązku wielkich kreacyi nowoczesnych; ztamtądto wyszły weksle bankowe, spółki przedsiębiercze, asekuracye morskie, różne zastosowania ducha stowarzyszeń i wielorakie instytucye kredytowe; Włochy były ojczyzną Krzysztofa Kolumba, który nowy świat odkrył, i Ameryka Wespucyusza, który temu światu swe imie nadał.

Rewolucya monetarna, jaką odkrycie Ameryki sprawiło, zastała umysły przysposobione do pojęcia jéj natury i następstw, w narodzie oswojonym z operacyami bankierskiemi i oddawna zgłębiającym prawdziwe przyczyny wartości pieniędzy. Do zastarzałego wyobrażenia, że wartość ta zależy od panujących, przyłączył się jeszcze interes mniéj skrupulatnych rządów, które w spodleniu monety znajdowały dogodny sposób wyjścia z długów przez zakryte bankructwo. W owym czasie, kiedy Dante nieśmiertelném dziełem wyciskał na królu Filipie Pięknym niezatarte piętno: *falsificatore della moneta*, spotykanie się wszelkiego rodzaju pieniędzy na targu włoskim,

Geschichte und Litteratur der Staatswissenschaften, którego trzeci i ostatni tom wyszedł teraz, poświęcił florenckiemu politykowi rozprawkę pod tytułem: *Die Machiavelli Literatur*, w któréj nie zgadza się z Kniesem. Jeden z najlepszych rozdziałów *Historyi filozofii, moralności i polityki* Pawła Janet (dzieła świeżo uwieńczonego przez akademię nauk moralnych i politycznych), poświęcony jest Machiavellemu.

który stał się faktorem i liwerantem Europy, nastręczyło prędko pojęcia zdrowsze o zasadach ceny i warunkach kredytu. *Moneta bankowa* zaprowadzona dla ustalenia miary stosunków, powiodła do rozróżnienia wartości nominalnéj od wartości wewnętrznéj rzeczy i skierowała na drogę do poznania prawdziwego znaczenia pieniędzy. Powołaniem nauki jest zbijać błędy i nadużycia; nic też dziwnego że we Włoszech, gdzie było zbiegowisko monet całego świata, zjawiły się najdawniejsze i najlepsze dzieła o monecie. Podobnież ma się rzecz i co do wielu innych prawd wykazanych przez ekonomię polityczną.

. .

. .

. Zarzucają teraz ekonomii politycznéj, że jest tylko *nauką opisową*, i że jéj prawidła ograniczają się na wiernem przedstawieniu tego co jest, nie zaś co być powinno. Na nieszczęście, jeszcześmy tak daleko nie doszli; jednakże przyznać trzeba, że wszędzie gdzie cokolwiek w téj mierze jest, zdobyła to nauka. Nie masz żadnéj prawdy przyjętéj i dziś pospolitéj, któraby kiedyś pierwéj nie była nowością śmiałą. Jeden z naszych szanownych kolegów i przyjaciół, Faustyn Hélie, podnosząc nie dawno sławę Beccarii wyrzekł, że pozaprowadzane zmiany w systemie karnym ujęły wiele tego uroku dziełom szlachetnego filantropa, jaki miały one wtenczas, kiedy nadużycia—dzięki jego wołaniom zniesione późniéj—przerażały jeszcze ludzkość. Godziłoby się podobnież powiedzieć o zasłudze dzieł ekonomistów, a Włochy i pod tym względem mogą poszczycić się otwarciem drogi innym narodom.

Dla przeświadczenia się o tém dosyć jest przejrzéć szacowny zbiór, wydany przez barona Custodi: *Scrittori classici Italiani di Economia politica.* W siedmiu tomach mieści się część starożytna, a w czterdziestu dwóch nowoczesna; tom pięćdziesiąty i ostatni zawiera szczegółowy rozbiór tych pism, zbyt mało znanych i zgłębianych poza granicami Włoch. „Nie stanowią one systemu zupełnego, ale dotykają wszystkich zadań i rozwiązują je z nieposposlitą mocą.

Odznaczając się jasnością pojęć i siłą wywodu, prace te noszą na sobie jakieś znamie pierworodztwa i niezawisłości, co zawsze powiększa zaletę dzieł początkujących. Geniusz włoski trzyma je w karbach rzeczywistości i praktyki, strzeże od urojeń i nadaje im—jeżeli wolno tak powiedzieć—smak miejscowości, który podnosi ich wartość.“

Fałszerstwo monety sprawiło wszędy zamieszanie; *morbus numerarius*, klęska uważana za równą zarazie, wywołała dla zaradzenia złemu jedno z pierwszych dzieł ekonomii publicznéj: *Mowę o monecie i prawdziwym stosunku złota do srebra* [10]). Autor jéj, hrabia Scaruffi, będąc dyrektorem mennicy w Reggio, przypatrzył się zblizka owéj — jak ją sam nazywa—*pożodze roznoszącéj zniszczenie po świecie.* Nie ograniczając się widnokręgiem swego kraju, bo duch włoski, spadkobierca starego a współdziałacz nowego Rzymu, zdaje się radby ogarnąć świat cały,—Scaruffi powziął wielką myśl ustanowienia monety powszechnéj, mającéj obieg we wszystkich państwach Europy. Chciał on, żeby wielki kongres tych państw przyjął jedną stopę menniczną złota i srebra, umówił się o kształt, aliaż, stępel, napis i walor rozmaitych sztuk monety brzęczącéj. On także doradził dla zabezpieczenia powszechnego ustanowić *cechowanie* wszystkich złotych i srebnych wyrobów złotniczych.

„Nie będzie nikogo — powiadał — ktoby się nie chwycił nowego urządzenia, bo zamęt monetarny powiększa się ciągle, a każdy by pragnął w sprawiedliwie odważonéj ilości kruszcu szlachetnego mieć istotną zapłatę tego, co się mu należy. „Trzy wieki upłynęły od czasu jak Scaruffi objawił swoje życzenia, a jedność systemu monetarnego, chociaż praktyka częściowo zbliżyła się ku niemu, również jak jedność miar i wag, należy jeszcze do oczekiwań w przyszłości.

Widać tu odrazu skłonność ekonomii politycznéj do działania na zewnątrz i kosmopolityzmu. Kwestya wszakże,

[10]) *Discorso sopra le monete, e della vera proporcione trà l'oro e l'argento*, il cui titulo originale è: *Alitinonfo*, di M. Gasparo Scaruffi per far regione, etc. 1852.

jakkolwiek przez rozwiązanie swoje mogąca mieć wpływ wielki na rozmaite gałęzie stosunków ekonomicznych, sama przez się była specyalną, bo moneta jest tylko ogólnym znakiem zamiany. Nie długo po rozprawie Scaruffiego i niemniéj uczących uwagach florentczyka Davanzati, tłómacza Tacyta, nad monetą i wekslami ukazał się prawdziwy traktat ekonomii politycznéj, którego autor, Antoni Serra, rodem z królestwa Neapolitańskiego, zkąd wyszło tylu genialnych ludzi, słusznie może być uważany za pierwszego założyciela téj nauki. Nazwał on dzieło swoje *krótkim traktatem o przyczynach, mogących sprawić obfitość złota i srebra w krajach pozbawionych kopalni tych kruszców* [11]. Tytuł ten mógł wprowadzić w błąd pisarzy, którzy rzuciwszy okiem na pierwszą stronicę, nie zadali sobie pracy rozpatrzyć się w książce, godnéj rozmyślnego przeczytania. J. B. Say przyznaje Włochom [12] przewodnictwo w zastanawianiu się nad źródłem i rozlewaniem się bogactw, jak miały je od czasu odrodzenia się nauk we wszystkich prawie rodzajach umiejętności i sztuki; ale mówiąc o traktacie Antoniego Serry, który wykazuje władzę produkcyjną przemysłu, sądzi go z tytułu dzieła i oskarża jakoby „bogactwem dla niego było tylko złoto i srebro.“ Trocha dojrzalsza rozwaga treści złagodziłaby zapewne tę surowość wyroku. Niewątpliwie, obfitość złota i srebra nie jest ani samém bogactwem, ani jego miarą, ale jest — jak to powiedział jeden z najdawniejszych ekonomistów francuzkich — Boisguilbert, *środkiem i drogą, a płody potrzebne do życia są końcem i celem.* Złoto i srebro mają tylko wartość względną, to jest o tyle, o ile mogą dostarczyć rzeczy użytecznych, których wyrażają cenę, to prawda; wszakże, gdzie te narzędzia zamiany znajdują się i działają, świadczą o będącéj tam obfitości produkcyi i ruchawości obiegu. Pomyłka, jakiéj Serra nie zupełnie uniknął, zanadto biorąc wizerunek i cień bogactwa za bogactwo same, nie przeszkodziła mu je-

[11]) *Breve trattato delle cause che possono far abondare i regni d'oro e d'argento dove non sono miniere.* 1613.

[12]) *Traktat ekonomii politycznéj;* wstęp, str. 19.

dnak dojść prawdziwych przyczyn potęgi i zamożności kraju. Nie uchodzą mu zpod oka ani żyzność ziemi, ani wyroby rękodzieł, ani zyski handlu; nie przestając na tem, wyprowadza na jaw jako siłę ekonomiczną główny żywioł produkcyi, *człowieka*, i skutki działalności rozumnéj; nakoniec, rozważa formę rządu pod względem jéj wpływu na dobry byt i dostatek publiczny. Wszystkie korzyści przyrodzone państwa obróciłyby się wniwecz bez zabezpieczeń politycznych, bez utrzymania porządku i stałości praw. Pierwszym warunkiem pomyślności narodu są instytucye polityczne; to też Antoni Serra wyciągając płodne wnioski z *nauki rządzenia państwem*, stanowiącéj osobną gałęź, nie myślał jéj odszczepiać, owszem pamiętał ciągle na ścisły jéj związek z całością życia politycznego. Ojciec nowoczesnéj ekonomii politycznéj, Adam Smith, idzie drogą wskazaną przez Serrę, kiedy uznaje instytucye liberalne za niezbędne dla pomyślności materyalnéj narodów.

Nie przedsięwzięliśmy kreślić tu całkowitego obrazu usług, jakie Włochy oddały nauce ekonomii politycznéj; zamiar nasz jest skromniejszy: chcielibyśmy tylko pobudzić, aby starano się lepiéj je ocenić, rozpatrując się bliżéj w zasłużonych pisarzach włoskich. Hrabia Peccio zebrał w zajmującéj, chociaż bardzo niedostatecznéj książce[13]), treść niektórych myśli rozsypanych po uczonym zbiorze barona Custodi; ale trzeba czerpać to szacowne światło z samego źródła.

Od pół wieku ogłaszane prace świadczą dowodnie, że ekonomiści włoscy potrafili utrzymać się na wysokości swoich poprzedników; dosyć będzie tu wymienić takich ludzi jak Gioja, Romagnosi, Fuoco, Ferrara, Scialoja, Bianchini i Cibrario, żeby okazać ważność dzieł w tym przedmiocie.

Profesor Bocardo przedsięwziął ogromną pracę wydania *Słownika ekonomii politycznéj i handlu*, obejmującego teoryę i praktykę, historyę i naukę, prawo handlowe i biografie sławnych pisarzy. Robota tyle już jest posunię-

[13]) *Storia della economia publica in Italia, ossia epilogo critico degli economisti italiani precedute da un' introduzione.* Lugano, 1829; drugie wydanie 1832.

ta [14]), że można powinszować autorowi szczęśliwego uskutecznienia zamiaru, który mógł wydawać się zbyt śmiałym, gdyż nie będzie to kompilacya, ale dzieło prawdziwie oryginalne, dobrze pomyślane i wykonane przez człowieka biegłego w naukach, które chce spopularyzować, podając ich wykład w formie wygodnéj do poszukiwań. Doktryny uczonego profesora, w ogólności są uzasadnione i wzniosłe; świadczą one o nauce rozmyślnéj i erudycyi gruntownéj.

Oddając słuszną cześć Francyi, gdzie w przedmiocie nauk ekonomicznych powstał pierwszy system założony mocno i rozwinięty logicznie, system *fizyokratów*, przyznając należny zaszczyt Anglii, gdzie nauka ekonomii, dzięki dokładności geniuszu filozoficznego Adama Smitha, przybrała swą postać ostateczną, wspomniany dopiero Bocardo dopomina się o przyznanie Włochom zasługi, że były kolebką ekonomii politycznéj. Nie jest to jedyna ich zasługa, i nie pod jednym względem pierwszeństwo w doktrynach uważanych dzisiaj za najnowsze, przysądzone im być powinno. Czy to idzie o system handlowy, rolniczy, przemysłowy, czy o ludność, podatki, monetę, kredyt, łatwo w zebranych przez barona Custodi dokumentach wskazać początkowe zarysy pojęć ekonomii politycznéj, następujących kolejno po sobie aż do panującego dzisiaj pojęcia, które dosięgnąwszy zasady najwyższéj, w pracy ludzkiéj zastosowanéj do ziemi, przemysłu, handlu, widzi pierwsze źródło bogactwa, jak w duchu ludzkim najpotężniejszą dzwignię produkcyi.

Każde z twierdzeń, które nam przeszłość zostawiła, ma pewną stronę niezaprzeczonéj prawdziwości; są to prawdy, ale jeszcze nie prawda. Złoto, srebro, handel dostarczający ich okolicom gdzie się nie dobywają, rękodzieła, przemysł, rola, środki obiegu pieniędzy, wszystko to jest narzędziem albo objawem, ale nie pierwszém i pra-

[14]) Mamy już zupełny tom pierwszy i prawie połowę tomu drugiego wybornéj publikacyi.

wdziwém źródłem bogactw, źródłem wynikającém z siły wyższéj, niezawisłéj od form i zastosowań jakim może podpadać. Ta siła duchowa była dostrzegana przez najdawniéjszych ekonomistów włoskich, jako główny czynnik we wszelkim organizmie społecznym; rozumieli oni ile zależy na swobodném rozprężaniu się téj potęgi twórczéj. Bez wolności, powiada Genovesi, nic nie może kwitnąć, ani rolnictwo, ani sztuki, ani handel [15]). Wolność cywilna, wedle definicyi Verrego, jestto przekonanie o zupełnem *bezpieczeństwie*, którego każdy używać powinien [16]). Sięgając daléj w głąb zadania Paoleti narzeka, że *politycy* nowocześni, chcąc zbogacać państwa, mówią tylko o handlu i pieniądzach, kiedy dawniejsi troszczyli się o cnoty i obyczaje [17]). Tak to żywioł ludzki i polityczny, gdzieindziéj podobno zbyt zaniedbany, zawsze szerokie miejsce zajmował w widokach nauki włoskiéj.

Hrabia Pecchio zauważał bardzo trafnie, że systema powszechnie noszą na sobie piętno miejsca, gdzie się tworzą. Ilekroć idzie o wyniesienie jednego rodzaju pracy nad inne i zrobienie z niego osi obrotu dla całéj doktryny, myśliciele mimowolnie powodują się tém, na co we

15) „Ma le arti non fioriscono, dove non si lascià, quella libertà agli artisti.... Quell' opprimere lo spirito de contadini, de pastori, degli artisti; quel vessarli per ogni dove: quell'altra versare insuperabili il commercio, è, a pensarla drittà, indebolirè i fondamenti de la propria grandezza". (Genovesi, 114, Custodi, XIV).

16) „Procurare agli abitanti un intima persuasione della propria sicurezza, nel che solo consiste la libertà civile". (Verri *Meditazione*, 37).

Assodare la proprietà, preziosisimo bene dell'uoma sociale. Procurare agli abitanti la magior possibile persuasione della propria sicurezza, nel che solo consiste la libertà civile". (Verri, *Dell' annona*, 16).

17) I moderni politici non parlano che di commercio e di danaro; conviene sovente rammentarsi della maniera di pensare de politici antchi, i quali parlavano sempre de' costumi et della virtù, due cose troppo essenziali per constituire veramente ricchi, abondanti e felici gl' imperi, (Zbiór Custodi, XX, str. 427).—Il primo e più gran fondamento delle arti, dell'opulenza, della felicità di una nazione sono certamente li intellectuali et le morali virtù. L'ignaranza e il vizio tendono a deteriorare nell'uomo la forza dell' animo e delle membra, e quindi a precluder la via della sapienza e delle arti che ne son figlie.... (*Ibid.*, XXVI, p. 337).—Il costume dunque e la virtù è il più gran mezzo che possano adoperare i sovrani per far fiorire le arti, per accrescer l' industria, per promuovere le utili fatiche et per moltiplicare le entrate della società". *Ibid.*, p. 338).

własnym kraju patrzą, i to najczęściéj bywa główną przyczyną niezgody ich pojęć. We Włoszech także, z różnicy krajów pochodziły różnice zdań. Pisarze, według usposobień i skłonności swoich okolic, dawali pierwszeństwo rozmaitym zatrudnieniom. Toskańczycy Paoleti i Bandini, jak również lombardczyk Beccaria, stawili na czele rolnictwo; Galiani, Palmieri i Genovesi, wszyscy trzéj neapolitańczycy, zalecali handel zewnętrzny; Zanon i Algarotti, olśnieni blaskiem przemysłowym Wenecyi, wywyższali pracę rękodzielną.

Ale mimo to, bez względu na przesady i praktyki uświęcone rutyną, umieli oni wszyscy wznosząc się do zasad ogólnych, karcić nadużycia istniejące. Bicie pieniędzy, handel zbożowy, skarbowość, podatki, poddaństwo, wywłaszczenia, rozmaite monopole, stawały się kolejno przedmiotem ich krytyki i projektów reformy.

Jakkolwiek szczupły jest zakres niniejszéj pracy naszéj, nie możemy pominąć w milczeniu usiłowań kilku ludzi celujących.

Archidiakon Bandini (ur. w Siennie 1677, um. 1760), napisał w 1737 r., swoje *Discorso economico*, ogłoszone dopiero w 1755. Główne myśli tego pisma każą widzieć w autorze istotnego przewodnika fizyokratów, jak to okazał Gorani [18]), wyświecając razem, że ani Quesnay ani jego uczniowie, zgoła nie znali rzeczonéj rozprawy. Trzeba, powiada Bandini, zostawić naturalny bieg rzeczom, a regulować go za pomocą nie wielu jak najprostszych prawideł [19].) Wolność przyczynia się razem i do najsprawiedliwszego wynagrodzenia producenta i do mnożenia się produktów; należy jéj strzedz nadewszystko w handlu zbożowym. Nakoniec, nie obfitość pieniędzy, ale ich szybki obieg sprawuje wzrost bogactw. Jak pochodnia obracana w koło, tworzy krąg światła, tak suma pieniężna w obiegu

[18]) *Elogio di Bandini.* (Custodi, część nowożytna, I).

[19]) „Deve lasciarvisi operar la natura, deve regolarsi con pocche leggi, e queste semplici ed a portata di pastori e di agrocoltori; bisogno ristorare il cuore con qualche respirò di libertà per ristorarlà....“ (Custodi, część nowożytna, I, 112).

powtarza się niejako bezustanku. Jeden talar, który przez sto rąk przechodzi, spełnia usługę stu talarów raz tylko oddanych z ręki do ręki.

Bandini, dumając nad smutnym stanem Maremy sienéjskiéj, został ekonomistą. Postrzegł on w wolności tę moc zbawienną, jaką ma czyste powietrze na uzdrawianie chorych, a był tém szczęśliwszy od wielu innych, że swoim pomysłom reformy zjednał przyjęcie. Rad jego stwierdzonych i popartych pracami inżyniera Ximenesa, usłuchał wielki książe Toskanii Leopold, którego pamięć błogosławią mieszkańcy téj krainy, i okolica niezdrowa, zaniedbana i nędzna, zamieniła się w uprawną, przemyślną i bogatą. Była ona niegdyś kwitnącą, ale złe środki administracyjne . przywiodły ją do najopłakańszego stanu. Samo odjęcie wszelkiéj wolności pracy i handlu wystarczyło na obrócenie ziemi z natury płodnéj, w jałową i biedną. Bandini, podobnie jak Sully, był tego przekonania, że przyrodzenie nierównie uposażyło różne kraje, żeby je zmusić do związków i stosunków między sobą; powodowany myślami, które miał zaszczyt rozwinąć a szczęście w czyn wprowadzić, otworzył ojczyźnie swojéj epokę nowéj pomyślności. Życie jego nie przeciągnęło się dosyć długo, żeby mógł cieszyć się widokiem spowodowanych skutków; był on jednym z tych ludzi, których Bacon *sługami przyszłości* nazywa.

Ekonomiści francuzcy ze swojéj strony, z wielką mocą dowodzenia i z oświeconém zamiłowaniem dobra publicznego [20]), wyłożyli zasady docieczone przez Bandiniego. Słuszna ich sława nie powinna ćmić pamięci skromniejszych ale nie mniéj użytecznych zasług pisarza włoskiego.

Traktaty Borgii o podatku i monecie [21]), zawierają trafne

[20]) Prace Quesnaya sięgają r. 1758. Artykuły jego: *Fermiers*, *Grains*, umieszczone w *Encyklopedyi* 1786, zrobiły żywe wrażenie. *Le Tableau économique* wyszedł 1758.

[21]) *Trattato de tributi*; — *Trattato della moneta.* 1743. (Custodi, część starożytna, IV.)

rzuty oka na rolnictwo, przemysł i handel uważane jako żywioły bogactwa krajowego. Wykazuje on przytém, że dobry byt klas niższych i chłopów jest warunkiem potęgi i spokojności państwa. Rozbiór bardzo subtelny do odrzucenia zasady podatku jedynego. Trzy są źródła dochodu, które powinny składać się na pokrycie wydatków krajowych: własność ziemska, opłaty konsumpcyjne i cła, które wszakże mają być jak najumiarkowańsze. Co do przemysłu, ponieważ ten stanowi główne zródło potęgi i szczęśliwocśi państwa, nie należy go tykać, aby czasem nie osuszyć. — Najznamienitszą częścią pracy autora jest ta, gdzie traktując o podatku konsumpcyjnym, wyświeca jego zalety. Podatek ten opłaca się dobrowolnie, nie z musu; łącząc się z ceną rzeczy spożywanych, odpowiada możności kupującego i staje się ciężarem mało dotkliwym; nareszcie, każdy się z niego uiszcza codziennie, nie mając potrzeby ani odkładać grosza na stronę, ani naruszać uzbieranéj oszczędności, co jedno i drugie wiele jest uciążliwem dla klas ubogich.

Borgia, mimo uprzedzeń właściwych szkole handlowéj, mięszających mu niekiedy zdrowy jego rozsądek, należy do pisarzy, których dzieła mają najwięcéj pożywności. Nie popadając w błąd bardzo naówczas pospolity, nigdy on nie uważa pieniędzy za prawdziwe i niemal jedyne bogactwo kraju, ale w tworzeniu i zamianie produktów widzi najpierwszy warunek pomyślności narodowéj.

W swoich *Postrzeżeniach nad ceną prawną pieniędzy* [22]) P. Neri wyłożył bardzo jasno i dokładnie najważniejszy punkt tego przedmiotu. Powołując naukę prawa w pomoc do rozwiązania kwestyi ekonomicznéj, uczony florentczyk usprawiedliwia prawoznawców rzymskich z czynionego im zarzutu, jakoby nie pojmowali natury monety, uważając jéj wartość niejako za przypuszczalną i zależną od woli panującego. Prosty wrodzony rozsądek wykładaczy prawa rzymskiego, ustrzegł ich od tego błędu

[22]) *Osservazioni sopra il presso legale delle monete*, 1751.

i wskazał im drogę do wielu prawd nauki ekonomicznéj. Na dwóch tomach obejmujących prace, które zostawił Neri, zamyka się część starożytna zbioru barona Custodi. W części nowożytnéj błyszczą szczególniéj między innymi: Carli, Algarotti, Pagnini, Galiani, Genovesi, Beccaria, Verri, Paoletti, Ortès, Filangieri, D'Arco, Vasco [23]) i Mengotti.

Dziełem, któremu Carli winien słusznie pozyskaną wziętość jest jego obszerny traktat o monecie. Rozpatrzenie stanu ekonomicznego Włoch przed odkryciem Ameryki czyni tę pracę wielce szacowną. Najznakomitszem wszakże pismem jego są uwagi nad *bilansem handlowym* [24]). Skreśla on warunki, na jakie głównie należy mieć wzgląd w każdorocznem porównywaniu handlowych stosunków narodu, i nie zaslepia się pozorem wniosków ztąd wypadających. Różnica między przywozem a wywozem zgoła nie wystarcza do wyrzeczenia, że takie a takie państwo zyskuje lub traci, wzmaga się lub upada: trzeba jeszcze wziąść tu na uwagę ludność, procent pieniężny i cenę produktów. Z drugiéj strony, Carli nie uważa ziemi za jedyne bogactwo człowieka, ma on szerokie pojęcie mnóstwa rozmaitych interesów wpływających na pomyślność krajów. Jedna klasa ludzi nie stanowi społeczeństwa; naród złożony z samych filozofów i literatów wymarłby głodem; gdyby składał się tylko z rzemieslników i kupców, prędkoby czynność jego musiała ustać; tam gdzieby byli sami bogacze, panowie, właściciele, skończyłoby się na bezrządzie; gdzie zaś nie byłoby nikogo prócz ludu, kraj stałby się nędznym i niebezpiecznym dla władzy. Ze zbiegu tych różnych sił wynika równowaga społeczeństwa, a szczęście wszystkich wymaga, żeby nikt nie był zaniedbany albo poświęcony dla drugiego.

Ale kto chce poznać ekonomistę, w rozległem tego

[23]) Jan-Chrzciciel Vasco był piemontczykiem; ma być teraz wzniesiony pomnik temu pisarzowi, którego umysł liberalny sięgał daleko. Piemont prócz niego wydał wielu ekonomistów; pomiędzy tymi z należących do naszego wieku odznaczają się: Gambini, Galeani Napione i Prosper Balbo.

[24]) *Breve ragionamento sopra i bilanci economici delle natione.* (Custodi, XIV.)

wyrazu znaczeniu, niech się zastanowi nad Genovesim. Biegły w umiejętnościach starożytnych i w filozofii, pisarz ten był prawdziwie powołany utworzyć całość nauki ekonomicznéj we Włoszech. On to zajął katedrę, założoną 1755, przez księdza Intieri, umyślnie dla téj drugiéj *scienza nuova* w ojczyźnie Vico. Prawie w tym samym czasie, kiedy Adam Smith wykładając w Glasgowie (1754) filozofię moralną, wznosił podstawę dla swoich *Badań natury i przyczyn bogactwa narodów*, Genovesi czytał swoje *Lekcye ekonomii cywilnéj* [25]).

W pracach Genovesiego widać filozofa, który zgłębił naturę człowieka i naturę rzeczy. Nie pomija on też wpływu ekonomicznego *sztuk*, jako kształcących umysł i podnoszących ducha. Z drugiéj strony, *pracę* uważa za pierwszy kapitał narodów. Im większa jest liczba pracujących, tém większa pomyślność wszystkich. Praca wymaga trudu, ofiary, ale też wszystko rodzi się w cierpieniu; jestto prawo tego świata, które szanować i błogosławić należy. Pieniądz nie stanowi bogactwa, to tylko *tłuszcz ułatwiający obrót kół*, przyczem Genovesi bardzo pięknie mówi: „Don-„kiszoty mniemanéj filozofii i Syzyfy chemii, przez wiele „lat smażąc sobie mózgi, przyszli nakoniec do tego, że je-„dyny sposób robienia pieniędzy, jest pracować uczciwie, „co wiele jeszcze półgłówków wprawia w rozpacz.“

Myśl Genovesiego ma zawsze polot wzniosły i we wszystkiem co wyszło z pod jego pióra góruje idea moralna. W jednym liście pisanym 1765, tak wyraża pokrótce, co było celem i przeświadczeniem całego jego życia: „Jestem stary i niczego nie oczekuję, niczego nie żądam na ziemi. Szczęściem dla mnie byłoby zostawić moich Włochów trochę więcéj oświeconych niżelim zastał, a nadewszystko więcéj miłujących cnotę, jedyną rodzicielkę wszelkiego dobra. Daremnie myśleć o sztukach, o handlu, o administracyi, nie myśląc o moralności.“ Te zacne słowa dobitnie pokazują dążność nauki ekonomicznéj we Wło-

[25]) Lezioni di economia civile. (Custodi, VII, VIII i IX.)

szech, bo piętno, jakie na niéj Genovesi wycisnął, nie zatarło się nigdy.

Sławny autor dzieła: *O występkach i karach*, Cezar Beccaria był więcéj jeszcze ekonomistą niżeli prawnikiem. Zasługuje on pod tym względem na szczególną rozwagę, jaką zamierzamy poświęcić wkrótce jego *Lekcyom ekonomii publicznéj* [26]), bardzo mało znanym po zagranicami Włoch, kiedy przeciwnie traktat *Dei delitti et delle pene*, był tłómaczony na dwadziescia dwa języki. Poprzednik Adama Smitha, jak Bandini, Quesnaya i Turgota, dał on nauce ekonomii za środek ciężkości zasadę: „Nie największa ilość pracy spełnionéj, ale największa ilość *pracy użytecznéj*, to jest dostarczającéj najwięcéj produktów, przynosi korzyść narodom.“ [27]) Skoro ta prawda została okazaną, wszystko co skraca i ułatwia pracę, co zmniejsza *wysiłek* a pomnaża *wypadek*, stało się celem poszukiwań. Zasada znana w mechanice przechodząc do ekonomii społecznéj, pociągnęła za sobą zastosowanie umiejętności do przemysłu, rozpowszechnienie machin i użycie *podziału pracy*. Czy Beccaria wziął z Platona i Arystotelesa, czy sam odkrył tę wielką prawdę, to pewna wszakże, że nie tylko ją wskazał ale i rozwinął pierwéj od Adama Smitha, bo *Elementi di economia publica* były pisane między 1769 a 1771 rokiem. To spotykanie się, na jakie mieliśmy już sposobność zwrócić uwagę z powodu Bandiniego i fizyokratów, jest jeszcze jednym dowodem, że tak w sferze umiejętności jak w dziedzinie przemysłu, idee dojrzałe objawiają się umysłom wyższym na różnych, odległych nawet miejscach, a te biorąc je i wyrabiając przychodzą jednocześnie do tych samych wypadków. Nic jaśniejszego nad wykład Beccarii: [28])

[26]) Elementi di economia publica, 1769. (Custodi, część nowożytna, XI i XII.)

[27]) „Excitare nella nazione la maggiore quantità possibile di trawaglio utile.“ (Beccaria, *Economia publica*, § 17.) — „Ho posto per prinzipio generale di tutta la scienza non la massima quantità di travaglio, generalmente, me la massima quantità di travaglio utile.“ (§ 19.)

[28]) Ciascuno prova coll' esperienza, che applicando la mano e l'ingegno sempre allo stesso genere di opere e di prodotti, egli più facili, più abondanti e mi-

„Doświadczenie uczy nas, że każdy ktoby przykładał ciągle rękę lub umysł do jednego rodzaju zatrudnienia czy pracy, otrzymywałby rezultat łatwiejszy, obfitszy i lepszy, niżeli gdyby pracował osobno nad wszystkiém, co mu potrzeba. Jedni hodują owce, drudzy czeszą wełnę, inni zajmują się jéj tkaniem; ten zbiera zboże, ów piecze chléb, inny rolnikom i rzemieślnikom dostarcza odzienia albo narzędzi: tym sposobem pomnaża się siła rodzajna sztuk, wszystkie sztuki wiążą się z sobą, a ludzie dzielą się na klasy rozmaitych zatrudnień, dla dobra ogólnego i z pożytkiem prywatnym.“

J. C. Say przyznał, że Beccaria pierwszy uwydatnił charakter produkcyjny kapitału; myśli jego we względzie ludności mogą nastręczać ciekawe porównania z zasadami Malthusa.

Ta wielka kwestya ludności oddawna zajmowała najwznioślejsze umysły we Włoszech. Kiedy w innych krajach uporczywie przedstawiano zachęty sztuczne w celu mnożenia liczby mieszkańców jako najpotężniejszy środek podniesienia pomyślności państwa, jeszcze pod koniec wieku szesnastego, w roku 1589, kanonik Botero [29]) nauczyciel dzieci Karola-Emmanuela, księcia sabaudzkiego, dowodząc przeciw Machiavellemu, że użyteczność nie daje się odłączyć od sprawiedliwości, [30]) gani zachęty do małżeństw: dzieci bowiem w niedostatku żywności i starania koło nich umierają prędko; ludność zatrzymuje się na pewnym stopniu swego rozwinięcia pomimo mnogość małżeństw, które stają się raczéj przeszkodą do wzrostu liczby mieszkańców, jeżeli nie masz środków hodowania tych, co się rodzą.

Zdanie to, odpowiednie założeniu silnie rozwiniętemu przez Malthusa, poparł energicznie wenecki mnich Ortès (ur. 1713, um. 1790,). Jego *Riflessioni sulla popolazione delle*

gliori nè trova i risultati, di quello che se ciascuno isolatamente le cose tutte a se necessarie soltanto facesse, etc.“ (Beccaria, *loc. cit.*, § 9.)

[29]) Opat S-go Michała de la Chiusa w Piemoncie. Ur. w Bene 1540, um. w Turynie 1617.

[30]) *Della raggione del stato*, w dziesięciu księgach.

nazioni per rapporto all'economia nationale,[31]) poprzedziły prace Malthusa, który nigdy ich nie znając, przyszedł jednak do tych samych wniosków, chociaż był innego wyznania religijnego i należał do kraju tak różniącego się od wszystkich krain włoskich.

Dosyć będzie zebrać tu w treść główne pojęcia Ortèsa. Ludność utrzymuje się, wzrasta, lub zmniejsza się w miarę tego, jak bogactwo publiczne, którego ona nigdy wyprzedzić nie zdoła, stoi na miejscu, postępuje, albo się cofa. Zależy ona od stopnia wolności narodu. Rozradzaniu się pokoleń ludzkich rozum zakreśla granice, i dobrowolna wstrzemięźliwość od małżeństwa jest dowodem wyższości naszego jestestwa; nakoniec, domy pracy i przytułku opatrują potrzeby niewielu, a *niedopatrują* wielu. Umiarkowany rozkład bogactw na cały ogół, stanowi dobry byt kraju. Własność i bezpieczeństwo własności są jedynym środkiem, nie do zupełnego zapobieżenia ubóstwu, ale do zmniejszenia liczby ubogich, a *wolność* jest najdzielniejszém lekarstwem na rany społeczeństw.

Poprzestaniemy także na wspomnieniu tylko prac Verrego, godnego przyjaciela Beccarii. Jego *Rozmyślania nad ekonomią polityczną*, są dziełem wzorowém, które każdy ekonomista zgłębiać powinien. W niém to zabłyska po raz pierwszy jasny wykład produkcyjnéj siły handlu. Nadmienimy również o *Prawach politycznych i ekonomicznych* Filangierego, będących częścią wielkiego dzieła jego *o Prawodawstwie*, a na zakończenie tego pobieżnego przeglądu znakomitości, które Custodi zgromadził, dotkniemy jeszcze, jako zbyt mało cenionych a wybornych *Pamiętników* hrabi Mengotti. Ten co traktuje o *kolbertyzmie* [32]), jest prawdziwém arcydziełem. Pisany z wdziękiem i ognistością stylu, jaki daje tyle powabu sławnym i zajmującym dziełom Ga-

[31]) Custodi, XXIV. Pierwsze od tego i obszerniejsze dzieło Ortèsa: *Della economia nazionale*, libri 6, ogłoszone 1774 (*Ibid.* XXI, XXII, XXIII) nie ma téj wartości.

[32]) *Il Colbertismo, ossia della libertà del commercio de prodotti della terra.* (Custodi, XXXVI.). Pamiętnik ten wyszedł we Florencyi, 1792; był uwieńczony przez

lianiego, przynosi on na obronę wolności handlu rozumowania logiki niezłomnéj i rzadką żywość słowa. „Pieniądz — powiada — jest strasznie buntowniczym przeciwko rozkazom prawa; przychodzi kiedy go nie wołają, odchodzi kiedyby chciano go zatrzymać; głuchy na pochlebstwa, nieczuły na wymówki, ulega jednéj tylko ponęcie zysku.“ Przedziwnie też mamy tam skreślone znaczenie współubiegania się. „Konkurencya stanowi najwyższy trybunał w przedmiocie ceny, sprawiedliwie i łagodnie rządzi targiem; kładzie granice wszelkim wymaganiom zbytecznym, powściąga zdzierstwo, zmusza chciwość poprzestawać na zysku słusznym; nie opiekuje się, ani uciska, nie zna miłości ani nienawiści, nie daje i nie odbiera: zawsze bezstronna, równém okiem patrzy na wszystkie stany, z sumy pospolitego dobra wydziela każdemu cząstkę należną.“

Jakeśmy to już powiedzieli, ekonomiści włoscy dziewiętnastego wieku godnymi są następcami sławnych swych poprzedników. Panuje na Półwyspie ruch umysłów dzielny i płodny, którego Europa nigdy nie oceniła dosyć. Trzyma się on wiernie zasady, która interes produkcyi przywiązuje do moralnych względów, wpływających na działanie ludzkie i nie wyłącza ich z całości życia narodowego. Ztąd to w wielu pismach najcelniejszych nie znajdujemy uznania tych zacieśnionych granic *ekonomii politycznéj*, w jakich naukowość nowoczesna chiała ją zamknąć, dla nadania jéj charakteru umiejętności odrębnéj. Tak jeden z najznakomitszych pisarzy zaalpejskich, Cibrario, dawny minister oświecenia i spraw zewnętrznych Królestwa Sardyńskiego, w ogłoszoném dopiero, pięknóm i nauczającém dziele swojém: *Ekonomia polityczna wieków średnich*, nie myślił bynajmniéj zajmować się rozwiązywaniem zagadnień czysto spekulacyjnych. Ktoby w téj książce, która postawiła autora w pierwszym rzędzie uczonych włoskich, szu-

Towarzystwo królewskie ekonomiczne. Nowe wydanie starannie przejrzane przez autora, zostało ogłoszone w Medyolanie 1822. Są w niém dwa pisma hr. Mengotti: *Il Colbertismo* i *Il commercio dei Romani.* To ostatnie było uwieńczone we Francyi przez Akademię napisów i literatury nadobnéj.

kał określeń i wykładów należących do abstrakcyjnéj części nauki, nie znajdzie tam rozdziałów o wartości użytkowéj i zamiennéj, o roli jaką w produkcyi odegrywa ziemia, praca i kapitał, o przychodzie całkowitym i przychodzie czystym, ani też o rencie, zysku i zapłacie; ale hojnie będzie wynagrodzony, spotykając przenikliwe ocenienie faktów ekonomicznych, wydobytych z głębokiéj znajomości dziejów, a postawionych w świetle doktryn bardzo pewnych. *Ekonomia polityczna wieków średnich*, osnowana rozlegle i silnie, jest dziełem równie powabném jak gruntowném: opisuje nam organizacyę społeczeństwa pracującego, z któréj wychodzą na jaw prawa rządzące pracą. Fakta miały zawsze wielkie znaczenie w życiorysach ludów, ale żeby na miejscu *kroniki* postawić żywy obraz bytu narodowego, zamiast skieletu umarłéj przeszłości, pokazać ruch interesów, stanowiących niejako funkcye żywotne społeczeństwa, potrzeba na to wielostronnéj i ścisłéj nauki, pilnéj rozwagi, sądu krytycznego i przezorności subtelnéj. Wszystkie te przymioty błyszczą w wysokim stopniu na kartach dzieła, któremu już same okoliczności otaczające przedmiot obrany przez autora, nadają szczególną wagę. Cibrario poświęcił swe trudy epoce ze wszech miar ciekawszéj nad inne. Przenosi on nas w czasy, kiedy erudycya z gruzów wydobywa dla myśli świat stary, igła magnesowa otwiera przed nią świat nowy, a druk podaje sposobność objęcia w stałą posiadłość nabytku wszystkich wieków; kiedy praca wzmaga się, handel rozlega się daleko i rzeczypospolite włoskie przychodzą do zdumiewającéj pomyślności.

Cibrario ukazuje ekonomię polityczną jako jedną z najszlachetniejszych i najważniejszych części historyi cywilnéj. Rzeczywiście, odsłania ona w uderzający sposób doświadczenie i rządów i ludów; pokazuje, jakie cele zakładały sobie i jedne i drugie, do jakich wypadków doszły obranemi drogami; gromadzi i wyświeca postrzeżenia, zaniedbywane częstokroć, bez których jednak nie można mieć miary do oceniania dobrego bytu lub nędzy narodu, nie można nic więcéj widzieć prócz zewnętrznych objawów jego życia. Ekonomia

polityczna taka jak ją autor przedstawia, jest nie czém innén tylko historyą porównawczą przyczyn i skutków stanu politycznego, moralnego i ekonomicznego narodów.

Nie zajmuje się on rozwijaniem szeregu formuł historycznych; nie kreśli obrazu filozofii dziejowéj, ale obraz organizacyi społecznéj, a to mianowicie w czasach poprzedzających nastanie państw nowożytnych.

Pierwsza część dzieła jego traktuje o początku i kształcie instytucyi politycznych; druga obejmuje wszystko, co się odnosi do oświaty moralnéj i umysłowéj; trzecia nakoniec opowiada byt materyalny i opisuje położenie ekonomiczne ludów.

Krótki ten wykaz treści każe już przewidywać obfitość nagromadzonych materyałów i ważność otrzymanych wypadków z poszukiwań zupełnie nowych a opartych na dokładnéj znajomości dokumentów oryginalnych. Wieki średnie były dalekie od przypisywanéj im prostoty pierwotnéj. Była to epoka walk gwałtownych, pośród których wybuchały nieraz poruszenia gminne: wyrabiał się w niéj świat teraźniejszy. Nic ciekawszego jak iść od punktu do punktu za postępem społeczeństwa, śledzić działanie człowieka w życiu, a ludzkości w historyi. Urządzenie wewnętrzne naszych społeczeństw daje się łatwiéj pojąć, kiedy przywrócony został dawny związek nauk moralnych z politycznemi; bo nic z tego co było, nie zaginęło zupełnie, wszystko przelało się w formy nowe i wszystko żyje w przemianie pozornéj.

Wieki średnie obejmują przeciąg czasu od upadku państwa rzymskiego (w szóstém stuleciu) do Karola V-go., a dzielą się na dwa wielkie okresy pięciowiekowe; ale Cibrario szczególniéj wydobył na jaw i dał nam poznać dokładnie, we właściwym jéj charakterze, epokę pośrednią między dawném barbarzyństwem a cywilizacyą nowożytną, to jest wiek trzynasty i czternasty.

Wpływ kościoła na los ludu dostarczył autorowi przedmiotu do napisania pięknych rozdziałów. Potrafił on oddać sprawiedliwość działaniu pierwszych biskupów, naczelników

gmin chrześciańskich, którzy lepiéj niżeli władze cywilne lud reprezentowali: umieli osładzać biedę, dogadzać potrzebom, zapobiegać nieszczęściom. Kapłani religii głoszącéj równość ludzi i narodów w obliczu Boga, przyczyniali się oni potężnie do postępu wolności. Dawna społeczność uległaby wpływowi barbarzyństwa podnoszącego zbytecznie siłę indywidualną ze szkodą siły zbiorowéj; lecz gdy prawoznawcy, razem z prawem rzymskiém, przywoływali do życia moc władzy cywilnéj, jurysdykcya kościelna działa na korzyść pokoju publicznego i doli narodów. Praca i handel od religii wzięły potężną dzwignię stowarzyszenia; historya wieków średnich, to po większéj części historya korporacyi pod rozmaitą formą *gminy*, *kompanii*, *giełdy*, *hanzy*, *ligi*, *konfederacyi* i *bractwa*. Ci, którym władza publiczna nie była zdolna dać opieki, musieli tak się organizować, żeby mogli bronić się i rządzić się sami; ale zasada stowarzyszenia, która wydała wielkie i przecudne skutki, a nadewszystko miała tę zasługę, że ożywiła energię moralną, doprowadziła także do walk bezbożnych, do sporów niustannych, gdzie wzgląd na dobro publiczne niknął przed zawziętością ścierających się interesów.

Ludności wiejskie znosiły niecierpliwie jarzmo poddaństwa. Nie brakło im zuchwałości, ale powstania, skalane najczęściej szkaradnem okrucieństwem, nie przynosiły nigdy skutków, jakich spodziewały się tłumy wzburzone, nie mające na swoją usługę nic innego prócz siły zwierzęcéj. Nie gwałtowność, ale religia i prawo miały przynieść wsiom wyzwolenie stopniowe. Bezrząd społeczny ustępował przed potęgą przejmującą wszystkich czcią i postrachem, a błogosławioną i wzywaną od uciemiężonych, przed potęgą kościoła. Jeżeli działanie polityczne zwierzchników duchownych, z jednej strony, zachodziło zbyt daleko, naruszało prawa panujących, to z drugiéj strony było prawdziwie dobroczynném i cywilizacyjném dla ludów: powstawało przeciw handlowi niewolnikami i przeciw pojedynkom; broniło od nakładania większych ceł na towary, starało się dać rękojmię dobréj wierze w umo-

wach, usiłowało wymódz bezpieczeństwo dróg lądowych i morskich; nakoniec wielki ruch wypraw krzyżowych, wyrywając narody z odosobnienia i bezwładności, dał początek społeczeństwu nowożytnemu.

Całą tę rewolucyę Cibrario opisał niezmiernie jasno, przytaczając ciągle najciekawsze wiadomości o stanie osób, przemyśle, stosunkach handlowych, tworzeniu się prawa międzynarodowego, położeniu różnych klas społeczeństwa. Zawsze najsurowiéj bezstronny, nie wzbrania sobie sądzić wieków średnich podług wyobrażeń dzisiejszych, a razem przedziwnie umie pojmować wymagania epoki, któréj staje się niejako współczesnym.

Nic bardziéj zajmującego nad karty jego dzieła poświęcone malowidłu obyczajów i stosunków społeczeńskich owych dawnych czasów. Wiek trzynasty miał wady i cnoty barbarzyństwa, czternasty zepsucie narodów cywilizowanych. Zabójstwa, gwałty, zbrodnie, były częstsze w wieku trzynastym; ale widać tam wiarę w małżeństwach i umowach, skromność w odzieży i pokarmach, uczciwość w stosunkach prywatnych i w urzędowaniu publicznem, chociaż wszystko to ma się zmienić niezadługo, i już z między wielkiego ubóstwa wyłazi chciwość połączona z niejakim zbytkiem. Kary były straszliwe; wszakże bogaci, wyjąwszy przypadki zbrodni nadzwyczajnych, w każdym innym razie mogli sobie kupić bezkarność za pieniądze, i tylko ubodzy za najmniejsze przestępstwo ponosili srogie męczarnie. Zgroza przejmuje na wspomnienie więzień, zwykle pod lochami zamkowemi, wilgotnych i ciemnych. Do tych okrucieństw przydać trzeba zdzierstwa wszelkiego rodzaju. W wielu krajach panujący zastrzegali sobie prawo opieki nad małoletniemi i sierotami, żeby to prawo wydzierżawiać więcéj ofiarującym. Cibrario kreśli ten ponury obraz z przerażającą prawdą, wprowadza w głębie zapadłego społeczeństwa, żeby rozchwiać złudzenie tych, co mniemają, że świat wstecz idzie!

Bezwątpienia, postępki szlachetne miarkowały prawa barbarzyńskie i cnoty prywatne zmniejszały niekiedy wady

organizacyi publicznéj. Wiele przekroczeń spotykało zaporę w instytucyi, któréj znaczenie zatraciło się poźniéj, w rycerstwie nakazującém wierność Bogu, pani swojego serca i swojemu monarsze, a poświęcenie się i nieugiętość w obronie biednych. Rycerze, pod zbroją żelazną mieli serca czułe, zdolne do najtkliwszych wzruszeń; poślubiwszy trudy, gardzili roskoszami spoczynku, wojna i miłość zapełniały ich życie. Ale jakkolwiek pięknie świeci odblask ich sławy, nie zmniejsza on okropności czasów, gdzie trzeba było uciekać się do bohaterstwa niektórych, żeby odeprzeć nieco ciężar gniotący wszystkich.

Uroczystości średniowieczne, opisane przez Cibrario z dokładnością skrupolatną, nastręczają mnóstwo szczegółów do postrzeżeń zastanawiających. Moglibyśmy przytoczyć tu osobliwie gody weselne, jakie r. 1366 wyprawił w Medyolanie Jan Visconti, z powodu zaślubiń córki swojéj z Lionelem, królewiczem angielskim.

Wiekom średnim należy się wynalazek kart do grania. Kuglarze i menestrele snuli sie po kraju. Każdy panujący miał na swoim dworze *śmieszka* albo *błazna*, który był żywą satyrą, przedrzeźniaczem wad i obyczajów prywatnego i publicznego życia magnatów. Spiewy, muzyka, widowiska, łowy, przeplatały pasmo mnogich rozrywek owéj epoki, równie zmysłowéj jak prostaczéj. Obok tego, odradzanie się nauk i sztuk uspakaja, kształci i podnosi umysły. Z początku zajmowano się naukami w klasztorach, ale po reformach religijnych i politycznych jedynastego wieku, zamiłowanie umiejętności krzewiło się szybko, naprzód we Włoszech, potém we Francyi, w Hiszpanii, w Anglii i w Niemczech. Studenci, setkami i tysiącami siedząc na słomie, słuchali chciwie wykładów nauczycielskich, złożywszy poźniéj wielokrotne egzamina, otrzymywali uroczyście stopień *doktora*, ustanowiony na podobieństwo godności rycerza, aby naukę zrównać w dostojeństwie z siłą. Tytuł *kawalera* i *comesa* prawa, dawany doktorom obojga praw, cywilnego i kanonicznego, był jednym z tych

zarodków postępu społeczeńskiego, które miały rozwinąć się z czasem.

Niepodobna nam w ślad za naszym autorem wchodzić w ciekawe szczegóły rozkwitu sztuk pięknych i architektury. Ludzi ówczenych nie zrażała długość przedsięwzięć; ich umysł wzlatywał ku niebu i potomności; stawili pomniki a nie budynki, zrzekając się używania na rzecz przyszłych pokoleń.

Uważaliśmy sobie za powinność dotknąć przynajmniéj kilku takich kwestyi, których, jak się to mówi, niktby nie spodziewał się spotkać w *Ekonomii politycznéj wieków średnich*. Cibrario potrafił traktować je przewybornie w ścisłym związku z głównym swoim przedmiotem. Podając wiadomości niezbędne do należytego poznania stanu społecznego, wykazał razem następstwa ekonomiczne organizacyi politycznéj; niczego nie zaniedbując coby mogło dać pojęcie położenia przemysłu i rolnictwa, skreślił bardzo uczącą i zajmującą *Hisroryę pracy*. Mamy w jego dziele wszystko, co może myśl naszą przenieść w te odległe czasy i niejako uobecnić nam byt tych ludności dawnych. Przêszłość otworzyła jemu swoje tajniki; wprowadził nas w życie prywatne wieków średnich, żebyśmy patrzali, jak tam rozumiano własność, jak tworzyły się prawa morskie i handlowe, jak odkrycia szerzyły okrąg stosunków, jak rodziły się teorye obrotu kapitałów, procentu, zamiany wekslowéj i kredytu publicznego. Los rzemieślników, rolników, fabrykantów, kupców, słowem całéj pracowitéj części społeczeństwa staje nam wyraźnie przed oczyma, a postrzeżenia równie bystre jak głębokie nad systemem monetarnym, ceną istotną pracy i wyrobów w trzynastym i czternastym wieku, uzupiełniają i objaśniają cały ten ogromny obraz. Prawdziwa wartość pieniędzy i płodów, mianowicie zboża, w tym okresie wieków średnich, nigdy nie była obliczona tak dokładnie.

Jaką ilość drogiego kruszcu zawierała każda z monet w owym czasie, kiedy ich nieskończona liczba i rozmaitość była powodem, że mówiono: *Chcianoby, ale to się nigdy*

nie uda, żeby wszystkie sprowadzić do jednéj? Jaką ilość zboża albo chleba można było za każdą monetę dostać i wiele dzisiaj potrzeba byłoby dać tegoż kruszcu za takąż ilość zboża lub chleba? Te zagadnienia często brano na uwagę, ale jak się zdaje, Cibrario tylko zdołał usunąć wszelkie wątpliwości i dać w téj mierze rozwiązanie, na które dosyć spójrzeć żeby poczuć jego gruntowność. Było wiele do walczenia z trudnościami, bo wypadało oznaczyć różnicę wszystkich monet co do aliażu, wagi i wartości, jak również różnicę wszystkich miar i wag używanych. Cibrario przyszedł do szacownych wypadków obrachunku z łat stu pięćdziesięciu czterech, od 1257 do 1411 r. Ułożył on tablice cen zboża w latach stu dziewięciu, od 1289 do 1397 r., a cen rozmaitych płodów ziemi i wyrobów ręcznych, prawie w ciągu półtora wieku.

Autor uważa tę część swojéj pracy za najważniejszą i jakby wieniec całego dzieła; to pokazuje, ile czasu i mozołu kosztowały go te kolumny liczb starannie ułożonych. Ale nie chodziło mu, jakeśmy to już widzieli, o przyjście do samych rozwiązań materyalnych. *Ekonomia polityczna wieków średnich*, nie spuszcza z oka wszystkich skłonności, pragnień i dążeń ludzkości; w swojém historyczném rozwinięciu rzeczy, przeciwległem teoretycznemu absolutyzmowi, zostawuje dla wolności obszerne miejsce. Produkcya, konsumcya i własność, to są trzy postacie, pod któremi objawia się wpływ dobroczynny téj zasady wyższéj, będącéj prawdziwem *quos ego*, przeznaczoném na powściągnięcie utopii socyalnych.

Tak tedy Cibrario godnie prowadzi daléj robotę ekonomistów włoskich; pokazuje on, jak siła wolności dała początek tym objawom, które poźniéj nauka klasyfikowała i rozbierała, żeby z nich wyciągnąć prawidła; piękno i dobre jest u niego nierozdzielne z użytecznem. Uprawiana w ten sposób umiejętność ekonomii politycznéj, nie ulega niebezpieczeństwu wyjścia na jakąś tylko arytmetykę społeczeńską: nad wywody rachunku stawi wyżéj szlachetne popędy duszy; nie powodując się ślepo ska-

zówkami *przychodu* i *rozchodu*, w prawach harmonii ogólnéj świata ludzkiego szuka praw obrotu interesów; odwołując się ciągle do znajomości dziejów i człowieka, wszelkie zagadnienia rozwiązując pod dwojakim względem, ekonomicznym i politycznym, pragnie wymagania moralności i sprawiedliwości położyć za podstawę i rękojmię tak dobrego bytu ludów, jak bogactwa i potęgi państw.

KLASZTOR Ś. MARKA
WE FLORENCYI.

BEATO ANGELICO (BŁOGOSŁAWIONY JAN Z FIESOLE MALARZ XIV WIEKU) & I KILKA SŁÓW O MALARSTWIE OGÓLNIE.

Wszelkie uczucie błogie, podnoszące człowieka, obudzające w nim, że tak powiem, potrzebę świętości na ziemi, stanowi rdzeń — treść — istotę naszego życia. Sztuka ma do czynienia z tą istotą.

Z takich prawd wywiązuje się moje opowiadanie, one są pierwszą jego pobudką i bodajby koroną.

Nic się tak trwale nie zaznacza w pamięci naszéj, jak miejsca, które wznieciły w nas iskierkę czucia z nieba, dopomogły do głębszego ruchu duszy, oswobodziły na chwilę z więzów ziemi. Dużo jest miejsc podobnych w wiekopomnym Rzymie, ale nie brak ich i poza stolicą chrześciańskiego świata, zwłaszcza na całéj ziemi włoskiéj. Do nich we Florencyi np. należy dla mnie klasztor św. Marka, mieszkanie malarzy: *fra Giovanni da Fiesole*, *fra Bartolommeo* (di San Marco) i głośnego Savonaroli. W tym klasztorze, patrząc na roboty pierwszego z wspomnianych, pojąłem lepiéj niż kiedykolwiek rzecz duchową sztuki, oceniłem z siebie, z własnych wrażeń, zbawienny kiedyś w całem znaczeniu tego wyrazu wpływ malarstwa na serce ludzkie. Dziś, nie wątpię, że obraz budować może człowieka, z takim skutkiem, jak dobry przykład, jak akt poświęcenia, jak widok szlachetnego czynu. Żem się utwierdził w tém przekonaniu dopiero we Flo-

rencyi, to już kolej moich osobistych okoliczności i zdarzeń. Beato Angelico nie jest bowiem jedynym malarzem chrześciańskim, ale celniejszym; odbija ten charakter lepiéj od innych. Ktoś powiedział, że malarstwo jest wyrażeniem cnót społeczeństwa; zda mi się, iż należało ścieśnić to zdanie i rzec raczéj, że może być wyrażeniem cnót człowieka, jego zdolności do ofiary, jego zasobów duchownych itp. Za rzadki dowód stawię właśnie fra Giovanni z Fiesole, który dla świętobliwości życia za błogosławionego już przez sam kościół uznany został. O nim to głównie mówić tu zamierzam.

Przed pobytem moim we Włoszech nieznane mi było wcale nazwisko Beato Angelico. Uderzyła mię po raz pierwszy jego piękność, kiedym zwiedzał w Rzymie kościół Santa Maria sopra Minerva, gdzie jest nagrobek rzeczonego malarza. Nic bo też łatwiejszego, jak spotkać się z tym nagrobkiem. Nie jednemu wędrowcowi służy za pierwszy przystanek w Rzymie hotel Minerwy położony tuż obok kościoła. Beato Angelico zostawił nawet ślad swego talentu w stolicy świętéj. Przywołany przez papieża Mikołaja V. malował kaplicę w Watykanie. Kaplica ta znajduje się obok Stanze Rafaela i od przedmiotu fresków nosi imię *Capella di S. Lorenzo* albo Capella del Beato Angelico. Przyznam się jednak, że olśniony blaskiem innych mistrzowskich robót, nie zwróciłem tu dostatecznéj uwagi na freski fra Giovanni z Fiesole. Florencya dopiero odsłoniła mi jego wartość, i w tak dziwny sposób, że zdało mi się jakobym znalazł skarb, zrobił ważne jakie odkrycie. Wychodząc w żywem poruszeniu z klasztora św. Marka, powziąłem myśl pomimo całéj nieudolności, zająć się zebraniem wrażeń téj drogiéj chwili, ku większéj czci malarza zbyt mało znanego ogółowi. Zanim zrobię użytek z własnych not i pamiątki, pospieszam, co i nie od rzeczy będzie, podać życiorys Beato Angelico, tak jak go znalazłem w treściwych słowach, w rękopiśmie włoskim jednego z naszych artystów, zamieszkałego obecnie w Dreźnie.

„Fra Giovanni Angelico z Fiesole, zwany po świecku Guido, był nie tylko doskonałym malarzem i miniaturzystą,

ale przewielebnym ojcem, prawdziwym kapłanem; z dwóch więc względów zasługuje na niewygasłą pamięć. Jakkolwiek fra Giovanni mógł wygodnie żyć w świecie i prócz tego co posiadał, zwiastując z dzieciństwa talent, mógł przezeń zyskać z łatwością wszelkie zaszczyty ziemskie, przekładał wszakże nadto wszystko spokój wewnętrzny i dla *zbawienia duszy swojéj* wstąpił do zakonu braci każących (predicatori).

„Prace jego zaczynając od miniatur wyliczyć się dają następnie: w kościele S. Marka we Florencyi, miniatury w księgach chóru, w księgach S. Dominika w Fiesole podobnież, w Certosa di Firenze, w kaplicy kardynała degli Alciainoli: Nostra Donna t. j. N. Panna z dzieciątkiem, u nóg jéj aniołki, Ś. Wawrzyniec, Ś. M. Magdalena, Ś. Zenobiusz i Ś. Benedykt,—kaplica *d'Incoronazione;* w kościele Ś. Marka: fresk na facyacie i inne freski. U Ś. Dominika, Ś. Trójcy, Ś. Franciszka fuori di porta w San Mirciato, w S. Maria Novella różne inne roboty. Niebrak ich także w kościołach miast Cortona i Orvietto.

„W Rzymie malował fra Giovanni kaplicę Ś. Wawrzyńca w Watykanie. Dla bractwa del Tempio zrobił on wizerunek Chrystusa po śmierci; a w kościele degli Angeli (?) dziś Ś. Magdalena dei Pazzi: piekło i raj w drobnych figurkach przedstawione z wielkiem nabożeństwem i wykonane z dziwną troskliwością. W raju jego, błogosławieni, niewymownie piękni, noszą szczególny wyraz wesela i niebiańskiéj błogości. W piekle zaś potępieńcy, którym kary zgotowano, uderzają wypiętnowanym na ich obliczu grzechem i występkiem. Smutek przebija się w nich najrozmaiciéj. Błogosławieni z pogodą w duszy wstępują sami, niby poskocznie, do bram nieba, gdy znów opornych potępieńców szatany ciągną do piekła.

„Nie ma wyrazu na pochwały Beato Angelico jako człowieka i duchownego. We wszystkich stosunkach i rozmowach swoich, pokorny i skromny, tak jak w malowaniu, pełen prostoty i pobożności. Niewątpliwe jest, że jego święci mają więcéj podobieństwa do świętych, aniżeli święci jakiegobądź innego malarza. U fra Giovanni nie było zwyczajem

poprawiać lub przerabiać którekolwiek ze swoich malowideł. Zostawiał je zawsze w takim stanie, w jakim mu, że tak powiem, spłynęły przed oczy, jak się udały do razu i mawiał, że taka jest snać wola Boża (che cosà fosse la volontâ di Dio). Patrząc na jego słodkie oblicza świętych i aniołków, czuje się jakieś nie ziemskie upodobanie; zdaje się, że to rzecz anioła nie człowieka. Ztąd też fra Giovanni zasłużył sobie wielce ów przydomek anielskiego, *Angelico*. Umarł mając lat 68. w r. 1455,"

Ta krótka biografia nie zjedna sobie uwagi suchem wyliczaniem, przydać się ono jednak może podróżnemu amatorowi sztuki. Wedle innych źródeł historycznych, fra Giovanni rodzić się miał w Mugello i nosił świeckie imię Santi Tosini, ale to mniejsza. Najciekawszy rys z życia jego jest ofiara z godności arcybiskupiéj. Papież Eugieniusz IV uderzony pięknością duszy Beato Angelico, chciał go podnieść na to wysokie stanowisko, lecz skromny zakonnik nie mógł się oswoić z żadną myślą zaszczytu i usilnemi prośby uchylił się od życzenia Ojca S. Jego pochwała wpłynęła atoli na wybór późniejszego arcybiskupa Florencyi (S. Antoniego) przez następcę Eugieniusza, papieża Mikołaja V. Beato Angelico rozpromienił życiem swojem nie tylko chwałę malarstwa ale i kościoła. Dla niego sztuka była obrządkiem ducha. Znany biograf artystów, Vasari, pomimo przeciwieństwa kierunku, w najpochlebniejszych słowach opisuje prace Beato Angelico i żywot jego. Malowania w klasztorze S. Marka wydały mu się „*tanto belli che non si puo dir piu*" tak piękne, że ani słowa. Nie wiedziałem nic zgoła o tém zdaniu Vasari'ego, kiedym zwiedzał rzeczony klasztor. Dziś, sięgając do osobistych wspomnień, widzę wciąż te ściany obrzucone jakoby rajskiem kwieciem z ręki świętobliwego zakonnika. Tamte obrazki w skromnych celach tak są przezrocze, niepokalane, czyste, jak czyste było życie artysty. Oblicza w nich madon i świętych mają coś w sobie z hostyi. Wejrzeniem słodkiém i miłosiernem kruszą i uweselają razem grzesznego w nas człowieka. O zaiste, w téj robocie dusza artysty znajdowała pokój, znajdowała prawdziwe

szczęście i tylko z téj wieczności zapanowała nad czasem i przemówić mogła do serc spojonych w Chrystusie, owym nieujętym w żadne warunki, niepożytym wdziękiem, owém anielskiem słowem.

Wszystkie płody z pędzla Beato Angelico zachowały świeżość, woń cnotliwego życia samego człowieka. Biograf jego powiada, że obrazy Chrystusa i N. Panny nie malował inaczéj jak tylko klęczący, że ilekroć robił wizerunek męki Pańskiéj, dusza jego przepełniała się boleścią i zalewał się łzami (ne mai fece crocefissi, che non bagnosse di lagrime le gote) i t. p. Te szczegóły, które, powtarzam, późniéj dopiero wyczytałem, objaśniły mi poniekąd tajemniczy wpływ robót Beato Angelico. W sztuce religijnéj kłamać nie można. Cała cudowność jéj działania płynie ze związku wewnętrznego artysty z jego ideałem, z świętością, jaką wyobrazić zamierza.

W pierwszéj mojéj wizycie w klasztorze św. Marka podziwiałem szczególniéj freski w sali kapituły. Przedstawiają one mękę Pańską. Na drodze krzyża zebrani różni święci, między którymi odznaczają się pięknością postacie, a zwłaszcza oblicza św. Hieronima, św. Augustyna, św. Piotra męczennika itp. Późniéj jednak, upodobałem sobie więcéj w robotach Beato Angelico na innych miejscach klasztoru — na górze, w celach.

Nie widzę potrzeby opisywania ich szczegółowo. Wszędzie rzecz wzniosła, dogmata wiary tłómacząca, którą wszędzie też umiał traktować ten, co nie ustawał w zapale chrześciańskim, co miał zawsze Boga w sercu. Z pośród tych malowideł zdobiących nieledwie każdy kawałek muru w korytarzach i całém wnętrzu klasztora, pozawieszanych w przybytku Ducha na istną chwałę Bożą, żadne mię tyle nie poruszyło, wiele adoracya magów w celi zwanéj Cosimo il Vecchio od Kuźmy Medyceusza, który tam zwykł był rozmyślać. Przystęp sam do téj ciemnéj dziś celi, albo lepiéj komory, i widok jéj zaniedbania, budzą jakieś dziwne uczucie. W chwili moich odwiedzin, zastałem tam stary fortepian, koszyk rupieci, porzuconych skorup i drabinkę dla

oglądającego pamiątki na ścianie z ręki fra Beato. Adoracya magów to był jeden z ulubionych przedmiotów naszego ojca Jana, co ukochał złotą prostotę. Jakże mu nie miały przypadać do duszy, ten żłobek, wyraz dobrowolnego ubóstwa i pokory, i pokłon mędrców, wyraz nawrócenia i nabożeństwa!

W *Epifanii* czyli adoracyi magów zakochał się osobliwie jeszcze inny późniejszy trochę malarz także dominikanin, *Domenico Ghirlandajo,* pokrewny czystością i cnotliwem życiem z Beato Angelico. I on też zostawił nam wylew swéj poezyi chrześciańskiéj w robotach pędzla. Wziął przydomek Ghirlandajo od girlandy czyli ozdoby srebrnéj na głowę dziewcząt, któréj był pierwszym wynalazcą. Klasztor św. Marka posiada tylko jeden obraz *Ghirlandaja*, wieczerzę (Cenacolo) w refektarzu. Jestto praca słabsza od innych, jakie się znajdują we Florencyi (Santa Maria Novella, Uffizj i t. d.). Dominik (przypominam imię, aby go nie mięszać z synem jego Rudolfem) Ghirlandajo już wybiegł na drogę postępu formy, umiał korzystać z szkoły tak zwanych naturalistów, nadać dokładnością rysunku więcéj interesu ziemskiego figurom, wprowadzić więcéj perspektywy, pejzażu etc. On był nauczycielem Michała Anioła.

Wracając do Beato Angelico, dodać muszę, że pozostałe prace jego nie ograniczają się bynajmniéj na tém, co się widzi w klasztorze św. Marka. Wielka galerya *degli Uffizi* a głównie zbiór akademii *delle Belle Arti*, przechowują jeszcze prawdziwe skarby co do prostoty uczucia z tego nieocenionego pędzla. Ale cóż, trzebaby wyczerpać cały wokabularz słów pięknych, wyrażeń czułych, ujmujących serce, aby módz coś o nich powiedzieć. A że to nie na wieleby się przydało, wolę więc odesłać po lepsze o rzeczy wyobrażenie do *Galeryi ilustrowanéj florenckiéj* [1]), do zbioru rycin Nocchi itp. I odsyłam każdego ciekawego, nie tylko miłośnika sztuki ale każdego bez wyjątku, kto nie będąc we Florencyi, miałby przynajmniéj tę sposobność; bo każdy pię-

[1]) Accademia delle Belle Arti di Firenze (gr. p. Perfetti).

kność robót Beato Angelico ocenić potrafi. Spółpracownicy wyż wspomnianéj publikacyi, piszący tekst do rycin, mają racyę mówić często, że nie potrzeba tłómaczenia dla duszy wierzącéj, dla tego co czuje religię chrześciańską. Pierwotni malarze, rzec można w ogóle, naiwną kompozycyą obrazku, *pomyśleniem rzeczy religijnéj* przypominają nam nieraz kantyczki i te pieśni nabożne polskiego ludu, których to niedocieczony początek. W kantyczkach jednych, w legiendzie o miejscu cudownem, odnajdują się nasze polskie artystyczne utwory, płody rodziméj wyobraźni. Język, to nasz cały monument sztuki

We florenckiéj galeryi delle Belle Arti, pośród drobnych obrazków, widzieć można cały zarys wielkiego poematu, który naszego Fiezolanina jedynie roznamiętniał, który w duszy jego, do egzaltacyi religijnéj wciąż skłonnéj, niewyczerpane motywa znajdował. Jestto żywot Pana Naszego Jezusa Chrystusa, w szeregu tablic (36 przedziałek, compartimente) opowiedziany. Tu i owdzie zrazić może brak rysunku, brak perspektywy, cienia itp. ale wszędzie prostotę, niewinny wynalazek podziwiać trzeba. Kompozycye albo lepiéj utwory fra Beato odznaczają się okrom słodyczy i błogiego uczucia, szczęśliwym pomysłem (ispiritualità di concetti). W adoracyi magów np. przedstawia ci chatkę; obok N. Panny z dzieciątkiem umieszcza św. Józefa, ale w jakiéj postaci, jaką mu rolę daje? Oto, na obliczu pogodném Oblubieńca Maryi P., odbija się jakoby zdziwienie, lekkie zmięszanie; dla czego? bo jeden z przybyłych królów, zbliżył się doń w chwili niespodziewanéj, schwycił go dobrodusznie za rękę. Miał on sobie za zaszczyt powitać Józefa z otwartém sercem, niby pokumać się z nim itp.

Gdzieindziéj znów, w ucieczce do Egiptu, tenże św. Józef, kiedy spieszy za osiołkiem, jakże wydobywa wyraźnie całą męzką energię, całą moc duszy i przytomność umysłu wobec grożącego niebezpieczeństwa! itd., itd. Tego rysu żaden inny malarz podobno nie uwydatnił. Fra Giovanni z Fiesole miał bo też osobliwe rozumienie duchowe, nie tylko każdéj sceny, ale charakteru moralnego każdego świętego, którego

wyobrażał. On nam, ośmielę się powiedzieć, tłómaczy wpływy różnéj ofiary, przeczucia różnego męczeństwa itp., on umiał dochwycić cnotę i zasługę schowaną w najgłębszéj pokorze, gdyż powtarzam, bardzo był pokorny.

„Niech się Twa dusza jako dolina położy,
A wnet po niéj, jak rzeka, popłynie Duch Boży."

Jeżeli pierwszém źródłem wdzięku malowideł Beato Angelico było natchnienie i cześć niekłamana dla świętego przedmiotu, to dalszą jego naukę i całą pomoc stanowiły już miniatury. W malowidłach manuskryptów, w ozdobie ksiąg kościelnych szukali zwykle pierwsi malarze chrześciańscy wzoru i myśli, zapatrywali się na nie tak pilnie, jak późniejsi i głośniejsi na pomniki rzeźby starożytnéj. Co jedni zyskiwali na rozżarzeniu religijnego czucia, na dochowaniu iskierki świętéj; to drudzy, na wykształceniu formy i artystycznego smaku.. Najpiękniejsze roboty fra Beato w rodzaju miniatur zaginęły. *Vasari* zachwala jego księgi chóru, które śród nabożnego zebrania i modlitwy ozdobiać miał wraz z bratem swoim w ciszy klasztornéj. W bibliotece św. Marka przechowuje się mszał, gdzie miniatury przypisują fra Beato. Ale najdroższe owoce podobnéj ofiary znajdowały się podobno u O. Dominikanów w *Fiesole*. Dla kościóła św. Dominika zrobił też fra Giovanni ów obraz koronacyi N. Panny, jedno z rzadkich bogactw galeryi Luwru w Paryżu.

Fiesole jestto miasteczko o parę mil od Florencyi, położone w górach, w cudownie pięknéj okolicy. Sięga ono dalekiéj starożytności i używało wielkiego znaczenia za czasów Etrusków, potem w początkach nowéj sztuki wydało kilku malarzy noszących jego imię. W końcu przyćmiła go zupełnie stolica Medyceuszów. Za jawny zabytek, za pieczęć niby szacownego rodowodu, pokazują ci dziś spory kawał starych murów cyklopejskiemi zwanych. Przejażdżki z Florencyi do Fiesole już dla samych miłych widoków, dla rozkoszy oka, nikt nie pożałuje. Ja nadto jeszcze z innego względu zachowałem ją w dobréj pamięci. Na miejscu starego

Akropolis w Fiesole isnieje dotąd odwieczny także klasztor O. Franciszkanów. Z okien klasztornych obejmujesz wzrokiem horyzont niezmierzony, panujesz pod płaszczyzną rzeki Arno i szeregiem pagórków pokrytych *willami*, przystrojonych z niewymownym wdziękiem. Tam, patrząc na te pejzaże ręką stwórcy malowane, rozmawiając serdecznemi słowy z poczciwym zakonnikiem, który lat dwadzieścia miejsca tego nie opuszczał i upewniał, że czuł się szczęśliwym, tam w Fiesole przejąłem się do głębi duszy poezyą innych czasów, przeniosłem się cały w epokę życia św. Franciszka, św. Dominika.... Niepotrzeba zresztą ascetyzmu ani gorączkowéj egzaltacyi, aby zwiedzając te miejsca zrozumieć lepiéj, niż gdzieindziéj, pokój wewnętrzny bohaterów wiary i potęgę chrześciańskiéj świętości. Początków sztuki szukać należy w murach klasztornych. Na téj właśnie pochyłości Apenin, zaczynając od Fiesole ku Perudżyi i Spoletto, jakoby na kości pacierzowéj półwyspu włoskiego snują się miejsca zaznaczone w historyi malarstwa.

Czuł piękność przyrodzenia i razem widział dobrze, jak dalece religia otwiera źródło natchnień artystów, i ów inny mnich, także dominikanin, co się przechadzał po tych samych miejscach we Florencyi i w Fiesole i żył w tych samych murach, co fra Beato,—chcę powiedzieć, *Savonarola*. Historya jego zbyt jest znana, aby ją warto było przytaczać [1]). Nadmienię tylko że w niespełna półwieku po śmierci Fiezolanina Savonarola w tymże klasztorze św. Marka, gdzieś pod drzewem róży z Damaszku uderzył piorunującém słowem na zgorszenia wieku i rozpoczął owe głośne kazania, które ściągnęły wkrótce tysiące pielgrzymów do Florencyi i potrząsły sumieniem spółczesnych. Co do sztuki, powstając przeciwko klasycyzmowi i coraz gorliwszemu naśladowaniu pogańskich wzorów, mówił między innemi „piękność to *przemienienie*, to światłość duszy, szukać więc jéj trzeba poza formą widomą, poza powłoką ziemską.... Im które

[1]) Odsyłamy czytelnika do dzieła Perrens'a: Jerôme Savonarole, d'après les documents originaux. Paris 1856.

stworzenie uczestniczy więcéj w doskonałości stwórcy, im więcéj się zbliża do Boga, tém jest piękniejsze. Z dwóch kobiet równie nadobnych ciałem, kobieta świętszego uczucia więcéj zyskać powinna uwielbienia.“ Gorszyły Savonarolę wizerunki świętych robione bez żadnego czucia — ziębiące serca czczością, zimną formą, błachotą, powierzchownném wejrzeniem. O obrazie N. Panny odezwał się temi słowy „Mówię wam, zaprawdę, że ona ubierała się skromniuchno, ubogo (couve poverella) zaledwie że Jéj oblicze dostredz można było. A wy Ją tak stroicie, wy Ją podobną czynicie do zalotnicy, i t. p.“ Takie napomnienia nie mogły być bez wpływu na wszystkich artystów, w których nie wygasła iskierka świętszego ognia. I oto, widzimy ją roztlewającą niebawem w jednym z wielkich mistrzów pędzla: fra Bartolommeo della Porta, albo krócéj *il Frate* (mnich) jak go zwykli zwać Włosi. Jak w początku XV wieku jeden tylko Beato Angelico oddziaływał na kierunek tak zwanych naturalistów florenckich — tak pod koniec tegoż wieku okrom Bartłomieja w całéj już gromadzie malarzy z Umbryi zajmie się szeroko zapał chrześciański. Dopóki, po zatracie wpływu Giotto, jeden fra Beato pielęgnował w cichości lepsze czucie dla wyrażenia go pędzlem, była obawa o życie sztuki chrześciańskiéj w obec nowości obcych elementów, szturmu klasyków i razem ślepego hołdu wzorów starożytnych; późniejsi mistrzowie pokazali jednak i dowiedli: jak postęp wykonania, podniesiony instynkt formy, nie przytłumia, ale owszem rozpromienia myśl natchnioną, daje jéj się lepiéj wyrazić w całości utworu, we wszystkich warunkach obrazu. Florencka galerya *Uffizj* jest nadzwyczaj szacowną i ciekawą pod względem przykładów pasowania się nie jednego wielkiego talentu z nowemi żywiołami sztuki, są tam próby samego fra Bartolommeo czyli po świecku jeszcze Baccio della Porta, który nie opuszczając *rzeczy twórczéj*, korzystał z całéj umiejętności (techniki) żywo rozwijącéj się wtedy. (Obacz kolosalnego św. Marka i innes zkice fra Bartolommeo, Rafaela: Madonę del Baldachino, szkice Leonarda da Vinci i t. p.)

Klasztor św. Marka albo raczéj kościół przylegający posiada tylko jeden obraz znakomitego pędzla zwolennika Savonaroli. Wiadowo, że po smutnéj śmierci tego ostatniego Baccio della Porta zraniony do żywego rzucił pędzel i wstąpił do zakonu w Prato. Dopiero pózniéj, po czterech latach jakoby rekolekcyi i milczącego uczucia, kiedy wrócił do tych pamiętnych murów św. Marka, występuje w całym blasku swego talentu. Ponieważ najprzedniejsze prace Fra Bartolommeo zdobią kościoły Lukki i tam, lepiéj niż we Florencyi, ocenić go sam umiałem; odkładam więc na później obszerną wzmiankę, na jaką zasługuje a podróżnego zapraszam do Lukki (kościół San Romano). Tymczasem zaś przypomnę wielkie pokrewieństwo Rafaela z naszym dominikaninem w pędzlu. Rafael zapożyczył od niego ton w kolorycie, prawdę w draperyi, tę cieniowaną wydatność (relief) sukni, która robotom Bartłomieja dodaje tyle przedziwnéj piękności; i nawzajem il Frate zyskał nie mało na zbliżeniu do mistrza mistrzów, wziął od niego perspektywę, wdzięk, czystość konturów i t. p. Wspierali się ci dwaj malarze zobopólnie—i tak dalece, że jeden drugiego roboty wykończał. Rafael dopełnił pracę fra Bartolommeo w Rzymie (św. Piotr i Paweł w Kwirynale) i dominikanin z św. Marka nie wahał się zastąpić rękę Rafaela w Florencyi.

Widzimy z tego jak fra Bartolommeo podniósł już rzeczywiście do szczytu malarstwo religijne. Obrazy jego madon tyle zbliżone do Rafaela w pierwszéj manierze, odznacza jeszcze pewna symetrya, ale to dowodzi własnie, ile ten styl starożytny-kościelny, że tak powiem, nie wykluczał żadnych artystycznych piękności a był może warunkiem, długo i dla wielu, do wylewu głębszego czucia religijnego, ubezpieczał od zboczeń. Il Frate miał robić jeszcze tak zwane *tavoli di altari*, co wyszło ze zwyczaju u późniejszych. Ciekawe są między zabytkami chrześciańskiéj sztuki takie kunsztowne roboty, niby *majstersztyki* służące do mszy św. Przez cały wiek XIV, jak mówi Lanzi, nie robiono nigdy odrębnych obrazów do ołtarza. Kilku różnéj professyi artystów, a wtedy stolarz i złotnik liczył się do artystów, łączyło się w bra-

tniéj zgodzie, dla sporządzenia tak zwanych *ancone* (dittici altarini). Jeden podawał deseń, drugi rzeźbił, trzeci złocił, a czasem malarz w końcu dopiero zdobił sprzęt kościelny wizerunkiem świętych.

Fra Bartolommeo, zakonnik u św. Marka, patrzał na freski z ręki Beato Angelico. Powiadają, że z nich przejął wyraz głów w słodkiém, pokorném ułożeniu (airs de tête), przejął więc niby nutę nabożną cichego Fiezolanina.

Nie od rzeczy będzie dodać, że il Frate zostawił też nam portret Savonaroli (Galerya Uffizj). I Rafael miał szacunek dla wskrzesiciela cnoty i umieścił jego postać gdzieś obok Danta w obrazie teologii w watykańskiéj sali. Ciekawa nadto, że dotąd w klasztorze św. Marka widzieć można psałterz ozdobiony miniaturami innego, a najgorliwszego obrońcy Savonaroli *fra Benedetto*. Ten ostatni uzbroił się w czasie napaści nieprzyjaciół mniemanego reformatora i gotów był ponieść śmierć męczeńską dla ewangelicznéj prawdy słów usłyszanych z ust jego.

Aby dopełnić rzeczy o Beato Angelico powiedzmy, że i jemu, jako artyście, przydają niektórzy kilku bezpośrednich uczniów, lubo wiadomo, że Beato nie tworzył żadnéj formalnéj szkoły, malował tylko za pozwoleniem swego przełożonego. Najcelniejszym uczniem jego miał być *Gentile da Fabriano* a wedle innych i Benozzo Gozzoli. Pierwszy, wysoko ceniony przez Michała Anioła, od Rogiera z Leydy przejezdnego, pierwszym malarzem Włoch nazwany, kształcił się podobnie jak Beato na miniaturach, nie we wszystkiém jednak poszedł za jego śladem, razi obfitością złota w swych obrazkach. Drugi, dobrze znany z fresków w *Campo Santo* w Pizie (Ubriachezza), i jako człowiek i jako malarz ulegał różnym światowym wpływom. W jego robotach nie ma już wszędzie téj anielskiéj duszy, nie ma téj słodyczy w delikatnych i bladych rysach, więcéj naturalności zewnętrznéj (pittoresque), ale razem i dużo sobie pozwolającéj fantazyi. Pamiętam, że prócz jakiéjś pleśni zieleni w kolorycie, nie podobała mi się sztywność jego ruchów, nogi naciągnięte i t. p. Zauważyć trzeba, że i Beato Angelico nie był bardzo

szczęśliwy w takich spodnich i skrajnych, że tak powiem, częściach ciała. Jego palce długie, spiczaste, nogi sztuczne, ale za to wiele pogody, wiele rajskiego wesela w obliczu! Zrobiono postrzeżenie, że szczęśliwa dusza Fiezolanina nie umiała wlać jadu ani zgryzoty nawet w żadną złą postać, jakiéj używał do swéj kompozycyi. Katy jego nie były straszne. Wpatrywałem się długo w obrazek biczowania Chrystusa u kolumny. Beato nie wytrąca, nie wyrywa z serca naszego litości przez postrach, przez okropność siepaczy; ale budzi raczéj silne spółczucie przez boskość Ofiary, przez pokój i słodycz rezygnacyi i t. p.

Ten własnie dar nieziemskiéj błogości, ten wdzięk niewinny nadający pewne namaszczenie pracom Beato Angelico, podobało się nazwać jednemu z niemieckich pisarzy żywiołem *seraficznym*, niby *cherubinowym*. Nie wiem czy szczęśliwie. Tęczowe kolory skrzydeł u aniołów są jedną z cech Fiesole, przypominają często fra Giovanni. I drugi zakonnik św. Marka przysłuchiwał się jeszcze chórom aniołów, i fra Bartolommeo pełen jest jeszcze poezyi. Patrząc na utwory Beato zdaje się czasem, jakoby on naraz drgnął żywszą miłością, jakoby podwoił entuzyazm dla pracy swojéj. Podobnie il Frate, opiewając chwałę bożą, doznawał niekiedy silniejszych wzruszeń, niby nagłego wezbrania szlachetnych uczuć, może pod wspomnieniem tych krzywd, jakich był świadkiem. Jego rzuty śmiałe, jego zamach w pędzlu niekoniecznie i nie wszędzie odnosić trzeba do wpływu prac Michała Anioła. Obraz jego kolosalnego św. Marka uważają niektórzy za taki szczyt wyrażenia potęgi, siły na płótnie, jakiém jest Mojżesz Michała Anioła w rzeźbie. Zresztą śmiałość Bartłomieja płynie z gorącego rozmiłowania się w przedmiocie. On podobnie jak Beato daleki był od podrabiania świętości. Obydwaj podnoszą, budują, kiedy w prawdziwém źródle czerpią, kiedy idą za tym głosem, co ich wzywał do ofiary, co życie ich samo tak upięknił, uszlachetnił.

O jednym z dwóch wprzódy wymienionych uczniów Beato Angelico, o *Fabrianie* czytamy w opisie galeryi florenckiéj, że był naczelnikiem (caposcuolo) świetnéj dynastyi

malarzy, która się rozpostarła od Wenecyi do Neapolu i stanowi jakoby ogniwo między naśladowcami Giotto i kunsztmistrzami (artefici) XV wieku, a wschodzącą plejadą wielkich mistrzów następnego stulecia, mistrzów, co już pozostali niedościgłemi wzorami dobrego smaku i udoskonalonéj sztuki pięknéj. Fabriano i Gozzoli przekazali nam pomnik swego talentu między innemi i w adoracyi magów.

Z tego com opowiedział łatwy wniosek, że klasztor św. Marka we Florencyi uważać można za fortecę duchowną, poniekąd za arkę przymierza artystów z Bogiem, że tak powiem, za arkę, która jeśli nie zbawiła sztukę, to uchroniła ją od nagłego zboczenia, od zwichnięcia, od profanacyi. Ciekawe zaiste jest przeciwstawienie z nią całego pocztu malarzy spółczesnych tamtym, ale co się puścili nowym kierunkiem, co się rzucili na gościniec utorowany przez Masaccio. Gdzieindziéj wyliczę ich zasługi obszernie; zobaczymy, że tak różny był ich ideał, dążenie i przedmiot, jak i różne ich życie (Lippi, Castagno, Signorelli etc.) W miarę postępu technicznego rodziły się niebezpieczeństwa i trudy, im więcéj powołanych, tém mniéj wybranych. Potém, nie wahano się portret zalotnicy umieścić na ołtarzu, (artykuł G. Giordani).

Beato Angielico czyli Jana z Fiesole wedle cytowanego opisu galeryi, „stawiają dziś jakoby za pień (lo stipite)“ tego drzewa genealogicznego malarzy, którego trzy konary rozciągnęły się na środkową Włoch krainę i wydały szkoły niestyczne: Florencyi, Umbryi i Bolonii. Jeżeli wspomnienie klasztoru św. Marka dało mi powód do szerokiéj o Beato rozprawy, to nic innego nie miałem na myśli jak wykazanie, ile życie duchowne wpływało na sztukę. Artysta był wtedy rzeczywiście pomocnikiem księdza. Nasz wyraz *modlitwa* i jego pokrewny modła, nie są bez znaczenia dla sztuki. Beato i fra Bartolommeo itp. żyli w poświęceniu, z własnego czucia czerpali motywa do religijnych obrazów, pracą wewnętrzną, czujnością, duchowem życiem, dochodzili do ideału, do prawdziwéj modły. Zapewne, modele cielesne usunęły późniéj wszelką troskę!

Może mnie kto pomówi, że zbyt przeceniam kierunek tak

zwany mistyczny, że radbym nim przesłonić prace pierwszych uznanych mistrzów: Rafaela, Tyciana, Corregio i t. p.; tak wcale nie jest, bo dla lepszego ich właśnie ocenienia, rozwiodłem się nad życiem ich poprzedników. Postęp sztuki był i jest w nierozłącznym związku z potrzebami duszy. Nie zapominajmy wszakże, że gdzie myśl religijna działa, tam ustaje sąd konesorów. Co się nam podoba w Beato, co nas wiąże, zespala wewnętrznie, z robotą jego, równie jak z niejednym świętym wizerunkiem z ręki fra Bartolommeo Perudżyna, Rafaela i kilku późniejszych kolosalnéj sławy malarzy, to *rzecz* serca, w któréj przecież każdy sędzia. Dodać tylko można, że w początkach sztuki, przy wątłéj formie, ta myśl religijna, ta dusza kochająca, jest jakoby widoczniejsza, więc i zasługę łatwiéj się ocenia. Ty patrzysz i mówisz: jako żywo, to nieudana świętość. Taki wdzięk niewinnego uczucia w obliczu, bez zewnętrznéj przyczyny, cudowna piękność, podziwiana u pierwszych chrześciańskich malarzy, to jak pyłek na kwieciu, to jest nie do kopiowania i nie do naśladowania, i dla tego marne zdają mi się być wysiłki wielu spółczesnych artystów, np. Niemców, że już zamilczę o zgorszeniu *z pra-rafaelizmu* Anglików! Dla niektórych Overbeck jest wprawdzie wyjątkiém, gdyż ma wysoką cześć, ma pojęcie *rzeczy*.

Więc w tych robotach nieskazitelnego początku, można się tylko odświeżać i nic więcéj. „Niechaj malarze, sztukmistrze pędzla (di tocco) (jak mówi jeden włoch), co za wartość obrazu religijnego śmią przedewszystkiém stawić dramatyczną scenę, efekt światła, grę kolorów i t. p., niechaj ci zwłaszcza raczą rozpamiętać w dobréj chwili prace Beato Angelico i t. p.“ Zrozumieją może, ile się oddalili od celu sztuki, ile skutek moralny, wpływ błogi na uczucie, o którym mówiłem na wstępie, *słowo z duszy do duszy*, przewyższa wrażenia tysiąca płócien nagromadzonych dziś po wystawach, etc.

Z tego co rzekłem, czyż wypada, aby malarze mieli koniecznie zamknąć się do klasztoru; inszy czas, inne drogi. To tylko pewna, że kapłaństwo sztuki polega na ścisłym

stosunku artystów z ludem przez ewangelię, przez żywot chrześciański. W tém byli wierni pierwsi malarze, dopóki z apostołów nie zostali zupełnie mędrcami greckimi. Jeszcze nawet, kiedy z celi klasztornéj przenosili się do pałaców, jedność wiary św., jéj tryumf, chwała kościoła wojującego, podniecały w nich niekiedy święty ogień. Ale posłuchajmy, co mówi o dalszéj ich kolei wieszcz nasz, którego zdanie ma tu zaiste najwyższą powagę: „Duch reformy zatruł wszystkie źródła, zdepoetyzował kult, odciął kanały, które odżywiały sztukę, stawiając ją w związku z niebem. Malarze rozproszyli się na wszystkie wiatry, jedni pogonili za imitacyą natury, drudzy za szkicami na rynku ku zabawie mieszczaństwa, inni przedzierzgnęli się w dworaków we Francyi......“ Sztuka więc piękna była jako dziecię marnotrawne; opuściła świątynię, niby dom ojca; zafigurowała w świecie na chwilę, potém zasiadła w karczmie..... i skończyła na poniżeniu, w domu rozpusty.“

Wskrzeszenie sztuki, jéj życie nowoczesne rozpoczęło się z wielkim ruchem społecznym i politycznym we Francyi, a daléj z potrzebą ducha religijnego w świecie. Każde zatrzymanie tego ruchu, osłabienie téj potrzeby, tamuje jéj wzrost. I cóż, dziś nawet na głównym placu, we Francyi, widzimy malarstwo, z małym wyjątkiem.... sługą kaprysu i mody. Obrazów religijnych dotąd nie mamy, i dla tego że ich nie mamy, prawdziwe jest zdanie francuzkiego krytyka *l'art cotoie la vie et ne s'y mele pas.*“ Czy je mieć będziemy, nie myślę rozstrzygać, utrzymuję wszakże, że i na artystach cięży dług wieku i stanowiska w społeczeństwie, którego są dziećmi.

Tajemnicę ich dawnego znaczenia i wpływu odsłaniają nam świątobliwe rysy życia, jak np. przytoczonych malarzy. Prawda, że pociąg do tęsknoty, do zaziemskiego szczęścia, mógł swobodnie istnieć tylko w ciasnem kółku, a mury klasztorne nie służyły wyrobieniu formy; dziś, gdy ta forma przez *sekularyzacyę* sztuki wielce się udoskonaliła, malarz ma olbrzymie trudności i aby z wszystkiemi warunkami po-

łączył spokój niezakłócony, potrzeba mu nieodbicie wyższéj ofiary i mocy charakteru.

Gdyby jednak artystyczna twórczość wtórowała postępowi człowieka, postępowi jego obowiązków, możebyśmy ujrzeli wielkiego mistrza, któryby w koncentracyi ducha z bogactwem wszystkich tych wiecznych talentów w ręku, rzucił nowy cud na płótno! możeby sztuka religijna zatknęła znowu sztandar Chrystusa i umorzyła nasze zapędy materyalne, rozproszyła ćmę kłamstw i *bluźnierstw;* możeby sprowadziła z manowców, możeby *przejrzała*, że się tak wyrażę, istne ciało zmartwychwstania. Możeby przynajmniéj u nas zjawił się nowy Beato, któryby potrafił oblec myśl bożą, tlejącą w sercach tych, co krzyż dźwigają.

Ale takich *może*... byłoby bez końca. Trudno jest pisać o sakramentalnem słowie sztuki pięknéj. Daleki też jestem od podobnéj pretensyi. Chciałem tylko dotknąć przyczyny rozbratu sztuki z sercem wierzącem, z ludem, przyczyny, za którą idzie wiele innych zjawisk, np. że lud na wschodzie pozostał zimny na wszelki obraz poza archaicznym stylem, że gdzieindziéj, woli bohomaz, choćby najlichszą kopię pierwotworu, aniżeli piękny wizerunek ale bez duszy, robiony bez czci i wiary, z obrazą prawdy i świętości i t. p.

Dowiedziałem się, że Beato Angelico był to wielki prostaczek, nie przyłożył ręki do pędzla, dopóki się nie pomodlił, i pomyślałem sobie, że to już wiele objaśnia; kto takie przykłady lekceważy, niech nie sądzi, aby został malarzem religijnym, aby stworzył obraz „na westchnienie do Pana Boga pobudkę serdeczną wzniecający,“ (wyrażenie zakonnika polskiego przed dwiestu laty).

Pisałem w Gienui w Czerwcu 1856.

Pisząc rzecz powyższą, nie znałem książki pod napisem: „Złota legienda artystów“, tłómaczonéj z angielskiego przez J. Kraszewskiego. Jestto jedyne pismo polskie — o ile mi wiadomo, będące w dosyć ścisłym związku z przedmiotem przezemnie pobieżnie traktowánym. Autor założył sobie mó-

wić o długu, jaki sztuki piękne zaciągnęły od legiend pobożnych i pisma świętego. Szkoda, że nie sięgnął głębiéj i nie wyczerpnął materyi, zwłaszcza co do malarstwa włoskiego, szkoda też, że i przekład nasz zbyt zaniedbany i niegodny pióra utalentowanego narodowego powieścio-pisarza.

Nie wchodząc zresztą w żaden rozbiór rzeczonéj książki, poczytuję sobie za obowiązek podnieść jedną kruciutką wzmiankę, jaką w niéj znalazłem o Beato Angelico. „Angelico da Fiesole miał zrobić obraz znajdujący się u Serwitów we Florencyi: Zaprzedanie Chrystusa, gdzie Judasz przedstawion jak się z zuchwalstwem uśmiecha, a kapłan płaczący patrzy mu szydersko w oczy itp.“ Obrazu tego wcale sobie nie przypominam.

Kiedym zaczepił jednego, Beato Angelico, niechże mi będzie wolno dorzucić szczegół o drugim z dwóch głównie wspominanych przezemnie malarzy, to jest o fra Bartolommeo. Szczegół ten może być nawet zupełnie nieznany całemu artystycznemu światu. Udziela mi go świeżo w liście jeden z współrodaków rzeczonego malarza, były minister toskański, a to w słowach tchnących rzadką dziś miłością ojczystych rzeczy:

„Il gran Bartolommeo della Porta, il precursore piu prossimo di Raffaello, ha per sue l'attrattiva di una memoria, per cosi dire, piu intima e casalinga. Quanti vi sono, che conoscano Savignano, dov'egli nacque? Nessuno, io credo; e non è da maravigliarsene, mentre si tratta di oscurissimo villaggio formato da poche capanne di poveri pastori, e riposto tra le sinuosità d'una montagna poco accessibile sopra la Valle del Bisenzio, là dove uno degli sproni dell'Appennino si prolunga fino a Prato. Ma per me Savignano rammenta la Città di Prato, che si onora di averlo nel suo territorio, e nella quale sta la mia casa paterna ed io abitai nei begli anni delle speranze.......... Ne voglio tacerle un altra particolarità di detto paesello conosciuto da pochissimi, ed è questa; che in esso pure nacque, sulla fine del secolo passato, il piu grande scultore dei tempi moderni, dopo Michelangiolo, voglio dire, Lorenzo Bartolini, morto a

Firenze poci anni sono. Curiosa combinazione, che ha fatto sorgere, a tre secoli d'intervallo, due cosi grandi nomini della piu umile delle catapecchie!"

Wielki Bartolommeo della Porta ma dla mnie pociąg szczególny, budzi we mnie wspomnienie, zupełnie osobiste i domowe. Któż jest taki, coby znał *Savignano*, ojczyznę rzeczonego malarza? Nikt, jak sądzę; i nie ma się czemu dziwić, bo tu chodzi o nędzną wioszczynę, składającą się z kilku chałup ubogich pasterzy, a położoną w zapadłéj okolicy, w wąwozie góry mało przystępnéj, tam, gdzie jedna odnoga Apenin przeciąga się aż do Prato...... Ale Savignano miejsce moich przechadzek, wywołuje mi z pamięci samo miasto Prato — miasto, które się szczyci właśnie, że posiadało malarza na swoim terrytoryum, a tam dotąd stoi moja ojczysta strzecha, taż sama, pod którą spędziłem najpiękniejsze lata nadziei......... Mamże zamilczeć jeszcze jeden szczegół właściwy téj zaklęsłéj krainie, tak mało znanéj światu. Oto tam też się jeszcze rodził, pod koniec zeszłego wieku, największy po Michale Aniole rzeźbiarz naszych czasów, chcę powiedzieć, Lorenzo Bartolini, zmarły we Florencyi przed kilku laty. Trzeba przyznać, że osobliwy i ciekawy ten zbieg zdarzeń, który wydał w trzech wiekach przedziału dwóch tak wielkich ludzi w najdzikszém pustkowiu!

K.

O
POWADZE WYROKÓW
I ICH WPŁYWIE
NA WYROKOWANIE W INNYCH SPRAWACH,
CZYLI
O POWADZE PREJUDYKATÓW
W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Król Jan-Albert 1496 roku chciał, aby wyroki w jedną księgę były wpisywane, ut similes causae similibus decretis decidantur (Vol. I fol. 250); powagą więc prawodawczą prejudykaty były upoważnione, ale było to wtedy, kiedy król był prawodawcą i najwyższym sędzią, wydany wyrok bądź na wiecu, bądź na zgromadzeniu narodowém, słusznie za normę w podobnych przypadkach był uważany: lecz kiedy w postępie czasu król Stefan Batory 1578 r. najwyższe sądownictwo zlał na stan rycerski, za zasadę następnie przyjęto:

1. Że trybunał nie może wydawać wyroków, któreby moc prawa ogólnego miały.

2. Że nie może rozsądzać prawem nieopisanego przypadku. Wynikło ztąd, że prejudykaty powagę stracić musiały, a wyroki pozostały tém czém właściwie być winny, to jest prawem dla stron, które spór pod rozstrzygnienie sądu poddały.

W dowodzie przytoczyć należy konstytucyę z roku 1627

(Vol. III fol. 547,) która jest téj treści: trybunał iż potestatem condendarum legum nie ma, jedno według prawa od wszystkiéj RP. postanowionego sądzić powinien, takich spraw, któreby w prawie opisane nie były, przypuszczać przed się nie ma, a gdzieby się takowe dekreta znalazły, któreby vim legis saperent mają nullitati subesse.“

Wcześniejsza jeszcze z roku 1607 (Vol. II. fol. 1609) sprawy w prawie nieopisane novum emergens na sejm odsyłać nakazała. Taki przypadek podaje nam historya za Władysława IV. Była sprawa w grodzie krakowskim między opactwem tynickiém a Zabawskim, posiadaczem wsi Gorlice, o redukcyę monety w dawnych fundacyach wyrażonéj. Gród odesłał sprawę do trybunału, trybunał do sejmu. Dekret sądów sejmowych z téj przyczyny, że sprawa była noviter emergens dał na wszelkie przypadki przepis 1641 r. stanowiąc, że wypłata ma być dopełniona podług wewnętrznéj wartości monety w zapisie na sto lat przed wyrokiem wyrażonéj czyli inaczéj że wierzyciel ma otrzymać tyle wartości, ile dał. W tym duchu wydana ustawa waloru i kursu monet (Vol. VII fol. 452.) Teraz kodex fr. w ar. 1895 stanowi odmiennie: wierzyciel ma otrzymać numeryczną summę w obligu wyrażoną; nie ma się na to względu, czy wewnętrzna wartość monety zmniejszoną lub zwiększoną została, zważa się na zewnętrzną oznakę. Że prejudykaty w końcu straciły znaczenie, można się i ztąd przekonać, że konstytucya koronacyjna dla Litwy z roku 1764 (Vol. VII fol. 407) zakazała patronom digressyi prejudykatów allegowania dla jedynéj impressyi, które częstokroć contra legem et justitiam były ferowane.

Przejdźmy teraz do prawodawstwa obecnie obowiązującego.

Mamy podobnie zasadę, że nie jest wolno sędziom wyrokować sposobem ogólnych i urządzających postanowień w sprawach pod ich rozsądzenie przychodzących. Już to Bacon powiedział: „Meminisse debent judices esse muneris sui jus *dicere,* non autem jus *dare,* leges inquam interpretari, non condere. Wyroki nie stanowią prawa dla innych przy-

padków, dla innych osób, tylko dla tych, których spór został załatwiony. Jest zasadą Rzymian, owych mistrzów w prawie: Res inter alios judicatae neque emolumentum afferre, his qui judicio non interfuerunt, neque praejudicium solent irrogare. Tę zasadę podaje nam art. 1351 kod. cyw.

Jeżeli prawodawca przestrzega i na straży postawił najwyższą polityczną magistraturę, ogólne żebranie senatu, aby władza jedna w attrybucye drugiéj nie wkraczała, jakżeby mógł pozwolić, aby sądy w jego własną prawodawczą wkraczać mogły attrybucyę? Ale pytanie zachodzić może, czy wyroki nie są prawem dla sądu, który je wydał, to jest czy sędzia obowiązany jest trzymać się sposobu, w jaki wątpliwy jakowy przypadek raz rozstrzygnięty został, lub może niezawiśle od zdania raz objawionego wyrokować? Gdyby był obowiązany trzymać się raz objawionego tłómaczenia prawa, musiałoby być to raz objawione zdanie dla niego prawem, a téj zasady prawodawca nigdzie nie objawił.

Ścisłe i jednostajne tłómaczenie prawa jest celem instytucyi sądu kassacyjnego a jednakże widzimy, że objawione zdanie sądu kassacyjnego nie raz przez tenże sam sąd zmieniane było. Jedno wyrzeczenie nie może się uważać za zwyczaj usus fori, za jurisprudencyę ustaloną czyli jak dawniéj u nas mówiono za praktykę sądową, do tego potrzeba ciągłego jednostajnego wyrokowania. Tak cesarz Sever odpisał „in ambiguitatibus quae ex legibus proficiscuntur, consvetudinem aut rerum perpetuo similiter judicatarum auctoritatem, vim legis obtinere debere. Gdy jaki wątpliwy przypadek raz przez sąd rozstrzygnięty zostanie, przechodzi on pod rozbiór uczonych, sądzi go opinia publiczna; tu są wyprowadzane na scenę wszelkie argumenta za i przeciw, kwestya wszechstronnie będzie rozebraną; cóżby miało przeszkadzać następnie sędziemu, jak taki przypadek zajdzie, odstąpić od pierwotnego zdania, a trzymać się tego, za którém silniejsze są argumenta, które więcéj myśli prawa odpowiada, które jest użyteczniejszem, więcéj ze słusznością zgodnem.

Wieleż to razy uczeni; przekonani argumentami innych,

od swego pierwotnie bronionego zdania odstępowali. Sapientis est consilium in melius mutare. Miałżeby sąd tylko zagradzać sobie tę drogę, dla tego, że raz już zdanie objawił? miałożby mu być wzbronione poprawić się, jeżeli pierwsze zdanie nie wytrzyma wszelkich prób krytyki? Wszak sędzia nie wyłączony z pod smutnego udziały ludzkości: errare humanum. Zobaczmy to w przykładzie. Prawo w art. 757 kod. cyw. oznacza, w jakiéj części dziecko naturalne, uznane, otrzymuje udział w majątku po swych rodzicach, i tak w ustępie 2 stanowi: że jak ojciec lub matka pozostawiają wstępnych braci lub siostry, dziecko naturalne otrzyma połowę, jak pozostawią tylko dalszych krewnych otrzyma $^3/_4$.

Zdarzyło się, że osoba zmarła pozostawiła dziecko naturalne prawnie uznane i synowca; powstała kwestya, czy dziecku naturalnemu przyznać $^1/_2$ czy $^3/_4$? Syn naturalny mówił: ponieważ mój ojciec nie pozostawił ani wstępnych, ani rodzeństwa, należą mi $^3/_4$. Synowiec odpierał: ponieważ ja skutkiem reprezentacyi znaczę tyle, co mój ojciec a brat spadkodawcy, mnie należy połowa a tobie druga.

Niektórzy uczeni i sądy we Francyi przyjęły, że się dziecku naturalnemu należą $^3/_4$, wychodząc z zasady: że kodex w innych miejscach jak *np.* w art. 750, mówiąc o rodzeństwie dodaje „lub potomstwo po témże“ a w art. 757 tego dodatku nie czyni, a zatém w téj tu sukcessyi nieporządkowéj nie chciał mieć potomstwa po rodzeństwie w klassie II ale w III, i że tu nie można przywoływać w pomoc przepisów ogólnych, ale się trzymać należy przepisów szczególnych, do tego przypadku postanowionych. Przeciwko temu zdaniu powstał silny w rozumowaniu J. Marcadé i wywodził, że nie było myślą prawa w tym tu przypadku usuwać reprezentacyę, że raz postawiwszy prawodawca potomstwo po rodzeństwie w równéj klasie z rodzeństwem, nie potrzebował tego powtarzać w art. 757. Że przy przeciwném tłómaczeniu, obok dziada dziecko naturalne brałoby połowę a obok synowca, który dziada wyłącza w ślad art. 750 brałoby $^3/_4$, co w myśli prawodawcy być nie mogło. Oto jest walka dwóch zdań sobie przeciwnych w tłómaczeniu art. 757

kod. cyw. Ja nie wątpię, że to drugie, jako myśli prawa odpowiedniejsze, odniesie zwycięztwo, i że sądy do takowego się przechylą — gdyby zaś była tak fatalna zasada, że jak się raz sąd za jakiém zdaniem zdeklaruje, od niego odstąpić mu nie wolno, wynikłaby ztąd ta szkodliwa konsekwencya, że chociażby się sąd po wszechstronnéj dyskusyi przekonał, iż pierwsze zdanie nie jest najgruntowniejsze, jużby przy gorszém pozostać musiał, a tego dopuszczać nie należy. U nas ten sam przypadek poddany był pod sądowe rozstrzygnienie. Sąd appellacyjny poszedł za zdaniem pierwszém, ale senat zgodnie z prokuratorem dał pierwszeństwo drugiemu, wyrokiem w roku 1853 wydanym.

Najwyższą jest wolą w art. 17 ustawy o senacie objawioną, aby prawo ściśle i jednostajnie było tłómaczone; te dwa warunki są łącznie położone, oba spełnić należy. Lecz gdy się razem nie zbiegną, co powinno przeważyć czy ścisłość, czy jednostajność? Z odpowiedzią wahać się nie można, że kiedy prawodawca na pierwszém miejscu położył ścisłość, tedy takowa nie może być dla jednostajności drugie miejsce zajmujące poświęcona. Nie można się obawiać, aby tu druga zasada utrzymaną być nie mogła, bo jak tylko kwestya prawna od czynu nie zawisła przejdzie wszelkie stopnie dyskussyi, jurisprudencya zostanie ustaloną, odstępować od niéj byłoby lekkością, która się ze strony tak poważnéj magistratury, jaką jest senat, nie przypuszcza.

Sędzia jest żywém prawem, wyroki sądów są najlepszym wykładem praktycznym prawa, z nich to czerpie się nauka, jak prawo do przypadku stosować należy. Nauka ta nie powinna być straconą, nie powinna być zamknięta w gmachu, w którym sąd zasiada; należy ją upowszechniać, jak tego przykłady mamy w Sireju, w Dalozach i innych. Dla téj to przyczyny dekret stanowiący trybunał kassacyjny w art. 22 mieć chce, aby wyroki kassacyjne były drukiem ogłaszane, a prócz tego wyrok każdy kassacyjny wpisywany bywa w w rejestra tego sądu, którego wyrok był skassowany. Podobnie art. 23 organizacyi sądu kassacyjnego Księstwa Warszawskiego stanowi, że wyroki sądu kassacyjnego będą dru-

kiem do wiadomości publicznéj podawane. Wyroki mają powagę więcéj jak naukową, ale nie stanowią autentycznego tłómaczenia prawa.

Gdyby się zdawało, że zachodzi przypadek prawem nieopisany, wcale odmienniéj teraz u nas od dawnego prawa postanowiono; stotownie do art. 4 kod. cyw. sędzia nie może odmówić osądzenia sprawy pod pozorem, że prawo milczy, że jest ciemne lub niedostateczne, a to pod odpowiedzialnością. Jak w takim razie postąpić? Remissy żadnéj nie ma. W takim razie sędzia trzymać się będzie analogii, a gdyby i w niéj nie znalazł podstawy, ogólne zasady sprawiedliwości winny być dla niego przewodnikiem; ale z tego jasno wynika, że dla sędziego konieczna jest nauka prawa. Sumienność bez nauki nie wystarczy, aby godnie odpowiedzieć wzniosłemu sędziego powołaniu.

W. D.

ANDRZEJ MORSZTYN,

POETA POLSKI XVII WIEKU I JEGO IMIENNICY. [1])

PRZEZ

Dra Antoniego Małeckiego.

I.

Rozpowszechniło się od czasu ogłoszenia Historyi Literatury Bentkowskiego (1814) wyobrażenie o całem z górą stuleciu tak zwanéj makaroniczno-panegirycznéj epoki, że się w tym przeciągu czasu rodziły w literaturze naszéj same tylko niedołężności. Zgon Szymonowicza i Zimorowicza Szymona (1629), ostatnich wyobrazicieli dawnéj, zygmuntowskiéj poezyi, uważamy zazwyczaj za kres wszelkiego wyższego rymotwórstwa w ogóle w prawdziwém znaczeniu wyrazu. Nie widzimy po nich już mistrzów słowa poetyckiego, aż dopiero za panowania Stanisława Augusta. Takiemuż potępieniu bezwarunkowemu podlega i pismiennictwo prozą w rzeczonym okresie. Co do prozy, przyznać należy, że istotnie niełatwą by było rzeczą dostarczyć przykładów, któreby stanowczo złagodziły ten sąd surowy, chociaż nie brak znośnych utworów z czasu owego, mianowicie na polu dziejów i pamiętnikarstwa, ostatniemi dopiero laty wydanych. Więcéj krzywdy, zdaje mi się, wyrządzamy poetom XVII-go wieku. Nie można zapewne winić za to Bentkowskiego. W czasie, kiedy Bentkowski składał narodowi swój obraz literatury polskiéj, nie były jeszcze znane dzieła, które salwują cześć jakiéj takiéj umysłowości w Polsce za panowania Jana Kaźmierza i następnych królów aż do dynastyi saskiéj. Poezye tak zwanego Zbigniewa Morsztyna, Wojnę Chocimską Wacława Potockiego odszukano

[1]) Artykuł ten był pisany w Lutym, a więc przed ogłoszeniem pracy p. Mecherzyńskiego w Bibl. Warsz. (w zeszycie Czerwcowym); te dwie prace uzupełniają się.

i ogłoszono dopiero w ostatnich czasach. Uznanie talentu i zasługi Morsztyna, jako i Potockiego, przybierze w przyszłości korzystniejsze jeszcze rozmiary, kiedy reszta ich płodów, czy to jeszcze w rękopisie leżąca, czy też w zbiorowych pismach bezimiennie wydana, wyjdzie na widok publiczny razem i pod imieniem właściwego autora. Co do Morsztyna wytłómaczę się niżéj, jak to rozumiem. Co się zaś Potockiego tyczy, przypominam, że lubo teraz już wiadomo każdemu, po odkryciach Szajnochy, że jego są dziełem i Wojna Chocimska i poemat *Merkurius Nowy* zamieszczony bezimiennie w Wójcickiego Bibliotece Starożytnych Pisarzy (Tom I), wiele jednak zalega oprócz tego jeszcze poezyi jego w manuskryptach niedrukowanych. Biblioteka zakładu Ossolińskich posiada w rękopisie rozległy poemat jego p. t. *Smutna przygoda Wirginiey dziewice rzymskiej*, z którego mały tylko fragment ogłoszono w Athénaeum w r. 1841. W prywatném posiadaniu we Lwowie znajduje się liryczny utwór tego poety *Periody na śmierć syna Stefana*, także nieogłoszony dotychczas. A w cesarskiéj bibliotece petersburskiéj leżą całe teki rękopisów autora Wojny Chocimskiéj. Z prozaików Pasek, niepospolita illustracya swojego wieku, wyszedł na jaw także dopiero nie dawno temu. Przekład czwartego Klimakteru Wespazyana Kochowskiego (również niewydanego nawet dotąd w oryginale) nie tylko obdarzył literaturę nowym nabytkiem, ale co ważniejsza, przekonał, że byle pisarza tego otrząsnąć z zaśniedziałéj nieco łaciny, mamy w nim zresztą historyka — pod względem dziejopisarskiéj sztuki — niepospolitéj wartości. Wymieniłem kilka tylko imion; nie będę ich pomnażał nazwiskami autorów podobnie wyrwanych niepamięci w naszych dopiero latach, podrzędniejszéj wagi, w przekonaniu że i to wystarcza, ażebyśmy patrzeli na owe czasy z innémusposobieniem, jak na nie dawniéj godziło się spoglądać.

Nie idzie zatém, żebym chciał dochodzić, iż czasy od połowy XVII-go wieku aż do reformy Konarskiego nie były więc wiekiem upadku i ciemnoty. Daleki jestem od tego, żebym je miał równać czy to z epoką Zygmuntów, czy też z wskrzeszoną umysłowością za Stanisława Augusta; bo stan

moralny *całego ogółu narodu* w drugiéj połowie wieku XVII i pierwszéj XVIII był zaiste opłakany pod każdym względem. Ale chciałbym tylko wskazać, z jakiego stanowiska zdaje mi się że należy wiek ów nieszczęśliwy rozważać. Wtedy jedynie odsłoni nam się ta prawdziwie wyjątkowa anormalność ówczesnych umysłowych stosunków. Zwykle w innych razach najcelniejsi pisarze są przedstawicielami smaku, dążeń i usposobień współczesnéj sobie epoki. Wypowiadają je dzielniéj, barwniéj, świadomiéj, niżeli drudzy; ale innéj różnicy, innego rozdziału jak talent, nie ma pomiędzy zastępem piszących a massą czytającą. W Polsce rzeczonéj epoki spostrzegamy przeciwnie zupełnie inny porządek rzeczy. Były i wtedy pojedyńcze talenta, były potęgi umysłowe; ale cały tłum wykształconéj nibyto klasy tak mało z niemi miał wspólności, tak dalece upędzał się za pismami innéj treści, innego smaku, że ludzie rozsądni, trzeźwi, obdarzeni jakąkolwiek zdolnością byli jakby cieniami dawno minionéj przeszłości w własném stuleciu. Pustych panegiryków, niedorzecznych mów pogrzebowych, sejmowych głosów bez sensu, wierszydeł z okoliczności, traktatów scholastycznego zakroju i tym podobnych śmierci literackich odbijano rok rocznie setki; całe szafy możnaby niemi zapełniać, gdyby je zgromadzić w jedno. Musiały zatém to być poszukiwane i odczytywane rzeczy! A co tylko się zrodziło lepszego w owym okresie, wyszło albo dopiero w kilkanaście, w kilkadziesiąt lat po zgonie autorów swoich, albo zgoła nam dopiero przychodzi rzeczy takie ogłaszać z przegniłych rękopisów, o ile jeszcze nie podległy zupełnéj zatracie. Jakże wytłómaczyć sobie to szczególne zjawisko, jeżeli nie wnioskiem, że byli wprawdzie i wtedy więc pisarze, godni téj nazwy, ale czytelników nie było. Nie było czytelników nawet dla dawniejszych, uznanych, zygmuntowskich skarbów literatury. Dla przekonania się o tém rzućmy tylko np. okiem na koléj wydań poezyi Jana Kochanowskiego. W wieku XVI i początku XVII aż do roku 1640, był to tak ulubiony poeta, że w przeciągu czasu od 1585—1639 odbito wydań powszechnego zbioru jego poezyi *przynajmniéj* dziewięć; samego Psałterza osobnych edycyi wyszło aż do r. 1641 dwa-

dzieścia, jeżeli nie więcéj. Bywało, że się czasem w jednym roku dwa, nawet trzy wydania utworów Jana z Czarnolesia pojawiały! A od 1641 począwszy nie znajdziemy ani jednego. Minął przeszło wiek cały, nim sobie znowu przypomniano, że były tam kiedyś jakieś dzieła Kochanowskiego. Wiadomo, że dopiero Bohomolec w r. 1767 rozpoczął na nowo szereg powtarzających się odtąd wydań jego poezyi.

W takim stanie rzeczy, dziwić nikogo nie może, że mimowolnie ogarnia trudniących się dawną jeszcze literaturą naszą pewne zniechęcenie, jakaś obojętność względem drukowanego piśmiennictwa owego wieku. A natomiast zmierza natężona baczność przedewszystkiém ku części literatury zalegającéj jeszcze w tych stósach zabytków rękopiśmiennych, w których okoliczności czasowe, trudności mało komu łatwe do usunięcia, nie dozwoliły dotąd przejrzeć téj siejby czasów minionych i oddzielić plewę od ziarna. Rozczytując ówczesnych pisarzy, napotykamy też czasem miejsca, które utwierdzają w tém usposobieniu, które wprost zachęcają do śledzenia stosunków ówczesnych z tego właśnie stanowiska. Są to chlubne wzmianki o takich wieku XVII-go poetach, których dzieła dla nas zgoła nieznane; ślady egzystencyi znakomitości poetycznych, które jeżeli nie w narodzie, to w gronie bliższych znajomych, w gronie pokrewnych duchem, odbierały cześć — czy wyższą nad zasługę czy odpowiednią, trudno dzisiaj oznaczyć. Ważny np. pod tym względem jest wiersz Kochowskiego „*Poetowie Polscy.*“ Wspomniał w nim zaszczytnie między innymi o Potockim, o Morsztynie i o Skarszewskim. Powaga Kochowskiego jakò krytyka może być wątpliwa; przekonaliśmy się wszelako w ostanich czasach, że podniesienie zalet Potockiego nie było nieuzasadnionérn. Będę się starał okazać niżéj, że nie pomylił się także Kochowski co do Morsztyna; wnosić więc można, że i Skarszewski musiał mieć wyższe zdolności, chociaż my prawie nic zgoła o nim nie wiemy [2]). W poezyach tak zwanego Zbigniewa

[2]) Co o nim wzmiankowali Załuski i Juszyński, nie zdaje się być wystarczającém. Kochowski musiał go znać z innéj strony.

Morsztyna, który nie należał do ludzi łatwo oddających hołdy innym poetom, również znajdujemy chlubnie wymienionych kilka nazwisk poetyckich nieznanego nam brzmienia: Naborowski, Orzelski, Karmanowski, Smolik. Szczególny respekt okazany mianowicie dla Jana Grotkowskiego, dworzanina królewskiego, do którego tak przemawia poeta:

„Tobie moj Janie, tobie przed wszystkimi
Wiersz się mój kłania, i między pańskiemi
Scianami, gdzie się służba twa zawiera,
Ciebie się Muza nawiedzić napiera.
Tyś u mnie pierwszym i Tobie przyznawam,
Że w polskim wierszu za Tobą zostawam
I tak leniwo w trop za Tobą jadę,
Jak téż po sobie pozad drugich kładę.“

Takich świadectw o Grotkowskim jest w poezyach Morsztyna i więcéj. Może się kiedy dadzą komu jeszcze odszukać poezye Grotkowskiego?

Zostawiając szczęśliwemu trafunkowi w przyszłości rozwiązanie kwestyi co do wymienionych nieznajomych, zamierzyłem wyjaśnić w tém piśmie sprawę wielce zawikłaną, względem samego tylko Morsztyna. Znajdujemy w bibliograficznych i literacko-historycznych dziełach wzmianki o czterech XVII wieku poetach tego nazwiska, o Andrzeju, Stanisławie, Zbigniewie i Hieronimie Morsztynie. Niejasne i sprzeczne z sobą podania o rzeczonych pisarzach pobudziły mię do szczególnego rozpatrzenia się w dziełach ich pióra. Pozwolono mi téż korzystać z niedrukowanego dotąd rękopisu poezyi Andrzeja Morsztyna, będącego własnością biblioteki zakładu Ossolińskich. W ten sposób dały się wydobyć szczegóły, które nie tylko rozstrzygają rozliczne wątpliwości co do autorstwa Morsztynów, ale usprawiedliwiają znowu korzystne zdanie Kochowskiego wyrzeczone w owym wierszu *(Poetowie Polscy)* o Andrzeju Morsztynie. Mówi tam Kochowski, że muza w hierarchii petyckiéj

„Sadzi Morsztyna w Senatorskiém krześle
Z Skarszewskim, obu biegłych w tém rzemieśle:
Tamtego wdzięczna *Psyche* i *Xymena*, [3)]
Tego Moskiewska zaleca Kamena;

[3)] *Xymena* znaczy tu przekład tragedyi *Cyd* z Kornela, *Psyche* poemat pod takimże tytułem, przez A. Morsztyna.

A jak w Parnaskiém buja Korwin [1]) żniwie,
Tak w nim dziedziczyć przychodzi Leliwie
Dziś Morsztynowskiéj; idąc w przodków tropy,
Puścizną biorą talent Kalliopy."

Porównanie Morsztyna z Kochanowskim jest niewątpliwie grubą przesadą. *Że jednak po Potockim Wacławie najznakomitszym swego okresu poetą polskim był nasz autor*, na to się pewnie czytelnicy moi zgodzą, kiedy ich obeznam z całem położeniem sprawy obecnéj.

II.

Przed dwudziestu przeszło laty wydobyto gdzieś w Królestwie Polskiém „z pleśni domowych zakątów", zarzucony rękopis folio, w XVII wieku pisany, uszkodzony, bez początku i końca, zatém i bez tytułu, obejmujący poezye, które nigdy nie były drukowane. Wartość poezyi, niepospolita jak na owe czasy, wzbudziła ciekawość, ktoby téż był ich autorem? Zaczęto rozpatrywać kartę przy karcie; znaleziono na dwóch różnych miejscach na brzegu stronic przypisek, prawdopodobnie współczesnéj daty „*JMci Pana Zbygniewa Morsztyna Miecznika Mozyrskiego wiersze.*" To zdawało się uchylać wszelką wątpliwość co do autora rękopisu. Wprawdzie nikt przedtém nie czytał nigdzie wzmianki, aby pisał poezye jaki Zbigniew Morsztyn. Mówi wprawdzie w Herbarzu o nim Niesiecki, ale i jemu z téj strony nie był znany rzeczony członek rodziny Morsztynów. Ponieważ jednak milczenie nie może być uważane samo przez się za świadectwo zaprzeczające, uwierzono owemu przypiskowi współczesnéj ręki. Z rozrzuconych w poezyach tu i owdzie szczegółów dotyczących osobistości samegoż autora, złożono jakikolwiek wizerunek życia i charakteru nowego poety i wprowadzono go do literatury najprzód przez artykuł o nim zamieszczony w Panoramie (1836), następnie przez kilka prób jego poezyi udzielonych w Bibl. Warsz. (1841, T. I), nakoniec przez ogłoszenie całego

[1]) Kochanowski Jan.

rękopisu, o ile mógł być drukowany. Wyszła ta publikacya w Poznaniu pod tyt. *Poezye Zbigniewa Morsztyna z starego rękopisu pierwszy raz staraniem prywatném wydane.* Poznań 1844. 8-vo, stronnic XXIV, 174.

Bezimienny wydawca w skreślonéj pięknie przedmowie zapoznaje czytelnika raz jeszcze z okolicznościami i rękopisu odkrytego i życia autora; usiłuje zwrócic uwagę na znakomitość jego talentu; liryczny, potoczny i osobisty nastrój jego lutni tłómaczy wyznaniem religijném poety, którego (mylnie) uważał za aryanina. „Przez wyznanie cierpiące w kraju, sam poeta wyczepiony był z całości narodowéj. Życie publiczne nie przedstawiało mu także żadnych kształtów wykończonych, któreby się zbiegały i wiązały w jedności państwa. Dla tego widoczną jest obojętnosć poety na bieg otaczających go rzeczy publicznych.“ Bądź jak bądź, przez wzgląd na inne zalety poezyi, wnioskuje ostatecznie wydawca, żeśmy po Janie Kochanowskim nie mieli zapewne dawnego poety, któryby tylostronnie życie swego czasu potrącił. Naturalnym trybem rzeczy stało się, że odtąd posiadł i posiada Zbigniew Morsztyn jednę z celniéjszych kart w dziejach dawnej literatury. I w Wójcickiego i w Maciejowskiego dziele znajdujemy go już umieszczonego w szeregu znakomitszych a niewątpliwych poetów polskich.

Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł w tym samym prawie czasie, kiedy się w Warszawie nad rzeczoném odkryciem zastanawiano, w berlińskiéj bibliotece królewskiéj, przetrząsając rękopisy słowiańskie, p. Fr. Nowakowski manuskrypt z pierwszéj (jak sądził) połowy XVII wieku, także nieznajomego poety, zawierający polski przekład wierszem komedyi pasterskiéj Torkwata Tassa, p. n. *Amyntas.* Wydał go p. Nowakowski w Berlinie 1840 roku jako utwór *Nieznajomego autora* w przedmowie atoli postawił domysł, że to jest praca Piotra Kochanowskiego, nieśmiertelnego tłómacza Jerozolimy Wyzwolonéj tegoż poety włoskiego. Skłoniło go do wniosku podobieństwo z Jerozolimą Wyzwoloną w stylu, toku, całym sposobie, jakie zdawało mu się, że jest uderzającém w obydwóch tych przekładach.

To odkrycie i ogłoszenie berlińskie posłużyło na korzyść przygotowywanego właśnie do druku Zbigniewa Morsztyna. W rękopisie jego poezyi znajdował się początek przekładu komedyi *Amyntas*, słowo w słowo zgodny z tłómaczeniem berlińskiém, z témże samém nawet przypisaniem przekładu ze strony tłómacza jakiéjś damie polskiéj, z tą tylko różnicą, że tu i osoba owéj damy bliżej była oznaczona „JW. JMPani Koniuszynéj koronnéj“ (t. j. Tekli z Ossolińskich Lubomirskiéj), podczas kiedy w rękopisie berlińskim tego nie było.

Amyntas Tassa nie ma wprawdzie szczególnéj wartości poetyckiéj nawet w oryginale, cóż dopiero w tym przekładzie, który musiał być młodocianą pracą tłómacza. Z tém wszystkiém, przy innych płodach podnosi znaczenie autora; zaczém też nie zaniedbano przy wydaniu poezyi Zbigniewa Morsztyna w r. 1844 zwrócić w przedmowie uwagi czytelnika na to, że z pióra tego samego poety, któremu przypisano cały zbiór poezyi, wyszedł i przekład Amynty; co też zresztą i dla nas niewątpliwą jest rzeczą.

Owóż taki jest obecny stan sprawy, którą podejmujemy, a podejmujemy w tym celu, *ażeby dowieść, że Zbigniew Morsztyn jako poeta nigdy nie istniał.* Był sobie w XVII wieku Zbigniew i piastował miecznikostwo mozyrskie, ale nie był poetą. Zaszczyty poetyckie przyznawane jemu, należą się Andrzejowi Morsztynowi, podskarbiemu w. kor. autorowi Psychy i Cyda, mało dotąd cenionemu pisarzowi wieku XVII.

Dowodów ostatecznych na to twierdzenie dostarczy wizerunek życia podskarbiego Morsztyna, który dać zamierzamy. Ponieważ zaś czerpać do niego szczegółów wypadnie nietylko z Niesieckiego i z współczesnych historyków mimochodem o nim mówiących, ale i z poezyi lirycznych, uchodzących za dzieło Zbigniewa, — należy przekonać więc czytelnika na samym wstępie jakim takim, byle dostatecznym dowodem, że te liryczne rzeczy są niezaprzeczenie utworem Andrzeja i że mogą tedy służyć za źródło do jego biografii. Mam na to dwa następujące argumenta.

Najprzód znajduje się w Zbiorze poezyi Zbigniewa (wyd. Pozn. str. 134) przypisanie kilku zagadek wierszem, zaty-

tułowane „*Do Jmci P. Teofili z Raciborska Rejowéj Starościny Małogoskiéj,*“ które tak się zaczyna:

„Znając twe *siostro* doskonałe cnoty,
Nie śmiem ci wierszów słać...“ i t. d.

Miał tedy autor siostrę Teofilę, wydaną za mąż za Reja, starostę małogoskiego. A jeżeli tak, to nie mógł to być Zbigniew miecznik, ale podskarbi Andrzéj Morsztyn. Widzimy bowiem w genealogicznym wywodzie Niesieckiego, że w rzeczy saméj Teofila Rejowa z domu Morsztynówna była siostrą rodzoną Andrzeja, poety; podczas kiedy Zbigniew nie tylko nie miał żadnéj siostry Teofili, ale zostawał względem Rejowéj w tak dalekim stopniu pokrewieństwa, że niepodobna, aby ją był miał siostrą swoją nazywać. (Obacz na końcu tabellę genealogiczną Morsztynów).

Drugi dowód jest nierównie ważniejszy. Posiada Biblioteka Zakładu Ossolińskich we Lwowie rękopis, o 184 stronicach nieliczbowanych, 4-to, w XVII wieku pisany, papierowy, dobrze i cało utrzymany, z najwyraźniejszym i przez tę samą rękę, która cały rękopis pisała, tytułem: „*Lutnia Jego Mci Pana Andrzeja z Raciborska Morsztyna Referendarza W. Koronnego. Posłana po kolędzie Jego Mci Panu Łukaszowi ze Bnina Opalińskiemu Marszałkowi Nadwor. Koronnemu etc. etc. An. Dom. 1661.*“ Rękopis ten nie jest wprawdzie autentyczny, t. j. własnoręczny autora; nie jestto też ten sam egzemplarz, który był posłany Łukaszowi Opalińskiemu po kolędzie przez autora; ale tylko kopia jego. Jest bowiem na tylnéj stronie karty 38 miejsce próżne zostawione, ażeby późniéj dopisać na niém początek wiersza brakujący w rękopisie, którego koniec dopiero spisany na następnéj stronicy. Widać tedy, że odpisywacz miał już uszkodzony przed sobą egzemplarz pierwotny téj *Lutni Morsztyna* i że jéj nie musiał przepisywać pod okiem autora. Wszelako pismo wieku XVII i zupełna jednostajność jego przez całą książkę daje w każdym razie rękojmię, że nie jestto zbieranina z różnych papierów, z późniejszemi dopisaniami przez coraz inne ręce, jak się rzecz ma z owym zbigniewowskim rękopi-

sem, z którego powstała edycya poznańska. Polegać przeto ze wszech miar można na zapewnieniu wyrażonem w tytule, że *Lutnia* jest dziełem Andrzeja Morsztyna.

Otóż porównywając Lutnię Andrzeja z wydaniem poznańskiem Poezyi Zbigniewa, spostrzegamy, że wielka część, połowa przynajmniéj treści tam objętéj, znaduje się i tutaj; lubo są znowu rzeczy, które się znajdują w jednym rękopisie, nie będąc w drugim i odwrotnie.

Wniosek tedy konieczny i niezbity sam się tu nastręcza, że wszystkie poezye Zbigniewowi przypisane, nawet te, których nie ma w rękopisie lwowskim, nie mniéj ów przekład komedyi Tassa znaleziony w Berlinie, muszą być płodem Andrzeja. Przypiski owe z boku na brzegach rękopisu ed. pozn. jakoby to były „*Jmci Pana Zbygniewa Morsztyna, Miecznika Mozerskiego wiersze*, tak rozumieć należy, że miecznik był tylko właścicielem tych wierszy, t. j. posiadaczem woluminu, w którym były dla niego może przepisane lub też darowane jeszcze przez jakiego czy to krewnego, czy też tylko zwolennika muzy rzeczywistego ich autora.

A teraz przystąpmy bliżéj do szczegółów dotyczących osoby Andrzeja i jego talentu poetyckiego.

III.

W roku 1638 drukował się w krakowskiéj Piotrkowczyka drukarni polski przekład Przemian Owidego Nasona, pod tytułem *Księgi Metamorphoseon*. Było to dzieło sędziwego już naówczas i pamiętającego jeszcze zygmuntowskie czasy, Otwinowskiego Waleryana, podczaszego sandomirskiego. Na kilkanaście tygodni przed wyjściem dzieła otrzymał p. podczaszy list z Belgii, wierszem polskim do siebie pisany, pełen serdecznych pozdrowień, w którym między innemi takie słowa czytamy:

„Chociaż tak nieodmienne wyroki mieć chciały,
Żeby mię bystre wiatry na cudzy brzeg gnały,
Jeśli Cię jednak kiedy, Dobrodzieju drogi,
Zapomnę, niech Charybdy topi mię wir srogi;

Niech mię i na Syreńskie głośno brzmiące skały
Z rozbitego okrętu sztuką, niosą wały. —
Nie zapominaj wzajem, Muzą sługi swego
I oczerstw swoim rymem Melancholicznego.

. .

. A gdy twoja ona
Księga z prasy wynidzie, pierwéj od Nasona
Po rzymsku napisana, i w sarmacką zbroję
Od ciebie uzbrojona: niech w tém łaskę twoję
Uznam przeciwko sobie, przyślij mi ją, żeby
I tam sława słynęła twa, póki pod nieby
Okręt wiatrem pędzony pobieży......" i t. d.

Pisarzem tego listu był młody poeta, wnuk Otwinowskiego, *Jan Andrzéj z Raciborska Morsztyn*, najmłodszy z synów bolnickiego starosty, któremu także na imię było Andrzej. Odnoga ta niezmiernie rozrodzonéj familii Morsztynów była osiadła w sandomirskiém. Przydomek „*z Raciborska*" służył całéj dzielnicy idącéj z Jana, żyjącego jeszcze w XVI wieku. Pisał się tak zatém i ojciec naszego poety i wszyscy bracia, synowie, krewni jego, chociaż Raciborsko (leżące w dzisiejszéj Galicyi w powiecie bocheńskim), nie było w rzeczywistém posiadaniu naszéj właśnie gałęzi rodu Morsztynów. Do urzędu starosty bolnickiego dodano ojcu naszego poety późniéj jeszcze godność podczaszego sandomirskiego, którą obecnie piastowaną widzimy przez jego teścia, Otwinowskiego. Dzieci miał pan starosta czworo, jedną córkę Teofilę wydaną za Reja, starostę małogoskiego i radoszyckiego, tudzież trzech synów. Średni Stanisław umarł w rychłych latach na skromném dostojeństwie wojskiego sandomirskiego. Najstarszy Tobiasz, łowczy koronny, nieżonaty, umarł po nim około 1664. [5]) Najmłodszy i najzdolniejszy był Andrzéj. Jeżeli przypuścimy, że mogło mu być przynajmniéj lat 18, kiedy kreślił powyższe wiersze, urodzenie jego (zkądinąd niewiadome) przypadłoby jakoś około roku 1620. Pierwsze lata jego młodości, koleje jego nauk szkolnych niepodobna mi opowiedzieć, żadnych bowiem nie znalazłem nigdzie o tém szczegółów. Tyle tylko pewna, że się podeszły

[5]) Czerpię oprócz Niesieckiego, głównie z testamentu tegoż Tobiasza Morsztyna, zamieszczonego w Bibl. Staroż. Pisarzy Polskich Wójcickiego, T. V.

tłómacz Przemian Owidyusza szczególniéj opiekował jego wychowaniem, jego pierwszemi w polskim wierszu próbami, a potém kiedy się już nauczył młody Andrzej tego wszystkiego, czego się w kraju można było nauczyć, wyprawili go rodzice do dalekich, obcych krajów. Stary podczaszy pobłogosławił wnukowi na drogę i pisywali do siebie. Zwiedziwszy Niemcy, znajdował się obecnie nasz Andrzej w Belgii, mając ztąd ruszyć niebawem daléj, do Francyi, Włoch, Sycylii. Na list swój, z któregom wyjątek, z rękopisu lwowskiego wydobyty, wyżéj przytoczył, otrzymał młody podróżnik od Otwinowskiego „*Respons*“ także wierszem. Ponieważ są w nim ciekawe szczegóły co do stosunku tych dwóch pisarzy, wybaczy mi może czytelnik, że i z niego nieco przytoczę, ile że wiersz to dotąd także nieogłoszony drukiem; gdyż jak list wnuka, tak respons dziada nie znajduje się w edycyi poznańskiéj. Pisał mu tedy Otwinowski, jak następuje:

„Ufam ja całe w Bogu swym, mój wnuku drogi,
Że ty wielki wziąwszy zysk z trudu i twéj drogi
I zwiedziawszy narodów wielu obyczaje,
Wrócisz się da Bóg zdrowo znowu w nasze kraje.“

Wiele zaległo, mówi daléj, niebezpieczeństw po drodze, czyhających na zgubę powierzających się morzu i lądom dalekim:

„Ale na cię, któryś jest w Najwyższego straży,
Nic się (da Bóg!) nacierać nigdy nie poważy.
Owszem ty wygodziwszy swéj wrodzonéj chęci,
I nazbierawszy mądrych rzeczy do pamięci,
Doma cię czekające — pozbawisz tęsknice,
I poczciwie ucieszysz zdrowiem swém rodzice.
Mnie — nie wiem! Którego już nadwietszałe lata
Wypychać się potężnie zdają z tego świata.
Bądź mię jednak zastaniesz umarłym, bądź żywym,
Nie najdziesz, jedno żem ci jest lub był życzliwym.
I rzeczesz kiedyś, po mym przechodząc się grobie:
Miałem ja przyjacielem tego człeka sobie!
Jakoż ja tém i teraz to pismo zawieram,
Że niewątpliwie twoim żyję i umieram.
Naso mój jeszcze w cieniu, lecz już w swym niewczasie
Narzeka u srogiego rzemieślnika w prasie.

Skoro mu jednak Bóg da ztąmtąd się wyprawić,
Nie zmieszka i do Belgów za tobą się stawić.
Vale! Otwinowski,
Podczaszy Sendomirski."

Po kilkoletnim nie bez korzyści pobycie za granicą, powrócił młody starościc do kraju i zastał dziada jeszcze przy życiu. Nie długo atoli cieszył się już s arzec z jego powrotu. Jest w wydaniu poznańskiém Poezyi Morsztyna wiersz, pisany już z okazyi zgonu Otwinowskiego. [6]) Dodana do niego data (1645) jest bardzo ważna; ztąd bowiem dopiero dowiadujemu się o roku śmierci tłómacza Metamorfozów, którego nikt inny nie podał. Wiersz sam w formie jakiegoś dyalogu mitologicznego, jest słaby. Bardzo w nim jeszcze wyraźny wpływ, jaki mógł był wywierać na młodym wnuku w początkowym jego zawodzie Otwinowski, przyciężki nieco wielbiciel rzymskiéj poezyi. „Każdy listek tego grobowego wieńca szukany jest na błoniach zaczarowanego świata starożytności," zauważył słusznie bezimienny wydawca poznański. Ale początek wiersza znowu posłużyć może do charakterystyki naszego autora. Tak się odzywa do zgasłego mistrza swojego:

„Dziadu mój drogi, takaż to zapłata
Za to, żeś młode piastował me lata
I do febowéj drogę podał lutnie,
Żeć wiersz nad grobem muszę śpiewać smutnie?
Słuszniejsza było, aby wdzięcznym była
Wierszem twym moja ozdobna mogiła..."

Wypisuję jeszcze miejsce, gdzie opowiada, jak sami poeci wnoszą ciało umarłego do grobu:

„Najprzedniéj Owidyusz z Wirgilim Maronem,
Bo oni z narodami pod zimnym Trionem
Z łaski jego ichże się językiem zmawiają.
Lecz i jego ziomkowie niech im pomagają:
Dwaj Kochanowscy, Morsztyn, [7]) Jarosz, Naborowski,
Rej, Simon Simonides, Smolik, Karmanowski,

[6]) Nie ma tego wiersza w rękopisie lwowskim. Zwracam tu czytelnika uwagę, że jest to więc jeden z nowych dowodów, iż autorem rzeczy objętych w wydaniu poznańskiém nie mógł być kto inny, jak właśnie autor Lutni w rękopisie lwowskim, i że nim był zatém Andrzej Morsztyn, wnuk Otwinowskiego.

[7]) Mowa tu jest o Hieronimie Morsztynie, wierszopisie z pierwszéj połowy XVII wieku, o którym dana będzie wiadomość na końcu rozprawy.

Orzelski, Żórawiński, Grodkowski, i co ich
Obfita w syny Polska może znaleźć swoich."

Tak więc zakończył się ten serdeczny stosunek między młodzieńcem a starcem. Łączyły ich nie tyle może ogniwa pokrewieństwa, jak to podobieństwo zawodu, i — z jednéj strony wdzięczność za kierunek, udział i uznanie, z drugiéj — radość na widok, że latorośl własnego rodu bujnie wzrasta i piękne na przyszłośc wzbudza o sobie nadzieje.

Nadzieje te nie dotyczyły samych tylko poetyckich zaszczytów. Przed śmiercią jeszcze Otwinowskiego oddany został młody Andrzéj na dwór królewski i musiał być mile widziany przez Władysława IV, kiedy go mimo wiek młody nie pominięto przy sposobności wyprawianego (w jesieni 1645 r.) do Francyi poselstwa po ks. Maryę-Ludwikę mającą być zaślubioną Władysławowi IV. Na czele licznego i świetnego orszaku stanęli Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański i Wacław Leszczyński, biskup warmiński. Nasz poeta zajmował oczywiście jedno z podrzędnych miejsc w gronie takich dostojników. Osobiste jednak jego zalety, bywałość w różnych krajach za lat poprzednich, dokładna znajomość języków a mianowicie francuzkiego i włoskiego, wreszcie obrotność, składność, przystojność i pewna galanterya, która mocno znamionuje wszystkie jego poezye, niepodobna aby nie były miały sprawić korzystnego dlań wrażenia na całém otoczeniu przyszłéj królowéj. Godzi się wnosić, że i sama królowa polubić go musiała. Z czego się wywiązało to uwielbienie i dla jéj osoby, i dla jéj niewieściego orszaku, i dla całego trybu jéj francuzkich nawyknień, któremu Morsztyn pozostał wierny w ciągu całego swego zawodu i które wypowiedział nawet tak silnie w jednym z poetyckich swoich utworów, jak zobaczymy niżéj. Nie dziw, że przy takiém usposobieniu, takich protekcyach, uzdolniony z natury, przebiegał karyerę szybko i używany był do najważniejszych spraw dyplomatycznych.

Po wstąpieniu na tron Jana-Kaźmierza, drugiego małżonka królowéj Maryi-Ludwiki, zajmował Morsztyn jeszcze tylko miejsce dworzanina pokojowego na dworze królew-

skim; ale miał i wtedy już wiele u króla wziętości (*intimae admissionis ad regem*, Kochowski). Niebawem otrzymał urząd stolnika sandomirskiego i posłował na sejmie brzeskim 1653 r. Za objęciem rządów w Szwecyi przez Karola-Gustawa, wysłano pana stolnika z pismem królewskiém do Szwecyi, donosząc o przybyć mającém niezwłocznie oficyalném poselstwie polskiém. Jak wiadomo z dziejów, chodziło o zawikłania dyplomatyczne wielce drażliwe dla obydwóch panujących. Wyprawa Morsztyna nie poszła gładko. Sama już podróż przez Baltyk o mało go życia nie pozbawiła. Było to w późnéj jesieni 1654 r. W burzy rozbił się jego okręt. Wysłannik polski dobił do lądu zaledwie na jakiéjś desce, do któréj się zdążył jeszcze przywiązać (Rudawski). Przygoda morska była wróżbą przykrych zajść, jakie go spotkać miały w stolicy Karola-Gustawa. Na liście, który przywoził szwedzkiemu królowi, opuszczono coś z tytułów, do jakich rościł prawo. To było powodem, że pomimo wszelkich usiłowań i półrocznego siedzenia w Stokolmie, nie dozwolono mu nawet widzieć królewskiego oblicza. Kiedy się potém z zawikłań rzeczonych wywiązała wojna szwedzka, widzimy znowu Morsztyna używanego do ważniejszych czynności dyplomatycznych. Posunięto go tymczasem na jedno z wyższych dostojeństw referendarza w. k. W roku 1658 podpisuje jako już referendarz, razem z Władysławem Rejem, kapitulacyę podaną naszym przez Szwedów przy oblężeniu Torunia. Punkta traktatu Oliwskiego (1660) ułożone i podpisane zostały także przez niego, w uczestnictwie Jana Leszczyńskiego, wojewody poznańskiego i Jerzego-Sebastyana Lubomirskiego, marszałka w. k., zamianowanych pełnomocnymi posłami do zawarcia pokoju (Kochowski). We dwa lata potém był Morsztyn od sejmu delegowany do rokowania z Moskwą.

W miarę rosnącego znaczenia spadały też nań różne dowody łaski i szczodrobliwości królewskiéj. Za referendaryą wielką koronną poszły starostwa kowelskie, zawichoskie i wartskie. Przybyło do nich późniéj znaczne starostwo tucholskie. Innego rodzaju zdarzeniem w jego życiu, ale wię-

céj jeszcze znaczącém, bo otwierało już drogę do najwyższych dostojeństw, było pozyskanie serca i ręki w dozgonną przyjaźń (jak to wtenczas mawiano) jednéj z dam honorowych królowéj, znakomitéj rodem, znakomitszéj położeniem, jakie miała na dworze. Ożenił się z Katarzyną Gordonówną margrabianką de Huntiley. Była to dama, pochodzenia szkockiego. Wyrzucona w dzieciństwie jeszcze przeciwnościami losu z własnéj ojczyzny, znalazła opiekę u Maryi-Ludwiki, kiedy ta jeszcze żyła we Francyi. Przez nią wychowana i pokochana jak własna córka, razem z nią przywieziona do Polski,—jedna z pereł orszaku, który zdobiła równocześnie taka Marya Kazimira d'Arquin, późniejsza królowa Sobieska, wydana została w r. 1659 za pana referendarza w. k. Ślub suty sprawiła im sama królowa, nie bez okazałych uroczystości i tych oracyi bez końca, jakie wtedy koniecznie już musiały zdobić każdy akt solenny, a z których pozostała, jakby na świadectwo iż i te gody nie odbyły się inaczéj, jedna „Mowa Weselna" niewiadomego mówcy, zamieszczona w *Swadzie Polskiéj*.

W niewiele lat po ożenieniu (1664/65) stracił brata Tobiasza, łowczego koronnego, który jako bezdzietny i nieżonaty, cały majątek tak ruchomy jak nieruchomy zapisał na rzecz naszego referendarza. Z testamentu, który się dochował cało, [8]) można powziąć wyobrażenie nie tylko o niepospolitych rozmiarach téj sukcesyi, ale i własnym majątku prywatnym samegoż sukcessora, który zapewne dorównywał schedzie braterskiéj, łączącéj się z nim obecnie.

Nie wiadomo, czy piękna margrabianka Gordon tęskniła sobie tyle, co niejedna z jéj towarzyszek rodem francuzek, w kraju i społeczeństwie rubasznych jeszcze nieco synów północy. Jeśli rzecz tak się miała w istocie, to jéj się tém zamąż pójściem bardzo więc wygodziło. Nie przeto tylko, że jéj mąż był bogaty i że ją uwielbiał, ile wnosić należy z poetyckich jego o niéj w poemacie *Psyche* wspomnień; ale że się zdarzyły nieustające zręczności do wyjazdów w dale-

[8]) Obacz go w Bibl. Staroż. Pisarzy Polskich Wójcickiego, T. V, str 115 sqq.

kie kraje. Były to zaś wspaniałe, szumne i tłumne wyprawy. Jako bowiem pierwsza czasu swego zdolność dyplomatyczna, był w tych ostatnich latach panowania Jana-Kaźmierza głównie Morsztyn wysyłany w charakterze posła rzeczypospolitéj to do Rzeszy Niemieckiéj, to do Rzymu, to nareszcie do Francyi. Wiadomo z dziejów, że równocześnie z kończącą się wojną szwedzką, ważyli w myśli obojgo królestwo a mianowicie królowa, ważne a trudne do przeprowadzenia dzieło co do następcy na tron, wyznaczyć się mającego jeszcze za życia Jana-Kaźmierza. Miał nim być książę francuzki Ludwik de Condé, czy to sam, czy wreszcie syn jego, książe d'Enghien. Niektórzy w senacie, a w narodzie ogromna partya była najprzeciwniejsza rzeczonym zamysłom, jak się okazało w wojnie domowéj z Lubomirskim, hetmanem i marszałkiem w. k. (1665). Pobudzała ich do oporu przeciw życzeniom królestwa przedewszystkiém miłość swobód szlacheckich, którym te praktyki co do najważniejszego punktu, bo co do elekcyi królów, ubliżały. Nie było bez tego, żeby i inne, skryte, więcéj materyalne, przez pewną zagraniczną potencyę wywierane na nich wpływy i sposoby, nie były miały nadawać pewnéj, że tak powiem, sankcyi, rzeczonemu miłośnictwu swobody. Niechaj to zresztą historya lepiéj wyświeci; mnie wystarcza dodać do tego tylko, co się naszego poety dotyczy. Owoż Morsztyn stał po stronie partyi francuzkiéj, po stronie królowéj—i popierał z duszy kandydaturę Kondeusza.

Warto przytoczyć w tém miejscu świadectwo o tém, wyrzeczone przez bawiącego w Polsce wtedy sekretarza księcia Kandeusza, nazwiskiem *Caillet*, w memoriale tamtemu przełożonym (1662): „O usposobieniu senatorów i szlachty polskiéj względem elekcyi księcia d'Engien," (obacz *Skarbiec* Sienkiewicza, Tom I, str. 383). „Pan Morsztyn, referendarz koronny, są słowa *Cailleta*, ma wiele zdolności i zdatność do służby. W całéj Polsce on najlepiéj trafia w sposób myślenia królowéj, która go często i chętnie do interesów używa. Nikt nadeń snadniéj przekonać jéj nie umie i nikt lepiéj zamiarów jéj odgadnąć nie zdoła, takich nawet, z któremi się tai. Pierwszy marszałek (Lubomirski) zaczął go podnosić i dał

poznać dworowi (?); stał się on wkrótce jemu samemu potrzebny jako pośrednik między nim a królową. Z tego powodu wielce był używany i potrafił zjednać sobie szacunek królowéj; marszałek bowiem zawsze bywał trudnym i nieznośnym w interesach..... Pan Morsztyn pomógł wiele marszałkowi do otrzymania urzędów i łask, które odebrał, i bez ustanku starał się wystawiać królowéj wielką wziętość marszałka i gotowość na jéj usługi. Zdaje mi się, że intencye Morsztyna były najlepsze; tylko że marszałek zataił się przed nim z postanowieniem zniweczenia elekcyi na przeszłym sejmie (1661).... Kanclerze i pan de Czarnecki nie lubią Morsztyna; onito właśnie wzrośliby najwyżéj znaczeniem i wziętością, jeśliby nasza sprawa udała się bez pomocy marszałka; a wtenczas Morsztyn zostałby na boku.“ i t. d. Mocniejsze dowody jeszcze przytoczę niżéj z dzieł poetyckich Morsztyna, na to że od samego początku trzymał się stronnictwa francuzkiego i gorliwie ono popierał.

A w całém jego dyplomatyczném działaniu, nie chodziło mu tyle o rozwinięcie swobód szlacheckich, ile o wzmocnienie rządu. Czy to pochodziło tylko z osobistego jego stosunku do rodziny królewskiéj, czy téż z głębszego przekonania, w to mnie nie wchodzić; godzi się atoli wnosić, że sumiennie był przekonany nie tylko o korzyści dla siebie, ale i o konieczności dla kraju, takiéj polityki, takiéj właśnie dążności w postępowaniu. Dowody i na to znajdą się niżéj.

Zawikłała go jednak z czasem zabiegliwość zbyt gorliwa w trudności, jakie bodaj mógł przewidywać. Właśnie kiedy się Lubomirski po zajściach pod Częstochową (1665) i pod Mątwami (1666) był pogodził z królem i otrzymał od niego przyrzeczenie, że nikomu już pomagać nie będzie do osiągnienia korony polskiéj, właśnie około tegoż czasu (1667) posłował Morsztyn we Francyi. Złączył on tu widoki swoje tém ściśléj z życzeniami dworu francuzkiego i zobowiązał się popierać kandydaturę Kondeusza nawet potém wszystkiém co zaszło, na własną rękę. Śmierć królowéj Ludwiki w r. 1667 zdawała się osłabiać stronnictwo francuzkie; natomiast przychodziła mu w pomoc okoliczność, że i Lubomirski, główny

przeciwnik życzeń téj partyi, nieco przed tém w tymże roku życie zakończył. Znalazł przeto Morsztyn za powrotem do kraju tém swobodniejsze pole do popierania ukartowanych w Paryżu planów. Co zaś najwięcéj znaczyło, to że Jan-Każmierz, pomimo podsuniętéj sobie przez stronnictwo francuzkie myśli złożenia korony... nie zmienił życzliwych usposobień swoich dla Morsztyna: owszem właśnie krótko przed abdykacyą wyniósł go na jedno z najwyższych dostojeństw w państwie, ofiarował mu podskarbiostwo w. k., a krom niego przy téj-to pono sposobności nadał mu bogate starostwo tucholskie (1668).

Nie ma potrzeby tłómaczyć, jak ważném było stanowisko zajęte przez Morsztyna w najwyższym rządzie państwa i to jeszcze w chwili tak stanowczéj. Urząd podskarbiego w. k. był sam przez się połączony z ogromnemi korzyściami. Nie mówiąc już o dochodach ze starostw, jakich kilka posiadał Morsztyn, uboczne emolumenta podskarbich, jeśli polegać można na świadectwie pisarza mało co późniejszéj epoki, [9]) wzbudzającego wszelką ufność, że był obeznany z biegiem rzeczy publicznych, dochodziły zazwyczaj do 500,000 rocznie. Czy te dochody były pod każdym względem legalne, to inna kwestya. Nie ma téż żadnego powodu do twierdzenia, że intrata Morsztyna z tych źródeł dosięgała rzeczywiście summy rzeczonéj. Mówię o niéj jako o rzeczy, będącéj zkąd inąd w zwyczaju, jako o korzyściach, których zażywał każdy, bez żadnego skrupułu. Bądź jak bądź, objęcie skarbu przez naszego poetę uważane być musiało za wypadek w życiu jego, w dziejach rodziny jego niepowoływanéj przedtém do tak wysokich dostojeństw, tak pamiętny, że bito z téj okoliczności medal. Można oglądać wizerunek tego medalu w *Czasopiśmie zakładu Ossolińskich* 1830, T. III. Na stronie głównéj popiersie podskarbiego, świadczące o pięknych rysach jego oblicza, z napisem w około: *Joan. Andr. Morstin. mag. Reg. Pol. Thesaur.* Na odwrótnéj herb Morsztynów Leliwa i taki

[9]) Jana-Stanisława Jabłonowskiego. Podaje on w dziełku *Skrupuł bez Skrupułu* etc. str. 33 (ed. z r. 1730) że intrata podskarbiego w. k. dochodziła téj summy de facto.

napis: *Ingenii coelestis apex, mens Pallade plena, eloquiumque rapit pectora cuncta tuum, Tu gazas patriae dispensas, magne Senator, ipse ingens patriae gaza decusque Tuae. Jacob Schmidt. d. d.* (nazwisko Mincarza). [10])

Po abdykacyi Jana-Kaźmierza i ogłoszeniu tronu polskiego za wakujący, postanowił nowy podskarbi użyć wszystkich wpływów, dochodów, związków, jakiemi rozrządzał, wszystkich zdolności jakiemi celował, do przywiedzenia zamysłów swoich powziętych we Francyi teraz do skutku i posadzenia na tronie francuzkiego książęcia. Przypuścił do uczestnictwa w tém dziele pozyskanego stronnictwu francuzkiemu już dawniéj, osławionéj pamięci prymasa Prażmowskiego. Niewątpliwie należał do tajemnicy i hetman-marszałek w. k. Sobieski. Zaczęły się potajemne praktyki, agitacye, zmowy. Skrytość robót, źle utrzymywanych w tajemnicy, popsuła jednak wszystko. Szlachta zwietrzyła, ku czemu dążyły te zamysły magnatów. Czy niechęć przeciw kandydaturze zdyskredytowanéj od pierwszéj chwili przez Maryę-Ludwikę, czy niepopularność prymasa, czy obawy, że wyniknąć by z tego mogło jakie okrojenie swobód szlacheckich, dość że (1669) stało się na polu elekcyi, czego nikt nie mógł przewidzieć. Obranym został jakby na przekorę magnatom, zbiedniały i o tyle do niższéj szlachty zbliżony ks. Michał Korybut Wiśniowiecki; kandydatura francuzka przepadła.

Od owéj chwili zaczyna być pan podskarbi coraz mniéj popularną w narodzie osobą. W roku 1670 był na niego huczek niemały. Wiadomo, że zamyślała fakcya francuzka, pod przywodem głównym prymasa, przeprzeć detronizacyę wybranego co tylko króla. Na sejmiku średzkim (1670) schwytano list z dnia 27 Stycznia 1670 z Warszawy pisany do ka-

[10]) Nie ma roku na medalu, brak przeto i pewności zupełnéj, z jakiego powodu był bity. Domysłowo związałem go z objęciem skarbu przez nowego podskarbiego. Niesiecki wspomina, że obdarzył Morsztyn rzeczpospolitę summą 60,000 z własnéj szkatuły. Przy jakiéj sposobności? nie mówi. Byćby mogło, że na pamiątkę téj ofiary medal był bity. Ale sądzę, że w takim razie byłaby jaka alluzya do tego w napisie.

sztelana poznańskiego Grzymałtowskiego, z ustępami niezrozumiałemi dla niewtajemniczonego w rzecz czytelnika, pisane bowiem były cyframi. Był to właśnie list od podskarbiego Morsztyna. Taka wtedy zawziętość była szlachty na to całe stronnictwo, że Grzymałtowskiego, na którym już dawniéj ciężały podejrzenia o różne praktyki i malwersacye, na sejmiku owym na cmentarzu za owe cyfry zrąbano tak okropnie, że ledwie po długiéj chorobie jakby cudem prawdziwym wrócił do zdrowia. Morsztyn salwował się wtedy wyjazdem do Gdańska, i trzeba było listów do sejmików (np. do opatowskiego) i zabiegów niemałych, nim się ośmielił znowu pokazać w kraju. Są nawet ślady, że był na niego wtedy już złożony sąd z senatorów i dwunastu posłów ziemskich pod prezydencyą królewską, który musiał się jednak skończyć na niczém, [11]) dla braku formalności w oskarżeniu. Teraz dopiero przypomniała sobie szlachta, że nie należało dopuścić, aby rodzina aż dotąd przestająca na niższych funkcyach obywatelskich, wzbiła się tak wysoce „że prima w téj ojczyźnie naszéj za niedozorem naszym osiada subsellia!“ Zaczęto szperać po Paprockim i Voluminach Legum, dochodząc nawet jakie tytuły do szlachectwa posiada? Mam przed sobą list jakiegoś chorążego krakowskiego do chorążego poznańskiego (Skóraszewskiego) pisany w téj właśnie chwili, w którym kolledze poznańskiemu donosi krakowski, odpowiadając na zagadnienie co do rzeczonego punktu, że wprawdzie ród Morsztynów, jako zamożnych mieszczan krakowskich, daje się szlakować aż do roku 1422, jeżeli nie głębiéj w przeszłość; „kiedyby jednak ta familia ad equestrem ordinem weszła, wiedzieć nie może, gdyż ani o tém Paprocki nie pisał, ani téż in Volumine Legum nie ma o tém niczego; choćby być musiało, gdyby ta nobilitas (powiada chorąży) była po formie.“ „Rozumiem tedy (konkluduje), że jako to mieszczaninom krakowskim wolno kupować dobra ziemskie,

[11]) Należące do tego świadectwa i źródła, jakoto listy, między innemi i ów morsztynowski do Grzymałtowskiego i zapiski pamiętnikowe posiada Bibl. Ossol. w rękopisie fol. n-r 245, z roku 1670. Jestto księga z rodzaju tak zwanych Silva rerum.

oni téż kupili Raciborsko, Pawlikowice i inne, a przytém żenili się w szlacheckich aryańskich domach, ich wiarę przyjąwszy, i pod płaszczykiem aryańskim nobiles zostali przeciwko konstytucyéj anni 162 (sic), i świeżéj anni 1633.“ Te szemrania szlacheckie pozostały jednak oczywiście bez skutku. Czy tam początek używania praw szlacheckich przez tę rodzinę stał się kiedyś ze wszystkiemi formalnościami, czy nie: *rzecz była*, i nie od dzisiaj. Morsztynowie uważani byli de facto za szlachtę od czterech lub pięciu generacyi, nie brakło im na kolligacyach, urzędach i znacznych majętnościach. A nasz Andrzéj mianowicie wpływem, urzędem, a co najważniejsza, rozumem, stał zbyt wysoko, był za nadto magnatem, żeby mu i król Michał (nie mówiąc o takich chorążych rozczytujących Paprockiego) miał był odebrać zdobyte stanowisko. To téż zajmował je, a zajmując bruździł we wszystkich sprawach przez ciąg krótkiego panowania Wiśniowieckiego. Trzymał się stale fakcyi, którą jawnie przedstawiał prymas, a tajemnie popierał hetman w. k. Bruzdził zaś tém systematyczniéj, że wątła polityka króla Michała, jak wiadomo, podlegała bezwyjątkowie natchnieniom właśnie tego dworu postronnego, z którym Francya w wieku owym w najwyraźniejszém zostawała współzawodnictwie.

Wyniesienie na tron Jana III (1674) zdawało się kłaść koniec opozycyjnemu stosunkowi Morsztyna względem rządowéj dążności. Przed wstąpieniem bowiem i czas pewien nawet po wstąpieniu na tron, podzielał Sobieski przekonania francuzkiego stronnictwa. Z podskarbim naszym łączyła go przyjaźń osobista, [12]) tak że wyznaczył między innymi i Morsztyna po dokonanéj elekcyi do ułożenia i podpisania w jego imieniu paktów konwentów.

Nie długo jednak trwało to dobre między nimi porozumienie. Od czasu kiedy stosunki rodziny królewskiéj z dworem francuzkim obojętnieć zaczęły, a widoki przymierza z cesarzem coraz się więcéj zbliżały: od tego czasu i w miarę

[12]) Obacz wiersz do jmpana Jana Sobieskiego w edycyi pozn. Poezyi Morsztyna, str. 22.

tego życzliwość podskarbiego dla króla stawała się coraz pozorniejszą. Natomiast był w ciągłych zmowach z poselstwem francuzkiém. W kwestyi mianowicie tureckiéj usiłował wpływać na uchwały w radzie królewskiéj w tym duchu, jak tego wymagała polityka Francyi. Usiłowania te były daremne. Za to działanie podskarbiego stawało się tém śmielsze, tém mniéj oględne. Trudno dzisiaj oznaczyć, ile w tém wszystkiém było prywaty, ile rzeczywistego przekonania o potrzebie kraju. W każdym razie sposób działania podlega bezwarunkowemu potępieniu. Przyszło do tego, że odkryto późniéj wyraźną intrygę zawiązaną między królem francuzkim i jego posłem (de Vitry) z jednéj strony, a Morsztynem i jego odherentami z drugiéj. Wyjawiły się niedyskretne rady dawane Francyi przez podskarbiego przeciw własnemu królowi, listy tajemne, summy jakieś, które *nie dla Morsztyna*, ale pewnie nie mimo jego wiedzy a prawdopodobnie przez jego ręce, szły tytułem podarunków czy też pensyi dla tych polskich zwolenników polityki francuzkiéj, którzy takie właśnie dowody wyższości tego-to systemu politycznego najlepiéj rozumieli. [13])

W roku 1683 pojawiło się jakieś satyryczne pisemko, nie wiem czy w kopiach rozrzucone, czy drukowane, przeciw Janowi III. Puszczone było w obieg pod imieniem Wydżgi, ówczesnego prymasa. Wytykał w nim autor wszystkie prywaty, wszystkie uchybienia polityczne i osobiste królewskie. Z przerażeniem dowiedział się arcybiskup gnieźnieński o tym pamflecie sobie przypisanym. Im więcéj był zobowiązany do wdzieczności dla osoby Jana III, od którego przez kilka szczebli aż na wysokość prymasa był wyniesiony, tém gorliwiéj zabrał się natychmiast do zrzucenia ze siebie wszelkich pozorów autorstwa rzeczonego, jak się wyraził, paszkwilu. Przełożył królowi memoryał p. t. „*Votum Apologeticum Jmć X. Arcybiskupa na odezwę pod imieniem jego wydaną*

[13]) Opis tego wszystkiego dokładniejszy znajdzie czytelnik w Relacyi, ogłoszonéj z rękopisu w *Pamiętnikach o dawnéj Polsce* Niemcewicza T. V, p. 295 sqq.

Wydżgi 1683." [14]) Była to odpowiedź punkt za punktem na zarzuty bezimiennego pisarza, pisana z goryczą i wzgardą dla tegoż, z pochlebstwem dla króla, nie lękającém się czasami i rozminąć z prawdą, byle rzecz była nibyto czysto postawiona. Gdyby nie znany owego wieku sposób, właściwy największéj liczbie pism tamtoczesnych, takich, które miały szczęście być drukowane i czytywane przez współczesność, Votum Apologeticum miałoby przynajmniéj tę ważność, że możnaby dokładne z niego powziąć wyobrażenie, co téż zarzucano królowi w satyrze owéj. Ale odpowiedź ks. prymasa jest pisana nie tylko makaronicznie, ale tak mętnie i zawile, że jasne myśli i sensowne ustępy są to prawdziwie tylko lucida intervalla w téj nietrzeźwéj gadaninie. Ogólnie przeto tylko godzi się twierdzić, że między punktami zarzutów bezimiennéj satyry, wiele uwag było słusznych, wiele rzeczywistych błędów wytkniętych, wiele ostrzeżeń takich, że się poźniéj skutki przepowiedzione ziściły.

W każdym razie atoli, i tu znowu forma rzeczy, nadużycie imienia prymasa, bezimienność i skrytość zamachu, że już o zuchwalstwie całego kroku nie wspomnę, rzuciły na ową broszurę tak brzydkie światło, że wyjawienie prawdziwego jéj sprawcy zapowiadało publiczny szkandał. Dodajmy do tego, że własnie w r. 1683 (w jesieni) zwycięztwo wiedeńskie ozdobiło skroń Jana III laurem bohatera, a pojmiemy, że autor pisma mało co przedtém rozrzuconego, stanął w obec narodu jako już osądzony potwarca.

Nie wiem w jaki sposób rozgłosiło się tedy, że autorem pamfletu jest podskarbi w. k.

Czy tak było w rzeczy saméj, czy przeciwnie, nie jest bynajmniéj pewném. Zdaje się jednak, że pogłoska nie musiała być mylna. Zaszły bowiem równocześnie czy też niebawem późniéj okoliczności, które nie tylko w obec ludzi ówczesnych, ale nawet i w oczach naszych nadają posądzeniu owemu wiele prawdopodobieństwa. To jest, rozeszła się naj-

[14]) Czytać można to *Votum* w Pamiętniku Sandomirskim, T. I, Warszawa. 1829, p. 30, B. sqq.

przód wiadomość (która się téż i potwierdziła), że sobie zakupił Morsztyn we Francyi znaczne, rozległe dobra, majętność Chateauvillain. Niezwłocznie potém (w końcu 1683 czy na początku 1684), dostały się do rąk Jana III tajemne korespondencye, a między innemi własnoręczne pismo podskarbiego do francuzkiego króla, w którém minister ten rzeczypospolitéj polskiéj nie tylko oświadczał się poddanym Ludwika XIV, ale co gorsza, jakby jaki lennik korony francuzkiéj, zanosił doń nawet prośbę o zezwolenie wydania za mąż córki swojéj za Bielińskiego, starostę malborskiego,—obiecując że ten zięć jego będzie pomocnym w zabiegach około obsadzenia tronu polskiego według życzeń Ludwika [15]). Tego oczywiście Sobieski ani nie mógł, ani nie chciał przepuścić płazem. Co zatém nastąpiło, opisał nuncyusz rezydujący naówczas w Polsce, *Pallavicini*, w liście do kardynała *Buonvisi*, datowanym z Warszawy d. 18 Kwietnia 1684 r., z którego wypisuję następujące miejsca: „Przywołano do króla trzech biskupów, tudzież Franciszka kapucyna; tym powiedziano, że gdy odebrane były pewne wiadomości o sprzysiężeniu przeciw królowi i rzeczypospolitéj, żądano od nich przysięgi na sekret w tém wszystkiém, co im się objawi. Skoro wezwani przysięgli, okazano im listy posła francuzkiego de Vitry i podskarbiego koronnego.

„Po zeznaniu *Corpus delicti*, przywołanymi zostali tenże poseł i podskarbi. Z początku podług zwyczaju francuzkiego, poseł francuzki zaprzeczał wszystkiemu, skończył nakoniec, iż z postępków swoich, królowi tylko swemu sprawę zdawać powinien. Z czémsiś podobném chciał się i Morsztyn odzywać, ale przytomni biskupi (Wydżga, Dąbski i Wodziński) wraz go przekonali o winie. Gdy podskarbi odprowadzonym został do sanatu i gdy przeczytano listy posła francuzkiego i jego, chciał mówić; lecz przerwał mu mowę okrzyk powszechny, nazywając go bezczelnym i zdrajcą, i że jeżeli chce się usprawiedliwić jak obwiniony, wstać powinien z senatorskiego krzesła i mówić ze środka izby.“ [16])

[15]) Obacz A. Chr. Załuzkiego Epistolae hist. familiares. Tom I, fol. 810 cf. f. 820.

[16]) Obacz Niemcewicza Zbiór Pamiętników o dawnéj Polsce, Tom IV, str. 350 sq.

Trudno to tam było usprawiedliwić się w obec takich dowodów! Niewłaściwość i występność *formy* działania leżała na dłoni; choć wierzyć chciałbym, wnosząc z tego, co się powie przy ocenieniu dążności poetyckich prac Morsztyna, że *cel* téj smutnéj praktyki i ostateczne *powody* owych zabiegów nie były wcale tak zbrodnicze, jak się chwilowo zdawały. Skończyło się tedy na tém, że podskarbi złożył urząd (1684), opuścił ojczyznę i przeniósł się na stałe mieszkanie do Francyi, gdzie jak wspomniałem, nabył sobie prócz wsi *Montrouge* pod samym Paryżem położonéj, majętność Chateauvillain, i zaczął się pono od niéj tutaj nazywać hrabią de Chateauvillain. Żył jeszcze lat kilkanaście w téj przybranéj ojczyznie i podobno się jako starzec z górą 80-letni doczekał nawet początku wieku XVIII. Rok śmierci jego nie jest wiadomy. Zostawił 2 córki i jednego syna. Syn miał za sobą księżniczkę Cheuvreuse, służył w wojsku francuzkiém, pod imieniem nowo-przybraném i zginął w stopniu jenerała pod Namur. Córki przeciwnie pozostały na ziemi, na któréj się zrodziły i wychowały. Jedna z nich (najstarsza Ludwika-Marya) poszła za Bielińskiego poźniéj marszałka w. k.; druga (Izabella) za ks. Kaźmierza Czartoryskiego. Jéj-to wnukiem był Stanisław-August Poniatowski, król polski, zatém prawnuk po kądzieli naszego poety.

Dla uzupełnienia téj części biografii Morsztyna, dodaję jeszcze, że był katolikiem i nawet dobrodziejem kościołów. Niesiecki nie przepomniał podać pamięci, że klasztor OO. Bonifratrów w Warszawie jego był fundacyi. [17]) Mylny zatém

Nie mogę tu pominąć milczeniem, że powołana wyżéj *Relacya* niewiadomogo pisarza (zamieszczona w Pamiętnikach o dawnéj Polsce, Tom V, str. 295 sq.), i niniejszy list Pallaviciniego (w Tomie Pamiętników IV), odnoszą się oczywiście do jednego i tego samego zdarzenia. Ale co szczególne, to że daty w jednêm a drugiém są różne! Według Relacyi zajść miała ta scena między 14 a 15 Marca r. 1680. Pallavicini znowu opisuje ją jakby wypadek z roku 1684. Musi być więc jakieś bałamuctwo w ogłoszeniu rzeczonych źródeł. Rzecz sama w każdym razie jest pewna, jako jest pewne i to, że złożył Morsztyn urząd podskarbiego w r. 1684.

[17]) Sprostować jednak pono wypanie to podanie Niesieckiego co do fundacyi Bonifratrów warszawskich przez podskarbiego Morsztyna. We wspomnianym często wyżéj testamencie brata jego Tobiasza, czytamy zapis w summie 30,000 złp. na rzecz zbudować się mającego dla nich kościoła i klasztoru w mieście Warszawie.

podano szczegół w przedmowie do wydania poznańskiego poezyi Morsztyna, jakoby autor był aryaninem. Trzymała się wprawdzie dawniéj rodzina Morsztynów tego wyznania, ale to się w późniészych pokoleniach zmieniło.

IV.

Chciałbym teraz odsłonić drugą stronę życia Morsztyna, stronę życia prywatną, zawód i charakter jego poetycki. W danym wyżéj szkicu widzieliśmy, ile pod względem publicznym życie jego było czynne. Gdyby zależało na drobnostkowych szczegółach, możnaby ten obraz zajęć służbowych jego uzupełnić z poezyi jego wielu jeszcze rysami. Życie Morsztyna zaraz od czasu służby na pokojach królewskich, upływało ciągle, jak to mówią, na wózku. Pisze np. w jednéj z poezyi niedrukowanych dotąd, w wierszu do Szumowskiego:

„Niesłusznie Janie, niesłusznie to zową,
Co my służymy, służbą pokojową;
Co to za pokój, co to za wczas taki,
Włóczyć się z dworem, jako wilk za flaki (?),

Podskarbi, główny sukcessor po bracie i egzekutor jego testamentu, nie łożył tedy na to z własnéj kieszeni, lubo mógł może i nieco dodać ze swego do summy legowanéj przez brata.

Katolikiem był Andrzéj niezawodnie. Ale prawie za fakt dowiedziony uważać można, że on to dopiero i to zapewne w młodych latach powrócił na łono katolickiego kościoła. Jego dziad *Krzysztof*, starosta filipowski w XVI wieku żyjący był aryaninem, szwagrem Fausta Socyna i nawet autorem publikacyi aryańskich (obacz w Wiszn. Hist. Lit. T. VIII, str. 220). Syn tegoż Krzysztofa a naszego poety ojciec, *Andrzéj* starosta bolnicki i podczaszy sandomirski, musiał być także tego jeszcze wyznania, skoro mu w r. 1646 przypisuje Wojciech Węgierski, kaznodzieja zboru krakowskiego, dzieło swoje p. t. *Antidotum* drukowane w Baranowie 1646 r. W przedmowie z goryczą mówi o szkaradzeństwie odstępstwa swojéj wiary i łamania danego słowa. Gdyby więc ojciec naszego poety był także jednym z takich odstępców, nie byłby mu pewnie przypisywał dzieła Węgierski. Na podskarbiego zatém dopiero przypada konwersya, i to tém pewniéj, że jego brat *Tobiasz* także uczynił ten krok, lubo w późniejszym nieco wieku. Pisze on przed samym zgonem (1664): „nie dawno będąc do kościoła prawdziwego przyłączony..., przepraszam Majestat boży, żem inspiracyom Ducha św. przez czas jaki odpór dawał i żem się, będąc już od niemałego czasu w sumieniu mojém o prawdziwéj wierze ugruntowany, z publiczną professyą jéj dla jakichkolwiek respektów zatrzymywał.“ (Testament).

Nie jeść kiedy chcesz, nie spać gdy się drzymie,
Bez opończy w deszcz, bez czapki stać w zimie,
Słuchać wycia psów, chociéś nie myśliwy,
Przepić, coć żyzne przyślą z domu niwy,
Kłaniać się wszystkim choć bolą kolana..."

A cóż dopiero, powiada daléj, te nieustające posyłki:

„Ty z przywilejem, ty biegaj z wiciami,
Ty z Opatowem, ty z Proszowicami
Umawiaj Sejmik, ty biegnij do Lwowa,
Jeśli wyprawa na obóz gotowa" i t. d.

Można tedy sądzić, że wśród życia tak zajętego samemi sprawami publicznemi, jeżeli który to nasz poeta pisał rzeczy, któreby okolicznościowością, powagą, słowem publiką— ten stan autora jako statysty odbijały. Tym czasem rzecz się miała właśnie przeciwnie. Był to człowiek prawdziwie urodzony na dyplomatę. Czynny, zabiegliwy, obrotny w gabinecie,—po-za jego ścianami wyrzucał z myśli brzemiona interesów, rzucał się w wir życia towarzyskiego całą duszą, i nie było bankietu, pustoty, zabawy, czy w gronie kolegów, czy na pokojach królewskich, w którejby Morsztyn nie odgrywał głównéj roli. Niktby tam pewnia z miny jego nie odgadł, że to człowiek nie tylko do tańca! nie tylko do koperczaków! Takie przynajmniéj wrażenie sprawiają jego poezye. Jeśli wypadło wyprawić naprzykład balet na jakiéj dworskiéj uroczystości, układa go, a przynajmniéj uzupełnia go wierszem swoim Morsztyn. Każdéj damie, biorącéj w nim udział, umie grzeczność zaśpiewać. Zaszła potrzeba wystąpić z czémś jeszcze solenniejszém, Morsztyn tłómaczy sztukę Kornela i zapewne, jak wnosić ze wszystkiego należy, nie tylko ją tłómaczy, ale i do jéj odegrania należy pospołu z dworzanami króla i z damami dworu królowéj. A i to jeszcze nie zapełniało bynajmniéj wszystkich chwil wolnych, wszystkich potrzeb jego temperamentu. Miał on jeszcze i po mieście rozliczne znajomości i stosuneczki, które serce jego więziły. Całą litanię możnaby złożyć Zoś, Kaś, Jagnieszek, Helen, Bogumił, Fillid i bezimiennych bogdanek, dla których pałał affektem i które rymami swemi unieśmiertelnił. Ta erotyczność stanowi główne znamię jego liryków. Niektóre

z nich pisane są wprawdzie dowcipnie, zręcznie, figlarnie, z wielkim talentem, ale z taką swobodą, jeśli nie swywolą, że wcaleby ich drukować nie można. Ale bo ich też nie przeznaczał do druku. Pisał dla własnéj zabawy, udzielał przyjaciołom; co z nich w rękopisach zostało, stanowi małą zapewne tylko cząstką tego, co popisał. Znał on tę słabę stronę swojego serca i spowiada się z niéj naiwnie w wierszu „*Praktyka*“ (wyd. pozn. str. 68):

„Ledwie mię pierwsze okryło powicie,
Ledwie mi prządka niełaskawa życie
Zwijać poczęła, kiedy spadłszy lotem,
Kupido wygnał parki z kołowrotem,
— Ja sam, powiada, przy życia zaczęciu
Wieszczbę nowemu zaśpiewam dziecięciu.

Śpiewa mu tedy Kupido, jakie to życie dla niego przeznaczone i dodaje:

Tylko téż umiéj zażyć swéj pogody,
I niepuszczaj się bez steru na wody.
Umiéj oczyma mówić.
. .
Umiéj usłużyć, umiéj się ustroić,
Żartować i gdy pozwolą, pobroić.
Więc kartkę podać i krokiem nieskorem
Przybyć na daną godzinę wieczorem,
I każdą pomnij, ćwicz się w każdéj sztuce,
Którą dał Nazo w zalotów nauce.
On swoje wierszem przyozdobił Włochy,
Ale i ty wiersz zaśpiewasz niepłochy,
Który się czasu nie zlęknie i laty
Wiecznemi będzie brzmiał między Sarmaty!
Tylko mi niedbaj wysoko rym wznosić
I dawne dzieje piórem twojém głosić!
Nie pisz, co gwiazdy na kole bieżącém,
Co słońce czyni, złączone z miesiącem;
Pomiń Monarchów polskich dzielne sprawy
I bitne króle, Jany, Władysławy —
Zostaw to innym; to twoje roboty,
Pieśń składać gładką i łacne zaloty,
Moje tryumfy wspominać i nowy
Nad tobą przezysk i twoje okowy. . . .“

Owoż powyższego zalecenia Kupidynowego trzymał się w życiu nasz poeta i — nie można tego zataić — marnował najczęściéj talent. Lira jego nie brzmiała tonami, jakiemi

przed stu laty zachwycał był naród poeta z Czarnolesia. W kilku zaledwie utworach zostawił ślady wyższego natchnienia, jakiego zdolność odebrał z natury. Życie na dworze, wśród zepsucia, w wieku ze wszech miar odrodnym od dawnych tradycyi, spłaszczyło, ścieśniło jego widnokrąg i dar poetycki przykuło do ziemi.

Rozczytując liczne jego utwory tego rodzaju, nabywamy wyobrażenia nie tylko o samym ich autorze, ale o całym trybie życia wyższych stanów owego wieku. Pełno w rękopisie lwowskim i wydaniu poznańskiém jest wierszy to do najpierwszych panów, to do przyjaciół, rówienników i kolegów na dworze Jana-Kaźmierza, jak np. do Grotkowskiego, do Władysława Szmelinga, do Przeczkowskiego, do Szumowskiego i t. d. Widzimy z nich, jak rozwolnienie obyczajów, idąc z góry na dół, dalekie już uczyniło w owych czasach postępy. Dziwna rzecz, że pokolenie dzisiejsze wystawia sobie ludzi ówczesnych w takim rygorze, w takiéj grozie obyczaju! Piękne to ale szczególne złudzenie! Zkąd my mogliśmy nabyć takich wyobrażeń, uchodzących już za dogmat niemal, za miarę dla fantazyi poetów i powieściopisarzy, której przestąpić nie wolno? Miałyżby przyczyniać się do tego te marsowe mężów postaci w zbrojach, te wizerunki niewiast w zakonnych szatach, które oglądamy na nagrobkach, na portretach z czasu owego? Czy raczéj uwodzą nas owe stósy łacińskich ascetycznych traktatów, w jakie szczególniéj obfitowała epoka życia Morsztyna? Nie zawsze tam nurtuje życie religia, gdzie o niéj najwięcéj piszą, gdzie ją analizują do najsubtelniejszych odcieni, a po życiu hulaszczém kładą się w habitach do pozłocistéj trumny! Były bezwątpienia i w wieku Morsztyna domy, rodziny, przechowujące tradycyę lepszéj przeszłości. Ale co pewna, to że reguły w życiu ówczesném tradycya takowa już nie stanowiła, i wiedzieć o tém należy, ażeby się nie łudzić urojeniami.

Z pomiędzy wymienionych dworzan pokojowych królewskich, jedna tylko postać poety Grotkowskiego pięknie odbija. Kochał go widać i poważał Morsztyn najwięcéj ze wszystkich towarzyszów swoich, bo się najczęściéj do niego

właśnie odzywał; a lubo i w tych wierszach panuje niekiedy ów ton lekki, świadczący już o całym kierunku dworskim, są jednak miejsca, gdzie widać jakby uwielbienie dla niego, które i w poecie piękniejsze budziło myśli. Kończy np. temi słowami list do niego pisany do Neapolu, gdzie w sprawie summ neapolitańskich przebywał z polecenia królewskiego Grotkowski:

„Możeć Twój wierszem mówić dowcip żyzny
I z teraźniejszym i z upadłym Rzymem;
Ale ty pomniąc prostotę Ojczyzny,
Mów z nią domowym nieprzewoźnym rymem,
I swojéj matce nie zadaj téj blizny,
Żebyś językiem miał pisać pielgrzymem (?),
Bo ona widząc rym Twój tak przebrany,
Śmie swoje nad Rzym przekłedać Słowiany.
Jakoż raz tylko usłyszawszy Ciebie,
Zapomniał Parnas mówić po łacinie;
Muzy po polsku piszą, i ty Febie
Polskie grasz tańce niebieskiéj drużynie.
Zkądeś tak wieki i po swym pogrzebie
Zniewolił, Janie, że co Tobą słynie,
Dziękujeć, że w nim Twoje prace wyszły!
Przeszłyć zazdrości — zadziwi się przyszły.“

Już z tego wyjątku powéźmie czytelnik wyobrażenie, że i na wznioślejszych więc uczuciach nie brak poezyi morsztynowskiéj. Przyznając wyżéj, że najczęściéj marnował talent, nie chciałbym przeto odmawiać wyższego znaczenia całemu jego stanowisku w literaturze. Ażeby je ocenić, oznaczyć, obeznajmy się bliżéj z pozostałościami jego muzy.

Morsztyn mało co, najpewniéj nic wcale nie publikował drukiem z pism swoich. Jest ślad w jednym z jego wierszy, („*Do swoich książek*“ na początku wydania poznańskiego i także w rękop. lwow.), że raz jakiś zbiór poezyi przygotowywał do druku. Żegna się tam żartobliwie z lutnią swoją, która się, powiada, napiera iść na świat przez nielitościwe prasy drukarskie. Ale do tego, nie wiadomo czemu, nie przyszło. Natomiast widać ze wszystkiego, że było u niego zwyczajem, co się nowych płodów znalazło, zgromadzać w wiązanki i posyłać je w rękopisie osobom, z któremi się przyjaźnił, które poważał, albo których względy pragnął pozy-

skać. Nie mówiąc już o pojedyńczych listach poetyckich, któremi obsyłał np. *Jana Sobieskiego* (w rychlejszych czasach), siostrę swoją *Rejową*, krewnego *Stanisława Morsztyna* rotmistrza J. K. Mci, *Kaźm. Kłokockiego* stolnika płockiego i t. d.; udarował naprzykład całym zbiorem pieśni miłośnych „jaśnie wielmożnego Jmć Pana Koniuszego Koronnego *Aleksandra Lubomirskiego.*" Nazwał ten zbiorek *Kanikułą*, jako napisany w czasie kanikularnych upałów na niebie i w sercu własném:

„Mnie wściekła gwiazda, mnie i Venus męczy,
Mnie wewnątrz ogień, mnie i z wierzchu dręczy."

Są to rzeczy po większj części słabe i były też pisane w rychlejszych latach, jak data 1647 wskazuje. W rękopisie lwowskim, nie znajduje się *Kanikuła*. W tychże zapewne czasach był posłany w darze przekład *Amynty* Tassa żonie tegoż Aleksandra Lubomirskiego, z domu Ossolińskiéj, koniuszynéj koronnéj, z osobną dedykacyą tłómacza. Wspomniałem już wyżéj, że Amyntas zdaje się być jedną z najpierwszych jego prób poetyckich; mało ma zalet, w rękopisie lwowskim go nie ma, w drugim (z którego powstała ed. pozn.) znaleziono początek; całość odszukał i wydał p. Nowakowski w Berlinie. Inny zbiór wierszy wyprawił Morsztyn do brata wspomnianego wyżej Aleks. Lubomirskiego, do hetmana i marszałka wiel. kor. *Jerzego Lubomirskiego*. Całego zbioru tego nie mamy. Znajduje się tylko w obydwóch rękopisach wiersz długi dedykacyjny do niego, zawierający ciekawy opis Warszawy ówczesnéj. Z napisu: „*posyłając wiersze* panu marszałkowi" etc. widać, że służył za przedmowę do całéj wiązanki poezyi:

„Wielkiemu Panu, ale i wielkiemu
Wierszów uznawcy, dowcipów sędziemu, [1])

[1]) Nie wiem, czy każdemu wiadomo, że był nawet autorem i to poetyckich rzeczy marszałek Jerzy Lubomirski. Przekład z włoskiego, utworu Guariniego *Pastor Fido*, bezimiennie w Toruniu r. 1695 wydany, jego to jest pióra. Mylnie to niektórzy przypisywali jego synowi, znanemu w literaturze księciu Stanisł. Herakliusowi Lubomirskiemu.

Pójdź, rozkazaniem jego przymuszony,
Oddaj te wiersze i moje pokłony.
Żebyś nie zbłądził, chociaż nie za morze
Idziesz, o jego tak się pytaj dworze...."

(i tu następuje cała marszruta przez ulice warszawskie dowcipnie i zręcznie upoetyzowana). Ten wiersz do Jerzego Lubomirskiego należy do ważniejszych płodów naszego autora. On jeden też tylko był już dawniéj ogłoszony z rękopisu lwowskiego z wyjaśniającemi uwagami i wiadomością bardzo niedokładną o autorze (w Czasop. zakł. Ossol. 1830, T. III str. 105, cf. r. 1831, I, str. 19). W wydaniu poznańskiém utwor ten znajduje się także (str. 24).

Widać z tego wszystkiego, że zatém w młodszych latach zostawał Morsztyn w szczególnie ścisłych stosunkach z Lubomirskimi.

Podobnym zbiorem przesłanych w podarunku poezyi była *Lutnia*, ofiarowana w r. 1661 *Łukaszowi Opalińskiemu*, marszałkowi nadwornemu kor. Stanowi ona właśnie treść rękopisu lwowskiego, opisanego wyżéj. Ten Łukasz Opaliński, brat rodzony znanego satyryka Krzysztofa Opalińskiego, był także i sam pisarzem. Prócz kilku mów politycznych, zostawił polski poemat dydaktyczny pod tytułem *Poeta* (wydany w Krakowie dopiero 1780 r.) i kilka dzieł łacińskich politycznéj lub religijnéj treści, między któremi najważniejsze *Polonia defensa contra Barclavium*, Dantisci 1648. Umarł w rok po otrzymaniu Lutni od Morsztyna, t. j. 1662 roku. Wspominają go wszyscy, jako męża przewagami wojennemi, rozumem, głęboką nauką a mianowicie gruntowną znajomością obojga starożytnych języków (?) odznaczonego. Któżby z tych rysów nie utworzył sobie wyobrażenia, że to był człowiek moris antiqui, groźny, poważny, wzbudzający gdzie się tylko pokazał, samą cześć dokoła i respekt! Tak jednak być nie musiało. Musiały się figliki czasem trzymać i pana marszałka; inaczéj nie byłby mu śmiał ofiarować pan referendarz kor. poezyi, między któremi wiele jest takich, żeby ich dziś żadną miarą nie uchodziło drukiem ogłaszać. Boć przecie dobieramy zazwyczaj darów wedle natury tego, kogo zamierzamy obdarzyć.

Lutnia ta dzieli się na dwie księgi i obejmuje same tylko liryczne, ulotne wiersze. Odnoszą się oczywiście wszystkie do czasu przed r. 1661, a zatém do epoki kawalerskiego życia Morsztyna. Pewna część onych znajdowała się w owym rękopiśie drugim; przeszła więc z niego do edycyi poznańskiéj. Bardzo wiele jednak jest w Lutni takich utworów, których tam nie ma, a któreby istotnie zasługiwały na ogłoszenie. Wartość ich nie polega na saméj tylko treści, rzucającéj światło na ówczesne stosunki towarzyskie, ale i na artystycznych zaletach. Można Morsztynowi zarzucać płochość, wietrzność, poziomość natchnienia. Pod tym względem przewyższał go pewnie współczesny Wacław Potocki nieskończenie. Ale czego trudno odmówić naszemu poecie, to prawdziwego dowcipu i panowania nad językiem i wierszem, jak na owe czasy, znakomitego! Inni np. Kochowski lub też Twardowski Samuel, uważani do niedawna za główne illustracye poetyckie epoki morsztynowskiéj, jakże często grzeszą przeciw najskromniejszym wymaganiom co do poetyckiéj formy, czy to w pojedyńczych wyrażeniach, czy w całym toku języka. Jęczą pod ciężarem książkowych wysłowień, mitologii, erudycyi, słowem najniezdarniejszego pedantyzmu. U Morsztyna takiéj uczoności nie ma. On tam z książek natchnienia nie czerpał, pisał ze źródeł życia, i jak jeszcze ruchliwego, gwarnego życia! Co pisał, rzucone było od ręki, jak (w prozie) Pamiętniki Paska; a gdyby mu kto miał przyganiać, to odpowiadał zawczasu: wszakże ja tego drukować nie myślę, ją na tém imienia nawet mego nie położę:

„Jam nie myślał nigdy o tém,
Być Bekfarkiem i Galotem.
Takem sobie w domu gędził,
Abym zły humor odpędził.
Zaczém ktośkolwiek jest, Panie,
Coć się tych mych dum dostanie,
Choć się affektem rozpalisz,
Lub poganisz, lub pochwalisz,
Nic nie rzekę, choć usłyszę,
Bo się w Lutniéj nie podpiszę.“ (z ręk. lwowsk.)

Ta zamaszysta improwizacyjność, ta że się tak wyrażę, egotyczność poety, nadaje zdaje mi się płodom jego znamię

czegoś nowego w dawnéj literaturze naszéj. Bez talentu, byłyby to rzeczy nie zasługujące na żadną uwagę. Ale przy tak niezaprzeczonéj zdolności poetyckiéj, stanowią one typ nowy, który miał przyszłość w dalszych kolejach poezyi polskiéj. Aż dotąd poeci nasi czerpali mniéj więcéj z tradycyi starożytnego pieśniarstwa. Przedmiotowość i plastyczność była szczególną cechą utworów Jana Kochanowskiego i dalszych jego braci po duchu. Ci z nich, którzy żyli w wieku Morsztyna, szli temi tradycyami coraz daléj, brnąc czasem aż nadto głęboko w szkolności, książkowości form i sposobów. Jestto jedna z głównych przywar nawet autora Wojny Chocimskiéj. Owoż odbija od nich Morsztyn, jako przedstawiciel poezyi, zupełnie odrębnego rodzaju. Związek jego z wzorami starożytnemi był tylko na początku zawodu, póki starczyło wpływu dziada jego Otwinowskiego. Późniéj puścił się na własną rękę, torami mało dotkniętemi poprzednio. Zrywał kwiaty na smugach życia. Płatał figle wedle rzeczywistéj praktyki. A jeśli odwzorowywał formy postronne, jeśli przenosił do mowy polskiéj tradycye obce, to ich szukał na niwie współczesnych literatur europejskich, mianowicie literatury włoskiéj, z którą się oswoił, przebywając we Włoszech za młodu. Lubił nastrajać lutnię swoją na nutę włoskich melodyi i wiele rzeczy wyśpiewał w formie sonetu, w sestinach, stancach i t. p. że już o tłómaczeniu Tassa nie wspomnę [19]). Z łaciny przeciwnie chyba czasem jaką pieśń Sarbiewskiego przepolszył.

Pomijając już zbiór kilkanastu *Zagadek* wierszem, ofiarowanych siostrze *Teofili Rejowéj*, które podobną zbiorową całość tworzyły i znajdują się w wydaniu poznańskiém: przechodzę do utworów dłuższych, odrębnych.

Należy do nich „*Balet królewski w Warszawie 1654.*“ Nie ma go w rękopisie lwowskim i nie byłoby potrzeby wspominać o nim, gdyby nie okoliczność, że się z niego dowiadujemy, jak tego rodzaju widowiska dawane były na

[19]) Samo nazwanie jednego zbioru poezyi *Lutnią* zdradza to pokrewieństwo. Słynny poeta włoski XVII wieku *Marino* podobnie zatytułował zbiór liryków, idylli i epigramatów swoich „*La Lyra, rime.*“ Wenecya 1602.

dworze warszawskim. W braku towarzystwa stałych artystów scenicznych, brała na siebie zadanie takich przedstawień młodzież dworu królewskiego obojéj płci. Wszystkie damy biorące udział w balecie są tutaj wymienione z nazwiska. Widzimy między niemi i Maryę-Kazimirę, późniejszą królowę polską, i Katarzynę de Gordon, następnie żonę poety. Przedstawiały obie-żniwiarki.

Daleko więcej znaczy „*Cid albo Roderik, Comedya Hiszpańska z francuzkiego języka przetłómaczona, która w zamku warszawskim reprezentowana była na sejmie 1661 roku, po odebraniu miast litewskich, także miast pruskich od Szwedów windykowanych, jako Prolog in persona Wisły świadczy.*“

Ten przekład znanéj tragedyi Kornela wyszedł był z druku, razem z poematem *Psyche*, podobno jeszcze w XVII wieku.

Ważny jest nie tylko przeto, że się rozpoczynają już więc na nim (w środku XVII wieku) dzieje wpływu klassycyzmu francuzkiego na poezyę naszą i że o tyle okazuje się Morsztyn poprzednikiem epoki przeważnie to piętno noszącéj za Stanisława-Augusta, prawnuka jego; ale i dla płynnego wiersza jakim spolszczył tę sztukę. Na początku tego wieku, Ludwik Osiński zachwycał warszawian swojemi przekładami sztuk klassycznych francuzkich. Wiemy, że kierował się w rymowaniu zasadami dość wybrednemi. Nie łatwo mu drugi dogodził. Owóż na pochwałę niemałą przekładu morsztynowskiego posłużyć może wiadomość, że nie czując się na siłach Osiński zrobienia czegoś lepszego, zatrzymał podobno [20]) w swojém tłómaczeniu w wielu razach tekst Morstyna i tylko od niego zupełnie odstępował w pojedyńczych ustępach, lub też gdzie uważał za potrzebne skracać sztukę Kornela. Dodany jest do przekładu *Cida*, jak już napis opiewa, zręczny prolog oryginalny Morsztyna. Są w nim ładne myśli, choć dworszczyzna wszędzie przebija. Występuje nibyto Wisła i wyraża radość swoją z posiadania rodziny królewskiéj znowu nad swemi brzegi:

¹) Mówię *podobno*, gdyż ten przekład Osińskiego nie jest wydany, ażeby go z morsztynowskim porównać można.

„Jam też pilno spieszyła,
Żebym tu na czas była,
Upaść do nóg z swą danią
Przed mym panem i panią,
I powiedzieś im śmiele,
Że być u nich w podaństwie
Najwyższe me wesele!
I żem z tego pyszniejsza
Że nurt mój bystry pod ich rządem bieży,
Niż że w mém łożu dawna Wanda leży!“

Prolog kończy się takiém życzeniem:

Żyjciesz tedy wiek długi!
Niech za wasze usługi
Niebo i polskie strony
Oddają wam korony!
Niechaj fortuna płocha
Z statkiem się w was rozkocha,
I niech nieprzyjaciele
Pod nogi wasze ściele!
Dzierżcie jednych w przymierzu,
Drugich zaś bierzcie w łyka:
Żyj Kazimierzu!
Żyj Ludwika!“

Wspomniałem, że ten przekład sztuki Kornela jest wydany razem z poematem *Psyche*, i to prawdopodobnie jeszcze w XVII wieku, bezimiennie. Do dwóch rzeczonych utworów Andrzeja, dołączono jeszcze dwa dzieła innego autora i wydano wszystko razem bezimiennie pod takim tytułem: *Psyche z Lucyana, Apulejusza, Marina,— Cid albo Roderik komedya hiszpańska z francuzkiego przetłómaczona,— Hippolit y Andromacha, tragedya z francuzkiego przetłómaczona*, bez oznaczenia miejsca i roku, 4o, (Bentkowski). Téj edycyi nie znam, mam jednak powody, z których się niżéj wytłómaczę, wnosić że wydawcą jéj był krewny i przyjaciel podskarbiego, Stanisław Morsztyn, wojewoda naówczas mazowiecki, właśnie autor obydwóch dołączonych, a nie będących dziełem podskarbiego, utworów. Rok wyjścia z druku przypada w każdym razie na kilka lat po wyniesieniu się już z Polski poety naszego (1698). W drugiém wydaniu, o pół wieku z górą późniejszém, pobałamucono już stosunki autorów do dzieł każdego z nich, przypisując wszystko

w czambuł Andrzejowi podskarbiemu; tytuł tego wydania taki jak i pierwszego, z różnicą że dodano teraz: *przez J. W. JMci Pana Andrzeja Morsztyna na ten czas podskarbiego W. K. Teraz zaś na wielu instancyę przedrukowana kosztem Stanisława Słowińskiego Bibl. J. K. M. w Lipsku Roku MDCCLII* (więc 1752 a nie 1725 jak wielu jeden za drugim powtarza), 4-to, str. 360. Innych wydań nie ma.

Otóż te dwie drukowane prace, te obydwa (jak wszyscy rozumieją) przekłady, *Cid* i *Psyche*, stanowiły aż do téj chwili cały zasób zasługi autorskiéj Morsztyna około literatury[21]. Edycya poznańska jego poezyi poszła na cześć innego, na cześć Zbigniewa. *Lutnia* zalega we Lwowie w rękopisie. *Amyntas* wyszedł bezimiennie. *Cid* jest tylko tłómaczeniem. *Psychy* nikt czytać nie raczył. Nie dziw, że figurował też i figuruje dotąd nasz podskarbi gdzieś ledwie na szarym końcu po wszystkich rysach piśmiennictwa i historyach literatury polskiéj. Zaledwie go raczą wspomnieć jako tłómacza!

A tymczasem, gdyby się był tylko chciał kto bliżéj przypatrzyć téj „tłómaczonéj *Psysze z Lucyana, Apulejusza, Marina,*" byłby łatwo dostrzegł, że choćby jéj autor nic innego nie był napisał, jak tylko właśnie Psychę, jużby go do pisarzy szarego końca, do tłómaczy zwłaszcza, liczyć nie należało. Jakże bo też ma to być poemat przełożony jednym zamachem ręki i z Lucyana, i z Apulejusza, i z Marina zarazem? Lucyan Grek, wcale nie pisał poezyi, a to poemat? Apulejus (pisarz łaciński II wieku po Chr.) także żadnego wiersza nie skleił. Marino, poeta włoski, pisał ich wiele, to prawda! Ale Marino umarł już w r. 1625; a w morsztynowskiéj Psysze są szczegóły nie tylko o takich zdarzeniach, które zaszły na kilkanaście, kilkadziesiąt lat po r. 1625, ale którychby włoski poeta, tak jak są opowiedziane, wcale przedstawić nie mógł, choćby nawet był wtedy jeszcze przy ży-

[21]) Że *Hippolit* i że *Andromacha* nie były pióra Andrzeja ale Stanisława Morsztyna, o tém dawno już wiedziano, ze wzmianki Załuskiego w Bibl. Poet. Pol. strona 61.

ciu. Zresztą nie widzimy też w spisie dzieł Marina żadnego poematu pod rzeczonym tytułem, jako go też nie widzimy ani między pismami Lucyana, ani Apulejusza.

Jakiż sens tedy tych słów na tytule: „z Lucyana, Apulejusza, Marina?“

Wziął sobie nasz poeta za osnowę swego *romansu-wierszem*, do tego bowiem rodzaju poezyi odnosi się poemat, o którym mowa, dawny mit grecki o Amorze, zakochanym w śmiertelnéj ale ślicznéj nad wszelki opis dzieweczce, któréj było Psyche na imię. Do licznych pisarzy, tak w prozie jak wierszu, którzy obrabiali tę poetyczną tradycyę, należeli w starożytności *Lucyan* i *Apulejus*. U obydwóch jednakże użyta ona jest tylko jako epizoda, wstawiona w utworach dłuższych innéj treści i innéj nazwy, pisanych prozą.[22]) Co do Marina, pism jego nie znam i nie mam w téj chwili sposobności oglądania takowych. Ile wnosić można z tego, co o nich mówią po dziełach historyczno-literackich, będzie i u Marina rzeczony mit o Psysze traktowany tylko jako epizoda wtrącona do długiego poematu *Adone* w 20 pieśniach. Mógł z włoskiego Morsztyn zaczerpnąć niejeden szczegół, jak też przyswoił sobie niejedno z Apulejusza (o czém przekonałem się porównywając obydwóch); ale o *przekładzie* w każdym razie mowy tu być nie może.

Dla przekonania czytelnika, że istotnie *nie może*, niech mi będzie wolno przytoczyć z jednego ustępu Psychy nieco wyjątków.[23]) Są one i zkądinąd ciekawe. Rzucają światło na charakter polityczny poety, odsłaniają nam stosunki dworskie ówczesne, pisane przytém językiem i wierszem, jakim mało kto przemawiał w wieku XVII, a nie muszą być znane, bo niktby tego natenczas nie uważał za tłómaczenie z greckiego!

Już to w ogóle o poezyach Morsztyna nadmienić można, że lubo się jego muza najczęściéj trzpiotać lubiła, wyziera jednak z niejednego wiersza podskarbi, myślący polityk

[22]) *Lucyana Λούκιος ἢ ὄνος Apulejusa* De Asino aureo.

[23]) Stanca 25 do 53; wszystkich stanc obejmuje poemat 296.

i dyplomata. Jeszcze referendarzem będąc, kiedy wysyłał wiersze do Jerzego Lubomirskiego marszałka wiel. kor., wyraził się w owym poemaciku opisującym Warszawę w taki np. sposób o sejmach; (Mowa zwrócona do lutni):

„Przyszedłszy w miasto, nie wstępujże w prawo,
Sejmy tam łamią, przerabiają prawo,
Rzadko tu dobry strój, że prawdę rzekę:
Ukręcąć kołki i potłuką dekę,
I swar poselskiéj zagłuszy cię Izby,
Nie przeciszniesz się przez panięce ciżby...."

W wydaniu poznańskiém poezyi (str. 123) czytamy wiersz p. t. „*Non fecit taliter ulli nationi,*" taki:

„Żadnéj krainie Bóg nie błogosławił
Tak jako Polsce; bo choć ją postawił
Wśród nieprzyjaciół krzyża zbawiennego,
W całości dotąd jest z obrony jego.
Ztąd ma i sławę, bo postronni wiedzą,
Że za jéj strażą w bezpieczeństwie siedzą; —
Do sąsiadów też chleba nie biegamy
Prosić — i owszem swego udzielamy.
Czegoż chce więcéj ta kraina z nieba,
Mając dość sławy, obrony i chleba?
— Rządu potrzeba!"

Najwybitniéj świadczy jednak o osobistych Morsztyna stosunkach do rządu i do tronu ustęp w *Psysze*, który tu opowiedzieć zamierzam. Zaczyna się w poemacie opowiadanie od tego, że Wenus wpada w wielkie kłopoty. Wszyscy śmiertelni zapominają o niéj. Nikt jéj już ofiar nie składa. Nikt ani o niéj nie myśli! Zjawiła się bowiem na ziemi cudownéj piękności królewna, *Psyche*, która cudami urody tak owładnęła umysły ludzkie, że ołtarze dymią się tylko dla niéj kadzidłem, że wszystkie usta powtarzają jéj tylko imię. Spieszy bogini na miejsce, gdzie zamieszkuje ta piękność, chcąc dowieść wszystkim a przedewszystkiém sobie saméj, że przecież niczém jest śmiertelna cudność w obec nadziemskiéj. Ale niestety, jedno spojrzenie na Psychę wystarcza na obalenie wszelkich nadziei odzyskania dawnych uwielbień ze strony rodu ludzkiego. Psyche bowiem rzeczywiście jest tak piękna, że gaśnie przy niéj nawet nadobność

Wenery! To ją do rozpaczy, a daléj do zemsty wielkiéj pobudza; zaprzysięga zgubę Psysze, a narzędziem zemsty ma być jéj synek, bożek miłości, Kupido. Ale gdzie on jest? Tak dawno go już nie widziała. Nigdzie się o niego dopytać nie może. A więc

XXV.

„Szuka go Wenus najprzód między *Greki*,
Ale tam tylko i szable błyszczące
I na krew ludzką rozdarte paszczęki
I bisurmańskie znajduje miesiące.
Ztamtąd woźnikom[24]) popuszczając ręki,
Pomija brzegi od ognia gorące
Sykulskiéj Etny; aż ją powóz płochy
Wysadza między zalotnymi *Włochy*.“

Co teraz następuje, trudno aby wyjść miało z pióra poety włoskiego:

XXVI.

„Ale tam — miasto miłości — plugawe
Widzi nierządy, opaczne chciwości,
Zazdrość zbrodnistą, podejrzenia krwawe,
Wolność wygnaną, wszędy pełno złości. —
Ztąd idzie między *Niemkinie* łaskawe:
Lecz tu Kupido nie bardzo rad gości,

Bo (powiada poeta)

Tu zimna miłość i jakby umarła.“

XXVII.

„Przewozi się ztąd między oddzielone
Od świata morzem naszego Brytanny,
W kraje gładkością od wieków wsławione,
Gdzie i dowodzą i królują Panny;
Ale zastawszy piaski krwią skrwawione
Niewinną, i z rąk świętokradzkich ranny
Królewski tułów, o! straszne przykłady,
Nie może patrzeć na poddanych zdrady[25]).“

Udaje się tedy Wenus do *Francyi*. Ale i tu nie znajduje Kupidyna.

[24]) Gołębiom.

[25]) Ta wzmianka dotyczy wskazania na śmierć Karola I. 1649. A Marino umarł 1625.

XXIX.

„Darmo go jednak szuka we dnie, w nocy:
Bo tu tak siła znalazł do roboty,
Że musiał sobie przybrać do pomocy
Młodszych braciszków, którym kołczan złoty
Rozdał, żeby swéj spróbowali mocy.
A sam zwątlony, bez sił, bez ochoty
Na odpoczynek odważył się z nową
Do *Polski* zjechać Kupido królową.

Mowa o królowéj Maryi Ludwice. — Spieszy zatem Wenus za nim do Polski. Przebywszy morza i różne lądy,

XXX.

. .
„Nakoniec stawa tam, gdzie Wisła ginie
Przy Gdańskim porcie, i ztąd ku Warszawie
Płynie, gdzie w gęste ubrawszy się chmury,
Wchodzi nieznaczna między pańskie mury.“

W następujących teraz 24 strofach, poświęconych wyłącznie królewskiemu dworowi polskiemu, mówi Morsztyn z galanteryą wprawdzie ale i z prawdziwém uwielbieniem o zaletach tyle poniewieranéj w dziejach naszych Maryi Ludwiki. Wszedłszy Wenus na pokoje królewskie,

XXXII.

„Zadziwiła się, nie wie, czy na ziemi,
Widząc królowę, czy stanęła w niebie.
Nie śmie jéj równać z duchy niebieskiemi,
Wyżéj ją kładzie bogiń, wyżéj siebie;
I zwyciężona blaski niezwykłemi,
Urodę własną poniża i grzebie —
I mówi, tłumiąc swe zazdrości ciche:
Podobnoć to ja? podobnoć to Psyche?“

Oczywiście znajduje w tém miejscu Kupidyna. Powstaje tedy groźnie na niego:

XXXV.

„Ty coś zwykł rządzić i panować wszędy,
Odpiąłeś sajdak i skrzydłać nadgręzły;
Jak ogrodniczek pilnujesz tu grzędy!
Znać że cię smaczne przytłumiły węzły,
Wpadłeś w Labirynt

Ale odpiera te wyrzuty Kupido. Zagaduje matkę, wskazując na Maryę Ludwikę:

XXXVII.

„Widzisz tę Panią? Ta-to jest, co kraje
Tuteczne rządzi i Sarmacką stronę;
Któréj wielki król [26]) wolność swą poddaje,
I wkłada na jéj warkocze koronę!
A kiedy Bratu śmiercią rządy wzdaje,
On jako spadkiem bierze ją za żonę.
Jakby korona wraz chodziła z wdową,
Nie chce być królem, tylko z tą królową.

XXXVIII.

„Cesarze greckie, Mantuańskie Pany,
I krew Gonzagów, i Paleologi,
Dom Lotaryńskich Xiążąt zawołany
I sławnych królów francuzkich rząd srogi
Liczy w swym rodzie. I ztąd bez nagany
Mogłaby zasieść miejsce między bogi;
Ale jéj godność — nad wszystkie przykłady —
I starożytność przewyższa i Dziady.

XXXIX.

„Przewyższa wielką fortunę umysłem,
Umysł rozumem, rozum wszelką cnotą.
Jako nad bajką i pięknym umysłem
Zdziwi się przyszły wiek nad jéj robotą,
Nad zdrową radą, nad mieszkiem nieścisłym,
Gdzie między stany stwierdza zgodę złotą,
Albo zachęca na nieprzyjacioły,
Albo funduje szpitale, kościoły.“

Następująca strofa odnosi się do tajemnych zamysłów Władysława IV w ostatnich latach jego życia, niedoprowadzonych do skutku.

XL.

„Posag rzęsisty i drogie klejnoty
Na Ottomanów i na wojnę świętą,
Na zaszczyt [27]) granic, oddaje z ochoty;
Ale imprezę mądrze rozpoczętą

26) Władysław IV.
27) Staropolski wyraz, tyle znaczy co zastawienie, obrona granic.

Rozbija zazdrość złości czy ślepoty!
Przypłacisz tego z stratą niepojętą,
Głupi Polaku! i w ciężkiéj przygodzie
Ganić twój upór będziesz, lecz po szkodzie!

W dalszych strofach wylicza Morsztyn wszystkie nieszczęścia publiczne w ciągu panowania Jana Kaźmierza: utratę Ukrainy, bunty kozackie, napady Tatarów, wojnę z Rakocym, z Moskwą, Szwedami. Wśród tylu burz, wszyscy upadają na duchu; spiknionym przeciwnościom tylko jedna nagiąć się nie daje — królowa!

XLIII.

„Powraca w Polskę, opuszcza kraj szlązki,
Kraków odebran za Jéj dobrą sprawą,
Ona z Stanami czyni nowe związki,
Ona zatacza działa pod Warszawą,
Odbiera Toruń, kraj Pruski nie wąski,
I triumfuje nad zazdrością żwawą.
Nakoniec Matka Ojczyzny prawdziwie,
Wieczysty pokój zawiera w Oliwie.“ —

Teraz dotyka sprawy drażliwéj dla współczesnych, w któréj i sam odgrywał rolę, kandydatury do tronu polskiego Kondeusza.

XLIV.

„Nie dosyć na tém, widząc się niepłodną
I przewidując przyszłe nieszczaniny(?) [28]),
Chce za żywota, łaską dzięków godną,
Wcześnie opatrzyć królem te dziedziny;
Lecz i w tém Polskę znajduje niezgodną!
Nie wal na prawo, o Polaku, winy!
Chciwość — niesłowność — praktyki — i płonne
Nadzieje w zguby pędzą cię nieschronne!“

Z następnéj strofy wnoszę, że chociaż pewnie nie cały poemat, to przynajmniéj ten polityczny w nim ustęp pisany być musiał po śmierci już królowéj Maryi Ludwiki. Wiadomo, że zgon jéj przypadł bardzo krótko po uśmierzonéj wojnie domowéj z Lubomirskim (w r. 1667). Okoliczność ta podnosi i uzacnia powyższe uwielbienia, zdejmuje z nich

[28]) Zapewne ma być *niszczaniny*, zniszczenia, albo *mięszaniny*, zamięszania?

wszelki pozór pochlebstwa. Za kadzidło dla Jana Kaźmierza również by tego wszystkiego nie można uważać; nie przeto tylko że i jego abdykacya toż wyjazd z kraju nastąpiły zbyt rychło (1668), ale że z całego tonu owych pochwał widać, jak lekce sobie ważył osobistość króla w obec moralnego znaczenia królowéj. Takie milczenie o Janie Kaźmierzu dowodzi owszem, że go Morsztyn uważał za niedołęgę i wcale się nie starał zamaskować takiego o nim mniemania. Zresztą znajdzie się niżéj wskazówka, że prawdopodobnie i Jana Kaźmierza nie było już między żyjącymi, kiedy ten ustęp był pisany. Mówił więc z powodu rychło przypadłéj śmierci królowéj, niby proroczym głosem, tak wtedy Kupido do Wenery:

XLV.

„Niegodna ziemia zdobić się nią dłużéj,
I prosto w niebo po pracach zajedzie,
Gdzie, jak powieki wiecznym snem zamruży,
Przebierać będzie w pierwszym bogów rzędzie“ i t. d.

Wypowiedziawszy w ten sposób wszystko o królowéj, zapoznaje teraz poeta przez usta Kupidyna Wenerę z damami składającemi orszak królowéj. Tu wiele kawalerskiéj galanteryi i dworactwa, ale nie bez zmyślności artystycznéj. Nie mogąc trybem historyka zapuszczać się aż do wymówienia suchych nazwisk każdéj z dam honorowych, radzi sobie wybiegiem, to jest przejmuje od Włochów ulubiony wtedy w całéj Europie sposób oddawania myśli swojéj za pomocą tak zwanych *concetti*.

. „Teraz orszak biały
Jéj nimf uważaj! Przyznasz to bez sporu,
Że taka Pani godna tego Dworu.

XLVII.

„Ta, co pociągłym rzuca ognie okiem,
I szkarłat z mlekiem w równe między szyki,
Tak jak ty, matko, włada serc wyrokiem,
I monarchiją rozciąga podwiki;
Gdzie się zamierzy z rozjazdem szerokiem,
Pełnym obłowem ponapełnia wniki,

I kędykolwiek swe sidła zastawi,
Popęta serca — *Bez sen* — i na jawi.

(Ma się to rozumieć o pannie *Bessaine*, w któréj też sidła wpadł póżniéj Denhof podkomorzy kor., który rzeczywiście ją zaślubił.)

O późniejszéj królowéj Sobieskiéj, naówczas pannie Maryi Kazimierze *d'Arquin*, tak mówi:

XLVIII.

„Ta pierwsza twarzą, choć ostatnia laty, *(najmłodsza)*
Zrodzona między grzecznemi Francuzy,
Zdolna jest spalić w popiół oba światy
Od wschodu słońca aż gdzie się zanurzy.
Nie żałuj serca w takie ręce straty!
Jeśli jéj niebo żywota przedłuży,
Jéj zbytnia gładkość, co dopiero świta,
Przed swém południem i króle pochwyta.

XLVIX.

„Czy możesz, matko, myśl tam zaciec śmiele,
Jakie ozdoby i jakie ponęty
W kupę się zeszły w tém anielskiém ciele?
Dowcip, i rozum nie mniéj pewnie święty,
Zgoła z niebieskiéj poszła parentele,
Bo wszystkich Bogów w niéj jest skarb zamknięty [29]);
Skąd wotem serca niosą jéj w podarki,
Jak do kościoła, i jako *do Arki.*"

(Z dwóch wierszy, drukowanych tu odmiennemi czcionkami, zdaje mi się, wnosićby można, że więc już po elekcyi Jana III (1674), a tem samem po zejściu Jana Kaźmierza († 1672), ustęp ten musiał być napisany. Inaczéj jakżeby mógł przepowiadać, że „*króle pochwyta?*").

W podobny sposób mają strofy swoje i inne damy, panna *de Mailly*, później Pacowa kanclerzyna lit.; panna *Tarło* wydana później za ks. Sapiechę podskarbiego wiel. lit.; panna *Wodyńska*, następnie żona Żeleckiego łowczego kor. Przytoczę tylko jeszcze stancę, gdzie wspomniał o żonie swojéj poeta, naówczas pannie Katarzynie *Gordon:*

[29]) Nie od rzeczy będzie może nadmienić, że to tak częste porównywanie tych osób z bogami, nieznośnie brzmiące w innym razie, o tyle może tu być uniewinnione, że to mówi Kupidyn. Jemu snadniéj uchodzi wszystko do bogów odnosić,

L.

„Angelka rodem, i płcią nad Anioła,
Co za nią idzie, — królów w rodzie liczy,
Anioł dowcipem, głosem Anioł zgoła,
Twarzą zawstydza i przykładem ćwiczy
Swe towarzyski! Nie czary, nie zioła
Sławne jéj często poddają zdobyczy, —
Cnoty i rozum i kształt niezmierzony,
To są jéj pęta i trwałe *Cordony*.“ —

Na 53 strofie, kończy się ten ustęp o rzeczach polskich. Przechodzi potém autor do głównéj osnowy swego poematu. Zdaje mi się więc, że ustęp ten późniéj dopisany, a przynajmniéj rozprzestrzeniony dodatkami nowemi być musiał; sam zaś poemat odniósłbym do r. 1659 (w którym się Morsztyn ożenił), lub mało co przedtém; zakończenie bowiem *Psychy* jest takie:

CCXCVI.

„Odpuść, Kupido, że twoje zaloty
I tajemnice skryte twojéj Psychy
Podałem światu! Bądź kontent z ochoty,
Jeśli wiersz czego nie dokazał lichy!
A za podjęte prace i roboty,
Kiedyć wiadomy serca zapał cichy,
Włóż na me skronie myrtową koronę,
Dokaż, nad *Kasią* niech nie darmo płonę! [30])“

Wspomniane potąd utwory Morsztyna odnoszą się niemal wyłącznie do lat jego rychlejszych (1638—1661). Czy pisał tyle i w późniejszym wieku i jak pisał? na to żeby odpowiedzieć, trzebaby odszukać nowy jaki rękopis. W edycyi poznańskiéj szczupła tylko ilość znajduje się poezyi, pochodzących (według dodanéj daty) z roku 1671, 1674, 1677 i 1678. Są one po większéj części religijne. Dawniéj tym tonem brzmiała nader rzadko, w wyjątkowych chyba razach,

[30]) Ażeby dotknąć i ubocznych uwag, które się tu nastręczają, dodaję, że i napisana około 1659 r. *Psycha* biegać jak inne płody Morsztyna musiała po rękach w rękopisie, i to na kilkanaście lat przed ogłoszeniem drukiem. Znał ją współczesny Kochanowski i już w wierszu „*Poetowie Polscy*“ zamieszczonym w *Niepróżnujucém Próżnowaniu*, o niéj wspomina. Niepróżnujące Próżnowanie wyszło w Krakowie 1674 r. A pierwsza publikacya Psychy i Cida, przyszła do skutku dopiero w czasie po 1784, jak już nadmieniono.

światowa lira Morsztyna. Pod koniec dopiero wieku, dni uroczyste, np. Wielki Piątek, Boże Narodzenie itp. przywodziły mu czasem na myśl poważniejsze uczucia. Odrywał wtedy myśli od ziemi i w pięknych, uroczystych słowach zwracał mowę do Boga. A było w takich chwilach i podumać o czém w obliczu nieba! Raz (1678) rzuciła go ciężka niemoc na łoże. Była to uporczywa a niewymownie dokuczająca febra Quartanna. Bóle fizyczne złamały widać do ostatniéj iskry żywotnéj sprężysty umysł podskarbiego. Opuścił ręce, zwątpił o sobie, zaczął się obliczać z sumieniem i pokazało się, że rachunek jakoś straszno wypada! Poetyckim tedy, prawdziwie natchnionym głosem, głosem Psalmisty, podniósł serce ku Bogu i wyśpiewał wiersz dziwnie piękny, zatytułowany *Pokuta*. Jest to prawdziwa spowiedź, istna analiza najtajniejszych zakątków własnego wnętrza. I dawnéj czasem najskrytsze usposobienia serca swojego wypowiadał z prawdziwym darem anatoma duszy, kiedy np. mówi (w ed. p. 101):

„Pytasz, jak się mam? co za moje życie?
— Żałości pełne, ciemnością nakryte,
Głodne pokoju i w troski obfite,
Skąpane we łzach, stałe w złym humorze,
Ciższe niźli noc, burzliwsze niż morze...“

Ale to były tylko skargi miłośne. W *Pokucie* dopiero oglądamy ten subjektywizm jego ze strony poważnéj, ze strony, która i najprzeciwniejszych poezyi lekkiéj czytelników pogodzi pono z talentem autora.

„Tyś szczera czystość, niewinność bez skazy,

(mówi do Boga w niemocy swojéj poeta),

Jakoż Ci swoje odkrywać mam zmazy? —
Jam widział gmachy śmiertelnego grzechu
Siedmiorakiego — i straszny w pośmiechu
Zakon Twój miałem — i Twe przykazanie
Każdem znieważył albom zgwałcił, Panie!“ —

I teraz przechodząc winę za winą, mówi np.

Jam niejednego, chociaż Twa przestroga
Przeciwna była, miał Pana i Boga!

Częstom człowieka tak spodobał sobie,
Żem kładł w nim większą nadzieję niż w Tobie!
Często godności i dobrego mienia
Chciwość tak srodze ujęła sumienia,
Żem ich posadził (jakoby tam Ciebie
Nie było nigdy) za Bogi na niebie!

Jam brał na darmo i z lekką uwagą
Imię Twe, ciężką karmiąc Cię zniewagą.
Krzywoprzysięztwem żem zgrzeszył, mój Boże,
Któż nad Cię lepiéj przeświadczyć się może?
. .

Jam tak siódmy dzień święcił i niedzielę,
Żem rzadko bywał i w te dni w kościele;
Poprzestałem weń powszedniéj roboty,
Alem się puścił na większe niecnoty.
. .

Jam i rodzicom nie był tak powolny,
Żeby im miał być mój żywot swawolny
Zawsze do smaku! Jednak wiesz o Panie,
Że szanować ich pilnem miał staranie.
Ale starszego (!), któregoś czcić kazał,
Nie zawszem sobie jak trzeba poważał,
I gdy napomniał, mimo uszy, hardzie
Puszczałem, wieku swojemu ku wzgardzie!"

Nieco niżéj, zapewne mając na myśli swoje działanie publiczne, przyznaje:

„Jam fałszywego nie jest wolen słowa,
Często się z myślą nie zgadzała mowa,
I żeby mowę nieco tém osłodzić,
Śmiałem zmyślone powieści przywodzić..."

W dalszéj osnowie opisując rzewnie żal za taki żywot, oświadcza, że całą ufność w miłosierdziu tylko bożem pokłada i że wierzy, że

„Jako daleko ziemia na dół spadła
Od górnéj sfery, i jak się odsiadła
Strona zachodnia od téj, którą wschodzi
Słońce, — tak litość Twoja nas rozwodzi
Z popełnionemi upornie złościami,
I tak granice sypie między nami!
Miłość Twa Panie i nad nieba wyższa,
I macierzyńskie uczucia przewyższa...."

Pięknych miejsc w tym wierszu jest tyle, że chcąc dać

o tém wyobrażenie, trzeba go cały wypisać. Dla tego niech i tyle wystarczy.

Zamykamy rzecz naszą o Andrzeju Morsztynie życzeniem, ażeby się też znalazł jaki wydawca dla jego niewydanych dotąd poezyi, o ile ogłoszone być mogą i o ile na to zasługują. Oczywiscie nie wszystko pisane było w tym celu przez autora, ażeby kiedykolwiek miało być drukowane. Wspomniałem powyżéj, że często on marnował zdolności. Byłoby to tedy (tak przynajmniéj sądzę) krzywdą pamięci zmarłego, gdyby się miały do utworów, znamionujących talent jego w całéj pełni, dołączać i mierności, które przy czytaniu wrażenie osłabiają i którychby on, gdyby żył, nigdy nie pozwolił ogłaszać. Możnaby do téj publikacyi dodać także najcelniejsze rzeczy już drukowane, z wydania poznańskiego, w którém utwory prawdziwie piękne także giną poniekąd, właśnie przeto, że się mieszczą w massie mniéj udatnych. Coby także bardzo posłużyło na korzyść tym przebrańszym poezyom, to ażeby je drukować z rozumną interpunkcyą i dzisiejszą pisownią, nie wiążąc się ani pod jednym, ani pod drugim względem do tego stanu, w jakim się te pisma znajdują w rękopisie. Wydanie poznańskie siliło się zatrzymać pozór jego zewnętrzny pod obydwoma względami. Niemniéj i berlińska publikacya pana Nowakowskiego (Amyntas). Sądy o tém mogą być wprawdzie różne, ale mnie się zdaje, że podobna usilność i skrupulatność nie zawsze jest trafnie zastosowaną. Ciekawa jest pisownia polska w rękopisach z XIV, XV i poniekąd nawet XVI stulecia. Tu wierność najstaranniejsza przy ogłaszaniu ich drukiem jest niezbędna. Ale od czasu gdzie drukowano już polskie książki, przedmiotem głównym spostrzeżeń ortograficznych powinny być przedewszystkiém druki; z rękopisów zaś interesować w tym względzie mogą chyba tylko autografy, to jest pisma takie, które ręką samego autora były kreślone. W wieku XVII, po ustalonéj już mniéj więcéj pisowni (o ile była ustaloną przed Kopczyńskim) i po wprowadzeniu jéj w takiéj postaci do wszystkich drukowanych książek, nawet autografy niczego już nie dowodzą; cóż dopiero kopie sporządzone przez niewiadomych z osoby, a

zwykle na oślep bazgrających odpisywaczy! Co komu za pożytek, co za rezultat z tego, że widzi w wydaniu np. poznańskiém resp. berlińskiém: *tesz*, *y* (zamiast *i*) *jakosz*, *wyszszy*, *grabiłł*, *gardziłł*, *chitrość*. Czy się ma z tego zrobić wniosek, że tak z zasady pisano w XVII wieku? — Że spójnik *y* był dawniéj stale używany zamiast dzisiejszego *i*, to każda książka drukowana w owym czasie okaże; na cóż dzisiaj w nowych drukach o tém przypominać? A jeżeli kto zakonkluduje i co do wyrazów *grabiłł*, *jakosz*, *chitrość* itd. że to pisownia XVII w., to się grubo pomyli, bo ci, którzy znali zasady ówczesnéj ortografii (przekonywają o tém książki drukowane), wiedzieli już bardzo dobrze, jak się takie wyrazy piszą. Cóż ma zatem winikać z drukowania wiernie wyrazów owych tak, jak są w rękopisie? Chyba to, że ten kopista, który to pisał, był nieuk i nie znał ortografii. A to wiadomość wcale nieciekawa! a drogo okupiona!, bo takie usterki sprawiają wstręt przy czytaniu, — i psując estetyczne wrażenie, utrudniają słuszne ocenienie utworów poety! Zresztą nie sądźmy, żeby to nawet było tak łatwo zachować wiernie i nieodmiennie wszystkie właściwości ortograficzne jakiego dawnego rękopisu. Nie dość tu jest *chcieć;* trzeba jeszcze i nie jedno *umieć* i *wiedzieć*. Starali się np. o to bardzo usilnie wydawcy drukowanych dotąd pozostałości Morsztyna. Obaczmy, czy im się to udało. W wydaniu poznańskiem znajdujemy stale przez *ó* pisane słowa jak np. *gròb*, *piòrka*, *gòra*. *rozbòy*; w Amyntasie p. Nowakowskiego:

„Nie miałem tyle *mózgu* y chitrości“
„Tym *więcéj* w *zdrade* y chitrość bogaty“ itd.

A jabym ręczył, że ani *ó* ani *é* nie znajduje się w rękopisach. Musi być w nich *grob*, *piorka etc.* *więcey* itd. Nie rozróżniano wtedy bowiem jeszcze w ciągu wieku XVII w piśmie kreskowanych i niekreskowanych samogłosek *e* i *o* (przynajmniéj nie w tém znaczeniu). Cóż więc jest? oto zasadnicze cechy ówczesnéj pisowni zatarto, pominięto, a błędy nieuka przepisywacza (*zdrade*, *chitrość*, *tesz* itd.) odkopiowano jakby rzeczy wielce charakterystyczne.

Żeby zaś nie być fałszywie rozumianym, wyraźnie jeszcze dodaję, że mówię tu o samych tylko różnicach co do *pisowni*, nie zaś co do *form* języka. Formy staropolskie szanować w każdym razie należy, gdziekolwiek się znachodzą, dotyczą bowiem saméj istoty rzeczy, saméj rdzeni mowy naszéj. A zatem słusznie jest, że zatrzymano np. wyrażenia jak *dusze mnie zbawiła* (zamiast *duszy)*, *wieku swojemu* (zamiast *wiekowi)*, *Praefacya od Sylvicy* (zamiast *Silvii)*, *siadszy za stołem* (zamiast *siadłszy)*, *napierwsi ludzie* (zamiast *najpierwsi)* i t. d. Nie mogę wszakże pominąć uwagi, że ażeby wiedzieć: co jest zasadniczą własnością *formy* a co prostą pomyłką *pisowni*, znowu — nie jedno wiedzieć i umieć należy. Ale czas wielki, ażeby nasi dawni autorowie byli w nowych edycyach wydawani według jakichś więcéj niż dotąd obmyślonych i racyonalnych zasad. I przepraszam czytelnika, że go zajmuję temi dla niego może nudnemi uwagami, korzystając z podającéj się sposobności pomówienia raz o rzeczy, zaiste nie obojętnej!

V.

Pozostaje słów jeszcze kilka powiedzieć o innych dwóch tegoż imienia wierszopisach XVII, wieku, o Stanisławie i o Hieronimie Morsztynach.

Szczegóły życia *Stanisława z Raciborska Morsztyna* mało są wiadome. Kilka nowych dat o nim przyłożyć potrafię; wyczerpać rzeczy nie będzie mi jednak podobna, nie mam bowiem przed sobą żadnych o nim rękopiśmiennych źródeł, a zresztą chodzi mi właśnie tylko o wskazanie stosunku jego do podskarbiego Morsztyna tak co do pokrewieństwa jak autorstwa.

Był on synem *Jana* Morsztyna, stryjecznego brata poety Andrzeja, matka zaś jego była z Arciszewskich. A zatém był podskarbi, jeżeli się tak wyrazić można — jego stryjecznym stryjem (obacz przyłączoną na końcu tabellę genealogiczną). Wiekiem jednak nie musieli się oni bardzo ró-

żnić od siebie, co tém prawdopodobniejsze, że Stanisław szedł ze starszéj linii Morsztynów. Za czém poszło, że nie pamiętając o małéj różnicy co do stopniowości generacyjnéj, mówili sobie a przynajmniéj mówił jemu podskarbi *bracie*, o czém wnoszę z wiersza pisanego przez Andrzeja do Stanisława, zamieszczonego w edycyi pozn. p. 28. — Rok urodzenia naszego Stanisława niewiadomy (c. 1630?).

Rzeczony wiersz „*Do Stan. Morsztyna, rotmistrza J. K. M.*“ służyć może za główne źródło do określenia obrazu jego młodości. Według niego pierwszy jego występ z domu rodzicielskiego zaczął się także od podróży do obcych krajów, którą w jakiéjś przynajmniéj części musiał odbywać razem z krewnym Andrzejem, poetą. Nie można wszakże oznaczyć, kiedy ta podróż przypadła, wiadomo bowiem, że ten ostatni często za granicę wyjeżdżał. Żartobliwym tonem zagaduje go w tym wierszu Andrzéj, zniewolony właśnie (z przyczyny słabości) do picia chiny i innych dekoktów, co o tych trunkach rozumie? i przypomina mu przy téj sposobności rozliczne napoje, jakich się nakosztował w rozlicznych swoich podróżach i terminach wojennych.

„Powiedz mi bracie [31]), boś ty zwiedził smaki
Trunków i napój piłeś niejednaki,
Piłeś wraz ze mną to, co *Francuz* daje,
Przyrumienione tylko wino d'Aje....
. .
Umiesz w *niemieckich* winach zażyć braku,
. .
Znasz trunki, które przemierźle wyniosły
Hiszpan śle, co nad Alikantem rosły“ i t. d.

W ten sposób można w trop za temi datami określić obręb podróży Stanisława Morsztyna. Zwiedził zatém Niemcy, mia-

[31]) Z wyrazu bracie możnaby wnosić, że wiersz ten do innego Stanisława, to jest do rodzonego brata Andrzeja, także imeniem Stanisława, był pisany. Wniosek podobny byłby atoli mylny. Zobaczymy niżéj, że nasz Stanisław (poeta) spędził znaczną część życia w obozach. Posiadał w owych latach stopień rotmistrza królewskiego, i tu w wierszu wszakże oto rotmistrzem także jest nazwany. To wszystko ściągać się więc nie może do rodzonego brata Andzejowego, Stanisława wojskiego sandomirśkiego. Nie tylko bowiem nie ma żadnéj nigdzie wzmianki, aby ten Stanisław służył wojskowo, ale jego urząd świadczy nawet, że nie mógł być wojskowym, skoro był wojskim.

nowicie południowe, Francyę, może Hiszpanię, a w każdym razie bardzo dokładnie Włochy, Sycylię i Maltę. W Malcie byli obydwaj razem; i przypomina sobie przy wspomnieniu Malty poeta o brzydkim napoju, jakiego tu skosztowali — o kawie!

„W Malcieśmy pomnę kosztowali kafy,
Trunku dla baszów Murata, Mustafy
I co jest Turków. Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnéj śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskiéj nie plugawi gęby!“

Powróciwszy do kraju zaciągnął się nasz Stanisław do wojska i miał udział w wojnach kozackich toż innych równocześnie i następnie prowadzonych. Do tego to odnoszą się miejsca w rzeczonym wierszu, jak np.:

„Piłeś i wodę, kiedy w dzikie pola
Wziął cię był z sobą *dziedzic z Koniecpola*“...

Albo (powiada niżéj), co jeszcze gorsza, skosztowałeś nawet wody

...... „*w Zbarazkim zawarty
Okopie*, takiéj która świadczy znacznie,
Że co kto musi, to uczyni smacznie.“

Wedle tego więc służba jego wojskowa zaczęła się około 1648. O dalszych jego czynach i kolejach daje pewną już wiadomość Niesiecki. Był w bitwach pod Cudnowem (1660), Chocimem (1673) gdzie został niebiezpiecznie ranny, Żorawnem (1676) i Strygoniem (1683). Przechodził zaś następujące stopnie wojskowe: nasamprzód rotmistrza, potém „obersztera J. K. M.“ (c. 1674) [32]), a wreszcie chorążego zatorskiego (c. 1676) [33]). Bywszy oprócz tego podstolim chełmskim, otrzymał w r. 1687 krzesło w senacie jako kasztelan czerski [34]); wreszcie wyniesiony na wojewodę mazowieckiego

[32]) *Kochowski*, Niepróżn. Próżnow. I edyc. (z roku 1674) p. 316.

[33]) Obacz dedykacyę Baletu w ed. pozn. Zbign. Morszyna str. 169.

[34]) *Colores Lunae Morsztynianae* etc. Warszawa 1687 fol. (Panegiryk pijarski winszujący wyniesienia).

(1696), a nakoniec sandomirskiego (1704). Żył długo; miał za sobą Konstancyę Oborską, kasztelankę czerską, zaślubioną r. 1676; zrodziło się z tego małżeństwa troje dzieci, dwóch synów i jedna córka. Rok śmierci wojewody podają niektórzy na 1697, ale mylnie. Z województwa sandomirskiego ustąpił krewnemu Jakóbowi Morsztynowi dopiéro w r. 1717, a życie musiał zakończyć około 1725 [35]).

Z pism poetyckich jego znane mi są tylko te, które ogłosił drukiem; stanowią one jednak szczupłą tylko część wszystkich poetyckich jego utworów. Juszyński w *Dykcyonarzu* swoim (T. I. str. 315) wspomniał o widzianym przez siebie rękopisie poezyi wojennych któregoś z Morsztynów, między któremi znajdować się miały także i nagrobki stryjom Stefanowi i Samuelowi Morsztynom. Rzut oka na tabelę genealogiczną rodziny Morsztynów wystarcza, ażeby się przekonać, że z pomiędzy piszących członków takowéj, sam tylko Stanisław mógł mieć dwóch stryjów tego imienia. Jego zatém musiały to być płody. Na inném miejscu tenże Juszyński (str. 314) podaje, że się w bibliotece Załuskich znajdowały dwa rękopisy poetyckiéj treści, z wyraźnie dodaném imieniem Stanisława Morsztyna jako ich autora. P. Żegota Pauli także posiada jakiś rękopis jego poezyi, o czém wspomniał w przedmowie do poezyi Gawińskiego przez siebie wydanych (Lwów 1843).

Ogłoszone drukiém dzieła Stanisława są następujące:

1. Kilka krótszych poezyi, jako to *Odkryta szczerość kawalerska*, — *Dedykacya i Explikacya Baletu*, [36]) — i *Nagrobek Żebrowskiemu*, znajdują się w końcu wydania poznańskiego poezyi przypisanych Zbigniewowi Morsztynowi, z wyraźném już na tytule każdego wiersza nadmienieniem, że są pióra „*Stanisława Morsztyna obersztera J. K. M.*“

[35]) J. Bartoszewicz, *Znakomici Mężowie*, T. I, str. 182 pisze: „Po śmierci wojewody sandomirskiego Morsztyna dostał Ożarowski list przypowiedni na chorągiew pancerną z dnia 3 Marca 1726 roku.“ Zatém wtedy dopiero, lub 1725 † Morsztyn.

[36]) Wiersz ten, ważny do historyi teatru w Polsce, był najprzód ogłoszony z innego rękopisu w *Teatrze starożytnym Polskim* Wojcickiego (Tom II, str. 231 i n.) Ale Wojcicki nie znajdując imienia autora w swoim rękopisie, nie mógł też rozstrzygnąć, czyimby był utworem. Teraz więc wyjaśnia się ta wątpliwość.

Napisane r. 1676.

2. „*Hipolit tragedya jedna z dziesięciu, które wierszem łacińskim napisał Seneca, na polskie przetłumaczona.*“

Przypisany jest *Hipolit* Janowi Jabłonowskiemu „Chorążemu Koronnemu.“ Wiadomo, że chorąży kor. Jan-Stanisław Jabłonowski, późniéj wojewoda wołyński a nakoniec ruski, był także autorem. Znane są jego liczne pisma łacińskie, a z polskich Historya Telemaka wierszem, Ezop Nowy Polski, Szkrupuł bez szkrupułu i t. d. Żadne z pism tych jeszcze wtedy wydane nie było; młody (około 20-letni) chorąży rozpoczynał dopiero zawód autorski. Owoż przez alluzyę do daru poetyckiego i do dostojeństwa chorążego, które łączył w sobie Jabłonowski, temi słowy przypisuje mu żartobliwie Morsztyn swój przekład Hipolita:

„Zacny Chorąży, usłyszawszy, że Ty
Werbujesz pod swą chorągiew poety,
Przy podniesionym do popisu drągu
Począłem i ja myśleć o zaciągu.
Ale że wszyscy nie jednako piszem,
Z rzadka kto będzie Twoim Towarzyszem;
Sam przodek trzyma Koronny Chorąży
I nikt mu pewnie w wierszu nie nadąży:
Ja się już sądzę, żem leniwy w biegu,
Więc choć w ostatnim postaw mnie szeregu.“

Z przedostatniego wiersza wynika, że w późnym już wieku musiał te słowa pisać nasz autor. Bliżéj jeszcze potrafim czas przekładu Hipolita oznaczyć, jeżeli weźniem na uwagę lata, kiedy Jabłonowski chorążym kor. został (1687), a kiedy na wyższe dostojeństwo postąpił, otrzymując (niewspomnioną jeszcze w dedykacyi) godność wojewody wołyńskiego (w r. 1693). Na sześcioletni więc przeciąg czasu chorążostwa Jana-Stanisława Jabłonowskiego rzecz ta przypada (1687—1693). Musiała mu być przesłana w owych czasach, zwyczajem morsztynowskim, w rękopisie; zobaczym bowiem, że dopiero po kilku latach późniéj wyszła z druku.

3. „*Andromacha, tragedya z francuzkiego przetłumaczona,*“ (z Rasyna).

I tu dopiero przez wiersz dedykacyjny dochodzimy do

wniosku o czasie, kiedy ta tragedya została przełożona. Przypisana jest „Jmci pani Konstancyi z Obor *Wojewodzinéj Mazowieckiéj*“ (żonie tłómacza). Ponieważ został Stan. Morsztyn wojewodą mazowieckim w r. 1696 i tytułuje tu już żonę według tego urzędu, nie rychléj przeto i wiersz ów mógł być pisany; że zaś nie był znowu pisany późniéj jak w r. 1698, i to przed miesiącem Sierpniem, o tém dowiadujemy się z dalszego brzmienia rzeczonéj dedykacyi:

„Kochano Żono, któréj uczynione
W ręku świętego Biskupa przysięgi....
. .
Tyś i Mężowi doskonale wierna
I bardzo kochasz *spólne dzieci nasze*,
Więceś podobna cnotą Andromasze;
Zaczem Tobiem ją przypisał ochotnie,
Żebym tém dowiódł, że Cię kocham szczerze;
Żeby co w sercu i w uściech, istotnie
Wieczną pamiątką trwało na papierze“ i t. d.

Wspomniałem wyżéj, że mieli Morsztynowie troje dzieci. Żyły one jeszcze wszystkie w początkowych miesiącach r. 1698. Dopiero w Sierpniu zgasła o ośmnastéj swéj wiośnie najprzód córka Teresa; [37]) a w miesiąc potém syn najstarszy Jan-Kaźmierz, będący już pułkownikiem gwardyi królewskiéj. Skoro zatém mowa tu jeszcze *o dzieciach*, nie zaś o dziecku (jedynym synie, który pozostał przy życiu, Antonim), na przeciąg przeto czasu od 1696 do połowy r. 1698 przypada przekład Andromachy, a przynajmniéj powyższa dedykacya.

Prawdopodobnie w tym także czasie zostały bezimiennie ogłoszone drukiem obydwa te przekłady t. j. *Hipolit* i *Andromacha*. Wspomniałem wyżéj, mówiąc o drukowanych utworach Andrzeja Morsztyna, że jego *Psyche* toż *Cyd* z Kornela wyszły najprzód pod sam koniec XVII wieku, w edycyi bez miejsca i roku, razem z *Hipolitem* i *Andromachą*, wszystko bezimiennie. Nie mogło to być, jak się teraz przekonywamy

37) Obacz *Plankty Żałobne po zmarłéj Teresie Morsztynownie* etc. Sandomierz (1698) fol. kart 6 (publikacya okolicznościowa, panegiryczn éj treści).

rychléj jak w r. 1696—1698. A zatém dawno po wyjeździe z Polski podskarbiego. Wydawcą był prawdopodobnie sam nasz Stanisław, wojewoda mazowiecki. Któż inny bowiem mógł za jego jeszcze życia ogłaszać jego dzieła? II-ga edycya, wiele późniéj wydana w Lipsku (1752 r. 4⁰), otrzymała tutył, na którym przypisano wszystkie 4-ry utwory samemu tylko Andrzejowi. Że to więc co do dwóch ostatnich jest pomyłką, widzimy najprzód z czasu, kiedy były pisane, po wyjeździe z Polski podsk. Morsztyna, daléj z dedykacyi Andromachy „żonie“ autora, Konstancyi z Obor wojewodzinéj mazowieckiéj; a nakoniec z wyraźnego wspomnienia przez A. Załuskiego, [38]) że tłómaczenie *Hipolita* jest pióra Stanisława, nie zaś Andrzeja Morsztyna.

Strata dwojga dorosłych, jedno za drugiém umierających dzieci, napełniła smutną żałobą opustoszały dom wojewody mazowieckiego. Stojący ponad progiem mogiły, jako rozumiał, starzec uczuł głęboko cios tak znienacka, tak nagle zadany. Nastroił, po raz ostatni, lutnię do tonów, jakiemi niegdyś opłakiwał wieszcz czarnoleski zgon równie bolesny niezapomnianéj, umiłowanéj odtąd przez naród cały Urszulki swojéj. Przyczyna smutku, przedmiot pieśni, dorównywały sobie w obydwóch razach. Ale oczywiście zdala pozostały za genialnemi trenami Kochanowskiego skargi pisarza XVII stulecia. Bądź jak bądź, rzewnego uczucia niepodobna odmówić wyrazom, któremi i późniejszy poeta wypowiada swe żale:

„Przestać trzeba! Przez żałość utraconych dzieci
I palce ociężały, i pióro z nich leci!
Lecz choć ręka nic służy, choć serce się smęci,
Przy skończeniu jeszcze tren zaśpiewam łabęci.
Łabędź przy śmierci śpiewa, ja z wami umieram,
Dzieci me, ja za wami spieszno się wybieram...“

Publikacya ta, czwarta z porządku między ogłoszonemi jego dziełami, wyszła pod tytułem:

„*Smutne żale po utraconych dzieciach r. 1698 napisane*,“

[38]) Bibl. Poetar. pol. str. 61.

Kraków 1698. 4⁰ str. 43, bez wyrażenia imienia autora. II wydanie: Warszawa 1704. 4⁰. Żale te przypisane także zostały współbolejącéj matce, żonie autora.

Jako poeta, zajmuje Stanisław Morsztyn jedno z podrzędniejszych miejsc w dziejach dawnéj literatury naszéj. W sposobie blizki a nawet prawdopodobnie i starający się zbliżyć do utalentowanego imiennika, Andrzeja. Obierał sobie przedmioty za przykładem jego, to naginając talent do okoliczności dworskich (Dedykacya i Explikacya Baletu), to torując drogę poczynającemu się wtedy u nas wpływowi poezyi francuzkiéj (Andromacha). Stanowczego zdania o mierze jego zdolności wydać trudno, nie znając wszystkich niewydanych dotąd jego poetyckich pozostałości. W każdym razie nie wyrządzim mu pewnie krzywdy, jeżeli rzecz zamkniemy sądem, że był to wprawdzie niższy talentem ale pokrewny kierunkiem naśladowca Andrzeja,—jeden z pierwszych wyobrazicieli poezyi klassyczno-francuzkiéj, rozciągającéj przewagi swoje na brzegach Wisły już pod koniec XVII wieku.

VI.

Pod sam koniec rozprawy zamierzając mówić o *Hieronimie z Raciborska Morsztynie*, trzecim tego nazwiska pisarzu w rzeczonéj epoce, nadmienić muszę, że pod względem czasu wyprzedził on nie tylko Stanisława ale i Andrzeja, starszym będąc od tamtego o dwie, od podskarbiego zaś o jedną generacyę, jak przekonywa wykaz genealogicznych stosunków téj rodziny dołączony na końcu. Szczegóły jego życia, rok urodzenia i śmierci zupełnie są zresztą nieznane. A i to nawet, co wiadome, wzbudza często wątpliwości. Mówi np. Niesiecki o nim tak niewyraźnie, że z niego wyrozumieć trudno, byłli *synem* czy też *wnukiem* Franciszka; co tém zawikłańsze, że w owych czasach niezmiernie rozrodzona familia Morsztynów liczyła przynajmniéj trzech Hieronimów, którzyby tedy poniekąd także jakieś mogli rościć prawa do

uchodzenia za autorów, choć naturalnie na jednego tylko zgodzić się trzeba.

Nie uważam atoli za stosowne obeznawać czytelnika z całemi, że tak powiem, aktami téj sprawy; postawię więc od razu wypadek poszukiwań gotowy, który łatwo wyczerpnąć w kilku wyrazach.

Hieronim Morsztyn, syn Franciszka, został względem podskarbiego Andrzeja w tym samym właśnie stopniu pokrewieństwa, jakie zachodziło między podskarbim a Stanisławem, to jest był Andrzéj jego stryjecznym synowcem. Rodzić się musiał nasz Hieronim dobrze jeszcze w XVI wieku (1570—1580?), piastował urząd stolnika bielskiego, zszedł ze świata w każdym razie przed r. 1655, pisał się *z Raciborska* jak cała ta dzielnica ich rodu,—i zostawił siedmioro rozporządzonych dzieci, to jest trzy córki i czterech synów,—a prócz tego trzy poematy, w części także rozporządzone, bo dwa z nich drukowane jeszcze były za życia autora. Poematy te nie zapewniają mu miejsca w gronie prawdziwych poetów polskich; są to twory tego rodzaju, że się ich autor i mianem rymotwórcy kontentować powinien. Że jednak nie można Hieronimowi odmówić gładkiego, płynnego wiersza, i że wypowiadał nim rozmaite powieści, które bardzo do smaku przypadały ówczesnym ludziom, jak widać z często powtarzanych wydań, niech mi tedy wolno będzie powiedzieć słów kilka i o tych dziełach jego. Będzie to poniekąd uzupełnienie uwag rzuconych na początku tego pisma naszego. Widzieliśmy w powyższém, jakich płodów publiczność czytająca w owych czasach nie lubiła, nie czytywała, nie drukowała. Zobaczmyż, co też najwięcéj popłacało natomiast, oprócz tych rozlicznych pism z okoliczności, które wtedy głównie już zatrudniały prasy drukarskie.

Za pierwszą jego publikacyę uważam poemat: *Światowa Rozkosz z ochmistrzem swoim i ze dwunastą swych służebnych Panien.* I-sze wydanie, przez nikogo dotąd nie widziane, zapewne bez wyrażenia imienia autora na tytule, jako i w późniejszych edycyach, wyjść musiało w r. 1606 lub 1607 w Krakowie. Wnoszę o tém z daty położonéj pod przedmową:

„D. z Krakowa w Kwietną Niedzielę, Roku Pańskiego 1606.“ Przedmowa ta, znajdująca się w niektórych późniejszych wydaniach, jest napisana do „Jego Mości Pana Mikołaja Zenowicza, wojewodzica brzeskiego“ etc. i podpisał się pod nią autor: *Hieronim Morstin z Raciborska*, na czém też cała pewność polega, że to jest dzieło tego pisarza. II wydanie, którego egzystencya również dotąd przez nikogo nie była wspomniana, wyszło w Poznaniu u Rossowskiego w r. 1622 4⁰, kart nieliczbowanych 22. Posiada je biblioteka Ossolińskich we Lwowie, w której też je oglądałem. Jest zupełnie bezimienne, nie ma bowiem nie tylko na tytule imienia autora, ale nawet i przedmowy owéj tu już nie zamieszczono. Natomiast dał drukarz Rossowski od siebie dedykacyę do Jego Mości Pana Łukasza Kolińskiego w Filozofiey i Medycynie Doktora, gdzie oświadcza, że rozumie, „iż rzecz potrzebną i wielom bardzo wdzięczną uczynił, gdy tę książeczkę, która już prawie była esca blattis et tineis, od zginienia wyswobodził i w ludzkie ręce podał“ etc. Przedrukował snać tedy jakiś uszkodzony egzemplarz pierwszéj owéj krakowskiéj edycyi z r. 1606, w r. 1622 już wyczerpniętéj i zagrożonéj przez mole w istnieniu swojém. III edycya „drukowana z poprawą“ (więc zapewne za życia autora i z jego ramienia) wyszła 1624, bez miejsca druku, bezimiennie, ale znowu z ową 1606 datowaną przedmową morsztynowską, 4⁰, kart nieliczbowanych 23. Jestto wydanie miane aż dotąd za pierwsze; wspomniał o niém Wiszniewski i z niego to dał Kraszewski odbić na nowo cały ów poemat w swoich „*Pomnikach do historyi obyczajów w Polsce.*“ (Ja wydania tego z r. 1624 nie oglądałem). IV wydanie w Krakowie 1630, 4⁰. (Juszyński i Wiszniewski). Po raz piąty i ostatni dał ją, jak wspomniałem, odbić w *Pomnikach* Kraszewski, Warszawa, 1843 roku.

Pod względem poetyckim *Światowa Rozkosz* nie ma wielkiego znaczenia; ale słusznie zauważył szanowny wydawca ostatni, a przed nim jeszcze pp. Maciejowski i Wojcicki, że jestto „w pewien sposób nieoszacowany materyał dla historyka obyczajów.“ Autor zamierzył sobie opisać rozmaite

przyjemności życia ludzkiego i daje obraz pod wielu względami ciekawy zabaw i rozrywek ówczesnego przodków naszych pożycia. Ton i cały sposób w tym poemacie jest jeszcze skromny i nigdzie zbytnią swobodą nie razi. Nie wiem tedy, na jakiéj zasadzie wyrzekł o nim uczony autor Historyi Literatury Polskiéj, Wiszniewski (T. VII. str. 134), że „jestto jedyny może u nas przykład poezyi, w któréjby tak nagi epikureizm przebijał się.“ Jedno z miejsc na pierwszych kartach brzmi wprawdzie nieco niebezpiecznie:

„Moja rzecz jest opisać świeckie delicyje,
Których każdy, póki żyw, niech jak chce użyje,
Bo po śmierci, acz wierzym o wiecznéj radości,
Daleka to od ziemskich będzie rozpustności!“
„Świecka rozkosz, to mój rym! Onéj pióro moje
Dzisia służy...“ i t. d.

Z takiego założenia osnowy można niezawodnie nie najlepiéj wróżyć sobie o całym poemacie. Rzecz się atoli w istocie ma inaczéj. Wykonanie całego pomysłu jest raczéj obyczajowe i budujące. Możnaby dążność i treść całą *Światowéj Rozkoszy* zamknąć w następujących słowach: Są na świecie przyjemności i rozkosze rozliczne, i sama natura nastręcza wedle kolei zmieniających się pór roku człowiekowi zabaw przednich nie mało; ale śmierć kładzie temu wszystkiemu przecie ostateczny koniec i iści się prawda najgłębsza: Vanitas vanitatum et omnia vanitas! — Do najlepszych ustępów poematu zaliczyłbym część zatytułowaną *Uciecha.*

Drugim utworem pióra tegoż autora była sławna w dawniejszém naszém piśmiennictwie:

Banialuka czyli „*Historya ucieszna o zacnéj królewnie Banialuce,*“ poemat zapewne tłómaczony z francuzkiego języka, z rodzaju tych bajecznych rymowanych romansów, które nie przestawały jeszcze natenczas zalewać literatur zachodniéj Europy, jako główny środek zachwycania umysłów skłonnych do marzeń i poetycznych rozczuleń. W naszém piśmiennictwie zjawiają się przekłady takowych już w drugiéj połowie XVI wieku. — Kiedy Banialuka naszego poety powstała i kiedy wyszła pierwszy raz z druku? powiedzieć nie

umiem. Juszyński w *Dykcyonarzu Poetów* podaje, że wychodziła często w początkowych latach XVII jeszcze wieku. Ale już jemu żadna taka edycya nie musiała być naocznie znana, skoro żadnéj takowéj nie wymienił szczegółowo. Nie opisał téż nikt inny dotąd najpierwszych wydań téj baśni, których musiało jednak być wiele; wiadomo bowiem, że powieść o owéj bajecznéj Banialuce tak była w Polsce rozpowszechniona, że w przysłowie poszło „*banialuki prawić*,“ jeżeli kto rozpowiadał rzeczy niepodobne do wiary.

W późniejszych czasach (począwszy od r. 1650) zaczęto wydawać poemat o Banialuce razem z dwiema innemi rzeczami prozą, pod odmiennym bo ogólnym tytułem:

„*Antypasty Małżeńskie trzema uciesznemi historyami* (etc.) *zaprawione.*“ Wychodziły zawsze bezimiennie. Pierwsze wydanie podobno w Krakowie r. 1650, 4to 18 arkuszy (Bentkowski), Potém bardzo często np. 1703, 1736, 1752 i t. d. (Mnie znana tylko edycya z r. 1736).

Przydane tu do Banialuki dwa owe nowe utwory są to powiastki pisane prozą, niezmiernie nieudolnie, tak że wątpię nawet, aby były dziełem Hier. Morsztyna. Są też o wiele krótsze od poematu będącego na czele. Pierwszéj napis: „*Historya o Galezyusie i Filidzie;*“ druga zawiera: „*Historyą o Przemysławie X. Oświecimskiém.*“ — W ogóle nie mogę pominąć tego milczeniem, że i co do saméj Banialuki zachodzi pewna wątpliwość; gdyż nie wiemy znikądinąd, że jéj autorem jest nasz H. Morsztyn, jak ze wzmianki Juszyńskiego, który wszelako nie podał dowodów ani też źródeł, z których się o tém dowiedział. Na tytułach wydań nie ma imienia autora wyrażonego.

Trzeci utwór Hieronima Morsztyna, został oddany do druku prawdopodobnie dopiero po śmierci autora. Jest z tego samego rodzaju pism, co Banialuka, podobny do niéj stylem i wierszem, tylko że względy na przyzwoitość tu już znacznie luźniejsze. Tu zatém możnaby słusznie zarzucić Morsztynowi epikureizm, od którego go broniłem, dopóki chodziło o *Światową Rozkosz.* — Tytuł poematu następujący:

Philomachia albo affektów gorącéj miłości wyrażenie z kil-

ku par obojéj płci przykładów, młodym na pohamowanie etc. W druk podana po śmierci autora Hieronima Morsztyna z Raciborska." Warszawa 1655, 4to. Téj edycyi nie widziałem; wspominają o niéj Bentkowski i Wiszniewski. Drugiego wydania nikt nie podał. Trzecie, pod tymże tytułem, z dodatkiem: „teraz znowu po trzecie przedrukowana," wyszło w Warszawie 1689[39]), 4to stron nieliczbownych 92 i ono właśnie mi znane. Czwarta i ostatnia edycya, Kraków 1705 4to (nie znam).

Widzimy z tego, jakieto dzieła były drukowane i przebijane i czytywane w owéj epoce!

Data: *po śmierci autora Hier. Morsztyna*, jeżeli rzeczywiście znajduje się już na wydaniu z roku 1655, i jeżeli to wydanie jest istotnie pierwszém nie drugiem, wskazuje, że więc przed r. 1655 życie zakończył Hieronim.

Philomachia obejmuje 3 romanse wierszem, miłośne, ktore mają być przekładem z francuzkiego (Wiszniewski). Pierwsza powieść jest *o Alfonsie X. Aragońskim i Orystelli królewnie kreteńskiéj córce Minosa (!!)*; w drugim romansie opowiadany jest *Żałosny koniec dwojga ludzi kochających się w sobie, Zygismundy i Gwizdarda;* trzeciéj powieści tytuł: *Historya bardzo piękna (?) o Talezie królewicu Lidyjskim a o Perepodzie królewnie Aragońskiéj.*

Dążność wszystkich miała niby być moralna („młodym na pohamowanie"). Nieszczęśliwych ale winnych kochanków dopędza w saméj rzeczy ostatecznie zawsze śmierć marna i koniec okrutny! Z czego zatém niby sens moralny, że zbytnia miłość jest zgubna. Ale przeprowadzenie rzeczy arcyfrywolne i tłuste, chwile mianowicie szczęśliwe romansu oddane con amore i bez ogródki, zdradzają, że autor jako moralizujący rzetelnie nie występuje. Że też i zkądinąd nie był sam nieprzyjacielem miłości, dowodzi wiersz na końcu książki, ze strony już jego własnéj napisany, „*Pieśń na Nieuży-*

[39]) Myślę, że o téjto publikacyi chciał mówić Krasicki w rzeczy *o Rymotwórstwie i rymotwórcach*. Powiada tam, że Hier. Morsztyn zostawił po sobie elegie, które zebrane wyszły w Warszawie w r. 1689. Mylnie uważał to za elegie!

tą," gdzie w 7 strofach własne cierpienia lirycznie wypowiada kochance. W powieściach buja sobie autor, czy raczéj pisarz oryginału, z którego tłómaczył Morsztyn, na skrzydłach niekrępowanéj fantazyi (Nil płynie wedle niego np. w Aragonii, a córka Minosa kocha się w Aragońskim książęciu). Na końcu każdéj powieści pisze każdemu z ginących bohaterów, a czasem całéj nawet onych rodzinie — Nagrobki! Taka to już wtedy była mania pisania nagrobków! — Język i wiersz nie jest tak lichy, jak się w czytaniu wydaje, z przyczyny bez liku błędów drukarskich a mianowicie w przecinkowaniu, które wielce utrudniają rozumienie. Płynie on dość potoczyście i łatwo. Wiele w nim starożytnych form, mianowicie częste jeszcze przykłady liczby podwójnéj, np.:

„Wszakeś*wa* w jednym. z sobą grobie leżeć *miała*,
Orystello, nie dziwuj żeś*wa* się rozstała."

(zamiast wszakeś*my mieli*..., żeś*my rozstali).*

Wspomniałem wyżéj, że w XVII wieku żyło przynajmniéj trzech Hieronimów Morsztynów; z czego przyznałem, że mogłaby się nastręczać wątpliwość, który z nich tedy pisał poematy? Owoż winienem dodać w tém miejscu dodatkowo wiadomość, że Niesiecki mówiąc o Hieronimie, stolniku bielskim, wyraźnie wspomniał, że ten to jest Hieronim z Raciborska Morsztyn, który napisał *Affektów gorącéj miłości wyrażenie.* Nie mówi wprawdzie rzeczony autor Herbarza, aby inne jakie dzieła jeszcze miał był wydać stolnik Hieronim; ale podobno to dostateczne świadectwo co do jednéj publikacyi, wystarcza ażeby i inne temu właśnie a nie innemu Hieronimowi przypisać. Czyby zaś wszystko to już być miało, co stolnik ogłosił i co napisał: w braku materyałów do wyczerpnięcia rzeczy niezbędnych, rozstrzygnąć mi trudno. Zdaje się jednak, że w rękopisach muszą gdzie zalegać nie tylko Andrzeja, nie tylko Stanisława, ale i Hieronima Morsztyna poezye dotąd nie drukowane, zwłaszcza jeżeli nie jest pomyłką — łatwą do uniewinnienia w tak zagmatwanéj

materyi — co podał Wiszniewski (T. VII str. 135), że miał w rękach spory rękopis wierszy „Hieronima Morsztyna.“ Miały to być rzeczy najwięcéj treści satyrycznéj, niekiedy bardzo dowcipne ale nie bez pewnéj ślizkości, która już znamionuje pióro tego pisarza.

Zamykając rzecz, dołączam teraz tabellę genealogiczną Morsztynów i nadmieniam, że dla ułatwienia przeglądu kładę na niéj jedynie takich tylko członków téj rodziny, którzy się literaturą zajmowali, albo w rozprawie powyższéj z jakiegokolwiek powodu zostali wspomnieni. Wszystkich innych pominąłem.

Stanisław Morsztyn
dziedzic na Raciborsku.

- *Krzysztof* starosto filipowski.
 - *Krzysztof,* starosta filipowski i przewalski.
 - *Stefan.*
 - *Hieronim.*
 - *Jan.*
 - *Stanisław,* wojewoda mazowiecki. poeta.
 - *Jan Kaźmierz,* pulkownik † 1698.
 - *Antoni.*
 - *Teresa,* † 1698.
 - *Samuel,* (bezdzietny.)
 - *Jerzy.*
 - *Zbigniew,* miecznik mozyrski.
 - *Jędrzej,* starosta bolnicki.
 - *Teofila.* (Rejowa.)
 - *Tobiasz,* łowczy koronny. (bezdzietny.)
 - *Stanisław,* wojski sandomirski.
 - *Jędrzej,* podskarbi W. K. poeta.
 - *Ludwika Marya.* (Bielińska.)
 - *Izabella.* (Czartoryska.)
 - *Poniatowska,* (matka Stanisława Augusta.)
 - *Syn,* jenerał francuzki.
- *Floryan* kasztelan brzeski.
 - *Hieronim,* kanonik krak.
- *Franciszek.*
 - *Hieronim,* stolnik bielski, wierszopis.

O

SPORACH JURISDYKCYJNYCH

W ZAKRESIE SĄDOWNICTWA ZWYCZAJNEGO CYWILNEGO.

> Straciwszy punkt środkowy, le point de depart, popadł w nieład sprzeczności i płytkości, z którego wycofać się trudno.
>
> O wspólce handlowéj prostéj, association en participation, August Hajlman.

Pod takim tytułem napisał pan August Hajlman rozprawkę (zamieszczoną w I Tomie Biblioteki Warszawskiéj za rok 1857). Rozprawka ta raczéj zajmuje się pytaniem *o ile jaki* sąd cywilny ma prawo wyrokować ostatecznie, a zatém rozbiera raczéj kwestye atrybucyjne niż jurysdykcyjne, i wtedy dopiero pierwszy raz znajdujemy tam wzmiankę o tak zwanym przez pana Hajlmana sporze jurysdykcyjnym w zakresie sądownictwa zwyczajnego cywilnego, gdy przychodzi rozwiązać pytanie, jaki sąd jest właściwym do rozpoznawania wyroków przez sąd appellacyjny mocą ostatniéj instancyi niewłaściwie wydanych. Tu panu Hajlmanowi „przy milczeniu ustawy senackiéj i w niedostatku wyraźnego prawa, nasuwa się owa *prosta analogia*, że wyroki tego rodzaju powinny być na drodze sporów jurysdykcyjnych przed Ogólne Zebranie Rządzącego Senatu wnoszonemi;“ to zaś twierdzenie swoje opiera autor na dowodach z historyi i czystego rozumu czerpanych. I tak przywodzi on, że za Księztwa Warszawskiego przeniesionych zostało do nas z Francyi wiele instytucyj, co jest rzeczą zupełnie bezsporną; we Fran-

cyi zaś od roku 1738 był postanowionym oddzielny Sąd Kassacyjny i odtąd ani Grand Conseil, istniejący za Burbonów, ani Rada Stanu z czasów Konsulatu, z czasów pierwszego Cesarstwa, z czasów Restauracyi, Orleanów, Rzeczypospolitéj i powtórnego Cesarstwa nigdy nie oceniała wyroków sądów cywilnych pod tym względem, czy one właściwie mocą ostatniéj instancyi wydane były; rzecz ta należała zawsze i należy dotąd do Sądu Kassacyjnego, a droga na któréj się to dzieje, ani teraz ani przedtém nie zwała się, ani się nie zowie drogą rozwiązującą spory jurysdykcyjne, i odrębne też od niéj miała i ma dotąd formy; co wszystko miało miejsce również i u nas za czasów Księztwa Warszawskiego; a lubo w artykule 16 konstytucyi Księztwa Warszawskiego wzmiankowano o sprawach, w których Rada Stanu daje wyroki *jako* Sąd Kassacyjny, to przecież ów wyraz *jako*, *comme cour de cassation*, zastępczo tylko upoważnia Radę Stanu do wydawania wyroków jako Sąd Kassacyjny; podług zaś oddzielnéj organizacyi *nie* dla Rady Stanu, ale dla Sądu Kassacyjnego w dniu 3 Kwietnia 1810 roku wydanéj, jeżeli Rada Stanu zastępczo odbywała obowiązki Sądu Kassacyjnego, to wtedy wydawała nie *uchwały* ale *wyroki*, większością głosów zapadające (artykuł 70 Organizacyi Sądu Kassacyjnego) i nie ulegające zatwierdzeniu książęcemu, i tylko w razie, jeżeli po drugiéj jeszcze decyzyi Sądu Kassacyjnego zapadł znowu wyrok z powodów co i dwa pierwsze, kassacyi uledz mający, Sąd Kassacyjny wyrok swój wraz ze wszystkiemi aktami przesłać był powinien natychmiast do Rady Stanu, gdzie król książe rozwiązywał stanowczo swoją *deklaracyą* wątpliwość co do tłómaczenia prawa, i taką deklaracyę panującego w Radzie Stanu wydaną Sąd Kassacyjny, w myśl artykułu 19 organizacyi swojéj, przesyłał sądowi, którego wyrok skassowaniu uległ, dla zastosowania się przy nowem sądzeniu téj sprawy do książęcéj deklaracyi. Słowem, za Księztwa Warszawskiego Sądem Kassacyjnym nie była właściwie Rada Stanu, ale był to oddzielny Sąd Kassacyjny w radzie Stanu, mający odrębną swoją organizacyę, oddzielny komplet,

oddzielne przepisy o wotowaniu, oddzielnego urzędnika, nieznanego w Radzie Stanu, ale znanego w sądownictwie, bo prokuratora, i nakoniec Sąd ten Kassacyjny w jednym tylko razie przewidzianym 19 artykułem (Organizacyi Sądu Kassacyjnego) miał się znosić z Radą Stanu. Uchwałą Rady Najwyższéj tymczasowéj Księztwa Warszawskiego z dnia 2 Marca 1814 r. obowiązki Sądu Kassacyjnego w sprawach kryminalnych włożono nie na jakie ciało administracyjne lub polityczne, ale na Sąd Appellacyjny, który je sprawował do dnia 26 Marca (7 Kwietnia) 1842 roku to jest daty kiedy te obowiązki przeszły nie na Ogólne Zebranie ale na X Departament Senatu.

W chwili stanowienia Sądu Najwyższéj Instancyi Sąd ten, stosownie do swéj Organizacyi z dnia 21 Września 1815 roku, odziedziczywszy po Sądzie Kassacyjnym w myśl artykułu XXXV wszelkie przepisy i atrybucye, zyskał jeszcze prawo sądzenia spraw *in merito* w trzeciéj instancyi i wyrzekania stanowczo w kwestyach kassacyjnych, nie zaś kassowania tylko z obrazą prawa zapadłych wyroków, a tém samém Sąd ten był swobodnym od wszelkiego wpływu Rady Stanu pod prezydencyą panującego obradującéj, jakiéj ulegał Sąd Kassacyjny, stosownie do artykułu 19 swéj Organizacyi, jakeśmy to już wyżéj widzieli. Stosownie do konstytucyi z dnia $^{15}/_{27}$ Listopada 1815 roku, art. 151, do Sądu Najwyższego należało sądzenie ostateczne spraw cywilnych; artykułem zaś 59 Statutu Organicznego, z dnia $^{6}/_{14}$ Lutego 1832 roku wyrzeczono, „że przestrzeganie porządku w sądach pierwszéj i drugiéj instancyi oraz rozwiązywanie wynikać mogących sporów i kwestyi pomiędzy niemi, względem zakresu ich władzy, zostawuje się izbie Sądu Najwyższego.“ Stosownie zaś do artykułu 62 ustawy z dnia 26 Marca 1842 roku o Senacie *co do IX Departamentu* „wszelkie postanowienia dotyczące Sądu Najwyższéj Instancyi, o ile wyraźnie nie są zmienione, są zachowane i na IX Departament Rządzącego Senatu przeniesione.“ Artykuł zaś 35 odnoszący się do atrybucyi IX Departamentu jest téj osnowy: „Podpadać będą odwołaniu się

do *Senatu* wyroki Sądu Appellacyjnego z powodu niewłaściwego oznaczenia instancyi, mocą któréj wydane zostały, a mianowicie jeżeli strona odwołująca się twierdzi, że Sąd Appellacyjny będąc mocnym stanowić podług przedmiotu sprawy w ostatniéj instancyi wydał wyrok w drugiéj instancyi, albo przeciwnie że wydał wyrok mocą ostatniéj instancyi, mając moc wyrokowania tylko w drugiéj instancyi.“ Artykuł 36 téjże ustawy stanowiący: „że w razie gdyby Sąd Appellacyjny nie wyrzekł mocą jakiéj instancyi sądził, odwołanie ma miejsce *do Senatu*, który lub przydaje takiemu wyrokowi klauzulę ostateczności, lub wyrzeka, że wyrok skarżony zapadł tylko w drugiéj instancyi.“ Słowem stosownie do powyższych przepisów IX Departament Rządzącego Senatu pod tym względem ma wykonywać atrybucye, jakie od dnia 21 Września 1815 roku służyły Sądowi Najwyższéj Instancyi po dzień 26 Marca (7 Kwietnia) 1842 roku, kiedy te atrybucye w ogólności w skutek artykułu 62, a w szczególności w skutek artykułów 35 i 36 ustawy senackiéj przeszły nań (to jest na IX Departament Rządzącego Senatu). Rada zaś Stanu stosownie do Organizacyi z dnia 29 Listopada (1 Grudnia) 1815 roku i $^{12}/_{27}$ Grudnia 1832 roku nie wykonywała nigdy nawet zastępczo obowiązków Sądu Kassacyjnego, Ogólne zaś Zebranie Senatu, które po Radzie Stanu odziedziczyło swoje atrybucye, nie mogąc tego w spadku otrzymać, czego jéj spadkodawca (Rada Stanu) nie miała, a nie mając sobie atrybucyi bądź Sądu Kassacyjnego bądź Sądu Najwyższéj Instancyi, wyraźnie ustawą o Senacie nadanych, nie posiada stosownie do obowiązującego prawa żadnych atrybucyi Sądu Kassacyjnego i Sądu Najwyższéj Instancyi, a między niemi rozsądzania spraw co do skarg zanoszonych na ostateczność wyroków Sądu Appellacyjnego. Cały więc powyższy wywód historyczny, (który w większéj części znajdujemy na początku rozprawki przez nas rozbieranéj) a wykazujący, że począwszy we Francyi od roku 1738 a skończywszy u nas na Organizacyi Senatu, nigdy ocenianie wyroków pod względem ich ostateczności nie należało do Rady Stanu, lub Ogólnego Zebrania Senatu,

ale do władz sądowych, bądź to Sądu Kassacyjnego, bądź wydziału Senatu. Cały ten wywód, pytamy się jak nasunął panu Hajlmanowi *ową prostą a tak szczęśliwą analogię, że sprawy o ocenianie ostateczności wyroków Sądu Appellacyjnego powinny być drogą dla sporów jurisdykcyjnych przepisaną wnoszonemi pod rozsądzenie* Ogólnego Zebrania Senatu, bo mybyśmy, gdyby nawet wyraźnego przepisu co do tego nie było, na drodze analogicznéj do zupełnie innego wniosku przyszli; ale jak sobie wytłómaczyć obok cytowania przez pana Hajlmana artykułów 35 i 36, owo ciągłe jego narzekanie na milczenie ustawy senackiéj i *brak wyraźnego prawa*, które zmusiły go udać się do owéj tak *prostéj a tak szczęśliwéj analogii.* Rzeczywiście, trudno sobie wytłómaczyć owe utyskiwania kilka razy się powtarzające, chyba w tém widzi pan Hajlman jakąś wątpliwość, że w artykułach 35 i 36 mowa jest o odwołaniu się do *Senatu* nie zaś wyraźnie do IX Departamentu Rządzącego Senatu; ale: *Ustawa o Warszawskich Departamentach Rządzącego Senatu, dziewiątym i dziesiątym i Ogólném ich Zebraniu* składa się *z działu pierwszego, w którym rzecz o składzie i wewnętrznem urządzeniu Departamentów Rządzącego Senatu i Ogólnego Zebrania oraz porządek wprowadzania i sądzenia spraw.* Dział ten złożony jest z trzech oddzielnych poddziałów, z których pierwszy ma taki tytuł: *I co do IX Departamentu*, i tu znajdują się artykuł 62 wprowadzający IX Departament Rządzącego Senatu w atrybucye byłego Sądu Najwyższej Instancyi, i artykuły 35 i 36, któreśmy wyżéj przywiedli; drugi poddział ma taki tutył: *II co do X Departamentu,* i tu zamieszczone są przepisy stosujące się do spraw kryminalnych, trzeci poddział ma taki tytuł: *III co do Ogólnego Zebrania Warszaskich Departamentów Rządzącego Senatu*, i tu niema artykułów 62, 35 i 36, ani żadnych im odpowiednich, ale natomiast znajdują się artykuły 84 i 85, które stanowią, że oprócz atrybucyi które dawniéj Radzie Stanu służyły, [1]) po-

[1]) Radzie zaś stanu podług jéj organizacyi z dnia $^{12}/_{24}$ Grudnia 1832 roku żadna władza nie była nadana rozpoznawania wyroków sądowych pod względem ich ostateczności.

dług jéj Organizacyi z dnia $^{12}/_{24}$ Grudnia 1832 roku, porucza się Ogólnemu Zebraniu: 1) *rozpoznawanie sporów o zakres władzy między duchownemi a sądowemi, oraz między samemi duchownemi władzami*, i 2) *rozpoznawanie zarzutów przeciwko senatorom i członkom Senatu, co do przestępstw w urzędowaniu.* Tak wykazawszy, że z wywodu historycznego i wyraźnéj litery prawa jawnie okazuje się, że nie do Ogólnego Zebrania ale do IX Departamentu Rządzącego Senatu należy i należyć musi rozpoznawanie wyroków Sądu Appellacyjnego pod względem ich ostateczności, na dowód, że wyraz *Senat* w ustawie o Senacie nie jest branym za jednoznaczny z Ogólnem Zebraniem Senatu, ale nabiera znaczenia od tego w jakim poddziale umieszczonym jest artykuł, w którym ten wyraz się mieści, powołamy się na artykuły, prócz 35, 36 i 37 w poddziale *co do IX Departamentu Rządzącego Senatu* zamieszczone, na artykuł 43 stanowiący, że w sprawie o ekzekucyę tymczasową odwołanie się do *Senatu* nie ma miejsca, aż dopiero po odwołaniu się od wyroku w saméj sprawie. Na podobnéj osnowy artykuł 42 mówiący o dozwoleniu przez *Senat* za kaucyą lub bez kaucyi, wykonania wyroków Sądu Appellacyjnego; na artykuł 56 mówiący o restytucyi i o opozycyi z artykułu 474 K. P. C., który brzmi „*bez względu czy wyrok zaskarżony* w drodze restytucyi lub *opozycyi trzeciego zapadł w Sądzie Najwyższym lub w Senacie*“ i nakoniec na artykuł 5 P. O. S. Z. *skarg* i t. d. stanowiący, że we wszystkich sprawach 600 rs. nieprzenoszących, od wyroków Sądu Appellacyjnego nie będzie można odwoływać się do *Senatu.* Czyż te wszystkie przytoczone artykuły mogą jeszcze choć cień zostawiać wątpliwości co do tego, że wyraz *Senat* używany w ustawie o Senacie nie jest synonimem Ogólnego Zebrania; ale owszem z mnóstwa artykułów okazuje się, że ustawa ta, gdy idzie o Ogólne Zebranie, wyraźnie mówi o niem jak np. w artykule 46 *lit. c.* zwąc je Ogólném Zebraniem a nie wprost *Senatem.*

Tak dowiódłszy, [2]) że prawo nie jest wątpliwem ale wy-

[2]) Wstyd nam było prawdziwie dowodzić rzeczy tak jasnéj i żadnéj wątpliwo-

raźnie roztrzygającém kwestyę, gdzie odwoływać się należy od wyroków Sądu Appellacyjnego, nie właściwie w ostatniéj

ści w praktyce nie rodzącéj, ale podjąwszy się przejrzéć kilka ostatnich prac pana Hajlmana, zmuszeni byliśmy stoczyć bój ten prawdziwie Donkiszotowski ustroiwszy się jak ów rycerz z Manszy, w cały arsenał cytat i artykułów. I tak np. w rozprawce o sporach granicznych lubo bardzo szlachetne są dążenia pana Hajlmana do zapobieżenia pieniactwu o granice, wszelako sposób dowodzenia jest nader wątły i sofistyczny. I tak powiada pan Hajlman, że wszystkie dawne z czasów rzeczypospolitéj dokumenta graniczne przedawniły się dla tego, że są bardzo dawne, oraz że wszystkie te dowody prekludowały się hipotecznie, jako przy regulacyi hipotecznéj nie podane. I jedno i drugie twierdzenie mylne, bo pan Hajlman zacząwszy wywód prawa granicznego od prawa rzymskiego, na nasze prawo tak bogate pod tym względem ani okiem rzucić nie raczył, a u nas sprawy graniczne i graniczniki nie przedawniały się; takie jest przynajmniéj zdanie powszechne naszych autorów o prawie polskiém piszących, które za aksiomat musi być przyjęte, póki go kto dowodnie nie zbije. Wreszcie tam gdzie znane jest nawet przedawnienie, to ono dopiero zaczyna płynąć przeciw dokumentowi, kiedy ten przestaje być wykonywanym, więc zaczyna się dla każdego dokumentu specyalnie, przeto wszystkich dokumentów z pewnéj epoki hurtem, dla tego że są stare, za zwietrzałe, poczytywać nie można, a przecież tak czyni pan Hajlman. Druga zasada wynikająca z prekluzyi hipotecznéj, jest jeszcze słabsza, obok prawa o normalném rozgraniczeniu, które dopiero miało być wykonaném po regulacyi hipotecznéj; bo kiedy przy pierwotnéj regulacyi hipotecznéj nie regulowano granic, co dopiero potém nastąpić miało jakże logicznie przypuszczać można, że się graniczniki hipotecznie sprekludowały. Nie będziemy tutaj rozbierać całego chaosu następstw, jakie podobna teorya za sobą prowadzi, nie będziemy rzucać pytania, w coby się wtedy podział proces petitoryjny, chociaż go pan Hajlman przypuszcza, zrobiwszy go prawie nie podobnym przez swe powyższe twierdzenie, a tém samem w coby się obróciły główne zasady prawa francuzkiego pod względem wagi i rodzaju dowodów, w sprawach o przedmioty, których wartość 150 franków przenosi, a jak tu w sprawach najważniejszych, bo o własność gruntów toczonych; powiemy tu jeszcze tylko, że owo przedawnienie kodeksowe na jakie pan Hajlman sądom przy sądzeniu spraw granicznych szczególny wzgląd mieć poleca, lubo powszechne, a zatém stosujące się i do spraw granicznych, jest przecież ekscepcyą, którą tylko strony wnosić mogą, a któréj z urzędu sądom tykać nie wolno, a gdy podobna ekscepcya jest przez strony wniesioną, to sąd koniecznie rozwiązać ją musi. Nie będziemy przechodzić całego labiryntu wnioskowań na zasadzie których przychodzi pan Hajlman do jakiegoś procesu granicznego *osobistego*, nie będziemy wytykać napuszoności stylu, nie właściwego używania wyrazów gdy np. *naturalne granice* mają u niego znaczenie *granic jawnych*, *używalnych*, bo to są wszystko drobnostki, a my chcemy tylko pokazać kierunek autora, który zamiast powiedzieć, że hipoteka u nas pod względem granic nie tylko jest niedokładną, ale właściwie można rzec śmiało z Dutkiewiczem, że jéj pod tym względem nie ma, a zatém że zachodzi potrzeba konieczna zaradzenia temu brakowi, przypuszcza u nas granice oparte na hipotece i na téj zasadzie system swoich wnioskowań powiększéj części buduje. Na podobnych także zasadach opiera nienaruszalność granic, za pomocą procesu granicznego, dóbr na subhastacyi nabytych, licząc i to jeszcze za jedną z zasad,. że dobra na subhastacyi były kupione, jakby tu rzecz szła o sprzedaż w dawnym Rzymie *sub hasta* dokonaną. Nakoniec pan Hajlman taki stronnik nietykalności praw hipotecznie ustalonych, tam

instancyi wydanych. Moglibyśmy już roztrząsanie rozprawy pana Hajlmana, co do tego punktu ukończyć, ale nam żal opu-

nawet, gdzie ustalenie podobne nie miało miejsca; w rozprawce o stosunku hipoteki gubernialnéj do okręgowéj, szlachetną wiedziony myślą, ale na prawnéj podstawie nie opartą, oświadcza, że mimo istnienia hipoteki gubernialnéj dla ogółu jakich dóbr, hipoteki okręgowe dla nieruchomości, w obrębie tych dóbr położonych, oddzielnie bez przepisywania w nie wszelkich ciężarów ogół dóbr obciążających, i bez zezwolenia wierzycieli hipotecznych, zakładane być mogą. Więc pan Hajlman w sporach o granice uważa, że graniczniki się sprekludowały przez niewniesienie ich do wykazu *(gdzie i jak??)*, a w sprawach gdzie idzie o części gruntu w obrębie tych granic położone, a na zasadzie tytułu własności lub emfiteuzy do kogoś trzeciego należących, które to prawa koniecznie przy regulacyi hipoteki dóbr głównych objawione być były powinny, nie znajduje, że jakakolwiek prekluzya zaszła, przez nieobjawienie ich w wykazie, i bez względu na artykuł 57 prawa hypotecz. 1818 roku, radzi osobne dla takich nieruchomości zakładać hipoteki okręgowe. Nie będziemy tu rozbierać kwestyi téj tak ważnéj, a od któréj zgłębiania uchylił się sam Dutkiewicz, napomkniemy tylko, że hipoteki okręgowe, dla posiadaczy wieczystych, lub właścicieli pełne prawo własności mających, mimo, że dobra w których obrębie podobne nieruchomości leżą, mają już założoną hipotekę gubernialną, w takim tylko razie zakładane być mogą, gdy na podobnych dobrach nie ma praw dla wierzycieli zahipotekowanych, wyprzedzających datą objawienie w hipotece praw podobnym właścicielom służących, i gdy dobra te są jeszcze w rękach pierwotnego nadawcy podobnych praw, lub jego sukcessorów, ale w każdym podobnym razie, o założeniu hipoteki okręgowéj musi być wzmianka w hipotece gubernialnéj dóbr, w których obrębie podobna własność leży. W innych wszystkich, prócz przewidzianego wyżéj wypadku, bez pozwolenia wszystkich których wpisy wyprzedzają wpis ostrzegający prawa podobnych w obrębie cudzéj własności posiadaczy lub właścicieli, hipoteki okręgowe zakładane być nie mogą, wyjąwszy hipoteki po ukazie z dnia 26 Maja (7 Czerwca) 1846 roku dla gruntów włościańskich, która jakby mogła być zakładaną, i na jaki użytek, tego tu rozwijać nie będziemy, oświadczając tylko że w powołanéj wyżéj rozprawce pan Hajlman całkiem z innych zasad niż ta, a za prawne poczytanemi być nie mogących, wychodzi. W ogólności we wszystkich swych rozprawkach pan Hajlman zwykł zaczynać od wstępów historycznych, które nigdy żadnéj całości nie stanowią i są tylko napomknieniami, dowodzącemi że przedmiot, o którym w ogólnych słowach mówi, nie jest mu zupełnie obcym. Wstępy te czy to do prawa handlowego, np. o wspólce na udział, do ekzekutorów testamentów, do praw polskich granicznych, bywają zwykle z prawa rzymskiego, bez względu na to czy mają bezpośredni związek z rozbieranym przedmiotem; potém następują narzekania na brak ogólnéj teoryi w traktowanym przedmiocie, i tu dopiero zwykle pan Hajlman rzuca kilka wzniosłych frazesów, najczęściéj niepowiązanych z sobą i cytuje kilka imion, mówców, którzy byli sprawozdawcami przy uchwalaniu prawa, ale nigdy treści przedstawiającéj całość tych mów nie podaje. Tu dopiero zaczynają się dowodzenia pana Hajlmana, w których najczęściéj powołuje się na owe mowy, których nawet w treści nie przywiódł, a których nigdy prawie w tekscie nie przytacza, ale ogólnikami walcząc i opierając się na jakiémś zasłonioném źródle, bardzo łatwo dowodzi tego co założył. I tak np. jeden z podobnych sposobów dowodzenia w rozprawce przez nas rozbieranéj: „Na fałszywą drogę początkowania zasad kodeksowych i wyprowadzania mylnych wniosków, komentatorowie zabłąkali się, nie zaczerpnąwszy

ścić jego wywodów pod tym względem z czystego rozumu czerpanych; i tak pan Hajlman twierdzi, że gdy nikt nie powinien w swéj sprawie sądzić, to też i IX Departament Rządzącego Senatu jest stronnym tutaj sędzią, bo sądzi w swéj sprawie, bo gdy odmawia ostateczności wyrokowi Sądu Appellacyjnego, to tém samem przyznaje sam sobie prawo sądzenia sprawy w ostatniéj instancyi. Obok podobnego pojmowania rzeczy, ani Trybunał Cywilny, ani Sąd Appellacyjny nigdyby nie mogły sądzić mocą ostatniéj instancyi, bo nie *ewentualnie*, jakby to miało miejsce podług pana Hajlmana co do IX Departamentu Rządzącego Senatu, ale wprost sądy te byłyby sędziami w własnéj sprawie, przyznając sobie atrybucyę ostateczności. W podobnym duchu żadna władza nie mogłaby wykonywać swoich atrybucyi

wprzód jak należało z właściwego źródła jurisprudencyi kodeksowéj, początkującéj od wyraźnych motywów legislacyjnych, motywa zaś te nie pomnąc innych znachodzą się w trzech mowach, r. s. Berlier, Gary i Perreau, i w komentarzu Mallevilla; w obliczu zebranych tam zasad adopcya jest niewzruszalną.“ To tak zupełnie jakby kto mając czegoś dowieść w dziedzinie prawa cywilnego, rzekł: to nie jest tak jak w komentarzach, jak sądownictwo wykłada, ale jak ja mówię, a chcesz to wierz, a nie chcesz to przejrzyj cały kodeks wszystkich komentatorów i sprawozdania przy wnoszeniu do ciał prawodawczych projektu do prawa; zapewne że takim sposobem dowodzenia bardzo łatwo wszystkiego dowieść. Styl także pana Hajlmana często szumny, nigdy ścisły, tak nieprzystępny, że go często na polski język tłómaczyć dopiero trzeba; podobny jest do karczocha, na pozór wabiącego, a jednak bardzo mało miazgi w sobie mającego, i tylko z trudem pożywać się mogącego.

Co do sposobu komentowania prawa najbliżéj pana Hajlmana stoi Franciszek Maciejowski w swoim wykładzie prawa kryminalnego; tam każdy ustęp składa się z czterech heterogeneów, to jest z teoryi, która prawi swoje, z tekstu który prawi swoje nietroszcząc się o teoryę, z komentarza, który prawi swoje nietroszcząc się o tekst, i z finału, wedle którego Bóg sam to wie jakim sposobem tekst jest zawsze zgodnym z najgruntowniejszą i najświeższą teoryą. Ale nie porównywajmy tych dwóch prawników ze sobą: pan Hajlman jest to poeta prawnik, szlachetny zawsze marzyciel, niedbały o szczegóły, bo cały główym zajęty pomysłem; on tak przejęty swoim ideałem, iż w jego barwach widzi i historyę przedmiotu i prawo obowiązujące, dotknięty zaś podobną hallucynacyą, szuka na paletrze swojéj farb najbogatszych to w prawie rzymskiem, to w prawie francuzkiem, to w pruskich lub kanonicznych przepisach, (ale nigdy w starem polskiem prawie) aby czytelnika ku sobie pociągnąć, ale ręka już u niego zasłaba, i za wiele u niego fantazyi, aby pewien ład i szyk utrzymać. Pan Franciszek Maciejowski to zimny rzemieślnik, który zakasawszy rękawy przystępuje do wykonania obstalunku, u niego jedna tylko na paletrze farba, to jest żółta glina polska, i jeden *patron* niemiecki, przez którego wykrawki wznosi się aż do wysokości malarza, który nie złe szyldy maluje.

bez bezpośredniego zlecenia władzy zwierzchniéj, boby sobie przyznawała pewne atrybucye, będąc co do nich niejako własnym sędzią, bo wszakże IX Departament Rządzącego Senatu, wyraźném prawem będąc upoważnionym do sądzenia podobnych sporów, nie rozstrzyga tutaj sprawy o wątpliwe jakie atrybucye między sobą a Sądem Appellacyjnym ale w danym razie stosuje do pewnego wypadku przepisy prawa co do ostateczności wyroków; wszakże tu IX Departament Rządzącego Senatu nic nie ma do wygrania lub stracenia, bo w razie odmówienia ostateczności wyrokowi Sądu Appellacyjnego, czeka go może mozolna praca sądzenia potém sprawy *in merito*, a w razie zatwierdzenia ostatecznego wyroku Sądu Appellacyjnego i tak IX Departament Rrządzącego Senatu będzie musiał zasiadać w godzinach prawem przepisanych i inne sprawy sądzić. Słowem, ani straty, ani żadnéj korzyści IX Departament Rządzącego Senatu spodziewać się tu nie może, ale jak z jednéj strony nie godzi się posądzać o jaką stronność, na własnym interesie opartą, tak wysoką magistraturę, tak z drugiéj strony pan Hajlman od pewnego czasu grzeszy tą główną wadą, że przywiązawszy się do pewnéj urojonéj przez siebie teoryi, nie ma odwagi wprost wypowiedzieć, że zdaniem jego prawo jest niedokładnem, ale stara się wykrętnemi dowodami wykrzywić myśl prawa i pogodzić ją ze swojém założeniem, przez co jego rozprawy chybiają zupełnie celu, pod względem prawodawczym i komentatorskim; bo prawodawca widzi z tych rozpraw, że prawo odpowiada zupełnie podanéj przez autora teoryi, a tém samém jest pod każdym względem dobrém, bo praktyk przy stosowaniu *prawa* gdyby się trzymał interpretacyi przez pana Hajlmana podanéj, zaszedłby daleko na *lewo*; słowem panu Hajlmanowi możnaby śmiało przyznać zaszczyt wynalazku pewnéj gry nowéj, a nader ucieszném, którąbym nazwał teoretyczno-prawną-ciuciu-babką. A teraz przyjrzyjmy się powodom, jakie skłaniają pana Hajlmana do *owéj analogii* na rzecz Ogólnego Zebrania Senatu, na drodze historycznéj i teoretycznéj wysnowanéj. Oto pan Hajlman powiada: Sąd Kassacyjny nie sądził *in merito*,

a zatém był tylko bezstronnym stróżem prawa; Ogólne Zebranie Senatu nie sądzi spraw cywilnych, a zatém najlepiéj może zastąpić Sąd Kassacyjny. Ale inne były potrzeby Francyi, szczególniéj po ułożeniu kodeksu cywilnego, w który wszedł pierwiastek historyczny różnych zwyczajów prowincyonalnych; wtedy szło o to, aby każda prowincya nie wróciła mimo kodeksu do wyjątkowych swoich zwyczajów przez tłómaczenie prawa nowego w duchu dawnych miejscowych nawyknień; Sądy Appellacyjne po departamentach rozrzucone, groziły podobném następstwem nie zaradzając mu wcale, bo były prowincyonalnemi sądami; szło o utworzenie jednego sądu na kraj cały, i takim był Sąd Kassacyjny i sąd ten, można śmiało powiedzieć, ma we Francyi trzy peryody: naprzód od roku 1738 zaczyna on decentralizacyę władzy królewskiéj, i jest magistraturą najwyższą do rozpatrywania sporów między różnemi feudalnemi sądownictwami; po ustanowieniu kodeksu jest władzą centralizującą sądownictwo w duchu konsulatu ale ma tylko potęgę ujemną kassowania bez stanowienia czegoś, i odgrywa podobną rolę, jak departament sprawiedliwości w naszéj Radzie Nieustającéj, [3]) bo objaśnia prawo, ale go sam nie stanowi, ani spraw sam nie sądzi; sądy mogły iść lub nie za jego objaśnieniem, gdy teraz za Napoleona III wyroki jego są obowiązującą normą dla sądów, których wyroki [4]) po trzeci raz kassuje.

U nas kodeks francuzki był obcą nie krajową ustawą, chociaż się bardzo prędko zpokrewnił, zrosł z nami, bo miał w sobie mnóstwo pierwiastków sympatycznych i dawno

[3]) Departament Rady Nieustającéj wyroków nie kassował, więc na pierwszy rzut oka nie podobne są te dwie instytucye; kto jednak bliżéj je pozna, dopatrzy rysów familijnego podobieństwa.

[4]) Prawo z dnia 1 Kwietnia 1837 roku.

1) Lorsque, après la cassation d'un premier arrêt ou jugement rendu en dernier ressort le deuxieme arrêt ou jugement rendu dans la même affaire, entre les mêmes parties, procédant en la même qualité, sera attaqué par les mêmes moyens que le premier, la cour de cassation prononcera, toutes les chambraes réunies.

2) Si le deuxieme arrêt ou jugement est cassé par les mêmes motifs que le premier, la cour royale ou le tribunal auquel l'affaire est renvoyée se conformera à la décision de la cour de cassation sur le point de droit jugé par cette cour.

już nam znanych; ale gdy u nas historya jego nie żyła nigdy w narodzie, przeto nie mogła wpływać szkodliwie na jego interpretacyę; kodeks tu nie staczał walk z dawnym nałogiem, któregoby ślady w tekscie prawa zachowane, otwierały wrota do mylnéj wykładni; Sąd Kassacyjny u nas nie potrzebował walczyć, ale tylko uczyć, i dla tego gdy uczeń był krnąbrnym lub niepojętnym, wykładał mu ten nauczyciel prawo pod powagą *deklaracyi* książęcéj. We Francyi Sąd Kassacyjny gdyby miał sprawy *in merito* sądzić, nie podołałby nigdy podobnemu zadaniu; Sąd ten ograniczył się więc na kwestyach prawnych, pod względem pojmowania litery prawa i spełniania form prawem przepisanych; Sąd ten gdyby i co do tego ostatecznie wyrokował, nie odpowiedziałby swojemu posłannictwu, bo sprawy przezeń osądzone, nie wracając już więcéj do sądów, które źle sądziły, nie wywołałyby nowych dyskussyi, nowych punktów patrzenia na prawo, nie wyrwałyby prowincyonalnych sądów z zaskorupienia starych nałogów; wreszcie Sąd Kassacyjny gdyby stanowczo sądził, przez jednostajną wykładnią prawa nabywałby atrybucyi prawodawczéj gdyż trzymając się pewnéj tradycyi, i podobne sprawy podobnie zawsze oceniając, w miejsce prawa podkładałby utartą przez siebie wykładnię, a takiéj władzy niby prawodawczéj choćby w najmniejszéj cząstce nie chciały mu udzielić ani izby republikanckie, ani potém dbały o swe atrybucye i zazdrośny ich Napoleon I. Zresztą we Francyi ciała sądowe odgrywały rolę polityczną, dla któréj nie ufać im musiały nowe po rewolucyach rodzące się władze, czego w naszéj historyi nigdy nie było; a więc z tego wywodu zdawałoby się że jesteśmy zdania, że Sąd Kassacyjny w wyjątkowém położeniu Francyi, był odpowiednią okolicznościom instytucyą, ale u nas próżnym narzutem; u nas nie trzeba było nowéj centralizacyi sądów, bo Sąd Appellacyjny nie był władzą prowincyonalną ale centralną, jedną na cały kraj; u nas gdy nie potrzeba było centralizować, nie potzeba było również walczyć, bo to co we Francyi, gdzie się kodeks rodził, obudzało stare wspomnienia i wywoływało spory, u nas

jako między obcemi prześlizgało się obojętnie, a więc u nas Sąd Kassacyjny miał tylko uczyć. Ale na nierozległe Księztwo Warszawskie były aż dwa inne źródła nauki prawa: uniwersytet w Krakowie i szkoła prawa w Warszawie, na stopniu wydziału uniwersyteckiego Prawa i Administracyi, za nim potém wiekopomnéj pamięci Aleksander I założył uniwersytet w Warszawie; a więc skończyło się u nas posłannictwo Sądu Kassacyjnego i wkrótce też w miejsce jego nastał Sąd Najwyższéj Instancyi; ten sądził sprawy *in merito* i od jego wyroków nie było już nigdzie wyżéj odwołania się. Na pierwszy rzut oka, cóż to jest kassacya, jeżeli nie jeszcze jedna instancya. Prawo francuzkie zna *dwie* instancye, kassacya jest nie jako *trzecią nadzwyczajną* instancyą; po zaprowadzeniu Sądu Najwyższéj Instancyi, prawo nasze zna *trzy* instancye, a Sąd Najwyższéj Instancyi jest *trzecią* zwyczajną instancyą; czemże jest rzeczywiście kassacya, jeżeli, nie namnożeniem tylu instancyi, *ile ich* do téj chwili potrzeba, aż Sąd Kassacyjny nie może więcéj kassować wyroków, — a teraz aż sądy muszą uledz wyrokom Sądu Kassacyjnego; czyż nie lepiéj że sąd jakiś wyższy kassuje, i zaraz *in merito* stanowi, zapobiegając przez to próżnéj przewłoce i pieniactwu? O, żadna instancya nie zastąpi nigdy instytucyi Sądu Kassacyjnego, tu Najwyższy Trybunał krytykuje i kassuje wyroki niższych sądów, ale i jego wyroki ulegają rozpatrzeniu niższych sądów; oto główna różnica między instancyami a kassacyą. Ale kassacya zreorganizowana, z *deklaracyą* książęcą, lub *z mocą obowiązującą* dla sądów niższych, to śmierć kassacyi, to zmienienie jéj na pewien rodzaj instancyi, to przerodzenie téj instytucyi, która odgrywa rolę żurnalistyki w dziedzinie prawodawstwa, to przerodzenie gminy wspólnowładnéj na cóś hierarchicznego. Ale czyż z podobnych pobudek wychodzi pan Hajlman? On skamieniał w utworzonéj przez siebie idei jakiegoś bezstronnego sądu; on co do innych punktów jest zupełnie zadowolonym z porządku teraźniejszego, on nie powiada, że pragnie sądu kassacyjnego, on tylko chciałby znaleść w owéj kolizyi przez siebie urojo-

néj między Sądem Appellacyjnym a IX Departamentem Rządzącego Senatu jakiego bezstronnego sędzię, *choćby nim miało być* Ogólne Zebranie Senatu. Zwyczajem swoim zamiast badać także na gruncie rossyjsko-historycznym ustawę senacką, gdzieby się był ciekawych rzeczy o znaczeniu Ogólnych Zebrań dowiedział, on sobie ową *analogię* uformował na podstawie prawodawstwa francuzkiego, bez poruszenia kwestyi o rossyjskich Senatach; my więc go wyręczając powiemy mu, że choćby mógł cośkolwiek znaleść na poparcie swoich projektów w ustawach o Senacie i o Ogólnych jego Zebraniach dla innych Departamentów Senatu wydanych, to właśnie w ustawie dla Warszawskich Departamentów rzecz ta zupełnie inaczéj i odrębnie jest urządzona, wręcz przeciwnie jego rojeniom, a mianowicie, artykuł 61 téj ustawy jest téj osnowy: *przepis artykułu 3 ukazu Najwyższego z dnia* $^6/_{18}$ *Września 1841 roku stanowiący, że od wyroków IX Departamentu żadne odwołania się nie mają miejsca, rozciągniętym zostaje i do wyroków wydziałów tegoż Departamentu; tak jedne, jak i drugie nie ulegają żadnemu dalszemu rozpoznaniu.*

Ogólne Zebranie w Warszawie nigdy jako instancya nie sądzi spraw cywilnych; nie należą również doń spory jurisdykcyjne między sądami cywilnemi a kryminalnemi, bo te stosownie do artykułu 57 ustawy senackiéj, rozstrzygają, łącznie jeden wydział IX Departamentu Rządzącego Senatu z jednym wydziałem X Departamentu Rządzącego Senatu, spory o właściwość sądu w dziedzinie samego sądownictwa cywilnego; w myśl artykułu 37 sam wydział IX w zwykłym komplecie rozstrzyga, a sporów o ostateczność wyroków Sądu Appellacyjnego, chociaż pan Hajlman chce je wynosić aż przed Ogólne Zebranie Senatu, prawodawca nawet nie zamieścił w artykule 56, którym sprawy z restytucyi i oppozycyi trzeciego i t. d. poleca sądzić, na posiedzeniach całego składu IX Departamentu Rządzącego Senatu. Tak, o ile mi sił starczyło, wykazawszy, że owa *analogia* pana Hajlmana nie koniecznie jest *prostą*, samą przez się nastręczającą się; wypada nam jeszcze rozebrać sposób w jaki on radzi przy-

chodzić takim sprawom przed Ogólne Zebranie Senatu. Pan Hajlman mówi, że należy odwoływać się do Ogólnego Zebrania Rządzącego Senatu, od wyroków już ostatecznych rzecz stanowczo *in merito* rozstrzygających, drogą sporu jurisdykcyjnego. Wszakżeż, bez założenia sporu jurisdykcyjnego, nie ma sporu jurisdykcyjnego, a po skończeniu sprawy jakżeż go zakładać można; wszakżeż we Francyi dotąd i u nas do téj chwili czy to była Rada Stanu, czy Ogólne Zebranie Senatu interpretacyą ciągle w jednym duchu prowadzoną poczytywały za powiedzenie sporu jurisdykcyjnego, za ekscepcyę niewłaściwości fori *ratione materiæ*, która potąd wnoszoną być może, póki w sprawie jeszcze cośkolwiek do działania na niewłaściwéj drodze pozostaje; ale gdy wyrok ostateczny *in merito* zapadnie, to już i spór jurisdykcyjny nie ma miejsca, i dla tego też nieraz wyroki Rady Stanu i Ogólnego Zebrania Senatu w motywach swoich powtarzały tę zasadę, że spór jurisdykcyjny nie jest właściwym środkiem, do obalania ostatecznych *in merito* wyroków, ale do sprowadzenia sprawy w ciągu jéj trwania na właściwą drogę. Ta zasada gruntowna tam, gdzie jest sąd kassacyjny do obalania wyroków przez niewłaściwe sądy wydanych, zasada gruntowna tam, gdzie nie ma sądu kassacyjnego w sprawach cywilnych, w których *pacta dant leges contrahentibus*, ale nie wiem czy właściwa tam, gdzie idzie o porządek ogólny, jak np. w jednéj sprawie znanéj panu Hajlmanowi, gdzie konsystorz ewangelicki, w sprawie o rozwód między katoliczką i protestantem, pomimo że ślub był brany w obu kościołach, w brew prawu z 1836 roku na téj zasadzie wyrokował i dał rozwód, że kościół katolicki nie mógł rozpoznawać téj sprawy, *bo żądanie było wnoszone o rozwód, a kościół katolicki nie zna rozwodu.* Dyrektor główny Komisyi Rządowéj Sprawiedliwości, wyniósł spór jurysdykcyjny przeciw temu wyrokowi, który to spór odrzuconym został z tego powodu, że on nie jest środkiem do obalania wyroków sprawę już stanowczo *in merito* rozstrzygających; zaczém poszło, że gdy nie ma u nas innego środka do obalenia podobnego wyroku, protestant rozwiedziony mógł się ożenić

powtórnie i istotnie ożenił się, a żona jego w obliczu kościoła katolickiego, a zatém i prawa z 1836 roku, jest dotąd jego żoną. Obok więc zasady przyjętéj we Francyi, że wyroki ostateczne nie ulegają zniesieniu, przez spór jurisdykcyjny, ale tylko przez wyrok Sądu Kassacyjnego (wyjąwszy nader rzadkie wypadki gdzie idzie o akta dyplomatyczne lub tendencyę polityczną mające na celu, a wynikające od naczelnie sterującéj władzy), obok utartéj u nas praktyki, która przeciw wyrokom sprawę ostatecznie roztrzygającym, już sporu jurisdykcyjnego, jako środka modyfikowania lub obalania takich wyroków nie przyjmuje, pan Hajlman występuje jako z najlepszym środkiem, nastręczonym mu przez *szczęśliwą analogię,* z projektem sporu jurisdykcyjnego, mającego być właśnie wnoszonym przeciw wyrokom sprawy ostatecznie *in merito* już rozstrzygającym. I któżby miał ów spór zapowiadać? Czyż IX Departament Rządzącego Senatu w każdéj sprawie, w któréjby uważał, że do niego należeć powinno sądzenie sprawy ostateczne, zapowiadałby wcale oryginalny spór jurisdykcyjny Sądowi Appellacyjnemu, że Sąd Appellacyjny sprawę nietylko może, ale powinien sądzić, byleby jéj tylko nie sądził mocą ostatniéj instancyi; czyliż znowu Sąd Appellacyjny zapowiadać będzie IX Departamentowi spór jurisdykcyjny, gdy ten zabierać się będzie do sądzenia sprawy pod względem ostateczności jego wyroków; ale te dwa sądy nie są sobie równe, i niższy wyższemu bez naruszenia zasad podwładności nie mógłby zakładać sporu jurisdykcyjnego. Czyż dyrektor główny prezydujący w Kommissyi Rządowéj Sprawiedliwości zakładać będzie te spory u sądów pod swym nadzorem będących, aby je potém wynieść z obu stron przed Ogólne Zebranie Senatu. Nie,—cała ta rozprawa i jéj tytuł jest jakiémś nieszczęśliwém *qui pro quo*; zamiast wprost powiedzieć, że zdaniem pana Hajlmana jest, iżby w miejscu IX Departamentu Rządzącego Senatu Ogólne Zebranie Rządzącego Senatu sądziło odwołania się od wyroków Sądu Appellacyjnego co do ich ostateczności, pan Hajlman wpadłszy raz na nieszczęśliwy tor sporu jurisdykcyjnego, co raz się bardziéj na téj drodze błąka, pokazując zu-

pełną nieznajomość prawa administracyjnego, i w co raz większe brnie zawiłości. Tak przeszedłszy rzecz o sporach jurisdykcyjnych na drodze zwykłego sądownictwa cywilnego, rozbierzmy tamże zamieszczone uwagi Pana Hajlmana nad *postanowieniem z dnia 6 Marca 1842 roku o sposobie zanoszenia i rozpoznawania kary na wyroki mocą ostatniéj instancyi dotąd wydawane.*[5]) Stósownie do téj ustawy prawo ma wzgląd już na ilość instancyi, których więcéj jak *trzy* nie dopuszcza, już na rodzaj dowodów, któremi sprawa ma być popartą, już na wartość przedmiotu. Wydziały sporne już żadnych wyroków w ostatniéj instancyi wydawać nie mają, a trybunały mają rozstrzygać ostatecznie wszystkie sprawy od sądów spornych do nich przychodzące, z wyjątkiem spraw possessoryjnych, i spraw w artykule 3 Pr. C. F. wymienionych, gdy wartość przedmiotu co do tych ostatnich, 240 rs. przenosi, w których to sprawach wyjątkowych sąd np. ma sądzić mocą ostatniéj instancyi.

Od wyroków zaś wszystkich wydawanych w I instancyi przez trybunały cywilne i sądy handlowe, stósownie do art. 4 P. O. S. Z. służy odwołanie się do Sądu Appellacyjnego, który w sprawach w przedmiocie 600 rs. nie przenoszących, jako i w sprawach o nieruchomości nie więcéj nad 30 rs. rocznie dochodu przynoszące ma sądzić w ostatniéj instancyi, bez możności odwołania się do Senatu (czyż także zdaniem pana Hajlmana do Ogóln. Zebr. Sen. Porównaj także w artykule 71 wyraz *Senat*), wszelkie zaś inne sprawy sądzić będzie mocą drugiéj instancyi. Tu naprzód p. Hajlman dziwi się, dla czego np. Sąd Appellacyjny ma sądzić w sprawach possessoryjnych ostatecznie, gdy one mogą przenosić wartość 600 rs., ale co do tego przeważyła zasada nie wartości ale niedopuszczenia czwartéj instancyi. Daléj pyta się pan Hajlman, czy od decyzyi hypotecznych można się odwoływać do Senatu, mimo art. 29 prawa z r. 1818; my uważając, że podług jakiéjkolwiek szkoły lub teoryi prawo późniejsze, o ile jest

[5]) Cytując artykuły téj ustawy, któréj tytuł tak długi, będziemy tylko używać liter P. O. S. Z.

sprzecznem z dawniejszém, prawo dawniejsze uchyla, a jeszcze opierając się na powadze takiéj, jaką jest pod tym względem Walenty Dutkiewicz, śmiało powiemy, że odwołanie się od decyzyi hypotecznych, gdy temu przypis art. 2 P. O. S. Z. na przeszkodzie nie stoi, i gdy wysokość przedmiotu tego dozwala, mogą mieć miejsce. Daléj pan Hajlmann mówi: „*po uchyleniu przez ustawę senacką możności skarżenia wyroków ostatecznych, wszelkie wyroki ostateczne, a tém samém i wyroki względem rehabilitacyi i adopcyi tym większą i uroczystszą mocą są otoczone.*“ Rozbierzmy, co to ma znaczyć?? Czyż wyroki ostateczne Sądu Appellacyjnego pod względem ich ostateczności nie ulegają rozpoznaniu *Senatu?* nawet zdaniem samego pana Hajlmana, ale czyż wyroki właściwie nawet przez Sąd Appellacyjny w ostatniéj instancyi wydane, nie mogą być zaskarżane, jak dawniéj, w drodze restytucyi lub opozycyi trzeciego, w myśl art. 474 Pr. C. F. Wszakżeż ustawa senacka nietylko téj drogi nie znosi, ale ją artykułem 56 wyraźnie otwiera przeciwko nawet wyrokom IX Departamentu Rządzącego Senatu, chociaż im ustawa z d. $^6/_{18}$ Września 1841 r. i art. 61 ustawy senackiéj, ostateczność przyznają, nie poddając ich żadnemu dalszemu rozpoznaniu. A tu pan Hajlman, właśnie na zasadzie ustawy, która ani słowa pod tym względem nie mówi o Sądzie Appellacyjnym, twierdzi, że żadne środki, w skutek ustawy senackiéj, przeciw ostatecznym wyrokom Sądu Appellacyjnego nie służą, i ztąd wnosi: „że *wyrocznia* Sądu Appellacyjnego! (jak się sam wyraża) w sprawach adopcyjnych jest niewzruszalna; ale w swych wywodach jest on tu prawdziwie tak ciemnym jak *wyrocznia*, i w miejsce przytaczania dowodów, woła: „wyrocznia homologacyjna Sądu Appellacyjnego rescriptum principis lub uchwałę najwyższéj prawodawczéj władzy zastępująca, staje się niewzruszalną na zawsze prawdą, podobnież jak niewzruszalne są wyroki najwyższych instancyi sądowych, gdy pomimo błędów, któreby się w nich (tak) wcisnąć mogły, in toto orbe terrarum res judicata pro veritate accipi decet.“ A błąd czyż nie jest otworem do restytucyi, właśnie jedynie przeciwko wyrokom ostatecznym zanoszącéj się?

a sądzenie sprawy bez przypozwania strony, któréj ona dotycze, czyż nie otwiera drogi do działania, na mocy art. 474 Pr. C. Fr. przeciw nawet wyrokom ostatecznym? Sam nawet princeps inaczéj patrzy na wyroki adopcyjne, bo w kilku przywilejach, które widziałem a któremi szlachectwo na adoptowanego było rozciągnione, pomimo złożenia wyroku adopcyjnego Sądu Appellacyjnego, z poświadczeniem o zrobieniu zeń stósownéj wzmianki w aktach urodzenia, zastrzeżono, że o tyle tylko prawo szlachectwa na adoptowanego przechodzi, o ile sama adopcya na drodze prawa cywilnego jest ważną i niewzruszalną. Pan Hajlman, po wypowiedzianym wyżéj wzniosłym epizodzie o niewzruszalności wyroków prawomocnych, nie rozbiera nawet tego pytania, czy wyroki w przedmiocie adopcyi i rehabilitacyi zapadłe, mogłyby ulegać rozpoznaniu IX Departamentu Rządzącego Senatu, a właśnie jeżeli jaka kwestya, toby tylko ta do obecnéj rozprawy należeć mogła. Ale pan Hajlman mówi wciąż o opozycyi trzeciego z art. 474 Pr. C. Fr., któréj dopuścić przeciw tym wyrokom nie chce, a ciekawe jednak było tu pole do wnioskowań, o ile ogólne przepisy o ostateczności wyroków mogły zmienić wyjątkowe rozporządzenia pod względem procedury, kodexem cywilnym i handlowym objęte, a to tém więcéj, że prawo sejmowe o adopcyi już było uchwaloném u nas po utworzeniu Sądu Najwyższéj Instancyi, w któréj prawa wszedł teraz IX Departament Rządzącego Senatu. Nie będę tutaj podejmował kwestyi, o ile *rehabilitacya* jest różną w skutkach swoich, względem osób trzecich, od *adopcyi*, bo ich żadnych względem trzecich nie ma; gdy tym czasem *adopcya*, jakże ważne dla trzecich pociąga za sobą następstwa; nie będę tego wszystkiego przechodził, bo i pan Hajlman tego nie rozbiera, a ja tylko trop w trop za nim idę; nie będę ruszał kwestyi, o ile wyrok Sądu Appellacyjnego, zatwierdzający adopcyę, jako *niemotywowany*, a przecież nie *dyskrecyonalny*, jest właściwie wyrokiem; o ile wstępny przed adopcyą przez wstępnego dokonaną urodzony, przeciwko téj adopcyi i na jakiéj drodze występować może; czy i o ile krewni, mający sobie przyznaną legitymę, dzia-

łać mogą przeciw przysposobieniu dziecka naturalnego, i o ile takie przysposobienie miejsce mieć może, boby to było przedmiotem do obszernéj rozprawy a nie pobieżnym rzutem oka na pobieżną także rozprawkę, ale powiem, że jest zasada i w sprawach o adopcyę i w sprawach o rehabitacyę[6]) udawać się od wyroków Sądu Appellacyjnego do IX Departamentu Rządzącego Senatu, który tę kwestyę, raz jako *prawną quaestionem juris*, to znowu adopcyjną, jako przez trybunał tylko i Sąd Appellacyjny, a rehabilitacyjną, jako przez sam tylko Sąd Appellacyjny, sądzoną, zgłębić winien i wyrzec, o ile odwołania takie byłyby uzasadnione, i ile podobna droga jest właściwą a taka interpretacya, pod powagą najwyższéj w kraju magistratury sądowéj wydana, byłaby bardzo ciekawą i pożądaną. Wreszcie pan Hajlman rozbierając artykuł 3 P. O. S. Z. a mianowicie przepis, że Sąd Appellacyjny co do spraw w *przedmiocie* 600 rś. i t. d. *nieprzenoszących*, ma sądzić w ostatniéj instancyi, pyta się jak ten przepis rozumieć, i jakoby opierając się na organizacyi francuzkiéj twierdzi, że ilość wyżéj oznaczona 600 rs. odnosi się do summy głównie żądanéj, bez wzgledu na zaległe procenta i inne dodatkowe roszczenia, choćby tę summę główną znacznie przechodziły i użala się, że się w praktyce inaczéj dzieje“, przez co służąca Sądowi Appellacyjnemu możność wyrokowania ostatecznie aż do summy 600 rs. staje się *płynną* i zależy od samego Sądu Appellacyjnego, który mniéj lub więcéj zasądzając, wyrok swój ostatecznym, lub w drugiéj tylko instancyi zapadłym czynić może; podług procedury rossyjskiéj, a mianowicie art. 501 *wartość processu pod względem instancyonalnym oznacza się ilością żądaną w pierwotnéj skardze; jeżeli idzie o nieruchomość, to ceną nieruchomości* (o ile ta jest bezsporną), *a jeżeli rzecz idzie o należność pieniężną, to summą wyrównywającą kapitałowi*; *jeżeli zaś dochodzi się i procentów, to summą wy-*

[6]) Patrz ostatni ustęp art. 5 P. O. S. Z. *Sąd Appellacyjny wszelkie inne sprawy sądzić będzie mocą drugiéj instancyi.*

równywającą kapitałowi wraz z procentami, a gdy przepisy co do wartości przedmiotu z wpływem na instancyonalność, prawie żywcem z prawa rossyjskiego przeniesione są do P. O. S. Z. to mojém zdaniem jest, że nie ilość zasądzająca się, ale ilość żądana lub wartość nieruchomości oszacowanéj podług dochodu z niéj ciągnionego, powinna służyć za zasadę do orzekania w ostatniéj lub nieostatniéj instancyi, bez względu, czy idzie o sam kapitał, czy wraz z procentami i innemi należnościami, bo gdy prawo samo nie robi ścieśnień, to niech ich sędzia nie czyni.

Tak rozebrawszy rozprawkę pana Hajlmana nie pozostaje mi jak tylko wynurzyć żal mój, że tak mało polemika prawna jest u nas rozwinięta, a czego nieszczęśliwych skutków i w téj rozprawce dopatrujemy. W istocie, prócz kilku starć się między Walentym Dutkiewiczem, Cypryanem Zaborowskim i Augustynem Hajlmanem, teraz dopiero pan Stanisław Budzyński wystąpił na pole szermierki, a ja nieśmiało za jego śladem pospieszam, a zresztą cisza zupełna panuje, a imiona te, które naprzód powołałem, należą do ludzi, na polu zasług osiwiałych, znanych już dobrze w literaturze (Temis polska, Prawo hypoteczne i t. d.), a którzy jeszcze dotąd, gorliwością swoją i znajomością rzeczy, berło na tym polu trzymają. A gdy w około na świecie starcy z pola schodzą, by ustępować młodzieży, młodzież siwieje, by na jéj miejscu réj wodziły dzisiejsze dzieci, i tym tylko sposobem społeczność jest wciąż młodą i nieśmiertelną, to u nas zabiera się na śmierć *nauki prawa*. Wprawdzie, starcy jeszcze z gorliwością, do któréj nawykli za *lepszych czasów nauki*, ostrzeliwają to pole, na którém niegdyś laury zbierali, a młodzież chowa się czy śpi gdzieś po kątach. Ta apatya nawet na owych wytrwałych weteranów oddziaływa. Jeden z nich od pewnego czasu sam prawie pisząc artykuły w Bibliotece Warszawskiéj, dotąd jedynym pismie czasowém, które tego rodzaju prace przyjmowało, przeświadczony, że jest fenixem w dziedzinie nauki prawa, i że sam na barkach swoich dźwiga cały ciężar téj tak trudnéj umiejętności, zasnuwał się w kokon

coraz grubszy uwielbienia dla siebie, i zaczął oddawna prząść mrzonki coraz więcéj od realności oderwane, które *per fas et nefas* podpierał literą obowiązującego prawa. A przecież mąż ten powszechnie dla zacności swéj szanowany, kiedyś znakomity pisarz prawny, gdyby go prasa ciągle z jego *fantasmagoryi* budziła, poszedłby i dziś jeszcze zapewne, inną właściwszą drogą, a mianowicie zrzekłby się przeciwnego literze prawa komentatorstwa, i wybrałby lub tworzenie teoryi, lub drogę interpretacyjną, ściśle zastosowaną do litery prawa. Ale wada wyżéj określona jest dziś niejako w powietrzu, a wiatrem nanoszącym ten mijazmat jest może owa prawodawczość epoki, którą każdy owiany przestaje być często interpretatorem, rojąc i mieszając z obowiązującą literą przepisy marzonego dopiero przez siebie prawodawstwa. O jakżeby było ważném założenie *pisma peryodycznego wyłącznie prawu poświęconego*, któreby obok rozprawek teoretycznéj treści i obznajmiania z ruchem prawodawczym i prawniczym w Europie, głównie przegląd wyroków krajowych obejmowało.[7]) Na téj drodze wykształciłby się krajowy komentarz, komentarz nader ważny obok instytucyi najwyższéj instancyi w miejsce sądu kasacyjnego na czele sądownictwa stojącéj; komentarz podobny powinienby być celem zabiegów w myśl art. 17 Ustawy Senackiéj dyrektora prezydującego w Komissyi Rządowéj Sprawiedliwości, bo komentarz taki, w rzecz bliżéj wszedłszy, nie tylko by objaśniał ale niemal dopełniał obowiązujące prawo, bo dziś obok tajemnicy, jaką pokryta u nas wykładnia prawa przez sądy wykonywana, sama znajomość litery prawa jest dla ogółu niedostateczną, tém więcéj, że w sądownictwie u nas równie jak wszędzie i w każdéj instytucyi trwałéj, panuje

[7]) Mamy tylko dotąd ogłaszane drukiem wyroki Ogólnego Zebrania Senatu w sporach jurisdykcyjnych. Bogaty ten materyał od dawna oczekuje na rękę, któraby go uporządkowała, i pod formą komentarza, przedstawiła do użytku ogólnego. Komentarz ten byłby pożądanym i dla władz sądzących, i dla stron spór wiodących, i może wiele spraw, w miejsce wychodzenia przed O. Z. S. kończyłoby się na drodze sądowéj, przez dobre ocenianie, z pomocą takiego komentarza, excepcyi niewłaściwości fori.

pewna rutyna, która nie rozjaśniona nauką, mogłaby się zwać słusznie nałogiem. Ale ktoś może zarzucić: „przecież u nas są audyencye publiczne;“ prawda, dzień po dniu sądzą sądy, dzień po dniu zapadają wyroki, które po ich publikacyi przebrzmiawszy w uszach przytomnych, nie zapisują się w księgę nauki, ale idą w ręce komornika, a gdy ludzie tém się różnią od zwierząt, że pokolenie jedno przekazuje drugiemu swoje zdobycze na polu nauk i cywilizacyi, to co do życia naszego prawnego, wahałbym się powiedzieć, czy jesteśmy ludźmi, tak wczoraj ma mało wpływu na dziś i jutro.

Ale kończąc ten artykuł niech mi wolno będzie wytłómaczyć się z natarczywości, może mniéj przyzwoitéj, z jaką walczyłem przeciw panu Hajlmanowi; usilność ta w zbijaniu jego twierdzeń pochodziła z głębokiego szacunku, jaki sam osobiście i cała publiczność ma dla niego; cacka się tylko na bok rzucają ale bożyszcza trzeba koniecznie kruszyć.

Pisałem w Warszawie, dnia 10 Sierpnia 1859.

K. M........

KILKA UWAG

O

LISTACH Z KRAKOWA J. KREMERA.

Trzynaście lat temu, p. Kremer ogłosił był tom pierwszy swoich Listów z Krakowa; ciągle obiecywano nam od tego czasu ciąg dalszy dzieła, aż nareszcie p. Zawadzki nabywszy je, wydaje na nowo tom pierwszy, wraz z drugim i trzecim. Co mamy robić z pierwszym tomem wydania krakowskiego? Warto, by nam objaśnił to p. Zawadzki, a to tém bardziéj, że już nie żartem skarżymy się na Wilno o to, że jego księgarze dają nam ustawicznie wydania defektowe. Mieliśmy tom pierwszy, potrzeba nam było dać tom drugi i następne; po co mamy nabywać to, co już jest? Na tomie pierwszym Listów z Krakowa napisano, że jestto wydanie poprawione i pomnożone; w spisie rzeczy na końcu widzimy istotnie imiona Pola i Kaczkowskiego, ale w tekscie znajdujemy tylko wzmiankę o nich, zawartą w kilku wyrazach. W drugiém wydaniu Listów z Krakowa czytelnik chciałby zapewne znaleźć stosunek Kremera do Libelta, stosunek wyjaśniony przez autora występującego na nowo ze swą pracą po *umnictwie piękném;* tego nie ma, a to, zdaniem naszém, koniecznie być musiało, niepodobna bowiem, aby autor pó latach trzynastu, po takiém bujném rozwinięciu się nauki, jakie się dokonało u nas w ostatnich czasach, nie miał nic do powiedzienia nowego, nie miał nic do po-

prawienia, wzmocnienia lub rozszerzenia w wątku, w osnowie myśli swojéj, a ograniczał się jedynie wstawkami kilku imion, wzmianką tego lub innego dzieła, wzmianką, służącą tylko za przykład rozwiniętéj teoryi. My chcielibyśmy poznać postęp nauki, przekonać się z tego postępu o tém, że estetyka była ideą żywą; chcielibyśmy widzieć, jak się idea ta wypróbowała w ogniu pracy moralnéj, którą rozwijają dzieje nauki. Dla tego jeszcze p. Zawadzki popełnił anachronizm, wydając powtórnie tom I Listów z Krakowa, jako edycyę nową, poprawną i pomnożoną, a nie podając tylko prosto dalszego ciągu, przed laty kilkunastu rozpoczętéj pracy. Wszak p. Kremer mówi, że co się nie odmienia, co trwa ciągle w jednem, jest martwém i umarłém; bo i w historyi nauki lata nie miodem i mlekiem płyną, bo i ona, więcéj niż cokolwiek innego, nie jest sielanką; wszystkie umiejętności, mające w sobie zaród życia, w których niby krew płynie, przeobrażać się ciągle winny. Pierwszy syn pierwszego człowieka zabił brata, powiada p. Kremer i to już było początkiem dziejów. W nauce wojna idei nieustanna; jedna zabija drugą, a powstaje trzecia; czytelnik po Estetyce Libelta spodziewał się znaleźć jakąś palingeneryę — odrodzenie idei estetycznéj p. Kremera, jako wyższy stopień rozwoju nauki, tém bardziéj, że ta nauka obrabia się u nas, że wstąpiła na tor nowy, osobliwie żywotny, co każe nam oczekiwać od niéj czegoś ciekawego, nowego i stanowczego.

Lata coraz więcéj oddalają nas od wpływów obcych, niecierpliwie więc chcemy się dowiedzieć, co już wyrobiliśmy sami na tém polu naukowém, jak się u nas zaaklimatyzowała obca, zkądinąd przeszczepiona do nas nauka. W ostatnich latach tak wiele zaczęliśmy mówić o sobie, o swojéj samodzielności, o znaczeniu myśli słowiańskiéj w dziejach cywilizacyi, aż czytelnicy, nasłuchawszy się tego, zaciekawieni, ustawicznie pytają się o to: a co, a wiele już zrobiliśmy sami, czy daleko przetarliśmy nową drogę, gdzie już jesteśmy, w czém jest właściwie postęp przez nas dokonany, jakie są wyrobione przez nas naukowe dane?

Niemcy mają ten zwyczaj, że wykładając naukę, skreślają na początku dzieł swoich rys dziejów zagajonéj przez siebie umiejętności, wykazują zwyczajnie punkt na którym się ona zatrzymała i dokąd zmierza ona w ich własnéj książce; takiego poglądu spodziewaliśmy się i my od p. Kremera biorąc do rąk nową, przejrzaną i pomnożoną edycyę jego listów. Tego jednakże autor nie dokonał, a prawdziwie warto było rozpatrzyć się w około i objaśnić najprzód stanowisko estetyki, a następnie swoje własne stanowisko w tej nauce.

Ale dajmy pokój temu, czego autor nie dokonał, mówmy już raczéj o tém, co zrobił, co nam dał w dziele swojém, które obecnie mamy przed sobą. Na usprawiedliwienie tego, czego nie zrobił autor, dodajmy i to jeszcze, że cel jego jest ten, aby upopularyzować zasady estetyczne; pisze on przystępnie, swobodnie, często nadzwyczaj rozwlekle, opowiada z powodu jakiegoś twierdzenia powieści całe, ustawicznie podaje przykłady czerpane z natury, czasami przykłady te bywają nadzwyczaj poetyczne, naturalne, żywe i piękne, jak owo *np.* porównanie o topolach alei biskupiego pałacu (list IX); inne znowu za to przesadne w wyrażeniu, tém są nieprzyjemniejsze, że się zjawiają na nowo po trzynastu latach. Kiedyś styl podobny był w modzie, a to do tego stopnia nawet, że byli tacy, co przyklaskiwali Trentowskiemu, kiedy w Chowannie wyraził się był o człowieku, że jest on melonem na inspekcie ludzkości wyrosłym, a Bóg z naturą szli w wspaniałym polonezie przez długie galerye dziejów. Dziś, kiedy już trochę wytrzeźwiliśmy się z tego szału, należałoby pisać prościéj i skromniéj. Nigdzie tyle, jak w podobnego rodzaju stylu, nie jest tak blizkim ów przedział wątły, oddzielający wzniosłe od śmiesznego. Pan Kremer istotnie jest poetą, ale do poezyi potrzebném jest koniecznie *natchnienie*, które często opuszcza pisarza, a metafora na zimno, wcale jest potrawą niesmaczną. Zrobiliśmy tę uwagę dla tych tylko, co olśnieni podobnym stylem, sami siłą się na obrazowość, warjują bez końca i piszą ckliwe pseudokrytyczne artykuły,

ktore, w braku lepszych, bywają czasami umieszczane w pismach czasowych. Oh! od takich artykułów, jak od plagi egipskiéj zachowaj nas Panie!

Są to usterki formy; treść p. Kremera jest piękna, nauczająca, myśl jasna, wyłożona przystępnie; ogół poznał się na wartości tych listów i autor ich przez nie stał się drogim dla czytających; jak manny wyglądano od kilkunastu lat dalszego ciągu dzieła, a dziś rozchwytuje się ono chciwie. Istotnie jestto książka, która powinna być w każdym księgozbiorze; nauczy ona, oświeci myśl, rozgrzeje serce, oskrzydli i ukoloruje fantazyę młodzieńca swoim osobliwszym stylem, który ponieważ tak pociąga i pobudza do naśladownictwa bezdarnych, zwrócił tu na się mają osobliwą uwagę. Ale *nadużycie* nie znosi wcale *użycia;* ten styl jest własnością ducha Kremera; zwraca on na się uwagę z tego głównie powodu, że on jako malarz-artysta rozpatruje się w przyrodzeniu wszędzie, widzi w niém ukryte idee boże, a jako estetyk wykłada ich zasady; w dziele swojém zdaje się ustawicznie wychodzić z życia, z codziennéj praktyki, zdaje się z doświadczenia czerpać światło swoje, które oświeca jego teoryę i od téj teoryi na nowo powracać do faktów. Żywotność jest charakterem teoryi Kremera; myśl i fakt — życie wreszcie, w którem się one przejawiają w jedności organizmu — oto jest właściwość autora Listów z Krakowa.

Nie określił on siebie i swego stanowiska w nauce dla tego może, że zdało mu się, że praca jego sama za siebie przemawia. W dopisku do tomu drugiego (str. 402) zadał sobie autor to oto pytanie: czy praca jego rzeczywiście odpowiada stanowisku dzisiejszemu nauki? ale sam o tém, jak oświadcza, niemając żadnéj pewności, wiedząc tylko, że starał się wszelkiemi siłami dokonać tego, zostawił to sądowi czytelnika. Jednakże ponieważ sam autor wiedział to, że pisze nie dla uczonych, pytanie więc owo, równie jak i samo stanowisko swoje, powinien był jaśniéj określić w dziele.

Każdy z czytelników sądzi o płodzie literatury nado-

bnéj, albo każdy z widzów wydaje sąd swój o jakimś płodzie sztuki pięknéj, malarstwa, rzeźbiarstwa lub też architektury; sąd o nich wszystkich wydaje także estetyk. Jaka tedy różnica zachodzi pomiędzy zdaniem estetyka, a zdaniem prostego czytelnika, albo widza? Oto zapewne różnica ta, że sąd ostatniego będzie wyrozumowanym, opartym na zasadzie, będzie jedném słowem sądem świadomym siebie; zdanie zaś czytelnika, albo prostego widza będzie instynktowem tylko, będzie zdaniem, które nie da się objaśnić, nie potrafi się usprawiedliwić przed sobą samém. Estetyka jest nauką o zasadach, prawach, o naturze piękna jedném słowem; estetyka uczy, a przynajmniéj stara się nas nauczyć, rozumieć piękno. Jak to należy pojmować? Czy tak, że myśl nasza siłą poznania swego jaśnie obejmuje całą tajemnicę kunsztu i twórczości, że dochodzi powodu zachwytu naszego, téj rozkoszy moralnéj, jaką rodzi w nas widok wszelkiego dzieła pochodzącego z natchnienia, że nie pozostawia nic zagadkowego, tajemniczego w tym cudzie, który zawsze w czynie samym jest zagadką niezbadaną; czy tylko tak, że myśl nasza, zastanawiając się nad utworem ducha natchnionego, daje nam pewne dane, pozwalające nam w pewnéj części przynajmniéj odgadnąć prawdy tego silnego wrażenia, jakie on czyni na duszę naszą, zostawiając zawsze w samym akcie twórczości i spełnienia, wcieleniu jego jakiś pierwiastek mistyczny, którego myśl nigdy dociec nie będzie w stanie. Cuda sztuki, tak samo jak cuda natury, nigdy nie będą dostępne dla myśli naszéj w ich pierwszéj przyczynie, w tém czém są same w sobie; zaledwo dadzą się one zrozumieć w tém, czém są one dla nas. Racyonalizm i superracyonalizm musi być wszędzie, gdzie tylko wchodzi jako pierwiastek działawczy duch ludzkości, owa zagadka mistyczna, niedająca się obrachować arytmetycznie. Formuły filozofii idealizmu przedmiotowego niewiele tu pomogą, jakie *np.* występują w estetykach Hegla albo Libelta. Jak tedy patrzy na rzecz tę p. Kremer, autor Listów z Krakowa? Czy i on jest tego zdania, że estetyk cud twórczości artystycznéj może zamienić

na suchą formułkę filozoficzną? W takim razie znaczyłoby, że estetyka jest tylko *sztuką odczarowania*, która w pięknéj kobiecie pokazuje trupa przeznaczonego do dyssekcyi; człowiek taki nie mógłby mieć nic wspólnego z pięknėm, z natchnieniem, jak nie ma nic wspólnego z religią ów człowiek, coby cuda ewanieliczne chciał tłómaczyć za pośrednictwem filozofii, chemii, lub fizyki. Estetyk, wedle mnie, jest podobny fizykowi, który objaśnia fenomena i naturę elektryczności, nieprzyswajając sobie wcale saméj ich istoty, która w sobie wzięta, jest tajemniczą, niezbadaną potęgą.

W badaniach estetycznych są, i podobno mogą być tylko, dwie metody: *spekulacyjna* i *krytyczna;* krórej się tedy trzyma p. Kremer? Czy należy on do tych, których Goethe (w recenzyi na dzieła Zulzer'a) nazwał: die Herren Theorienschmiede, panami, kawalerami teoryi; czy też funduje się na badaniu sztuki, jak naturaliści budują swoją naukę na badaniu przyrody i takim sposobem usiłują odgadnąć prawa, których przestrzega ona w objawach swoich? W Niemczech estetyka oparta była na krytyce; Lessing, Herder, Winckelmann, Goethe byli przedstawicielami téj objektywnéj metody w sztuce; potém filozofia w osobie Szyllera, Szlegla i innych zaczęła wciągać do siebie estetykę; Hegel wziął ją przemocą do swego idealizmu objektywnego i odtąd każden filozof uważał za rzecz konieczną dawać jéj miejsce w swojéj spekulacyjnéj teoryi. J. Kremer, autor *Systematycznego wykładu filozofii* i K. Libelt autor *Umnictwa pięknego* opanowali ją takóż. Jakże miało być inaczéj, kiedy Hegel był *np.* tego przekonania, że *à priori* mógł był dójść nawet tego, jakiego wycięcia powinno było być pióro do pisania! W wykładzie systematycznym filozofii, p. Kremer nie pomieścił estetyki, odwołując się w tym względzie do dzieła p. Libelta; co się zaś tyczy, filozofii natury, to o niej tak się wyraził w przedmowie do tomu drugiego: „Filozofia natury, jeżeli nie ma być marzeniem, budującém naturę *à priori*, winna się opierać na doświadczeniu, na faktach podanych przez nauki przyrodzone.“ To wyznanie, co się dotycze natury, chętnie odnieślibyśmy do este-

tyki, chętnie powiedzielibyśmy także: „Estetyka, jeżeli nie ma być marzeniem, budującém naturę piękna *à priori*, powinna się opierać na doświadczeniu, na faktach podanych przez historyę sztuk pięknych, przez pomniki sztuki, nagromadzone od kilkudziesięciu wieków.“ Jakoż w Listach z Krakowa p. Kremer zdaje się iść zupełnie tą metodą; krytyka dzieł podaje mu materyał do wniosków, do uogólnień nauki estetycznéj; wszędzie on opiera się na faktach, z nich stara się wyrozumieć, o ile to być może, tajemnice sztuki. I istotnie tą tylko drogą można dójść do czegoś pewnego, dodatniego, *rzetelnego*. Tym sposobem w Listach z Krakowa znajdujemy wiele myśli pełnych, zdań trafnych, wniosków prawdziwych, dotyczących natury sztuki: autor doszedł do nich przypatrując się arcydziełom kunsztu i badając ich ukryte tajemnice, objawiające się w pojawach sztuki. Lubo autor oświadcza (str. 10), że pisać będzie, stojąc na stanowisku współczesnéj filozofii, używając myśli jéj zasadniczych za kanwę, jednakże sam przyznaje daléj, że prawidła spekulacyi czystéj, opierające się na abstrakcyjném rozumowaniu, z pomijaniem wzorów, nie mogą mieć w sobie nic rzetelnego; chociaż znowu dalej mówi, że tacy estetycy, filozofii spekulacyjnej hołdujący, stanowić mogą jedynie zasady ogólne, niewdające się wcale w szczegóły. Bo proszę, dodaje, jak tu z ogólnego rozumowania wywieść, ile aktów ma mieć tragedya? dla czego nie jeden tylko, dla czego nie sześć lub więcéj? albo jak ze samych pojęć rozumowych wskazać warunki doskonałego obrazu lub rzeźby? Nie przeczę, że rozumowanie takowe może być bardzo prawdziwe, ale do celu nie prowadzi, bo zastosowania nie ma. Takowe teorye estetyczne mogą dać ogólne i trafne nawet wyobrażenie, ale odstępują nas, skoro istotnie przyjdzie wykonać dzieła sztuki, wymagającéj koniecznie uprawy i nałożenia się, a przedewszystkiém wrodzonéj twórczéj potęgi. To zdanie autora jest słuszne, ale nikt już nie sądzi, aby była dziś jaka *ars poëtica*, aby można było z pomocą książki stać się prawdziwym poetą, malarzem, snycerzem, lub architektem. Tu było konieczną rze-

czą wyłożyć wcale co innego; oto należało pokazać, jakim sposobem możemy sądzić sztukę, badać ją, oceniać? Przyznając w ogólnych wyobrażeniach o sztuce prawo trafnego wyrokowania teoryom spekulacyjnych filozofów, należało pokazać, na jakiéj mianowicie zasadzie mogą oni tego dokonać, jak à priori mogą wysnuć teoryę piękna w ogólnych jéj zasadach? Mówiąc w liście VIII o stosunku sztuki do filozofii, autor nie wykazał stosunku estetyki, a zwłaszcza krytyki do filozofii; to tém było konieczniejszém, że w liście VI okazał, że uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki; uczucia są właściwie sądem w sprawach osobistych, więc nie mogą wydać zdania absolutnego o wartości przedmiotowéj utworu pięknego, mogą tylko określić ten stosunek, w jakim utwor zostaje względem nas, to jest jakie sprawił on na nas samych wrażenie. Wszystko to jest dobre, ale potrzeba było wykazać przyczynę, dla czego nie mamy nigdy tych *absolutnych* sądów estetycznych, dla czego indywidualizm zawsze musi być w każdém zdaniu krytyczném? I te ogólne teorye piękna, oparte na spekulacyi czystego umysłu, zmieniają się co chwila, pomimo że mają pretensye do absolutności swoich twierdzeń? Pan Kremer mówi o możliwości filozoficznéj teoryi piękna, rozwiniętéj z abstrakcyjnéj idei, pomimo to jednakże nie na spekulacyi, a na krytyce opiera swoje wywody, wszędzie ma przed sobą fakta, historyę sztuki; ona mu wypowiada prawdy filozoficzne, służące im za podstawę, jak fakta ugrupowane zjawisk natury odsłaniają badaczom przyrody ogólne zasady i prawa świata widomego. Więc p. Kremer nie chce się tylko przyznać do tego otwarcie, a metoda empiryczna, metoda Lessinga, Herdera, Winckelmana, Goethego, ludzi, którzy dokonali wiele w estetyce, służy mu za główny środek wydobycia w jaśnię zasad piękna, ukrytych w objawach, o ile to być może, bo głównym pierwiastkiem ducha twórczego jest natchnienie, czynnik niepoddający się pod żadne obrachowania. Tu, z utworami sztuki ma się to samo, co z utworami natury: najistotniej-

sza zasada zostaje dla nas pojawem—życie zawsze rzeczą zagadkową, dla tego w sztuce wiele pozostać musi dla uczucia, bo sztuka jest cudem. W sztuce więcéj jest przedmiotów nie dających się obliczyć i sformułować niż w naturze; przyroda jest już skończoną całością, sztuka zaś zmienia coraz swoje formy; uważana jako organizm jest ułamkiem, jak ludzkość, któréj ona jest wyrazem. Pan Kremer przyznaje, że estetyk-spekulator, z oderwanéj myśli nie jest w stanie wyprowadzić liczby aktów ludzkości; jestże on w stanie wyprowadzić te formy, te charaktery sztuki, jakie ona kiedyś jeszcze na się przybierze? Arystoteles nie przeczuł Szekspira, Witruwiusz nie podejrzywał tego charakteru przedziwnego, w jaki oblekła się architektura w wieki średnie, wyprowadzając na jaw tumy bazylik gotyckich. Wszystko, co pozostaje estetyce, jest uważać, wyrozumiewać i — o ile to być może — starać się zdać sobie i innym sprawę z tego, co postrzega. Smutno jest patrzeć na te zformułowane teorye piękna, w których wszystko zostało obrachowane, określone, zakończone, jak gdyby już świat dziś się miał skończyć i nic nie pozostało dla jutra. Podobne teorye estetyczne zmieniają się z dniem każdym, pozostaje tylko jedna estetyka historyczna, *dzieje sztuki.* To co p. Kremer, w przedmowie do II tomu filozofii swojéj wyrzekł o systemacie filozofii natury, to potrzeba powtórzyć o systematach spekulacyjnych estetyki. Autor Listów z Krakowa, chociaż przyznaje wiele podobnym teoryom, opuszcza je jednak z uwagi i przechodzi całkiem do wykładu teoryi sztuki metodą krytyczną. Ztąd dzieło jego pełne jest życia, interesu, ztąd prawdziwie jest korzystną i nauczającą książką. Nie ma tu żadnégo dogmatyzmu, i nawet tam gdzie należałoby porozumieć się z czytelnikiem o zasady, których się przytrzymuje, jest ciemny, bo napomyka tylko o estetyce spekulacyjnéj, któréj jako filozof nie może obrazić, ale daje jéj święty pokój i zajmuje się faktami. Jakkolwiekbądź brak ten jasnych zasad czuje się mocno, autor chce być czém inném niż jest w istocie, bo mieniąc się estetykiem-filozofem—często jest tylko rozumującym empi-

rykiem, naturalistą przypatrującym się nagromadzonym skutkom i dochodzącym ich znaczenia, przyrody i warunków bytu; szkoda że nie jest tém wszystkiém zawsze, bo podobna praktyczność, taki realizm w estetyce jest wielce pożądanym i koniecznym, jak w nauce naturalnéj, badającéj przyrodę piękna, objawioną w sztuce. Dodajemy, że i my sami, jak autor Listów, pod słowem natura rozumiemy raczéj prawdę duchową, a nie fizyczną, materyalną, fenomenalną, bo fenomen zawsze objawia coś ogólniejszego, *niż samego li tylko siebie.*

Wyłożywszy to co się powyżej rzekło, z przyjemnością wskazujemy na ustępy w tomie 1szym o stosunku natury do dzieł mistrza (L. IV), kiedy autor dowodzi, że artysta nie naśladuje przyrody, ale tworzy; o naturze twórczości mistrza nic tu jeszcze nie mamy, jest krótka wzmianka o natchnieniu; dopiero w tomie drugim Listów autor rozpisał się o tym przedmiocie. Więc o tém i my późniéj powiemy. Piękny jest List V o powołaniu zmysłów w sztuce traktujący; wszystko co tylko dobrego w tym względzie powiedzieli estetycy europejscy, autor wyłożył jaśnie, zwięźle, zrozumiale i po większéj części obrazowie w przykładzie. W Liście VI wykłada stosunek sztuki do uczuć; myśl nie jest pełną: należało wprzódy określić naturę natchnienia, twórczości, część mistyczną sztuki, opartą na czémś takiém, co się nie da objaśnić racyonalnie, formułą abstrakcyjną, na czémś takiém, co wiąże sympatycznie myśl poety z duszą widza lub czytelnika. Jeżeli nie będzie téj krytycznéj iskierki, tego wyższego, duchowego życia, nie będzie cudu, wiary, zachwytu: dzieło będzie zimne; będziemy je sądzić, ale nie będziemy podziwiać; będzie tu nas zajmowała zręczność kuglarza, a nie potęga ducha twórczego. Najdzielniejszym Listem tomu pierwszego jest bezwątpienia List IX o ideale traktujący; myśl jego jest ta: natura, jak też wszystkie stosunki towarzyskie, prawa, moralności, obyczaje i t. p. nie mogą być nieskończoności ducha wizerunkiem, i że nie mogą tedy żywcem być w sztukę przeniesionemi; postać, lubo

z rzeczywistości pożyczona, winna być uwolnioną od skazy doczesności wszelkiéj i z pyłu ułomności ziemskiéj, winna być przejrzaną ducha poświatą; bo rzeczywistość postawiona na wysokościach obłocznych sztuki, *już nie istnieje dla siebie, ale dla ducha;* jest tylko dla niego środkiem, aby on się szczegółowo wyjaśnił, bo każden przedmiot żyjący w świecie bądź natury, bądź społeczności, tysiąc stosunków i węzłów łączy z ogółem, z tą rzeczywistością, do któréj należy i dla tego téż on nosi na sobie cechę swéj istoty ułamkowéj; znać po nim, iż sam nie jest całością ale jedynie cząstką jakiejś całości, a ta to cecha jest piętnem doczesności jego. Skoro raz przedmiot ten będzie przeniesiony w świat sztuki, wtedy téż wskroś się przeobrazić musi, bo skoro on nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy; wszystko zaś inne jako już niemające wartości, z niego spada i ulatuje. Oto jak sztuka pojmuje ideał; warto aby to zrozumieli niektórzy nasi panowie, co się czasem wdają w pisanie krytyk; ci co widząc ciepłe życie, krew w figurach, co widząc indywidualność, myślą, że widzą w tém wszystkiém cechy jakiegoś daguerotypu, nie bacząc na to, że figura, któréj powodem była może jaka żywa osoba, w innych już warunkach ma byt swój w powieści, żyje nie dla siebie, a dla ducha, dla myśli, którą tu wyraża, żyje dla idei i ztąd jest ideałem, jednakże nie przestając dla tego być żywą, *realną* istotą z krwią, ciałem i kośćmi. W tomie drugim List XI traktuje o fantazyi, a List XII o natchnieniu i kompozycyi; są to najżywotniejsze kwestye sztuki, których brak w wielu miejscach czuć się dawał w tomie pierwszym Listów z Krakowa, jak to już zauważyliśmy wyżéj.

Na początku drugiego tomu autor położył napis: *dwanaście lat późniéj;* w wykładzie nie znać lat ubiegłych, nie ostygł zapał autora; metafory, figury, tropy sypią się jak z rękawa i nużą czytelnika; w tomie pierwszym była miara pewna w téj *poetyczności* wykładu, tu mniéj

istotnego zapału, więcéj nadętéj, wymuszonéj, drobiazgowéj frazeologii; wspominamy tu o tém, bo przykro widzieć, że wada urosła z wiekiem w pisarzu tak niepospolitym. Dla wyłożenia nam prawdy natchnienia, fantazyi, kompozycyi potrzeba nam było pióra psychologa, poglądu zimnego, potrzeba było głębokiego wpatrywania się w ducha, ogromnego zasobu doświadczenia własnego i obcego, bo tu fakta, nie przypuszczenia i komunały, główną rolę grać były powinny. Wyznać jednak należy, że te dwa Listy są najsłabszemi całego dzieła, chociaż na nich to powinien był oprzeć się cały system autora; bez nich nie pojmowaliśmy dotąd jego poglądu i wszędzie w tomie pierwszym wyglądaliśmy zdania autora w téj materyi. Autor cytuje tu wszędzie Estetykę Vischera. Wyznajemy, że wolelibyśmy spotkać się ze zdaniem w téj rzeczy samego autora, ze zdaniem wyrobionêm z doświadczenia, z faktów. Autor mówi najprzód o fantazyi (a raczéj o wyobraźni, co wcale nie jest jedno) właściwéj każdemu człowiekowi, a potém zadaje sobie samemu pytanie, czyli taka fantazya jest już całą fantazyą? Czyli to strojenie, milenie przedmiotów doczesnych jest dostateczném, by duch sam siebie w nich obaczył, czyli jednem słowem fantazya taka może utworzyć artystyczną piękność i czyli już nas czyni rzeczywiście mistrzem? Autor, swoim zwyczajem, na odpowiedź daje nam powiastkę o *upadłym aniele.*

My moglibyśmy powiedzieć autorowi Listów, jak szewczyk p. Jowialskiemu: „*ale powiedz mi prawdę, a nie bajkę,*“ tém bardziéj, że w jedném miejscu tomu drugiego sam autor Listów przyznaje, że nauka wymaga wykładu prostego, ścisłego, że posługuje się wcale inną mową niż poezya. Kiedy na inném miejscu p. Kremer, zamiast odpowiedzi na zagadnienie, powiada czytelnikowi: posłuchaj powieści o słowiku i róży, przypominamy sobie jak w ten sposób objaśniał nam Szubert rzecz swoją w Dziejach duszy. Ważną jest kwestya o twórczości; szkoda, że autor ją wykłada kwieciście, poetycznie; więcéj rzeczy, mniéj frazesów, dalekoby było lepiéj, bo by było krótko, a jaśnie. Główną myślą jest ta, że

„tworzenie się treści nie powinno się odbywać przed poczęciem formy i ciała dla téj treści; zatém, że pierwsze potrącenie twórczości mistrza nie powinno pójść od ducha jego, ale od zewnętrznego, rzeczywistego świata. Zjawiska tego świata same przez się już są formą, uwidomieniem pewnéj myśli i treści w nich zamkniętéj. Jeżeli więc te zjawiska uderzą mistrza, a staną się zarodem dzieła sztuki, już go natchną; on je uchwyci i jednéj chwili przeistoczy je po swojemu, da im treść i formę, a dzieło piękności urodzi się światu.“ „Duch mistrza patrzy się na świat, jako na własną wewnętrzną treść, rozłożoną w przestrzeni, a rodzącą się w czasie. Świat ten jest jakby uwidomioną symboliką własnego wnętrza artysty. Jeżeli przeto z tych tłumów zjawisk jeden przedmiot spotężnieje i uderzy fantazyę mistrza, już ją wstrząśnie do dna; odgłos uderzenia rozlegnie się po przybytkach duchowych, jakby grzmotne wołanie archanioła i z głębokiego snu przebudzi uśpioną w nim treść, właśnie temu przedmiotowi odpowiedną. Lecz ziemski przedmiot ten zarazem uchwycony przez wiekuiste potęgi ducha, zanurzony w jego tajnicach świętych, umiera śmiercią, a ogarniony żarem duchowych mocy, wypala z siebie co doczesne; tak przetopiony, przeistoczony fantazyą staje się promiennném ciałem owéj treści razem z nim poczętéj. Jestto przemienienie rzeczy skończonéj na dzieła duchowe piękności, co teraz na podziw ludziom występuje w świat.“ Myśl sama słuszna, ale jest już powtórzeniem tego, co autor (daleko lepiéj, bo króciéj i zwięźléj) powiedział był o ideale w tomie pierwszym Listów; tu już rzecz swoją rozwodnił. Ustawiczne powtarzanie i waryowanie jednego motywu jest wadą Listów z Krakowa, a wszystko pochodzi ze sposobu pisania, w którym autor mniéj zdaje się dba o treść, ile o wyrażenie jéj błyszczące. Zamiast przykładów mitologicznych, jakiemi są powieści o Psyche i Kupidonie, o Hermotymuszu, zamiast poetycznych bajek Wschodu *„o muszli biednéj i ziarnku piasku“* wolelibyśmy mieć praktyczne przykłady pełne żywotnéj treści, czerpane z korrespondencyi, pamiętników, rozmów, autobiografii mistrzów, jakiemi np. są korespondencye Goethego z Szyl-

lerem, z Zelterem i z innymi literatami i artystami; jego rozmowy i poufne wyznania pełne zdrowych, praktycznych uwag, oraz psychologicznych spostrzeżeń, poczerpniętych z własnéj duszy. Powieści Hofmanna „Serapionsbrüder“ to kurs praktycznéj estetyki; widzisz wszędzie fakta, gorące życiem ducha artysty, z którego wyszły; zapewne nauczą one więcéj niż np. komunał (Listy t. II, str. 61): „Gdy wybije godzina rodzenia, gdy gość nadziemski ma nawiedzieć *głębiny duchowe* mistrza a potęgą obcą, a przecież swoją posiąść całą istotę jego, już serce zadrży w sobie, jak gdyby mu ginąć przychodziło; trwogi mrowie przejmuje duszę, jakby się jéj na skonanie miało; lęki mrożą, gorączki palą. W *gałęziach liści* coś gada, w około coś szepce, to duch już kroczy. Zawiało jakoby tchnienie gwiazd. Niby wiatry wywrotne uderzyły skrzydłem....!!!“ Czego nauczą nas podobne oklepane frazesa? Kremerowiż, wołamy, przystoi pisać podobne banialuki. Czyż kiedy nie stanie złotego słowa, godzi się łatać pisarzowi podobnym wyszarzałym szychem! Im więcéj cenimy talent autora Listów z Krakowa, tém więcéj przychodzi nam gniewać się nań za te puste frazesa, zajmujące karty całe w jego tyle obiecującém dziele.... Wyglądamy rzeczy, autor daje nam tymczasem słowa, słowa i słowa jak powiada Hamlet. Dwie stronnice 51 i 52 mają niby objaśnić nam, jak artysta komponuje; w jego duszy cmętarz, widma,—kur pieje,—świta,—widma pierzchają; „jedno widmo zostaje, ono stało się ideałem.“ Tak to mówią zawsze; artysta patrzy na świat, wrażenia jego zostają w duchu, jako materyał, z tego pokarmu duch wyrabia typy.... To dobrze, ale estetyka nie jest dogmatyką żadną, ona się opiera na faktach, jak eksperymentalna psychologia; potrzeba fakta te podać, rozpatrzyć się w nich jasno, dokładnie, porównać je z sobą, obrobić dla nauki; któż poda te fakta jeżeli nie artyści, nie poeci, nie mistrze-twórcy; zamiast tych frazesów, nic nikogo nieuczących, gdyby autor podał fakt jaki z życia artysty, historyę powstania jakiego utworu, to miejsce miałoby dla nas wcale inną wartość niż podobne ogólne frazesa. Czytając utwory Waltera Scott’a zastanawia nas np. osobliwsza rzetelność po-

staci jego Antykwaryusza, postaci, o któréj pani Staël odezwała się była, że jest rzetelniejszy od saméj natury.... Teoretyka zajmuje to, jak on powstał w myśli poety; czy on go stworzył z niczego, jak Bóg utworzył świat, czy téż złożyło się na zarodzenie go w duchu artysty mnóstwo dziwaków i był on tylko abstraktem oderwanym od mnóstwa fenomenów; czy nakoniec był ktoś jeden, co posłużył za wzór autorowi Antykwaryusza, do utworzenia jego bohatera; że więc w tym razie duch twórczy poety rzeczywistość podniósł do życia sztuki, fenomenalny pojaw życia przerobił na ideał żyjący dla siebie, po za granicami i warunkami życia społeczności i przyrody. Na takie, pełne żywotnego interesu pytania, najlepiéj odpowiada nam sam Walter Scott we wstępach do swoich romansów. W przedmowie do Antykwaryusza, Walter Scott tak się wyraża, co się dotyczy utworu Jonatana Oldbecka: „są ludzie, których charaktery są tak wybitne, obrysowują się tak oryginalnemi rysami, że dość jest nakreślić główne z nich, aby postawić całą postać żywo przed oczy czytelnika. Tak właśnie charakter Antykwaryusza nasunął mi się w części z powodu wspomień o jednym starym przyjacielu, którego znałem w pierwszéj mojéj młodości. Jemu winienem pierwszą znajomość moją ze Szekspirem, jemu też winienem wiele innych rzeczy, których dziś dość ocenić nie potrafię. Myślałem, żem doskonale zamaskował w utworze moim to podobieństwo, i że nikt nie znajdzie się taki, coby był w stanie odgadnąć wzór, z którego brałem główne rysy postaci starego Oldbecka. Jednakże pomyliłem się w tém bardzo, bo dowiedziałem się potém, że jeden z małéj liczby żyjących wówczas przyjaciół mego ojca, za ukazaniem się Antykwaryusza odgadł od razu autora tego dzieła, poznawszy w Oldbecku charakter jednego poufałego przyjaciela naszego domu.“ W liście Walter Scotta do Bazylego Hall'a, dowiadujemy się, że tym przyjacielem domu był Mister George konstabl Wallace Craigie. Historya Oldbecka była wymyślona, ale postać, charakter sam był wzięty z natury; autor przyznaje się, że początkowa scena romansu, kłótnia Antykwaryusza z właścicielką dyliżansu, była także wzięta

z natury. Daléj autor przyznaje się, że wzorem do jego żebraka Ediego Ochiltri był stary włóczęga, w niebieskim płaszczu z ołowianą blaszką uprzywilejowanych żebraków królewskich, Andrzéj Gimmels.

Teraz pytam się, czy podobne fakta nie są ciekawsze, nie są więcéj nauczające dla teorytyka sztuki pięknéj, jak wszelkie czcze frazesa i powieści wschodnie; te mają wartość przedmiotową, psychologiczną, tamte poetyczną tylko, niczego nas nie nauczają, nic nie dowodzą. Do teoryi potrzeba koniecznie faktów; estetyka, jak ją wykłada p. Kremer, musi koniecznie opierać się na psychologii i doświadczeniu czerpaném z historyi sztuki. Pan Kremer od Listu XIII daje historyę artystycznéj fantazyi; jestto piękny ustęp jego dzieła, ale już nie należy do teoryi sztuki, któréj wykładem zajmowaliśmy się właśnie. W trzech tomach Listów to nas tylko zajmowało głównie.

Umiem cenić p. Kremera i jego dzieło i dla tego właśnie, że umiem je cenić ośmieliłem się wypowiedzieć tu całą, choć może za ostrą prawdę. Na błędy stylu nastawałem upornie dla tego, że błędy te każą późniejsze dzieło tego autora, Podróż jego po Włoszech. Stało się to nałogiem, z którego serdecznie życzylibyśmy sobie, aby powstał ten pisarz.

9 Marca 1856 r.

A. N.

HISTORYA
PRAWODAWSTW SŁOWIAŃSKICH

PRZEZ

Wacława Alexandra Maciejowskiego.

WYDANIE DRUGIE. — NAKŁADEM AUTORA. —

WARSZAWA 1856.

Tomy: pierwszy — drugi — i szósty.

I.

Mamy przejrzeć, rozważyć i ocenić powtórne wydanie (1856) Historyi Prawodawstw Słowiańskich. — Wydanie, rozszerzone znakomicie, na tomów pięć a zbogacone i ukoronowane tomem szóstym obejmującym ważne i zajmujące pomniki słowiańskiéj i polskiéj przeszłości, między któremi znajdujemy zupełnie nowe albo takie, jakich pismiennictwo nasze dotąd nie znało. — Autor pokazał, a często szczęśliwie otwierał przed nami słowiański świat, tajemniczy, nierozjaśniony, zapomniany, chociaż przez nas, albo przez inne słowiańskie stworzony narody. Jestto nieoceniona, nigdy dosyć uwielbiona posługa, oddana przezeń umiejętności prawa u Słowian, chociażby bylibyśmy zmuszeni uznać, że autor nie jest zawsze pewnym przewodnikiem, że nie wszystkie prawne stosunki polskie jasno i właściwie wytłómaczył; chociażby wyższe naukowe i historyczne względy nakazały nam odmówić zatwierdzenia różnym widokom i domysłom, które

autor podał jako pewniki słowiańskiéj i polskiéj prawnéj wiedzy. Zamierzył objąć myślą cały organizm prawa słowiańskich ludów. [1]) Przedsięwzięcie właściwe i konieczne, ale które téj chwili jeszcze wykonane być nie może, — a zdaje się nam, wykonać nie mógł nawet i ten, który do tych niezmiernych historycznych przestrzeni pierwszy śmiało wstępował, — czasami nie przeczuwając odkryć, które czynił; często nieopatrzony narzędziami mogącemi sprawdzić, zrozumieć i ocenić to, co napotykał, bywał olśniony bogactwem, urokiem, a niekiedy chaosem przedmiotów. Kolumb nie widział ogromu i następstw swego czynu, swojéj myśli, lecz pokazał drogi, na końcu których inni nowy niezmierny, zdumiewający świat, najłatwiéj znaleźli. Toż samo, albo temu coś bardzo podobne, autor spełnił. Nie odmawiamy jemu téj wielkości. Chętnie uznajemy jéj ważność, i to wszystko dobroczynne, które się z niéj okazale rozwinie. Słowiańszczyzna i Polska jeżeli jeszcze nieodebrały, niezawodnie odbiorą pełniejsze aniżeli dotąd uznanie samych siebie, ich przeszłości, ich posłannictwa i tych potęg, które Opatrzność w ich duchu złożyła najhojniéj. Jesteśmy na początku, na wstępie, a bylibyśmy niewyrozumiali i niesprawiedliwi, gdybyśmy czynili zarzut autorowi, że ani siebie, ani nas, u celu swoich podniosłych i prawdziwie pięknych życzeń nie postawił: „objąć cały organizm praw słowiańskich.“ Na to jeszcze czas nie nadszedł. Na spełnienie tych życzeń jeszcześmy nie zebrali potrzebnych sił, — widzimy ogrom — ale daleko — nie wewnątrz, nie we wszystkich częściach, nie we wszystkich zmianach. Jeszcze nie obejmujemy, ale obejmiemy, — a nie objęlibyśmy może przynajmniéj teraz, gdyby autor nie był dał początkowania, gdyby był nam do téj zaklętéj słowiańskiéj Arkadyi wstępu nie otworzył. Historya Prawodawstw Słowiańskich, przy swojém pierwszém ukazaniu się, nie zdobyła wielkiéj wziętości, ani uznania między uczonymi rozważającymi polskie prawne i historyczne stosunki. Joachim Lelewel, zaiste właściwy, wielki i poważny nauko-

[1]) Historya Prawodawst Słowiańskich — I. 497.

wy sędzia, nie przyjmował wiele jéj głównych widoków; układ dzieła niejako odrzucił — a mniemał, że takiemu przedstawieniu, jakie autor wykonał, nazwy historyi prawa u Słowian nie można by udzielić. I mniemał bardzo słusznie. Żałować przeto mocno należy, że autor tenże sam układ zewnętrzny zachował, a wprowadził jako i dawniéj mnogie względy poszukiwania, wiadomości i drobnostki nawet, których wysoko pojmowana historya prawa, bynajmniéj nie wymaga, które zepsuły porządek, pomięszały jasność i nie dozwoliły utworzenia wyraźnéj, harmonijnéj całości. Myśl połamana, rozrzucona, słabieje, gaśnie i niejako znika. Sam autor nie mógł jéj niezmiennie wszędzie utrzymać, — zapomniał jéj. Przegląd Poznański także wynurzył swoje powątpiewania, i mniéj więcéj twierdził, że autor nie ujął właściwie myśli zasadniczéj i stwarzającéj, jaką objawiała społeczność słowiańska i nasza; że nie odkrył odkryć, nie chciał czyli nie śmiał właśnie téj wewnętrznéj, téj duchownéj siły, która wydała organizm prawnych słowiańskich, a mianowicie polskich stosunków; — że nie zdobył klucza mogącego otworzyć i wytłómaczyć prawne i historyczne Słowo Słowian; — na to powątpiewanie wynurzone przez Poznański Przegląd sumiennie, chociaż niem był mocno wzruszony, przy tém powtórném wydaniu nie zwrócił uwagi — a zwrócić należało koniecznie, albowiem miejsce na jakiém swój umysł autor postawił, jest właśnie téj natury, że zeń rozwoju prawnego i religijnego słowiańskich społeczeństw ujrzeć, a nawet ujrzawszy zawsze pod zwodniczém światłém, wyrozumieć i ocenić niepodobna.

Sama myśl dzieła, zdaje się nam, nie jest stosowna, ani wykonana być jeszcze nie mogła. Nie widzimy przygotowanych a koniecznych warunków jéj spełnienia. Ażeby nakreślić dzieje prawa u wszystkich Słowian, wydobyć ich wewnętrzne, ich powszechne znaczenie, potrzeba, aby każda słowiańska społeczność miała wykończone i dokładnie pojęte zasady i przemiany swoich prawnych stosunków. Jeszcze nie posiadamy zbioru ksiąg prawodawczych u wszystkich Słowian. Autor wymienił wiele, ma nadzieję, że jeszcze

nastąpi odkrycie innych. U nas samych księgi prawa występują z ukrycia. Sam autor wydobył i ogłosił nadzwyczajnéj ważności rolnicze prawo Chełmskiéj ziemi. Helcel wydrukował dotąd nieznane, a również co do stosunków rolniczych zajmujące Łąkoszyńskie ustawy. A to co uczony Helcel o statucie nazywanym Wiślickim rozjaśnił, przekonywa, że nawet u nas jeszcze nie nadeszła chwila pojęcia i wykonania historyi naszych praw, czyli naszego prawa, które dopiéro w wieku XIV zaczęło się podnosić do swojéj jedności, do swojéj powszechnéj myśli; a wiemy, że téj jedności do 1795 nie zdobyło. Niektóre ustawy słowiańskie bliżéj zobaczył autor, niektórych byt jedynie objawił, ale nie nadmienił nawet, czémby one były w swojéj treści i całości. Trudno zatém, a właściwie niepodobna chcieć obejmować cały prawny słowiański organizm, który we swoich wszystkich częściach i skrytościach jeszcze nie był ani znany, a tém mniéj zbadany, wytłómaczony i okazany we swojéj historycznéj prawdzie. Są przeto dotąd niezniesione przeszkody czyniące prawie niepodobném pojęcie i przedstawienie historyi prawa u Słowian i organizmu ich praw.

Naówczas dopiéro, kiedy każda słowiańska społeczność zbierze swoje wszystkie ustawy, ujmie ich organizm, myśl, która je stwarzała, naówczas dopiéro historya prawodawstw słowiańskich nakreślona być może, — naówczas, ze zbliżenia i porównania ich ujrzymy, jakie były prawa spólne wszystkim Słowianom, jakie prawne zasady za ich własne, za wydobyte z ich duchowéj natury uważać należy; — co u nas Słowian jest naszém, co naśladowaném, co narzuconém; co prowadziło kierunkiem naturalnym ich duchowi, a co temu duchowi tamowało swobodne organiczne rozwinienie, co sprzyjało, — co się opierało temu rozwinieniu. Przed zdobyciem tych warunków, historya prawodawstw słowiańskich będzie i być musi zarysem, usiłowaniem, poszukiwaniem, pomysłem mniéj więcéj szczęśliwym, a koniecznie niedostatecznym, niewyczerpanym, często zwodniczym a nawet i fałszywym. Nie chcemy przecież twierdzić, aby jaki inny umysł polski, czyli słowiański, szczęśliwy, natchniony,

mający dar uogólniania, zmysł jedności, nawet z tych wiadomości, jakie teraz mamy, nie mógł uchwycić prawdziwych rysów historyi prawa u Słowian, wykazać jaki był u nich i przez nich samych zbudowany prawny organizm. Tym szczęśliwym, tym oczekiwanym przez nas a najpotrzebniejszym umysłem nie był, a raczéj być nie chciał czyli nie miał odwagi autor, który przez dziwne złudzenie po za Słowianami szukał organizmu, zasady, poczęcia słowiańskich praw, — który słowiańskiemu duchowi odmówił samoistności, samodzielności, mocy rozwinienia się ze samego siebie. Ten duch słowiański ogólnie, a polski mianowicie i najgłówniéj, miał być zawsze niemowlęciem, pacholęciem, zawsze w wieku dziecinnym, który, aby się objawić, aby żyć, musiał odbierać zewnętrzne uderzenie, a żył dopóki ruchu natchnienienia udzielonego zewnątrz nie wyczerpał. Ze siebie samego — nic, sam przez siebie — nic. Pisarzowi uwikłanemu takim naukowym dogmatem nie będzie nigdy dozwoloném przedstawić dzieje prawa u Słowian, przejrzeć i zrozumieć wewnętrzny prawny słowiański organizm, — który, jeżeli jemu mielibyśmy wierzyć, prawdziwie słowiańskim nie był i być nawet nie mógł, — skoro własnego życia nie miał, skoro życie miał udzielane zewnątrz, pożyczane — na pewny czas. Jakież albowiem autor ze swojéj najrozleglejszéj a zdumiewającéj uczoności o pierwotnéj Polsce, o zaczęciu i rozwijaniu się jéj życia wydobył pojęcie? — Ciało ona miała słowiańskie, polskie, a myślenie saskie, niemieckie. Zaiste, przyznajemy autorowi zamiłowanie rzeczy słowiańskich, ale słowiańskich raczéj zewnętrznie aniżeli wewnętrznie. Zaiste, mamy głęboki szacunek dla trudów które podejmuje. Wybudował czyli ułożył i skleił sześć ogromnych tomów o historyi prawa u Słowian. Praca niejako olbrzymia. Lecz najnamiętniejszy przeciwnik Słowian, jaki Wutke, jeszczeby się wahał wyrzec o Słowianach sąd, jaki autor najspokojniéj wymawia. Życie oni mieli, ale obce, a obce mieć musieli, skoro autor ducha Słowian niemowlęciem mianuje. Na inném miejscu autor wyraźnie naucza i przekonywa, że Słowianie nie mieli organicznéj siły, czyli myśli. Jeżeli nie mieli, nadaremném

przeto i nieloiczném badanie, które sobie autor w swéj historyi zakłada, jaki byłby prawny organizm słowiański. Do takich następstw zaszedł, chcemy mniemać mimowolnie, pisarz, który obiecał „odgadywać tajemnice historyi narodowéj“—który oddał sam sobie świadectwo, że potrafił „przeniknąć na wskróś narodowe myślenie.“ [2]) To oznaczenie duchowéj natury wszystkich Słowian, a głównie Polanów, ogromny i stanowczy wpływ przyznany przez autora germańskim czyli niemieckim pojęciom na rozwój prawnych stosunków, przypomina Hegla, który we swojéj filozofii historyi, spomniał lekko i pogardliwie Słowiany. I dlań oni jeszcze byli niemowlętami, mało znaczącemi i mało godnemi, aby dla nich między narodami historycznemi, między działaczami rozwoju człowieczeństwa, jakiekolwiek miejsce naznaczyć.

Sposób jakim autor swoje przedstawienie ułożył, nie wiemy czyli można nazwać umiejętnym i historycznym, a przynajmniéj, związanym i jasnym. Nie rozumiemy także, co pomaga wyjaśnieniu prawnych stosunków i saméj historyi prawa wprowadzenie mnogich szczegółów i wiadomości,—naprzykład jakich urzędników miała królowa, jaki był skarb, jakie dochody państwa, jakie wojsko, jacy sądowi urzędnicy. Są to ciekawości zajmujące, potrzebne, ale nie na swojém miejscu. Nie mielibyśmy nic przeciw ich umiarkowanemu użyciu. Ogrom stronnic się zwiększył,—ale przedmiot jaśniejszym nie wystąpił. Że autor czytał niezmiernie wiele, ani wątpimy; ale mniemamy, tych nieskończonych wiadomości tyle jedynie pokazać i użyć należało,—ile wymagała historya właściwych prawnych wyobrażeń, ich zaczęcia, przeobrażenia i upadku. Za dumnie może autor pewnym niemieckim pisarzom wyrzuca naukowe tandeciarstwo i rupiecie, jakiemi oni swoje książki wydymać zwykli. Lecz czegoż nie ma Historya Prawodawstw Słowiańskich? Najciekawsze rzadkości i pospolite graty, złoto i świecidełka,—najpełniejsze ziarno i plewy. Wszystko zmięszane. Często liczne prze-

[2]) Pierwotne dzieje Polski, Rusi i Litwy.

rzucisz znużony stronnice, nim znowu natrafisz na miejsce przypominające, że rozważasz dzieje prawa u Słowian.

Nakoniec wskazanie, że pojęcie prawne jakiekolwiek, naprzykład spadki — u Polaków, Czechów, Rusinów i Serbów, było takie albo odmienne, nie jest bynajmniéj historycznym wywodem zasady spadków, ich natury, — albowiem te społeczności słowiańskie żyły i rozwinęły się samodzielnie, niepodlegle; każda z nich miała swoje własne życie, każda z nich ulegała zupełnie różnorodnym kierunkom i wpływom. Podobne, a najrozmaitsze; mające jeden początek, a jakże odmienne postacie i losy. Prosto materyalne zestawienie czynów podobnych zewnętrznie, — to, jeżeli się tylko nie mylimy, nie jest historya prawa, nie jest jéj wysoka wiedza, jéj umiejętność.

Jeżeli jeszcze nadmienimy, że autor nie ma daru opowiadania, że na piękne a przynajmniéj czyste i jasne przedstawienie nie zwraca uwagi, — że za często swój styl czyni zagadkowym [3]) rażącym, kabalistycznym, uznamy, że sama

[3]) Naprzykład: „Zbadać to życie, czyli wykryć myśl ożywiającego *Prawdę* ducha. Opowiedzieć też jego przygody; wskazać drogi po których chodził spełniając posłannictwo swoje, i upewnić czytelnika o tém, że szedł do celu prosto, albo się po manowcach błąkał, jest rzeczą nauki, która czy się myli, objawi to znowu, ona wynikiem przeszłości będąca, z teraźniejszością się ściśle łącząca Prawda. Czém bowiem w muzyce jest dzwięk struny, tém w historyi są fakta, które czy płonne czy rzetelne sieją wieści, i czy uroczyste lub fałszywe odbrzmiewają tony, o tém też upewni z pomników wydobyta a organizmowi przedstawionego społeczeństwa ściśle odpowiadająca, Prawda. Jak lekarska sztuka, składu ciała i przyrodzenia jego śledząc, na anatomii się i fiziologii, tak téż na krytyce i filozofii wspiera nauka ta, która roztrząsa Prawdę.“ H. P. S. 1, 497. Nasamprzód nic a nic nie rozumiemy, co znaczy litera wielka P — Prawda. Jestto zapewne absolutum pojęcia, zupełne, zamknione; ostatnia wiedza, zasada, wiedza wszelkiéj innéj podrzędnéj wiedzy. Lecz nie — albowiem jest jeszcze nauka, która samą roztrząsa, Prawdę. Téj nauki autor jeszcze nie wymienił, a my zakończymy — non vis intelligi, debet negligi. Takie kabalistyczne cedzenia u autora napotykamy za często. Teorya autora jest taka. Polanie Warty i Wisły nie mieli organicznéj siły, nie mieli mocy założenia społeczeństwa, pod względem politycznym niemowlęta; a ich umysł miał być zawsze dziecinny. Lechici, zawsze Słowianie, ale wykształceni, wychowani przez Sasów, przynieśli nad brzegi Warty i Wisły ich urządzenia, ich układ społeczny. Owi Lechici, założyciele pierwszéj porządnéj społeczności Polanów, między Saksonami zajmowali najniższe stanowisko; ci prawie niewolnicy, zbiegi, wysunąwszy się z kajdan niemieckich, dali początek Polsce. Stworzyła nas myśl niemiecka i do historyi wprowadziła. Jestto tylko teorya, któréj nawet podobieństwa autor nie wykazał. Ta teorya weszła i do Historyi Prawodawstw Słowiań-

zewnętrzna budowa historyi nie zachęca, aby wstąpić do jéj wewnętrznego przybytku, do téj arki przymierza słowiańskich ludów czekających, mających najpoważniejsze względy oczekiwania i wzywania tłómacza i przedstawiciela ich przeszłości—téj myśli, która stwarzała ich przeszłość, ich prawo. Sam przeto pomysł dzieła — Historya Prawodawstw Słowiańskich, nie był szczęśliwy. Koniecznie wprowadził zamięszanie, nie przypuszczał ani jedności, ani jasności. Pomysł był za wielki, za nadto różnorodne obejmował przedmioty. Jako uważamy za niepodobne skreślenie historyi prawodawstw europejskich, również uznajemy niepodobném, a przynajmniéj najtrudniejszém ułożenie historyi prawodawstw słowiańskich. Jako każdy lud Europy miał swoje własne życie, swój własny organizm, swoje dzieje, swoje posłannictwo względem samego siebie i względem innych, nieodrzucając tych spólnych rysów, jakie przedstawia ludzkość europejska; również każda słowiańska społeczność, nie niwecząc pojęć spólnych wszystkim Słowianom, miała swoje własne życie, swoje samoistne religijne, polityczne i umy-

skich; ma w niéj szerokie zastosowanie. Splątany tym początkiem naszéj społeczności, autor sam nie wie, któreby pojęcia prawa miały być naszemi, a które niemieckiemi—Germanie Tacyta, nie są to Niemcy. Jestto czysta słowiańszczyzna, a przynajmniéj bardzo mocno napojona słowiańskiemi pojęciami. Widzi w niéj autor wierny wizerunek późniejszéj polskiéj społeczności. Autor Lechitów uznał przynajmniéj Słowianami, ale Słowianami, których ożywiała myśl niemiecka. P. Szajnocha poszedł daléj, we swojém dziele—Lechicki początek Polski—najuczeńszém, zajmującém, ale które nie udzieliło nam przekonania, jakie autor chciałby udzielić, utrzymując, że Lechici, bylito Skandynawie, Normany, ci sami, którzy poźniéj Słowianom Nowogrodu i Kijowa panowali, — także u nich założyli państwo. Teorya o pochodzeniu Lechitów normandzkiém albo niemieckiém, głębiéj rozważana, ma niezmierne znaczenie. Odmawia ona Słowianom samoistności, mocy poczęcia i rozwinienia samych siebie. Cokolwiek w nich było i jest,—było i jest nie przez nich samych, nie z nich samych. Jako zaraz ujrzymy, p. Maciejowski na samym wstępie swego dzieła chciał narysować charakter Słowian, a przez charakter, słusznie rozumiał ich całe duchowe jestestwo. Przyznawszy temu słowiańskiemu charakterowi strony piękne i strony bardzo ciemne, wyrzekł stanowczo, że jestto charakter niejaki; ni to, ni owo—nieoznaczony—żadny—nic, a najwięcéj bierny, ujemny, naśladowczy, słowem, dziecinny. Jestto treść, jaką autor wydobył ze swoich badań prawnych i historycznych. Zysk i dla niego, i dla wszystkich Słowian, nie bardzo szczególny i zachęcający. Jaka korzyść umysłowa zajmować się ludami biernemi, niemającemi swojéj własnéj myśli? Jako liczba, potęga Słowian zdumiewa i przeraża, lecz jako myśl, jako moc duchowa, jest to bierność, niejakość, — nic.

słowe wykształcenie. Żadna z nich nie poszła jednym i tymże samym kierunkiem. Były to prawdziwie niepodległe względem siebie historyczne osoby, podobne, zbliżone—a jednak różnorodne a czasami najsporniejsze. Słowianie, tacy przynajmniéj, jacy wystąpili historycznie, nie mieli jedności, jeszcze jéj nie mają, chociaż mocno wierzymy, że ich jedność ułoży się swobodnie,—rozumowie.

Był inny pomysł naturalniejszy, stosowniejszy, a nadzwyczajnie potrzebny, — pomysł historyi porównawczéj prawodawstw słowiańskich. Autor jako Polak, jako najbliżéj i najpewniéj znający polskie prawne pojęcia, mógł był prawo polskie wziąść jako środek, postawić je jako główny czyn, jako jedność, do której byłyby weszły najłatwiéj przez porównanie i zbliżenie prawa innych słowiańskich narodów. Lecz autorowi jeszcze nie wystarczało wprowadzenie wszystkich Słowian do swojéj historyi prawa. Pokazuje Germany, Swewy, Saksony, Daki, Goty, Traki, Skity, jako narody, które na ukształcenie prawa u Słowian przeważnie wpływać miały. Wstąpił do Grecyi a przez Kaukaz rzucił się nawet do Indyj. Chcąc objąć wszystko, za wiele, nie zatrzymamy nic, albo słabo, niewyraźnie i niepewnie.

Takie czyni na nas wrażenie zewnętrzne postać dwóch pierwszych tomów Historyi Prawodawstw Słowiańskich. Zawsze szanujemy zacne usiłowanie, chociaż sam pomysł historyi, rozmiary i podstawy jéj dane przez autora, nie są takiemi, aby nasze oczekiwania i wymagania mogły zaspokoić. Lecz przechodzimy do saméj rzeczy—do saméj historyi prawa. Może wewnętrzne jasność i porządek pozwolą nam zapomnieć to, co nas na pierwsze wejrzenie raziło, co naszego potwierdzenia nie mogło uzyskać.

II.

Autor przed zaczęciem saméj Historyi Prawodawstw dał określenie charakteru Słowian, a przez charakter dosyć właściwie rozumiał całe wykształcenie, religijne, polityczne,

umysłowe, — to wszystko, co nazywamy duchem, pierwotnym, stwarzającym żywiołem narodu. Takie zaczęcie nam się mocno podoba, albowiem, jeżeli mamy dany dokładnie zbadany i przedstawiony duch jakiéj społeczności, łatwo i loicznie zrozumiemy i wytłómaczemy jéj prawo. Jestto jéj własny duch, rozwiniony i zatrzymany zewnętrznie przez pismo, przez owe u Słowian najstarożytniéj znane deski prawodatne. Nie ma europejskiéj nazwy, któraby głębiéj pojęła prawo. Prawo, jest to Prawda, najwyższa i bezwarunkowa wiedza—nazwa udzielona samemu bóstwu, przez które Słowianie, prawo, sprawiedliwość, zmysłem przedstawić chcieli. Ten jeden czyn pokazuje, że Słowianie ze samych siebie, ze swego własnego wydobyli ducha pojęcie prawa,— cały układ wewnętrzny i zewnętrzny; że jest niezmiernném zboczeniem—a co właśnie mniema autor, jakoby umysł Słowian dziecinny i nieorganiczny, musiał odebrać dobroczynne wychowanie przez Skity, Traki i Saksony. Nie tylko politycznie umysł polski był niemowlęcy i dziecinny, bez organizmu, bez mocy rozwinienia samego siebie. Jeżeli się autor nie myli, w całym polskim umyśle jest jakaś nieuleczona niemoc, jakiś grzech nieprzejednany i niezmazany. Czyliż nie mówi: „szczegółowa i rodzima filozofia polska nie da się wymyślić.“ Pismiennictwo polskie 1, 142.

Duch Słowian przeszedł trzy stany, trzy zmiany, przez autora nazwane dobami. Stan pierwszy był poczęty na łonie wieczności,—a jaki? nie znajdujemy wytłómaczenia, ani domysłu przynajmniéj. Stan drugi ukazał się między pierwszym a dziewiątym wiekiem, chociaż wedle dotąd znanych świadectw, dopiero wiek szósty podał pierwsze dokładniejsze wiadomości o Słowianach, o ich duchu. Lecz autor miał na myśli Tacyta, który, jako on mniema, opisał doskonale słowiańskie stosunki. Jestto domysł jedynie, który po rozważeniu dowodów mających za nim przemawiać, odrzucamy stanowczo. Stan trzeci występuje między wiekiem dziewiątym a czasami naszemi,—trwa téj chwili—jest w nas. Autor zaniechał wykazać, po jakichby znakach, owe stany, owe doby poznać i odróżnić można, a głównie pierwszy poczęty

na łonie wieczności i objawiony pierwszych dni stworzenia. 1, 106. Lecz tych stanów, tych zmian duch słowiański podobno i nie miał,—albowiem „charakter Słowian miał też same cechy, jakie nawet dziś, po upływie kilku tysięcy wcików „posiada szczególniéj między ludem. [4]) Jestto metoda powszechna a bardzo ulubiona przez autora,—twierdzić na jednéj stronie, co na drugiéj najspokojniéj przekręcił. Duch słowiański miał trzy stany, i znowu nie miał żadnych. Był tém roku 1368 przed Chrystusem, czém jest i téj chwili 1859; nie ma żadnéj nowości pod słońcem. Co daléj nie przeszkadza twierdzić autorowi, że we stanach przezeń nazywanych wyższemi, duch, charakter, cywilizacya się rozwijały,—że jeszcze nie są skończone,—że jest jeszcze przed niemi przyszłość i rozwinięcie;—że tylko duch niemiecki wyczerpnął się, rozwinął się, — i co za następstwo loiczne przyjąć mamy, że nie ma dlań przystępu. Śmierć duchowa. I, 404, 105.

Omijamy owe dziwne porównania dziejów, ducha społeczeństw z kłębkiem, zesnowanemi zeń niciami, a trudno wiedzieć jakiéj przędzy i włokna. I, 101. Jakiż sposób poznania, ujęcia ducha, cywilizacyi Słowian? [5]). Najłatwiéj po-

[4]) Jako pierwsze świadectwo o charakterze czyli duchu Słowian autor, przyjmując Lelewela, podaje trackich Frigów, którzy z Europy do Azyi przejść mieli roku 1360 przed Chrystusem. Adam Mickiewicz całą Azyę mniejszą a nawet niektóre ziemie środkowéj Azyi, zaludnił Słowianami. Nabuchodonozor, nazwa czysto Słowiańska, ma znaczyć: „nie ma Boga tylko Car.“ Rodzina Dębołęckich jeszcze nie wygasła, do któréj przyznaje się gwałtem uczony Bielowski we swoim pod innemi względy najszacowniejszym *Wstępie* krytycznym.

[5]) Autor podaje swoje tłómaczenie nazwy, Słowianie. Ma to być nazwa staroniemiecka Słowian—milczeć, milczący, niemówiący, niezrozumiany, lud Niemców. Słowianie odwdzięczyli—i nazwali Teutonów Niemcami—jakoby niemymi. Powątpiewamy o trafności tłómaczenia. Nazwa Slavi, występuje w wieku VI i nie u Niemców, ale u Greków. U Niemców przeważa nazwa Winidów. Ubius Sequester w wieku VII zna Serbów tylko. Jeograf bawarski X wieku także Serby wymienia. Przytém, niejako stateczna nazwa u najpierwszych pisarzy słowiańskich jest Sławianie—*a*, nie *o*, chociaż zamiana *o* na *a* i nawzajem, bardzo zwyczajna. Przytém Sagi Wannów, Wenedów, poźniejszych Słowian mianują ludem wyższym, u którego Skandynawie światła szukali. Wannowie mieli pismo; Wanna Runir, Runy Wannów. Taki przeto lud, dla Niemców nie mógł być ani milczącym ani niezrozumianym. Autor odgaduje znaczenie i pochodzenie innych wyrazów. Chłop ma to być jeniec wojenny, uchapiony, uchłapiony, niewolnik. Lecz wiadomo, Słowianie jeńców wojennych usamowalniali, albo przyjmowali jako obywateli. Przytém chłop niekoniecznie ma pogardliwe znaczenie. Chłopiec, chłopczyk, chłopięta—nazwy przy-

znać charakter i wykształcenie ludów umarłych; są albowiem po nich świadectwa i pomniki, 102. — Jest niepodo-

jemne. Chłop, byłżeby to kiklop — Klop grecki, olbrzym, moc wielka, ludzie potężni? Chłop w chłopa, wysokość, dorodność, piękność nawet. Niejest bez wagi, co wykłada p. Michałowski. „Chłop, Hłop, przez przewrócenie wyraz hebrajski, Pahol, robić, pracować. Lud zajęty pracami ziemskiemi, a rozumiem Słowian', u których praca—zatrudnienie najdostojniejsze. Hłop, przewrócony, daje pług—narzędzie pracy. Chałupa, mieszkanie chłopa — dom. Unité et confusion des langues, 132. Dzieło rozległéj nauki, pomyślane najgłębiéj, które bliżéj poznać damy. Należałoby wyszukać, kiedy wyraz chłop był użyty, i czyli na samym początku miał nizkie znaczenie. Wszak kmieć, nazwa wysokiéj godności, przeszedł także na chłopa.

Faida, fehde, stan wojny, prawo zemsty służące rodowi, wedle autora ma znaczyć tož samo, co swoita, swoi, krewni. Ma tu być jakieś filologiczne powinowactwo. Przecież jest pewność, że owa niemiecka feodalna faida, fehda nie jest znana Słowianom przed zawiązaniem ich państw dzisiejszych, — a po zawiązaniu, weszła jako naśladowanie wyjątkowe. Autor przyjąwszy dawny związek Niemców i Słowian, wszędzie widzi podobieństwo niemieckich i polskich prawnych stosunków. Jestto proste złudzenie.

Trudził niemieckie uczone umysły wyraz alod, alodium. Jestże niemiecki — co znaczył właściwie? Grimm alod uznał obcym mowie niemieckiéj, a mniemał, że oznaczał dobra własne, niezależne. Takie zdanie miał i Pardessus. Autor mniema inaczéj — alod jestto al-ot, od ojca, ojcowizna, majątek posiadany przez ojca. Wyraz Swewy u Słowian, swoich spółobywateli, za czasów rzeszy słowiańsko-niemieckiéj przejęli — wyraz i myśl. Wywód autora jest dziwny a niezmiernie fałszywy. Wedle mniemania autora u pierwszych Słowian własności osobistéj, rodowéj nie było. Grunt posiadała gmina — i gmina grunta swoim członkom rozdawała. Tylko ruchomość członek gminy jako własność posiadał i dzieciom przekazywał dziedzicznie. Dopiero na mocy salickiéj ustawy, nieruchomość alodem nazwano, i takim alodem, ojciec dowolnie rozporządzał. Alod byłto zatém majątek gruntowy, własny, niezależny, — i autor nakoniec przyjmuje znaczenie alodu, które odrzucił. Lecz pytamy, salicka ustawa miałaż jaki wpływ na prawne stosunki u Słowian, u Polaków? Nie mamy nigdzie dowodów, aby u nas albo u Słowian tylko gmina grunta posiadała. We śpiewie Lubuszy, grunta posiada rodzina spólnie, albo przez równy podział. Zupełnie tož samo i u nas. Grunta posiada rodzina spólnie, wszyscy jéj członkowie — nie sam naczelnik rodziny — ojciec. Ojciec nie mógł rozporządzać majątkiem gruntowym, jeżeli nie miał zezwolenia całéj rodziny. Nawet syn był spółwłaścicielem. Pierwotnie nie było różnicy między dobrami ruchomemi i nieruchomemi, — między majątkiem rodziny dziedzicznym, a majątkiem nabytym. Te różnice dosyć późno weszły. Właściwie, u nas, dosyć długo spadków nie było. Naczelnik rodziny, to co miał, to co odebrał, musiał nietykalne rodzinie, rodowi, związkowi rodów zostawić; zarządzał, ale nie był właścicielem. Były u nas grunta publiczne, nie przeczymy, ale były i grunta rodowe, ich własne, dziedziczne, niezależne, do których ani gmina, ani starszyzna, ani król żadnych a żadnych praw nie mieli. Zatrzymujemy się — albowiem do téj rzeczy powrócimy. Tylko nadmienimy — że autor, mimo najrozleglejszéj nauki, mimo świadectw uderzających, które nawet i zna, prawne znaczenie własności i rodziny u nas jako tylko można najbłędniéj zrozumiał, — on prawnik z rzemiosła, mający tyle pogardy ku tym, którzy nie otrzymawszy patentu na rzemiosło prawnicze, ośmielają się oceniać prawne stosunki. Szczególniejsza nazwa! Prawo nie wiedza, nie umiejętność, nie zasada społeczności,

bieństwo, aby naród dotąd żyjący sam siebie mógł poznać, zrozumieć i przedstawić. Trzeba nasamprzód, aby doskonale umarł, aby zeń żadne nie wychodziło życie. To ma być najwłaściwsza chwila badania cywilizacyi narodu. My żyjący, o samych sobie, nic a nic nie wiemy. Jeżeli jaki lud świadectwa i pamiątki o sobie zostawił, sam je utworzył, ze siebie wydobył, — tym świadectwom, tym dziełom przez duch jakiego narodu wydanym nie trzeba wierzyć; albowiem autor wynalazł, że my samych siebie nie znamy; że chcąc poznać nas samych, czém byliśmy i czém jesteśmy „mamy słuchać obcych“ 103, jaki sąd obcy o nas wydali, jakimi nas zewnętrzna myśl uznała. Dla téj zapewne przyczyny chcąc nakreślić wizerunek Słowian, autor ze słowiańszczyzny wystąpił; początki Słowian, ich wykształcenie, ich prawa, w duchu, w prawach, w początkach niemieckich zatopił, z niemi najściśléj powikłał, tyle mocno, że po odczy-

ale rzemiosło, mechaniczna praca; przecież sam autor wyznał — że Gibbon i Lelewel, chociaż obcy prawnemu rzemieślnictwu, poczynili odkrycia, wznowienia szczęśliwe, na które prawnicy rzemieślnicy natrafić nie mogli.

Statek, wykłada autor, oznaczał majątek ruchomy — jedyny, którym ojciec dowolnie mógł rozporządzać, — a grunt — ziemia wracała do gminy nadawczyni. Zkąd nazwa statek? Z ostatku, to co pozostało, — pozostałość ruchoma, — spadek ruchomy. Nie zdaje się nam. Rdzeń — grunt wyrazu, jest sta — stać, — nieruchomy, stateczny, poważny. Statek, statki, dostatek, dostateczny, nasuwa ogólnie znaczenie zamożności majątku, który raczéj byłby nieruchomym, przywiązanym do czegoś, aniżeli ruchomym. Z wewnętrznéj i zewnętrznéj natury wyrazu statek, stać, znaczenia ostatka, pozostałości, spadku, wyprowadzić nie można.

Zdawało się nam, że o znaczeniu wyrazu wieca powątpiewać nie można. Wieca, zgromadzenie, narada, sejmowanie, sejm, zwołanie. Z wiecy wyszedł powiat. Autor i pod tym względem chce być różnym i nowym. Wieca ma to być wieczina, większość, więcéj, postanowienie przez większość głosów. 1, 345. Lecz tenże sam autor naucza, że wieca, że powiat, jestto — jurisdictio 1, 17. Podział sądowy i polityczny razem, że taki podział głównie znamionował polskie społeczeństwo, — powiaty, obwody polityczne i sądowe. Powiat, powiet, sowiet, zawsze narady, władza, ale nie sposób narady, stanowienia. Jeżeli obyczaj Lutyków nie był im samym właściwy, wnieśćby należało, że Słowianie stanowili prawa, nie przez większość, ale przez jednomyślność. Komuż nieznane określenie wszystkich polskich narad i postanowień — unanimi consensu. Różniono się, ale na końcu, spólna, jednomyślna zgoda. Nie ma oppozycyi. Dziękujemy autorowi za przypomnienie, że ci sami Niemcy, którzy Polakom liberum veto najpogardliwiéj wyrzucali, u siebie, to liberum veto, we swojéj rzeszy dotąd — 1859, zatrzymali. Wiele innych zaskarżeń wyniesionych przeciw dawnemu społeczeństwu polskiemu, jest tejże saméj natury. Autor, co do Polski dawnéj, jest także ujemnym, przeczącym, krytycznym.

taniu téj Historyi Prawodawstw Słowiańskich powstaje wątpliwość, czém byli właściwie Słowianie, — Słowianami czyli Niemcami? Z mowy może, ale z myśli, z samego ducha, nie — a przynajmniéj bardzo trudno. Wedle téj nauki wynikałoby, że człowiek, który żyje, nie zna samego siebie, nie poznaje siebie; myśli i działa na oślep, przez fatalizm; że jeżeli coś o sobie pragnie wiedzieć, ma się zapytać obcych, Niemców zapewne, i ztąd zapewne autor dla tych dawnych i dzisiejszych Niemców, ma miłość, uwielbienie, — u nich, dla nas Słowian wiedzy i światła szuka. I nie może inaczéj, skoro Słowian uznał niemowlętami, skoro się przekonał, że ich umysł dziecinny. Narodowość niemiecka miała wejść na drogi, któremi skutecznie przemawia do serca Słowian: 65. Temu wierzy autor dowodząc, że literatura i język pogodziły nas z Niemcami. My téj wiary nie podzielamy, téj zgody nie widzimy, przez wzgląd na dawne a nawet i obecne stosunki Słowian i Niemców. Niemcy względem dawnych i dzisiejszych Słowian nicże nie zawinili, wynagrodziliż wszystko, — cokolwiek? — Pytania niepotrzebne, — zużyte. Wszystko dobrze było i jest. Niemiecka narodowość i literatura trafiły, przemówiły do serca autora. Pojednali się.

To serdeczne naukowe usposobienie ku Niemcom jest zupełnie naturalném autorowi przez wzgląd na stanowisko historyczne, na jakiém siebie, naszém zdaniem, niepotrzebnie postawił. Sasi, mówi on, zaczęli nasze polityczne życie, i Sasi zakończyli je. Z nich wyszły nasze początki i cały nasz organizm, — nasze prawa. Lecz stanowisko historyczne autora nie jest naszém i nigdy nie będzie. On patrzy na stosunki słowiańskie, a mianowicie polskie, okiem saskiém czyli germańskiém. Może jest to nasza ułomność, może to ku nam wzbudzi gniewy autora; [6]) ale my, nasze widzenie słowiańskie i polskie, oceniając nasze dzieje, nasze początki i

[6]) Autor ma nawyknienie następnie przemawiać do tych, z którymi się różni naukowo: „Stchórzył szermujący językiem rycerz i dowiódł światu, że potwarze tylko rzuca i urąga z góry wlazłszy na dach, jak ów długo-uchy w bajce.“ To nie jest ani dowód, ani obrona, a głównie mowa, któréjby używać nie należało rozbierając najważniejsze historyczne i prawne przedmioty.

nasze prawa, zatrzymać pragniemy. Ztąd, co do saméj zasady naszéj historycznéj i prawnéj, między autorem i nami niepojednane różnice. Jemu prawda, a wedle nas złudzenie, a złudzenie najszkodliwsze. Każdy ulega prawu historycznemu, jakie dla siebie przyjął, i następstwom zeń płynącym fatalnie. My z nas samych i przez nas samych poznajemy jestestwo Słowian i Polaków. Autor po za Słowianami szuka naszych początków i objaśnień, jaka była ich społeczna i polityczna zasada, — jaki ich duch, co on ze siebie rozwinął — rozwinął wedle nas, a wedle autora, przerabiał, naśladował i nakoniec zużył to, co jemu Saksonowie dali — organizm. My posiadamy przekonanie, że naród jakikolwiek dwóch zasad, dwóch duchów, dwóch kierunków mieć nie może. Społeczność dwiema prowadzona zasadami, na dwa rozdwojone duchy byłaby rozerwana we swojéj najgłębszéj istności, — byłaby we sporze nieskończonym, ani powstać, ani istnieć, ani rozszerzaćby się nie mogła.

Takie przecież autor o społeczności polskiéj udziałał sobie wyobrażenie. Słowianin, Polak był innym jako człowiek, a innym jako obywatel; innym u siebie, we swojéj rodzinie, a znowu innym na sejmie, co jednak autor gdzieindziéj odrzuca mniemając, że Słowianie rząd i władze społeczności ułożyli na wzór rządu i władzy rodziny. Władyka, kniaź, wojewoda, król, był to władyka rodziny, rozszerzony, zastosowany do całéj społeczności. Myśl nie zła — trafna nawet, — ale cóż? Autor jéj głębokości rozpatrzyć, we wszystkich objawach naszéj i Słowian historyi dojrzeć nie umiał. Jestto perła znaleziona najszczęśliwiéj i niepoznana, we swojéj nieogarnionéj wartości. Gdyby był poszukiwał zastosowania i działania téj myśli w prawie cywilnem i politycznem, autor byłby niezawodnie odkrył, że to co powiedział o królu, jedynym właścicielu ziemi, o stanach pierwszego wieku zawiązania polskiéj społeczności, nie ma żadnéj postawy.

Słowianin, jako człowiek, przedstawia piękne i ujmujące strony. Kocha Boga, miłuje bliźniego, ma miłość dla całéj ludzkości, robi nawet moralne postępy, a dla obcych i podróżnych wylany i gościnny, ludzki nawet dla wrogów, we

wszystkich stosunkach życia łagodny, wesoły, śpiewny i melodyjny. 101, 108. To znamie cichéj, ujmującéj wesołości i swobody uderzało ponurych i dzikich Niemców, którzy ogólnie powiedzieli,—Slavus saltans. Podróżny, gość, u Słowian byli nietykalni. Był publiczny obowiązek zemsty, jeżeli ktokolwiek gościa, cudzoziemca ukrzywdził. Wolno było wziąść u sąsiada, aby gościowi dać hojne przyjęcie; jeńcom dawano wolność, albo obywatelstwo. Lecz najwyżéj zajmowała Niemców czystość słowiańska mężatek i panien. Najokazalszy hołd Słowiankom złożył Swięty Bonifacy.

Autor dojrzał jednak ciemne strony obyczajów, charakteru Słowian, zaprzeczając temu, co tejże chwili powiedział. Słowianin ma być przykrym dla swoich, samolubem; nieskromny, pijak, żarłok i marnotrawca. Słowianka miała być lekką; jéj cnota za często szwank ponosiła. 107.

Jako obywatel, Słowianin i Polak był lekki, ruchawy, płynny, niecierpiący form zewnętrznych; wady, które charakter osobisty i domowy obłąkały co raz mocniéj, i trzeba wieków, aby jeden i drugi, charakter domowy i publiczny naprawić, aby do umysłu Słowian wprowadzić ulepszenie i upamiętanie. 108.

I zaraz inny widok. Oni Słowianie obłąkani we swoim charakterze, dla których potrzeba było, albo będzie potrzeba wieków, aby się upamiętali, do zdrowych zmysłów przyszli, — lekcy, żarłoki i marnotrawce, lubiący,—nie iść, ale skakać, dawać susy, III. nie zaszli tam, gdzie powolnie zaszli Niemcy; a jeżeli zapytamy autora, gdzie zaszli Niemcy? czytamy, że dzisiejsza cywilizacya niemiecka oparta na grubym materyalizmie, III., że nigdy dosyć Niemcowi. Jestże to wyrzut Słowianom marnotrawcom? Jednak autor we słowiańskim duchu zrobił odkrycie najsprzeczniejsze swoim twierdzeniom. U tych lekkich i skakających Słowian, płynnych, widzi i bardzo słusznie niepożyte siły, których nawet nieszczęścia polityczne nie wytępią. Jakaś niewidoma moc utrzymuje Słowian przy życiu; Słowian Turcyi i Austryi; — przy napozor najwyższéj niemocy, były w nich niezłamane potęgi. Jakby na urągowisko zdrowemu rozsądkowi Słowianie bez-

rządem utrzymywali swoje rządy, a taki u nich hart, taka miłość swoich rzeczy, swojego jestestwa, że nie ma ludku słowiańskiego, któryby chciał odstąpić albo odstąpił swojéj narodowości, III. 112. I prawda. Słowian Łaby i Odry Niemcy wytępić musieli. Uniesiony, natchniony autor, Słowian nad Niemce uznaje wyższymi; rozumie, że duch słowiański jeszcze się nie wysilił; co przecież nie przeszkodziło autorowi wyznać na inném miejscu, że pewna narodowość słowiańska głos ze starości straciła, skonała i umarła, a wiemy, że wedle autora, tylko takie narodowości, ich ducha, najlepiéj zrozumieć i przedstawić można, które umarły. Życia autor ująć nie umie i wierzy, że ująć nie można. Najogólniejsze wyobrażenie, jakie autor sobie wyrobił, jest, że charakter, że duch Słowian, ma wyższość nad niemieckim, przecież „rzeczywiście jest nijaki“ III., ani tym ani owym, nieoznaczony, niemający wyraźnych znamion, bez wewnętrznéj energii, bez organizmu — coś — i nic razem [7]).

Lecz jeżeli taka z przeszłości Słowian, z ich ducha, z ich praw, najwyższa formuła, że duch słowiański jest jeszcze niejaki; upraszamy, jaki użytek wydaćby miały prace autora przedsiebrane na cel, aby „przejrzeć naturę polskiéj umysłowości, umieć odgadnąć tajemnice historyi i literatury.“ Pierwotne dzieje, 12. Na co przezieranie polskiéj umysłowości, która ze stanu niejakości, nieoznaczenia dotąd nie wyszła? — Historya i literatura narodów niejakich, a za takie autor Sło-

[7]) Autor nigdy nie jest jasnym i ścisłym, a zdawałoby się, ma jemu właściwe pojmowanie wielkich czynów polskiéj historyi. Wynalazł, że Polacy Niemcom pruskim zręcznie rozkazowali. Polska Niemcom pruskim nie rozkazowała, ale ich ze sobą, ze swoimi mieszkańcami porównała, dała najpełniejsze swobody i braterstwo. Nie panowała, nie rozkazowała. Autor mówi, że miasta pruskie od Polski odpadły, 111, 112. Nasamprzód, na ziemi nazywanéj pruską, przed fatalném wezwaniem Krzyżaków, żywioł polski był potężny. Daléj, miasta i sioła pruskie właściwiéj rozumiały siebie, aniżeli je rozumie autor, albowiem uznały urzędownie, uroczyście, że wracały do ciała, do którego zawsze należały; że wracały do téj jedności, w któréj zawsze były, a z któréj wyrwała je chwilowo zdrada krzyżacka. Autor mniema, że Krzyżacy tylko wzbudzili ku Niemcom wstręt i żal dawnych Prusów i Polaków. Inni Niemcy, nie. Inni Niemcy Krzyżakom nieprzerwanie posiłków przeciw Prusom i Polakom nie dawali......! Na polach Dąbrowy tylko samych Krzyżaków widziano. Walka Krzyżaków była walką wszystkich Niemców przeciw Polsce, Prusom i Litwinom.

wian, a mianowicie Polaków uważa, nie ma żadnych tajemnic. Wszystko na wierzchu. Napisał sobie autor świadectwo, że przed nim „nie pojmowano polskiéj historyi, że on wynalazł klucz, którym wytłómaczył utajonego ducha naszéj historyi.“ Tym dotąd tajemniczym, a teraz przez autora wytłómaczonym duchem polskim i słowiańskim jestto duch niejaki — ni to, ni owo; i coś, i nic. Umysł i charakter Słowian lekki, skakający, pachole, a pachole opilec i zasłok, jakieżby w nich tajemnice złożone być miały?

Owemu kluczowi, wynalezionemu przezeń, autor przypisuje cudowne działanie. Tłómaczy nim dotąd wszystkim ukrytego ducha historyi naszéj. Lecz owego klucza autor właściwie nie wynalazł, ale tylko ujrzał, wziął, a jako umiał, zrobił zeń użytek. A jak dotąd widzimy, i jak jeszcze wyraźniéj zobaczymy, użytek nadzwyczajnie drobnéj a często i fałszywéj wartości. Czytamy wyznanie, że lud słowiański przechował w swoich zwyczajach klucz potrzebny do odszukiwania wielu w ustawach a nawet kodeksach prawa szczelnie zamkniętych tajemnic: 488. Uzbrojony tym kluczem czarodziejskim, zachowanym przez lud, autor nawet niemieckim uczonym przyrzeka ułatwić „odgadywanie zagadek niemieckiego prawa: 389.“ We dwóch tomach Historyi Prawodawstw pilnie przez nas rozważanych jeszcze nie napotkaliśmy ani jednéj szczelnie zamkniętéj tajemnicy, któraby owym kluczem ludowym otworzona być miała. Bynajmniéj nie dziwimy się temu. Ludowym podaniom, ludowym zwyczajom, ludowéj cywilizacyi, autor przez względy bardzo zacne nadał ogromne i fałszywe znaczenie. Zwyczaj ludowy, zachowany przez lud, nie objawi żadnéj ustawy, nie ułatwi zrozumienia zasad prawnych. Jeżeli są jakie tajemnice historyczne i prawne, zwyczaj ludu tych tajemnic nie rozwiąże. Jestto metoda zupełnie błędna, — wsteczna, raczéj zaciemnić aniżeli oświecić zdolna, wyjąwszy, jeśliby autor dzieje i prawa, te dwie wysokie duchowe umiejętności, uważał jako materyał stawiania i rozwiązywania narad i zagadek. Lud odbiera najsłabsze, najdalsze promienie cywilizacyi; przyjmuje, nic nie daje; nic nie stwarza, niczego nie może

wytłómaczyć. Jestto przeto niepojęte dla nas złudzenie, szukać klucza na otwieranie tajemnic cywilizacyi tam, gdzie ona wywarła najniepewniejsze działanie. Wszystko co autor wykładał o literaturze ludowéj, o zwyczajach ludowych mających tłómaczyć tajemnice prawa, uważamy za najopłakańszy pomysł, szczególniéj w autorze, który o prawnikach rzemieślnikach ma takie wygórowane wyobrażenie.

Prawidło autora, że człowiek, że naród sam siebie ujrzeć i ocenić nie może, że obcych pytać i słuchać należy, spawdza się, ale właśnie na nim samym. Grecy i Niemcy między szóstym a dwunastym wiekiem, którzy Słowian dokładnie znali i niedosyć oceniane o nich zostawili świadectwo, tych wyboczeń umysłu i serca nie widzieli, jakie autor w nich upatrzył, a podał jako powszechne ich narodowości znamiona. Helmold kapłan i Niemiec cóż mówi o Słowianach i Prussach, po większéj części, niezawodnie Słowianach? Nec ulla gens honestior Slavis; multa poterant dici de hoc populo laudabilia in moribus, si haberent solam fidem Christi. Mieli wszystko chrześciańskie, wyjąwszy samo nazwisko. [8]) Kiedy mieszkańcy Szczytna, Szczecina, mówili S. Ottonowi: „U chrześcian są złodzieje, rozbójnicy, — chześcianie chrześcianom zadajecie sobie różne męczarnie, popełniacie wszystkie zbrodnie, — nie chcemy waszéj wiary.“ S. Otton zamilczał, nawzajem tym Słowianom podobnie krwawych nie uczynił zarzutów. Nauka była święta, ale ogólnie, jéj wy-

[8]) Autor we swoich Pierwotnych Dziejach Litwy, Rusi i Polski obwinia duchowieństwo Prusso-Litewskie o wszystkie nieszczęścia, jakie na te ludy bratnie i heroiczne przez ręce niemieckie spadły. Kapłani litewscy i pruscy oszukiwali, bałamucili, opierali się wprowadzeniu postępu, duchowi czasu. Nieszczęście mieć chciało, że postęp, że duch czasu, przynosili rozbójnicy, ujarzmiciele, trzymając w ręku nie krzyż, ale miecz. Przecież okazałe i ujmujące świadectwo Helmolda dowodzi, że duchowieństwo litewskie, chociaż pogańskie, sumiennie i zbawiennie dopełniało swego posłannictwa. Wychowało, ozdobiło obyczajami lud, któremu ksiądz chrześciański i Niemiec wynurzył uwielbienie. Nie zdaje się nam także, aby p. Kraszewski dla kapłaństwa Litwy i Prus miał być sprawiedliwym. I u tych, których niewłaściwie mianujemy poganami, pozostało światło mniéj więcéj mocniejsze udzielone duchowi ludzkiemu przez pierwsze objawienie. Święty Jan pięknie mówi, że każdego człowieka przychodzącego na świat boża jasność oświeca. We wszystkich nas jest Bóg. Chrześcianie czyli poganie, wszyscy jednego mamy Ojca, chociaż mocno pragniemy, aby wszystkie serca ożywiała myśl Chrystusa.

obrazicieli, jéj opowiadaczy, Niemców ku Słowianom ożywiał duch szataniczny,—przynosili mord, rabunek i wytępienie, to samo, co poźniéj, co dziś nawet, a przecież do serca autora przemówić, ująć je i zupełnie przejednać umieli. Nie nasze przecież!

Świadectwo tych, którzy S. Ottonowi towarzyszyli, zdawałoby się, może być przyjęte jako stanowcze, tém bardziéj, że jest zgodne ze wszystkiemi innemi świadectwy złożonemi przez Niemców, a których niepodobna, aby autor znać nie miał. Szczytnianie mogli mieć złudzenie, nie widzieć samych siebie. Lecz właśnie towarzysze S. Ottona wyznają uczciwie: „Prawda, u Pomorzan nie ma złodziejów i zdrady, — skrzyń swoich napełnionych sukniami i kosztownościami nie zamykają. Dziwią się nam chrześcianom, że my nasze rzeczy pod kluczem trzymamy.“ Zarzuty Pomorzan, szlachetne wyznanie Niemców, autor odrzuca, prowadzony swojem przekonaniem — że u Słowian pogan żadnych cnót być nie mogło, że Niemców ozdabiały wszystkie cnoty, — albowiem tylko Niemcy posiadali zasady „prawdziwéj cywilizacyi;“ nie rozumiejąc, nie przypuszczając, czego przecież uczy nawet nasze własne doświadczenie naszych własnych czasów, — że zewnętrznie można wyznawać chrześciaństwo, a wewnątrz mieć usposobienie zupełnie szataniczne. Autor dobrze rozumiał, że przeciw tylu wyraźnym, niepodejrzanym a najpoważniejszym świadectwom, trzeba postawić jakie inne świadectwo. Ma je rękopism skreślony na początku XIII wieku, a zatém później o jeden wiek. Skreślony nie wiadomo przez kogo, a noszący napis: Epistola de leproso per ignem mundato. Jest to zatém jakaś klasztorna banialuka. W téj banialuce, bezimienny — niewymieniony, ani czasu, ani miejsca, ani osoby, banialuce przedstawiającéj dzikie, chrapowate, zawikłane wysłowienie, jest zmianka — że u Pomorzan przekonanych o złodziejstwo za nogi wieszano, co dla arcybiskupa Niemca cudem, czyli cudowiskiem być miało. Ów bezimienny, zdaje się być mnichem niemieckim, przyjacielem Duńczyków, albowiem Pomorzany jako korsarze i łotry wystawił. Był to przeto zwyczajny Niemcom przeciw Słowia-

nom paszkwilik, prawdziwy świstek, który autor uchwycił obu rękoma, aby nim wywrócić wszystkie inne jednozgodne świadectwa. Nulla gens honestior Slavis, mówili Niemcy. Umysł Słowian łagodny i bez zdrady, mówi cesarz grecki. Co to znaczy, odpowiada autor; towarzysze S. Ottona oddali cześć cnotom Pomorzan, a o ich zbrodniach przemilczeli. Z milczenia przeto świadków zeznających zupełnie przeciwne rzeczy, autor wyprowadza nowy dowód, że u Pomorzan panowało zepsucie ogromniejsze aniżeli u Niemców, albowiem Pomorzanie nie mieli zasad prawdziwéj cywilizacyi — jakiéj? — niemieckiéj, VI. 391. Wzdycha autor, na innem miejscu, do, nie wiemy jakiéj, słowiańskiéj Arkadyi. Niestety! z tego, co najuporczywiéj utrzymuje, wynikałoby, że owa słowiańska Arkadya, jestto kraj pacholąt umysłów dziecinnych, a krasomówczo — ślimaków.

Autor upadek dawnych Prussów, zatracenie ich narodowości uwielbianéj przez Helmolda, księdza i Niemca, przypisał oszustwom i oporowi kapłanów, widocznie godnych potępienia, albowiem wolności, własności i niepodległości bronili, czuli wstręt ku cywilizacyi, ku niemieckiemu postępowi przynoszącemu wytępienie. Autor może mieć litość dla tych dawnych Prussów wytępionych szatanicznemi sposoby, lecz wytępienie przyznaje, usprawiedliwia. Czemu nie? Zwyciężyła niemiecka cywilizacya — „owa romantyczna rycerskość Niemców,“ 245, których Bulla papiezka synami szatanów nazwać a Polska wielkość i męztwo, na polach Dąbrowy, potłumić musiała, wspaniale a nieopatrznie przebaczając zwyciężonym, owym, jako ich wieszcz napiętnował, chłeptaczom krwi polskiéj i pruskiéj, a wedle autora, „romantycznym rycerzom“ Niemcom. [9])

Co o dawnych Prussach, toż samo mniema autor o Słowianach Laby. Także przepadli. Czemu? Dla téj saméj przyczyny co i Prussowie. Nie zrozumieli ducha czasu, unikali chrześciaństwa, zamknęli się we swojéj narodowości, jako

[9]) Polecamy rozpamiętywaniu autora, wizerunek Krzyżaków, prześlicznie skreślony przez uczone polskie pióro p. Szajnochy.

ślimak we swéj skorupie, 108; chociaż na inném miejscu, autor postawił między pięknościami, między potęgami niepożytemi Słowian, — to, że oni narodowości zmieniać, odstępować, do Niemców przechodzić, ich duszy przejmować nie chcieli. Autor zupełnie błędnie, najniehistoryczniéj wytłómaczył opór stawiany przez Prussów i Słowian Laby owéj mniemanéj cywilizacyi niemieckiéj, a głównie przyjęciu Ewanielii, któréj przykazania, nie znając jéj wedle Helmolda, Prussowie pobożnie spełniali. Polanie, Polacy i Pomorzanie, chrześciaństwo, albo dosyć łatwo, albo najłatwiéj przyjęli, skoro wiedzieli, że takie przejście nie grozi ich wolności, ich narodowości, ich prawom, ich urządzeniom ojczystym. Jagiełło nie miał potrzeby mordowania swych Litwinów; przekonywał, nauczał, nie przymuszał, i zaledwie 1414 Żmudź dobrowolnie wyznanie chrześciańskie przez braterskie pośrednictwo polskie przyjęła. Ani Pomorzanie, ani Polanie, ani Litwini, nie zamknęli się we skorupie narodowości; mieli szczęście przyjęcia chrześciańskiéj nauki przez wpływ braterski, przez sposoby prawdziwie ewangeliczne, jedyne jakich Chrystus używał; albowiem wedle rady apostołów, na opornych ognia spuszczać nie chciał, mówią owe boskie słowa: Bóg każe świecić słońcu swojemu nad sprawiedliwymi i nad niesprawiedliwymi; to jest, nad tymi, którzy mnie przyjęli i nad tymi, którzy mnie przyjmą. Słowianie Laby opierali się i słusznie.

Wszak autor zna Helmolda, który naiwnie opisuje, że Niemcy tylko dziesięcin i pieniędzy szukali, że wyrzucali Słowian z ich grodów, z ich włości, z ich pól uprawianych pięknie, a osadzali na nich hołysze, hultaje, zbrodniarze przekonane sądownie, ale Niemce. Jestto przeto dla nas zadziwiające, jestto dla nas nieopisana boleść czytać badacza, który zapowiedział zrozumienie tajemnic słowiańskiéj i polskiéj historyi, dającego rozgrzeszenie wytępieniu Słowian Laby przez ujarzmienie niemieckie! Tych ślimaków zamykających się we skorupie narodowości potrzaskała romantyczna, rycerska, postępowa, duch czasu wyobrażająca niemiecka cywilizacya! — Ślimaki, żarłoki, opoje, marnotra-

wce, bezwstydni, bezrozumni, nie pojmujący ducha czasu przybierającego oblicze niemieckie. Cóż że zginęli? Zwyciężył postęp, zyskała ludzkość, któréj obojętna, jakim teraz mieszkaniec Łaby przemawia językiem,—słowiańskim czyli niemieckim. Autor wymienił, gdzie i do jakiéj chwili u dzisiejszych Niemców przetrwał język słowiański: naprzykład miasto Lipsk dopiero we wieku XV słowiański porzuciło język. Na Szlązku księztwo Głogowskie, dopiero w zeszłym wieku zaniechało używać dawnych praw polskich. Jestże to odeń jakie pobożne wspomnienie, jaki żal polski? Jestże jaka myśl, jaka świętość w tych pamiątkach? — Po kim te ułamki? — Po ślimakach, albo opojach, żarłokach, bezwstydnikach i wszetecznicach. Lepiéj, że przepadli.

Uważając srogości niemieckie przeciw Słowianom po odniesioném stanowczém zwycięztwie nad nimi, raczéj dziwić się należy, że mowa słowiańska tyle długi czas pośród Niemców utrzymać się mogła. Anhalt 1297, Altenburg 1327. Lipsk 1372, a na wsiach 1474 mowa słowiańska zniknęła. Na początku XV wieku, Saksonia górna, Miśnia, Meklemburg, Pomorze Zachodnie, Rugia zupełnie się wyrzekły słowiańskiéj mowy. Karol IV, cesarz niemiecki a król czeski, chociaż Niemiec, polecał elektorom naukę słowiańskiéj mowy, przez wzgląd że znamienitą część ludności cesarstwa składali Słowianie. Za rządów Józefa cesarza Niemiec, na radzie państwa rozbierano, jakaby mowa najwłaściwiéj urzędową byćby mogła dla krajów składających dzisiejsze cesarstwo Austryi. Przyjmowano język słowiański, ale odrzucono, przez wzgląd, że Józef II był cesarzem Niemiec. Dziś ten wzgląd stracił wszelkie znaczenie, — a jednak Austrya zatrzymała niemiecki urzędowy i naukowy język, chociaż zaledwie jedna ósma ludności monarchii używa niemieckiéj mowy.

Autor przypuszcza, że być miała Rzesza Niemiecko-Słowiańsko-Litewska, któréj kierunek trzymali Niemcy,—naturalnie—jako posiadający dar władzy i organizacyi,—dar odmówiony słowiańskiemu rodowi. Jednak czytamy, że po zebraniu téj Rzeszy, po założeniu polskiéj społeczności przez

żywioł saski, przez Lechity, wyjawiły się różnice cywilizacyi tych ludów, różnice na korzyść Niemcom a dosyć przykre Słowianom. Polacy postępowali i cofali się, kiedy przeciwnie Niemcy wciąż szli w rozwoju cywilizacyi, zakończonym, jako autor wyznał, przez gruby materyalizm. Cywilizacye Polski i Niemiec miały odmienny pochód, szły odmiennym torem,—polska postępującym i cofającym się,—niemiecka zawsze postępowym; a wyznajemy, że nie pojmujem nawet, co chciał powiedzieć, co myślał autor, kiedy twierdził, że cywilizacya polska „postępując cofać się wstecz nie przestawała“ 484. Co znaczy postęp, czyli jest postęp narodu, który nie przestaje cofac się wstecz? Jakim powodom autor przypisał to, że polska cywilizacya postępować i bezprzestannie wstecz cofać się miała; że Niemcy wciąż postępowo prowadzili rozwój swojéj cywilizacyi? Położeniu ziemi zajmowanéj przez Słowian i przez Niemców, ich różnemu politycznemu układowi. Tych powodów bliżéj nie rozjaśnił; co twierdził, nie wsparł dowodami. Lecz ziemia zajmowana przez Niemce i Słowiany nie ma takich niezmiernych sporności, aby z nich odmienne kierunki cywilizacyjne można wyprowadzić. Przytém, wedle nas przynajmniéj, wpływ zewnętrzny natury na zasadę i rozwój cywilizacyi nie jest tyle stanowczy. Układ polityczny Słowian i Niemców także tych odmiennych cywilizacyjnych kierunków nie mógł wywołać, skoro sam autor wykazał, czyli raczéj chciał wykazać podobieństwo pierwotnych urządzeń u Słowian i u Niemców, że myśl saska stworzyła polskie społeczeństwo i zamknęła je, nawet skończyła. Te powody sam autor uznał za niepewne, niedostateczne i niedosyć wyjawiające owe postępy i nieprzerwane na wstecz cofanie się polskiéj cywilizacyi,—ów nieprzerwany rozwój polskiéj cywilizacyi. Jakiż był inny ważniejszy, stanowczy powód tych odmiennych cywilizacyjnych kierunków u Słowian i u Niemców? „Przeznaczenie losu“ 484. Dotąd przynajmniéj, żaden uczony nie wykładał, aby zasady i rozwój cywilizacyi, albo różnice można tłómaczyć przeznaczeniem losu,—przeznaczeniami i losami. Przeznaczenie, jest to fatalizm. Los, jest to chybił i trafił—

przypadek,—a jedno i drugie znosi wolność ducha i nie pozwala, aby początkiem ludzkich stosunków, cywilizacyi narodów, miało być jakie wyższe prawo, jaka wiedza, jaka umiejętność. Nic widzieć, nic znać nie mamy, nic z nas samych nie wypływa. Bóg przez sumienie i umysł człowieka nie objawia się. Przeznaczenie i los kieruje postępem albo cofaniem się cywilizacyi; ulegamy, nie działamy. Jesteśmy narzędziami, a nie działaczami wolnymi, moralnymi. Nie trzeba mniemać, aby „owe przeznaczenie losu“ chwilowo, nieuważnie i lekko, jako sposób tłómaczenia historycznych i prawnych użyte być miało. Jeżeli Słowianie przejęli od innych wyżéj ucywilizowanych narodów—niewymienionych atoli przez autora, zasady i światła, nie mając przecież mocy moralnéj zatrzymania ich, czemu to przejęcie przypisać należy? „Trafowi szczęśliwemu“ 487. Przeznaczenie losu zatém i trafy szczęśliwe, są to jedyne a najwyższe sposoby, jakie autor wynalazł na zrozumienie postępu i cofania się słowiańskiéj i polskiéj cywilizacyi. Lecz nawet i z tych szczęśliwych trafów Słowianie korzystać nie mogli. Nadaremnie ocierali się „o wysoce ucywilizowane europejskie ludy“—albowiem, „nie mieli tyle moralnéj siły,“ aby zatrzymać to wielkie i piękne, które u innych widzieli i od innych chwilowo powierzchownie przyjęli. Przybyło zatém jeszcze jedno znamie właściwe przysądzone słowiańskiemu—*moralna niemoc*. Znanyż jest jaki lud, któryby niżéj Słowian a mianowicie Polaków mógł być postawiony? To jedno twierdzenie autora wystarcza na okazanie, jaka być może wartość Historyi Prawodawstw Słowiańskich, jakiéj jest natury myśl, która przyświecała poszukiwaniom autora i zasadzie praw. Najwyższe, niejako święte rozważamy rzeczy—prawa—dzieje Polski—zasady i kierunki cywilizacyi. Lecz, zwyczaje ludu, przeznaczenie i los, są to sposoby żadne albo i najgorsze nawet, otworzenia tajemnic umiejętności historyi praw.

Nie dosyć. Autor przedstawia nam jeszcze ciekawsze, a jeżeli mamy powiedzieć, jeszcze niepodobniejsze i powierzchowniejsze swoje pomysły, o prawie słowiańskiém i polskiém.

Jakie nauki, jakie uzacnienie, jakie podniesienie duchowi naszemu przyniesie; jakie zrozumienie słowiańskiéj i polskiéj przeszłości przedstawi owa Historya Prawodawstw Słowiańskich, któréj autor niezaspokojony tém ohydném, które rzucił na umysł i na serce dawnych a nawet i dzisiejszych Słowian, naprzykład mówi: Słowianie i Niemcy jedne i też same zasady prawne z Azyi wynieśli. [10]) Wzajemnie na

[10]) Autora uznajemy szczęśliwym. Wie, że Słowianie i Niemcy wyszli z Azyi, a jedne i też same zasady unieśli, chociaż na wykazanie téj tożsamości zasad, żadnych a przynajmniéj domyślnych nie przytoczył dowodów. Kiedy wyszli? Że wyszli, i my się zgadzamy,—ale kiedy? —ale czyli razem? także autor nie objaśnił. Z tych świadectw, jakie dotąd mamy, Słowianie są może najdawniejszymi mieszkańcami Europy. Ród niemiecki jest w niéj dosyć nowy—jako nowymi i Germanie. Nic a nic nie upoważnia mniemać, aby pierwotnie, w Azyi, między Słowianami a Niemcami zachodziły jakie stosunki, było jakie podobieństwo zasad politycznych, prawnych i narodowych — a jeszcze mniéj, jednakowość, tożsamość tychże zasad, tyle pewnie twierdzone przez autora. Téj jednakowości, téj tożsamości zasad i wyobrażeń między Niemcami a Słowianami, nigdy nie było i nie ma. Autor może Niemcom swoje serce otworzyć i nawzajem w ich sercu zamieszkać; ale teraz, jako i przed wiekami między duchem słowiańskim a duchem niemieckim była sporność, była nieprzebyta głębia. To bynajmniéj nie zachęca, abyśmy Teutony nienawidzić mieli. To oznacza tylko, że Teutonami nie byliśmy nigdy, nie żyliśmy ich duchem, nie mieliśmy z nimi politycznéj, duchowéj spólności. Ta różność wewnętrznéj natury Słowian i Niemców jest zaiste najmocniejszym dowodem przeciw wymyślonéj przez autora rzeszy słowiańsko - niemieckiéj, o założeniu polskiéj społeczności przez Lechity, przedstawiciele saskiéj organicznéj myśli. To należał był rozumieć autor, który zna, że to, co Słowianina czyni szczęśliwym, to Niemca trapi. 1, 103. Kiedy Słowianin szanował, czcił swoją ziemię, umierał na niéj, swobodny albo ujarzmiony, Niemiec obojętny — zimny, podobny gąsiennicy, wlókł się do innych ziem, objadał je, paskudził i zatruwał. Autor rozpisał się a rozpisał o pierwiastku ludowym, o podaniach ludowych, o literaturze ludowéj,— a temu wszystkiemu dał najpotworniejsze znaczenie. Czemuż, przynajmniéj pod tym względem, nie poszedł za natchnieniem ludu, fałszywém co do symbolu, a najprawdziwszém co do myśli, która sobie symbol stworzyła. Lud polski szatana widzi w postaci Niemca. Na to mógłby się zgodzić i autor nawet, który przecież zrozumiał, że owa wielbiona przezeń cywilizacya saska czyli niemiecka, we swym ostatnim wypadku, zakończyła „na grubym materyalizmie.“ Pismo Święte nie mówi: szukajcie złota, a wszystko inne będzie wam przydane. Ale Pismo Święte naucza i rozkazuje — szukajcie sprawiedliwości, a wszystko inne będzie wam przydane. Syn człowieczy — nasz Zbawiciel, mówił: nie mam kamienia, na którym skłoniłbym głowę. Jakże często Słowianin był wiernym i cichym uczniem swojego Mistrza. Narażał, nawet tracił wszystko, aby tylko sprawiedliwość zachować. Nią potężny i bogaty, może bezpiecznie czekać lepszéj przyszłości. Bóg nie kłamie!

Potius mori quam faedari — wierzyli ci właśnie Słowianie Laby, którym autor srodze zarzucił, jakoby ducha czasu zrozumieć nie umieli. Woleli po heroicznym oporze, raczéj umrzeć, opuścić błogiemi przez nich udziałane niwy, aniżeli uznać obyczaj niemiecki, — owe ślimaki. Jakże serdeczniéj i historyczniéj tych Słowian Laby ocenił i uświetnił uczony Pogodin!

siebie wpływali, ale przecież tylko Niemcy korzystać umieli, a Słowianie *zbydlęciawszy*, nie raz do tego stopnia, że w złém sobie smakowali prawie, i na lepsze, chociaż mogli, zamienić nie chcieli.“ 1, 33. *Zbydlęcieli, złe miłowali!* Gdyby był sąd swój ścieśnił, ograniczył! Ale nie — wydał sąd ogólny o wszystkich Słowianach, we wszystkich czasach. Po tém oznajmieniu, że Niemcy korzystać umieli, ciągle a pięknie rozwijali siebie, kiedy przeciwnie Słowianie postępowali wprawdzie, ale nieprzerwanie wstecz się cofali, nakoniec zbydlęcieli i złe prawo — czyli samo — złe umiłowali; prawie na téjże saméj stronnicy, czytamy następne porównanie praw słowiańskich i niemieckich. Prawo słowiańskie było ostre, surowe a nawet pod pewnemi względy nie ludzkie. Prawo słowiańskie odebrało posłannictwo szwanki praw niemieckich naprawiać, odrabiać to, co prawo niemieckie na szkodę ludzkości zdziałało. 1, 32. Ze związku Niemców i Słowian pod imieniem Rzeszy Swewów, wedle autora, na Słowian wielkie dobrodziejstwa spłynąć miały. Jednak tenże sam autor, o kilka wierszy niżéj, wyznał: „surowością nacechowane niemieckie prawo nie mogło złagodnieć, chociaż je przeniesiono do słowiańskiéj ziemi — tortury, — i nawzajem słowiańskie prawo przeniesione do ziemi Niemców, srogi a nawet nieludzki przybierało charakter — kara za kradzież pszczół. Pierwsze choć mogło, nie chciało być łagodném, — nie chciało — a drugie musiało być srogiem, gdy łagodném zostać nie umiało, srogość niemiecką mając przed oczami.“ 1, 33. Czyliż tak? Lecz jeżeli tak, a czemu mniéj więcéj nasze dajemy przyzwolenie, upraszamy, cóż mają znaczyć owe okropne wyrzuty przez autora czynione Słowianom — moralna niemoc, nieprzerwane cofanie się wstecz, umysł dziecinny, zbydlęcenie, zamiłowanie zła? Jakże się utrzyma ulubiona autorowi teorya wyższości Niemców nad Słowianami? Niestety! Jestto tylko wyjątek, zapomnienie się chwilowe, że użyjemy mowy autora, jestto traf szczęśliwy, — autor wyskoczył ze swojéj teoryi, ale natychmiast do niéj powrócił — ani zmienił, ani złagodził. Jakieś wyższe błogosławione natchnienie rzuciło autora na

kierunek właściwy, rzeczywiście słowiański, prawdziwie historyczny. Lecz natchnienia nie przyjął i nie zrozumiał; a gdyby był przyjął i zrozumiał, jakże odmiennie i użytecznie byłby był przedstawił rozwój historyczny praw słowiańskich, — a co nas i najżywiéj obchodzi — rozwój praw polskich.

III.

Z tego co autor mówi o umysłowości i cywilizacyi Słowian, a co on dla siebie za najprawdziwsze, za treść swoich poszukiwań uważa, wynika loicznie, że Słowianie nigdy samoistnymi nie byli i nimi być nie mogli, z samych siebie zacząć i niejako stworzyć nie umieli. Ich duch nie pokonał „wewnętrznéj niemocy.“ Jeżeli posiadali i historycznie objawili jakie dobro, objawili nie sami przez siebie ale wzięli od innych, albo przyswoili sobie przez jakiś traf szczęśliwy. Dziwił się autor tym swoim dostrzeżeniom, nawet się smęcił niemi i nareszcie przekleństwo trapiące Słowian przerzucił na „losy i przeznaczenia.“ Sposób łatwy, ale powątpiewamy, czyli umiejętny, pojmowania i tłómaczenia życia narodów.

Takie przecież pojmowanie i tłómaczenie słowiańskiéj myśli autor, zdaje się, jeszcze wydobył z historyi Słowian, opiera je na historycznych dowodach. Przecież gdyby owe dowody być miały takiemi rzeczywiście, za jakie autor je przyjmuje, bylibyśmy zmuszeni wyznać, że u Słowian nie było nigdy tego, co mianujemy duchowém istnieniem. Zawsze zależni, przyjmujący, bierni, nigdy swobodni, niepodlegli działacze. To piękne i rozumowe, które czasami objawiali, było u nich ale nie z nich, była-to moc pożyczona im. Odbijali cudze światło, lecz ich natura sama światłości nie mogła wydać.

Nie jest obojętném przeto poznać, co autor mówi o pochodzeniu Słowian. Dotąd, pod tym względem, nie uzyskał dla siebie jakiéjkolwiek pewności i przedstawia najdziwniejsze pomięszanie.

Autor czytał, że Słowiany nazywamy szczepem indoeuropejskim, [11]) ma przeto Słowian za wychodnie indyjskie. To nie jest dokładne, nie jest dowiedzione. Indye dzisiejsze, na południowéj spadzistości gór Himalaja, zaludnił, a właściwie zajął czyli podbił lud inny, północniejszy, — wysoko ukształcony. Ten lud używał sanskryckiéj mowy, a jeżeli podobieństwo mowy za dowód pochodzenia brane być może, — ku czemu jesteśmy bardzo skłonni, — Słowianie są tym północnym ludem. Pochodzimy zeń, ale nie z kraju starożytnych i dzisiejszych Indyi. Jakiekolwiek pierwotne miał nazwisko ów północny lud, [12]) jemu dotąd, a zapewne i na zawsze tajemniczemu, należy przypisać pierwsze wykształcenie Europy i Indyi. Są to dwa rozgałęzienia téj saméj mowy i myśli. [13]) Z temi Indyami, które zna starożytna historya, a Słowianami i ludami innemi Europy, nie ma związku, nie jesteśmy z nich. Autor dostatecznie nie rozpatrzył przedmiotu.

Tych Słowian indyjskich, gangesowych, autor wprowadza do Europy na wiele wieków przed Homerem, nie mówiąc do jakich stron Europy; ociera je o ludy europejskie dawniéj zamieszkałe, a wysoko ucywilizowane, zapominając nareszcie owe ludy Europy, które swojéj cywilizacyi wysokiéj Słowianom miały udzielić. U tych nienazwanych ludów europejskich Słowianie wziąć mieli pierwsze pojęcie o prawie. Sami nic nie mieli, nic nie wynieśli z Indyi, które przecież, i nie bez powodów, uwielbiała starożytność. Dzicy, słabi, nie mieli oni jeszcze dosyć „moralnéj mocy“ na zatrzymanie tych prawnych zasad, tych

[11]) Niemiecka narodowa duma ludy indyjsko-europejskie przezwała indo-germańskiemi, jakoby duch niemiecki miał być założycielem i pierwszym wykształcicielem Europy. Téj dumie hołduje nasz autor, chociaż nowsi, niepodlegli uczeni niemieccy sami wyznali, że Niemcy pierwsze żywioły cywilizacyi od Słowian przyjęli.

[12]) Święte pismo Indyan wskazuje wyraźnie północne pochodzenie światła, które z północy weszło do Europy.

[13]) Vergleichende Grammatik przez Boppa wykazała, że mowy: słowiańska, grecka, łacińska, niemiecka i litewska wyszły z sanskrytu. Mowa litewska zachować miała cechy i formy, nieznane nowszemu sanskrytowi, co stanowiłoby dowód, że dla mów litewskiéj i nowszego sanskrytu jest inny spólny, dawniejszy początek.

żywiołów cywilizacyi, które im udzielone być miały, których przecież autor nie wyszukał, żadném nie naznaczył imieniem. T. I, str. 487.

Cóż zatém głównie odznacza lud, który późniéj pod imieniem Słowian wystąpił? Brak własnéj duchowéj siły, niemoc zatrzymania tego co przyjął od innych ludów europejskich wysoko ukształconych, o które się ocierał trafem szczęśliwym. „Traf szczęśliwy“ wprowadzony jako sposób stworzenia cywilizacyi narodów.

Nie bez celu autor Słowiany z Indyi prowadzi. To pozwala jemu twierdzić, że Słowianie ze swojéj pierwotnéj ojczyzny kasty wynieśli, że i Polska przeto w swojéj społeczności kasty zachowała, a naucza to wszystko wbrew niewątpliwym historycznym świadectwom, a nawet wbrew samemu sobie.

Słowianie, w swojéj ku Europie podróży, nawiedzili Kaukaz, gdzie zasady prawnicze o spadkach przejęli, gdzie wynalazł jeszcze miano Lechitów, chociaż na inném miejscu usiłował wykazać, że tychże samych Lechitów, założycieli polskiéj społeczności, Germania, owa przesławna rzesza słowiańsko-litewsko-niemiecka wydać miała.

Z Kaukazu, niewiadomo jakim kierunkiem, Słowianie weszli do Europy i założyć mieli pierwsze osady nad brzegami Dunaju. Tu, chociaż niewiadomo kiedy, Słowianie i Grecy na siebie wpływali, a Pelazgowie Traków, mniemanych Słowian, wdzięcznie wspominać mieli, chociaż gdzieindziéj tychże Traków autor panami i ujarzmicielami Słowian ogłasza, mówiąc, że z tych ludów, niewiadomo jakich, które Skitowie i Traki w ścisłéj trzymali niewoli, wyszli Słowianie. T. I, 435. Być przeto mieli Słowianie niewolnikami Traków i Skitów, ale dobroczynnych dla nich. Nagięci jarzmem wykształcali się, przyjmowali organizm. Pod panowaniem Skitów a późniéj Normannów i Niemców, Słowianie rozwinęli swoje polityczne życie, T. I, 441,— ale zawsze życie nie własne, wzięte od innych. Przecież inaczéj być nie mogło. Umysł dziecinny Słowian, ich duchowa niemoc uczyniła koniecznem, że ludom wyższym

przez ukształcenie ulegać i siłami duchowemi u nich wziętemi musieli się rozwijać. Wszystko mamy od innych, z siebie nic. Błąd nie jest bez powagi. Lelewel i Bielowski ujęci, zachwyceni domysłami Gotterera, wynurzonemi pod koniec XVIII wieku, Gotów i Daków uznali praojcami naszymi, czystymi Słowianami. Z nich nasze duchowe początki. Keneus,—miał-to być urządziciel Słowian, niejako objawiciel dla nich. Głęboko się nad nim rozmyśla Lelewel, lecz Strabon podobno świadomszy tych rzeczy i tych czasów, podał, że Keneus wiele podróżował, zwiedził Egipt, wyuczył się czarnoksięztwa, zasłynął między Dakami i dla nich był Bogiem. Od prawodawcy do czarnoksiężnika jakże daleko! Owi Dakowie, czyści Słowianie, albo tylko nauczyciele ludów późniéj nazwanych Słowianami, — albowiem sam autor dobrze nie wie, za co ich właściwie mauważać, — T. I, str. 128, — pokonani przez Trajana, przeszli za Karpaty na północ i dali początek dzisiejszym Słowianom; do téj nowéj a ostatecznéj ojczyzny wnieśli całe polityczne i religijne ukształcenie, co nastąpić mogło po 106 r. Widocznie autor wierzy, że przed tym rokiem na północy Karpat, nad brzegiem Wisły, Warty, Odry i Laby, Słowian żadnych nie było, wyjąwszy może jakie gromadki, które autor „pocztami“ nazywa. Było cóś, ale ludu nie. Nie tu miejsce wykazywać, że nie ma dowodów dozwalających Daki za Słowiany uważać, że należałoby odrzucić wszystko, co dotąd za pewne przyjmowano, aby przypuścić, że równiny na północy Karpat dopiero w 106 roku po Chrystusie Dako-Słowian przyjęły, że z tych Daków wyroili się Słowianie. Temu nawet sam autor nie wierzy, kiedy Boulanes, Pulanes, Polani, zaraz po Chrystusie po obu brzegach Wisły sadowi, kiedy Swewów za związek ludów słowiańsko-niemieckich przyjmuje. Czasami zdawało się jemu, że nazwa Swew, Swewy skoszlawiona przez Niemca, czystych Słowian oznacza.

Dakowie, Słowianie, albo tylko lud wychowany przez Daki, wykształcony przez nich, posuwając się do północno-zachodniéj Europy, napotykali Keltów, Franków, Li-

twinów, [14]) Normannów, [15]) łączyli się z témi narodami, najgłówniéj jednak z Normannami i Litwinami, i nakoniec wystąpili pod imieniem „zagadkowych“ Swewów, owéj rzeszy różnych ludów. Jestto Germania słowiańska odszukana przez autora, — owa „kolebka polskiéj cywilizacyi,“ z któréj wyłamawszy się Lechici, ożywieni saskim duchem, u Słowian Warty, Wisły, Bugu i Dniepru, zakładali rządy, pisali zakony, a owe silne rządy, zakony, polityczne organizmy dokonać się miały pod opieką monarchów, tych zapewne, których przed IX wiekiem społeczności słowiańskie nie znały, — a były i takie, które przeminęły we XIII i XIV wieku, a władzy monarchicznéj przez nie stworzonéj nie znały. Początkowanie monarchiczne pod żadnym względem u pierwszych Słowian znaczenia nie miało. Jest inne źródło życia Słowian dokładnie znane samemu autorowi.

Poszlibyśmy daleko, musielibyśmy rozszerzyć granice naznaczone naszemu rozbiorowi, gdybyśmy chcieli wskazy-

[14]) Podobieństwo mowy polskiéj i litewskiéj autor wyprowadza ztąd, że ludy Polski i Litwy „sąsiadowały.“ Takież samo wynurza mniemanie o mowie słowiańskiéj i niemieckiéj, a uważa, że podobieństwo tych mów jest tém mocniejsze im ku zapadlejszym cofamy się wiekom. Ma to być skutek starożytnéj zażyłości między Niemcami a Słowianami: T. I, 363, 480.

Autor ma jeszcze właściwe sposoby tłómaczenia — cywilizacya udziela się przez „*ocieranie się*“ a podobieństwo mów stwarza zażyłość! Innych wyższych przyczyn autor nie zna.

Zastanawiał autora wyraz: *lud.* Ma on być czysto słowiański. Odeń poszło greckie *laos*, gockie *lanos*, górno-niemieckie — *linta*, *lud*, *ludzie*; u Longobardów — niżsi obywatele — *gmin.*

Daléj *lid*, *litus*, *liti*, *litones*, ograniczeni poddani, ujarzmieni. Wygrzebał autor tych Litów między Fryzonami, a uznał ich Litwinami i Słowianami razem: T. I, str. 434. Tenże sam wyraz spólny mowom: greckiéj, łacińskiéj, gockiéj i słowiańskiéj dowodzi, że mowy tych ludów mają odleglejszy początek. Podobieństwo mów, ich wewnętrznego organizmu, zażyłość nie wytłómaczy.

[15]) Autor naznacza dwa stosunki Normannów do Słowian, jeden przyjazny — sprzymierzenie, rzesza; drugi przykry a późniejszy, kiedy Normannowie Słowian ujarzmiali, a jednak przyjęli prześliczne urządzenia pokonanych Swewów czyli Słowian i wznieśli się do znacznéj potęgi. Lecz wedle autora ci drudzy Normannowie nie ujmowali obywatelskiéj równości — mieli stany, których nie przypuszczała rzesza Swewów. To mówiłoby raczéj za tém, że nie przejęli politycznych urządzeń u tych, których pokonali. Zasada stanowości wyłączy równość przed prawem. Zdawałoby się, że czasami autor wyrazom najznajomszym podkłada znaczenie zupełnie nowe. Ci drudzy Normannowie, założyciele stanowości, oparli rządy gminne, gminowładne, demokratyczne, oparli — na czém? Na stanach, to jest na zaprzeczeniu, na wywróceniu naczelnéj zasady gminowładnych rządów: T. I, 524.

wać wszystkie niepewności i sprzeczności, jakich sobie autor za często pozwala, przeto nadmieniamy tylko, że wedle teoryi podanéj przez samego autora, nie monarchowie ale Lechici z Germanii wyjść mieli, że nie monarchowie ale jeszcze Lechici założyli polskie społeczeństwo, dali jemu pierwszy organizm. Pod żadnym względem, nie możnaby historycznemi czynami udowodnić twierdzenia, jakoby polska społeczność przez monarchów założona i rozwijana być miała, jakoby polskiemu społeczeństwu zakony przez monarchów nakładane być miały.

Zupełnie odmienny żywioł początkował życie Polski i rozwijał je. Nie jest naszym zamiarem rozpoznawania, czyli ten odmienny żywioł był zbawiennym albo fatalnym dla dawnéj Polski. Nawijał się ów odmienny żywioł uwadze autora, kiedy mówi, że ludy słowiańskie po za granicami Germanii „samodzielne zakładali rządy." Lecz téj myśli pilnie nie rozważył, a rozważając ująć nie mógł, związany warunkami swojéj dziwnéj teoryi, — wewnętrznéj, nieuleczonéj niemocy Słowian. Wychowańcy Greków, Traków, Daków, Skitów, Normannów, zawsze kierowani albo ujarzmiani przez innych, zawsze bierni, mogliż oni samodzielnie zakładać rządy, mieć swoje własne samoistne myślenie i działanie? Lechici, wychodnie z Germanii, wyobraziciele niemieckiéj myśli udzielili Słowianom Warty, Wisły, Sanu i Dnieptu zasady polityczne niemieckie, nie swoje własne, a udzielić mieli zbawienne dla téj przyczyny, że wedle przekonań autora, Słowianie Warty, Wisły i Dniepru nie posiadali siły organizującéj, mającéj założyć jaki polityczny organizm, nie mieli zdolności nadania sobie energicznych rządów. Słowiany byli także owemi ślimakami, których zatracenie nad brzegami Laby autor rozumowo wytłómaczył i usprawiedliwił. Zginęli strasznie ale słusznie, ale koniecznie i zbawiennie, na korzyść wyższéj, ducha czasu wyobrażającéj, niemieckiéj cywilizacyi.

Pozostanie na zawsze niedostępném naszemu umysłowi, czyli podobna w jednéj i téjże saméj chwili zakładać samodzielne rządy, ulegać wewnętrznéj opiece, albo zewnętrznym

potężnym wpływom niemieckim. Żadna społeczność, dwóch zasad, dwóch kierunków mieć nie może, musi być w niéj jakakolwiek jedność—siła związku harmonizująca wszystkie stosunki: albo naród ma własne myślenie, albo je odbiera i właściwie nie jest narodem. Samodzielności i bierności duchowéj —jednoczyć nie podobna. To monstrum polityczne autor uznał za rzeczy święte, za myśl dawnéj społeczności polskiéj, która przecież wedle tych przezeń ułożonych warunków ani jednéj chwili żyćby nie mogła. Byłaby się rozproszyła upatrzywszy, że Słowianie siły organizującéj nie mieli, że nawet nie mieli mocy zatrzymania tych dobrych i organicznych pojęć, które od innych tylko zewnętrznie i lekko przejęli; że Słowianie nie mogli dać sobie sprężystéj formy rządu [16]), że ta sprężysta forma rządu przez innych, kolejno, nadawaną im być musiała przez Skity, przez Traki, Normanny i Swewy. Jakże autor może mniemać, że taki duchowo nędzny i spodlony lud zakładał samodzielne rządy; że była którakolwiek słowiańska społeczność zdolna począć swoje własne życie, wydobywać je i rozwijać samodzielnie? Całe dwa tomy Historyi Prawodawstw Słowiańskich są dowodem, że to za sen należy uważać. Wprawdzie autor uśmiecha się do téj nadziei— „że niwa słowiańskiego prawa na setne lata pozostanie urodzajna.“ My téj nie odrzucamy nadziei, lecz wedle teoryi statecznie popieranéj przez autora, ta nadzieja nie ma żadnéj rzeczywistości,—widzeniem przyszłości, któréj nie przygotowała myśląca, działająca, organiczna społeczność. Nie zbierzesz tego, czegoś nie zasiał a pilnie nie pielęgnował, nie kochał. Autor, a temu chcemy przynajmniéj wierzyć, nie ma nawet przeczucia, jakie przekleństwo przeciw Słowianom złożył we swéj prawnéj teoryi.

Wchodzimy nakoniec do owéj „zagadkowéj Swewii,“ do téj kolebki duchowéj Słowian, a mianowicie Polanów,

[16]) Naprzykład, Polanie Polacy, wedle zdania autora, nigdy nie mieli téj sprężystéj, niemieckiéj formy rządu. Jednak ich byt historyczny, podobno, był długi, miał długie chwile świetności, wydał świetne czyny. Co wszystko byłoby niepodobném, jeżeliby teorya autora prawdziwą być miała.

Warty i Wisły, Wełtawy i Dniepru. Germania, aczkolwiek ozdobiona przez autora okazałém nazwaniem Germanii słowiańskiéj, przez swój żywioł niemiecki, stworzyła ludy czeskie, polskie i ruskie, — ludy bierne, bezorganiczne [17]), które aby do historyi wejść mogły, czekały światłości, którą im z Germanii Lechici na czas niejaki przynieśli, ale nigdy zupełnie wrodzonéj Słowianom moralnéj niemocy uleczyć nie mogli.

Do téj Swewii autor nie trafił sam przez siebie. Naruszewicz był dlań przewodnikiem. Przyjmował mniemanie Naruszewicza o niemieckim początku praw polskich Tadeusz Czacki, tu błędny, ale pod innemi względy wielki. Temi dniami mocno szanowana przez nas powaga, — Szajnocha, początki Polski uznał lechickiemi a przez Lechity, Normandy, zawsze Niemce, rozumiał i nie przekonał nas; nie przekona nikogo, aby mógł istnieć historyczny naród, któryby nie miał własnéj treści życia, któryby nie posiadał samoistności.

Naruszewicz tylko się domyślał; zdawało się jemu, że Tacyt zachował wiele śladów polskiéj starożytności, że Germania Tacyta ma pierwiastki polskich praw. Domysły Naruszewicza rozszerza autor i za nieomylny podaje pewnik; ma to być magiczny klucz, otwierający tajemnice naszéj przeszłości. Germania ma nie tylko „pierwiastek praw polskich,“ ale jeszcze ma być początkiem wszystkich prawodawstw słowiańskich, T. I—362. Rzeszę Swewów składali Niemcy, Słowianie, Litwini [18]), ale jaki tych ludów sto-

[17]) Prawda Ruska, czyjém jest dziełem, z jakiéj wyszła myśli? Wszędzie dla niéj szukano początku, lecz Nestor mówi, że wezwano Rurika, aby rządził wedle zakonu. Słowianie przeto Nowogrodu mieli swój własny, dawny zakon. Zakonu Słowianom nie dali ani Rurik, ani Jarosław W.

[18]) Upraszamy autora, aby pogodził następne dwa własne twierdzenia. Kraje na północy Karpat, dopiero po 106 roku przez Słowiany zaludnione być miały. Lecz rzesza Swewów istniała pierwéj nawet, przed Chrystysem, i miała potężny żywioł słowiański. Zkąd? Zagadkowych Swewów autor nie może wytłómaczyć. Ma ich i za Litwinów. Czemu? Litwini palili jeńców wojennych, palili i Swewy. Prawdopodobnie mieszkańcy północnéj Ameryki mieli także litewski początek; wszakże i oni jeńców wojennych palili. Lecz między paleniem litewskim — czynem okropnym, ale zawsze religijnym, — a paleniem niemieckiem, czynem zemsty i nienawiści, za-

sunek? Ogół, gmin, pospólstwo stanowili Słowianie i Litwini, ale „rdzeń“ téj rzeszy — Niemcy, myśl rzeszy — niemiecka, T. I—515. Niemcy kierowali, panowali, — Słowianie przyjmowali, ulegali, nie byli ani pierwiastkiem, ani rdzeniem rzeszy, — ciało nie duch, narzędzie nie czynnik, nie moc samoistna. Wewnątrz Germanii trzymała, ożywiała, wykształcała myśl niemiecka, a kiedy za granicami Germanii, Słowianie zaczęli wznosić samoistne rządy, wznosili tylko pozornie, albowiem przez Lechity myśl niemiecka nimi kierować nie przestała. Była to ich wina, ale nie ich własna, nie z nich.

Od Tacyta do XIII wieku, większość rzeszy swewskiéj, a później niemieckiéj stanowili Słowianie, jednak ulegali — ograniczeni, ujarzmieni, niżsi obywatele, Lechici, praojce Polski, mniéj więcéj niewolnicy, między Niemcami. Po XIII wieku Słowianie składali mniejszość, coraz mocniéj ograniczani, znikali, przeminęli zupełnie. Ślimaki! Germanowie wyznali Cezarowi, że się uchylają przed Swewami, których męztwu nawet bogowie muszą ustąpić: quibus nec dii immortales pares esse possint. T. I — 523. Semnonów autor chce mieć ziemianami, Słowianami, lecz widocznie świadectwo Cezara do Słowian nie może być stosowane. Gdyby się do nich odnosiło, Słowianie czyniący liczebnie ogół rzeszy, a przed których heroizmem same nieśmiertelne ustępowały bogi, przed którymi sami Niemcy drżeli, byliżby ulegali Niemcom, mogliżby nie mieć własnéj organicznéj myśli? Wedle samego autora rdzeniem, duchem rzeszy byli Niemcy. Autor Słowianom nawet mężnymi być nie pozwala, chociaż czytał tyle narzekań greckich i niemieckich o napadach słowiańskich. Jest u Polaków wyraz wojewoda, lecz ani wyraz, ani myśl wyrazu, nie są narodowemi, własnemi; Polacy tylko przetłómaczyli wyraz niemiecki, naśladowali. Myśl i nazwa wojska i męztwa były

chodzi niezmierna różnica. U Litwinów dobrowolnie na stos wstępowano — rodzaj religijnéj ofiary, przejednania. Czyn zewnętrzny, fałszywy, — ale myśl wewnętrzna, głęboka i wzniosła — która nie ma żadnego stosunku z Niemcami, którzy nawet do ich raju opilstwo, mordy i krew przenieśli.

dla nich „obcemi“ przez nich samych nieznanemi. T. I—538. Na co męztwo ślimakom, istotom zawsze biernym, wiecznie niemowlęcym. Słowianie wybili się na wolność, mieli niepodległość za czasów Karola W., owego pogromcy Słowian, który nawet Słowianom karpackim miał nałożyć okowy. Niemcy i Frankowie na wschodni brzeg Laby nie mieli przechodzić, a swój brzeg najeżyli twierdzami. Jakiemi sposoby Słowianie zdobyli niepodległość? Chyba jakim nadnaturalnym cudem, albowiem z tych określeń, jakie autor dał o naturze Słowian, takiéj ogromnéj energii nie możnaby im przyznać. Składali większość rzeszy, prawda, ale nie byli owym rdzeniem społeczności, — pierwiastek społeczności, przewaga duchowa, panowanie polityczne wyłącznie należały Niemcom.

Autor wykłada, i nie przeczymy, „że Swewy miały urządzenia polskim podobne, T. I, 45, że porównanie prawnych zasad wykazuje byt i działanie Słowian między Niemcami, śród owéj rzeszy niemiecko-litewsko-słowiańskiéj, że prawo niemieckie ma dwa żywioły, niemiecki jeden a słowiański drugi, że właśnie w téj rzeszy rozwinęła się gmina słowiańska we swéj całéj pełni, T. I, 365“. Autor wierzy nawet, że prawa, podobne u Słowian i u Niemców, mają słowiański początek, są czysto słowiańskiemi; odkrył daléj autor, że w prawach niemieckich żywioł słowiański przeważał i podobno dotąd przeważa; to wszystko mogłoby nie być fałszywe, to należałoby rozważać i badać; ku tym widokom mamy wiele upodobania; co do istotnych względów, życzylibyśmy sobie dać im nasze zatwierdzenie. To wynika z naszych przekonań o wyższości duchowéj pierwotnych Słowian nad Niemcami. Wyższość cywilizacyi dawnych Słowian przyznali teraz sumienniejsi niemieccy uczeni. Lecz tych czynów z teoryi podanéj przez autora loicznie wyprowadzić nie można; wszakże na wielu i wielu miejscach autor Słowianom, a mianowicie Polakom, mocy moralnéj odmawia; ich umysł nazywa niemowlęcym, a pośród rzeszy czémże są Słowianie? Ludem, liczniejszym aniżeli Niemcy, uległym; — u Niemców był

rdzeń społeczności. Jest przypuszczeniem najniepodobniejszém, jakie tylko można wymarzyć, aby Słowianie w téj rzeszy, poniżeni i upośledzeni umysłem, skazanym na wieczne niemowlęctwo, gminę w całéj pełni rozwinąć mogli, aby Niemcom pierwiastek praw udzielać mieli. Przytém, o tém pełném rozwinięciu gminy słowiańskiéj między Niemcami, autor nie podał żadnéj wiadomości, nawet to, co autor o gminie słowiańskiéj u samychże Słowian napomyka, bardzo słabo oświeca, a czasami i błędnie. Temu ważnemu przedmiotowi autor dostatecznéj nie dał uwagi. Jako wszystko widział pomięszane, — cieni i światła nieco, — coś prawdy, a nic pewności, co nasz ustęp piąty najdowodniéj wykaże.

Z tych wyobrażeń, jakie autor o Słowianach i Niemcach pierwotnych posiada, stanowczo przeciwne wnioski należałoby ustanowić. Jeżeli się przedstawia foremność niemieckiéj a słowiańskiéj ustawy, trzeba przyjąć, że ustawa należy Niemcom, a Słowianie — naśladowali, pożyczyli. Nie u nich był pierwiastek i rdzeń społeczności. Cóżby miał początkować ich umysł nieskończenie dziecinny, ślimaczy. Jakże z takiego umysłu wydobyć by się mogła dostojna, święta, myśl prawa. Słowianie, Polanie, którzy sprężystych swych rządów sobie nie dali, którzy wreszcie własnéj społeczności nie początkowali i na początkowanie niemieckie czekać musieli, jakżeby innym myśl prawa udzielić mieli? Z niemowlęctwa i niemocy słowiańskiéj miałyżby się rozwinąć mądrość i moc niemiecka, tyle uwielbiana przez autora? Jakoż po niejakich majaczeniach ku tym autor statecznie przechodzi mniemaniom. Założenie i wykształcenie, organizm Słowian Laby, Wełtawy, Wisły i Dniepru wyszły ze Swewów, — T. I, 45. Lechici, wedle ciała wprawdzie Słowianie, ale duchem Niemcy, wyszedłszy z Germanii, — z téj cywilizacyjnéj kolebki wszystkich Słowian, a mianowicie Polaków, — założyli pierwsze sprężyste rządy, wprowadzili organizm, T. I, 46. Czémkolwiek była pierwotna Polska pod względem prawnym i politycznym, była nie z siebie saméj, nie przez

własne twierdzenie, ale dla téj jedynéj, wszystko obejmującéj przyczyny, że do niéj przez pośrednictwo Lechitów wstąpiła myśl niemiecka, sprężysta, rdzenna, organiczna. Polski duchowy pierwiastek wyszedł z Niemiec, powołał nas do życia, wprowadził do historyi.

Mamy i zastosowanie téj teoryi. Mazurów uważa autor za Massagety, co odrzucamy. Pięknie a bardzo słusznie ocenia autor ustawy mazowieckie, i pod tym względem zupełnie się z nim zgadzamy. Prawodawstwo mazowieckie przedstawia „cudny widok, jest ono najdawniejszém a najciekawszém źródłem historyi prawodawstwa, aczkolwiek ich redakcya należy późniejszym wiekom“. T. I, 199. Lecz prawo mazowieckie „cudne, urocze“, najciekawsze, jestże prawem samych Mazowszan, czynem ich własnéj myśli? Jestże ono źródłem praw polskich? Mazowszanie, Massageci byli objęci granicami Swewii i jako wszystkich innych plemion, również i „prawo mazowieckie zgermanizowało się“. T. I, 197. Owe przeto prawo mazowieckie cudne i urocze jest takiém tylko zewnętrznie, tylko co do języka, którym je spisano, za polskie może być uważane; wewnętrznie, duchownie jest ono niemieckiém, a jeżeli kiedy było słowiańskiém, zmięszało się, nabyło innéj natury, zgermanizowało się zupełnie, jako się zgermanizowały wszystkie inne prawodawstwa słowiańskie. Mazur właściwie uważany i pojęty, jestto rzeczywisty Niemiec; ani szukaj u Mazurów ich narodowéj, ich historycznéj myśli; jeżeli była kiedy, przepadła dawno, a na to miejsce wstąpiła do ich umysłu myśl niemiecka, utwór Germanii, téj kolebki cywilizacyi wszystkich słowiańskich narodów.

Błądzili Bandtkie, Kołłątaj, Ossoliński i Czacki, naznaczając polskim prawom i politycznym urządzeniom niemieckie pochodzenie, raczéj przewidywali, domyślali się, aniżeli twierdzili. Poszedł za nimi autor i rozszerzył ich. Prawie wszystko odjął Słowianom, prawie wszystko przyznał Niemcom; lecz zaraz miarkuje, cieniuje swoje twierdzenie, nauczając że prawo słowiańskie i niemieckie mię-

szały się, łączyły się, wzajemnie na siebie wpływały; — cóś od Niemców Słowianie przejęli, ale i cóś ze swego Niemcom oddali. To mięszanie się i łączenie praw słowiańskich i niemieckich, to wzajemne ich udzielanie się, byłoż podobném, skoro autor szeroko wyrozumował, że rdzeń rzeszy Swewów składali Niemcy, że przez pośrednictwo Lechitów, — wyobrazicieli niemieckiéj zasady, — Niemcy dali początek praw wszystkim słowiańskim społeczeństwom, które przed wstąpieniem do nich Lechitów, jako pojęcia prawne i polityczne nawet nie istniały. Ossoliński, Bandtkie słowiańskim i polskim żywiołom przyznali, zostawili cokolwiek; autor odebrał wszystko. Poszukiwania warunkowe, przypuszczenia tych swoich poprzedników zamienił na system przyznający, jeżeli nie wszystko, przynajmniéj niezmiernie wiele początkowaniu niemieckiemu, a odejmujący prawie wszystko słowiańskiéj i polskiéj samoistności.

Za słowiańśtwem, za narodowym początkiem praw polskich przemówił L....... Nauce i historyi prawa uczynił posługi, — on, prawnik nie z rzemiosła, — jakich nie uczynił żaden prawnik — rzemieślnik. To autor wyznał szlachetnie. Przecież, jeżeli, jako wierzy, początkiem nie tylko polskich praw, ale i wszystkich słowiańskich, była, czyli raczéj być miała, myśl niemiecka, raczéj należałoby zaskarżyć i potępić, ale nie uwielbiać L......., który śnił pięknie i podniośle, przyznając słowiańskiemu umysłowi samoistność, moc życia, potęgi, których on nigdy nie miał, których jemu fatalnie odmówiły zapewne owe „przeznaczenia losu,“ chociaż nie zdaje się nam, aby one miały być właściwym a umiejętnym sposobem pojmowania i tłómaczenia historycznych czynów i prawnych zasad.

Podobieństwo, czyli nawet tożsamość prawa u Niemców i u Słowian, autor chciał udowodnić wyrazami Tacyta o Germanii. Prawo słowiańskie ma przydawać „światła opowiadaniu Tacyta, — jest nawet dlań komentarzem,“ T. I, 559. Twierdzenie, które autor przyrzeka umocnić następnemi tomami Historyi Prawodawstw Słowiańskich, a

późniéj dzieło Tacyta przybierze nazwanie właściwsze—*De moribus Slavorum.* „Ród a plemie, rola a gmina, ziemstwo a wazalstwo,—były ową osią, po któréj się starosłowiańskie a niemieckie, przez ciąg swego istnienia, obracało prawo“ T. I, 560. Doskonała tożsamość. Prawo polskie i niemieckie nie tylko dawniéj, ale i po roku 1000, po założeniu historycznéj Polski, na téjże saméj były osadzone osi. Lecz jeżeli tak być ma, jakże wytłómaczyć sporność tych dwóch narodowości? Czemu Niemcom hojne pióro autora nakreśliło tyle uwielbień, a Słowianom tyle hańby, pogardy i złorzeczeń?

Autor przedrukował nawet wyrazy Tacyta na wykazanie tożsamości urządzeń politycznych u Słowian i u Niemców; co dlań bardzo naturalném, skoro wierzy, że Słowianie wykształcali swoje polityczne życie pod kierunkiem Normannów i Saksonów, że początkiem cywilizacyi słowiańskiéj — Germania. Niemieckimi wychowańcami być mamy. Lecz owe słowa Tacyta, na których autor swój system chce opierać, nic nie dowodzą. Są to rysy spólne wszystkim ludom—ogólniki. Są to podobieństwa, ale tylko zewnętrzne, złudzenie, igraszka, brzękulki i karambole, jako je komicznie nazywa L....... Niemcy mieli role, rodziny, narady,—zgadzamy się; lecz jestże tu jakie odkrycie? Należy wstąpić do wewnętrznéj natury tych ogólnych znaków, a ujrzymy natychmiast niepodobieństwo sporności. Gdyby prawdziwém być miało to, co o Niemcach i Słowianach i o ich rzeszy rozprawia autor, aniby pojąć można, z jakich żywiołów byłaby się była rozwinęła wielka, nieskończenie wysoko traiczna różnica między polskim, słowiańskim a niemieckim umysłem. Nie! duchy tych ludów nie miały jednéj osi, nie! Opis Germanii nie ma nic a nic, coby pokazywało, że Germanie byli Słowianami, a Słowianie wchodzili do składu germańskiéj rzeszy. Nie! ani praw, ani historyi Słowian, a mianowicie Polaków, za komentarz praw i historyi Niemców brać nie można. Ogień i woda!

Autor poleca „głęboko się wmyślić w Tacytową Ger-

maniję.“ Pokażemy przeto główne zarysy Germanii przez Tacyta, a bez owych głębokich wmyślań się, łatwo ujrzymy, że takich zarysów nigdy nie objawił umysł Słowian albo Polanów — wszystko różne, a podobieństw żadnych, chociażby najodleglejszych. Solita Germanorum inertia— jestże to Słowianin, przedstawiony przez wszystkich pisarzy pracowitym, wesołym, heroicznym?

Nulli domus aut ager, aut aliqua cura: prout ad quemque venire aluntur: prodigi alieni contemtores sui—Arva per annos mutant, nec enim cum ubertate et amplitudine soli labore contendunt, ut pomaria conserant et prata separent, et hortos rigent. Autumni perinde nomen ac bona ignorantur. Jestże to słowiańszczyzna, zawsze podawana jako kraj rolniczy, kwitnący, przemysłowy i handlowy?

Materia munificentiae per *bella* et *raptus*. Nec arare terram, aut expectare annum, tam facile persuaseris quam vocare hostem. Pigrum quin immo et iners videtur sudore adquirere quod possis sanguine parare. Quotiens bella non ineunt, non multum venatibus, plus per otium transigunt, dediti somno ciboque. Fortissimus quoque ac bellicosissimus *nihil* agens, delegata domus et Penatium et agrorum cura feminis senibusque et infirmissimo cuique ex familia: ipsi habent: mira diversitate naturae, cum iidem homines sic *ament inertiam*, et oderint quietem. Terra silvis horrida ac paludibus foeda. Tożby Słowianie być mieli! Takażby być miała kolebka cywilizacyi Słowian i Polanów! Owi Germanie Niemcy, żarłoki, opoje, próżniacy, leniwi, namiętnie kochający zbytki, sen i spoczynek, niecierpliwi jakiéjkolwiek pracy, ale rozbojnicy — bella et raptus, mieliżby być założycielami polskiéj myśli, wzorem, z którego Polanie swoje społeczeństwo ukształcać mieli?

In omni domo nudi ac sordidi, inter eadem pecora, in eadem humo degunt — Statim e somno, quem plerumque in diem extrahunt, diem noctemque continuare putando, nulli probrum. Gracze namiętni, zawołani: novissimo jactu de libertate et corpore contendunt. Przegrywali samych siebie, przechodzili na niewolników. Owa Germania

swobodna, dumna, miała przecież i niewolników, których pan, właściciel zabijał bezkarnie—impune. Dosyć tych bezecności, które autor za rysy najprawdziwiéj słowiańskie przedstawia.

Nigdy autor nie przekona, aby z téj Germanii rozwinąć się miały cywilzacya i prawo Słowian, aby w niéj nasza duchowa ojczyzna być miała! Nigdy około takiéj osi nie czynił obrotu duch słowiański! Ustawy mazowieckie nie były naśladowaniem, przerobieniem niemieckiéj myśli! Germania pod żadnym względem dla Słowian rdzeniem i pierwiastkiem nie była!

Ach! i my znamy wpływ niemiecki na Słowiany,—dawny, niezmierny, historyczny, ale wpływ okropny, niweczący, psujący, przeklęty! Byliśmy dla Niemców psami, jako mówił Somonowi poseł Dagoberta Niemiec, i jako po sześciu wiekach powtórzył arcybiskup niemiecki odmawiając swojéj synowicy księciu Słowian, psu! Czyliż autor na tych ogromnych przestrzeniach Wisły, Odry i Laby nic i nic nie widzi? Czyjaż ręka nałożyla kajdany, ujarzmiała, wyganiała, wytępiała obyczajne, rządne, łagodne i waleczne ludy tych przez nie ubłogosławionych przestrzeni? Czyliż z tych opłakanych, ale dla nas zawsze świętych grobów słowiańskich, żaden jęk, żadna skarga nie uderzyły o serce autora? Nie! są to grobowce słusznie pogruchotanych ślimaków, którzy się bezrozumnie, bydlęco, opierali duchowi czasu, wyobrażonemu przez Niemce!—przez owe lwy i niedźwiedzie,—ozdobne, ujmujące, moralne nazwy, któremi niemiecka duma wynosiła swoje bohatyry,—takie same właśnie jakie opisywał Tacyt—bella et raptus. Pod temi zarysami autor ujrzał słowiańskie oblicze! Jego historyczne oko nigdy naszém nie będzie.

Przedstawiliśmy świadectwo Tacyta o Germanach, których znał dokładnie. Czémże byli Germanie Niemcy po przyjęciu chrześciańskiéj nauki i rzymskiéj cywilizacyi, tego, co z niéj pozostało? Zmiana była raczéj zewnętrzna. Wewnętrznie Niemcy nie zmienili swojéj natury, a przynajmniéj bardzo mało.

Tych Niemców, przemienionych nieco chrystianizmem i podaniami rzymskiemi, dokładnie odrysował wielce przez nas szanowany Szajnocha, który przecież bardzo wielkie ma wyobrażenie o duchu niemieckim i także ku Niemcom odnosi nasze najdawniejsze początki, on, pod którego piórem występuje dawna Polska, tyle piękna, tyle samoistna. Adolf, arcybiskup Kolonii, czynny działacz domowéj wojny 1212, był pożarty przez myszy, a pod myszami Szajnocha wypatrzył normandzkie korsarze. Innocenty III następnie określił okropności téj wojny „mordy, rabunki, pożogi, gwałty najohydniejsze bywają popełniane w dzień biały; nie masz domu ani gościńca, któryby był bezpiecznym od nich; nikt złoczyństw nie broni nikomu, i wszystek kraj napełniony złoczyńcami. Jeżeli brat biskupa Wircburga na publicznym gościńcu mógł porwać prałata Magdeburga i oczy jemu wyłupić; jeżeli szlachetni wassalowie cesarstwa mogli w podobnyż sposób napaść biskupa Wircburga, Konrada, zamordować na drodze do kościoła i pastwić się nad trupem, albowiem chciał wstrzymać ich gwałty, jakiż był los niższych ludzi?“ Po biskupie Konradzie padł król Filip X (1209) zamordowany przez falcgrafa Ottona Wittelsbacha. Autor mógł był przytoczyć mord Alberta cesarza przez własnego synowca i zemstę na sprawcach zbrodni okropniejszą nad sam mord. To było pod wpływem chrześciańskiej nauki, kilka wieków po jej wprowadzeniu. Czémże byli owi Germanie Tacyta, których autor ozdabia wyszukanemi uwielbieniami. Patrząc na takie ustawiczne wyuzdanie namiętności, wolnoż Słowiany przezywać „plugastwem“ jako nieobacznie czyni Szajnocha; albo „ślimakami“ jak się podoba p. Maciejowskiemu?

Jeszcze są niektóre ułamki z pism Szajnochy — ułamki piękne, prawdziwe, historyczne a odkrywające bezdeń zepsucia tych Niemców, których p. Maciejowski czci pobożnie jako rdzeń i pierwiastek polskiej społeczności.

Nie chodziło dziejom o Polskę i Litwę poosobnie, a chodziło o całą słowiańską Europę. Potęga krzyżacka prze-

stawała być potęgą samego zakonu, a biła w słowiańszczyznę jako najbliższa, najgwałtowniejsza fala powszechnego nacieku na wschód. Zteutońszczenie Polski pociągało za sobą rozrośnięcie się państwa niemieckiego Krzyżaków, bez żadnej już zawady, w ogromną niemiecką potęgę, obejmującą całe wybrzeże wschodnio-baltyckie i Litwę aż za Dźwinę i Dniepr. Cały wschód Europy, nakształt nadelbiańskiéj dziedziny Słowian, stawał się ziemią teutońską, wdzierał się obcy obyczaj i tryb życia; wdzierały się osobliwie tysiące dawniéj nieznanych *przywar obyczajowych, zdrożności, zarodów demoralizacyi.* Powstała i urosła Hanza na ruinie starożytnego handlu Słowian, a otrzymawszy *życie z korzenia słowiańskiego*, tyła Hanza coraz bujniéj pokarmem ssanym z dalszych ludów słowiańskich, Polski, ruskiéj Litwy, Rusi, mających nad karkiem oręż obcego zaboru, a w każdéj z żył swoich Krakowa, Gdańska, Nowogrodu siedziały roje handlowych ssaczów, pijawek hanzeatyckich. Sprawiany tém słowiańszczyznie ubytek sił żywotnych może być obliczony miarą przybytku tych samych sił, dającego się spostrzegać w kwiecie ssących miast hanzeatyckich. Wszelka krew, rumieniąca oblicze całego kupiectwa niemieckiego, w ogólności całego mieszczaństwa zaodrzańskiego, upłynęła z pobladłych lic słowiańszczyzny. Własną przemysłowością, kunsztownym wyrobem towarów, nie odznaczały się miasta teutońskie. Jedynym przedmiotem ich skrzętności i źródłem dobrego bytu był zyskowny handel ze słowiańskim wschodem, zostający długi czas w ich wyłącznem posiadaniu. Wyrastając ze starosłowiańskiego korzenia, nad zachodnią Elbą, rozkrzewiwszy się po wschodni kres słowiańszczyzny, po Moskwę, zakwitła Hanza najbujniejszym swym kwiatem w nowosłowiańskim Nowogrodzie nad Wołchowem. Ten wielki Nowogród, który niezmierną rozległością swego okręgu miejskiego przewyższał wszystkie niemieckie i lombardzkie miasta, był główną stolicą handlu hanzeatyckiego, z któréj, wedle wdzięcznego później samych hanzeatów zeznania, wypłynęły wszystkie inne hanzeatyckie kantory, jako ze stu-

dnicy żywota, opierając się na niéj, jako na węgielnéj podstawie. Jakoż w istocie nie zyskiwała na obecnym napływie teutońskim ani *oświata*, ani *moralność*, ani potęga narodowa. Oświata miała w przybyszach z za Odry nader opłakanych spółpracowników. W samych Niemczech XIV wieku — a cóż dawniéj — stała oświata w powszechności na tak nizkim stopniu, że jeszcze r. 1355 kanonicy kapituły Zurich wyznają otwarcie, że pisać wcale nie umieją. Z sa-kramentalnych u Niemców misterii passowania na rycerzy szydzili książęta dopełnianiem téj ceremonii na przysyłanych sobie z Niemiec błaznach i trefnisiach nadwornych. Mistyczną cześć owych stołów honorowych krzyżackich uważały ówczesne umysły polskie ze wszelką słusznością za owoce niezaprzeczonéj próżności, za dopełnienie błazeńskich ślubów. Z niezbyt budującemi sztukami kuglarskich rzezimieszków, napływał jeszcze nierównie niebezpieczniejszy zaród demoralizacyi — *pijaństwo*, obce dawnym Słowianom, chwalonym powszechnie z rzadkiéj miernności w jadle i napoju; szpeciło ono z dawien dawna naszych sąsiadów, jeszcze w tacytowym opisie, trawiących dnie i noce przy kuflu. Żart chłopów cudzoziemczych w ziemi krzyżackiéj zaszywał kwestarzy franciszkańskich w ciasny wór i wieszał ich żywcem w kominie, aby się uczyli nieść jaja, a rozbój gościńcowy stawał się prawem powszechném, zwaném prawem pięści. Patrząc na taki stan rzeczy, wyrażali się najświatlejsi cudzoziemcy, zastępcy nuncyuszów papiezkich, krótkiém ale dobitném zdaniem: „cała Germania dziś jedną łotrownią, *bella et raptus* u Tacita, — a dzisiejsi dziejopisarze — Niemcy — mówiąc o ówczesnym stanie moralności państwa rzymskiego, powtarzają toż samo — cała rzesza, mimo wszystkich zaprzysiężeń pokoju i bezpieczeństwa, stała się *jaskinią zbójców*. Książęta, grafowie, szlachta, wyruszali na łup, chwytali podróżników, wymuszali na nich okup, plądrowali, palili miasta, miasteczka i wsie. Nigdzie kupcy hanzeatyccy nie napotykali tyle tysięcy zbójców, jak we własnym kraju. Ówczesne państwo rzymskie, — autor zapomniał dodać

święte, — było w najwłaściwszém znaczeniu, *rzeszą zbójców*, gdzie z tysięcy a tysięcy burgów wypadała rozhukana, gwałtowna szlachta, roznosząca rozbój po okolicy.“

Jestto prześliczna odpowiedź p. Maciejowskiemu, który Niemców ogłosił rdzeniem, pierwiastkiem, założycielami polskiéj społeczności, początkiem praw słowiańskich i polskich. „Dziecinny był umysł Słowianina, wykłada p. Maciejowski, który wiecznie okazywał się pacholęciem, który od kolebki, aż do grobu bawił się śpiewem, muzyką, tańcami.“ — Nasamprzód jest to dziwny a dziwny błąd mniemać, jakoby umysł miłujący muzykę, tańce i śpiew; miał być dziecinnym a wieczném pacholęciem. Muzyka, tańce i śpiew podobno są moralniejszemi, aniżeli opilstwo, rozboje, — jaskinia zbójców, za którą kraj niemiecki sami Niemcy podali.

Lecz to prześliczna odpowiedź i samemu p. Szajnosze, a bardzo słusznie przedstawiona być może. I on także Niemcom przyznał za wiele, a Słowianom ujął za wiele, znieważył ich nazwaniem — „plugastwo, ludem biernym, uległym każdemu wpływowi,“ mniemaniem nakoniec, że Słowianie VI wieku fizycznie i moralnie byli dziećmi — pacholętami wiecznémi, lubiącémi tańce, muzykę i śpiew. Ciężkie, straszne, okropne zarzuty — niejako potępianie i wyparcie się słowiańskiéj myśli, ale szczęściem wszystko złudzenie, wszystko pozbawione jakiéjkolwiek rozumowéj i historycznéj podstawy — odgłos zewnętrznych a niemieckich potwarzy.

Mamy nakoniec rozważyć jeszcze jeden wzgląd i ważny, dotyczący Germanii, owéj rzeszy słowiańsko-litewsko-niemieckiéj. Mówiliśmy dotąd o téj rzeszy, jakoby jéj byt miał być dowiedziony, co przecież, wedle tych nawet czynów, które sam autor pokazał, uczynił mocno wątpliwém, a raczéj niepodobném. Szeroko rozpisał się o rzeszy, która nawet nie istniała.

Na dowód istnienia téj rzeszy niemiecko-słowiańskiéj, autor powołał Cezara i Tacyta — pierwszy 50 lat przed Chrystusem, a drugi 60 lat po Chrystusie. Czyliż wykazał

autor, że na tych miejscach, na których swoje Swewy, Niemce-Słowiany umieszcza, 50 lat przed Chrystusem i 60 lat po Chrystusie mieszkali Słowianie jako lud potężny, sprzymierzony z Niemcami? — Bynajmniéj. Owszem autor temu mocno zaprzecza. Twierdzi byt rzeszy słowiańsko-niemieckiéj, a Słowian do niéj we właściwym czasie sprowadzić zapomniał, nieszczęśliwie nauczając, że pierwszéj połowy pierwszego wieku po Chrystusie Słowianie brzegów Odry i Łaby jeszcze byli nie doszli. Nierównie późniéj ich przyjście naznacza. Autor przychyla się ku temu mniemaniu, jakoby Słowianie z południa na północ Karpat przeszli dopiero na początku drugiego wieku po Chrystusie, po owych wielkich wojnach Rzymian przeciw Dakom, jakoby owi Dakowie, ruszeni ze swoich siedzib nad Dunajem, mieli być praojcami Słowian zaludniając północne i zachodnie strony Europy.

Na inném miejscu daliśmy obszerny rozbiór téj teoryi, któréj, aczkolwiek popieranéj przez imiona słusznie używające wielkiéj naukowéj powagi, stanowczo odmawiamy naszego zatwierdzenia. Wykazaliśmy jéj niepodobieństwo. Nie ma w niéj nic a nic, coby nam dało przynajmniéj domysł, jakoby północno-zachodnia strona Karpat dopiero przez owe dackie wychodnie zaludnioną być miała. Rzesza niemiecko-słowiańska, zaświadczona przez Cezara i Tacyta, mogłażby istnieć, jeżeli Słowianie z Daków na początku drugiego wieku powstali? Jeżeli w téj rzeszy Słowianie mieli znaczenie, a nawet liczbowo jéj większość składać mieli, musieliby być bardzo dawnymi mieszkańcami tych stron Europy; i oto cała teorya autora o dackiém pochodzeniu Słowian nie ma żadnéj podstawy. Z niego samego wynika daléj ruina wszytkich innych a potwornych teoryi o pacholęctwie wieczném i dziecinnym umyśle Słowian i ich duchowéj niemocy.

Autor, zdaje się, nie miał nigdy na myśli, że Słowianie są niezmiernie dawnym ludem północno-zachodniéj Europy, rozszerzonym ku jéj najdalszym zachodnim stronom, a że przeciwnie Niemcy, lud nowy, drobny, nierównie pó-

źniéj wystąpili. Przemawia za nami Saga skandynawska, która Wannów, Winidów, Słowian nazywa mędrcami — narodem, u którego lud teutoński szukał oświaty i odebrał ją.

Przetoż wzywamy autora, aby się pilniéj w swoich rozpatrzył badaniach, i ustanowił, co za prawdziwe uważa — byt rzeszy niemiecko-słowiańskiéj przed Chrystusem, albo pochodzenie tychże Słowian z dackich wychodniów, na początku drugiego wieku. Jedno z tych mniemań koniecznie fałszywém być musi. Przecież autor, chociaż najsprzeczniéjsze sobie, obadwa za prawdziwe uważa. Niepewności, sporności téj natury występują rażąco we wszystkich historycznych i prawnych widokach autora. Śmiało oznajmiamy, nie ma w nim może ani jednéj myśli, którąby przez inną myśl zaprzeczoną albo znamienicie nadwątloną być nie miała. Autor nie miał żadnéj pochodni, którąby swoje drogi oświecał; macał, porywał, co jemu samo weszło do ręki. Jestto najsmutniéjsza, a możnaby powiedzieć komiczna strona teoryi, która wynalazła rzesze słowiańsko-niemieckie przed Chrystusem, a Słowian — małe gromadki, poczty, — dopiero w drugim wieku po Chrystusie do tych stron wprowadza, a jeżeli mamy wierzyć L......... także dowodzącemu o dackim i getyckim początkach, Słowianie zaledwie w wieku piątym brzegów Laby i Odry dotarli.

Z tego, co dotąd wyłożyliśmy, a co koniecznie wyłożyć i najwydatniejszém uczynić należało, wynikają dosyć przykre uwagi i wątpienia. Polecamy je sumiennéj i uczonéj rozwadze samego autora, który, zdawołoby się, nie ma nawet wiedzy fałszywéj drogi, po któréj idzie, a na którą innych pragnąłby naprowadzić.

Jestże jaka prawna zasada, wydobyta z samychże Słowian, rozwiniona z ich własnego ducha? Słowianie, Polacy, byliż a nawet sąż téj chwili samoistnym narodem, który miał jakie historyczne znaczenie, który spełniał jakie historyczne, zbawienne jemu i ludzkości posłannictwo? A ograniczając nasze wątpienie przedmiotem, który nas i autora wyłącznie zajmował, jestże jakie prawo słowiańskie i

polskie? Jestże podobném pojęcie historyi praw słowiańskich?

To wedle dowodów pokazanych i tłómaczonych przez autora, wedle warunków zbudowanéj przezeń teoryi, która ma być „przeniknieniem na wskróś słowiańskiéj i polskiéj myśli,“ należy odrzucić, a przynajmniéj uważać za coś słabe, podrzędne i mało godne umiejętnych badań.

Jakichże albowiem praw, jakiéj ich historyi poszukiwać u tych Słowian, którzy przesuwali się między różnemi narodami, ulegali im, przejmowali ich wyobrażenia, wsiąkali w siebie, ale biernie, ich życie, — których umysł był dziecinny, wiecznie pacholęcy; których autor nawet bydłem grubo nazywa, a czasem, niby grzeczniéj, ślimakami.

Jakież prawa u tych podobnie fatalnie upośledzonych słowiańskich narodów, dla których możnaby mieć żal, ale które ani dawniéj, ani teraz, nie wzniosły się jeszcze na historyczne miejsce,— które wprawdzie żyły, ale nie własnemi duchowemi siłami? Ich pierwiastek nie był ich własnym—był to pierwiastek niemiecki; naśladowce mniéj więcéj zdolni, ale nigdy samoistni i podobno nie mający duchowéj zdolności, aby być samoistnymi. Wiele odwagi i poświęcenia przyznajemy autorowi, który długie lata zajmował się badaniami, ze swojéj natury niemogącemi wydać żadnéj wysoko naukowéj i historycznéj korzyści!

Przetoż stanowisko, na którém autor siebie postawił, z którego widział i oceniał słowiańskie i polskie rzeczy, uważamy za najzupełniéj fałszywe, za takie właśnie, które autorowi, — chcemy przypuścić kierowanemu przez najlepsze chęci, — myśli praw słowiańskich i polskich odkryć i zrozumieć nie dozwoliło. Widział jéj ułamki, ale jéj saméj, jéj słońca ani dostrzegł. Cały trud autora, pod innemi względy nie bez zasługi i pewnéj wartości, co do saméj zasady, co do jéj ostatecznych historycznych i umiejętnych wypadków, jest usiłowaniem zupełnie straconém. Autor miał przeczucia szlachetne, zachcenia prawdziwe, idące wysoko; ależ z tych przeczuć, z tych zachceń nic nie wydobył. Twierdzi naprzykład „że rozwinął pierwia-

stki życia Słowian," a najuporczywiéj dowodził, że tych pierwiastków życia Słowianie i Polanie nie mieli. Jakiżby być miał pierwiastek w umyśle Słowian dziecinnym a wiecznie pacholęcym? Wszakże początkiem ich cywilizacyi— Germania. Kto nie był ich nauczycielem! Nawet Skity. Poleca autor mieć ufność w łasce Boga, który pracy przezeń zrobionéj pobłogosławi. Modlitwa piękna, która i z naszego serca pobożnie wychodzi. Lecz trudno aby z ziarna, które autor nieopatrznie wybrał i posiał, powstało błogosławione żniwo. Albowiem jakież ziarno autor ze swojéj wypuścił ręki? Takie, z którego kąkol koniecznie zrodzić się musi.

Same dzieło nie odpowiada nazwaniu, które sobie dało; nie spełniło, co przyrzekło. Jestże tu historya prawodawstw słowiańskich? Wedle czynów podanych przez autora, bynajmniéj. Byłaby to raczéj historya prawa u różnych, a różnych narodów, a głównie indyjskich, kaukazkich, skityjskich, trackich, a przedewszystkiém niemieckich, z których zlepiły się, jako mogły, jako „traf" nadarzył, prawa słowiańskie, bez organicznéj myśli, bez organicznéj jedności, mechanicznie. Było prawo u Słowian, ale nie ich, nie z nich.

Nie zgadzamy się przeto z autorem co do początku i rozwoju praw słowiańskich, a jeżeli można, nie zgadzamy się jeszcze mocniéj na ogólne pojęcie o początku prawa. Jestto mniemanie zewnętrzne, mało historyczne, najmniéj umiejętne, jakoby zasadą prawa był zwyczaj—jakoby prawo także znikało przez zwyczaj. Takiego znaczenia zwyczajowi dotąd nie nadał żaden prawnik. Digesta u Rzymian, kodeks cywilny we Francyi, czyliż przez zwyczaj powstały? Edikta pretorów u Rzymian wyobrażałyż same tylko zwyczaje? Blizko byli prawdy, chociaż jéj całéj nie mieli ci, którzy prawo rzymskie okazale nazwali nie zwyczajem, ale rozumem spisanym, rozumem najwyższym, do jakiego wznieść się mogli jenialni, nieśmiertelni prawnicy Rzymu. Sam nawet zwyczaj ma swoje głębokie znaczenie, z głębokiéj wypływa przyczyny, chociaż nigdy a nigdy

nie może być podawany jako wiedza, jako zasada, jako początek prawa.

Duch człowieka, z którego prawo wychodzi, mą wyższy początek—co do swojéj treści boski początek—boskie pochodzenie, chociaż przyznajemy, że człowiek często i zaczęsto niewierny samemu sobie, swojemu wielkiemu początkowi, oddalał się od pojęcia prawa, które miał, które ma w swoim duchu, które na zewnątrz miał powołanie objawiać. Nie myślimy bynajmniéj ubliżać nikomu, musimy wszakże powiedzieć, że umysł autora zawsze pochylony, zawsze przybity ku ziemi, nie zwracał się ku niebu, z nieba dla Słowian, dla historyi Słowian nie wydobył natchnienia.

Przechodzimy teraz do samych ustaw, do ich historyi, aby ujrzeć czyli autor właściwie ocenił te stosunki prawne, które miała polska społeczność, a przynajmniéj wierzyła, że miała, albowiem,—jako naucza autor,—Mazurowie prawo niemieckie ubrali polskiemi słowami. Weźmiemy pod sąd naczelne prawne stosunki, główne prawne zasady i, jesteśmy zmuszeni uznać, że i co do tych pytań, autor, jeżeli można, był jeszcze nieszczęśliwszy.

IV.

Autor prawom czyli prawodawstwom słowiańskim naznacza dwa zwroty—dwa okresy, dwa czasy rozwinienia, postępu albo upadku—a przynajmniéj, dwa różne stany. Przez owe zwroty, zasada praw miała się stanowczo zmienić, albo najmniéj, uległa mocnemu ogólnemu przeobrażeniu. Wystąpiły pojęcia prawne, dawniéj nieznane. Prawo przyjęło odmienny kierunek—pokazało rozwój, albo się zepsuło. Pierwszy zwrót dla Polski był do 1347, dla Czech do 1348, dla Rusi koniec XIII wieku, dla Węgro-Słowian do 1342—1385, dla Serbów do 1349 r. Gdzieby i kiedy miał być początek zwrotu na Kaukazie, czyli daléj jeszcze nad Gangesem, autor nie powiedział.

Zwrót drugi, dla Polski 1347 — 1793; dla Czech 1348 — 1670., — bitwa Białéj góry; dla Rossyi, od końca XIII wieku do 1725, — car Piotr pierwszy; dla Węgro-Słowian 1385 — 1699; dla Serbów 1385 — 1448.

Zabraniamy sobie poszukiwania, czyli daty tych zwrotów prawodawczych u Słowian możnaby przyjąć za właściwe — jako odpowiednie czynom historycznym. Musielibyśmy niezmiernie nasze rozszerzyć widzenie, a właśnie chcemy ścieśnić, ograniczyć, aby je wydatniejszém i świątlejszém uczynić. Usuwamy przeto Czechy, Serby, Słowiano-Węgry, to — czemu autor udziela nazwy Rusi i Rossyi; Polski ominąć niepodobna. Zwrót praw polskich, który miał być dokonany 1347 r., wyraźnie i stanowczo odrzucamy.

Nasamprzód, po tych zajmujących, jasnych, a chociażby tylko nam, przekonywających badaniach Helcla, rok 1347 utracił niejako zupełnie swoje dawne znaczenie. Po rozebraniu na pierwotne części, na zwody, dla zjazdu Wiślicy r. 1347 zostaje dosyć niewiele. Jestto ustawa saméj Mało-Polski. Była ustawa Wielko-Polski przyjęta na zjeździe Piotrkowa daty niepewnéj. Był zwod powtórny Mało-Polski po 1354 r., i nakoniec zwod ogólny 1368, powszechny, rzeczywiście polski, spólny wszystkim ziemiom składającym naówczas państwo polskie. Ogólne przeto ustawy polskie spisano nie 1347, ale 1368. Przed 1368 r. Polska jednéj księgi praw, obowiązującéj powszechnie, jeszcze nie miała. Lecz 1347 czyli 1368 r., widocznie autor spisanie, zebranie, ułożenie ustaw, praw, za zwrót praw, za ich ducha, za ich zasady żywotne, najdziwniéj i najnieumiejętniéj uważa. Badając owe cztéry zwroty, owe stopniowe posuwanie się ku prawnéj polskiéj jedności, nie mniemamy, aby między pojęciami prawnemi, jakim ulegało nasze społeczeństwo przed 1347 — 1368 r. a pojęciami prawnemi uznanemi 1368, istniała jakakolwiek zasadnicza różnica. Dwa naczelne prawne pojęcia — stan osób i zasada własności, żadnéj a nawet najlżejszéj nie uległy zmianie, — a przynajmniéj takiéj zmianie, takiemu przeobrażeniu, któreby loicznie zwrotem nazwane być mo-

gło. Kierunek prawny pozostał taki sam. Tenże sam duch ożywiał wszystkie prawne stosunki. Helcel podnosi wysoko działanie prawodawcze zjazdów 1420 i 1423 r. a podnosi słusznie. Ustawy 1420 i 1423 r. miały znosić czyli zniosły różnice, jakie prawodawstwo Kazimierza W. zachować i uszanować musiało. [19]) Różnice prawne między ziemiami zniknąć miały. Polska wystąpiła jako jeden kraj, jako prawna organiczna całość. Zgadzamy się dosyć, ale nie bezwarunkowo. Zawsze atoli mamy przekonanie, że nawet 1420 i 1423 r. prawo polskie nie doznało przemiany we swoich naczelnych zasadach. Duch prawa ciągle był jeden. Zwrotu przecież tego, co przez zwrot rozumiećby należało, historycznie i naukowo ani 1368, ani 1420, ani 1423 r. ustanowić nie można, a cóż 1347, kiedy spisano ustawy saméj Mało-Polski, kiedy ustawy Mazowsza i Łęczycy utrzymały najżywiéj ich samoistne działanie, atoli co do zasady i ducha działania, najwyraźniéj i najpiękniéj polskie. Rok przeto 1347, nawet pod względem zewnętrznym, zupełnie powierz-

[19]) Porównanie prawne wszystkich ziem, które 1420 i 1423 r. nastąpić miało, nie zniosło jednak wszystkich różnic — a innemi słowy, pewne ziemie polskie jeszcze nie złożyły swojéj dawnéj, jeżeli wolno powiedzieć, przedhistoryczněj samoistności. Ziemia Chełmska, 1474 r. uchwaliła swoje, i dla niéj tylko, rolnicze prawo. Ziemie Łęczycy i Mazowsza stanowiły prawa dla nich samych. Ziemia Krakowa przy końcu XV wieku miała swoje Lauda, swoje własne przez nią uchwalone ustawy. Jeszcze Łaski, 1506 r., wzywał ziemie, aby swoje prawne zwyczaje zebrały. Szanował je, uznawał, zostawił dla nich miejsce. Lecz ziemie milczały, na dowód, że przy końcu XV wieku Polska wstąpiła nakoniec do swojéj prawnéj, społecznéj i politycznéj jedności. Na to rozwijanie się społecznéj, prawnéj i politycznéj jedności Polski, dotąd nie zwracano uwagi. Jestto strona naszéj historyi dawnéj niejako zupełnie pominiona. Zewnętrzne objawy kształcenia się téj społecznéj jedności znamy pod imieniem podziałów, słabości, bezrządu, złamania monarchicznéj władzy. Złorzeczymy zwyczajnie temu układowi naszych dziejów, temu przeobrażeniu się naszéj społeczności; kiedy przeciwnie, powinniśmy błogosławić. 1286 r., jakie rozerwanie! jaka pozorna anarchia! 1386, jaka moc, jakie życie i jaka śmiałość, jaka ogromna zewnętrzna potęga. Nie było to wydobycie się ze śmierci, ale głębsze, rozleglejsze życie; kwiat coraz pełniejszy.

Jako i pod innemi względy, również i pod tym, Polska porównana do innych państw Europy, stanowi piękny wyjątek; mniéj jest rozumiana i szanowana we swojéj przeszłości, aniżeli być powinna i rzeczywiście zasłużyła. Jakie zbrodnie i wojny, nim Francya zdobyła uczucie i moc swojéj narodowości, nim zniknęły jéj podziały, jéj głębokie różnice — jéj stany! Równie straszny widok przedstawiały Niemcy rozerwane, i téj chwili nawet dalekie ich publicznéj jedności! Powiedzieliśmy na inném miejscu — i powtarzamy, — jeżeli u nas nie było zupełne dobro, u innych było nieskończenie gorzéj. Najniesprawiedliwszymi względem nas byliśmy i jesteśmy, podobno my sami.

chownym, pod względem spisania ustaw, za zwrót, za cóś wielkie, uderzające, narodowe uważany być nie może, a zupełnie nie pod względem wewnętrznym, historycznym, umiejętnym. Zwrót wewnętrzny, historyczny praw polskich, bliżéj nas możnaby ustanowić — 1496 i 1573 r., kiedy rzeczywiście nastąpiła zmiana naczelnych zasad prawa — osoby i własność; kiedy prawo polskie przyjęło inny kierunek, ograniczyło, osłabiło ducha, który dotąd je ożywiał i rozwijał. Lecz rok 1347, jako zwrót, nie mówi nic, nie przedstawia nic, nie ma znaczenia, ani pod względem umiejętnym — jako nauka, ani pod względem historycznym — jako zasada, jako duch polskiéj społeczności.[20]) Jako zasada i jako duch, prawo polskie we swoich naczelnych rozporządzeniach doznało zmiany 1496 i 1573 r. Byłto rzeczywiście zwrót — a upominamy — zwrót fatalny dla tych, których pozornie wyniósł, i dla tych, których rzeczywiście poniżył i zbezwładnił. Lecz musimy nasze rozumienie zwrotu oznaczyć właściwie. Prawo polskie nie doznało zasadniczéj zmiany, tylko prawo polskie powszechnie obowiązywać przestało. Było zawsze prawem, ale dla mniejszości; większość społeczeństwa prawo straciła — miała je odjęte. Gdyby autor, jako zapowiedział, był wstąpił do téj myśli, która poruszała społeczeństwem polskiém, byłby się był przekonał,

[20]) Po takim rozkładzie na główne żywioły Statutu Wiślicy, jaki zawdzięczamy głęboko Helcelowi, przykre czynią wrażenie następne wyrazy skreślone przez pisarza, który chciał wyrozumieć „Słowo Polskich Dziejów“ — często i dosyć szczęśliwie je rozumiał. „Sławnym jest za tego panowania Sejm Wiślicki, na którym ułożono w jeden porządny Statut wszystkie zwyczaje i prawa polskie, dotąd podług przykładów i pojedyńczych wyroków luźnie przez księży spisywane!“ Lecz Statut Wiślicy nie był porządnie zebrany, nie objął wszystkich praw i zwyczajów Polski, niekoniecznie sami duchowni wyroki spisywali. Helcelowi przeczącemu, aby przed XIV wiekiem Polska jakie prawa mieć mogła, że tylko zwyczaje prawne mieć mogła, pozwalamy sobie przypomnieć — Spiew czyli Sąd Lubuszy, owe prawo polskie, które czeski Brzetysław mieszkańcom Gdecza zostawił, Żywot Ś. Stanisława powołujący prawo ogólne ziemskie. Niepodobna nie mniemać, aby Polska na powiaty, na obwody sądowe, na żupy podzielona, praw pisanych mieć nie miała. Téj chwili, kiedy Słowianie ukazują się na historycznéj widowni, jestto lud ukształcony. Sagi północne, Wannów, Wenedów, późniejszych Słowian mędrcami nazywają. Długo mniemano — jakobyśmy wszystko od Niemców, od Skandynawów przejęli. Jestto sen, — odwrotne twierdzenie byłoby bliższe prawdy historycznéj. Słowo dziejów Polskich T. I, 129. Koronowicz — Lipsk — 1858.

że rok 1347 za zwrót wsteczny albo postępowy praw polskich uważany być nie może. Jestto data zawsze ważna, ale nie ma i miećby nie mogła téj niezmiernéj ważności, jaką jéj autor nadaje. Zwrot — inna myśl prawa, inny prawny kierunek — nigdy! Był to ruch ku zbudowaniu prawnéj jedności narodu. Było to jéj zaczęcie, które się stopniowo rozwijało i dopełniało.

Autor wymienił, rozpoznawał, zgłębiał ustawy, zbiory, zwody różnych słowiańskich narodów. Użył ich we swojéj pracy nie zawsze szczęśliwie; niektóre wedle nas, pod względem społecznych i prawnych stosunków, najpierwszéj ważności, zaledwie poruszył, — zdawałoby się, uznał niegodnemi pilniejszéj uwagi. Z tych zbiorów, zwodów, dostatecznie wyrozumiana być mogła myśl każdéj słowiańskiéj społeczności, rozpoznawanéj oddzielnie, i myśl prawna spólna wszystkim Słowianom; to, co różne słowiańskie społeczności cieniowało, czyniło je postaciami niejako samoistnemi, i to — co je wiązało, co dawało im jeden organizm.

Świadectw — dowodów posiadamy dosyć, aby można zatrzymać jakie powątpiewanie o duchu, który pod względem prawnych stosunków ożywiał słowiańskie, a co nas głównie zajmuje, polskie społeczeństwo. To świadectwo, te dowody, badać i zrozumieć należało, a nie przedsiębrać téj ogromnéj podróży, po wszystkich stronach świata dokonanéj przez autora, aby poznać czémby być mogło we swojéj stwarzającéj zasadzie prawo słowiańskie i polskie. Zamiast zgromadzenia wszystkich świateł na swój przedmiot, autor rozproszył je i osłabił, — ztąd niejako fatalnie wyniknęło, że przedmiot ukazuje zarysy zawsze niepewne, czasami potworne, a nigdy takie, jakie ma rzeczywiście.

Autor użył we swoich poszukiwaniach następnych prawnych słowiańskich pomników, czyli raczéj zbiorów prawa. Prawda Ruska, spisana 1020 r.[21]) Wedle autora, jestto łaska Jarosława, który Nowogrodzianom, ich całéj ziemi, miał na-

[21]) Dotąd najlepsze wydania Prawdy Ruskiéj uczynił 1844 r. Tobien. Jednak poszukiwania Ewersa i Raitza, nie straciły jeszcze swojéj ważności. Autor ma za

dać pewne swobody, zawdzięczając wsparcie, jakie od nich odebrał. Przyznaje atoli, że były dawne zwyczaje, nawet spisane ustawy. Ma ona mieć dwa żywioły, dwie zasady, dwa duchy, które autor najdziwniéj mianuje, — jeden duchem zewnętrznym, obcym, — a drugi wewnętrznym, swojskim słowiańskim. Prawda Ruska, a rzeczywiście Nowogrodzian, pojęciami cudzemi, normandzkiemi przeniknioną być miała. Jako wszędzie, i tu autor nie odkrył słowiańskiéj samoistności, nie mniema, aby Nowogrodzianie przed 1020 r. swoje własne ustawy mieć mogli, z nich samych wydobyte. Prawda Ruska jest nadana, udzielona, na łożona a przesiękniona cudzemi rzeczami i myślami. Autor zdaje się zapominać, że Nowogrod, mimo że część władzy ustępował powoływanym kniaziom, do środka XV wieku a znacznie do wieku XVI używał najzupełniejszéj samoistności. Że przez stosunki handlowe, że przez wezwanie Waregów, obce pojęcie prawne i społeczne do Nowogrodzian, do ich Prawdy weszły, chętnie zezwalamy. Był to istotnie napływ zewnętrzny, fałszywy, zepsucie czystéj słowiańskiéj myśli, jéj obłąkanie, jéj upadek. Co do Prawdy Ruskiéj, co do innych prawnych słowiańskich pomników, przyjmujemy mniemanie zupełnie przeciwne temu, jakie autor najwydatniejszém uczynił. Wszystko co zewnątrz do Słowian przyszło — a głównie z Niemiec, było nadłamaniem, wykrzywieniem słowiańskiéj zasady; nie światłem ale omgleniem, nie postępem ale stłumieniem, nie rozwijaniem ale mniéj więcej rozległém i stanowczém zatrzymaniem narodowéj samoistności. A właśnie owe zewnętrzne napływy, owe zbłąkanie słowiańskiéj myśli prawa, autor początkiem, natchnieniem, życiem Słowian najopłakaniéj nazywa.

Pskow miał również swoje własne ustawy, przyjęte na

złe Raitzowi — i słusznie — to, że on za początek praw nowogrodzkich wskazał narody skandynawskie; utrzymuje najwłaściwiéj, że źródło praw słowiańskich u samychże Słowian jest i być powinno, T. I, 282. Lecz sam kiedy prawne polskie stosunki rozbiera, cóż czyni? Dowodzi na wszystkie sposoby, że społeczeństwo polskie, myśl niemiecka, myśl saska poczęła, że Polanie Wisły sami sobie prawa dać nie mogli, — nie mieli własnéj organicznéj, zasadniczéj, stwarzającéj myśli.

wiecy 1467, mimo że naówczas ucierpiał znaczne nadłamanie politycznéj samoistności. [22])

Ustawa Pskowa występuje po za wiek XIV, jednak niewątpliwie obejmuje starożytne prawne zasady. Wielkie téj ustawie autor przyznaje znaczenie i zgadzamy się z nim a żałujemy, że jéj rozpoznaniu rozleglejszéj i pilniejszéj nie poświęcił uwagi. Szkoda, że jéj całéj do tomu szóstego nie wprowadził. Godnémi zbadania są przepisy o własności ziemi, o dziedzictwie, a godnemi z téj przyczyny, że ustawa Pskowa przejęła a raczéj zachowała pierwotne najdawniejsze niektóre prawne polskie pojęcia i one saméj Moskwie podała. Ustawa Połocka 1400, ustawy Biało-Rusi 1464 i 1468, ustawy Moskwy 1448 i 1550 r. zawierają także prawne pojęcia Słowian, ale niepewniéj i słabiéj. Główne prawo karne i polityczne ogromnéj a szkodliwéj uległo przemianie.

Tych pomników autor, w nich samych, w ich własnéj istocie samoistności, dostatecznie nie rozważył. Nie ma ich całości, ich organizmu, jaki się historycznie, niepodlegle rozwinął i utworzył. Porozrywał, porozrzucał, i z tego co powiedział, jest niepodobném ujrzeć, przeczuć, domyślić się nawet, jaka tych Słowian pod względem prawnym byćby mogła rzeczywista postać. Błąd niezmierny, który odebrał téj Historyi Prawodawstw Słowiańskich wszelkie naukowe znaczenie.

Źródła polskie właściwe, dotąd znane, i te, bardzo ważne, które autor pierwszy odkrył i ogłosił: ustawa rolnicza chełmskiéj ziemi, — wyciągi z pism urzędowych grodzkich i ziemskich, — ustawa obelna włościan, — ustawa najciekawsza Winodułow, — ustawy mazowieckie — łęczyckie, to, co autor jeszcze Statutem Wiślickim nazywa, co wszakże po zajmujących badaniach Helcla, zupełnie odmiennie uważać należy, a co przecież autor pomija, jakoby żadnéj wagi i myśli mieć nie miało, — ogromniejsze i drobniej-

[22]) Iwan Ingelmann uczynił powtórne wydanie Pskowskiéj ustawy. *Graždanskie zakony pskowskoj sudnoj gramoty*—a przyłożył swoje objaśnienia. Petersburg—1855.

sze zbiory dyplomów Działyńskiego i Ryszczewskiego, — odkrycia Helcla, — to wszystko właściwie widziane i zbadane daje, co do głównych zarysów, zupełnie dokładny wizerunek polskich prawnych stosunków. O saméj naczelnéj zasadzie nie można mieć powątpiewania, chociaż wszystkie jéj zastosowania i odcienia nie zupełnie mogłyby być wyjaśnionemi.

Zwracając się na zachód polski, ku ziemiom słowiańskim Odry i Laby, a pomnąc, że narody tych ziem, wedle najmocniejszych podobieństw, miały polski początek, ustawy tych narodów — Szlązan, Prussów, Pomorzan, Czechów Morawian, pierwotnie czysto słowiańskie, a późniéj zmienione, zatarte niemieckim wpływem, są ważnemi pod względem poznania nie tylko słowiańskiéj, ale nawet i polskiéj prawnéj natury. Autor na inném miejscu, jednak bardzo właściwie, u brzegów dolnéj Laby poodkrywał polskie nazwy — kraj i lud, rzeczywiście polskie. Ztąd wyniknęła potrzeba rozważania stworzonych przez ludy téj ziemi pierwotnie słowiańskie prawnych pomników, chociaż wyrażonych późniéj niemieckim językiem, zatartych mocno niemieckim obyczajem. Ustawy prawne Lubeki, Magdeburga, Chełmna, Rugii, Dytmarsów, Zwierciadła saskie i szwabskie, zamykają niewątpliwie wiele i może najistotniéjszych prawnych słowiańskich wyobrażeń. Autor upatrzył wielkie podobieństwo przepisów sądowego postępowania u Saksonów, Mazurów, Serbów, Czechów i Rusinów, co upoważnia mniemać, rozumnie, że Saksonowie u Słowian prawne zasady przyjęli; — że przeto między najfałszywszemi, najniehistoryczniejszemi należy postawić twierdzenie naczelne autora, jakoby kolebka początków cywilizacyi Polski i wszystkich Słowian, owa Germania, owa rzesza niemiecka, słowiańska być miała. Fałszywość i niehistoryczność tego twierdzenia dowodzi jeszcze i to, że lud niemiecki był niedawnym, mało licznym, wedle opisu Cezara i Tacyta, prawdziwie barbarzyńskim, bez kapłaństwa, bez religii, a przeciwnie Słowianie występują jako lud starożytny, wykształcony, niepoliczony, który wedle zeznania samychże niemieckich pisa-

rzy owym Niemcom, tyle uwielbianym, najważniejsze żywioły cywilizacyi udzielił.

U Czechów, autor miał następne prawodawcze pomniki: prawo czeskiéj ziemi, postępowanie sądowe czeskie — jus terrae Boemiae — wykład prawa ziemskiego przez Andrzeja z Duby, ustawa Karola IV., nakoniec prawne dzieło Wiktoryna z Wszehred, któremu autor, pod względem poznania natury praw czeskich, naznacza pierwsze miejsce i najważniejsze znaczenie; — daléj ustawy Morawii i Szlązka. Nie zapomniał autor Węgrów, a bardzo słusznie, albowiem u Węgrów dawniéj i teraz żywioł słowiański mocno przeważa. Uczony a szlachetny Fessler swoje historyczne dzieło właściwie nazwał dziejami węgiersko-słowiańskiemi. [23])

U Słowian południowych, zadunajskich, pozostały wielce szacowne, może najważniejsze prawne pomniki, pod względem wyobrażeń, które ożywiały najdawniejsze słowiańskie społeczeństwo, a które u Słowian mocno się zmieniły i niejako zatarły przez wpływ zachodniéj cywilizacyi, — przez zepsucie i wynarodowienie niemieckie.

Serbowie jeszcze za czasów swobody i niepodległości spisali swoje ustawy 1349 i 1354 r., ogólnie słowiańskie, narodowe, ale zarażone złym wpływem politycznych i reli-

[23]) Autor dosyć nizko postawił prawo tych Węgro-Słowian; chociaż podobne prawom polskim, ma być od nich lichsze. Ma to być mięszanina, gmatwanina praw rzymskich, kanonicznych i szwabskich. Autorowi się zdaje, jakoby Bulla węgierska, owa Magna Charta Węgrów 1222., obejmująca swobody Węgro-Słowian, miała być wzorem, z którego Polska brała dla siebie polityczne swobody, przejmowała, naśladowała a sama ze siebie nic nie miała. We dwóch swoich przedostatnich pracach historycznych: „Pierwotne dzieje Litwy, Polski i Rusi“ i „Najdawniejsze polskie Kroniki,“ — autor nagromadził mnóstwo wiadomości na wykazanie, że Polanie Wisły i Dniepru — niemowlęta, dzieci, pozbawieni wszelkiéj organicznéj, wszelkiéj stwarzającéj siły — całe swoje wykształcenie moralne, polityczne i duchowe, za pośrednictwem Lechitów, z Germanii wynieśli. Myśl saska, czyli niemiecka, Polskę zaczęła, stworzyła i długi czas utrzymywała. Polska dawna sama przez siebie powstać, dać sobie organizm, historycznie żyć, działać i wykształcać się nie mogła. Wychodzi na świat wywrócenie téj dziwnéj niesłychanie, a jeżeli mamy powiedzieć, zasmucającéj i gorszącéj teoryi, która daje zupełne twierdzenie parciu Niemców na wschód — Słowian wytępić, zniemczyć. Co może byłoby i słusznie i zbawiennie, jeżeliby dowiedzioném być mogło, że myśl słowiańska jest bierne, a tylko myśl niemiecka stwarzającą.

gijnych stosunków, wyobrażanych przez cesarstwo Wschodnie.

Ustawy Czarnogórców spisane 1796, a jednak szanowane, wypełniane, żyjące, zwróciły na siebie uwagę autora, który, zdaje się, nie dostrzegł ich rozległego znaczenia. Są one wizerunkiem pierwotnéj Słowiańszczyzny, — czém ona była rzeczywiście, nim dla niéj weszły dobroczynne albo fatalne wznowienia. Zasada urządzenia gmin — zasada rodów, a przez następstwo, zasada własności i dziedzictwa, przechowały się u Czarnogórców najwierniéj, bez żadnéj cokolwiek mocniejszéj odmiany. Autor prawo gmin i rodów uznał ważném, a jednak prawie zupełnie zaniedbał użyć je i przez nie wyrozumieć, przedstawić społeczny i rodowy układ dawnéj Słowiańszczyzny. Żałować należy, że téj ustawy Czarnogórców we swoim szóstym tomie, najciekawszym, nie przedrukował. Sama żywa ustawa lepiéjby nas objaśniła, zbudowała, dałaby dokładniejsze pojęcie słowiańskiéj pierwotnéj, u Czarnogórców mało zmienionéj społeczności, aniżeli jéj ułamki na różnych miejscach rozrzucone, rozerwane, wyjęte ze swojéj całości, ze swego organizmu, pokazane nie jako życie, ale jako oderwane pojęcie bez życia. Ale cóż. Dziwne uwidzenie autora ustawie Czarnogórców odejmuje samoistność, narodowość, początek słowiański. Myśl téj ustawy, ma to być myśl Tacyta o Niemcach i Germanii. Kluczem zrozumienia prawnéj natury Słowian ma wiecznie pozostać Tacyt, — nie sami Słowianie, nie to, co oni sami ze siebie wydali, co sami o sobie przez prawa i dzieje własne twierdzili.

Zajmujące, nieocenione ustawy Winodulów spisane 1280, a sięgające niezawodnie najdawniejszych czasów Słowiańszczyzny, przedrukował autor we swoim szóstym tomie — i prawdziwie nie pojmujemy na jaki cel podróżował do owéj Germanii, udawanéj przezeń za kolebkę, za początek cywilizacyi u północno-zachodnich Słowian, u Polanów, u Polaków, kiedy sama ustawa Winodulów, właściwie rozumiana, o wszystkich urządzeniach słowiańskich i polskich

udziela dostatecznych objaśnień; nie trzeba odstępować Słowiańszczyzny, wyrywać się z jéj ducha, z jéj myśli, z jéj historyi, aby ją zrozumieć. Wszystkiego, co ona miała — co stworzyła we względzie społecznym i prawnym, — całego jéj życia, jéj ogólnych losów w niéj i z niéj początek, w niéj i przez nią wytłómaczenie i usprawiedliwienie. Owa Arkadya słowiańska, do któréj czasami się unosi autor, nie jest dziełem niemieckiéj myśli. Nierównie właściwiéj pojmujemy znaczenie Słowian i nas samych, wstępując do myśli słowiańskiéj, do niéj saméj — do jéj najdalszych głębokości; aniżeli badaniem niemieckich urządzeń. Jestto błąd nieopisany mniemać, jako mniema autor, że z kronikarzy wydanych przez Pertza początek Polski, jéj znaczenie historyczne, jéj pierwotne słowo wydobyte być może. Jestto kierunek niebezpieczny, niemający i niemogący mieć celu. Jeden ułamek czystych słowiańskich ustaw da więcéj nauki, pewności i życia. Wyliczył, przejrzał, ale na nieszczęście jako zwyczajne jemu, ostrożnie użył, a możnaby powiedzieć — musiał — ustawy mniéjszych państw, nawet wysp i miast pojedyńczych słowiańskich. Ustawa Dobrownika, inaczéj Raguzy 1272; ustawa Zagrzebia 1242 — 1429; ustawa rzeczypospolitéj Policy 1400; ustawa wyspy Krk — Krak — Kraków? 1388, rzucająca wielkie światło na położenie kmieci, którzy 1267 r. występują jako członkowie więcy, a 1477, jako czynszownicy; — dowód, że u pierwotnych Słowian żadnych stanów nie było, — że każdy członek społeczności równych praw używał. Czynszownicy, ale kiedy i względem kogo? Pierwotnie, względem gminy, względem powiatu swego, względem państwa. Między czynszem u dawnych Słowian, a czynszem niemieckim feodalnym, i u nas także znanym, ani co do początku, ani co do zasady, nie ma żadnego zbliżenia. Nazwa podobna, ale myśl zupełnie odmienna. Daje się łudzić autor majakom, prawdziwie samym mamidłom. Wszakże naucza, że u nas, co do kobiet, zasada salicka obowiązywać miała — a nie ma przeczucia nawet dla jakiéj

drzyczyny u nas kobiety długo ziemi dziedziczyć nie mogły. Téj przyczyny nie dostrzegł nawet L...... [24])

O ustawach właściwie polskich, jako znanych powszechnie, chociaż dotąd ani zgłębianych, ani wytłómaczonych stosownie, tylko spomnimy, ostrzegając, że dzieło autora, pod tym względem, nie ma żadnéj wartości. Raczéj powikłał aniżeli rozwiązał, raczéj pomnożył ciemności, aniżeli je rozpędził i rozjaśnił. Ustawy mazowieckie, najważniejsze i najobszerniejsze ze wszystkich polskich, postawił wysoko — i zgadzamy się z nim, — ale cóż? poniżył je, — odebrał im samoistność i polskość, oznajmiwszy, że pod wyrazami polskiemi ukrywała się i żyła myśl czysta niemiecka. Zbogacił autor pomniki praw polskich ważnemi swemi przyczynkami, przez które rozumiemy prawo rolnicze chełmskiéj ziemi, prawo obelne i wyciągi z akt sądowych. Lecz, jako zaraz ujrzymy, tych pomników, które sam odkrył, albo które znalazł, właściwie nie znał i nie szanował: widział w nich to, czego w nich ani przez domysł dostrzedz niepodobna.

Mamy mocne przekonanie, że z tych ustaw, zakonów słowiańskich, jakie dotąd mamy, układ społeczny i polityczny Słowian, całe ich prawo we swojéj zasadzie i we swojém rozświetleniu najłatwiéj pozwoli się wyprowadzić i zrozumieć. Najniepewniejsze światło o Słowianach z Cezara i Tacyta i Zbioru Pertza.

Na widok tylu rzeczywiście ważnych i zdumiewających pomników prawa i polityki, które wydobyła ze siebie i objawiła myśl słowiańska najżywotniejsza, jakież autor odebrał wrażenie i koniecznie przez wszelkie sposoby chciałby

[24]) Co chwila występują na świat ustawy słowiańskie. Jeszcze 1851 r. przygotowano do druku Ustawy czyli Zakony Tersacza, Rastvana, Urbuicy, Veprynasza — czyli wyszły, nie śmiemy powiedzieć. Mnogość tych słowiańskich ustaw, zakonów dotąd odkrytych, nie jestże najmocniejszym dowodem, że myśl słowiańska posuwała się samoistnie, wszechstronnie; że do zaczęcia saméj siebie, do wydania, do stworzenia saméj siebie nie potrzebowała zewnętrznéj pomocy — saskiego, niemieckiego natchnienia. Jakikolwiek miała organizm, miała swój własny, z niéj saméj wydobyty. Wysokie czyli nizkie — są one zawsze słowiańskiemi, samoistnemi, narodowemi — z nas samych. Nie jestto ani dar, ani przymus zewnętrzny.

innym udzielić, wmówić czyli narzucić? Oto, że myśl słowiańska nie ma organizmu, że sama siebie zacząć nie mogła, że nie posiada swojéj własnéj postaci, że jest bierną — niejaką nawet, że myśl słowiańska nigdy w sobie saméj i w sobie nie była; że u siebie i ze siebie początku nie miała, że to, czém była i czém jest nawet, od Niemców przejęła, — z Germanii, z téj swojéj kolebki wyniosła, — a zupełnie nieszczęśliwie, albowiem nigdy po za stan niemowlęctwa i dziecinności wystąpić nie mogła — i, co autorowi wydaje się mocno rozżalonemu, — że myśl słowiańska czyli lechicka, myśl Polanów Wisły i Warty skonała.

W tych pomnikach prawa, wydanych przez Słowiany, tylko zewnętrznie, co do języka słowiańskich czyli polskich, autor poszukiwał bytu, działania dobroczynnych wpływów saskiéj myśli. Lecz ktokolwiek, mający podobne naukowe usposobienie, przekonanie, czyli złudzenie, mógłże przedsiębrać dzieje prawa u Słowian? Jestże dlań rzeczywiste prawo słowiańskie,—historya słowiańska? Jaka korzyść badać, oceniać losy tych Słowian, którzy nigdy własnéj, samoistnéj, stwarzającéj myśli nie mieli, skoro żyli cudzemi nie swojemi myślami; których — jako znowu wierzy autor — zrozumieć, zachować, rozwinąć, wykształcić nie umieli? I nie dziwno. — Ich umysł był zawsze dziecinny, jeszcze do téj chwili kolebki nie opuścił, zestarzał się, wynaturzył się, czyli raczéj umarł — pierwéj nimby być mógł młodzieńczym, męzkim, dojrzałym.

Granitem pierwotnym, na którym opierała się cała budowa prawna i polityczna Słowian, miała być myśl niemiecka. Jakże ocenił autor stosunek praw rzymskich i kanonicznych do prawa Słowian, a co nas najżywiéj zajmuje, i zajmować powinno, do prawa Polski; albowiem jeżeli samych siebie dokładnie nie rozumiemy, nie uznamy naszéj własnéj myśli, stracimy koniecznie moc wierzenia, pojęcia, użycia albo przeobrażenia wszelkiéj innéj po za nami położonéj, do nas wstąpić, z nami żyć i spółdziałać zamierzającéj myśli. Autor położenie praw rzymskich i ka-

nonicznych względem Słowian, względem Polski, dosyć dziwnie sobie wytłómaczył.

Prawo kanoniczne, mówi autor na stronicy 138, służyło korporacyom, duchowieństwu; nie miało z prawami krajowemi związku, jaki miało niemieckie. Jaka niedokładność! Jakie pomięszanie! albowiem nie śmiemy mniemać, jakoby autor słów, które pisze, nie rozumiał, jakoby nie znał przedmiotów, które rozbiera, które ocenia. Nasamprzód, nie jest prawdziwém, że prawo kanoniczne tylko samemu służyło duchowieństwu, samemu kościołowi — korporacyi. Pewne, znaczne części obowiązywały wszystkich wiernych — i wiadomo jakie mnogie sprawy kościół swojemu poddał sądownictwu — późniéj wiele utracił, jednak dosyć wiele i długo zatrzymał. Prawo kanoniczne przeto miało ogromny, rozległy związek z prawami polskiemi, objęło wiele stosunków naszéj społeczności, nieskończenie więcéj aniżeli prawo niemieckie, magdeburskie najgłówniéj. Prawo kanoniczne, ostrzegamy nie całe, wszystkich mieszkańców polskiéj ziemi pod swoje przepisy zajmowało, za wyjątek uważane być nie może. Joachim L...... mniema, że prawo kanoniczne wpłynęło na ułagodzenie praw karnych polskich, które ze swojéj natury srogiemi być miały. Ten wpływ dla nas nie jest dowiedziony, — nie mógł mieć zastosowania, albowiem prawo karne polskie okresu, który rozważamy, do XIV wieku miało wiele łagodności — szanowało człowieka, i pod względem okrucieństwa, barbarzyństwa, do innych praw, a głównie niemieckich, ani porównywane być może.

Wbrew temu, co autor naucza, prawo niemieckie, względem praw krajowych, stanowiło wyjątki, nierównie mniéj aniżeli prawo kanoniczne do prawa kraju miało stosunków. Rzeczywiście służyło tylko korporacyom — pewnym gminom — pewnym miastom, na prawo ziemskie nie miało wpływu, nigdy wszystkich nie zajmowało mieszkańców, jako zajmowało prawo kanoniczne. Szlachta, to, co w XIV wieku nazwisko szlachty przyjęło, co stanowiło najistotniejszy żywioł polskiéj społeczności, nigdy dla siebie praw nie-

mieckich uznać nie chciała. Nie przeczymy, że mnóstwu miast i wsi prawa niemieckie nadane były, — ale Joachim L...... widocznie za daleko posunął swoje obawy, kiedy mniemał, że była chwila, która groziła zatraceniem praw polskich przez niejakieś samowładne panowanie niemczyzny. Takiéj groźnéj chwili dla narodowości polskiéj nie znamy — nie przypuszczamy. Do środka XIII wieku nadań prawom niemieckim prawie nie ma, są nieliczne przykłady. Zaraz na początku XIV wieku, polska narodowość najokazaléj się rozwijać zaczęła i oporne inne żywioły najłatwiéj pokonała. Wedle nas przeto, prawo kanoniczne powszechniéj wpływało na prawne stosunki całéj naszéj społeczności — i długo — ciągle. Prawo niemieckie wpływało słabiéj, czas krótszy i nigdy całéj polskiéj nie obowiązywało społeczności, nigdy istotnie nie groziło wywróceniem praw krajowych. Łamało, mięszało, opóźniało, ale nie miało mocy na skrępowanie, na złamanie prawnéj polskiéj myśli — polskiéj wedle nas, albowiem, wedle autora, Polska własnéj myśli nie miała, żyła i szła historycznie jako tako niemieckiém, z Germanii przez Lechity niewolniki wniesioném myśleniem; ukradli Niemcom, Polanom Wisły na czas niejaki udzielili.

Synody, które wymienił autor, synody nieznane dotąd, ogłoszone przez Helcla i Hube; długie, uporczywe namiętne spory między stanami, duchownym i świeckim, zaczęte na początku XIII wieku, miałyżby służyć za dowód, że prawo kanoniczne na nasze prawne stosunki rozległego wpływu nie miało, — że wpływ praw niemieckich był silniejszy, ogólniejszy.

Autor zanadto ścieśnił wpływ praw kanonicznych u nas, a wpływ niemieckich praw zanadto rozszerzył. Lecz zaraz na stronie 139 znajdujemy twierdzenie odwrotne, naznaczające prawu kanonicznemu działanie, jakiego ono rzeczywiście nie miało. Że prawo kanoniczne używało „wielkiéj powagi,“ nie przeczymy, — ale wielkiéj powagi, jedynie co do stosunków względem kościoła. Lecz kiedy autor uważa, że prawo kanoniczne wywierało wpływ na pra-

wo ziemskie, że sędziowie, na wzór praw kanonicznych, układali swoje wyroki, że polskie zjazdy i sejmy wzór swoich postanowień z praw kanonicznych brały, — na to przynajmniéj u nas nie posiadamy dowodów. Owszem, swobody szerokie nadane duchowieństwu przez Władysława Plwacza, sądownictwo duchowne, a zatém i samo prawo kanoniczne, najżywszy wywołało spór, który stanowczo zwyciężył. Ani myśl niemiecka, ani myśl praw kanonicznych, naszéj prawnéj nie stworzyła zasady, nie dotknęła jéj.

Nie zdaje się nam również, aby pomysły autora o znaczeniu praw rzymskich, o ich stosunku do praw polskich szczęśliwszemi być miały.

U nas, wykłada autor, prawo rzymskie miało być przedmiotem zabawy; nie chciano zeń użytkować, nie zaglądano doń wewnątrz. Odrzucano je stanowczo, ale czyliż całe? Nie. Polska przyjęła prawo rzymskie polityczne, naśladowała je. Być ono miało dla niéj wzorem, szczególniéj kiedy Jan Zamojski wydał swoje dzieło o senacie: T. I. 348. Czytamy także, że prawo rzymskie odrzucono, albowiem praktyczném być nie miało — a dano wstęp prawom kanonicznym, jako praktyczniejszym, zapominając, co wyżéj nadmienił, że wpływ praw kanonicznych był u nas dosyć słaby, a wpływ praw niemieckich niezmierny. Po oznajmieniu, że prawo rzymskie odrzucono zupełnie jako niepraktyczne, i znowu, że prawo polityczne rzymskie wzorem być miało, autor wyjaśnia głęboki żal, że u nas prawo rzymskie, i pod względem stosunków cywilnych, zupełnéj nie miało przewagi; dla jakiéj przyczyny? — albowiem wziąwszy cegły prawa rzymskiego i ułożywszy je jako tako, możnaby zbudować nowe prawodawstwo, ze wszech miar odpowiedne potrzebom wieku, T. I. 142.

Jakie prawo rzymskie miał autor na myśli? Miało ono, zdaje się nam, trzy okresy: dwunastu tablic, pretorów — rozwijanie się i kształcenie, nakoniec czasy Justyniana — zbiór ogólny, ostateczne ułożenie. Stan tych trzech okresów był niezmiernie różny, pod względem stosunków cy-

wilnych, karnych i politycznych. Każdy miał swoje właściwe zarysy, każdy przedstawił odmienny stan społeczności, przez każdy inna działała myśl; naprzykład religijna — poganizm, politeizm, stoicyzm i chrystianizm za czasów Justyniana, przeciążający, ale jeszcze nierozwiniony — raczéj na wierzchu aniżeli wewnątrz społeczności, raczéj forma aniżeli duch żyjący. Autor tych stanów, tych przeobrażeń, tych przejść nie odróżnił, nie objawił, z jakiego okresu prawa u Rzymian miałyby być branemi owe cegły, z których, jako on mniema, możnaby ułożyć doskonałe prawodawstwo, odpowiednie potrzebom wszystkich czasów. Autor widocznie, gdyby miał moc, przemazałby wszystko, co u nas byćby mogło, chętnie wyrzuciłby prawne pojęcia słowiańskie i polskie, — a na ich miejsca wzniósłby cudowny prawny budynek, najpiękniejsze prawodawstwo dla Słowian i Polaków, ułożone z cegieł prawnych rzymskich; robota czysto mularska, mechaniczna; architektoniki, saméj budującéj myśli nie trzeba, przez któréj przecie działanie powstało samo prawo rzymskie, przeobrażało się, krztałciło się, ułożyło się to, co autor dosyć śmiesznie cegłami prawnemi nazywa — dobremi dla Rzymian, na czas kiedy je składano, ciekawemi, godnemi uwagi i badania nawet na teraz, zawsze, ale niemającemi nigdy téj natury, aby z nich budować doskonałe prawodawstwo polskie, odpowiednie potrzebom czasu. Dla nas prawo rzymskie, we swoich wszystkich przeobrażeniach, uważane historycznie, ma wielkie znaczenie. Jestto okazałe stworzenie myśli. Nazwano je za dumnie, bezwarunkowo, naiwnie może — *ratio scripta*, albowiem po zamięszaniu wniesioném do Europy przez barbarzyńce niemieckie, prawo rzymskie, za czysty, za najwyższy rozum podawaném być mogło. Ale teraz taki sposób widzenia nie jest stosowny. Zaiste, myśl ludzka we swojéj treści żyjącéj i stwarzającéj jest jedna i taż sama, ale jéj rozwój, ale jéj wstępowanie w jéj głębsze życie nieskończone. Każda społeczność, ma właściwy dla niéj, z niéj saméj wydobyty rozum, *ratio scripta*, — ale rozum wedle stopnia rozwinięcia, wysoki

albo nizki, wykształcony albo zatrzymany i obłąkany. Ostrzeżenie, że żadnych obcych praw do społeczności, któraby sama ich nie wydała, nie stworzyła, mechanicznie, mularsko, rzemieślniczo, jako cegły, przenosić nie wolno. *Horrendum, monstrum!*

Jest nieodgadnionym błędem historycznym i naukowym mniemanie, jakoby cegły prawa rzymskiego złożyć mogły budynek praw dogodny dzisiejszym społeczeństwom, odpowiedni dzisiejszym potrzebom słowiańskim albo polskim. Między wyobrażeniami rzymskiemi, za czasów XII tablic, za Tyberiusza, Domiciana i Justyniana, a wyobrażeniami słowiańskiemi i polskiemi, wziętemi z jakiegokolwiek okresu naszych własnych albo słowiańskich dziejów — nie ma podobieństwa; jest nawet nieźmierny przedział. Polska rozumnie i zbawiennie czyniła, okazując niepokonany wstręt ku prawom Rzymian, a głównie prawom Rzymian karnym i politycznym. I z tych praw karnych i politycznych rzymskich, nawet ani jednéj cegły, ani dla nas samych, ani dla żadnéj społeczności nie pragniemy. Nam się raczéj wydaje, że Polska zrozumiała doskonale duch praw rzymskich, weszła do ich wnętrza — oceniła wysoko ich karne i polityczne znaczenie, nie bawiła się niemi, rozważyła je poważnie i stanowczo odrzuciła. Pod pewnym względem autor dobrze mówi, że nie chciano u nas praw rzymskich jako niepraktycznych, to jest do naszéj społeczności, do ducha, który nią głównie poruszał, niemogących mieć zastosowania. Byłato, co do najwalniejszych stosunków społecznych, karnych, moralnych i politycznych, najzupełniejsza sprzeczność.[25])

[25]) Ze wszystkich postaci XVI wieku może najżywiéj nas ujmuje Andrzéj Modrzewski, sekretarz Zygmunta Augusta, członek poselstwa na Synod Trydentu, wszechstronnie uczony, umiarkowany, którego dzieło *De emendanda Republica* wyniesione a słusznie najokazalszemi pochwałami, przełożone na europejskie języki. Obroniciel wolności wyznań, wymowny, rozumny, głęboki, rzecznik wolności, własności i życia włościan, których właśnie w XVI wieku trapić, ujarzmiać, ze społeczności szalenie wyrzucać zaczynano — prorok nieszczęść, jakie z téj ohydnéj przyczyny loicznie a okropnie rozwinąć się miały, człowiek lubiony, czczony przez wszystkich, wyjąwszy przez wichrzycieli, przez umysły namiętne, burzliwe, niewiedzące, czegoby same chciały, — jakim był Orzechowski, pod innemi względy najświetniej-

Jestże przynajmniéj dla autora prawdziwém, że u nas tylko się bawiono prawami rzymskiemi, że do ich wnę-

szy; na takiego przecież Modrzewskiego autor rzucił swoje niechęci, gniewy, zniewagi nawet. Miałto być jakiś warchoł i niewdzięcznik, który nie umiał szanować czyli znosić ludzi, „na których chlebie siedział“ T. I. 345. Na czyimże chlebie siedział Modrzewski? Posiadał sołtystwo Wolborza, był właścicielem wieczystym i piastował urząd sędzi przez nadanie biskupa Kujaw dawnych sięgające czasów. Lecz taki wójt był niepodległym, na cudzym nie siedział chlebie. Był długo równym wszystkim mieszkańcom, biskupom, wojewodom; ulegał jednemu prawu, jednym sądom. Modrzewski pisał przeciw zasadom i urzędnikom kościoła, lecz miał prawo i obowiązek, a pisał spokojnie, umiarkowanie badał, rozpoznawał, szukał — a szukał wysoko, oględnie, sumiennie skoro władza kościoła klątwy przeciw niemu rzucić nie śmiała. Że Uchański Modrzewskiego rugować z własności wieczystéj nie chciał, to autor prawie za złe uważa, — a znajduje dobrém, godziwém, że Karnkowski spłacił własność i wypędził—za co? za piękne polityczne i religijne rady, podawane krajowi—za to, za co władza kościelna ani zaskarżać ani sądzić nie chciała. Autor prawnik zapomina, że wójt, sędzia, właściciel, był niepodległym; że był czas kiedy jako sędzia i jako właściciel używał prawdziwéj niepodległości i przez nikogo nie mógł być ruszanym. Pierwotnemu nadawcy prawo spłacenia nie służyło. To pozwolenie samowolne, niesłuszne, napisała sobie szlachta na początku XV wieku. Byłto gwałt, byłoto naruszenie prawa, byłato zmiana polityczna i społeczna, zmiana fatalna, która miała na celu zniweczenie niepodległych urzędników włości, średnich właścicieli, rycerzy stojących na stronie włościan, obywateli, których ustawa samowolna szlachty saméj znieważyła wyrazami: „buntowniczy i nieużyteczny.‘, Był miły Zygmuntowi Augustowi Modrzewski. Ma wstręty ku niemu autor, niemające słusznéj przyczyny, dziwne, naganne nawet. Co sądzić o wszystkich widokach autora, który męża, jakim był Modrzewski, nie rozumie, nie ma dlań uznania naukowéj i historycznéj czci.

Autor dostrzegł, że Modrzewski zajmował się rzeczami dyplomatycznemi, że jednak dyplomatą być nie umiał. Czemu? Albowiem nie ulegał ludziom, których chléb jeść miał, nie uginał przed nimi swego rozumu i swego sumienia. Ach! Lecz dowiedliśmy, że Modrzewski nie był na cudzym chlebie, a jeżeli był i stracił, jestże to dlań hańba? Autor ma właściwe dlań rozumienie dyplomatyki, które jemu zostawiamy, ale dla siebie ani dla nikogo nie chcemy. Daléj Modrzewski nie umiał być dyplomatycznym jeszcze i dla téj przyczyny, — że „nauk, które opracowywał, nie pojmował praktycznie.“ Jakie były owe nauki, których Modrzewski nie miał pojmować praktycznie, autor nie wymienił. Jakie rady, które podawał Modrzewski, miałyby być nie praktycznemi, także autor nie wytłómaczył. Znamy, i podobno dosyć blizko, dzieła Modrzewskiego i ogólnie zatwierdzamy je. Czyli przypadkiem u autora niepraktyczném ma być to, że rad podawanych przez Modrzewskiego nie przyjęto? Bardzo być może. Lecz doktorowie teologii i prawa Jerozolimy, prawnicy z rzemiosła, skriby i faryzeje Zbawiciela ludzkości na krzyżu przybili,—wieczny dowód, że dosyć często nazywano niepraktyczném, a nawet i zbrodniczém to, co samo z siebie prawdziwém było i nigdy być nie przestanie. Modrzewski naprzykład, zalecał wolność wyznań. Niepraktyczny! Byłże praktyczniejszym Hoziusz, biskup Warmii, kardynał świętego kościoła rzymskiego, wielki penitencyaryusz, jeden z prezydentów Synodu Trydentu, który piękne prawo polskie 1572 r. o wolności wyznań nazywał dziełem szatana, a Henrykowi, królowi Polski, uczenie i pobożnie wykładał — „wiary zaprzysiężonéj heretykom dotrzymywać nie potrzeba.“ Ją-

trza wglądać, ich natury, ich wysokiéj politycznéj mądrości zrozumieć nie umiano. Wcale nie. Prawa rzymskie pod względem politycznym wzorem być miały, szczególniéj kiedy Jan Zamojski wydał swoje dzieło o Rzymskim Senacie T. I. 349. Jeżeli przeto z praw rzymskich wzór brano, nie bawiono się niemi — doskonale je znać umiano. Prawo rzymskie polityczne wywierałoby było wpływ stanowczy.

Jestto jeszcze złudzenie autora, dla nas niepojęte. Jakiż rzymski senat miał dla nas być wzorem, czyli senat za pierwszych królów—senat rzeczypospolitéj—senat Augusta i Tyberiusza albo Justyniana? Żaden z nich. Byłaż jaka

kakolwiek zasada prawdziwa, jestże niepraktyczną, jest utopią przeto, że nie jest uznana, wykonana? Modrzewski zalecał karanie śmiercią zabójcę kmiecia, a zniesienia pieniężnéj ceny. Nie był wysłuchany. Czemu? Niepraktyczny. Modrzewski surowo naganiał wzmagające się uciemiężenie kmieci i to, że szlachta bezprawnie niewątpliwe kmiece własności grabiła. Nie był wysłuchany. Czemu? Niepraktyczny ciągle. Jakiż ma być praktyczny sposób zakładania praw nowych—a znoszenia dawnych? Wedle autora, takich nie ma sposobów. Cóż jest? Modrzewski wcale o tém nie wiedział, że prawa, o których się zniesienie dopraszał, jak nie powstają *z przepisu*, tak też nie uchylają się *przepisem;* czyli, że jak się same przez siebie wzniosły, tak téż przez siebie upadają, skoro czas na nie przyjdzie, który jeden tylko może je przyprawić o życie" I. 346. Na taki początek praw, na takie ich odmiany, podobno nigdzie nie będzie zezwolenia. Mamyż przypuścić, że praw pisanych nie trzeba — że prawo pisane nie ma żadnéj wagi? Praw powstających samych przez siebie i znikających także przez siebie, przez czas tylko, nie rozumiemy, nie rozumie nikt. Sam czas nie jest działaczem, ani myśleniem. Jest podobno inna moc, która prawo stwarza i znosi. Téj mocy autor, prawnik z rzemiosła, do téj chwili nie ujrzał — i my jemu jéj pokazywać nie będziemy. Takie nagany wynurzywszy autor Modrzewskiemu, uznał znowu niechcący, nie wiadomo czemu, że Modrzewski był politykiem pierwszego rzędu.

Ostroróg był znamienitym mężem, autor ma dlań dosyć względów, szanuje widoki, jakie on miał o naprawie rzeczypospolitéj, a zdaje się, przedstawił sejmowi 1459. Lecz autor się zdumiewa, że Ostroróg objawił myśli, których po człowieku żyjącym w wieku XV spodziewać się nie należało. Czemu? Ostroróg był we Włoszech, otrzymał stopień doktora praw; była to chwila odrodzenia umysłu. Ostroróg może protestant, Hussyta właściwie, miałże nie mieć głębokich religijnych i politycznych pomysłów, jakie pierwsza świątu objawiła naprawa zaczęta przez Hussa. My widoki Ostroroga zupełnie naturalnemi uznajemy. Nie były one wyższe nad swój czas. Zdumiewa autora, że Ostroróg należący do rzędu panów podnosił głos za włościanami. Nasamprzód, cokolwiek autor o panach, o stanie, o rzędzie panów pod względem politycznym mówi, jest niesłychanym błędem. U nas, w wieku XV i przedtém, stanu panów nie było. Że Ostroróg podnosił głos za włościanami, to nas bynajmniéj nie zdumiewa. 1459 r. kmieć polski był równy owym panom—jeden sąd, jedno prawo; był właścicielem, osobiście był wolnym. Ostroróg przemawiał za odwiecznym społecznym polskim porządkiem, który we środku XV. wieku psować fatalnie zaczynano.

inna i polityczna praw rzymskich strona, na której obraz i podobieństwo, nasze urządzenie polityczne układano? Nie znamy żadnéj. Liberum veto może? Ależ między liberum veto, znaném u Słowian, w ich najdawniejszéj historyi, liberum veto u nas 1653 r. a liberum veto u Rzymian, upraszamy, jestże jakie podobieństwo? Powież autor, że Słowianie Lutycy—inaczéj Wilcy, ich *nie pozwalam*, z Rzymu przejęli i zapewne dzieje rzymskie czytali, instytucye i pandekta głęboko rozważali i dla siebie za wzór wzięli? Liberum veto u Rzymian służyło tylko urzędnikowi ludu, mianowanemu przez lud, nietykalnemu. Liberum veto u Lutyków służyło wszystkim — każdemu. Liberum veto u Rzymian, wstrzymywało, niweczyło postanowienie senatu. U Lutyków — u nas, wymagano powszechnéj zgody i jednomyślności. Nazwa podobna, sama rzecz, sama zasada, zupełnie odmienne. Senat rzymski pod żadnym względem senatowi polskiemu za wzór nie służył. Senat rzymski byłto patryciat religijny i polityczny razem, — senat polski nie miał nigdy téj natury. Sam nawet autor uznał, chociaż zawsze potwornie, że u Słowian, że u nas arystokracya ludowa być miała. Arystokracyi ludowéj, uważanéj jako stan polityczny, nie pojmujemy. Był u nas senat, nie zaprzeczamy, ale senat nam właściwy — odpowiedni duchowi, który ożywiał wszystkie nasze urządzenia, ale senat polski, z innym a głównie z rzymskim, nie może mieć porównania. U Rzymian, u Słowian, u nas, wszystko odmienne. Do cegieł, że jeszcze użyjemy wyrazów autora, z których senaty polski i rzymski wzniesiono, zupełnie innéj użyto gliny.

Jeszcze jedno i zapewne najważniejsze, to, co daje nasz sąd ostateczny o historycznéj i umiejętnéj wartości Historyi Prawodawstw Słowiańskich.

Każda społeczność ma swoje własne życie, treść swego życia, wiedzenie saméj siebie, to, co nie dawno pięknie a głęboko razem Słowem dziejów polskich nazwano, swoje fiat.

O tém słowie, — o tém fiat właściwém słowiańskiemu i polskiemu duchowi, słowiańskim i polskim prawom,

autor nie ma wyobrażenia, nie ma przeczucia nawet. Prawo polskie i słowiańskie, wedle niego, jest złożone z cegieł zbieranych u rozmaitych narodów—od Indyi, u Niemców i Saksonów. Jednak jeżeli jest u Słowian, w nich, jakie słowo—jakie fiat, jestto słowo i fiat niemieckie, pożyczone Polanom, udzielone, nałożone zewnętrznie, prosto mechanicznie wstawione, wmurowane jako cegła. Do jakichkolwiek prawnych polskich stosunków zajrzy autor, natychmiast się jemu przedstawia myśl niemiecka, w nas żyjąca, w nas działająca, niejako bez nas samych. Treść naszych praw jest niemiecka — sama zewnętrzność polska, jeżeli chcemy,—to jedynie, co uważane historycznie i naukowo nie ma znacznéj wartości. Nawet mieliśmy psuć to, cośmy odebrali.

Po oznajmieniu, jakoby myśl niemiecka, co do początku i zasady prawa a nawet i początku społeczeństwa, gruntem, duchem dla Polski być miała, było naturalném i loiczném dostrzeżenie, chociaż najzupełniéj fałszywe, że u nas panował układ feodalny. Czesi, Serby, Polacy, naucza autor, zarazili samolubstwem ich polityczne życie, wprowadzili do niższych stanów społeczności ducha feodalizmu — ale do wyższych warstw społeczności nie dopuścili — panowie i szlachta, tych stosunków feodalnych, jakie narzucili gminowi, dla siebie względem monarchy przyjąć nie chcieli. Ztąd dwa nieszczęścia wypłynąć miały — słabość rządu, ubóstwo miast i włościan. 1—109.

Jeżeli uważamy, że autor ma na myśli czasy polskie po wiek XIV, cały ten ustęp ma niezrozumiane dla nas niedokładności i najogromniejsze fałsze. Nie przekonał nas autor, aby po wiek XIV u nas dwa stany panów i szlachty być miały; mamy nawet przekonanie, że u nas w wieku XIV stan szlachecki nie był ani urządzony, ani stanowczo zamkniony, jak był na zachodzie pod prawem feodalném — rzeczywiście stanem nie był. Autor nie wymienia ani jednéj ustawy, ani jednego czynu, z którychby słusznie wnioskować można, że u nas panowie i szlachta wsie i miasta, we XIV wieku i przed nim, feodalizmem

związali. Włościanin polski nawet XIV wieku był bezwarunkowo wolnym — używał pełnéj osobistéj wolności, był właścicielem. Było jedno prawo i jeden sąd dla owych panów, szlachty i włościan. Zaledwo się pokazywały pierwsze początki ograniczenia i ujarzmienia włościan, które we swojém najzupełniejszém i najgorszém rozwinieniu nigdy przecież nie miało feodalnéj natury. Porwany złudzeniem niejako powszechném, autor płacze, że słabość rządu, ubóstwo miast i wsi wyniknąć miały z owéj narzuconéj przez szlachtę feodalnéj niewoli, która przecież u nas we XIV wieku nie istniała. Jakichże wymownych narzekań nie czytamy przeciw owym fatalnym nadaniom Ludwika, téj mniemanéj przyczynie wszystkich przyszłych nieszczęść, a narzekań niemających żadnéj podstawy, chociaż podzielanych przez Naruszewicza, przez Czackiego, przez L....... nawet. Gdzież autor wynalazł, że nasze wsie we XIV wieku nędznemi, przez ustaw feodalny zubożonemi być miały? Jestto marzenie. Włościanin, właściciel albo płacący bardzo umiarkowane czynsze, osobiście niepodległy, składający umiarkowane podatki, byłże nędznym, byłże zależnym niewolnikiem?

Jest daléj niehistoryczném mniemanie, jakoby u nas w XIV wieku były warstwy społeczności niższéj i wyższéj, jako na inném miejscu autor nazywa klassy, kasty, panowie, szlachta, gmin splątany kajdanami feodalnemi. Głębokich, drażliwych, stanowczych różnic między mieszkańcami Polski XIV wieku jeszcze nie było. Uznał autor, że szlachta przynajmniéj co do siebie feodalizm odepchnęła. To znajdujemy na stronnicy 109. Lecz na stronnicy 257 napotykamy odwrotne mniemanie, jakoby szlachta polska odrzuciła pojęcia słowiańskie o ludowéj arystokracyi, a przejmowała wyobrażenia niemieckie — innemi słowy — feodalne; co przecież na stosunki czeskie szkodliwiéj wpłynąć miało. Miał być przeto u nas gmin złamany feodalizmem, szlachta feodalna, i znowu szlachta feodalizmowi najprzeciwniejsza, a wszystko nieprawdziwe wbrew najpewniejszym czynom naszéj historyi, naszych społecznych

i politycznych urządzeń, do których pod żadnym względem duch feodalny nie wstąpił. Była najzupełniejsza sporność między polskiemi a zachodniemi niemieckiemi urządzeniami politycznemi i społecznemi.

To przywidzenie, jakoby u nas miał być feodalizm, nie dozwoliło autorowi ocenić właściwie naszych rodowych i politycznych urządzeń. Wszędzie się jemu nasuwała myśl niemiecka, zasłona feodalna. Dla téj przyczyny, autor najpomięszańsze skreślił wywody o córkach, o spadkach, o zasadzie ziemskiéj własności — o tak nazywanych przezeń stanach, o królewskiéj władzy. Widmo niemieckie czystych prawnych słowiańskich urządzeń takiemi, jakiemi one istotnie były, dojrzeć nie dozwoliło. [26])

Ocenieniu tych zajmujących a ważnych przedmiotów nasze dalsze a ostatnie poświęcimy uwagi — może obszerne,

[26]) Autor mówi, że Karol IV król czeski i Kazimierz Wielki mieli jeden zamiar rozwiązywania majątkowéj spólnóści, to jest — związku rodów, ale innych użyli środków. Król czeski kołował, — król polski szedł prosto. Nie zdaje się nam. Król czeski i król polski nie mieli jednych zamiarów. Ich myśl była zupełnie odmienna. Król czeski rozwiązanie spólności majątkowéj między rodzinami i rodami nakazał czynić urzędownie, utrudniał; albowiem kiedy rozdział nie nastąpił urzędownie — spólność, jako prawo starożytne, jako prawo dawne, istniała. Król czeski chciał przeto zatrzymać stary obyczaj. Przeciwnie, król polski, zasadzie spólności majątkowéj, rodzinnéj, rodowéj, poczynił najprzykrzejsze zarzuty, nazwał źródłem niezgody i upoważnił, nakazał działy — rozerwanie spólności. Myli się autor, jakoby spólność majątkowa na uprawnienie przedawnienia trzech lat potrzebowała. Ugoda, umowa, zezwolenie członków rodziny, natychmiast spólność rozwiązywały. Mówi także autor o zakroju zrobionym przez króla Czech na obywatelskie majątki na cel pomnożenia swego skarbu. Nakazał surowo dochodzić puścizny. I tu autor nie przeczuł nawet istotnéj myśli króla Czechów, który właściwie ziemie nadane warunkowo, dożywotnie, ale ziemie pierwotnie narodowe, chciał prawnie odzyskać, znowu uczynić publicznemi, narodowemi, zkąd przecież bynajmniéj nie wynika, aby król czeski był właścicielem ziemi czeskiéj, jakim feodalnym naczelnikiem, zwierzchnikiem. Nie przeczymy jednakże, że król czeski pod pozorem odnowienia dawnego obyczaju, nawet prawnie miał zamiar ziemie narodowe dla siebie przywłaszczyć. Takie zakroje, i u nas były, które dopiero w XVI wieku stanowczo upadły. Królowie nadawali ziemie nie ich własne, ale narodowe — i nakoniec rozdali. Składały one majątek, skarb publiczny — król nie był ich właścicielem, ale tylko zawiadywał niemi. Jeszcze w XV wieku sejm królowi powiedział: że ziemie wszystkie, które król posiadał, miał ustąpione na utrzymanie swojéj godności i na potrzeby państwa. Te ziemie, które królom na utrzymanie ustąpiono, dobra stołowe, nawet jako własność do króla nie należały. Król nie miał prawa sprzedawać, nadawać je, nawet długami obciążać. A nasz autor zaraz będzie dowodził, że król polski był powszechnym, rzeczywistym właścicielem całéj polskiéj ziemi.

ale naszém zdaniem konieczne dla nas samych i dla tych, do których mamy honor przemawiać. Chcieliśmy wyłożyć całe nasze przekonanie i, jeżeli można, udzielić je innym, nie zostawić żadnego powątpiewania, że owa Historya Prawodawstw Słowiańskich, budowana, przerabiana, podobno lat trzydzieści, nawet najmniéj nie odpowiada naukowym i historycznym wymaganiom.

Można i słusznie zastosować do autora to, co św. Paweł o upadającéj greckiéj filozofii powiedział: Semper discentes, et nunquam ad scientiam veritatis pervenientes. I. Timoteus III. Toż samo u autora. Czytania, szukania, cedzenia, wahania się na wszelkie strony, — wiele i za wiele; saméj prawdy, nic, albo bardzo mało.

Znużylibyśmy samych siebie, gdybyśmy chcieli wskazywać wszystkie mniemania, jakie autor wynurza o feodalizmie, jaki miał u nas panować; ale mniemania cieniowane, miarkowane, sprzeczne, dające się wyginać na wszystkie strony — obłąd ogromny, a utworzony ztąd, że autor we wszystkich słowiańskich urządzeniach, a mianowicie polskich, widzi zasady niemieckie, początkowanie niemieckie. Czytamy przeto, że forma rządów u Słowian miała być naśladowaniem feodalności i gminności niemieckiéj. II—73, co przecież autorowi nie przeszkadza twierdzić natychmiast, że owa feodalna forma rządu i społeczności przez Bulgary z Azyi wyniesiona być miała. II—73. Społeczność słowiańska i polska nawet pod innemi względami naśladowały wieczny dla nich wzór niemiecki. „Było pierwotnie takie położenie Słowian i Germanów, że pierwsi musieli naśladować polityczne urządzenia drugich, brać od nich wzór do rozwoju stanowości, tudzież władzy monarchicznéj, dworu, narad publicznych, i t. p.“ II—80. To jest, wszystko Słowianie przejęli, naśladowali, powtórzyli. „Był silny na prawo nasze wpływ form niemieckiéj feodalności.“ I — 64. Czyli atoli pewno? Autor nawet samemu sobie nie umie wytłómaczyć,—albowiem oznajmiwszy, że wszystkie słowiańskie i polskie urządzenia polityczne i społeczne z Niemiec wniesionemi być miały, upomina, że owe urządzenia nie-

mieckie, Słowianie i Polacy na sposób własny kształtowali,—„że jeżeli formy niemieckiéj feodalności silnie wpływały, nasze prawa własnego miały i zachowały ducha.“ I—64. Miałaż nasza społeczność, przynajmniéj zewnętrznie, co do formy, jakiekolwiek podobieństwo feodalne niemieckie? Przeczymy. Co znaczy twierdzenie autora, że forma niemieckiéj feodalności silny na nasze stosunki wpływ wywierała, a jednak nasze prawa miały własnego ducha, — a przypominamy, że autor wynalazł dwa duchy prawa, jeden wewnętrzny, a drugi zewnętrzny. Jeżeli Słowianie, Polanie, Lechici, własnego organizmu, własnéj siły organicznéj, organizm wydać mogącéj, nie mieli,—jeżeli wszystko, co tylko mieli, ze swéj kolebki cywilizacyjnéj z Germanii wynieśli! pytamy, wolnoż nauczać, że Polacy mieli swoje własne prawa, zachowali swojego im właściwego ducha praw? Co zatrzymali, co rozwijali? Czego w samych sobie nie mieli, co z Niemiec przyjęli, pożyczyli, wynieśli — oni? jako autor ślicznie powiedział, wieczne niemowlęta, pacholęta, ślimaki, — bydło nawet!

Autor wierzy, i dlań ważne niemylne przytacza dowody, że u nas feodalizm do 1572, nawet za panowania Stefana Batorego, przeważnie panował, — że przez jakieś nadania, czyli dobrodziejstwa, Stefan Batory feodalizm szlachty polskiéj i polskich panów założył, ugruntował, przedłużył, czyli dawny feodalny stan szlachty przemienił na inny, na nowy. II—184. Lecz dowód, który autor wskazuje, zupełnie odmienne upoważnia wnioski. Stefan mówił, że te tylko dobra jako lenne, jako feodalne — jure feudi, uważać należy, o których wyraźnie powiedziano, że je lenno, jure feudi, nadano. II—184. Feodalne przeto nadanie stanowiło wyjątek, a własność dziedziczna, bezwarunkowa, prawo ogólne, pierwotne, prawidło jednostajne.

Są to wszystko niepojęte dla nas, a ogromne omyłki, czyste sny. Ani przed Stefanem Batorym, ani po nim, szlachta polska, ani wewnętrznie, ani zewnętrznie, ani co do ducha, ani co do formy, feodalnéj natury nie miała. Omyłka autora zdaje się nam wyniknęła ztąd, że autor

nadań czynionych szlachcie, kmieciom, ich rzeczywistego znaczenia nie zrozumiał — uznawał je lennemi, feodalnemi, chociaż istotnie, pod żadnym względem i przez najobszerniejsze tłómaczenie nadań przez książęta i króle polskie, za lenne i feodalne, uważać nie można. Król — a nie sam król, ale przez zezwolenie wiecy, nadawał grunta czasowo, warunkowo, jako wynagrodzenie cywilnéj, wojskowéj albo i duchownéj służby. Lecz to nie była ani lenna ani feodalna zasada. Nakoniec, sam autor nie wie dobrze, jakieby urządzenie szlachta polska przyjęła, feodalne czyli lenne, mniemając a dosyć fałszywie, że między pojęciami feodalności a lenności zawsze mówił o feodalizmie, i nareszcie wyrzekł, że szlachta czeska rozwinęła się feodalnie, a polska lennie. II—146. Feodalizm czyli lenność—złudzenie, a chociaż nie chcielibyśmy mu więcéj powiedzieć, zupełna niewiadomość polskiéj społeczności pierwotnéj.

Polska przedstawiała zupełną sporność przeciw feodalnym urządzeniom, przeciw ich formie i przeciw ich duchowi. To, oceniając mniemanie autora o własności, zaraz i zdaje się nam, najdokładniéj wykażemy. Polska społeczność nie cierpiała feodalizmu: gdzie go tylko napotkała, znosiła; ani własności ziemskiéj, ani władzy, ani stanów urządzonych feodalnie, mieć nie chciała. Wszakże sam autor naucza, że Kazimierz Wielki, wcielając odzyskane ziemie Wschowy, zniósł feuda zaprowadzone przez Szlązaków, a posiadłości ziemskie uznał dziedzicznemi, niezależnemi, bezwarunkowemi, to jest: niefeodalnemi. Na cóżby miał znosić, gdyby własność ziemska Polski saméj feodalnie urządzoną być miała, jeżeliby u nas system feodalny w XVI wieku, a nawet i późniéj panował?

Czasami nasuwały się autorowi szczęśliwe światła, które jego poszukiwaniom mogły były inny, stosowniejszy, rzeczywiście słowiański i polski nadać kierunek. Lecz nie chciał iść za niemi, głęboko i najfałszywiéj przekonany, że cały polski prawny układ wyszedł z niemieckiéj myśli, był jéj prostém naśladowaniem, przerobieniem czyli

przetłómaczeniem takiém, jakiém być miały prawa mazowieckie, polskie zewnętrznie, a niemieckie wewnętrznie.

Takiém światłem mogły być wyrazy autora, że feodalność nie zgadzała się z pojęciami Słowian, że nawet lenność u nich miała odmienne znaczenie aniżeli u Niemców. I—213. Przecież ostrzegamy, że nawet owa lenność mająca mieć u nas odmienne znaczenie—na nasze prawne stosunki, na układ polityczny i społeczny właściwych ziem polskich, żadnego i żadnego wpływu nie miała, była dla nich zupełnie obca. Gdyby autor był zrozumiał moc i rozległość swojego własnego twierdzenia, że feodalizm nie zgadzał się z pojęciami Słowian; nie byłby był występował po-za Słowiańszczyznę, po-za Polskę, nie byłby najdziwniéj i najpotworniéj nauczał, że duchowym początkiem Słowian i Polaków, Polski, gruntem ich organizmu i życia, myśl niemiecka być miała. Mógł być na prawdziwéj drodze, był do niéj mocno kierowany; jednak rzucił się namiętnie za ogniskami migającemi po niemieckich wertepach i moczarach. Jestto i dla nas wielki żal, że rozległa nauka i najmozolniejsze a chwalebne prace do samych ujemnych przeczących zaprowadziły korzyści. Autor uczynił niezmierne wysilenie, aby pojęcia prawne dawnéj Polski umniejszyć, naganić, obrzydzić i odrzucić a bardzo mało pokazał, aby je zrozumieć, zachować dla nich jakikolwiek szacunek, historyczny alby naukowy.

Jeżeliby autor chciał ocenić zmiany, ulepszenia polityczne i społeczne, jakie Polska udzielała rozumnie, spaniale, wstępującym dobrowolnie do jéj jedności, do jéj myśli, Litwinom, Inflantczykom, Prussom, musiałby uznać, że feodalne urządzenia tych ziem, natychmiast albo powolnie znikały, że Polska do nich swoje własne podobieństwo, swoje własne zasady przeniosła, rozwinęła, podniosła, uzacniła, udzieliła uczucie i zamiłowanie godności osobistéj i społecznéj. Znosząc feodalny układ, usamowolniała, a mianowicie zależności feodalne co do osób i co do własno-

ści znosiła. To, co dla saméj siebie za dobre [27]) uważała, innym udzielała.

V.

Jaka była zasada własności za dawnéj polskiéj społeczności, za czasów kiedy ona pod swojém właściwém imieniem wystąpiła historycznie, przez cały okres do 1347, który autor we swoich dwóch pierwszych tomach głównie rozważał? Byłaż własność ziemska dostępna wszystkim mieszkańcom — prawo powszechne, służące — mogące służyć każdemu? Byłże właścicielem polskiéj ziemi książę, król, jaki stan przewodniczący, panujący — szlachta? Byłaż własność ziemska u Polanów urządzona feodalnie, na obyczaj niemiecki? a właśnie takiemu mniemaniu najfałszywiéj hołduje autor, uważając nasze dawne wszystkie urządzenia, za utwor niemieckiéj myśli [28]), ale nie zupełnie

[27]) Nasze najpełniejsze naukowe spółuczucie posiada pan Szajnocha. Jednak, i z nim co do stosunku, jaki między Niemcami, Normandami a Słowianami miał zachodzić, nie bez wielkiéj dla nas przykrości, musimy się rozdzielić. Mniema on, że u Słowian i Normandów, zwyczaje, zasady prawne spólne być miały. Sąd Lubuszy, dotąd uważano za wizerunek społeczności czesko-słowiańskiéj VII albo VIII wieku. Lecz wedle pana Szajnochy, cały sąd Lubuszy przedstawia same zwyczaje prawne niemieckie. Nie ma zeń nic dla Czechów ani dla Słowian. Nadzwyczajnie się podoba panu Szajnosze owe niemowlęctwo umysłowe i polityczne Słowian i Polanów, na którém pan Maciejowski wszystkie swoje poszukiwania, całe swoje Dzieje Prawodawstw Słowiańskich opiera. Jestże prawdziwym rys, jaki pan Szajnocha na obliczu, na życiu dawnych Słowian upatrzył — rozproszenie, odosobnienie, samotność! Nam się pokazał zupełnie odmienny wizerunek dawnych Słowian, wizerunek, który mocno uderzył Prokopa, który mówi: „u Słowian wszystko spólne, szkody i korzyści.“ Gdyby pan Szajnocha był pilniéj rozważył związek rodów, narodów, podobno byłby się zgodził, że rysem społeczności u dawnych Słowian był związek, spójność, wzajemność, braterstwo. Lechici, mówi Boguchwał, rządzili się jako bracia; braterstwo rodowe, herbowe, do ostatnich dochowano czasów. Bolesław Wielki przez niektórych ubrany samowładztwem, tych, do których przemawiał, braćmi nazywał.

[28]) Tacyt opisał sejmy Germanów, owéj niemiecko-słowiańskiéj rzeszy, ożywianéj jednak wyłącznie niemieckiém myśleniem, które przez pośrednictwo Lechów, tych niemieckich niewolników, założyło polityczne społeczeństwo Polaków, dało jemu duchowy początek, życie, cały organizm. Otóż autor, przybliżając opisy sejmów germańskich przez Tacyta i opisy polskich sejmów przez polskich pisarzy XVIII wieku nawet, odkrył, że polscy pisarze tylko przepisali Tacyta, wiernie naśladowali swój wzór tacytowy, a właściwie niemiecki. Słowianie musieli naślado-

i nie zawsze, albowiem Słowianie, swoje wyobrażenie o spadkach, o dziedziczeniu ziemi, o prawie najmłodszego syna, z Kaukazu wynieśli i do Europy wprowadzili. I, 428.

Na to wszystko szukaliśmy jasnéj, zaspokajającéj odpowiedzi, nauki. I nie znaleźliśmy ich. O zasadzie własności ziemskiéj, do 1347, autor, mimo najbogatszych wiadomości jakie zebrał i pokazał, nie ma dokładnych, ugruntowanych wyobrażeń, a mógł je mieć — powinien był je mieć najłatwiéj. A jeżeli się nachyla nieco więcéj ku jakim wyobrażeniom o zasadzie własności, nasze prawa, nasza historya, skład naszéj dawnéj społeczności, tym wyobrażeniom popieranym i żywo zamiłowanym przez autora, wedle nas przynajmniéj, nie dają, nie mogą dać zatwierdzenia. Błąd niezmiernéj, najpierwszéj ważności, skoro uważamy, że zasada własności ziemskiéj jest najściśléj powiązana ze wszystkiemi innemi urządzeniami, ze stanem osób, ze wszystkiemi innemi prawami i objawami społeczności.

Pokażemy nasamprzód, jeżeli nie wszystkie, przynajmniéj naczelne mniemania autora o zasadzie ziemskiéj własności — mniemania, pomięszane, niepewne, sprzeczne, przypadkiem tylko — a czasami prawdziwe; najdziwniéj, — chcielibyśmy powiedzieć najpotworniéj tłómaczone i rozumiane — prawie rozmyślnie stawiane przeciw najpewniejszym, żadnego wątpienia niecierpiącym, historycznym dowodom i świadectwom dawnych polskich praw, najznajomszych samemu autorowi, powoływanych przezeń, a niekiedy omijanych, jakoby o nich nie miał żadnéj a żadnéj wiadomości. Czego przecież jemu najoczytańszemu, wszystko wiedzącemu, zarzucić nie śmiemy — co przecież pojmujemy—czém nawet chcielibyśmy usprawiedliwić autora,

wać polityczne urządzenia Germanów — a właściwie Niemców. Słowem, cała nasza dawna społeczność ukształciła się na wzór niemiecki, który nawet w wieku XVIII zachowała i szanowała. Polska żyła, dopóki czuła we swoim duchu niemieckie natchnienie. Gdyby téj teoryi jakakolwiek prawda mogła być przyznaną, nadaremnie, a nawet byłoby niedorzecznie poszukiwać, czyli Słowianie i Polacy mieli jakie swoje, z nich samych wydobyte pojęcie własności. II. 80, 81.

który przypuściwszy, że naszym duchowym początkiem jest myśl niemiecka, wniósł loicznie — ale błędnie, że Słowianie, że Polanie, Polacy, swoich własnych pojęć prawnych nie mieli — mieć nie mogli. Naśladowali, umieli naśladować wszystkie urządzenia niemieckie. Jakże mogliby nie być zmuszonymi, skoro autor umysł Słowian i Polanów uznał niemowlęcym, a jeszcze niemowlęcym wiecznie, dawniéj przy pierwszych początkach Polski, póżniej — i zaiste na wszystkie przyszłe wieki.

Lecz własność ziemska, jakiéj natury — jakiemi sposoby powstała, komu służyła?

W wieku XI, naucza autor, szlachcie nadawano grunta dziedzicznie, a włościanom czasowo, to jest na początku XI wieku włościanie[29]) własnéj ziemi nie mieli, nie posiadali, trzymali czasowo. Zdumiewać się mieli Polacy XI wieku, że u Prussów każdy miał dziedziczny grunt, sors haereditaria. I, 417. Lecz autor miałby wiele, a wedle nas, niepokonanych trudności, gdyby był proszony o wskazanie dowodów, że u nas na początku XI wieku, szlachta, jako stan istniała. Sam nawet na innych miejscach wyznaje, że między mieszkańcami Polski XI wieku nie mógł dopatrzyć stanowczéj różnicy, — że każdemu własność ziemska służyła, że własność ziemska udzielała każdemu to, co autor w wieku XI bardzo niehistorycznie szlachectwem nazywa. Sortes haereditariae, kmiece, u nas najdawniéj znano — udziały, mansi, zrzeby. Znano je nawet na początku XVI wieku. Sam autor przytacza dowody, że wiek XI miał włościan nie tylko właścicieli, haeredes, ale nawet trzymających całe włoście, jako wnioskujemy, pobie-

[29]) Włościanin, włość, własność, właściciel, właść, są widocznie cieniowaniem jednéj i téj saméj myśli. Sama nazwa włościanin, oznaczałaby właściciela. Szukał autor pochodzenia i znaczenia wyrazu—chłop; miał to być jeniec wojenny, uchapiony; chłopiony wywód niewątpliwie fałszywy. Nawet teraz, chłop, chłopie, chłopiec, chłop w chłopa, to mi chłop, wyobrażenie raczéj wyższości. Chłop, chałupa, chłop i kmieć, teraz wyrażenia przykre, nizkie, stan ograniczony; pierwotnie, dawniéj takiemi nie były. Kmieć na sądzie Lubuszy pierwsze trzyma miejsce. Kmiecie u Czechów najwyższy sąd składali. Chłop czyli noszący długie włosy, wyższy, wolny, znamienitszy.

rających dochody, czynsze—włości. Téj różnicy między szlachcicami mogącymi posiadać grunta nadane dziedzicznie, a włościanami mogącymi posiadać grunta tylko czasowo, wiek XI nie znał. Stan szlachecki jeszcze się nie ułożył, nie zamknął, zaledwie może pierwsze ukazywał początki. Kmieć przeto, włościanin, nie miał być dziedzicznym posiadaczem. Jednak natychmiast czytamy, że u nas istnieć miała powszechna, spólna, narodowa własność, późniéj rozdzielona, komu? królowi i ludowi. I, 417. Co przez lud rozumieć należy? szlachtę — czyli samych kmieci? autor nie wymienił — ale raczéj samych kmieci rozumie. Mamy jednéj i téj saméj chwili kmieci nie mogących posiadać dziedzicznie nadanéj ziemi, i włościan posiadających dziedzicznie nadane, z powszechnéj własności wzięte ziemie.

Komu służyło prawo nadawania czasowie albo dziedzicznie ziemskich udziałów, wziętych z powszechnéj własności? Królowi. „Łaska króla“ własności, posiadłości ziemskie, komu chciała, nadawała, wydzielała. Król był najwyższym, jedynym właścicielem całéj polskiéj ziemi, właścicielem powszechnéj narodowéj ziemi. I, 421.[30])

Autor za często powraca do téj myśli, że królom polskim służyło rozdawnictwo ziemi — że oni wszystkim mieszkańcom nadawali prawo dziedzicznéj własności, albo samo czasowe dożywotne posiadanie. Król polski, sam przez siebie, przybysze, cudzoziemce nadawał gruntami — czynił ich zależnymi względem siebie, z nich tworzył swoje

[30]) Autor mówi, „łaska króla całą wieś prawem własności obdarzała.“ Autor zna wsie mające właścicieli nawet kilku, a jednak swobodne, niepodległe, poddane tylko krajowemu rządowi. Lecz jeżeli był właściciel wsi, naturalnie wieś swemu właścicielowi ulegać musiała. On zwierzchnik, pan, ona poddana, niższa, a zatém ani swobodna ani niepodległa. Autor pomięszał najniepodobniejsze stosunki XI, XII a nawet i XVI wieku. Obdarzania przez łaskę króla całych wsi prawem własności, ani rozumiemy — własność ziemska kmieci ma zupełnie inny początek aniżeli łaska królewska. Miałże autor na myśli spólne posiadanie przez wszystkich gruntów całéj włości? Takich nadań nie znamy, chociaż mocno się nam podoba domysł, że najdawniéj przed zawiązaniem historycznéj polskiéj społeczności — spólność gruntów istniała. Znano spólne posiadanie, przynajmniéj między rodami. Cały ród był spółwłaścicielem. Spółwłaścicielstwo między rodami dopiero w XIV wieku upadło — upaść musiało, skoro Polska społczność wzięła inny kierunek zupełnie nowe przyjęła stosunki.

własne stronnictwo przeciw narodowi, widocznie na umocowanie i rozszerzenie swojéj władzy. I, 463. Ku temu celowi szczególniéj służyć miały puste pola, któremi król, jako własnemi rozporządzał, nadawał jako chciał. I, 429. Monarcha pozwalał osiadać na swoich gruntach, pod warunkami jakie sam naznaczał; miał swoje własne grunta. II, 125, 135. Jednak czasem też same puste pola, a zapewne i uprawiane pola, uznawszy za własność króla, uznaje także narodowemi, które skarb publiczny stanowić miały: sądzi, że owi narodowce, a głównie przybysze, nadawani gruntami hojnie przez króla, nie odpowiedzieli swemu przeznaczeniu — zostali wasalami kraju, a nie króla, ojczyzny, nie osoby. Nowy zatém feodalizm, dotąd nikomu nie znany. Autor zdaje się nie dostrzegać czyli nie rozumieć najwyższéj trudności, jakim sposobem ziemia, własność króla, tejże saméj chwili i własnością narodową byćby mogła. Czytamy, że wyraz żupa[31]) oznaczać miała własność powszechną, publiczną, narodową — że gmina odzyskiwała własności ziemskie, które czasowo udzielała, że prawo własności służące gromadzie, wyższém być miało nad prawo własności przyznane królowi — prawo, które autor, nawet prawem majestatyczném mianuje. I, 548, II, 27. Jednak owe własności zapewne gminne, gromadzkie, publiczne, król rozdawał, nadawał je przez moc swojéj majestatycznéj władzy. I znowu pytamy, jakim sposobem, ziemia, własność, żupy, gminy, gromady, narody, mogło być oddane dobrowolnemu rozporządzeniu króla, a ogłoszone za prawo majestatyczne. Rozdawnictwo ziem pustych czyli uprawianych, autor nazywa wyłączném prawem przywiązaném do władzy króla; jako takie wyłączném prawem królewskiém być miało — zwoływanie

[31]) Mamy powody wątpienia, czyli wyraz żupa, oznaczał powszechną własność. Znamy żupanów, urzędników, wodzów. Znamy żupanie podziały ziemi, sądowe i polityczne razem. U nas, nawet w wieku XV, urzędniki wiejskie żupanami mianowano. Żupy, jako własności powszechnéj nie znamy — a przytém upominamy, autor nigdzie dostatecznie nie wytłómaczył, coby przez własność powszechną rozumiał. Byłaż to własność spólna służąca wszystkim?

wiecy — i naznaczenie następcy, — a wszystko twierdzenia najniepewniejsze, najniehistoryczniejsze. II, 22.

Królowi służyła własność gruntów niezajętych przez nikogo. II, 242. Król miał swoje własne grunta, włości, które nadawał komu chciał. Rozporządzał niemi wyłącznie, samowolnie. II, 264. Jednak występuje zmiana, ograniczenie. Owe grunta, uznane za własność króla, za prawo majestatyczne króla, oddane wyłącznemu rozporządzeniu króla, autor także za własność narodu, za własność publiczną uważać poleca. Dokłada nawet najprawdziwsze twierdzenie, że król, jeżeli chciał nadać grunta wieczyście, musiał otrzymać zezwolenie sejmu, wiecy, reprezentacyi narodu. Na co? — jeżeli był — czyli być miał właścicielem, jeżeli rozdawnictwo ziem prawem majestatycznêm, prawem wyłącznêm króla być miało? Ta zasada własności panowała naszemu społeczeństwu, nie tylko przez okres Piastów, ale jeszcze 1573, nawet za rządów Stefana obowiązywać miała. Król dzierżyciel, właściciel, rozdawca polskiéj ziemi, nieskończenie samowładniejszy, aniżeli jaki król feodalny na zachodzie, — raczéj imiennie, aniżeli rzeczywiście właściciel. 1573 nastąpić miała przeważna zmiana zasady własności.[32]) Przed 1573, nie miało być prawdziwéj dziedzicznéj własności ziemi. Wszystkie ziemie, ustąpionemi, nadanemi być miały na czasowe posiadanie. Grunt, na pierwsze zawołanie, królowi musiał być zwracany przez posiadacza. Król miał być „najwyższym panem wszystkich ziem polskich“ — wszystkich, wyjąwszy ziemie posiadane allodyalnie, ale allodyalnie na mocy nadania, co mówi, że grunta allodyalne istniejące przed 1573 powstały przez królewskie nadanie. Król ustępował ziemie swoje własne, jure ducali, nadawał, wyswobadzał, czynił istotnie niepo-

[32]) Musi być omyłka co do roku, — albowiem, wedle autora, owa zmiana przez Stefana dokonana być miała, a polega na têm głównie, że odtąd po 1573 własności dziedzicznemi, istotnie niepodległemi być zaczęły. Stosunek feodalny miał się złamać stanowczo. Stosunek, układ feodalny, miał być powszechny; prawo miało obowiązywać powszechnie, chociaż tysiące cierpiało wyjątków. Nie rozumiemy ustawy obowiązującéj powszechnie, a jednak ograniczonéj tysiącami wyjątków. II, 182.

dległemi. Wszystkie inne ziemie, posiadane czasowie, trzymano, dzierżono, nie dziedziczono, nawet naówczas, jeżeli król prawo dziedziczne wymieniał, dziedzicznie nadawał. II, 183, 184, 185. Takie być miało prawo powszechne, nałożone ziemiom nabytym przez kupno, przez spadek, jeżeli ich jure ducali król nie nadał, niezależnemi własnościami, rzeczywistemi dziedzictwami nie uznał. Na przyszłość, po Stefanie, takie tylko grunta feodalnemi, zależnemi być miały, które wyraźnie feodalnemi nazwano. Lecz przed 1573, przed Stefanem, każda ziemia zależna być miała, wyjąwszy grunt nadany — jure ducali. Lecz żadna ziemia, sama przez siebie, przez swój początek, nie miała allodyalnéj natury. Słowy innemi, przed 1573, u nas nie znano prawdziwéj, bezwarunkowéj dziedzicznéj własności. Najwyższym panem wszystkich ziem polskich, wyłącznym właścicielem, był tylko król. Te nawet ziemie, które autor uznaje allodyalnemi, to jest prawdziwie dziedzicznemi i niezależnemi, nie były niemi same przez siebie, ale przez nadanie króla.

Na poparcie téj swojéj teoryi, wyznajemy, dla nas najniespodziewanéj, dotąd zakrytéj naszym poszukiwaniom, autor wymienił urzędowe dowody — 1276 jus possessionis tantum a progenitoribus nostris et a nobis acceperit — quod vite sue temporibus precarie possidebat. Słowa — jus possesionis tantum, i precarie, autor grubszemi kazał wydrukować zgłoskami, zapewne na cel zwrócenia szczególnéj uwagi, ku temu, jako mniema on, przeważnemu odkryciu. Dowód drugi — 1308 hereditatem nostram, mówi Władysław król, dictam Pripust, Suantopelcus quondum Palatinus Łomnensis tenuit, quam diu nobis placuit possidendam, duximus ab eo revocandam, et hoc publice protestamus. Wyrazy, tenuit, quam diu nobis, placuit — także ogromnemi odznaczano głoskami, również przeważne, a zdumiewające odkrycie. Natychmiast wytłómaczymy istotne znaczenie tych dowodów — znaczenie mocno ściśnione, a z którego nigdy i na żaden nie wyniknie sposób, aby kiedykolwiek królowie polscy mieli być „naj-

wyższymi panami wszystkich ziem polskich", nadawanych samowolnie, odbieranych samowolnie „na każde zawołanie" — a ostrzegamy, że autor, téj samowładności królów polskich poddał wszystkie polskie ziemie, wszystkie ziemskie własności. Nic nie wyłączył, wyjąwszy grunta, któreby czysta łaska królewska, allodyalnemi, prawdziwie dziedzicznemi, niezależnemi własnościami uznała. Rzeczywistéj własności, niepodległéj, rodowéj, dziedzicznéj, prawo polskie znać nie miało. To wznowienie dobroczynne, czyli fatalne, autor nie objaśnia, — wprowadził rok 1573. Nie mniejsze żale i zgorszenie autora, wzbudzone przez owe - nadania Ludwika, upoważniałyby uważać wznowienie 1573, jako szkodliwe, jako przeciwne wysokim pojęciom — o prawie, o zasadzie własności. To nie jest domysłem, albowiem autor należy do téj szkoły, wedle nas, bardzo zewnętrznie pojmującéj dawne nasze dzieje, która późniejsze osłabienie kraju przypisuje głównie temu, że Stefan Batory nie zaprowadził mocnéj a dziedzicznéj monarchii. Nie odejmujemy téj szkole szczerych i najzacniejszych przekonań. Jednak do niéj należeć nie chcemy — albowiem jéj wyraźnie odmawiamy zgłębienia słowiańskiéj i polskiéj społecznéj myśli. Dawna słowiańska społeczność miała jeszcze inne Palladium — swoje tajemnicze słowo — arcana imperii. [33])

Jako niżéj ujrzymy, autor wynalazł, że u nas kasty indyjskie być miały, czyli raczéj, z Indyi wyniesione; — wynalazł daléj stany politycznie odróżnione — panów i

[33]) H. P. S. 1, 85. Z teoryi autora wynikałoby jeszcze, że powierzanie najwyższéj sądowéj władzy samemu społeczeństwu, właśnie dokonane przez Stefana, również za nieszczęście krajowe należałoby uważać — przyczyna anarchii. Autor zapowiedział przeniknienie na wskroś społecznéj i prawnéj myśli u Słowian i Polaków. Zdaje się jemu, że zapowiedzenia dotrzymał i świetnie nawet. Wedle nas, téj myśli, któréj posznkiwał najmozolniéj, jeszcze nie widział, nie zgłębił jéj, nie ujął. Nie wyszedł ze stanu wątpienia, wahania się i przeczenia. Jakże mógł zgłębić i ująć, jakże mógł się wznieść ku twierdzeniom prawdziwie historycznym i umiejętnym, skoro sobie wymarzył, że dla dawnéj Polski duchowym początkiem ma być myśl niemiecka; że nasza cywilizacya własnéj kolebki, własnéj zasady nie miała. Polska uważana przez autora, jest niejako upiorem, który ssaniem obcéj krwi niemieckiéj przedłużał fałszywe życie.

szlachty. Otóż ów król polski „najwyższy pan i właściciel wszystkich ziem polskich, dzierżyciel powszechnéj własności, części téj powszechnéj własności komu chciał dowolnie wedle upodobania rozdawał—i rozdał. Ale komu? panom—możnowładzcom, nasamprzód pojedyńczo, a późniéj ryczałtem. Cała powszechna własność zniknęła. Prawie wszystko panowie, zawsze na skutek dowolnéj królewskiéj łaski zagarnęli“ — z małym co do ludu wyjątkiem; ludowi — włościanom, coś; panom, mniéj więcéj wszystko. O szlachcie na ten raz zapomniał — osierocił — i wydziedziczył. Szlachta z téj powszechnéj własności nic nie odebrała. II, 101. Król posiadacz i dowolny rozdawca powszechnéj własności — siebie zubożył i prawie wszystko „panom tworzącym ciało polityczne“ na początku XI wieku rozdał, panów wyniósł — ze sobą porównał. Który król? — Bolesław Wielki! Autor wyśledził tajemnice, dotąd przed nami zakryte. Bolesław W. przed 1024 przecież nie był królem. Był to wojewoda, starszy, starszym, senior, wyraźnie nazwany. Stanu panów i szlachty na początku XI wieku, autor chociaż najśmieléj twierdzi, nie pokaże — i sam się na inném miejscu wymówi, że w społeczeństwie naszém pierwotném stanów, różnic nie było, — że Bolesław W. nie miał téj niezmiernéj władzy rozdawnictwa wszystkich ziem. Téj zasady własności, że Bolesław W. był najwyższym panem i rozdawcą wszystkich ziem polskich — że panom mniéj więcéj całą powszechną własność rozdzielił, a ludowi coś, mało co zostawił, czynami, prawami poprzeć niepodobna. Przytém, autor nigdzie nie wyłożył, coby przez powszechną własność rozumiał. Jeżeli rozumiał własność wszystkich, narodową, publiczną,— zkądże król mógł być jéj wyłącznym panem, jéj samowolnym rozdzielaczem? Przez upoważnienie ludu, wiecy? Przez przywłaszczenie? Ani o pierwszém ani o drugiém historya nic nie podała. Lecz historya podała — a jest niezawodną, że niezmierną większość polskiéj ziemi włościanie jako własność przez okres Piastów posiadali prawem własném, odwieczném, nie przez żadne łaskawe ustąpienie. Król, był hae-

res; szlachcic, kiedy szlachta powstała, także haeres — i kmieć był haeres, mniejsza na teraz, co przez haeres rozumieć należy, właściciela czyli dziedzica, albowiem rzeczywiście, haereditas, czasami własność gruntu, czasami dziedzictwo oznacza. Cóżkolwiek byłoby, teorya podana przez autora o zasadzie własności, o prawie własności, czynami historycznemi nie da się usprawiedliwić. Gdyby nam wolno było używać mowy Maksymiliana Opalińskiego, powiedzielibyśmy, że autor okulbaczywszy nas niemieckiemi okularami, wszystkie przedmioty słowiańskie i polskie, niemieckiém światłem — a fałszywém pokrywa.

To uznanie królów polskich za najwyższych panów całéj polskiéj ziemi, to jest za jedynych, rzeczywistych właścicieli, jeżeliby prawdziwém być miało, byłoby wprowadziło jeszcze inne skutki nadzwyczajnéj ważności we wszystkich społecznych urządzeniach. Podobno nie mamy potrzeby tłómaczyć uczonemu autorowi, jakiby być musiał stan osobisty — społeczny i moralny mieszkańców, którzyby to, coby posiadali, na każde zawołanie zwracać musieli; którzyby grunta, nie ich, czasowo precario dzierżyli, trzymali, dopókiby trwała łaska nadawcy — a wyrazu „łaska", użył autor, i wedle téj teoryi należałoby wierzyć, że przez cały okres Piastów, a nawet do 1573 — do 1586 kmieci i szlachty chociażby za wieczystych dzierżawców nie wypadałoby uważać. Trzymali czasowo, warunkowo, na każde królewskie zawołanie musieli ustępować, i słusznie — skoro zasady własności czyli dzierżenia, prócz łaski swojego nadawcy, pana wszystkich polskich ziem, nie mieli.

Teorya autora możeż być poparta a przynajmniéj cokolwiek usprawiedliwiona czynami historycznemi, polskiemi prawami i tak nazwanemi nadaniami królów? Nigdy! Zupełnie inne były początki i zasada szlacheckich i kmiecych własności ziemskich. Autor byłby stanął bliżéj historycznéj prawdy, gdyby był twierdził, że król Polak, ani jako osoba, ani jako naczelnik państwa, na własność ani jednéj piędzi ziemi nie posiadał, a jakżeż miał być

„najwyższym panem wszystkich ziem polskich, wszystkich ziemskich własności? Król miał uposażenie, którém nigdy, samowolnie, jako właściciel rzeczywisty nie rozporządzał. Pod tym względem nawet kmieć był niepodleglejszym, swobodniejszym właścicielem gruntowéj własności. Co! zawoła autor, kmieć właścicielem posiadanéj przezeń ziemi? Mamy wyrozumowanie dla zdumienia autora, który polskim kmieciom, za okresu Piastów, własności ziemskiéj stanowczo, a najfałszywiéj odmawia.

Byłże król polski okresu Piastów takim, jakim sobie autor wyobraził? Nie był takim — a rzecz dziwna i smutna nieco, nie był takim wedle rozlicznych twierdzeń samego autora, któremu zasada zwyczajna przeczyć, co twierdził, a temu co twierdził, zaprzeczać, często na jednéj i téj saméj stronnicy — dowód, że we swoich poszukiwaniach nie miał kierującéj, zasadniczéj myśli; nie miał nawet pamięci i uwagi; we wszystkiém, co przedstawia, nie ma loiki i związku. Ustawiał cegły, jakie się same przypadkowo nasunęły. Był czas, kiedy Słowianie rządów monarchicznych nie mieli. Prokop pisarz VI wieku wyraźnie zaświadcza, że u nich był układ społeczności demokratyczny, spólne szkody i spólne korzyści, spólna o wszystkich rzeczach narada. Nie mieliż mieć żadnych wyobrażeń o własności? Wedle przyznania samychże Niemców, stan Słowian był kwitnący. Cóżby tych swobodnych i potężnych Słowian skłonić mogło, aby oni królom, dosyć późno przez nich stworzonym, takie nieograniczone samowładztwo udzielili? Zrzekając się wszelkiéj osobistéj własności, ogłaszając króle swoje najwyższymi panami wszystkich ziem. Samowładztwo jednéj osoby, albo pewnego stanu można zrozumieć przez podbój, albo ujarzmienie gwałtowne. Takich przemian historya u Słowian na północy Karpat i ku zachodowi nie wymienia. Nawet naówczas kiedy powstała i ugruntowała się monarchia u Słowian, miała ona swoje dla niéj i dla nich, właściwe znaczenie; z tem co się ukazało na zachodzie, oprócz nazwy, nie miało żadnego podobieństwa. Był to utwór wy-

ącznie słowiański, swobodny, ze samych Słowian wydobyty, i jako monarchia, piękny i dobroczynny. Jest nawet złudzenie. To, co często niemieccy pisarze królami mianowali, nie miało pod żadnym względem królewskiéj natury ułożonéj na obyczaj zachodni, niemiecki. Urzędników, wojewodów, rządców, żupanów, królami okazale a najfałszywiéj mianowano. Sam autor przytacza następny czyn: venerunt reges terrae, Wilków, Lutyków, cum rege eorum Tragovito. Widocznie żupanie i wielki żupan wybieralny, czasowy, nie dziedziczny, nie samowładny. Ów Tragovit byłże król, kniaź, we znaczeniu nierównie późniejszém? Wedle Egenharta, ów Tragovit — ceteris Wiltrorum regulis et nobilitate generis et autoritate senectutis prominebat. Był to zatém wyższy regulus, przewodniczący innym — taki sam jako i Popiel rex regum, wielki żupan. Znowu sam autor przytacza następne opowiadanie: u Lutyków, specialiter dominus non praesidet unus — to jest, Tragovit nie był królem — urzędnik najwyższy. Co u Lutyków przeważało? Habito communi placito — sejm, wieca, narodowe zgromadzenie.[34]) U Lutyków, u Obotrytów, można powiedzieć, u wszystkich Słowian, co ujrzał najzłośliwszy ku Słowianom Ditmar? Libertatem more Lecitico nota fraude vindicabant. Rządy swobodne przeto, nie monarchiczne, nie możnowładcom powierzane. Jest najznajomsze niemieckie orzeczenie — liberi sicut Slavi solent esse. Na drugiéj stronie Karpat 837 Cierpimir książę Chorwatów, wychodzców z nas, z Polanów, miał słuchać rady żupanów; także słuchać musiał i Bolesław Wielki owych, których śmiesznie i dziwnie przyjaciołmi nazwano. U Rugian był także król, żupan, wojewoda, gospodyn, gospodarz, władyka, przez Helmolda na króla mianowany. A jaka władza? Rex apud eos modicae aestimationis est, campo ratione Flaminis, rex et populus ad illius nutum pen-

[34]) Autor u Słowian wymarzył kasty, stany, możnych, szlachty, lud, gmin, motłoch, a wyraz Niemców, priores za możnowładztwo najbłędniéj uważał. Priores, byli oni reges terrae, urzędnicy, żupanie, kmiecie — Lechy Władycy, mianowani, powołani.

dent. Kapłan najwyższéj używał powagi. Obotryci swoich mniemanych królów składali, mianowali, zmieniali jako chcieli, a Niemcy uważali, że takie było prawo słowiańskiéj ziemi. O Ruriku wezwanym przez sprzymierzone ludy rzeczypospolitéj Nowogrodu, Nestor mówi, aby rządził i sądził wedle prawa.. Naczelnik Dytmarsów nie miał władzy sądzenia ani stanowienia praw. Zupełnie prawdziwie autor twierdzi, że władcy słowiańscy z łona ludu wychodzili; że u Słowian, nawykłych prowadzić odporne wojny, władza była ograniczona i wybieralna, kiedy u Niemców tyle a tyle przezeń uwielbianych, lubiących toczyć zawsze i zaczynać rozbójnicze wojny, łupiezkie, ujarzmiania i wytępiania. Władza rozwinęła się dziedzicznie u jednych i u drugich, wedle ducha, który ich ożywiał.

Co jeżeli prawda, jakież złudzenie nauczać, jakoby u Słowian IX wieku władza monarchiczna rozwinęła się dziedzicznie. Owa słowiańska monarchia, im samym właściwa, powiedzieliśmy, swobodna, z ludu i przez lud wyniesiona — dobroczynna, piękna, jedynie tam do innéj przeszła natury, gdzie przez naśladownictwo albo przez zewnętrzne narzucenie, Słowianie mniéj więcéj samoistnymi być przestali. Pierwotnie u Słowian monarchii samowładnéj nie znano, zupełnie historycznie upewnia autor. Lecz jeżeli nie znano, przez jakie zrządzenie król polski został najwyższym panem wszystkich ziem polskich, jedynym właścicielem rozdającym grunta samowolnie, wedle upodobania, a odbierającym je na każde pierwsze zawołanie?

Pod względem jakie znaczenie miała monarchiczna zasada u dawnych Słowian, za stanowcze uważamy zdarzenie zaszłe u Wilków, roku 823, a przez autora najdziwniéj nazwane sporem o dziedzictwo tronu. „Lud Wilków Miłegościa, ponieważ był starszy, królem mianował — constituit. Lecz ponieważ on nie wedle prawa powierzone sobie państwo zawiadował, commissum sibi regnum, — był złożony, a młodszemu urząd królewski, honorem regium, oddano.“ Karol Wielki miał postanowić, upewnia Eginhard, aby młodszy brat panował, a populo potestatem

haberet. Zasada przeto monarchii u Słowian była potestas delata a populo, przedłużana, odbierana, jako lud postanowił. Ostrzegliśmy że wyraz reges, używany przez niemieckie pisarze, oznacza właściwie — urzędnicy, żupanie. Takich królów, to jest — żupanów, wojewodów wyznaczanych i składanych przez lud, autor na prawdziwe samowładce, na panów i właścicieli całéj polskiéj ziemi wykierował.

Może społeczność pierwotna Polanów przed Piastami i za Piastów miała odmienny układ, który dopuścił założenia samowładczéj monarchii dziedzicznéj, a samowładnéj tyle, że doń prawnie cała polska należała ziemia, że mieszkańcy posiadali grunta nadane czasowo, dopóki trwała łaska nadawcy. Polanie stanowili wyjątek między Słowianami? Autor nie może sobie jasno wyobrazić monarchicznéj władzy polskiéj. Przyznał jéj samowładztwo; samowładny albowiem byćby musiał naczelnik państwa, jedyny właściciel wszystkiéj ziemi. Naród następce Krakusa-Kraka miał ogłosić dziedzicznymi monarchami. II—17. Zapewne autor musiał czytać dyploma wyboru i żałujemy, że nie ogłosił. Być miało dziedzictwo, ale być miał i wybór. Za wyborem podanie przemawia, albowiem Krak, siebie nie za króla, ale za pomocnika rządów uważał. Podanie o wyniesieniu rodziny Piasta rzeczywiście upoważnia twierdzić, że monarchia polska z łona ludu wyszła. Bolesław W. król dopiero 1024, niezawodnie jako wojewoda, jako wielki żupan zwyciężał, Słowiany do polskiéj wprowadzał jedności. Nie uważał siebie za dziedzica skoro nastąpienie synowi swemu wyjednał. Panowanie Mieczysława II, Kazimierza I., Bolesława Spaniałego, podobno nie są dowodem, aby władza tych królów polskich nieograniczona, albo dziedziczna być miała. Widocznie był i działał inny żywioł, nieskończenie potężniejszy. Czyli Władysław, przezwany Hermanem, był dziedzicznym i samowładnym królem, skoro następcy sam naznaczyć nie miał, i tylko radził oddawać rządy najgodniejszemu? Bolesław III wyznał, że musi słuchać rady narodowéj. Mieczysława Laskonogiego wybierali

wszyscy, najniżsi i najwyżsi rycerze,—równość, wywracająca przypuszczenie autora, jakoby u nas być mieli panowie i szlachta, wyższa i niższa szlachta. Cesarz Niemiec znał polityczne prawo polskie, twierdząc nec Polonis eligendi principis adimi potestatem. Kadłubek ma wyrażenie: per electionum terrigenarum. Taki król, byłże to król dziedziczny, samowładny, a sam wierzący, że był takim. Takim nie był nawet wedle samego autora, który poniżéj słusznie twierdzi, że naród był wyobrażany działający i radzący przez swoje wybieralne urzędniki—a my rozróżnić musimy, przez sejmy i przez zjazdy powszechne. Jest przeto najfałszywszém twierdzenie, jakoby pierwsze sejmy dopiero 1468 wystąpiły. Forma odmienna być mogła. Sama rzecz była zawsze i nigdy istotnéj nie doznała przerwy, albo zawieszenia.

Mnóstwo dyplomów, i najwcześniejszych, ma wyrazy: actum publice, in colloquio. Bolesław Spaniały sądził na zjazdach, na wiecach. Podczas zaburzeń za Władysława nazwanego Hermanem, czyli wojewodą, „Magnus“ zwołał cały lud Wrocławia i wrocławskiéj ziemi. Sieciech tyle znieważony bronił odwiecznéj słowiańskiéj równości i swobody. Henryk, książę na Szlązku, 1201 r. obradował cum multitudine baronum ac populi circumcedentis; zatém nie szlachta, która naówczas zaledwie pierwsze wypuściła zawiązki, ale wszyscy — multitudo baronum et populi. Jeżeli chcemy poznać, jakie miały znaczenie owe zjazdy colloquia, owe powszechne zbory? nasz autor oświeca nas, że mnóstwo baronów, a baronowie, niewątpliwie urzędnicy ziem przez lud mianowani, i mnóstwo ludu znajdowało się na wiecy. Co było u Pomorzan uznawanych a słusznie za tenże sam lud co i Polanie Wisły, kierowanych przez też same społeczne narody? Autor sam przytoczył wyrazy: de rure ac de villis plebem innumeram convocantes. Zatém, wszyscy Giesebrechtowi zawdzięczamy odszukanie, że Pomorzanie mieli wieca miejscowe i powszechne, toż samo, co o Słowianach jeszcze Prokop powiedział.

Ta przeto zasada, na pewno i śmiało przez autora wyrze-

czona, jakoby rozdawnictwo ziemi prawem majestatyczném być miało; jakoby król nadawał i odbierał ziemie wedle upodobania i kiedy chciał; że ziemia polska cała była jego własnością, nie ma żadnych dowodów. Nakoniec autor, co jemu dosyć często się wydarza, sam siebie dostatecznie wywraca — wyznając, że wszelkie nadanie ziemi uczynione przez króla, nie miało ważności, jeżeli krewni króla, jeżeli ziemianie, nie dali zezwolenia. II—27. Jakoż istotnie, mnóstwo nadań zachowało wyrażenie stanowcze, consilio, voluntate. Dowód, że grunta nadawane przez króla imiennie, a rzeczywiście przez naród sam, miały inny początek, zupełnie odmienne znaczenie. Przy końcu XV wieku, za czasów, kiedy monarchia polska ugruntowała się i rozwinęła, doskonale wiedziano, że król nie był właścicielem ziem, które nadawał, nie był właścicielem tych nawet ziem, które sam posiadał. Ustawa 1474 r. wyraźnie ogłasza, że ziemie, które król posiadał, od samego początku, to jest od czasów najdawniejszych, składały skarb publiczny,— narodowy. Król zawiadywał tylko — i nie sam jeszcze. Był ograniczony, naród nie chciał, aby to, co na użytek publiczny, na potrzeby państwa wyłącznie obracane być miało, co istotnie i od samego początku takie miało przeznaczenie, król wedle upodobania rozdawał, marnotrawił. Twierdzimy przeto i stanowczo, że własność gruntowa miała inny początek, nie wypływała z króla, jakoby najwyższego pana i właściciela wszystkich ziem polskich.

Kizimierz II nadał 1163 Wichfridowi Niemcowi zamki Sandecz, Oświecim i Siewierz, ale nadał, convocatis baronibus in Cracovie; consilio pruborum virorum, przeto nie sam, nie przez swoje wszechwładztwo, ale przez zezwolenie wiecy. Jaka była natura nadania? Tylko dożywocie. [35])

[35]) L...... mówi, że to nadanie niemieckiém pojęciem być miało, niby naśladowaniem, — a zatém feodalizm. Nadanie Wichfridowi nie było beneficium niemieckiem, pod żadnym względem. U nas, nadawano grunta publiczne, narodowe, na czasowe używanie, jako wynagrodzenie zasług, albo urzędu. Właściwie nadawała sama wieca. Tu możnaby nawet powiedzieć Kazimierz II i wieca zawdzięczali jedynie to, co Kazimierz od Lamfrida dziada Wichfrida otrzymał. Dowodzi a dowodzi L......, że u nas osobistéj, a dziedzicznéj własności być nie miało. Lecz wyznaje, że hae-

Wichfrida ograniczono — miał tylko dożywocie. Z nadania albowiem 1276 wynikałoby, że dobra nadane i na synów przechodzić mogły, — a jeżeli nadany synów nie miał, ziemia jako puścizna do księcia, do narodowéj własności — z któréj wyszła — wracała. Nadania rzeczywiście dziedziczne, bezwarunkowe, udzielające nadanemu zupełne prawo własności, późniéj nastały, jako nadużycie, jako przywłaszczenie, jako rabunek narodowéj własności. Ziem nadanych warunkowo, dożywotnie, a najwięcéj ze spadkiem na syna, widocznie nadany nie mógł ani sprzedawać, ani długami obciążać; nie był właścicielem, którym był naród, zjazd.

Nadanie 1252 Klemensowi z Ruisczy wymienia różne rodzaje własności; patrimoniales rodowe, ojcowizny: deservitae, nadane za usługi krajowi, zatém wynagrodzenie urzędu, albo i wojskowéj służby; i nakoniec dobra comparatae, nabyte, kupione. Każda z tych własności miała inne znaczenie, inne warunki, inny początek. Tych niepodobnych sobie własności autor nie odróżnił, pomięszał je, uznawszy, że król czyli książę był najwyższym panem wszystkich ziem polskich. Téj niezmiennéj, téj stanowczéj różnicy nie przypuszcza i L......, a nie przypuszcza nadzwyczajnie błędnie. Nadanych tylko gruntów król zewnętrznie, jako urzędnik, był panem, albowiem panem rzeczywistym, właścicielem istotnym, był naród. Taka ziemia była narodowa, udzielana czasowo i warunkowo. Nie była to jaka spólność, jakie spólne posiadanie, ale tylko publiczna własność. Zupełnie innéj natury była własność rodowa, rodziny, a nawet związku rodzin, własność niepodległa, bezwarunkowa, służąca wszywstkim członkom rodziny. Cała rodzina, do najdalszych posuniona stopni, miała prawo spółwłasności. Ojciec albo naczelnik rodziny zawiadywał, ale nie był właścicielem. Nawet syn względem swego ojca był spółwłaścicielem. Była to rzeczywista spólność, jedność, moc, wzajemna odpowiedzialność. Rodzina męzka stanowiła całość, zwią-

reditates oznaczyły dobra allodialne, a zatém osobiste, nie nadane, nie narodowe. Polska średnich wieków. III—134.

zek nierozerwany,—przynajmniéj pierwotnie. Wznowieniem, postępem szkodliwym czyli dobroczynnym, nie umiemy powiedzieć, była swoboda przedłużenia spólności, jedności rodowéj, albo wystąpienia z niéj. Jednak wystąpienie z téj spólności, spółwłaścicielstwa nie znosiło. Na sprzedanie téj ziemi rodowéj, ojcowskiéj, ojcowizny, naczelnik rodziny musiał mieć upoważnienie jéj wszystkich męzkich członków. Ojciec, bez zezwolenia syna, nie mógł wykonać sprzedaży. Ta spólność pierwotnie najmocniejsza, bezwarunkowa, rozrywała się powoli,—i członkom rodziny albo rodu, pozostało jedynie prawo odkupienia rodowéj, ojcowskiéj ziemi, sprzedanéj bez ich zezwolenia. Był to już upadek rodowéj starożytnéj spólności. Był piękny dawniéj układ; dzięki jemu, i zapewne jeszcze innym zatraconym urządzeniom rodziny, Helmold zdumiony widział, że u Słowian biednych i żebraków nie było. Czemu? Spólność rodziny, uprzedzała ubóstwo; a rodzina cała, członkom swoim starym, chorym, nawet podupadłym, miała obowiązek zapewnić utrzymanie,—obowiązek znany prawu francuzkiemu, aczkolwiek ścieśniony—i niejako wyłudzony, a u dawnych Słowian powszechny, obszerny i szanowany nietykalnie [36]).

[36]) Spólność rodowa, najsilniejsza nasamprzód, a późniéj umiarkowana, spółwłaścicielstwo całéj rodziny, związku rodzin, u nas istniała niezawodnie. Byłaż u nas własność ziemska nadawana na spólne posiadanie gminie? Autor zdaje się wnioskować, i na ten domysł wprowadza, ulubione jemu wyrażenie, własność powszechna. Twierdzi nawet, że grunt nadany posiadaczowi, po jego zejściu, powracał do gminy. Lecz jeżeli tak być miało; król byłże najwyższym panem całéj polskiéj ziemi—jéj samowładnym rozdawcą? Podobno autor spólne posiadanie przez rody, i spólne posiadanie przez gminę, pomięszał. U nas wszystkie nadania nie miały feodalnéj natury, nie były na spólne posiadanie. Ztąd, że grunt dożywotnie posiadaczowi udzielony wracał do gminy, jako jéj własność,—autor wniósł, że spadek, tylko ruchomość obejmował—ostatek—statek. Téj gminnéj własności nasze prawo nie zna, a następnie nie zna teoryi spadków podanéj przez autora,—któréj zastosowanie co do kobiet najfałszywiéj przez prawo salickie tłómaczy. U nas dzierżenia ziemi kobietom przez zupełnie inny powód zaprzeczano. Kobieta ziemi niepodzielnéj, spólnéj, do obcéj rodziny wynieść nie mogła. Wynosiła posag. Autor zna majątki nabyte i mniema, że u nas wprowadzono testamenta na ten cel, aby owemi nabytemi majątkami na rzecz kościoła rozporządzać można. Ostrzegamy, że pierwotnie, i nabyty majątek należał do całéj rodziny, wchodził do spólności. Wyłączenie ze spólności nabytych majątków późniéj nastąpiło, jako i osłabienie rodzinnéj spólności. Autor przytacza najpierwsze u nas znane testamenta 1157 i 1190. Lecz właśnie owe testamenta rozporządzały majątkiem rodowym na rzecz kościoła.

Ta ziemia rodziny, rodowa, spólna, wyjąwszy ciężary narodowe, ogólnie dotykające wszystkich, używała zupełnéj niepodległości. Król, książę, sejm, wieca, nic a nic do niéj nie miały. Była to własność niepodległa i bezwarunkowa. Takiéj ziemi, pod żadnym względem książę, król, nie był panem, nawet w znaczeniu najlżejszém ograniczana i zależna względem członków rodziny; nieograniczona i niepodległa względem państwa.

Jakiemi sposoby i kiedy własności publiczne, narodowe, stan szlachty prawie wyłącznie je przywłaszczył sobie, rozpoznanie téj sprawy musimy opuścić. Teraz wykazaliśmy jedynie, że jest jako można najfalszywszém twierdzenie, jakoby król polski miał być najwyższym panem wszystkiéj polskiéj ziemi, jéj właścicielem; jakoby jemu służyć miało majestatyczne prawo rozdawnictwa gruntów. Takiéj zasady własności społeczeństwo polskie nie znało.

O majątku nabytym ani wspomnienia. Testamenta widocznie wprowadzili duchowni. Zapisujący składał testament na ołtarzu pod czas mszy, polecał opiece i zemście nieba. Testamenta istotnie prowadziły ku zburzeniu rodowéj spólności, spółwłasności — chociaż były inne także potężne względy téj niejako koniecznéj przemiany. Podobało się autorowi pierwsze polskie testamenta uznać za podobne testamentom rzymskim, in procinctu, pod sztandarem. U nas duchowni pisali testament, uroczyście przez złożenie na ołtarzu, pod czas mszy, świętym i nietykalnym uczynić pragnęli. Co wszystko autor, darować raczy, niejako śmiesznie, za sztandar, za obóz, za działanie rycerskie uważa. U Rzymian, ojciec naczelnik rodziny, ojciec był samowładny. Testament jakikolwiek napisał, był nietykalny. U nas ojciec rodziny téj samowładnéj woli nie posiadał; testamentu nie miał żadnéj pisać potrzeby, albowiem, jako mówiliśmy, syn, cały ród, przez samo prawo, przez spólność, był spółwłaścicielem, spadek obejmował. Upatrzył autor jeszcze jedno podobieństwo między rzymskiemi, a polskiemi prawami, takiéj saméj natury, jakie między testamentem u Rzymian in procinctu, a testamentem składanym na ołtarzu podczas mszy zachodzić miało. Znamy ceny głowy 60, 30 i 5 grzywien szlachcica, swirczałki, sołtysa — wedle L......., świrczałką, zwiercą, wiara, towarzysz. Autor owe ceny głowy, główszczyzny, uznaje za polski census taki sam jaki Serviusz Tulliusz zaprowadził. II—175. Lecz census u Rzymian miał przeznaczenie zupełnie polityczne, głosowanie na sejmie, zapewniał panowanie bogatym, a lud prawie zupełnie wyłączał — kiedy ów mniemany census polski był karą, prawem karném. Jesteśmy zdumieni, chcielibyśmy powiedzieć zgorszeni, że uczony mąż, a niewątpliwie uczony, wynalazł zbliżenia i podobieństwa między społeczeństwem polskiém XI, XII i XIV wieku, a społeczeństwem rzymskiém za Serviusza Tulliusza. Wszystko skutek przykry tego uwidzenia, że polski umysł wieczne pachole. Chcąc założyć społeczny polski układ, wyszedł po-za siebie i po wszystkich stronach świata zbierał cegiełki na wzmocnienie naszéj prawnéj, wyznać należy, potwornéj budowy. Gdzie on nie czerpał zasobów — u Rzymian, u Sasów, na Kaukazie, z Indyi, z nad Renu!

Autor, jako zawsze, widział prawdziwe światło, ale znowu, jako zawsze, nie poszedł za niém. Czytał o własności powszechnéj, że żupa własność wszystkich stanowić miała, że do téj żupnéj, powszechnéj własności, każdy miał prawo, do jéj udziału należał. Ale tylko czytał, — nie rozważył, nie zgłębił — i przeto nie odkrył zasady gruntowéj własności, a nasze króle, albo książęta ogłosił najwyższymi panami, właścicielami całéj polskiéj ziemi, a że, wbrew najpewniejszym czynom naszéj historyi, zdaje się nam, okazaliśmy dowodnie.

Po wywróceniu téj zasady, jakoby król był rzeczywistym, najwyższym właścicielem całéj polskiéj ziemi; jakoby jedynym gruntem ziemskiéj własności „łaska“ króla nadawcy być miała: zapytamy daléj samego autora, czyli się trzymał wiernie pokazanéj przezeń teoryi, czyli przypadkiem jeszcze innéj zasady własności nie wynalazł. Jakoż wynalazł — i dwie zasady bezwarunkowe własności ziemskiéj obok siebie postawił, — obiedwie fałszywe, nie chcąc uważać, że jedna przy drugiéj na żaden sposób mocy i prawdy mieć nie może, zapominając, co najsłuszniéj twierdził, — że królowie polscy osobistéj własności ziemskiéj nie mieli, a jakżeż właścicielami i panami całéj ziemi byćby mogli! Owo stanowcze mniemanie, jakoby król był właścicielem całéj polskiéj ziemi, autor podpiera jeszcze i tém przekonaniem, że był u nas czas, kiedy osobistéj własności nie znano. Mówi albowiem: „za nastaniem wyłącznéj osobistéj własności“ — II, 68. Widocznie, osobista, wyłączna i niepodległa własność z nadania, z łaski królów powstać miała. Tylko dwóch rzeczy autor zapomina, że był czas, kiedy u nas królowie nie rządzili, a przecież istniała społeczność. Rzecz druga nieskończenie ważniejsza. Autor niewskazał żadnych dowodów, aby za okresu Piastów król polski był jedynym właścicielem gruntowym, aby być nie miało żadnéj osobistéj niepodległéj własności. Wszak sam autor przytacza pisma urzędowe polskie XI wieku, z których wynika, że naówczas istniała osobista własność przystępna wszystkim, nawet i kmieciom mianowanym

dziedzicami, chociaż wyznamy, autor temu wyrazowi dziedzic, stosowanemu do kmieci, daje tłómaczenie najdziwniejsze, a zawsze fałszywe[37]). Przez jaki wzgląd? W społeczności polskiéj pierwotnéj i XI, XII, XIII i XIV wieku upatrzył również głęboko — stany, prawdziwe kasty, swobodne i poniżone, panujące i niewolnicze, poddane — przynajmniéj stosunki, których wedle nas czynami i prawami dowieść niepodobna. Pojęcie prawne o osobach i stanach w spółeczności, loicznie wpływały na urządzenie własności. Jeżeli osoba wolna, i własność także wolna, będąca tylko zastosowaniem, urzeczywistnieniem osobistéj wolności. Osoba niewolna, ograniczona na swéj wolności, równości, loicznie musi cierpieć ograniczenie, nawet zniesienie zewnętrznéj, materyalnéj własności. Na wielu miejscach autor wykazał rozerwanie polskiéj społeczności na kasty i na stany; na szlachtę, na kmieci; na obywateli mających pełne prawo i na obywateli pozbawionych pełności praw.

Prawo słowiańskie ma dwie zasady — szlachecka jedna, a gminna, kmieca druga, I, 5. Miał być u nas i u Słowian znany podział na kasty, I, 266. Nawet przepisy spadkowe inne być miały dla szlachty, a inne dla gminu, dla kmieci. Dwa ziemstwa istniały, jedno szlacheckie a drugie ludowe; reprezentacya narodu także podwójna być

[37]) Nadanie 1163 Wichfridowi mówi: etiam homines sui in haereditatibus eorum et ubique acquirunt et posteri sui. Z tych słów wynika: że te udziały kmieci uważano za haereditates dla nich, że kmiecie grunta nabywać mogli: ubique acquirunt, że spadki między kmieciami istniały, wszystkie znaki własności osobistéj, wyłącznéj i niepodległéj, któréj przecież kmieciom polskim za okresu Piastów, autor nie mając ku temu żadnych powodów, odmawia. — Sam autor przytacza dyplom przyznawany przeciw Bolesławowi W. 992—1027, gdzie znajdujemy Marsa, może Marcina i Rataja mianowanych dziedzicami, haeredes Prandnika, z którego i z karczmy klasztorowi Tyńca tylko trzy skojce czynszu płacić mieli. Jaki nizki czynsz, umiarkowany i łagodny, posiadaczom narodowéj ziemi, przeniesionéj na klasztor tyniecki. — Dyplom 1105 a może 1120 wymienia Medweta, Rzecha, Miche i Wacona dziedziców Tuchawa, to jest mających swoje udziały we wsi niegdyś narodowéj Tuchowie. W tychże nadaniach czytamy wyrażenia — cum fratre, cum fratribus, cum sua cognatinave, — co okazywało, że i kmiecie wolności mieli, że u nich był takiż sam związek rodziny, spółwłaścicielstwo ziemi, takie same, jakie znajdujemy u rodzin, niewłaściwie nazwanych szlacheckiemi. Stan, rolnik, całą wieś nadaną biskupowi, trzymał, posiadał — tenuit.

miała, szlachecka i ludowa, tylko pierwsza prawdziwa, a drugiéj praw politycznych i rycerskich nie przyznawano. II, 68. Dawna żupa słowiańska z czasem rozerwała się i powstały z niéj dwie żupy, dwie gminy, dwa składy społeczne, — szlachecki i gminny, — kmiecy, włościański. II, 550.

Owa gmina niegdyś spojona a późniéj na dwa rozerwana żywioły — szlachecki i kmiecy, różne miała nazwy — żupy, gromady, obcéj — obec[38]) — gromady nawet. Żywioły gminy, szlachecki i kmiecy, nie wystarczyły autorowi, albowiem żywioł szlachecki także miał być rozerwany — na panów — na możnych, i na samą właściwą szlachtę. Gmina przeto taka, jaką sobie autor wyobraża, złożona być miała z panów, ze szlachty, i z gminu — z kmieci mniemanie, które odniesione do okresu Piastów, nie ma żadnéj podstawy — a głównie, jeżeli weźmiemy pierwsze wieki polskiéj historyi, ostrzegaliśmy autora i znowu ostrzegamy, że napotkałby niepokonane trudności, gdyby chciał dowodzić, bytu panów i szlachty jako stanów, za pierwszych wieków Polski. I zaraz wykażemy, że sam swoje mniemanie innem, niebaczniejszém dostatecznie wywróci. Bliżéj, daje wiadomości autor o składzie gminy, czyli o różnych jéj rodzajach. Być zatém miała gmina drobnych właścicieli szlachty, mająca spólny herb; druga gmina być miała *poddanych*, która ze swoim *właścicielem*, właścicielem włości, spólny herb mieć miała; nakoniec gmina dziedzicznych i czasowych gości. II, 124. Czytamy jeszcze,

[38]) Gminę, obce składać mieli narodowcy i przychodnie liczniejsi, aniżeli krajowcy, obcy, ztąd obce —nie swój. Wywód zdaje się nam bardzo niepewny. Trudno przypuścić, aby w układzie społecznym Słowian, żywioł zewnętrzny — obcy — nieprzyjacielski, może i niemiecki przeważał. Nazwa obce, podobniéj wyszła ztąd, że w gminie, na jéj zebraniu, na wiecy, mieli prawo być obecnymi — radzącymi, działającymi. Na dowód przytacza autor Wolin, Julin, Wineta — do któréj jako członkowie gminy, różnych narodowości wchodzić mieli. Jest to błąd, a raczéj nierozumienie podania. Julin, Wolin, był miastem zamożném, handlowém, kwitnącém; — obcém kupcom, gościom nie odmawiał gościnności — ale do swego społeczeństwa nie przypuszczał. Układ gminy słowiańskiéj był religijnym i politycznym razem, ale żywioł religijny mocno przeważał. Jakże cudzoziemcy, poganie, albo chrześcianie do składu takiéj gminy swobodnie wchodziéby mogli?

że być miały gminy folwarczne i swobodne, II, 124, — że gmina obca, powszechna, przez swoje zawsze obieralne urzędniki kierowana być miała, czyli wszystkie razem, szlachta, kmiecie i goście, — czyli każda oddzielnie, niewiadomo; a mimo, że do przedmiotu wrócimy i teraz wszystko co autor przedstawia o gminie, za niepewne, albo fałszywe ogłaszamy. Jesteśmy daléj zdumieni, że autor przez czas okresu Piastów, który miał rozważać i rozświecić, znalazł gminy swobodne i folwarczne [39]), — poddanych i właścicieli włości, a który przecież dowodzi, że u nas własności osobistéj nie znano. Jesteśmy zdumieni dla téj przyczyny, że za okresu Piastów, z pomników prawa poddaństwa wyprowadzić nie można, — że naówczas folwarków nie znano — ani pańszczyzny, któréj byt przecież nasz autor, jako zupełnie pewny, najśmieléj podał. Przecież zbadaliśmy mnóstwo dyplomów i upewniamy, że do XV wieku, nawet przez cały wiek XV Polska nie znała pańszczyzny właściwéj. Lecz jeżeli nie ma pańszczyzny, przez następstwo konieczne, nie ma poddaństwa, nie ma sądów patrymonialnych, nie ma feodalnych stosunków, nie ma stanów odróżnianych stanowczo, nie ma ziemi oddanéj na wyłączne posiadanie, — nie ma i szlachty; — o czém wszystkiém autor szeroko, ubrany niepoliczonemi przytoczeniami i dowodami najbezzasadniéj rozprawia, kreśli wi-

[39]) Czyli przypadkiem autor przez gminę folwarcznéj czeladzi nie rozumiał? Wyraz i znaczenie czeladzi odnosi się ku najdawniejszym słowiańskim czasom. Sąd Lubuszy VIII albo IX wieku mówi: każdy ojciec swojéj czeladzi wojewodzi. Czeladź obejmowała ród — członków rodziny, wszystkich którzy do niej przez jakikolwiek związek należeli, rodzina spólności i braterstwo. Były to spólności rodowe, większe albo mniejsze, późniéj po zniknieniu pierwotnych urządzeń słowiańskich zawsze pięknych, wyraz czeladź przybrał znaczenie poniżające, ochydne. Czeladź była wytrącana ze związku rodziny, — do niéj należeć przestała. Przedtém, jeżeli wolno mówić, był dwór dla wszystkich; późniéj po rozerwaniu téj zacnéj spólności i jedności, wiemy co znaczy dwór i czeladna izba — sporność, zepsucie równowagi. Bylibyśmy bardzo ciekawi i wdzięczni, gdyby autor pokazał w XI albo XII wieku folwarki i czeladź. Takie stosunki u nas w wieku XVI, a głównie XVII po założeniu wielkiéj uprawy, po zniweczeniu kmiecéj Polski, po zbudowaniu folwarków, nastały bardzo szkodliwe i nawet pod względem ekonomicznym, któremu błędnie i głupio najświętsze potrzeby i prawa całéj społeczności poświęcano.

zerunek społeczny i polityczny Polski Piastów, jakiego ona nigdy nie nosiła.

Przez jakie poszukiwania, wbrew jednomyślnym a najpewniejszym świadectwom rzymskich i niemieckich pisarzy, między wiekami V a XIII, autor przyszedł do uznania, że u Słowian najdawniejszych, że u nas Polaków za czasów historycznych, szlachta, włościanie i panowie, prawdziwe kasty być miały? Autor odpowiada — ludy nazwane słowiańskiemi wyszły z Indyi i ztamtąd do Europy podział na kasty przyniosły. II, 92. Nasamprzód jaki dowód, że ojczyzną pierwotną Słowian Indye? Żaden — wedle nowszych a pewniejszych badań, Słowianie są może tym ludem, który z wyżyn środkowéj Azyi do Indyi zstąpił, wykonał podbój miejscowéj ludności i kasty założył, których u siebie we swojéj pierwotnéj nie miał ziemi. Jakimiż widział Słowian Prokop, uczony VI wieku? Rządy u nich gminowładne; spólne szkody i korzyści, spólna o wszystkiém narada — in commune; ani królów, ani możnych. Wszakże sam autor odstępuje swego mniemania, skoro twierdzi, że dopiero po zetknięciu się Słowian z Niemcami, po zbudowaniu zapewne owéj sławnéj rzeszy Swewów, owéj Germanii, u Słowian stanowość powstać miała, podział na szlachtę i na ludzi; na obywateli, jednych, mających pełne prawo; drugich, którym prawo mocno umniejszono, albo i zupełnie odjęto. Reszty dokonać miał feodalizm wprowadzony za czasów historycznéj Polski. Błąd niezmierny i niepojęty.

Gdyby autor był pilniéj rozważył i ocenił czyny, które sam wymienia, byłby był niezawodnie uznał czczość — i że powiemy, potworność swojéj teoryi stosowanéj do Słowian. Mówi naprzykład: że prawo Turyngów każdemu wolnemu człowiekowi dozwalało grunt, który posiadał, oddać komuby chciał. Nie tak u nas. Grunt nadany, wydzielany, narodowy, po śmierci bezdzietnéj nadanego, wracał do narodu, znowu był publicznym skarbem; grunt rodowy do całego rodu należał. Każdy członek rodu i najdalszy nawet, był spółwłaścicielem, spółdziedzicem.

Naucza autor, że ku zachodowi, ku Elbie, Słowianie zmięszani z Niemcami, albo swoje własne prawo utracili, albo inne, od Niemców swoich politycznych i umysłowych nauczycieli przejęli. Lecz tenże sam autor wymienia Niemca Duka, którego chwalono za to, że znał leges et consuetudines Slavorum; to jest, że między prawami niemieckiemi a słowiańskiemi była głęboka różnica, nawet naówczas, kiedy Słowianie ograniczenie swojéj niepodległości cierpieć musieli. Ujarzmieni, dopóki żyli, Słowianie we swoich prawach zostawali. Nie było zlania się, pomięszania. Słowianie raczéj uchodzili, aniżeliby prawnie Niemcami być mieli. U Niemców, wyraz: wolny i Słowianin, a Słowianin nawet ujarzmiony przezeń, oznaczał jedno i tosamo. Stan zwyczajny, powszechny Słowian zamieszkałych między Niemcami wolność, spólność przeciw urządzeniom społecznym niemieckim. Jakże Polska XI, XII i XIII wieku, samoistna, niepodległa, miałaby przyjmować prawa niemieckie, społeczne, feodalne, skoro Słowianie ograniczeni czyli ujarzmieni przez Niemców, nawet w XII wieku, praw niemieckich znać nie chcieli — przy słowiańskim heroicznie stali obyczaju, a za co autor, szydząc, nazwał ich ślimakami, bydlętami, albowiem postępu ludzkości wyobrażanéj przez Niemców zrozumieć i przyswoić sobie nie umieli. Toż ich zatracenie usprawiedliwił — a nie wiemy, jako się porozumie z L........ który owych wyobrazicieli ludzkości postępowéj grubo nazywa gąsiennicami paskudzącemi błogosławione niwy Słowian. Wszakże autor niezawodnie czytał Helmolda i serce się jemu nie ścieśniło, nie uczuło żadnéj boleści! Nie widział prawdziwego stosunku Niemców i Słowian! Helmold mówi o swoich Niemcach: furtis et latrociniis operam dare consueverant: qui praedari nescit, hebes et singularis est. Ów rozwój niemiecki względem Słowian, był przeto furtum et latrocinium. Daléj, tenże Helmold, tributum ob ipsorum nequitiam multo super priora adauximus. Zdzierstwo! Dyplom 1158 ma wyrazy: slavis ejectis terra decimalis facta. Z całych włości, powiatów i krajów Słowiany wyrzucano, ejectis Slavis! Ja-

kież ostatnie słowo ma Helmold dla Słowian delendae penitus istae nationes. Niklota Niemcy zdradziecko zamordowali. Podczas biesiady, przy obecności syna, głowę Niklota obnoszono, a Helmold, niemiecki kapłan, napisał, spectaculum gratum oculis. Taki był rozwój niemieckiéj ludzkości — a uczony autor złorzeczy Słowianom dawnym i nowym podobno, że ku owemu rozwojowi niemieckiemu usposobienia i miłości nie mieli i nie mają. Cóż zaszło aby zapomnienie i pokonanie sprowadzić miało? Przepraszamy za ustęp, i zwracamy się ku przedmiotowi, ku szlachcie i kmieciom; ku stanom i kastom, które Polska pierwszych wieków swego bytu posiadać miała, jako zabytek indyjski; jako naśladowanie niemieckich, postępowych urządzeń społecznych. [40]) Owi panowie, satrapy, senatory, owa szlachta,—owi włościanie poddani, jest to jedna strona, a nie widzimy, czyli jest jakiekolwiek twierdzenie autora, któreby nie miało drugiéj

[40]) Podział polskiéj najdawniejszéj i pierwotnéj, historycznéj społeczności, na szlachtę i na kmieci, na wolnych i poddanych, nie wystarczył autorowi. Miała być u nas wyższa szlachta, panowie — i szlachta niższa. Miały być u nas dwie polityczne siły — panów i szlachty. I, 265. Chociaż tych dwóch sił nie możnaby przyjąć, jeżeli prawda, jako autor naucza, że tylko król był właścicielem ziemi — rozdawał i odbierał samowolnie. Na czém opiera autor swoje twierdzenia czyli domysły? Winita król gotów kazał ukrzyżować Boza wojewodę Słowian i 70 znamienitych. Kadłubek znał septuaquila satrapae. Długosz mówi o Barones Poloniae quorum 70 principales erant. Zapewne autor do czasów Winitów posunie także i herby szlacheckie! Bytu stanu panów i szlachty — należy dowodzić nie pustemi wyrazami, alę prawami, czynami historycznemi, bytem i działaniem politycznych urządzeń, — ale nie owemi siedmdziesiąt satrapami Kadłubka. Ma atoli autor dowody z czasów historycznéj Polski, że u nas był stan panów — r. 1284 Henryk książę Wrocławia, innixus indicio laquorum baronum morum. Baron u nas niezawodnie znaczył urzędnika, sędziego, a czasami członka wiecy multituus baronum. Lecz to nie był jaki stan, siła polityczna, senat. Kazimierz Sprawiedliwy wymienia — primi principum; lecz są to frazesy kronikarskie i nic więcéj, z których bytu politycznéj aristokracyi wyprowadzać nie wolno. Kadłubek wymienia acta consilio prudentum, co natychmiast autor przemienił na możnowładztwo polityczne. Wszakże Zbigniew członków sądu, wiecy nazwał patres conscripti. Także dowód, że był u nas senat urządzony na sposób rzymski. To nie jest nasz żart. Autor twierdził, że my Polacy kształciliśmy nasze urządzenia polityczne na wzór rzymskich praw — a głównie od chwili, kiedy Jan Zamojski wydał swoje dzieło, de Senatus Romano. Jakżeż nie? Oto Władysław Łokietek, znosi prawo polskie, a wprowadza niemieckie przy Senatus Consultum. To ma być historya praw politycznych i społecznych u Słowian i u Polaków! II, 103.

strony, mocno niepodobnéj, odwrotnéj i przeczącéj. Z samego autora, z jego własnych poszukiwań, ustanowić można, że tych kast, tych stanów u nas nie było, za pierwszych wieków historycznéj Polski. Błąd loiczny, popierany statecznie, jednostajny, nie znalazłby u nas ani wymiarkowania, ani przebaczenia. Nie pozwolilibyśmy, aby nas podchwycił albo ułudził. Taki loiczny błąd zrozumielibyśmy, nie dając jemu zatwierdzenia; ale nikomu nie życzymy męki czytania i oceniania autora, — który sam siebie nie rozumie, który zdaje się nie mieć żadnéj przewodniczącéj myśli, jakoby jéj nie miała i społeczność, któréj prawny układ miał opowiadać.

Jakoż autor wyznaje, że chociaż ziemiaństwo miało różne stany, jednak przed prawem wszyscy równi. II, 8. Ztąd wynikałoby, że nie jest prawdziwém, co autor przedtém wyznał, jakoby dwa ziemstwa być miały, jedno szlacheckie, a drugie kmiece. Skoro jedno prawo, różnic między mieszkańcami nie ma. Lecz owa równość przed prawem, dawniéj nie znana, dziełem książąt i królów być miała. Nie za okresu książąt i królów, swoboda polityczna wszystkich mieszkańców zmniejszyła się i stanowczo upadła. Utrzymała się tylko do końca XV wieku wolność osobista i prawo posiadania ziemi. Za nami, a przeciw sobie samemu, rozumuje autor, że na początku monarchicznych rządów, szlachta i kmiecie, niczém się nie różnili; dla pierwszych i drugich, jedne imiona, jedne herby, jedne dziedzictwo. II. 145. A zatém żadnych stanów i kast, zupełne porównanie, pełne wszystkim obywatelstwo, — a chcielibyśmy zawsze wiedzieć, przez jakie względy, autor na początku monarchicznych rządów, szlachectwo, byt szlachty spomina. Miałżeby autor nie znać, że herby polskie dawne, a nowsze miały zupełnie różne znaczenie, nie oznaczały szlachectwa osoby; — że na początku monarchicznych rządów, znano milites, ale nie nobiles, że dopiero późniéj milites na nobiles przeszli, a jednak pamiętna swego istotnego początku szlachta, do ostatniéj chwili mianowała się rycerskim stanem. Czytamy daléj wyzna-

nie: lud i szlachta pobratani prawami — że chociaż życie polityczne tylko szlachta mieć chciała, jednak szlachta zasilała się i dopełniała ludem. II, 21, 22. Kmieciom nie wiemy dlaczego nazwanym królewskimi, autor przyznał nawet i szlachectwo—II, 68—co jednak za okresu Piastów bezwarunkowo branem być nie może. Wymyślił autor podział na obywateli i na ludzi. Obywatelem był, kto posiadał swój własny grunt, albo narodowy, publiczny, nadany jemu na używanie. Do ludu należał, kto był na cudzéj ziemi, a nie tracił przecież osobistéj swobody, równości przed prawem. II, 92, 106. Lecz jest najpewniejszém, że do końca XV wieku, włościanom służyło prawo nabywania i posiadania ziemi, osobistéj własności; że dawniéj a nawet po XV wieku, włościanie dzierżyli narodowe, publiczne, powszechne grunta, i przeto wedle samego autora, do szlachty należeli, należeć mogli, — chociaż im stopniowo prawo polityczne odjęto, ich obywatelstwo pełne, niesłusznie i szkodliwie ogólnemu dobru zmniejszono.

Wszystko przeto, co tylko autor o stanach i kastach, o szlachcie i kmieciach, jako pojęciach sobie sprzecznych powiedział, upada stanowczo, nie przez nasze nawet rozumowania i dowody, ale przez rozumowania i dowody, które on sam pokazał. Słusznie i najsłuszniéj twierdzi: że ziemia osobista — własna, albo i powszechna, na posiadanie dziedziczne wydzielana, nadawała pełne obywatelstwo, szlachectwo. Otóż we swojém szóstym tomie, autor przedrukował urzędowe pisma wykazujące, że kmiecie ziemie na własność posiadali, używali pełnéj wolności nieograniczonéj: dla nich, jako i dla szlachty był jeden sąd, jedno prawo — inaczéj, u nas za okresu Piastów właściwych stanów i kast nie było. Pięknie autor wyrzekł: prawo szlachty i kmieci bratało się, a jednak we swoich poszukiwaniach téj nie trzymał się zasady. Jakże odmienny byłby był nakreślił wizerunek — Polski Piastów! Gdyby był autor pilniéj obejrzał swoje własne twierdzenia, że na początku monarchicznych rządów stany nie istniały, — że wszystkich jedno prawo bratało, — że

kmiecie do stanu szlachty łatwo przechodzili, szlachecki stan zasilali; byłby był niezawodnie sam siebie zapytał, czyli to jest historyczna prawda, że na początku monarchicznych rządów, przez okres Piastów, „własność powszechna skupiła się w ręku szlachty“ II, 121; że ci kmiecie, którzy dziedzictw nie posiadali, u posiadaczów grunta brać musieli, jako dzierżawcy; że kmieć, czynszownik szlachty, mimo szumnéj nazwy, tylko na cudzéj, na owéj szlacheckiéj siedział ziemi, — był zupełnie niżéj królewskich kmieci liczonych do szlachty, i niżéj tych, którzy nie robiąc pańszczyzny, a posiadając udziały powszechnéj ziemi, także jednoczyli się ze szlachtą. II, 68. Lecz kogo rozumiał przez posiadaczy narodowéj ziemi a nie robiących pańszczyzny? Zagadka postawiona przezeń, a nierozwiązana.

Widocznie autor przedmiotu swojego dokładnie nie zgłębił. Miesza się, stwarza szlachtę, któréj nie było; buduje sporność szlachty i kmieci — nadając pierwszym za wiele, odejmując drugim prawie wszystko, i zaraz twierdzi, że między owymi szlachcicami, tyle przezeń wyniesionymi, a kmieciami, tyle przezeń zniżonymi, nie ma prawie żadnéj różnicy. Szlachta i kmiecie bratali się, jednoczyli: kmieci, dziwnie nazwanych królewskimi, wprowadził do szlachty. Uwaga dobra — albowiem owi kmiecie mniemani królewscy, posiadacze i dziedzice publicznéj ziemi, pod każdym względem wyobrażali dokładnie położenie społeczne wszystkich kmieci. Pragniemy odróżnić to, co autor zamieszał i powikłał nieszczęśliwie i niepotrzebnie. Używamy wyrazu szlachta, nie dla nas, ale przez wzgląd na autora, który mniema, jakoby u nas na początku XI wieku istniała szlachta feodalna, urządzona jako stan wojskowy i polityczny, jedyna właścicielka ziemi powszechnéj. Upraszamy, aby nam wolno było, jako być może najmocniéj oznajmić, że to wszystko są sny. Autor nie dowiódł i nie dowiedzie nigdy, aby na początku historycznéj Polski, wieku X i XI, u nas był stan szlachecki; a jeżeli nie dowiedzie, — upada wszystko, cokolwiek o szlachcie, o jéj prawach i o jéj wyższości względem włościan powiedział.

Bardzo wątpimy, czyli kmieć, ma mieć łacińskie pochodzenie, Comes, naśladowanie zachodnich Comesów. Dowcipniejszy, niewiemy, czyli prawdziwszy jest domysł Lelewela kmieć — k-mieć, mieć, posiadać. Błądzi autor, jakoby wyraz Comes tylko włościanom miał służyć. Był dodawany wysokim urzędnikom i niższym — i prostym rycerzom — milites, nie nobiles. Starowolski dobrze rozumiał rzeczy, kiedy pisał — nasamprzód milites, na nobiles przeszło. Co znaczył milies na początku XI wieku? Być nim mógł każdy. Z powszechnéj, z publicznéj narodowéj ziemi rycerskie udziały jako wynagrodzenie, jako utrzymanie pod obowiązkiem służby — cztery łany miles. Lecz taki miles mógł jeszcze mieć nabyte i rodowe własności. Owym milites, rycerzom naznaczano także czynsze, płacone przez dziedzicznych posiadaczy publicznéj ziemi—przez rolników, przez kmieci, którzy również posiadać mogli ziemie własne, nabyte i rodowe. Udziały rolnicze wynosiły jeden łan, albo dwa. Czynsze stanowiły publiczny dochód, którym zawiadywała wieca sama, — a kiedy nastały monarchiczne rządy, książę albo król, ale za upoważnieniem wiecy, nigdy sam, — albowiem książę czyli król ani osobiście, ani jako naczelnik państwa, najmniejszéj cząstki ziemi na własność nie posiadał. Ziemia powszechna, narodowa, publiczna przeszła na własność szlachty — prawda, — ale kiedy? — Nie za okresu Piastów, który autor rozważa, — ale po XIV wieku, kiedy milites przerobieni na nobiles, przez nadużycie i przywłaszczenie, sami na sejmach panować zaczęli. Król nadawał, rozdawał łatwo, albowiem rozdawał nie swoje, czego za swoją własność nie mógł uważać. Lecz nawet naówczas szlachta ziemi powszechnéj, nadanéj kmieciom na dziedziczne posiadanie przywłaszczyć sobie, kmieciom odebrać nie mogła. Kmieci wszystkich, powtarzamy — wszystkich, przez cały okres Piastów, uważano za prawdziwych, za dziedzicznych właścicieli, których szlachta dowolnie rugować nie mogła, jako błędnie mniema autor, — który mylnie postawił na-

czelne twierdzenie, że kmieć był czynszownikiem, dzierżycielem czasowym ziemi; że przeto téj ziemi przezeń trzymanéj, posiadanéj, nie był rzeczywistym właścicielem. Tylko szlachta miała prawdziwą własność ziemi, — a wszystkie grunta powszechne dla saméj siebie zagarnęła.

Lecz z tego, cośmy sami przedstawili, — z tego nawet, co sam autor przyznał i twierdził, wynika, że takie pojmowanie własności ziemi dziedzicznéj przez kmieci, nie ma najmniejszéj historycznéj zasady, — z tych praw, jakie znamy, wykazane być nie może.

Byłże kmieć tylko czynszownikiem ziemi, któréj własność do szlachcica, do właściciela włości należała? Zobaczmy bliżéj, zaiste najważniejszy przedmiot, ale najważniejszy historycznie, przez chęć zbadania, jakie społeczne i rolnicze urządzenia Polska przyjęła i przez cały okres Piastów, wyjąwszy lekkie zmiany i pierwsze bardzo nieśmiałe wznowienia wiernie i zbawiennie dla wszystkich zachowała. Starożytny, mocny, a rozumny społeczny układ, który poprzedził wyniesienie Piastów na naczelnictwo Polski, dotrwał czasów wiślickiéj ustawy. Dopiero po niéj łamać się zaczął, a zaledwie 1496 wbrew prawu, fatalnie podkopany, jeszcze późniéj był wywrócony.

Jeżeli chcemy twierdzić, czém był kmieć polski, a właściwie każdy członek przedhistorycznéj i pierwotnéj Polski, — jesteśmy jednéj myśli z autorem, który widział, że był czas, kiedy kmieć polski używał pełnych praw obywatelskich; kiedy między mieszkańcami téj błogosławionéj krainy żadne nie zachodziły różnice. Ale ustaje między nami zgoda, że zaraz na samym początku historycznéj Polski kmieć przeszedł pod dworskie prawo, był czynszownikiem, zapominał swojéj narodowości i swego nawet szlachectwa. II — 122. Oświadczamy, taki układ rzeczy, dopiero po XIV wieku nastąpił, a przez cały okres Piastów, włościanin polski miał przynajmniéj dwa wielkie naczelne prawa, wolności swojéj osoby, i prawo własności ziemskiéj, osobistéj i rodowéj. Stracił

znaczenie polityczne, prawda — ale zachował mocne uznanie swojéj polskiéj narodowości. Słowem — a jesteśmy najsmutniejsi, że takie słowo musimy powiedzieć — autor układu polskiéj społeczności za okresu Piastów, jéj stosunków rolniczych, jéj stanów, jéj potęgi i jéj świetności, ani rozumiał. Piast kmieć, wielkie podanie, był założycielem Polski, sam przez siebie albo przez swego syna. Ta myśl piastowa, myśl zasadnicza, rodzicielka, trzymała, rozwijała społeczeństwo polskie Piastów, i zdaje się z nimi razem do grobu zstąpiła. Późniejsze wieki żyły i wzmagały się nawet jéj twórczemi natchnieniami, z których ustaniem i ona sama zagasła. Polska szlachecka, pod kierunkiem saméj szlachty, Polski Piastów, Polski kmiecéj, dwułanowéj, godnie zastąpić ani nawet utrzymać jéj nie mogła. Wszystko, co tylko autor o położeniu włościan, o ich prawach wymienił, uważamy za fałszywe, albo niedokładne, albo do okresu Piastów, który chciał przedstawić, nie mogące się odnosić.

Cóż wykłada, jakże włościan do XIV wieku pojmuje? Człowiek uboższy, niemający za co się uzbroić, był podpanym kmieciem; nazywany haeres, dziedzicem niewłaściwie, miał jedynie czasowe posiadanie gruntu, z którego mógł być oddalony, wyrzucony, a mówi autor, rugowany — przez kogo? Widocznie przez pana, przez szlachcica, właściciela ziemi. U Serbów ustawa dozwalała panu grunta kmiece znosić, a przyłączać je do gruntów dworskich, co jako wierzy autor, i u nas miejsce mieć miało. Grunta opuszczone, odbieżone przez kmiecia, pan mógł zająć na własność, wcielić do swoich gruntów. Przedawnienie roku i sześciu tygodni wystarczało. Kmieć utracał prawo, jakie mieć mógł do posiadanéj przezeń ziemi, a pan zostawał jéj właścicielem, jakim — autor znowu nie wytłómaczył. Odzyskiwałże zupełnie swoje prawo własności, albo czyliż tylko odbierał co ustąpił chwilowo, czego właścicielem być nigdy nie przestał? Ten ostatni domysł byłby słuszniejszy, albowiem autor kmieci tylko czasowymi dziedzicami, uży-

waczami mianuje, a najwyraźniéj naucza, że pan włościanina mógł prawnie wyrzucić, dowolnie rugować.

Powtarzamy, to nie jest prawda historyczna: położenie prawne kmieci było zupełnie różne, niepodleglejsze, swobodniejsze. Szlachta, panowie nie mieli takiéj ogromnéj powagi. Jakie autor ma dowody na okazanie, że kmieć przez pana włości — jako on nazywa, mógł być wyrzucony, rugowany,— że przeto ów pan był właścicielem ziemi uprawianéj, trzymanéj przez kmiecia? Wyraźnych, bezpośrednich nie znajdujemy żadnych. A przecież autor na poparcie swojego mniemania powołuje ustępy 2, 23 i 63 łęczyckiéj ustawy, ogłoszonéj na początku XV wieku, 1418—1419. Znaczenie tych przepisów jestże téj natury? Mówiż przeciw własności ziemi posiadanéj przez kmieci? Nie sądzimy.

Ustępy 2 i 23 nakazują, że na przedawnienie dóbr odbieżonych, opuszczonych, puścizny trzeba roku i sześć tygodni. Lecz nasamprzód, wyraz *bona* nie oznacza koniecznie ziemi i ziemia niewymieniona, a zaraz ujrzymy, że przez *bona*, tylko ruchomości zostawione przez kmiecia rozumieć należy. Jakoż ustęp 63, stanowi: „Jeżeli kmieć jaki włość z małżonką opuścił, i jakie dobra na dziedzictwie zostawił, *bona* aliqua in haereditate reliquerit, takie dobra, pan przez wyrok sądowy może otrzymać, a przytém zostaje jemu poszukiwanie za długi i za to, co z układu wynika.“ Nie ma nic przeto, coby panu grunta przez kmiecia do swoich gruntów przyłączyć dozwalało; coby upoważniało wnioskować, że pan był właścicielem gruntów posiadanych przez kmieci; że mógł zostać właścicielem gruntów, które kmiecie opuścili, odbiegli. Wedle ustawy łęczyckiéj, pan mógł przedawnić dobra ruchome, które kmieć zostawił,— których się wyrzekł. O ziemi, o własności gruntowéj, ani słowa. Istotnéj myśli tych ustępów, które przytoczył, autor nie dostrzegł. Własności gruntów, posiadanych przez kmieci, dla pana z nich nawet przez domysł wyprowadzić nie można. Co autor byłby był sam uznał, gdyby był przejrzał wszystkie ustępy téj ustawy. Jeden z nich i zaiste sta-

nowczy przepisuje, że wszyscy kmiecie włość opuścić mogli bezkarnie, bez żadnego wynagrodzenia, jeżeli pan cokolwiek przywłaszczył sobie z łąk i gruntów, które kmiecie niegdyś posiadali. Quando aliquid de agris vel pratis dominus recipiat in quibus quondam Kmethona federunt. To jest, pan nie mógł sobie przywłaszczyć, zająć na swój użytek nic a nic, z łąk i gruntów, na których kmiecie siedzieli — a które opuścili. Jeżeli popełnił takie przywłaszczenie, był karany. Wszyscy kmiecie z takiéj włości wyjść mogli. Mamy przeto dowód stanowczy, że pan nie był właścicielem gruntów posiadanych przez kmieci, nie miał na nich prawa własności nawet naówczas, kiedy ci kmiecie odbiegli, opuścili, zostawili je pustkami. Panowie niektórzy zaczynali takie przywłaszczenie i takie grabierze cudzéj własności. Lecz prawo, a upraszamy, prawo pisane przez samąż szlachtę, sprzeciwiało się tym nadużyciom, karało je. Czyim-że właściwie był grunt trzymany przez kmieci? czyli ich? Przedmiot bardzo zajmujący i ważny — teraz zostawiamy na stronie, nie przeto, aby on dla nas był wątpliwy, ale dla tego, że musielibyśmy obszerniejsze przedstawić poszukiwanie. Powiemy tylko, że wszystkie ustawy, mówiące o ziemi odbieżanej przez kmieci, — te ziemie kmieciom przyznają, ich dziedzictwem, ich posiadaniem, ich własnością nazywają, — i jest fałsz najogromniejszy, jakoby kmieć z gruntu przez pana samowolnie miał być rugowany. To późniéj nastąpić mogło i nastąpiło. To na początku XV wieku jeszcze miejsca nie miało; bo na początku XV wieku ustawa, dzieło saméjże szlachty, nazwało gwałtem i bezprawiem.

Ustawa Warty 1420—1423 zgodna z ustawami Łąkoszyna i Mazowsza, jasno opowiada cały bieg prawny. Kiedy kmieć swój grunt opuścił, kiedy sołtys albo kmieć z roli swojéj, albo dziedzictwa swego, de agro et haereditate sua, wyniósł się, a pan ku temu nie dał powodu, taki kmieć trzykrotnie, a nawet czterykrotnie był wzywany, aby na swoje dziedzictwo powrócił, ut ad suam haereditatem re-

deat. Jeżeli kmieć wezwany nie wracał, naówczas dopiero pan grunt odbieżony będzie mógł innemu wydzierżawić, poterit suam haereditatem, kmiecia, per alium collocare. Lecz pan dla siebie gruntu nie zabierał na własność. Jakże mógłby zabierać, za właściciela być uważany, skoro ustawa najwyraźniéj grunt posiadany przez kmiecia jego własnym, jego dziedzictwem nazywa: de agro suo, de haereditate sua; kiedy ustawa Łęczycy karała pana, któryby popełnił takie przywłaszczenie. Pan gruntów odbieżanych nie miał prawa zachować dla siebie na swój użytek — a po wyjściu kmieci, utracał czynsze — nędza zatém.

Helcel we swoich głęboko i pięknie opracowanych Pomnikach praw Polskich umieścił zapiski sądowe z końca XIV, a z początku XV wieku. Zapiska 295 przedstawia dowód najniewątpliwszy, że grunt, posiadany przez kmiecia, za jego własność był uważany na mocy prawa, które uchwaliła sama szlachta, doskonale znająca swoje własne i kmieci prawne położenie. Witus Wilczkowicz wygrał spór, przeciw Wencesławowi de Marcinowice o rolę, którą był u swego kmiecia zakupił — pro agris, quos apud Kmethonem suum emerat. Jeżeliby pan, jako autor mniema, był właścicielem gruntów posiadanych przez kmiecia swego, kmiecia włości, na cóżby je kupował? Jakżeby kmieć mógł je sprzedawać, gdyby nie był ich prawdziwym, bezwarunkowym właścicielem? Sprzeczność prawdziwie zdumiewająca! Autor kmieciom odmówił wszelkiéj ziemskiéj własności, uznaje ich tylko czasowymi posiadaczami, których pan dobrowolnie mógł rugować, chociaż to po najdokładniejszém przejrzeniu praw dotyczących kmieci, nie znaleśliśmy ani jednéj ustawy, któraby panom takie udzielała samowładztwo. Lecz przyznaje własność i dziedzictwo tym, którzy jéj nie mieli na samym początku. Wedle autora, Wolanin osadzony na woli, na polu, który sam wykarczował wysiadował sobie dziedzictwo, nawet czynszownik osadzony przez pana, samem używaniem nabywał dziedzictwa ziemi, która pierwotnie jemu pod pewnemi warunkami przez właściciela była

ustąpiona. II—132, 133. Co przecie nie jest prawda. Na stronicy 132, Wolanin uznany dziedzicem ziemi nadanéj jemu pierwotnie. Lecz nie bardzo wierzymy temu twierdzeniu, albowiem na stronicy 134 napotykamy cieniowanie, że ów Wolanin był dziedzicem — a jednak nim nie był; że to być miał Władyka. Nieprzyznający sobie zdolności zrozumienia tych orzeczeń, jako można być i nie być dziedzicem jednéj i téj saméj chwili, jednéj i téj saméj osobie, autor odbiera kmieciom własność ziemi, przyznaną im prawami wydanemi przez prawodawców szlachtę na początku XV wieku, a przyznaje własność ziemi Wolanom osadzonym na karczmisku, na roli cudzéj, dowolnie ustąpionéj, nadanéj, która przecież przez samo używanie ich dziedzictwem zostać nie mogła. Nowy rodzaj nabywania własności wynalazł autor, przez wysiedzenie, pod okiem pierwotnego właściciela gruntu.

Powołaliśmy ustawy pisane przez stan szlachecki, wyłącznie na początku XV wieku, panujący politycznie—ustawy przyznające jednak kmieciom własność ziemi przez nich posiadanéj; ustawy, z których na żaden sposób i pod żadnym względem panom nie można przyznać własności ziemi trzymanéj przez kmieci. Jeżeli przejrzymy uważnie urzędowe dowody XII, XIII i XIV wieku, nazwane nadaniami, uzyskamy przekonanie, że przez owe wieki, kmiecie prawnie uważano za właścicieli ziemi, przez nich trzymanéj. Byli jéj dziedzicami wieczystymi, o tyle mocnymi, że z téj ziemi, wedle nas, pierwotnie publicznéj, narodowéj, przez nikogo rugowani być nie mogli. Byli jéj właścicielami, dopóki sami chcieli, dopóki sami jéj nie opuścili. Cóż czytamy albowiem w tych urzędowych pismach, w tych nadaniach? Książę ustępował panu miejscowe, mniejsze sądownictwo, — ostatecznie wyłączał rozpoznanie sobie, albo swemu sądowi, spory o własność ziemi — quaestio haereditaria. Lecz na cóżby wyłączał, jeżeliby pan był właścicielem gruntów posiadanych przez kmieci? Pozywano kmiecia samego przed sąd książęcy we sporach dotyczących własności gruntowéj, a po-

zywano uroczyście. Grunt kmiecia widocznie doń, nie do pana należał — i prawnie, kmieć, nie pan, za właściciela gruntu był uważany. Taki stan rzeczy trwał jeszcze w wieku XV i dopiero późniéj szkodliwie dla wszystkich był złamany i wywrócony. Był to niezmierny błąd ekonomiczny i polityczny razem — zmiana stanowcza, ale zła. Układ społeczny i rolniczy Polski Piastów, co do zasady, co do zdumiewającéj na owe czasy sprawiedliwości, należało utrzymać, rozwijać i dokształcać.

Należałoby jeszcze rozebrać inne stosunki włościan, również niedokładnie, albo fałszywie wyłożone przez autora. Jeżelibyśmy jemu mogli zawierzyć, były u nas, za okresu Piastów, nałożone włościanom pańszczyzny, darmochy i nawet sądy patrimonialne. Doczytujemy się jeszcze—jakoby u nas ludzie, włościanie wolność swoją sprzedawać mieli,— zwyczaj znany u Słowian Nowogrodu, — zwyczaj niewątpliwie zewnętrzny, skandynawski. Znaczenie Sołtysów jakże dziwnie przedstawione? Rozbiór atoli tych przedmiotów, zaprowadziłby nas daleko. Powiemy tylko, że i o tych przedmiotach autor ma wyobrażenie, którego z praw polskich nie wydobył, a społeczeństwu polskiemu za Piastów dowolnie narzucił. Szukał niemieckiéj myśli, i do niéj wszystko, najsubtelniéj, albo najgwałtowniéj naciągał, — ułudzony tym wszystko psującém omamieniem, że umysł Słowian sam w sobie nic nie posiadał, żadnéj organicznéj, albo organizującéj siły, — ślimak, albo wieczne pachole.

Nadmieniliśmy na samym początku tych rozważeń, że autor do szóstego tomu swojéj historyi Prawa, wprowadził różne pisma urzędowe, nawet całe dzieło dotyczące praw słowiańskich i polskich; niektóre dotąd nam i Słowianom nieznane, naprzykład ustawa rolnicza ziemi chełmskiéj 1477 nadzwyczajnéj ważności. Statut Słowian-Winodulów, wyciągi z akt polskich sądów, a nie możemy przebaczyć jemu, że nadzwyczajnéj ważności prawo Czarnogorian opuścił. Jest naszém zamiarem, dać poznać owe pisma urzędowe, ustawy i wyciągi, a z nich samych pokaże się dobitnie, że gdyby

autor był zbadał co czytał, co wydrukował, zupełnie inaczéj byłby był przedstawił Słowian ogólnie, — a mianowicie, polskie społeczeństwo za okresu Piastów do XIV wieku, do skonu Kazimierza W., — czasy, wielkiéj sprawiedliwości, jakich nie znała społeczna Europa, — czasy, których późniéj, mimo najokazalszych wydarzeń, nie napotkamy. Z ostatnim Piastem, Polska ożywiana słowiańskim duchem, wierna dawnym podaniom, Polska, cóżkolwiek bądź piękna, zniknęła.

SPIS RZECZY.

str.

Synowie Chrobrego; ustęp z dziejów Polski, przez *Augusta Bielowskiego* . . . 1
Słowianie w Andaluzyi, przez *Karola Szajnochę* 31
Wycieczka do Krakowa, przez *Kazimierza Władysława Wojcickiego* 81
Józef Sosnowski, Wojewoda Smoleński Hetman Polny Litewski Wojewoda Połocki, przez *Juljana Bartoszewicza* . 137
Bitwa pod Raszynem, przez *Fryderyka Hr. Skarbka* 197
O Ekonomii politycznéj we Włoszech, przez *Ludwika Wołowskiego* 207
Klasztor św. Marka we Florencyi, przez *K.* 243
O powadze wyroków i ich wpływie na wyrokowanie w innych sprawach, czyli o powadze prejudykatów w Królestwie Polskiém, przez *W. D.* 262
Andrzej Morsztyn, poeta polski XVII wieku i jego imiennicy, przez *Dr. Antoniego Małeckiego* . 268
O sporach jurisdykcyjnych w zakresie sądownictwa zwyczajnego cywilnego, przez *K. M.* . 335
Kilka uwag o listach z Krakowa J. Kremera, przez *A. N.* 358
Historya prawodawstw słowiańskich, przez *Alexandra Maciejowskiego*. (Rozbiór krytyczny.) . 374

Omyłka drukarska.

W ostatnim artykule tego tomu zaszła wielka pomyłka drukarska, którą w ten sposób należy poprawić: Na str. 448, wiersz 2 od góry po wyrazach: *Była najzupełniejsza sporność między polskiemi a zachodniemi niemieckiemi urządzeniami politycznemi i społecznemi*, należy czytać na str. 449 ustęp zaczynający się od słowa: *Znużylibyśmy samych siebie*, itd. aż do końca rozdziału tego, t. j. do str. 453. Potem bowiem dopiero powinien być ustęp, mylnie na str. 448 postawiony, zaczynający się od słów: *To przywidzenie jakoby u nas miał być feodalizm* itd.

Bayerische Staatsbibliothek München

[illegible]
[illegible] w Abisynii, przez Karola [illegible]
Wycieczka do Krakowa, przez Kazimierza Władysława Wójcickiego [illegible]
[illegible]. Wojciech Surowiecki. Hetman Feliks Kazimierz [illegible]
Pałucki, przez Józefa Łukaszewicza [illegible]
[illegible] pod [illegible], przez Fryderyka H. [illegible]
O Ekonomii politycznej we Włoszech, przez Ludwika Wołowskiego [illegible]
Klasztor św. Marka we Florencji, przez K. [illegible]
O powodzie wyrobów i ich wpływie na wyrobnictwo w [illegible]
o prawach [illegible] w Królestwie Polskiem, przez [illegible]
Andrzej Morsztyn, poeta polski XVII wieku i jego rękopisma, przez Antoniego Małeckiego [illegible]
O [illegible] w zakresie [illegible]
przez K. M. [illegible]
Kilka uwag o [illegible] z Krakowa [illegible]
Historya prawodawstwa [illegible], przez [illegible]
(Ciąg dalszy) [illegible]

Omyłka drukarska.

W ostatnim artykule tego tomu zaszła omyłka [illegible] następujący sposób należy poprawić: Na str. 448, wiersz [illegible] od góry [illegible] [illegible] i [illegible], należy [illegible] na str. 448 ustęp [illegible] [illegible] [illegible] jak się odnosi: [illegible]

[illegible]

3|9
chbind
Gawrz
rktplat
011 Kirch

Bayerische StaatsBibliothek
Münchener DigitalisierungsZentrum Digitale Bibliothek

Ohryzko, Jozafata

Pismo zbiorowe Wydane przez Jozafata Ohryzko

Bd.: 1

Petersburg 1859

Polon. 158 i-1
urn:nbn:de:bvb:12-bsb10779477-5